



STAR WARS

DZIEDZICTWO MOCY



AMBER

BRATERSTWO KRWI
KAREN TRAVISS

GWIEZDNE

WOJNY

DZIEDZICTWO MOCY II

BRATERSTWO KRWI

KAREN TRAVISS

Przekład Andrzej Syrzycki

Tytuł oryginału
Legacy of the Force: Bloodlines

Bryanowi Boultowi

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Bariyt Saiy - (Korelianin)

Ben Skywalker - (trzynastoletni chłopiec)

Boba Fett - na poły emerytowany łowca nagród (mężczyzna z Mandalory)

Cal Omas - przywódca Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)

Cha Niathal - admirał Galaktycznego Sojuszu (Kalamarianka)

Goran Beviin - mandaloriański żołnierz (mężczyzna)

G'vli G'Sil - coruskański senator, przywódca Rady Bezpieczeństwa i Wywiadu Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Heol Girdun - kapitan Straży Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)

Jacen Solo - rycerz Jedi (mężczyzna)

Jaina Solo - rycerz Jedi (kobieta)

Jori Lekauf - kapral Straży Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)

Leia Organa Solo - rycerz Jedi, drugi pilot „Sokoła Millenium” (kobieta)

Lon Shevu - kapitan Straży Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)

Luke Skywalker - wielki mistrz Jedi (mężczyzna)

Lumiya - Ciemna Jedi (kobieta)

Mara Jade Skywalker - mistrzyni Jedi (kobieta)

Mirta Gev - łowczyni nagród (kobieta)

Taun We - badaczka (Kaminoanka)

Thrackan Sal-Solo - przywódca Korelii (mężczyzna)

PROLOG

System atzerriański, dziesięć standardowych lat po wojnie z Yuuzhan Vangami: Pilot „Niewolnika 1” ściga statek przestępcy H'buka.

z prywatnych zapisków Boby Fetta

- Bez względu na to, ile od nich dostaniesz, Fett, zapłacę ci dwa razy więcej - słyszę z głośnika komunikatora pokładowego.

Bardzo często wygadują podobne brednie. Po prostu nie rozumieją, czym jest kontrakt. Tym razem ścigam atzerriańskiego handlarza błyszczostymem, H'buka, który nie zwrócił Koalicji Kupców czterystu tysięcy kredytów w terminie. Koalicja uznała za słuszne zapłacić mi pięćset tysięcy kredytów, aby dać jemu i wszystkim innym nauczkę, że zobowiązania finansowe należy honorować. Z całego serca zgadzam się ze zdaniem Koalicji Kupców.

- Kontrakt to kontrakt - odpowiadam. „Niewolnik 1” jest wystarczająco blisko, żebym widział ścigany statek. Mógłbym przysiąc, że to stary myśliwiec typu Z-95 Łowca Głów. Nie ma jednostki napędu nadświetlnego, bo do tej pory wskoczyłby do nadprzestrzeni. I nie dziwię się, że jego właściciel jest zaskoczony. Pilot stareńskiego policyjnego patrolowca klasy Firespray w rodzaju „Niewolnika 1” nie powinien był go dogonić, korzystając wyłącznie z jednostki napędu podświetlnego.

Tyle że ostatnio zainstalowałem na pokładzie kilka... No, dodatkowych urządzeń. Prawdę mówiąc, jedyną oryginalną częścią „Niewolnika 1” pozostał fotel, w którym siedzę. - Moje laserowe działko jest uzbrojone - mówi H'buk takim tonem, jakby brakowało mu tchu.

- I bardzo dobrze - odpowiadam. Nigdy się nie dowiem, dlaczego moje ofiary zawsze chcą ze mną porozmawiać. Hej, ty tam... Zamknij się albo strzelaj, myślę. Wiem, że musisz odwrócić maszynę, żeby dać ognia z tego działka. W ciągu tej sekundy czy dwóch i tak zdążę przysmażyć twoje jednostki napędowe. - Galaktyka to niebezpieczne miejsce.

Dzięki działaniu rufowych silniczków manewrowych Łowca Głów skręca raptownie na bakburtę, ale system namiarowy laserów „Niewolnika”, który śledzi charakterystyczne parametry jednostki napędowej ściganego myśliwca, automatycznie nadąża za wszystkimi jego zwrotami i pętlami. Chwilę później silniki ściganej maszyny przemieniają się w kulę białego światła. Łowca Głów zaczyna koziołkować, więc muszę włączyć generator promienia ściągającego, żeby schwytać H'buka.

Kiedy słyszę metaliczny brzęk chwytałów „Niewolnika” o kadłub myśliwca, przytwierdzam go do swojego patrolowca nad wyrzutnią torped. Mówiono mi kiedyś, że łoskot zetknięcia się dwóch metalowych kadłubów brzmi tak, jakby zamykały się za kimś ciężkie drzwi więziennej celi. To odgłos, po którym osadzeni tracą wszelką nadzieję. Zabawne... Po takim dźwięku nabrałbym jeszcze

większej ochoty do walki.

H'buk wpada w panikę i zaczyna mnie błagać, ale ostatnio rzadko zwracam uwagę na takie prośby. Niektórzy więźniowie nie tracą wprawdzie buntowniczego ducha, ale większość wpada w przerażenie. H'buk obiecuje mi złote góry i jeszcze więcej, żeby tylko darował mu życie. - Mogę ci zapłacić miliony - mówi. Nie wie, że zgodnie z kontraktem mam go dostarczyć żywego. Zleceniodawcy nie pozostawili co do tego cienia wątpliwości. - A na dodatek dostaniesz moje udziały w Kuat Drive Yards.

Mam nadzieję, że w końcu zrezygnuje, jeżeli będę zachowywał milczenie. - Fett, mam urodziwą córkę...

Nie powinien był tego powiedzieć. Wpadam w gniew, co nieczęsto mi się zdarza. - Nigdy nie wykorzystuj swoich dzieci, kanalio - mówię. - Przenigdy.

Mój tata zawsze stawiał mnie na pierwszym miejscu. Tak powinien postępować każdy ojciec. Nigdy wprawdzie nie współczułem H'bukowi, ale teraz już jestem pewny, że zasługuje na wszystko, co Koalicja Kupców chce mu zrobić. Gdybym miał miękkie serce, już dawno bym go zabił. Nie jestem litościwy, co to, to nie, ale kontrakt wyraźnie mówi, że mam go dostarczyć żywego.

- Czy zechce pan negocjować wysokość opłaty lądowniczej? - Pyta mnie operator Atzerriańskiej Kontroli Ruchu Powietrznego.

- A ty zechcesz wdać się w negocjacje z działkiem jonowym? - Pytam.

- Och, bardzo pana przepraszam, panie Fett... - Słyszę w odpowiedzi. Zawsze rozumieją, co chcę im powiedzieć.

Kiedy się ma przytwierdzony dodatkowy ciężar do górnej części kadłuba, lądowanie na Atzerri może być trochę zdradliwe. Umiejętnie przesyłając energię do silniczków manewrowych, sadzam „Niewolnika 1” na płycie lądowiska, ale czuję, że pod ciężarem myśliwca rufowa sekcja wibruje. No i mam widownię.

Koalicja chciała udowodnić, że ją stać na wynajęcie najlepszego fachowca do schwywania każdego, kto z nimi zadrze. Nie mam nic przeciwko takiemu pokazowi, który - podobnie jak widok mojej mandaloriańskiej zbroi - trafia wszystkim do przekonania bez konieczności oddania choćby jednego strzału. Idę wzdłuż kadłuba unieruchomionego „Niewolnika 1”, wspinam się na burtę Łowcy Główny i promieniem lasera z nadgarstka mojej rękawicy otwieram zatrzask owiewki jego kabiny. Wymierzam H'bukowi cios silniejszy, niż muszę, wywlekam go z kabiny i zjeżdżam z nim po linie z wysokości dziesięciu metrów na talrep.

Czuję silny ból w żołądku, ale nie daję po sobie niczego poznać.

A później zostawiam jeńca przed ludźmi, którym jest winien czterysta tysięcy kredytów. Wystarczająco dobitnie trafia to wszystkim do przekonania. Lubię trafiać ludziom do przekonania. Taka demonstracja to połowa bitwy. - Chce pan zatrzymać gwiazdny myśliwiec? - Pyta mój klient.

- To nie w moim stylu - odpowiadam. Operator kosmoportowego dźwigu uruchamia go, żeby odłączyć Łowcę Główny od kadłuba „Niewolnika”, ale wyciągam rękę. Chcę dostać resztę honorarium.

Mój klient wręcza mi obiecane dwieście pięćdziesiąt tysięcy kredytów w sprawdzonym mikroobwodzie.

- Dlaczego się pan cały czas tym zajmuje? - Pyta.

- Bo ludzie cały czas mnie o to proszą - odpowiadam.

Zadał mi dobre pytanie. Zastanawiam się nad nim, kiedy siedzę w kabinie i przeglądam najnowsze wiadomości finansowe w HoloNecie. W tym czasie kierowany przez autopilota „Niewolnik 1 ” leci na Kamino. Mam się tam spotkać z moim lekarzem. Nie lubi długich podróży, ale nie płacę mu za to, żeby był zachwycony.

Myślę także o mojej córce Ailyn, której nie widziałem od pięćdziesięciu lat. Zastanawiam się, czy wciąż jeszcze żyje.

Rozmyślam o tym, bo jestem poważnie chory. Prawdopodobnie umieram.

Jeżeli tak, muszę jeszcze załatwić kilka spraw. Przede wszystkim powinienem się dowiedzieć, co się stało z Ailyn. Potem się zastanowię i zdecyduję, kto po mojej śmierci zostanie Mandalorem.

A trzecim problemem będzie znalezienie odpowiedzi na pytanie, jak oszukać śmierć. Zdążyłem w tym nabrać naprawdę sporej wprawy.

ROZDZIAŁ 1

Jak długo jeszcze będziemy się borykali z kolejnymi kryzysami? W ciągu niespełna czterdziestu lat musimy stawiać czoło trzeciemu galaktycznemu konfliktowi... Prawdziwej wojnie domowej. Na razie toczymy niewinne potyczki, ale jeżeli Omas nie podejmie zdecydowanych kroków, żeby zdławić bunt w zarodku, sytuacja wymknie się spod kontroli. Potrzebujemy jakiegoś okresu spokoju, ale według mnie jeżeli chcemy go zyskać, musimy dać komuś po głowie o wiele mocniej niż do tej pory.

pani admirał Cha Niathal, w nieoficjalnej rozmowie z delegatami kalamariańskiego Senatu

Sala recepcyjna przywódcy Galaktycznego Sojuszu, gmach Senatu, Coruscant, sześćdziesiąt dni po akcji na terenie stacji Centerpoint

Kiedy się miało trzynaście lat, najgorsze było to, że raz wszyscy cię uważali za dorosłego, a kiedy indziej znów traktowali jak dziecko.

Trzynastoletni Ben Skywalker, dezorientowany, bo wiedział, czego się po nim spodziewano, starał się brać przykład ze swojego kuzyna Jacena Solo i siedzieć cierpliwie w poczekalni sali recepcyjnej przywódcy Galaktycznego Sojuszu, Sala Omasa, mieszczącej się w gmachu Senatu na Coruscant. Poczekalnię zaprojektowano w taki sposób, żeby wszyscy w niej czuli się kompletnie zagubieni; w przestrzeni między drzwiami na korytarz a ścianą prywatnego gabinetu Omasa mógłby się zmieścić spory apartament. Ben niemal się spodziewał, że zobaczy kule winorośli misura, gnane podmuchami wiatru po nieskazitelnie czystym błękitnym dywanie. Nie rozumiał, dlaczego marnuje się tyle wolnej przestrzeni. Jacen mówił mu, że Yuuzhan Vongowie okupowali gmach Senatu i zmienili go przez ten czas nie do poznania. Zatarcie wszystkich śladów inwazji obcych istot i przywrócenie budynku do poprzedniego stanu zajęło architektom, projektantom i armii konstrukcyjnych robotów kilka długich lat. Wsłuchując się w Moc, Ben usiłował wykryć echo obcych istot i dziwacznych wytworów ich biotechniki; w końcu doszedł do wniosku, że chyba słyszy niemożliwe do zidentyfikowania odgłosy. Wzdrygnął się i przeniósł spojrzenie na stertę leżących na greeldrewnianym niskim stole holozinów.

Były to stare, nudne tygodniki poświęcone ostatnim wydarzeniom i politycznym analizom, ale na okładce jednego widniał wizerunek Jacena. Ben sięgnął po holozin, włączył go i uśmiechnął się do siebie, bo następny obraz przedstawiał wirującą stację Centerpoint. Odkąd pomógł ją uszkodzić, nie wyglądała już tak dobrze jak na zarejestrowanym hologramie.

Miło jest mieć świadomość, że brało się udział w czymś ważnym, pomyślał.

Znalazł tu też fragmenty koreliańskiego biuletynu informacyjnego na temat tamtej akcji, ale holoreporter nie wspomniał ani słowem o jego udziale. Ben nie był pewny, czy mu się to podoba. Z jednej strony miło byłoby doczekać jakiegoś dowodu uznania, ale z drugiej... Koreliański holoreporter potraktował Jacena bardzo obcesowo. Prawdę mówiąc, nazwał go terrorystą i zdrajcą. Głos reportera wypełnił poczekalnię, chociaż Ben nastawił natężenie fonii na minimum, a dywan i gobeliny na ścianach powinny tłumić dźwięki.

Korelianin nie okazał szacunku nawet wujkowi Hanowi. Nieznany mężczyzna w średnim wieku, którego Ben nigdy nie widział, zwierzał się reporterowi, co sądzi o Hanie Solo:

- Uważa się za Korelianina, ale równie dobrze zamiast czerwonych lampasów na spodniach mógłby mieć wielką żółtą plamę na tyłku, bo jest tylko marionetką Galaktycznego Sojuszu. Zdradził Korelię, robiąc to, co mu kazali kumple Cala Omasa. A jego synalek nie jest ani odrobinę lepszy.

Jacen wyglądał na zakłopotanego. Pewnie zdenerwowały go obelgi pod adresem ojca. Ben właśnie tak by zareagował, gdyby chodziło o Luke'a Skywalker'a.

- Powinieneś być skorzystać ze słuchawek, żeby nikt tego nie słyszał - pouczył Bena rycerz Jedi.

- Przecież jesteś sławny. - Ben wyciągnął ku niemu rękę z holozinem. - Chcesz obejrzeć?

Jacen uniósł brew. Chyba się niepokoił tym, jak przebiegnie ich spotkanie z przywódcą Omasem.

- Świetnie, ale nie podoba mi się, że Thrackan Sal-Solo wykorzystuje mnie, aby poniżyć mojego ojca przed całą Korelią - powiedział. - Wiesz, że przekazał tę informację środkom masowego przekazu?

- Tak, naturalnie że wiem - odparł Ben. - Ale jeżeli my się tego nie wstydzimy, jakie to może mieć znaczenie? Zrobiliśmy dla Galaktycznego Sojuszu to, co uważaliśmy za słuszne. Stacja Centerpoint stanowiła dla wszystkich duże zagrożenie.

Jacen odwrócił głowę bardzo powoli i spojrzał na niego. Lekko się uśmiechał, robił tak zawsze, kiedy młodszy kuzyn mu zaimponował.

- Władcy wielu innych planet opowiadają się jednak w tej chwili po stronie Korelii - zauważył. - Jak uważasz, czy takie historie wyrządzają szkodę, czy nie?

Teraz już Ben zawsze się orientował, kiedy go wypróbują. Wiedział, że musi powiedzieć, co naprawdę myśli: nie było sensu udawać sprytniejszego niż jest. Chciał się uczyć od Jacena, a ta chęć prawie go spalała.

- Władcy niektórych planet i tak się opowiedzą przeciwko Sojuszowi, więc równie dobrze możemy wysłać sygnał naszym sprzymierzeńcom, że zabieramy się do działania - powiedział. - Dzięki temu poczują się bezpieczniejsi.

Jacen pokiwał głową z aprobatą i Ben poczuł w mózgu delikatne dotknięcie Mocy, jakby kuzyn

poklepał go lekko po głowie. - Jesteś bardzo bystry - pochwalił. - Moim zdaniem masz rację.

- I tak wszyscy będą wiedzieli, że robisz, co możesz, aby nie dopuścić do wybuchu wojny. - Ben odłożył holozin na stolik i rzucił okiem na pozostałe tytuły. - Ostatnio pokazują cię w nich częściej niż kogokolwiek innego.

Jacen spoważniał i spojrzał w kierunku drzwi gabinetu Cala Omasa, jakby czekał, aż przywódca Galaktycznego Sojuszu ogłosi koniec narady i wyjdzie. Ben starał się zorientować, co zwróciło uwagę starszego kuzyna. Wyczuł całkiem wyraźnie konflikt... Jakby ktoś się z kimś sprzeczał. Jeżeli się wiedziało, jak wyczuwać impulsy Mocy, można było niemal usłyszeć ich głosy. Ben je wyczuwał. Jacen był dobrym nauczycielem.

Młody Skywalker zwrócił uwagę na jego twarz. Kuzyn wyglądał ostatnio o wiele starzej. Czasami można byłoby pomyśleć, że jest niemal równie stary jak tata. - Co się dzieje? - Zapytał.

- Wielka polityka - odparł rycerz Jedi tak cicho, że Ben ledwo go usłyszał.

Przysunął palec do warg dyskretnym gestem, którego nie dostrzegłby nikt inny... Na przykład urzędniczka za biurkiem obok wielkich dwuskrzydłowych drzwi do gabinetu Omasa. Mimo to Ben zrozumiał, co Jacen chce mu przekazać: bądź cicho.

Bardzo by nie chciał zawieść kuzyna. Przywódca Omas nie był kimś obcym... Znał jego ojca, a Ben miał okazję poznać Omasa podczas jednego ze świąt państwowych. Pamiętał tylko to, że czuł się wówczas bardzo mały wśród tłumu wysokich osób dyskutujących o sprawach, których nie rozumiał. Mimo to bardzo chciał, aby go uważano za ucznia Jacena, a nie syna Luke'a Skywalkera, „dziedzica dynastii”, jak nazwał go wtedy jeden z zaproszonych gości. Trudno jest być potomkiem dwojga mistrzów Jedi, których wszyscy uważali za żywe legendy. Ben stracił rachubę, ile razy czuł się niewidzialny.

- Przywódca Omas z pewnością nie każe panu długo czekać, Jedi Solo - odezwała się urzędniczka, wskazując głową na zamknięte drzwi gabinetu. - W tej chwili rozmawia z panią admirał Niathal. Znowu jestem niewidzialny, pomyślał Ben.

Wyprostował się i podobnie jak Jacen zaplótł ręce na podołku. Usiłował policzyć gatunki zwierząt na ogromnym gobelinie, który zajmował część przeciwległej ściany. To, co w pierwszej chwili uznał za zbiorowisko przypadkowych barwnych plam, było w rzeczywistości nakładającymi się na siebie wizerunkami tysięcy stworzeń żyjących w galaktyce... A przynajmniej na planetach wchodzących w skład Galaktycznego Sojuszu. W końcu skrzydła drzwi się rozsunęły i z gabinetu wyszła zirytowana Niathal. Chwilę później na progu pojawił się przywódca Omas z kwaśnym uśmiechem na twarzy. - Witaj, Jacenie - powiedział. - Przykro mi, że kazałem ci czekać. Proszę, wejdz. Witaj, Benie. Cieszę się, że i ciebie tu widzę.

Niathal spojrzała na Jacena, jakby go nie poznawała. Rycerz Jedi powitał ją lekkim skinieniem głowy.

- Witam, pani admirał - rzekł, leciutko się uśmiechając. - Miło panią widzieć.

Niathal odwróciła głowę i obrzuciła go szczerym spojrzeniem... Szczerym jak na Kalamariankę, a więc przedstawicielkę rasy istot, które mają oczy po bokach głowy. Patrzyła bez słowa na obu Jedi.

- Spisał się pan na medal podczas tamtej akcji na terenie stacji Centerpoint - odezwała się w końcu. - Ty także, młody człowieku.

Mam na imię Ben, oburzył się w myślach młody Skywalker. Do tej pory nauczył się jednak tego i owego na temat dyplomacji.

- Dziękuję pani - powiedział.

Omas zaprosił Jacena, żeby wszedł, a Ben posłusznie podążył za rycerzem Jedi. Na szczęście przywódca Galaktycznego Sojuszu nie wygłosił stereotypowej uwagi, że Ben urósł od czasu, kiedy go ostatnio widział. Nie patrzył także ponad jego głowę, ilekroć się zwracał do Jacena, za to spojrzał mu prosto w oczy. Ben poczuł się dumny, ale zarazem trochę wytrącony z równowagi tym, że został potraktowany jak dorosły. Postanowił skupić całą uwagę na omawianych problemach.

Omas nie usiadł naprzeciwko nich po drugiej stronie stołu, ale za biurkiem, jakby chciał się za nim ukryć.

- A zatem co cię do mnie sprowadza, Jacenie? - Zapytał.

- Chciałbym przedstawić panu pewną propozycję - odparł rycerz Jedi.

- Słucham.

- Uszkodzenie stacji Centerpoint pozwoliło nam tylko zyskać trochę czasu w naszym konflikcie z Korelią - zaczął Jacen. - Mamy najwyżej kilka miesięcy, zanim naprawią stację, a wtedy znajdziemy się ponownie w punkcie wyjścia. Tyle że wówczas przyjdzie się nam zmierzyć z bardziej zdeterminowaną Korelią, która będzie miała po swojej stronie więcej sojuszników.

- Czy to ekstrapolacja tego, co mówi ci Moc, Jacenie? - Zainteresował się Omas. - Nie, ale to oczywiste aż do bólu - zachnął się rycerz Jedi.

Ben wyczuł, że Omas się waha przed podjęciem decyzji. Wyglądało to, jakby obaj mężczyźni sprzeczekali się bez słów.

- Mów dalej - zachęcił w końcu przywódca Galaktycznego Sojuszu.

- Te kilka miesięcy to wszystko, co mamy na podjęcie wyprzedzających kroków, zanim nasi prawdziwi przeciwnicy zdążą się zorganizować - podjął Solo. - Korelia, Commenor i Chasin muszą dostać reprimendę... Spektakularną reprimendę, która zniechęci władców pozostałych planet do podejmowania wrogich kroków przeciwko Galaktycznemu Sojuszowi. Musimy także uniemożliwić tamtym planetom udział w wojnie, co oznacza konieczność zniszczenia ich gwiazdnych stocznii.

Ben ucieszył się, że Jacen użył słowa „zniszczenie”. Pierwszy raz zrozumiał, co właściwie oznacza słowo „reprimenda”.

- Taka sama propozycja padła podczas rozmowy, którą właśnie zakończyłem - powiedział z

namysłem Omas.

Sposób, w jaki wypowiedział słowo „rozmowa”, pozwalał się domyślić, że właśnie na ten temat sprzeczał się z panią admirał Niathal. A zatem Kalamarianka, podobnie jak Jacen, także chciała przedsięwziąć niezbędne kroki.

- Daliśmy po łapach Korelii, ale przy okazji zrobiliśmy z niej męczennicę sprawy niepodległości - tłumaczył Jacen. - Uzbrojoną męczennicę sprawy, której nie da się rozstrzygnąć inaczej niż na drodze konfliktu zbrojnego.

- Korelianie jednak zobaczyli, do czego jesteśmy zdolni, dzięki czemu zastanowią się dwa razy, zanim podejmą jakiegokolwiek kroki - zauważył Omas.

- My zaś zobaczyliśmy, do czego oni są zdolni - przypomniał rycerz Jedi. - Ja także zastanowiłem się dobrze, zanim przyszedłem do pana z tą propozycją. Jeżeli mianuje mnie pan dowódcą grupy szturmowej, zniszczę najważniejsze stocznie i nie dopuszczę do wybuchu wojny. Ucierając nosa Korelii, damy wszystkim do zrozumienia, że żadna pojedyncza planeta nie jest większa ani ważniejsza niż Sojusz.

- Prosisz mnie o wypowiedzenie wojny, Jacenie, a na to nigdy nie uzyskam zgody Senatu - oznajmił Omas. - Wiem także, jakie zdanie na ten temat mają członkowie Rady Jedi. - Wojna wkrótce i tak wybuchnie - stwierdził Solo. - Jeżeli ktoś wyciąga broń przeciwko Korelianom, lepiej niech będzie gotowy do jej użycia. Wyciągnęliśmy tę broń, atakując stację Centerpoint.

Omas radził sobie całkiem nieźle z ukrywaniem niepokoju, ale Ben i tak go wyczuwał. Przywódca nie lękał się jednak Jacena... Ogarniała go mniej konkretna, pozbawiona kształtu obawa, że może go porwać bieg wydarzeń.

- Skoro już mowa o Korelianach... Czy tamten atak nie skłócił cię z twoim ojcem? - Zapytał w końcu Omas.

- Może i skłócił - przyznał Jacen. - Jestem jednak Jedi, a tamto jest sprawą osobistą, której nie powinniśmy brać pod uwagę.

- Zastanowię się nad twoją propozycją - zdecydował przywódca.

- Rozumiem, że odpowiedź brzmi „nie”. - Jacen sprawiał wrażenie niezwykle spokojnego. - Mogę powiedzieć panu z pewnością, jaką daje mi Moc, że jeżeli w tej chwili nie zdławimy tego buntu, w ciągu następnych kilku lat stracą życie miliardy istot. Znajdujemy się w krytycznym punkcie; właśnie teraz możemy wybrać porządek albo chaos. Omas zaplótł palce na blacie biurka i wbił w nie udręczone spojrzenie.

- Zgadza się, że mamy bardzo trudną sytuację - przyznał. - To rzeczywiście punkt przełomowy. Uważam jednak, że eskalacja działań zbrojnych popchnie nas w stronę wojny, nie w kierunku zapobieżenia jej wybuchowi. Nie zapomniałem o Imperium, Jacenie. Żyłem w tamtych czasach. Odrzucam ewentualność, że moglibyśmy się stać podobną władzą. Jacen kiwnął głową i wstał, żeby

wyść z gabinetu.

- Dziękuję, że zechciał pan wysłuchać mojej propozycji - powiedział.

Obaj Jedi ruszyli w długą drogę do senackich kuluarów. Przeszli szerokim korytarzem wyłożonym niebieskimi i miodowymi marmurowymi płytkami i zjechali na parter kabiną turbowindy o ścianach tak wypolerowanych, że wyglądały niemal jak bursztynowe lustra. - Czy polityka zawsze tak wygląda? - Zainteresował się Ben. - Dlaczego obaj nie powiedzieliście tego, co naprawdę myślicie? Jacen wybuchnął śmiechem. - Wówczas nie byłoby mowy o polityce, prawda? - Powiedział.

- A dlaczego wszyscy ciągle mówią „nie zapomniałem o Imperium”? Wujek Han twierdzi, że było złe. Przywódca Omas też jest tego zdania. Jeżeli obaj obawiają się tego samego, jak to możliwe, że stoją po przeciwnych stronach?

Rycerz Jedi miał rozbawioną minę. Ben poczuł się zbity z tropu. - Tylko pytałem, Jacenie - zastrzegł pośpiesznie.

- Nie śmieję się z ciebie - odparł Solo. - Miło słyszeć, jak ktoś zapomina o tych bzdurach i zadaje naprawdę rzeczowe pytanie.

- A więc co zamierzasz teraz zrobić?

Jacen wyciągnął komunikator.

- Nadal żadnej odpowiedzi od taty - powiedział. - Muszę najpierw z nim to uzgodnić. Wścieka się z powodu tego, co zaszło na terenie stacji Centerpoint. - Chodziło mi o przywódcę Omasa - uściślił Ben.

- Będziemy cierpliwi - odparł Jacen. - Wkrótce rozwiązanie stanie się oczywiste... Dla nas obu.

- To znaczy dla ciebie i dla Omasa? - Domyślił się młody Skywalker. - Nie, dla mnie i dla ciebie.

Ben ucieszył się, że kuzyn traktuje poważnie jego zdanie. Był bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany zachowywać się nie jak chłopak, ale jak dorosły mężczyzna. Uświadomił sobie, że koniec z dziecinnymi zabawami.

Minęli las kolumn senackich kuluarów i spojrzeli na plac skąpany w blasku przeszywających mgłę promieni słońca.

Przed gmachem Senatu zobaczyli rozciągniętą w nierówną linię grupę liczącą mniej więcej dwieście protestujących osób. Dostępu do budynku broniły dziesiątki funkcjonariuszy Coruskańskiej Służby Bezpieczeństwa, ale wyglądało na to, że demonstracja ma pokojowy przebieg. Wznoszone od czasu do czasu okrzyki w rodzaju: „Korelia nie jest waszą kolonią!” - pozwalały się domyślić tożsamości protestujących osób. Na Coruscant mieszkaly istoty niemal ze wszystkich planet galaktyki, które postanowiły tu pozostać nawet w obliczu nadciągającej wojny. Ben uznał to za dziwne.

Wojny kojarzyły mu się z liniami frontu i odległymi planetami, nie z ludźmi, którzy wyglądali jak on i mieszkali niemal po sąsiedzku.

- Coś mi mówi, że lepiej będzie nie zatrzymywać się i nie zawracać sobie głowy rozdawaniem autografów - powiedział.

Mimo to Jacen przystanął i powiódł spojrzeniem po szeregu demonstrantów.

- Jak myślisz, ilu Korelian mieszka w Galactic City? - Zapytał. Jeden z protestujących włączył holoprojektor i posłał na ścianę gmachu Senatu wielki hologram napisu: „Korelia ma prawo do samoobrony”. - Pięć milionów? Pięć miliardów?

- Czy przypuszczasz, że mogą stanowić zagrożenie? - Zaniepokoił się chłopak.

- Moim zdaniem ta wojna będzie bardzo skomplikowana, bo na Coruscant żyje wielu Korelian - odparł rycerz Jedi. - Nie toczymy jeszcze wojny. Na razie - przypomniał Ben.

- Rzeczywiście władze jeszcze jej nie wypowiedziały - stwierdził Solo. - Postaraj się jednak wyczuć otoczenie.

Ben nie miał równie wrażliwych na Moc zmysłów jak Jacen - opanował tylko niektóre fizyczne umiejętności i początki technik medytacji - ale mimo to zamknął oczy. Poczul w gardle lekkie łaskotanie... Zapowiedź czegoś niebezpiecznego, ale bardzo odległego. Wiejący na placu lekki wiatr przyniósł woń liści. Demonstracja stawała się coraz bardziej hałaśliwa, ale nadal przebiegała pokojowo.

- Wyczuwam zagrożenie, ale jeszcze bardzo daleko. - Ben otworzył oczy, trochę zmartwiony tym, że może udzielił odpowiedzi na niewłaściwe pytanie. - Jakby nadciągała naprawdę paskudna burza. Nic więcej.

- Tak to wygląda - potwierdził rycerz Jedi. - Wyczuwasz echo uczuć miliardów zaniepokojonych, nieszczęśliwych, gotowych do walki ludzi, którzy chcą, żeby sytuacja się ustabilizowała. Ludzi, którzy pragną pokoju, nie wojny.

- Właśnie na tym polega nasze zadanie, prawda? - Zapytał Ben.

- Tak - przyznał Jacen. - Na tym polega nasza praca.

- A ja będę pracował z tobą?

Ben chciałby się co do tego upewnić. Przyswoił sobie pierwszą lekcję tego, co kuzyn nazywał umiejętnością przystosowania się do sytuacji. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Ben był komandosem i bohaterem... Prawdziwym żołnierzem, który pomógł uszkodzić urządzenia stacji Centerpoint, co doprowadziło do wściekłości władze Korelii. Teraz jednak musiał być cicho i odzywać się tylko, kiedy ktoś się do niego zwraca. Musiał wiedzieć, czy Jacen, podobnie jak jego ojciec, wielki mistrz Jedi, zechce traktować go jak dorosłego zawsze, czy też tylko wtedy, kiedy będzie miał na to ochotę.

Na niektórych planetach trzynastoletnich chłopców uważano za prawdziwych mężczyzn. Nie musieli się już martwić, co powiedzą rodzice. Trzynastoletni Mandalorianie przechodzili próby pod nadzorem ojców i stawali się wojownikami. Jedi także szkolili się od dzieciństwa, ale trwało to o wiele dłużej. Ben wiedział, że dopóki nie ukończy dwudziestu kilku lat, nie zostanie rycerzem Jedi.

Wydawało mu się, że dzieli go od tej chwili cała wieczność.

Nagle zaczął zazdrościć mandaloriańskim chłopcom, chociaż prawdopodobnie nigdy nie miał żadnego poznać.

- Tak - odezwał się w końcu Jacen. - Naturalnie, że będziesz pracował ze mną. Nie zawsze będzie ci łatwo, ale dasz sobie radę. Wiem, że sobie poradzisz. Będziemy omawiali tematy, które muszą pozostać tylko między nami, ale tak zawsze się dzieje, ilekroć w grę wchodzi sprawy natury wojskowej. Czy jesteś na to gotów?

Jakby Ben mówił cokolwiek ojcu! Ostatnio głupio mu było rozmawiać na niektóre tematy nawet z matką.

- Masz na myśli panią admirał Niathal? - Zapytał.

Jacen się uśmiechnął. Ben znów odgadł jego myśli.

- Tak, właśnie o nią mi chodziło - powiedział. - Prawdopodobnie zostanie naszą sojuszniczką.

- Rozumiem, Jacenie - stwierdził kuzyn. - Wiem, że to poważna sprawa.

- Bardzo dobrze - przyznał rycerz Jedi. - Właśnie to chciałem usłyszeć.

Ben rozkoszował się jakiś czas aprobatą kuzyna, chociaż wiedział, że nie powinien, kiedy jest mowa o wojnie. Rozumiał już, jak wielką przepaść dzieli ćwiczenia we władaniu świetlnym mieczem - które były właściwie rodzajem zabawy - od używania broni Jedi podczas prawdziwej walki. Ludzie cały czas tracili życie, a wielu miało je stracić w przyszłości. Ben często o tym myślał, kiedy opadało podniecenie po bitwie.

Teraz chciałby się dowiedzieć, co naprawdę stało się z Brishą... Dziwną kobietą, do której od pierwszej chwili nie czuł sympatii, a także z Jedi o imieniu Nelani, z którą wyruszyli na wyprawę. Jacen powiedział mu tylko, że obie zginęły, ale nie podał żadnych szczegółów ani nie udzielił wyjaśnień. A Ben niczego sobie nie przypominał, chociaż był pewny, że jakiś czas spędził w ich towarzystwie.

Czyżby Jacen powiedział o tym mojemu ojcu, ale nie mnie? - Zadał sobie pytanie. Nie dawało mu to spokoju. Złościło go, że nie pamięta ważnych rzeczy, a ta sprawa była chyba ważna i godna zapamiętania.

- Wyczuwam, że coś cię dręczy - odezwał się rycerz Jedi, kiedy zostawili coruskańskich demonstrantów z tyłu i ruszyli w dalszą drogę.

Owszem... Brisha i Nelani, pomyślał Ben, ale doszedł do wniosku, że skoro chce być dorosły, musi umieć decydować, kiedy należy słuchać poleceń. Nie mógł się zachowywać jak dziecko, które niczego nie rozumie. Powinien postępować jak żołnierz, świadom, że nie wszystko musi wiedzieć. - Nic ważnego - powiedział. - Zupełnie nic.

Gabinet ministra Koa Ne, placówka klonująca, Tipoca City, Kamino, dziesięć

standardowych lat po wojnie z Yuuzhan Vongami

- Jest pan umierający - zawyrokował w końcu lekarz.

Boba Fett dostrzegł odbicie mężczyzny w zajmującej całą ścianę tafli transpastali, za którą było widać wzburzone morze. Lekarz, ubrany w jasnobezowy płaszcz, miał szarozółte włosy i popielatą twarz. Na pewno był ciekaw, dlaczego pacjent kazał mu lecieć tak daleko, żeby wykonać jeszcze kilka testów.

Cóż, według mnie potrzebuję opinii medycznej Kaminoan, nie tylko twojej, pomyślał łowca nagród. I mam rację.

Tipoca City było obecnie ponurą ruiną wzniesionego ze skromną elegancją ośrodka, bardzo porządnego jeszcze w czasach jego ojca, - ale kilka pozostałych wież, chociaż częściowo zrujnowanych, nadal zapewniało Bobie bezpieczniejszą przystań, niż kiedykolwiek mógłby znaleźć na Coruscant. Fett wbił spojrzenie w ciemną powierzchnię morza i odczekał kilka sekund, żeby przekonać się, czy na wspornikach nadal gromadzą się aiwhy. W końcu jednak dotarli do niego słowa lekarza. Teraz musiał je przetrwać.

Smakowały znajomo, jak coś nieuniknionego, a jednak czuł je w żołądku niczym bryłę lodu. Z trudem zachował spokojny wyraz twarzy i skierował w stronę lekarza nieruchomą maskę, nieprzeniknioną jak przesłona mandaloriańskiego hełmu.

Doktor Beluine był jedną z kilku zaledwie osób, które widziały Boba bez tej osłony. Na widok jego zniekształconej twarzy lekarze reagowali o wiele spokojniej niż inni ludzie. - Wiem, że jestem umierający - odezwał się w końcu Fett. - Płacę panu za to, żeby mi pan powiedział, co mogę z tym zrobić.

Beluine zawahał się, a Fett zobaczył w transpastalowym iluminatorze, że lekarz zerknął na Koa Ne, kaminońskiego naukowca kierującego placówką klonującą, teraz, kiedy była zaledwie cieniem dawnej świetności. Prawdopodobnie obawiał się powiedzieć zawodowemu zabójcy, że musi umrzeć, a może, jak każdy dobry lekarz, zawieszał głos, zanim wyjawি pacjentowi złą nowinę najłagodniej, jak umie. Fett oderwał spojrzenie od ogromnego okna, wsunął kciuki za pas i uniósł poznaczone bliznami brwi w niemym pytaniu. Beluine zrozumiał jego spojrzenie. - Nic - powiedział. Łatwo się poddajesz, doktoru, pomyślał Fett. - Ile jeszcze zostało mi czasu? - Zapytał.

- Ma pan przed sobą standardowy rok, najwyżej dwa, jeżeli będzie się pan oszczędzał -

odparł Beluine. - Mniej, jeżeli będzie pan prowadził dotychczasowy tryb życia. - Niech pan nie zgaduje - burknął łowca nagród. - Chcę znać suche fakty. Beluine nerwowo zamrugął.

- W podobnych prognozach zawsze istnieje element niepewności, proszę pana - odezwał się w

końcu. - Degeneracja tkanek postępuje u pana w przyspieszonym tempie, nawet w transplantowanej nodze. Ma pan liczne guzy, a lekarstwa już nie poprawiają funkcjonowania pańskiej wątroby. To może mieć coś wspólnego z... Eee... Pańską niezwykłą przeszłością. - Chodzi panu o to, że jestem klonem, prawda? - Zapytał Fett. - Tak. - Rozumiem, że nie jest pan tego pewien.

Beluine - wyszkolony na Coruscant, bardzo drogi, renomowany lekarz - wyglądał, jakby miał ochotę zwać.

- To zrozumiałe, że będzie pan chciał zasięgnąć opinii jeszcze jednej osoby - odezwał się w końcu.

- Znalazłem taką osobę - oznajmił Fett. - Siebie. A w mojej opinii umrę, kiedy będę na to gotów.

- Przykro mi, że przekazałem panu niepomyślne wieści - stwierdził Beluine. - Słyszałem w życiu gorsze.

- Gdybym miał dostęp do wyników laboratoryjnych badań Kaminoan, może...

- Muszę porozmawiać o tym z Koa Ne - przerwał łowca nagród, patrząc na obcą istotę. - Proszę wyprowadzić lekarza.

Kaminoanin uprzejmym, choć równocześnie dość oschłym gestem wskazał drzwi, a lekarz prześlizgnął się między skrzydłami, zanim jeszcze zupełnie się otworzyły. Naprawdę bardzo się spieszył, żeby wyjść. Płyty zamknęły się z cichym sykiem za jego plecami. - A więc gdzie są te wyniki badań? - Zapytał Fett. - Co się stało z Taun We? - Taun We... Odleciała.

No cóż, to dopiero niespodzianka! Fett znał Taun We nie gorzej niż każda inna osoba - a przynajmniej każdy inny człowiek - i wszystko wskazywało na to, że badaczka jest lojalna względem istot swojej rasy. Opiekowała się nim, kiedy był małym chłopcem, a jego ojciec przebywał daleko od Kamino. Fett musiał przyznać, że nawet mu się to podobało. - Kiedy? - Zapytał. - Trzy tygodnie temu. - Dlaczego właśnie wtedy?

- Może powodem była postępująca niestabilność polityczna galaktyki? - A zatem w końcu dała drapak jak wcześniej Ko Sai.

- Przyznaję, że niektóre moje koleżanki wykazywały skłonność... Eee... Do szukania zatrudnienia gdzie indziej.

Kaminoanie nie przepadali za podrózkami. Fett nie przypuszczał żeby czuli się swobodnie w jakimkolwiek innym miejscu niż na ojczystej planecie.

- I zabrała swoje tajemnice? - Zapytał.

Koa Ne wahał się chwilę, zanim odpowiedział.

- Tak - przyznał w końcu. - Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się stało z oryginalnymi wynikami badań Ko Sai.

- Czyli co właściwie zabrała Taun We?

- Oprócz informacji na temat rozwoju sklonowanych istot ludzkich? - Domyślił się Koa Ne. - Mnóstwo mniej istotnych danych.

Kaminoanie stracili opinię najlepszych kloniarzy galaktyki ponad pięćdziesiąt lat wcześniej, kiedy z planety uciekli naukowcy, ale i tak od tamtej pory nikt nie dorównał im pod względem umiejętności. Każdy, kto by zdobył i wykorzystał ich wiedzę, zarobił by krocie... Mógłby za to przyspieszyć rozwój gospodarki całej planety, nie tylko powiększyć stan własnego konta. Gdyby Fett nie był umierający, może by się skusił, żeby wykorzystać taką okazję.

- Nie obawia się pan, że Beluine ma za długi język? - Zapytał Koa Ne.

- Nie dłuższy niż mój zbrojmistrz albo księgowy. - Fett znów spojrział przez iluminator, szukając wzrokiem aiwh. Chciał uporządkować myśli i instynktownie nadać najwyższy priorytet swoim przedsięwzięciom w obecnej sytuacji. - Są opłacani, żeby dochowywali tajemnicy. A zresztą co z tego, jeżeli nawet galaktyk się dowie, że umieram? Już kiedyś uznano mnie za zmarłego. - To stwarza niestabilną sytuację - stwierdził Kaminoanin. - Dla kogo? - Dla Mandalorian. - Przecież i tak nic cię nie obchodzimy, prawda?

Jak wszyscy Kaminoanie, Koa Ne troszczył się wyłącznie o planetę Kamino; było to oczywiste, choć tak bardzo starał się być uprzejmy. Z początku Fett nie był źle nastawiony do Kaminoan ale w miarę upływu lat lubił ich coraz mniej. Podobnie jak on byli najemnikami. Zdarzało mu się wprawdzie otrzymywać honorarium za czyny, o których słuszności nie był przekonany, ale nigdy nie posunął się do hodowania innych istot, żeby za niego walczyły. - Zawsze traktowaliśmy cię ze szczególnym szacunkiem, Boba - przypomniał Kaminoanin.

Łowca nagród nie znosił, kiedy Koa Ne zwracał się do niego po imieniu. Czy wciąż jeszcze macie próbki tkanki mojego ojca? - Pomyślał. Nadal zamierzacie zrobić z nich użytek? Wątpię. Nie dalibyście rady trzymać tak długo genetycznego materiału w stanie nienaruszonym, prawda?

- Nie ma sensu polować na Taun We - powiedział. - Nawet noga, którą dla mnie sklonowała, ulega powolnej degeneracji. Części zapasowe tu nic nie pomogą.

- Ale my moglibyśmy zrobić użytek z tej techniki...

- Wy może tak, ale nie ja - uciął Fett.

- Taun We może ci się jeszcze przydać - zaprotestował Koa Ne. - To bardzo zdolna badaczka.

- Powinniście mnie byli wynająć kilkadziesiąt lat temu, żebym odnalazł Ko Sai - zauważył łowca nagród. - Nie musiałbym teraz wyruszać w pogoń za Taun We. - Mamy powody, aby sądzić, że ktoś już odnalazł Ko Sai oznajmił Kaminoanin. - Wiemy jednak wystarczająco dużo, żeby kontynuować klonowanie bez niej, chociaż straciliśmy wyniki jej badań na temat kontrolowania tempa starzenia się klonów. - Nawet jeżeli ktoś poznał tę tajemnicę, nigdy nie starał się jej sprzedać - zaznaczył Fett. - Kto tak długo trzymałby w ukryciu równie wartościowy towar? Nie znam takiej osoby. Prawdopodobnie Fett potrzebował teraz wyników badań Ko Sai, ale trop ostygł ponad pięćdziesiąt lat wcześniej. Nawet on miałby trudności, żeby ją odnaleźć.

Ktoś jednak na nią trafił. Ko Sai dokądś odleciała. Może pozostały po niej ślady natury finansowej - jak określiliby je księgowy łowcy nagród - po których można byłoby ją odnaleźć? Taun We mogłaby chyba doprowadzić Fetta do wyników jej badań. Może zresztą sama podążyła tym samym szlakiem?

Niewykluczone też, że miała tych samych zleceniodawców; w końcu w galaktyce rzadko się spotykało tak zdolnych kloniarzy.

- Obaj mamy powody, żeby odzyskać jak najwięcej danych i odnaleźć kogo się da - odezwał się Koa Ne. Fett podejrzewał, że gdyby kaminoński minister był istotą ludzką, prawdopodobnie by się uśmiechnął. - Zechce nam pan pomóc?

- Chcesz mnie wykorzystać, dopóki jeszcze żyję, co? - Domyślił się łowca nagród. - Obaj odniesiemy z tego korzyści.

- Korzyści kosztują. - Fett odwrócił się plecami do okna i sięgnął po hełm. - Nie udzielam pomocy za darmo.

Zastanawiał się, czy Koa Ne kiedykolwiek pomyślał o jego ojcu. Nawet jeżeli tak, to wyłącznie dla korzyści, jakie Jango Fett mógłby przynieść kaminońskiej gospodarce. Boba nie powinien czuć się urażony, że inny zawodowiec podchodzi do życia równie cynicznie jak on sam. W tym przypadku chodziło jednak o jego ojca, którego nie mógł traktować tylko w kategoriach kredytów czy korzyści. Wykorzystywanie klonów jego ojca do obrony Kamino przed sklonowaną armią Imperium zawsze go denerwowało. Boba uważał to za czysty wyzysk. Prawdopodobnie jego ojciec potraktowałby to jak nieuniknioną część umowy, ale też byłby w głębi serca oburzony.

Jeden z przyjaciół ojca określał Kaminoan mianem przynęt na aiwhy, pomyślał Boba. Dobrze to pamiętam.

- Możemy zapłacić - odezwał się Koa Ne.

- Zgoda - odparł Fett. - Za żywą czy za martwą?

- Naturalnie, że za żywą - zachnął się Kaminoanin. - Zapłacimy milion, jeżeli sprowadzi ją pan do nas żywą i z wynikami badań.

- Dwa miliony, jeżeli ją tu sprowadzę, i dodatkowy milion za wyniki badań - sprostował łowca nagród. - W sumie trzy miliony.

- To przesada - sprzeciwił się Koa Ne. - Twojemu ojcu wypłacono zaledwie pięć milionów za stworzenie i wyszkolenie całej armii.

- Nie bierzesz pod uwagę inflacji - przypomniał Fett. - Zgadzasz się czy nie?

Wspomnienie ojca pozostawiło w jego umyśle staccato śladów takich, jakie pozostawia kamyk odbijający się od spokojnej powierzchni wody. Te ślady łączyły poprzednio niepowiązane wspomnienia.

Kiedy Kaminoanie ostatnio przypomnieli sobie o jego ojcu, żyły setki tysięcy... A może miliony mężczyzn takich jak on. Dziś nie pozostał przy życiu ani jeden.

Boba założył hełm i pogrążył się w jego bezpiecznym zamknięciu, podobnie jak wcześniej robiło to wiele klonów. Krótką chwilę, dopóki nie zadziałała uszczelka i nie włączyły się urządzenia kontrolujące skład powietrza, smakował ciepło i zapach swojego oddechu. Gdyby tamtych mężczyzn

wykorzystano dla dobra Mandalory, galaktyka mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. To jednak nie był jego problem.

Jeszcze rok życia, przypomniał sobie. Wystarczająco dużo czasu, jeżeli będę umiał najlepiej go wykorzystać.

Nie miał pojęcia, dlaczego ostatnio zaczął ciągle myśleć o tamtej wojnie. Czyżby wiedział, jaką informację przekaże mu Beluine? Tym razem naprawdę umrę, uświadomił sobie.

- Potrzebuje pan tych wyników badań nie mniej niż my - oderwał się w końcu Koa Ne. - Jeden milion.

- Odnajdę te dane - obiecał Fett. - Jeżeli jednak chcecie, żebym je wam oddał, naturalnie z wyjątkiem tych, które będą mi potrzebne, musicie mi zapłacić trzy miliony. - Najbardziej satysfakcjonującym elementem negocjacji była świadomość, kiedy należy przerwać rozmowy. Boba uświadomił sobie, że właśnie nadeszła ta chwila. - Zawodowiec jest wart swojej zapłaty, Koa Ne - podjął po chwili. - Możesz się zgodzić albo nie. Znajdę kogoś innego, kto zapłaci mi o wiele więcej niż wy... Oczywiście z tytułu zwrotu poniesionych wydatków.

- Na co przyda ci się majątek w takiej chwili? - Zapytał Kaminoanin.

Gdyby podobne słowa wypowiedział człowiek, byłoby to okrutnym żartem z umierającego mężczyzny. Kaminoanie nie mieli jednak w sobie dość emocji, żeby żartować. - Na pewno będę umiał zrobić z niego dobry użytek - odparł Fett.

Koa Ne miał rację. Boba nie potrzebował ani kredytów, ani wpływów czy władzy... Zresztą polityka nigdy go nie interesowała. Służył tak wielu politykom i brał udział w tylu machinacjach wymierzonych przeciwko innym politykom, że nawet nie czuł satysfakcji, iż jest *Mand'alorem*, przywódcą społeczności rozproszonych Mandalorian.

A więc dlaczego w ogóle zawracam sobie tym głowę? - Zadał sobie pytanie.

Tak, był przywódcą rozproszonych *Mando'ade*. Na Mandalorze z trudem wiązali koniec z końcem farmerzy, hutnicy i członkowie ich rodzin. W rozrzuconych po reszcie galaktyki diasporach żyli także najemnicy, łowcy nagród i inni Mandalorianie. Trudno byłoby nazwać ich narodem. Boba Fett nie był nawet dla nich mężem stanu w takim sensie, w jakim rozumieli to Coruscianie czy Korelianin. Po zakończeniu wojny z Yuuzhan Vongami miał do dyspozycji zaledwie setkę komandosów, ale wszyscy oni zajmowali się tym, co robili Mandalorianie od wielu pokoleń... - Starali się utrzymać przy życiu w sektorze Mandalory, bronili mandaloriańskich enklaw albo brali udział w wojnach innych nacji. Boba nie miał pojęcia, ilu rozproszonych po galaktyce ludzi wciąż jeszcze uważa się za Mandalorian. Tak czy owak setka wojowników *Mando* stanowiła siłę, z którą każdy powinien się liczyć. Wszyscy Mandalorianie byli w głębi serca nadal wojownikami... Mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta. Wszyscy od dzieciństwa szkolili się do walki.

Za dwa lata, może wcześniej, będę martwy, pomyślał Fett. Mam zaledwie

siedemdziesiąt jeden lat, więc powinienem żyć przynajmniej jeszcze trzydzieści.

- Fett... - Zaczął Koa Ne.

Nie ma mowy.

- Trzy miliony. Jeszcze nie umieram.

- Dwa miliony kredytów, jeżeli odnajdziesz Taun We i sprowadzisz ją do nas - rzucił Kaminoanin. - To moja ostatnia propozycja.

Jestem synem mojego ojca, a śmierć to ryzyko, nie pewność, pomyślał Boba. Nie wtedy, kiedy strach przed nią wykorzystamy do koncentracji.

- Ożywiam wam gospodarkę - przypomniał. Koa Ne mógł się poczuć urażony, ale w przypadku Kaminoan trudno było się zorientować. - Nie znieważaj mnie targowaniem się o drobne.

- Mówisz, jakbyś zupełnie nie był emocjonalnie związany z Taun We - zauważył Koa Ne.

- Interes to interes - stwierdził Fett. - Nawet jeżeli jestem umierający.

- Jeżeli się zgodzisz przyjąć nagrodę, przekazemy ci wszystkie informacje na jej temat - obiecał Kaminoanin.

Gdybyście mieli wystarczająco dużo tych informacji, wcale byście mnie nie potrzebowali, pomyślał łowca nagród.

- Trzy miliony - powtórzył.

- Nie zapominaj, że nawet ty nie dasz sobie sam rady.

- Zawsze mi to mówią - odparł Fett. To właśnie w tym punkcie rezygnował na dobre z dalszych negocjacji. - Kiedy odnajdę Taun We, wystawię na sprzedaż jej informacje, żeby powetować sobie poniesione koszty. Zaczynjcie oszczędzać.

Spodziewał się, że Koa Ne pobiegnie za nim na platformę lądowniczą, jak mieli zwyczaj robić uparci klienci, gdy zaczynali nabierać rozumu, ale kiedy obejrzał się, nie zobaczył nikogo na platformie.

Może naprawdę nie stać go na więcej, pomyślał. Wielka szkoda. To będzie albo moje ostatnie polowanie, albo początek nowej fortuny.

Podobało mu się to zlecenie. Przeczuwał, że ma zupełnie spore szanse. Rok dla łowcy nagród to bardzo długi okres.

Wślizgnął się do kabiny „Niewolnika 1” i opuścił owiewkę. Wydał fortunę, przywracając trzeci raz policyjny patrolowiec do stanu sprawności i dodając modyfikacje, o jakich jego ojciec nigdy nawet nie marzył. Siedząc w fotelu pilota, spoglądał jakiś czas na wzburzony bezkresny ocean. Wyobraził sobie, że znów jest dziewięcioletnim chłopcem, zachwyconym możliwością wyruszenia z ojcem na wyprawę.

Planeta Kamino była kiedyś jego domem. Spędził na niej najlepsze chwile życia. Od tamtej pory nigdy nie był tak szczęśliwy.

Powiadano, że przed oczami umierającego przemykają obrazki z przeszłości. Ludzie gadają jednak, co im ślina na język przyniesie, a on nigdy nie zwracał na to uwagi, jeżeli nie miał w tym interesu.

Przekazał energię do jednostki napędowej i wprowadził „Niewolnika 1” na standardową trajektorię ucieczki. Musiał wpaść na szlak, jaki pozostawiła Taun We. Doszedł w końcu do wniosku, że Koa Ne miał rację. Jaki użytek mógł zrobić z majątku w obecnej sytuacji? Inni mężczyźni pozostawiali imperia albo mieli rodziny, którym ich bogactwo miało zapewnić przyszłość.

Sprawdził wyjątkowo nielegalny i bardzo niezawodny komunikacyjny skaner i nastawił go, żeby znalazł przypadki niezwykłych transakcji akcjami spółek branży bioinżynieryjnej. Taun We miała coś do zaoferowania i zamierzała to sprzedać... A ślady tej transakcji powinny być tak wyraźne, żeby wcześniej czy później dało się je zauważyć. Ciężko westchnął. Interesuje cię tylko „wcześniej”, powiedział sobie. Jeżeli nie odnajdziesz tych wyników badań, nie będzie dla ciebie żadnego „później”.

Nawet jego ojciec chciał od Kaminoan czegoś więcej niż tylko kredytów. Chciał mieć syna.

Miałem kiedyś żonę i córkę, przypomniał sobie Fett. Powinienem być się o nie lepiej troszczyć.

Nie miał czym się pochwalić w życiu poza zawodową reputacją, a Mandalorianin potrzebował czegoś więcej niż tylko reputacji. Sam fakt, że ktoś jest Mandalorem - wszystko jedno, zobojętniałym czy świadomym - nie wystarczało, żeby być głową rodu.

Boba doszedł do wniosku, że czas odnowić stare kontakty. Rozsiadł się wygodniej na fotelu pilota, zdjął hełm i wpatrzył się w swoje odbicie w dziobowym iluminatorze. „Niewolnik 1” leciał zaprogramowanym wcześniej kursem, który miał go doprowadzić na Tarisa.

Fett pomyślał, że nigdy dotąd nie uświadamiał sobie, jak bardzo tęsknił za Kamino.

ROZDZIAŁ 2

Czy to ja?

CZY TO JA?

Czyżbym się łudził, Jaino?

Czyżbym popełniał ten sam błąd co dziadek?

Zdarzają się dni - jest ich większość - że jestem tego pewny jak niczego innego w życiu. A później się zastanawiam podczas bezsennych nocy, czy ścieżka Sithów naprawdę prowadzi do trwałego pokoju w galaktyce, czy też może tylko usiłuje mi to wmówić moje ego. To mnie przeraża. Z drugiej strony jednak... Gdyby motywem mojego postępowania była ambicja, nie odczuwałbym podobnych wątpliwości, prawda? Jaino, nie mogę ci o wszystkim opowiedzieć, przynajmniej na razie. Nie zrozumiałabyś tego. Kiedy jednak w końcu zrozumiesz, i pamiętaj, że jesteś moją siostrą, moim sercem, i że bez względu na wszystko, co może się wydarzyć, jakaś część mnie będzie cię zawsze kochała.

Dobranoc, Jaino.

*SKASOWAĆ * SKASOWAĆ * SKASOWAĆ*

prywatny dziennik Jacena Solo; zapis skasowany

Szlak handlowy kontroli ruchu powietrznego, przestrzeń powietrzna Koronetu, Korelia

Han Solo nigdy się nie przyzwyczaił do lądowania na Korelii ukradkiem, niczym przestępca.

Co innego wymykanie się prawdziwym nieprzyjaciołom, ale powracanie na rodzinną planetę na pokładzie „Sokoła Millenium” pod osłoną fałszywego sygnału z transpondera napełniało jego serce goryczą. Jak każdy Korelianin, Han nie darzył Galaktycznego Sojuszu szczególną sympatią, ale uznanie go za zdrajcę i sługusa Sojuszu naprawdę go zabiło. Teraz rozumiał, jak czuje się uważany przez wszystkich za łajdaka podwójny agent, któremu nie wolno się pochwalić, jakich to bohaterskich wyczynów dokonuje dla dobra swojej ojczyzny. Nie zamierzał także wykorzystywać dyplomatycznego statusu Leii jako kamuflażu. Korelia była jego domem, więc miał prawo wracać na nią, kiedy mu przyjdzie na to ochota. Doszedł do wniosku, że nie wylądować na planecie ukradkiem. Wylądować dyskretnie. Chodziło tylko o to, żeby nie rzucać się w oczy.

Kogo chciał wywieść w pole? Dyskrecja, też mi coś! Kipiąc z gniewu, skręcił „Sokołem” w bok trochę raptowniej, niż zamierzał.

- Musisz nauczyć się medytować - odezwała się Leia.

- Nie podoba mi się dźwięk, jaki wydają systemy chłodzenia - burknął Han.

Chociaż mąż jej o to nie poprosił, księżniczka przesunęła pokrętło zadajnika systemu chłodzenia.

- A zatem czas na remont - oznajmiła. Bezceremonialne traktowanie statku przez męża zmuszało ją do samodzielnego dokonywania zmian niektórych parametrów. Zmiany te miały zwiększyć bezpieczeństwo, ale ich wymowa była jednoznaczna. - Zanim pęknie rurociąg chłodziwa albo tobie jakaś żyła.

- To aż tak oczywiste, hm? - Zagadnął Han.

- Jacen zostawił aż trzy wiadomości.

Han skręcił „Sokołem” ostro na sterburkę, także tym razem trochę zbyt nagle. Przeciążony silnik stabilizatora zaskowyczał na znak protestu.

- Nie mam na tyle trzeźwego umysłu, żeby w tej chwili z nim rozmawiać - stwierdził Solo.

- Doprawdy? - Zapytała żona. - Nigdy przedtem ci to nie przeszkadzało.

- No dobrze, może się odprężę, kiedy zapytam Zekka, jakie ma zamiary względem Jainy.

- To rzeczywiście bardzo by pomogło...

- Bardziej podobał mi się Kyp - ciągnął Han. - Właściwie co się z nim dzieje? A jeżeli już o tym mowa, co się stało z Jagiem?

- Zestrzeliłam go - przypomniała Leia. - Doskonale wiesz, że to zrobiłam.

- Ach, tak. Przypominam sobie - mruknął Solo. - I mówisz, że to ja onieśmielałam jej chłopaków?

- Zestrzeliłeś Jaga, zanim ja zdążyłam wymierzyć w niego laserowe działko, kochanie - stwierdziła żona. - Mam gdzieś listę zastraszonych przez ciebie mężczyzn, którzy mieli nieszczęście coś czuć do naszej córki. Ze wszystkich, których zamierzałaś przepuścić przez maszynkę do mielenia mięsa, pozostał tylko Zekk, więc jeżeli teraz się do niego dobierzesz, będziesz miał komplet.

Han czekał, aż żona poprawi mu samopoczucie kilkoma celnymi i sarkastycznymi uwagami, ale tym razem jej starania nie przynosiły pożądanych rezultatów. Zawsze do tej pory miał jasny obraz sytuacji. Zawsze wiedział, kim są nieprzyjaciele, do których warto byłoby postrzelać: Imperium, Yuuzhan Vongowie i wszystkie inne obce istoty, których cele i zamiary wydawały mu się oczywiste, skoro stanowili zagrożenie dla niego i dla wszystkich, których kochał.

Teraz jednak miał za przeciwników tych samych ludzi, w których obronie toczył kiedyś walkę - najlepszego przyjaciela i własnego syna - a ziomkowie uważali go za nikczemnego pachółka Galaktycznego Sojuszu. Nawet jeżeli Solo wiedział, że ma rację, niełatwo było mu być bohaterem. Nigdy przedtem nie wiedział, jak się czuje osoba uważana za złoćcę.

Hej, to nie ja tym razem nie mam racji, pomyślał. To Sojusz się myli. Odwrócił się do Leii.

- Przepraszam cię, kochanie - powiedział. Nienawidził siebie za to, że czasami wylądowywał wściekłość na żonie. - Nie mogę się pogodzić z tym, co on robi. Nie dostrzega, że historia się powtarza. Nie rozumie, że oto następne wielkie imperium podejmuje decyzje w imieniu galaktyki, bez względu na to, czy jej się to podoba, czy też nie. - Chodzi ci o Luke'a czy o Jacena? - Zainteresowała się Leia. - O obu.

Jakim cudem Luke mógł tego nie zauważyć? Czy naprawdę nie widzi ostrzegawczych sygnałów? Czy nie rozumie, że Sojusz poczyną sobie jak dawniej Imperium? Masz strasznie krótką pamięć, mój drogi, pomyślał ponuro.

- Postaram się porozmawiać z Lukiem, ale ty pogadaj z Jacenem, dobrze? - zaproponowała Leia. - Martwię się o niego.

- Jasna sprawa.

- Obiecujesz?

- Czy mógłbym ci się sprzeciwić, księżniczko?

- Tak - odparła z przekonaniem żona. - Cały czas to robisz.

- Więc teraz ty obiecaj, że ta sprawa nigdy się nie stanie przyczyną sprzeczki między nami.

Leia położyła rękę na jego dłoni, którą trzymał rękojęść dźwigni drażka sterowniczego, i z całej siły ścisnęła. Aż ją zabolalo. Jak zwykle.

- Przeżywaliśmy razem trudniejsze chwile - powiedziała.

- To prawda - przyznał Han.

- Przybędzie nam trochę siwych włosów. - Leia wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Prawdę mówiąc, im więcej masz siwych włosów, tym bardziej mi się podobasz. Han niczego więcej nie potrzebował. Żona zawsze umiała pojednać go z galaktyką. Była ostoją spokoju i zazwyczaj miała rację.

Han zastanawiał się czasami, jak wyglądałoby jego życie, gdyby jej nie spotkał i gdyby nie poznał wcześniej Luke'a. Zostałbym gwiazdowym włóczęgą, starym i zmęczonym, pomyślał. Leia nadawała sens jego życiu. Zapewniała mu energię, której sam nigdy by z siebie nie wykrzesał.

Dała mu także troje dzieci, które stały się jego prawdziwą dumą. A on nie miał zamiaru siedzieć beczynnie, kiedy jego jedyny pozostały przy życiu syn bierze czynny udział w staraniach Sojuszu zapanowania nad galaktyką.

Han zanurkował w kierunku Koronetu, spoglądając na zielone łąki pól, ogrodów publicznych i terenów uprawnych, które tak bardzo różniły krajobraz Korelii od pejzażu Coruscant. Posadził frachtowiec na miejskim lądowisku między wieloma innymi anonimowymi statkami najróżniejszych kształtów i rozmiarów, po czym wyłączył jednostkę napędową. - No dobrze, trzeba przestać rzucać się w oczy - powiedział.

Oboje Solo postanowili każde osobno pokonać odległość do apartamentu, który kilka dni wcześniej dyskretnie wynajęli. Wyglądali jak ludzie w średnim wieku, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego... Ot, dwie anonimowe osoby w miejskim tłumie. Nie musieli korzystać z tajnych przejść ani przebrania. Wystarczało, że będą zachowywać się normalnie, nosić zwyczajne ubrania i mieszkać w

przeciętnym apartamencie. Spróbują wyglądać jak zajęci własnymi sprawami zwykli ludzie, nie jak małżonkowie Solo w samym środku wojny. Szli chodnikiem wysadzonej drzewami ulicy, obojętnie spoglądając na wystawy sklepów i na przechodniów. Han trzymał się dwadzieścia metrów za żoną. Leia wyczuwała go dzięki zmysłom Jedi, ale on musiał ją mieć w zasięgu wzroku, chociaż był przekonany, że żona umiałaby zatroszczyć się o siebie, gdyby zauważył ją ktoś niewłaściwy.

Kto by to mógł być? - Zastanowił się Han. Jeżeli nie liczyć mojego kuzyna, największy kłopot pod względem politycznym mógłbym sprawić moim krewnym. Niebezpieczeństwo zatem właściwie nie istnieje.

Mimo to nie spuszczał z Leii oczu, chociaż od czasu do czasu przestawał widzieć jej kasztanowaty warkocz w morzu ludzi. Zdumiewało go, że on i żona tak po prostu mogą roztopić się w tłumie, ale wyglądało na to, że rozpoznawano tylko gwiazdy z holowideogramów. Nawet przywódca Omas mógłby chyba spacerować po ulicach Koronetu i przechodnie na jego widok pomyśleliby tylko, że już gdzieś widzieli tę twarz. Może to gość, który czyta wieczorny biuletyn informacyjny HoloNetu?

Han wślizgnął się do westybulu apartamentowca i zauważył, że żona już stoi przed szybem turbowindy. W porównaniu z ich apartamentem na Coruscant wynajęte mieszkanie wyglądało bardzo skromnie, ale Han doszedł do wniosku, że mu to odpowiada. - Co najpierw zrobisz, kiedy już się tam znajdziemy? - Zapytała Leia, kiedy weszli do kabiny turbowindy. - Skontaktuję się z Jacenem - odparł Han. - To dobrze. Szybko się uczysz - stwierdziła księżniczka. - Tylko na niego nie krzycz, dobrze?

Drzwi kabiny otworzyły się na pięćdziesiątym piątym piętrze i oboje Solo ruszyli korytarzem wyłożonym beżowym dywanem, na którym widniało kilka ciemnych plam. Leia pokonała odległość do drzwi wynajętego apartamentu w trzech długich susach; zatrzymała się jakiś metr przed drzwiami i wyciągnęła lewą rękę, żeby powstrzymać Hana. Drugą rękę wsunęła między fałdy tuniki i wyciągnęła rękojeść świetlnego miecza. Han od razu sięgnął po blaster.

- Coś usłyszałaś? - Szepnął, wyraźnie zdezorientowany.

Skradając się na palcach, podeszli do drzwi apartamentu.

- Nie, ale wyczułam - odparła szeptem Leia.

- Zagrożenie?

- Po prostu coś jest nie w porządku.

Stanęli po obu stronach drzwi i spojrzeli po sobie. Kto wie, że tu jesteśmy? - Zastanowili się. Leia przesunęła palcami wzdłuż futryny drzwi, ale jej nie dotknęła. Pokręciła głową.

- W środku nikogo nie ma - oznajmiła.

- Odsuń się na bok.

- Ale ktoś tu był...

- Zastawił pułapkę? - Domyślił się Han.

- Nie wyczuwam bezpośredniego zagrożenia - odparła żona.

- Odnoszę wrażenie, że ten ktoś tylko postać przed drzwiami. I był bardzo zdenerwowany.

Han odbezpieczył blaster i musnął palcami płytę czołową kontrolnego panelu na ścianie.

- Może wiedział, jak ciepło witamy nieproszonych gości? - Zapytał.

Płyta drzwi ukryła się w ścianie i małżonkowie stanęli na progu. Apartament wyglądał dokładnie tak, jak pozostawili go kilka dni wcześniej. Z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy oprócz szmeru pracy klimatyzatora. Leia spojrzała pod nogi i pochyliła się, żeby podnieść coś z dywanu.

- Jakie to miłe - powiedziała, obejrzała dokładnie podniesiony przedmiot, po czym podała go mężowi. - Nie ma to jak radosny powrót na łono dawno niewidzianej rodziny. Han spojrział na arkusik flimsiplastu. Ktoś prawdopodobnie wsunął go przez szczelinę pod drzwiami, co wymagało czasu i umiejętności. Niezwykły sposób przekazania wiadomości sugerował, że nieznajomy nie chciał zostawiać elektronicznych śladów. Nagryzmolił tylko kilka słów na arkusiku - pogniecionym, co mogło oznaczać, że wsuwał go pod drzwi na siłę. Han przeczytał:

„W odwecie za to, czego wasz syn dokonał na terenie stacji Centerpoint, Sal-Solo wyznaczył za wasze głowy nagrodę. Skontaktujcie się ze mną. Gejjen". Leia uniosła brew.

- Czy twój krewniak groził wcześniej otwarcie, że cię zabije? - Zapytała. - Przypadkowe akty przemocy się nie liczą.

Żona zawsze traktowała poważne problemy z humorem. Han wiedział, że im bardziej beztroska się wydaje, tym bardziej jest zmartwiona. Musi ją uspokoić i pocieszyć. Gardzi kuzynem i powinien go unikać, ale nie zamierza się go bać.

- Thrackan nie ma na to dość ikry, księżniczko - powiedział. - Jest mocny tylko w gębie. - Mimo to czuł ucisk w żołądku. Nie żeby przejmował się perspektywą zagrożenia życia; z tym by sobie poradził. Jego niepokój wynikał ze świadomości, że ktoś ich śledził, a on nie wiedział kto, gdzie i kiedy. - A ja nie znam gościa o nazwisku Gejjen.

- No to skąd on wie, że tu jesteśmy? - Leia wyjęła wymięty arkusik flimsiplastu z jego palców i wygładziła go dłonią, jakby starała się wyczuć echa osoby, która napisała to ostrzeżenie. Oboje Solo mieli zmienione nazwiska i nowe karty identyfikacyjne. Nie zabrali żadnych automatów, żadnych Noghrich... - Na pewno nie pamiętasz tego nazwiska? - A powinienem?

- Może nie - odparła Leia. - Znałam kiedyś mężczyznę, który nazywał się Nov Gejjen i aktywnie występował przeciwko Lidze Istot Ludzkich. Nie znosił Sala-Solo. - Mówiła o Thrackanie jak o zupełnie obcej osobie. Była wzruszająco delikatna. - Na pewno od dawna nie żyje. - Miał dzieci? - Zainteresował się mąż.

- Nie mam pojęcia, ale chyba powinniśmy się tego dowiedzieć - przyznała księżniczka. - Gejjen nie zostawił informacji, jak się z nim skontaktować, więc pewnie sądzi, że jedno z nas będzie wiedziało, jak go znaleźć.

- Jego albo ją - zauważył Solo.

- No dobrze, jego albo ją - stwierdziła Leia. - Pogadaj z Jacenem, a ja postaram się dowiedzieć czegoś więcej.

A życie było kiedyś takie proste. Han tęsknił za tymi czasami. Otworzył i włączył komunikator, po

czym wpisał kod, żeby nie zdradzić miejsca wysyłania sygnału, chociaż nie na wiele mogło mu to się przydać. Czekał teraz, aż Jacen odbierze.

Jeszcze jedna nagroda za moją głowę, pomyślał. Już myślałem, że skończyłem z Thrackanem, tymczasem ten gość nie daje mi spokoju.

Czasami niemal tęsknił za Bobą Fettem. Łowca nagród przynajmniej nie był członkiem rodziny, który żywił do niego urazę. Nie traktował zleceń jak okazji do wyrównania rachunków, lecz jak możliwość zarobku. Ale to Thrackan wynajął Fetta. Han był tego prawie pewny.

Apartament rodziny Skywalkerów, Coruscant

Tajemniczy człowiek w płaszczu z kapturem nie dawał Luke'owi spokoju.

Wizerunek mężczyzny - okutanego w płaszcz, zakapturzonego, anonimowego i żywiącego złe zamiary - nawiedzał go w snach coraz częściej, i to nie jak normalny nocny koszmar. To była klarowna wizja Mocy, jeszcze gorsza niż koszmary. Mogła się stać rzeczywistością, jeżeli już się nią nie stała.

Mistrz Jedi nie widział jeszcze twarzy mężczyzny. W swoich snach ścigał go, żeby ściągnąć mu kaptur z głowy, ale zawsze się budził w chwili, kiedy zaciskał palce na materiale. Wyczuwał, że tkanina jest delikatna, coś w rodzaju wełny bantha.

Teraz też zacisnął palce. Owinięty w płaszcz mężczyzna rozwiął się jak dym i Luke się obudził. Serce mu waliło; zmagał się z ogarniającą go desperacją i gniewem na samego siebie, że dotąd nie zdołał zobaczyć tego, co miał wystarczająco blisko, aby mógł dotknąć. Doszedł do wniosku, że już nie zaśnie, więc wstał, najciszej jak umiał, aby nie obudzić Mary. Korzystając z wpadającego przez okno blasku Galactic City - dzielnicy, która chyba nigdy nie zasypiała - a także ze zmysłów Jedi, nie musiał zapalać światła, żeby nalać sobie szklankę wody.

Na pulpicie komunikatora czekały na niego wiadomości pozostawione przez Threepia, który informował go, że pani Leia i pan Han miewają się dobrze, a Noghri stają się coraz bardziej niespokojni z powodu rozłąki z nimi. Protokolarny android upewniał się także, czy automaty muszą pozostawać w apartamencie rodziny Solo na Coruscant, jeżeli mogą być potrzebne... Gdzie indziej.

Luke lekko się uśmiechnął, co ostatnio przychodziło mu z coraz większym trudem. Od dawna podejrzewał, że automaty mają cechy daleko wykraczające poza oprogramowanie. C3PO był zirytowany i zaniepokojony zupełnie jak każdy krewny, który troszczy się o los członków rodziny. Mistrz Jedi zawsze odczuwał wewnętrzny sprzeciw, ilekroć ktoś mu tłumaczył, że to „tylko android”.

- Niestety, mój przyjacielu - powiedział na głos. - Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują Solo, jest wielki złocisty android, który obwieszczałby wszystkim, gdzie się znajdują. Nikt mu nie powiedział, że przebywają na Korelii, ale trudno byłoby nie wyczuć w Mocy obecności właśnie tam siostry i

najlepszego przyjaciela. Luke życzył im spokoju. Wiedział, jak trudno o taki stan ducha, kiedy linia frontu przebiega przez środek twojej własnej rodziny. Cały czas miał złe przeczucia co do wpływu, jaki Jacen wywiera na Bena. Wynikiem tego mogły być niebawem jawne spory.

Popijając wodę, obserwował przemieszczanie się świateł za iluminatorem. Właściwie rozumiał, dlaczego zachowanie Jacena budzi jego niepokój: siostrzeniec zapuszczał się na niebezpieczny szlak i wykorzystywał Moc w niezwykły sposób. Miałby jednak trudności z rozpoznaniem objawów o wiele głębszego niepokoj. Krótko mówiąc, obawiał się o Jacena. Może zakapturzony mężczyzna to ktoś, kto kiedyś mu zagrozi albo będzie się starał go zniszczyć? Bez względu na to, skąd mroczna zjawia pochodziła, zwiastowała zagrożenie... Może nie gwałtownie, jak człowiek z bronią, za to o wiele szersze, obejmujące wszystkie dziedziny życia.

Luke starał się unikać słów w rodzaju „zło”, ale właśnie to słowo najlepiej oddawało charakter tego zagrożenia.

Może to zapowiedź wojny? - Pomyślał mistrz Jedi. No cóż, nie potrzebuję wizji Mocy, żeby mnie przed nią ostrzegała. Nikt jej nie potrzebuje.

Wyczuł, że Mara podchodzi do niego z tyłu. Stała na progu i dotknęła go ciepłą dłonią.

- Trzeba było zrobić dla nas po filiżance kafeiny - powiedziała. Jeżeli nie zamierzamy dłużej spać, postawiłaby nas na nogi. - Pomyślałabyś, że takie sytuacje to dla mnie coś normalnego.

Mara przygładziła włosy jedną ręką, a drugą nastawiła domowy dystrybutor kafeiny.

- Polityka? - Zapytała. - To zawsze kłopotliwa sprawa... Zwłaszcza kiedy wplątana w nią jest własna rodzina.

- Najbardziej martwię się o Bena - wyznał mistrz Jedi.

- Spisał się doskonale podczas akcji na Centerpoint - przypomniała Mara.

- Ale ma dopiero trzynaście lat - odparł Luke. - To prawda, pozwoliłem mu lecieć, ale jest wciąż jeszcze dzieckiem. Naszym dzieckiem.

- A ile ty miałeś lat, kiedy rzuciłeś się głową naprzód w objęcia Rebelii? - Zapytała żona. - Nie byłeś o wiele starszy...

- Miałem osiemnaście lat - stwierdził Luke.

- Jasne, byłeś prawie weteranem. - Mara mrugnęła porozumiewawczo i mistrz Jedi ujrzał w pamięci ponurą, bezlitosną dziewczynę, którą była, kiedy ją poznał. Doszedł do wniosku, że przez ostatnich kilka lat, odkąd życie stało się dla niej łaskawsze, żona ogromnie wypiękniała. - Kochanie, Jacen troszczy się o niego. Ben nie mógłby mieć lepszego nauczyciela - dodała żona. - Tak... - Mruknął bez przekonania Luke. - No dobrze, wiem, że masz na ten temat inne zdanie.

- Na pewno rozumiesz, co czuję - stwierdził Luke. - Jacen mnie niepokoi. Nigdy przedtem tego nie odczuwałem. Nie mogę przejść nad tym do porządku.

Jego żona przestała się uśmiechać.

- A ja odczuwam coś zupełnie innego - oznajmiła.

- Nic na to nie poradzę.

Mara spojrzała na niego, jakby chciała mu się odciąć, ale tylko pokiwała głową. Musiała się zastanowić nad doborem właściwych słów.

- Ja także wyczuwam w Mocy coś niepokojącego, ale mam na ten temat pewną teorię - powiedziała tylko.

- Zamieniam się w słuch - mruknął Luke.

Mara nie odpowiedziała od razu. Wbiła wzrok w dywan.

- Moim zdaniem Jacen jest zakochany i to uczucie go gnębi - stwierdziła w końcu. - Jacen?

Zakochany? - Zachnął się mistrz Jedi. - Daj spokój...

- Uwierz mi - przerwała żona. - Wyczuwałam coś takiego u osoby, którą kiedyś ścigałam, i wtedy także doszłam do błędnego wniosku. Czasami zakochani ludzie mają bardzo mroczną aurę... Bo często miłości towarzyszą gniew i desperacja.

- Jacen jest Jedi - oznajmił Luke. - Umie panować nad takimi emocjami.

- My też jesteśmy Jedi - przypomniała Mara. - Pobraliśmy się, więc według ciebie zapanowaliśmy nad „takimi emocjami”, tak?

Luke bardzo chciałby jej wierzyć. Mara była naprawdę mądra. Nigdy by nie przeżyła, pełniąc funkcję Ręki Imperatora, gdyby nie była wyczulona na niebezpieczeństwa i nie umiała panować nad emocjami, które rozpraszały jej uwagę. Musiała umieć odbierać rzeczy takimi, jakie są, a nie, jakimi według niej powinny być. - Chcesz wiedzieć, co widzę? - Zapytała łagodniejszym tonem.

- Widzę Bena, który wreszcie pogodził się ze swoją władzą nad Mocą i nie ma do nas żalu za to, że zrobiliśmy z niego Jedi. Nie umieliśmy mu pomóc w pozbyciu się zahamowań, ale Jacenowi udało się ta sztuka. Powinniśmy być mu za to wdzięczni.

- Jacen igra z własnymi zdolnościami - sprzeciwił się Luke. Usiłuje ujrzeć siebie w różnych wariantach przyszłości. Nie mów mi, że to cię nie martwi. Nie chcę, żeby Ben się tego nauczył. Czy naprawdę wiemy, jakie umiejętności zdobył Jacen, kiedy go tu nie było? Zmienił się, Maro. Czuję to.

Żona podała mu filiżankę z kafeiną i pogładziła go po włosach, ale Luke wyczuwał, że między nimi powstaje przepaść. Wyglądało to, jakby żona miała się przed nim na bacności albo nie chciała go zdenerwować.

- Jacen także dorósł - zaczęła Mara. - Kroczy po prostu inną ścieżką jako Jedi. Nie znamy wszystkich odpowiedzi na swoje pytania.

- Dobrze wiesz, że chodzi o coś więcej - odparł mistrz Jedi.

- Miewam sny, w których widzę, że coś nam zagraża.

- Naprawdę przypuszczasz, że Benowi coś grozi?

- Wyczuwam, że coś zagraża Jacenowi - stwierdził w zamyśleniu Luke. - Nie chcę, żeby Ben został w

to uwikłany razem z nim.

- Przyszłość nie jest zdeterminowana.

- Ale może być, kiedy Jacen zacznie przy niej manipulować.

- Nie kłóćmy się o to - zaproponowała Mara.

- Chciałbym, żebyśmy poszukali innego nauczyciela dla Bena.

- Jakoś nie zauważyłam, żeby ustawiała się kolejka chętnych na tę posadę.

Żona starała się bronić Jacena, ale Luke nie wyczuwał u niej niezłomnej pewności siebie. Odstawił na bok filiżankę z kafeiną, przyciągnął Marę do siebie i spojrzał jej w oczy. Z ich kącików rozchodziły się zmarszczki, a w okalającej twarz gęstwinie płomiennorudych włosów widniały siwe pasma. Mimo to żona była zawsze dla niego ideałem urody. Była jego opoką, jego miłością. A jednak bardzo się myliła. - Nie mogę przejść nad tym do porządku - powtórzył.

- Ach, tak? - Luke wyczuł, że żona napięła mięśnie ramion. - Proszę bardzo, leć i zawróć Bena z drogi, na której zaczyna nabierać wiary w swoje siły. I co z tego, że Jacen studiował dziwne doktryny i obcował z robalami? Oboje zapuściliśmy się na Ciemną Stronę i oboje przez to przeszliśmy.

- A więc i ty wyczuwasz Ciemną Stronę? - Podchwycił mistrz Jedi.

- Nie, wyczuwam tylko, że Jacen zdobywa umiejętności przekraczające wszystko, czego się nauczyłam. Jest dobry dla Bena i wiem, że nigdy by go nie skrzywdził. - Mara wyslizgnęła się z objęć męża, a Luke wyczuł, że żona zamyka przed nim umysł. Na pewno nie chciała, żeby ich rozmowa przerodziła się w kłótnię, z której żadne nie wyszłoby zwycięsko. - Wywiera na niego zbawienny wpływ. Gdyby nie on, mielibyśmy niezwykle silnego Mocą kilkunastoletniego syna, który nas nie słucha. To dopiero byłoby niebezpieczne. Miała rację. Luke doszedł do wniosku, że musi jej to powiedzieć. - Wcale w to nie wątpię - stwierdził. - Ale... - Podsunęła mistrzyni Jedi. - Nie powiedziałem tego słowa - zachnął się Luke. - A ja je wyczułam - odparła Mara.

- ...Ale zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym nie starał się dowiedzieć, kim jest osoba z moich snów - dokończył mistrz Jedi.

Mara zacisnęła wargi, spojrzała w bok i z wysiłkiem się uśmiechnęła. Wiedziała, że nie da rady odwieść męża od tego, co postanowił. Luke rzeczywiście miał taki zamiar. Jego sny stawały się zbyt niepokojące i natarczywe, żeby je mógł lekceważyć, nawet jeżeli miałoby to doprowadzić do spięć z żoną. Mara podejrzewała, że sama w końcu przyzna mu rację. Gdyby zignorowała jego przeczucia, konsekwencje mogły być o wiele gorsze niż kilka cichych śniadań i chmurnych spojrzeń. Uśmiechnęła się szerzej, kiedy sobie to uświadomiła.

- Wracam do łóżka i spróbuję zasnąć - oznajmiła. - Ty także powinieneś. - Dopiję kafeinę - odparł Luke. - Dołączę trochę później.

Sięgnął po odstawioną filiżankę, ale nie spieszył się z dokończeniem napoju. Usiadł i znów spojrzał przez okno. Skupił uwagę na jaskrawozielonym blasku odległego, podświetlonego znaku, aby uzyskać pewność, że tylko medytuje, nie śni. Uwolnił myśli i próbował je wysłać do zakapturzonego mężczyzny, aby go zmusić do odsłonięcia twarzy. Migotliwe zielone światło wypełniło jego pole

widzenia. Luke widział w nim jakieś kształty. Wyczuwał coś znajomego, chociaż niewyraźnego, nie rozpoznawał tego, a postać w płaszczu z kapturem nie chciała mu się ukazać.

Zaczynało się rozwidniać. Niedługo wieże i iglice Coruscant miały się pojawić na tle różowawobursztynowego nieba i wschodzącego słońca.

Ze wszystkich przerażających rzeczy, jakie nawiedzały Luke'a w tym snach i wizjach, najbardziej go prześladowało wrażenie, że to coś znajomego.

Wyczuwał już coś podobnego w przeszłości.

Kłopot w tym, że nie potrafił tego z niczym skojarzyć.

Osobisty apartament Jacena Solo, Coruscant

Żałuję, że cię tu nie ma, pomyślał Jacen. Umiał uwalniać myśl i dotykać nimi Tenel Ka dzięki Mocy.

Dałby teraz niemal wszystko, żeby znów zobaczyć ją i swoją córeczkę Allanę. Zamknął oczy i ujrzał Tenel Ka, uśmiechającą się i kołyszącą niemowlę jak w chwili, kiedy pierwszy raz ją opuścił. Pozwolił, żeby jego obecność rozprzestrzeniła się i delikatnie stopiła z jej obecnością. Wyczuł ciepło rozchodzące się po klatce piersiowej. Tenel Ka także je wyczuła i odpowiedziała na dotyk jego myśli.

Niemowlę? Allana miała już cztery latka, była małą dziewczynką, która umie chodzić i mówić. Ilekroć Jacen wymykał się, żeby ją zobaczyć, była coraz wyższa. Czy wypytywała o swojego ojca? Raczej nie. Była hapańską księżniczką, którą od najmłodszych lat szkolono, żeby się nie interesowała swoim pochodzeniem. Ile miała wzrostu? Czy uświadamiała sobie swoją władzę nad Mocą? Jacena prześladowało mnóstwo pytań, których nie zadałby żaden ojciec widujący codziennie swoją córkę.

Nie biorę udziału w jej życiu, pomyślał. Nie widzę, jak dorasta. Nie mam nawet jej hologramu.

Uwalnianie i wysyłanie myśli przychodziło mu o wiele łatwiej, kiedy lewitował ze skrzyżowanymi nogami i rękami na podołku. Jego skupienia nie rozpraszała wtedy świadomość fizycznego kontaktu ciała z oparciem fotela czy dłoni z tapicerką. Dzięki temu mógł się skupić bez reszty na wyczuwaniu przyływów i odpływów Mocy wokół siebie oraz w samym sobie.

Nie pozwolił, żeby ciepło jego uczucia posłużyło jako sygnał namiarowy dla... Na razie jeszcze nie był pewny, dla kogo. Tenel Ka powinna zrozumieć, że w takich czasach Jacen musi zachowywać dyskrecję nawet w Mocy. Przywołał myśli do siebie i powrócił do rzeczywistości. Czuł się, jakby to było ostateczne pożegnanie.

Nie był pewny, ile potrafi odkryć Lumiya, ale musiał chronić tajemnicę swojej rodziny.

Najbardziej by jednak pragnął, żeby u jego boku pojawił się Anakin Skywalker. Jacen nigdy go nie

poznał, ale dziadek był kiedyś w tej samej sytuacji, co teraz młody Solo - wahał się, czy zostać Sithem.

Wiedział, że po przekroczeniu tej granicy nie będzie odwrotu. Tym razem nie chodziło o badania wędrówki po śladach mnichów Aing-Tii ani o inne skomplikowane właściwości Mocy, z której usług mógłby korzystać albo rezygnować, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Teraz musiałyby przyjąć wszystko, co nauczono go odrzucać. A przecież Lumiya wykazała mu, że to jest prawdziwe, nieuniknione i konieczne. Nie mógł nie uwierzyć w to, co mu mówiła.

Tylko czy powinienem wierzyć samej Lumiya? - Zadał sobie pytanie.

Była obdarzona wieloma talentami. Jacen osłupiał na widok iluzji Mocy w jaskiniach jej asteroidy. Lumiya mogła być naprawdę uczennicą Sithów. Starła się mu udowodnić, że historia galaktyki jest napisaną pod dyktando Jedi jednostronną opowieścią. Z drugiej strony Jacen mógł mieć do czynienia ze sprytną, knującą podstępne plany i nieskończenie cierpliwą kobietą, która widziała w nim człowieka przydatnego do realizacji własnych zamiarów. Mówiła jednak prawdę, kiedy stwierdziła, że ścieżka Sithów może być sposobem na utrzymanie ładu i pokoju, jeżeli krocząca tą ścieżką osoba okaże się altruistą, pomyślał Jacen. Czuję, że to prawda. Wiem to... Chociaż wolałbym nie wiedzieć. Czy mówiąc to, miała na myśli mnie?

Od tamtej pory rycerz Jedi analizował cały czas serce i duszę, czy nie wykryje w nich najmniejszej sugestii, że kieruje nim ambicja. Wyczuwał jednak tylko skrupuły i przerażenie.

Nie chciał dźwigać tego brzemienia.

Właśnie dlatego ci je dano, pomyślał ponuro.

Powoli opadł, usiadł normalnie i kilkakrotnie głęboko odetchnął, aż poczuł się gotów na spotkanie z codziennym światem. Gdyby jednak mógł wybierać, czy spędzić czas w towarzystwie Tenel Ka, czy też odbyć krótką rozmowę z Anakinem Skywalkerem, bez wahania wybrałby to drugie.

Wystarczyłoby mu kilka minut, żeby zadać jedno pytanie: „Czy podobnie jak ja miałeś wątpliwości i obawy, zanim przekroczyłeś tę granicę?” Ty także kogoś potajemnie kochałeś, prawda?

Jacen, który niechętnie pogodził się ze swoim losem, ostatnio coraz częściej się zastanawiał, czy przypadkiem nie wpada w tę samą pułapkę, co dziadek. Musiał wiedzieć, czym różni się jego sytuacja; w końcu dwa pokolenia wcześniej Anakin Skywalker o mało nie doprowadził do katastrofy w galaktyce. Jacen musiał być absolutnie pewny, że nie popełni tego samego błędu.

Wiele innych istot w historii galaktyki uważało, że są zrodzone do zaprowadzenia porządku, jako wybrańcy tej czy innej społeczności. Wszyscy przed nim się mylili. Jacen nigdy o tym nie zapomniał.

On się zastanawiał, ale wydarzenia nie czekały, aż się zdecyduje. Wszystko wskazywało na to, że wojna jest coraz bliżej. Jacen doszedł do wniosku, że musi o tym porozmawiać z panią admirał Niathal. Kalamarianka była nieprzejednana i uparta; stanowiła żywy dowód, że nie powinno się sądzić wszystkich istot danej rasy na podstawie stereotypów. Kalamarianie uchodzili za istoty miłujące pokój, ale dali przecież galaktyce wielu walecznych oficerów Marynarki.

Nie można było jednak marzyć o pokoju bez zachowania gotowości do wojny. Wszędzie, dokąd

Jacen spojrział, widział dowody, że Lumiya mówiła prawdę. Dla kogoś uczciwego ścieżka Sithów nie było ani zła, ani niebezpieczna. Rycerz Jedi nie był tylko pewny, czy sama Lumiya jest uczciwa. No i musiał się upewnić co do własnej uczciwości.

Ben nadal spał w sąsiedniej sypialni. Chłopak szybko dorastał i Jacen widział już w nim mężczyznę, którym kuzyn miał się kiedyś stać... Silnego, ale zrównoważonego i zdolnego do panowania nad swoimi emocjami. Tego dnia Jacen musiał jednak sam załatwić pewną sprawę. Wezwał powietrzną taksówkę i kazał obrać kurs na gmach Senatu. Wysiadł z kabiny. Na placu jedne grupki ludzi wchodziły do gmachu zwieńczonego ogromną kopułą, a inne z niego wychodziły. Senaccy delegaci nie przejmowali się oficjalnymi godzinami urzędowania, więc gmach tętnił życiem całą dobę. Zawsze akurat obradował jakiś komitet albo ktoś załatwiał swoją sprawę. Kalamarianie zaczęli dzień bardzo wcześnie, a Jacen zamierzał niby przypadkiem natknąć się na panią admirał. Nie chciał się z nią umawiać na oficjalne spotkanie, bo wolał nie zwracać na siebie uwagi. Mógł to zrobić bez trudu.

Wiedział, gdzie znajdzie Niathal. Kiedy ją widział poprzedniego dnia, odniósł wrażenie dzięki Mocy, że pani admirał bardzo chce z nim porozmawiać. Zależało jej na stanowisku Omasa, ale przedtem musiała zostać naczelną dowódcą sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu. Admirał Pellaeon, którego niedawno mianowano na to stanowisko, był wojskowym weteranem w świecie polityków i na razie nie zamierzał się zrzekać swojej funkcji. Nic dziwnego, że Niathal chciała porozmawiać z Jacenem. Na pewno się dowiedziała, że młody Solo ma zamiar podjąć zdecydowane kroki dla rozwiązania obecnej sytuacji.

Rycerz Jedi wyczuwał już Kalamariankę. Kiedy się znalazł w budynku, przeszedł przez wyłożone marmurowymi płytkami korytarze publiczne, aż dotarł do dostępnej tylko dla osób akredytowanych części gmachu o posadzkach wyściełanych dywanami i skierował się do miejsca, w którym przebywała.

Czy knuję jakieś intrygi? - Zastanowił się. Nie. Muszę tylko wiedzieć, na kim mogę polegać, jeżeli będę potrzebował pomocy.

Nie musiał wpływać na Niathal, żeby go poparła. Odszukał gabinety, w których gromadzili się Kalamarianie, i usiadł na obitej tapicerką ławie w korytarzu, którym wcześniej czy później musiała przechodzić. Wbił spojrzenie w zamknięte drzwi.

Pani oficer Marynarki uwiązana do biurka, pomyślał. Nic dziwnego, że jest sfrustrowana. Zastanowił się, jak dałaby sobie radę, gdyby jej życzenie miało się spełnić i naprawdę by zastąpiła Omasa na stanowisku przywódcy Galaktycznego Sojuszu. Mimo wszystko polityka była źródłem największych frustracji.

Czekając, zaczął rozmyślać o Lumiyi. Ben zapytał go kiedyś, czy powie Luke'owi o Brishy i Nelani. Jacen wyobraził sobie, jak przekazuje tę informację mistrzowi Jedi: „Cześć, wujku, Lumiya wróciła. Myślę, że chciałbyś to wiedzieć... Przez wzgląd na dawne dzieje”. Nie, na razie nie mógł się z nim podzielić tą nowiną.

Wyczuwał w Mocy otaczające Niathal zmarszczki sprzeciwu i niezgody, ale waleczna Kalamarianka

nie dawała się zbić z tropu. Chwilami, kiedy jej emocje wzbierały i opadały, Jacen niemal ją widział, podobną do ducha o zmiennych kolorach i kształtach: Niathal była uosobieniem pewności siebie. Jacen także chciałby mieć taką pewność.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i gwar stłumionych głosów. Na korytarzu pojawiła się pani admirał. Miała na sobie regulaminowy biały mundur i od razu zauważyła Jacena. Nic dziwnego, skoro siedział naprzeciwko drzwi jej gabinetu. Nie mogła go minąć bez słowa. Rycerz Jedi wstał.

Nie będę się posługiwał Mocą, pomyślał. Przekonajmy się, dokąd mnie to zaprowadzi. - Witaj, Jedi Solo - odezwała się Kalamarianka, zerkając na niego jednym okiem. Jacen wyczuł jej ostrożność. - Jaki interes cię tu sprowadza? - Przypadkiem znalazłem się w pobliżu - odparł Jacen.

- Chciałabym poznać twoją opinię na temat akcji na Centerpoint - oznajmiła Niathal. - Bardzo by mi się przydała.

Jacen uprzejmie kiwnął głową.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy dokończyli tę rozmowę na dworze? - Zapytał. Niathal w milczeniu ruszyła do wyjścia. Nawet nie musiałem jej przekonywać, zauważył rycerz Jedi. Nie zamienili ani słowa, dopóki nie wyszli z gmachu Senatu na plac. Niathal nie lubiła grzecznościowych rozmów, a Jacenowi podobała się jej bezpośredniość i szczerłość.

- Ile czasu zyskaliśmy na uszkodzeniu urządzeń stacji? - Zapytała w pewnej chwili. Właśnie dotarli do publicznego lądowiska i wsiedli do jednej z powietrznych taksówek. - Klub Cayan, kierowco - poleciała.

Wymieniła nazwę ekskluzywnego oficerskiego lokalu, w którym Jacen jeszcze nigdy nie był. Bardzo dobrze, pomyślał. Zamknął przegrodę oddzielającą przedział pasażerski od kabiny, aby kierowca nie mógł ich podsłuchiwać.

- Sześć miesięcy - powiedział. - Nie więcej.

- A zatem mamy tylko tyle czasu do wybuchu następnej wojny - stwierdziła Niathal. Ponura przepowiednia zawisła w powietrzu. Niathal czekała, aż Jacen przerwie ciszę. - Nie sądzę, żeby galaktyka zniosła następną wojnę tak szybko po zakończeniu walki z Yuuzhan Vongami - odezwał się w końcu rycerz Jedi.

- Masz rację. To będzie czwarta poważna wojna w tym wieku - przyznała pani admirał. - Kiepska sprawa.

- Chciałbym mieć przed sobą perspektywę stulecia bez żadnej wojny - westchnął Jacen.

- A ja chciałabym zostać zmuszona do poszukania sobie nowej pracy, Jedi Solo.

W pierwszej chwili Jacen się zdziwił, że Kalamarianka jest wobec niego tak brutalnie szczerą i bez osłonek wyjawia mu swoje polityczne ambicje, ale kiedy pani admirał przekrzywiła głowę i zerknęła na honorowe baretki na mundurze, rycerz Jedi uświadomił sobie, że jego rozmówczyni ma na myśli koniec wszelkich wojen. Może te dwie sprawy jakoś się łączą, pomyślał. - Moja rodzina jest w tej

sprawie podzielona - powiedział. - Większość Jedi nie ma rodzin - przypomniała Niathal.

- Wynikła ciekawa sytuacja związana z rodzinnym przywiązaniem - wyjaśnił rycerz Jedi. Czyżby wystawiała na próbę moją lojalność? - Zadał sobie w duchu pytanie. - Jako Jedi mam jednak obowiązek brać pod uwagę życie miliardów innych istot.

- Jeżeli nadal będziemy knocili akcje tak jak tą w systemie Korelii, nie unikniemy długiej wojny - oznajmiła pani admirał.

- Zastanawiałem się, czy atak na ich gwiazdne stocznie mógłby zakończyć się sukcesem - zauważył rycerz Jedi.

- Wątpię, żeby wystarczyło nam politycznej woli na coś więcej niż na poparcie blokady - odparła Kalamarianka.

- To będzie nas kosztowało mnóstwo sił i środków.

- Podobnie jak równoczesny atak na wielu frontach.

Ich rozmowa zaczęła przypominać pojedynek szermierzy, ale pamiętając o niezdecydowaniu Luke'a, Jacen nie winił Niathal za powątpiewanie w polityczną wolę Jedi. Powietrzna taksówka kierowała się na południe od gmachu Senatu. W dole kręcili się ludzie, którzy dopiero rozpoczynali dzień albo wracali do domów po spędzeniu całej nocy w pracy. Pilot leciał środkiem dzielnicy restauracji, w których stołowały się zatrudnione w gmachu Senatu osoby. Po obu stronach napowietrznych szlaków wznosiły się eleganckie jadłodajnie, luksusowe hotele i prywatne kluby, w których politycy i starsi stopniem oficerowie mogli liczyć na dyskretną obsługę.

- Wolę spędzać czas w klubie niż mieć tu swój dom - wyznała Kalamarianka, jakby Jacena to interesowało. Rycerz Jedi może i wyglądał na zaintrygowanego, ale jego uwagę zaprzętało nieuchwytnie odczucie, które od jakiegoś czasu nie dawało mu spokoju. - Prawdopodobnie moglibyśmy się zastanowić nad tą blokadą, żeby...

Nagle Jacen odwrócił głowę, tknięty świadomością natychmiastowego zagrożenia. Rzucił się do Niathal i zasłonił ją własnym ciałem, po czym otoczył taksówkę szczelnym kokonem Mocy.

Powietrzny pojazd zakołysał się, jakby pod wpływem potężnej fali. Po sekundzie ciszy rozległ się ogłuszający łoskot, który wstrząsnął pojazdem niczym pudełkiem, a wokół taksówki zaroilo się od okruchów wyglądających jak błyszczące płatki śniegu.

Zagrzechotały o kadłub, chociaż Jacen, nie zważając na wysiłki pilota, posługiwał się Mocą, żeby utrzymać pojazd na tym samym pułapie.

To szczątki transpastali, uświadomił sobie.

Trwało to bez końca. Pilot coś krzyczał. Wreszcie Jacen usiadł prosto i zajrzał w mrugające oko wstrząśniętej Niathal. Domyślił się, że ich taksówka znalazła się w zasięgu fali udarowej potężnej eksplozji.

- Tylko spójrzcie, co się dzieje - odezwał się pilot. Utrzymywał pojazd nieruchomo w powietrzu, już

bez niewidzialnej pomocy rycerza Jedi.

Niathal z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- No cóż, to wszystko zmienia - oznajmiła.

Jacen przeczuwał, co się stało, ale mimo to widok nim wstrząsnął. W napowietrznych szlakach przed nimi utworzyła się ogromna wyrwa... Jakby z nieba spadły setki śmigaczy, co zresztą się stało.

Budynki po obu stronach szlaku w promieniu stu metrów wyglądały jak szczyzące zęby otwarte usta. Z okien wypadły transpastalowe szyby, a w Mocy pojawiło się rozdarcie pełne gniewu, strachu i bólu. Nienaturalną ciszę przerwało wycie awaryjnych klaksonów i gniewne okrzyki. Jacen zauważył, że w taksówce wypadły okna przedziału pasażerskiego, ale żadne się nie roztrzaskało.

Rycerz Jedi wyczuwał wokół siebie gniew... Prawdziwy, niemal namacalny gniew. Ktoś dopuścił się aktu bezmyślnej, ślepej przemocy. Galaktykę czekały miliardy podobnych aktów, jeśli ktoś wcześniej nie zaprowadzi w niej porządku. Rezygnując ze stoicyzmu Jedi, Jacen oddał się oburzeniu i współczuciu dla nieuniknionych ofiar.

- To Korelianie - powiedział pilot drżącym głosem. Najwyraźniej wyciągnął pochopny wniosek, nie dopuszczając możliwości przypadkowej eksplozji. Tak samo musiało myśleć wielu innych Coruscan. Podobnie jak Niathal, pilot pomyślał w pierwszej chwili, że źródłem eksplozji był podłożony ładunek wybuchowy i że z demonstracji zrodziły się akty przemocy, które tylko wzmagają nienawiść. Na Coruscant powróciły przemoc i terroryzm.

Przez otwór, z którego wypadła tylna szyba, Jacen widział unoszące się nieruchomo za nimi powietrzne śmigacze. Nie śmiał sobie wyobrazić, co się dzieje setki metrów niżej, tam, gdzie spadły kawałki transpastali i szczątki pojazdów zniszczonych w wyniku eksplozji. Nie mógł jednak opędzić się od tych myśli i pozwolił żeby gniew nadał znów sens jego życiu. - Może to nie Korelianie - powiedział. - I może to nie ma znaczenia, kto naprawdę był sprawcą. Pilot spojrzał na niego jak na szaleńca.

- Zabierz nas z powrotem do gmachu Senatu - rozkazała Niathal. - Wszystko jedno jaką trasą. - Szybko przyszła do siebie Cóż, prawdopodobnie trzeba byłoby czegoś więcej, żeby wytrącić z równowagi panią admirał, która brała udział w wielu bitwach Wpisywała już kody do pamięci komunikatora i łączyła się z do radcami, żeby uzyskać informacje od funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. - Jedi Solo, muszę porozmawiać z naszym senatorem - oznajmiła.

Pilot usłuchał bez słowa jej polecenia; najwyraźniej jeszcze nie doszedł do siebie po przeżytym wstrząsie. Obrócił pojazd o sto osiemdziesiąt stopni i wbił się na wyższy pułap. W krytycznych chwilach Jacen pomógł mu kilkoma delikatnymi pchnięciami Mocy, żeby taksówka mogła się precyzyjnie przemieszczać między tkwiącymi w korkach śmigaczami. Tak, to Korelianie, pomyślał.

Naprawdę nie chciałem, żeby się okazało, że mam rację co do tej wojny. - Sytuacja szybko stanie się paskudna - powiedział.

- W takim razie będzie potrzeba zdecydowanych kroków, aby ją uspokoić - stwierdziła Niathal.

- A co z uszkodzeniami mojej taksówki? - Zainteresował się pilot. Nikt z pasażerów mu nie

odpowiedział.

Rycerz Jedi wybiegł myślami w przyszłość. Doszedł do wniosku, że to idealna chwila na realizację planów Lumiya... Podejrzenie idealna. Nie wyczuwał wprawdzie w tym jej ręki, ale to jeszcze niczego nie oznaczało. Ta kobieta potrafi nawet jego wywieść w pole. Na razie to nie miało prawie żadnego znaczenia. Po tym wydarzeniu następne miały następować niemal automatycznie. Jacen był bardziej potrzebny niż kiedykolwiek. Mógł zapobiec totalnej anarchii. Myśl była niebezpieczna, ale rycerz Jedi jej nie porzucił.

Ktoś musiał wziąć to na siebie. Ktoś musiał poddać Lumię testowi.

ROZDZIAŁ 3

Aliit ori'shya tal'din.

Rodzina to coś więcej niż więzy krwi.

mandaloriańskie porzekadło

Apartament Skywalkerów, Coruscant; godzina 8. 00

Mara o mało nie wypuściła filiżanki. Musiała oprzeć dłoń na blacie stołu.

- Co się stało? - Luke chwycił ją za ramię i pochylił się nad żoną. Zdezorientowana Mara zaczęła wycierać serwetką kałużę rozlanej kafeiny. - Kochanie, nic ci nie jest? - Jacen - wyszeptała mistrzyni Jedi.

Luke od razu zaczął szukać Bena w Mocy. Znalazł go bez trudu. Ich synowi nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. Mistrz Jedi uwolnił myśli i zaczął szukać Jacena, ale go nie znalazł. W Mocy nie było żadnego śladu. - Po prostu zniknął - stwierdziła Mara, włączając komunikator.

- Wiem, że umie to robić, kiedy chce, ale tym razem wygląda niesamowicie. - Zamyśliła się i zamglonym spojrzeniem wpatrzyła się w przeciwległy kąt pokoju. - Ben? Benie, nic ci się nie stało?... Tak?... Gdzie jest Jacen? Nie martw się, to nic ważnego. Skontaktuję się później z tobą.

Luke nie usłyszał odpowiedzi syna, ale upewnił się, że Ben, cały i zdrowy, przebywa w apartamencie Jacena, tak jak powinien. Mara wstała i wsunęła za uszy pasma włosów. Wyglądało na to, że nadal nic nie rozumie. Była o wiele lepiej niż mąż dostrojona do Jacena i Luke się zastanawiał, czy żona na wszelki wypadek nie postanowiła pilnować jego siostrzeńca. To go uspokoiło. Mara nie straciła nawyków zabójczyni, które od tak dawna stanowiły część jej osobowości. Dobrze chociaż, że wykorzystywała je obecnie w inny, pozytywny sposób.

- HoloNet - mruknęła. Włączyła ekran i odszukała kanał w którym podawano wiadomości. - Jestem pełna złych przeczuć Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Miała rację. Luke zaczął wyczuwać w Mocy wzbierający gniew i zakłócenia... Wokół narastało coś ciemnego, jak zwały burzowych chmur. Podczas gdy Mara parzyła kafeinę, wytarł do końca płamę

zalanego napoju, ale cały czas obserwował żonę. Kiedy kończyli jeść śniadanie, usłyszeli informację, że w dzielnicy hotelowej na południe od gmachu Senatu doszło do eksplozji. Podejrzewano, że to bomba.

Mara od razu włączyła komunikator, skupiła się i uzbroiła, w cierpliwość. - Jacen nie odpowiada - oznajmiła.

Łatwo było dodać dwa do dwóch i uzyskać zupełnie błędny wynik. Luke objął żonę i uściskał.

- Na pewno istnieje proste wytłumaczenie - powiedział. - To duża planeta, a szanse, że Jacen znalazł się w zasięgu wybuchu, są bardzo nikłe.

- Układam plany, więc muszę uwzględnić najgorsze scenariusze - wyjaśniła Mara i odwzajemniła jego uścisk. - A w tej chwili nie mam pojęcia, czy powinniśmy go szukać, czy nie.

Jak każdy nawykły do samodzielnego decydowania i działania umiała radzić sobie w sytuacjach kryzysowych, nawet jeżeli nie widziała przed sobą oczywistej drogi. Luke wykazywał tę samą cechę charakteru. Nie możemy się trzymać od tego z daleka, nawet jeżeli nie wiemy, z czym mamy do czynienia, pomyślał. Moc nie bierze urlopów.

- Jeżeli to naprawdę była bomba podłożona przez terrorystów, najlepiej chodźmy do gmachu Senatu, bo Omas na pewno będzie chciał z nami omówić możliwe reperkusje - zaproponował mistrz Jedi.

Mara znieruchomiała. Luke pomyślał, że żona zachowuje się jak strzelec wyborowy, który cały czas, nie tracąc zimnej krwi, ocenia sytuację i układa plany. Zawsze mu imponowało, że żona umie wykorzystywać plusy poprzedniego okresu życia, które spędziła jako Ręka Imperatora, i odrzucać złe strony. Cieszył się, że oboje stoją po tej samej stronie. Mistrzynie Jedi sięgnęła po żakiet - szary i funkcjonalny, który trudno byłoby nazwać ostatnim krzykiem mody. Najwyraźniej przygotowywała się do walki.

Mam nadzieję, że na razie nikt nie wyciągnie pochopnych wniosków - stwierdziła. - Po takich wydarzeniach ludzie lubią działać zbyt pośpiesznie.

Luke nie był pewny, czy żona ma na myśli polityków, czy może zwykłych obywateli. Zresztą to nie miało znaczenia, bo zachowanie tych pierwszych wpływało w taki czy inny sposób na reakcję drugich. Gestem wskazał platformę lądowniczą.

- Ja będę pilotował - zdecydował. - Ty musisz śledzić rozwój wydarzeń.

W wiadomościach HoloNetu nadal używano określenia „eksplozja”, które w podtekście miało słowo „bomba”.

Luke usiłował się wślizgnąć śmigaczem w gąszcz lecących napowietrznym szlakiem pojazdów, których piloci uciekali od miejsca eksplozji. Naprawdę nietrudno było o paraliż komunikacyjny w zatłoczonym mieście, którego mieszkańcy byli uzależnieni od środków transportu powietrznego. Luke spojrzął na Marę.

- A co, jeżeli to nie była bomba? - Zapytał.

- Ludzie chętnie wyciągają pochopne wnioski - odparła żona. - Jeżeli chcą wierzyć, że to była bomba, nie wyprowadzą ich z błędu żadne fakty.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Korelia stosowała metody podkładania bomb w miejscach publicznych - stwierdził Luke.

- Korelia? - Powtórzyła Mara.

- Widzisz? - Zapytał mąż. - Wszyscy wyciągają ten sam wniosek. Mnie także przyszła na myśl Korelia. Tymczasem na Coruscant mieszkają istoty tysiąca ras, a w większości z nich zdarzają się szaleńcy. Sprawcą mógł być ktokolwiek, niekoniecznie Korelianin. - Zazwyczaj wnioski liczą się bardziej niż fakty. - Ty to powiedziałaś, kochanie.

Luke musiał ograniczyć prędkość śmigacza do tempa marszu, bo pojazdy na napowietrznych szlakach nad nimi i pod nimi także zwolniły. Rozważał, czy nie posłużyć się Mocą, żeby precyzyjnie przemieścić swój śmigacz między nimi, ale nigdzie nie widział dość miejsca na taki manewr. Odszukał najbliższe lądowisko, posadził pojazd i postanowił resztę drogi pokonać piechotą.

Teoretycznie można było obejść całą planetę ulicami i pomostami. W rzeczywistości taki sposób pokonywania odległości był zbyt powolny. Czasami jednak opłacało się pobyć trochę wśród ludzi, żeby poznać ich emocje. Moc podpowiedziała mistrzowi Jedi, że większość przechodniów czuje gniew. Nie było to jednak oburzenie związane z polityką, jak wśród senatorów. Luke wyczuwał osobisty, głęboki i podszyty strachem gniew ludzi, na których życie bezpośrednio wpłynął konflikt na innej planecie.

Coruscanie od tysiącleci czuli się bezpiecznie i przywykli do tego. Po zakończeniu wojny z Yuuzhan Vongami zaczęli właśnie odzyskiwać poczucie bezpieczeństwa, kiedy znów ktoś chciał ich go pozbawić. Mistrz Jedi postrzegał ich gniew jak krater wulkanu, przez który wypływa Ciemna Strona. Powietrze było jak naelektryzowane. Adresat tego gniewu, którego ludzie zniechęcili i obwiniali o wszystko, mógł wywrzeć wpływ na dalsze losy konfliktu z Korelią.

Kiedy Luke i Mara szli w stronę gmachu Senatu, przed ekranami, na których wyświetlano najnowsze wiadomości HoloNetu, gromadziły się grupki posępnych gapiów. Aktualizowane co jakiś czas mapy pokazywały, które części Galactic City są nadal niedostępne. Przygnębieni funkcjonariusze straży pożarnej wyjaśniali, że wciąż jeszcze nie dotarli do centrum eksplozji ani nie znają pełnej liczby ofiar.

Luke przystanął za plecami widzów, ale Mara poszła dalej i zniknęła w tłumie. Małżonkowie zorientowali się, że nikt ich nie rozpoznał. Mogli być za to wdzięczni losowi. - Czy ktoś już przyznał się do zamachu? - Zapytał Luke.

Młody mężczyzna w żółtym kombinezonie pilota dostawczego transportowca odwrócił się do niego.

- Nie, ale przecież nie muszą tego robić, prawda? - Rzucił.

- Oni? - Podchwycił mistrz Jedi.

Mężczyzna przeniósł spojrzenie na ekran.

- Korelianie - wyjaśnił. - To odwet za to, co wydarzyło się na stacji Centerpoint. To chyba oczywiste, prawda?

Luke nie odpowiedział i ruszył w dalszą drogę. Dogonił żonę, która czekała przed wejściem do jednego z domów, rozmawiając z kimś przez komunikator. Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Na razie doliczono się stu pięciu zabitych i trzystu rannych, ale liczba śmiertelnych ofiar z każdą chwilą wzrasta - oznajmiła. Skontaktowałam się z gabinetem Omasa. Ogłosił stan wyjątkowy.

- Sądząc po zasięgu zniszczeń, musiał to być potężny ładunek wybuchowy - stwierdził mistrz Jedi.

- Wcale nie musiał być bardzo duży, żeby wyrządzić takie szkody w pełnym wysokościowców, zatłoczonym mieście - sprzeciwiła się Mara.

Siekące jak miliony noży okruchy transpastali, śmigacze spadające z wysokości tysięcy metrów, fale udarowe rozbijające się o ściany gmachów po obu stronach kanionów... Luke mógł się domyślić szczegółów. Moc wokół niego ogarnął zamęt, ale głównym źródłem tego zamętu byli stojący w pobliżu ludzie.

Wziął żonę pod rękę i zaczęli się przeciskać przez tłum. Pół godziny później dotarli do gmachu Senatu, by stwierdzić, że Omas opuścił swój gabinet i udał się do rezerwowego ośrodka dowodzenia głęboko pod powierzchnią gruntu.

Skywalkerowie poszli za nim do ogromnego pomieszczenia, gdzie zastali tłum umundurowanych funkcjonariuszy. W ośrodku dowodzenia roilo się od holoeckranów. Napis nad drzwiami głosił po prostu: „Centrum strategiczne”. To właśnie tu władze Sojuszu pracowały nad długoterminowymi skutkami najróżniejszych incydentów. Tu zastanawiały się nad harmonogramem działań, szczegółowe decyzje zaś podejmowano w taktycznych i operacyjnych ośrodkach dowodzenia.

Luke szybko się zorientował, w co wdepnęli. W sali przebywali przedstawiciele wszystkich miejskich służb zapewniających mieszkańcom porządek i spokój. Widział funkcjonariuszy Coruskańskiej Służby Bezpieczeństwa, straży pożarnej i pogotowia, Kontroli Ruchu Powietrznego, a także przedstawiciele zarządów szpitali i władz miasta. Omas stał przed jednym z holoeckranów i rozmawiał z młodym kapitanem CSB. Kiedy Luke podszedł do nich, obaj studiowali zmieniającą się nieustannie listę ofiar. Jedną ścianę Centrum Operacyjnego zajmowały plansze z informacjami na temat rozwoju sytuacji, począwszy od wykazu napowietrznych szlaków, z których ruch przekierowano gdzie indziej, a skończywszy na adresach ośrodków medycznych, dokąd wysyłano rannych w zamachu. Omas odwrócił się do obojga Jedi i pokręcił głową.

- Wiemy już, że to nie była przypadkowa eksplozja - powiedział. - Funkcjonariusze CSB znaleźli ślady detonitu, powszechnie dostępnego w handlu.

Mara starała się zachowywać jak postronny obserwator. Wpatrywała się w listę ofiar, pozbawioną nazwisk i podającą na ogół same rysopisy. Luke zastanowił się, czy żona nie szuka wśród nich Jacena.

- Gdzie podłożono ten ładunek wybuchowy? - Zapytał.

- W jednym z hoteli - odparł kapitan CSB. Plakietka identyfikacyjna na jego tunice informowała, że mężczyzna nazywa się Shevu. - W Elicie. Nie wiemy, dlaczego wybrano właśnie to miejsce, ale prawdopodobnie eksplozja miała miejsce w jednym z pokoi dla gości. Możliwe, że przez przypadek. - Przez przypadek? - Zdziwił się mistrz Jedi.

- Ekspłodowała, kiedy jeden z terrorystów nastawiał zapalnik czasowy - wyjaśnił Shevu.

- A więc mamy pokój, od którego można zacząć poszukiwania - stwierdził Luke. - Na pewno poznamy tożsamość zajmującej go osoby.

- Właśnie to sprawdzamy.

- Nie możemy pozwolić sobie na żadne domysły.

Kapitan Shevu spojrział z wyższością na mistrza Jedi. Starał się zachowywać uprzejmie, ale nie krył irytacji.

- Niczego nie pozostawiamy domysłom, proszę pana - powiedział z lekką urazą. - Opieramy się na potwierdzonych informacjach z Taktycznego i Operacyjnego. Jeżeli te informacje mają luki, staramy się je uzupełnić.

- A jak zareagujemy, jeżeli się okaże, że to rzeczywiście Korelianie?

Omas zaczął się nagle żywo interesować listą lokali i gmachów, które ucierpiały podczas eksplozji. Na czerwono podświetlono te adresy, które do tej pory sprawdzono i zabezpieczono.

- Jeżeli wykazemy ponad wszelką wątpliwość, że odpowiedzialność ponoszą władze Korelii, będziemy musieli to potraktować jak każde inne przestępstwo - odezwał się w końcu. - Mistrz Skywalker ma chyba na myśli mniej... Eee... Formalną reakcję - rozległ się głos za plecami Luke'a.

Mistrz Jedi nawet się nie zorientował, kiedy do wielkiej sali wszedł Jacen. Zaniepokoiło go, że siostrzeniec potrafi go w taki sposób zaskakiwać. Mara także się odwróciła. Chociaż Jacen stał tuż-tuż, Luke nadal go nie wyczuwał... A sądząc po niespokojnej minie żony, Mara też nie widziała Jacena w Mocy. Dopiero po chwili, niczym zapach napływający od rozkwitającego kwiatu, pojawiła się obecność rycerza Jedi i stopniowo się nasilała. Chce mi pokazać, jaki jest potężny, pomyślał Luke. Ubolewał, że wyczuwa wrogość w jego myślach, a Jacen nie zrobił nic, żeby uśmierzyć jego niepokój. - Przepraszam, wujku - powiedział. W pomieszczeniu pełnym niewrażliwych na Moc osób nikt nie zwrócił uwagi na wyczuwalne tylko dla Jedi animozje. - Znalazłem się w zasięgu eksplozji, a teraz chciałbym się przekonać, jak mogę pomóc.

- To dobrze, że nic ci się nie stało. - Mistrz Jedi odwrócił się do oficera CSB. - Właśnie, kapitanie... Miałem na myśli nieformalną reakcję - wyjaśnił. - Odwet, eskalację. - Represje - podsunął cicho Shevu, nie odrywając spojrzenia od wyświetlanych danych. - Działania, przez które życie w mieście stanie się nieznośne. Jeżeli wierzyć ostatnim wyliczeniom Urzędu Imigracyjnego, mieszka u nas prawie dwadzieścia milionów Korelian. - Większość to osoby zupełnie nieszkodliwe - przypomniał Luke.

- Trudno je będzie wyselekcjonować, jeżeli nie sprawdzimy ich kart identyfikacyjnych - przypomniał

Jacen. - Wyglądają zupełnie jak my. - Są tacy jak my - odezwał się Omas.

Położył dłoń na ramieniu rycerza Jedi i z łatwością doświadczonego męża stanu skierował rozmowę na mniej drażliwy temat.

- Czy moglibyśmy kontynuować tę rozmowę gdzie indziej? - Zapytał. - Przeszkadzamy kapitanowi Shevu. Musi zapanować nad sytuacją. - Wyciągnął rękę i wskazał szereg mniejszych pomieszczeń przylegających do głównej sali. Nad drzwiami każdego widniała tabliczka z napisem: „Komórka straży pożarnej i pogotowia”, „Komórka CSB”, „Komórka służb medycznych” i tak dalej. Omas skierował całą trójkę Jedi do pokoju oznaczonego jako „Komórka Służb Informacyjnych”. - Chciałbym omówić z wami pewien problem. Nie wiem, jak mam przedstawić sytuację osobom odpowiedzialnym za nasz wizerunek publiczny. W końcu jest różnica między setką zabitych w katastrofie powietrznego autobusu a setką ofiar terrorystycznego zamachu. Pierwsze to tragedia, a drugie to początek wojny.

Luke zerknął na żonę. Mara odwzajemniła jego spojrzenie, ale nie okazała zaniepokojenia. Ich dotychczasowe życie pełne było naprawdę wielkich problemów, takich jak inwazja armii obcych istot i Ciemnych Jedi. Każda taka sprawa przekraczała możliwości i kompetencje coruskańskich służb publicznych. Obecne zdarzenie miało wprawdzie niewielkie znaczenie w skali globalnej, ale przypominało ukąszenie węża... Było małe, bolesne i mogło zatruć całą planetę.

Przed nimi szedł Jacen. Jego obecność w Mocy nie zdradzała niczego poza spokojną determinacją.

Górne Miasto, Taris

Boba Fett nie przejmował się tym, że ktoś może rozpoznać „Niewolnika 1”. Wielu wiedziało, że to jego statek.

Właściwie nie mógł na to nic poradzić. Na niektórych planetach dyskrecja była bardzo wskazana, ale łowca nagród nie musiał się ukrywać, a ta częściowo przywrócona do poprzedniego stanu planeta znajdowała się tak daleko od uczęszczanych szlaków, że prawdopodobnie nikt na niej nie znał jego prawdziwej tożsamości.

Na razie była wygodną bazą. Galaktyka chyba zapomniała o jej istnieniu, i całe szczęście, jako że okazywane jej wcześniej zainteresowanie zdecydowanie nie wyszło planecie na dobre. Cztery tysiąclecia wcześniej, podczas wojen domowych Jedi, została doszczętnie spustoszona. Fetta zastanowiła ta ironia losu. Przywykł uważać większość galaktycznych wojen za konflikty między Jedi; prawie zawsze to oni walczyli z Sithami. Wojna z Yuuzhan Vongami była niemal mile widzianą odmianą. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślał.

Uznał także za interesujące, że na spustoszonej planecie, którą przywrócono przynajmniej częściowo do poprzedniego stanu, panuje praktycznie taki sam ład socjalny jak przed wojną. Podobnie jak przedtem, między klasami społecznymi istniała ogromna przepaść; dostosowały się do tego układy architektoniczne.

Ludzie także niczego się nie uczą, doszedł do wniosku łowca nagród.

Włączył generator ochronnego pola na pokładzie „Niewolnika 1” i ruszył promenadą do celu wyprawy. Nie zwracał uwagi na zdziwione spojrzenia elegancko ubranych mieszkańców, którzy prawdopodobnie zażywali popołudniowej przechadzki. Górne Miasto ze strzelistymi wieżowcami zamieszkanymi przez najbogatszych wyglądało podobnie jak Coruscant. Za to Dolne Miasto było prawdziwą kloaką, a poziomy pod powierzchnią gruntu... No cóż, Fett niejasno przypominał sobie, że kiedyś, wiele lat wcześniej, ścigał tam jedną z ofiar. Podziemia wyglądały wówczas paskudnie nawet w opinii kogoś, kto widział najbrzydsze miejsca galaktyki.

Gdyby ktoś kazał mi się tam znów zapuścić, musiałyby mi zapłacić potrójnie, pomyślał łowca nagród.

Ejże, chyba nic z tego. Fett zapomniał, że umierający człowiek nie powinien układać tak dalekosiężnych planów. Goran Beviin czekał na niego w luksusowym hotelu Horyzont.

Siedział przy kontuarze baru przed wielkim kuflem tarizjańskiego piwa i misą czegoś, co wyglądało jak smażone skorupiaki. Wyraźnie łamał obowiązujące w barze reguły. Zdjął wprowadzić hełm i położył go obok siebie na kontuarze, ale w upstrzonej śladami po poprzednich bitwach granatowej mandaloriańskiej zbroi wyglądał dziwnie wśród elegancko ubranych gości. Fett podszedł bliżej i stanął za nim. - Zawsze siadasz plecami do drzwi? - Zagadnął.

Beviin odwrócił się i spojrzał na niego. Nie był zaskoczony widokiem swojego Mandalora, władcy klanów, dowódcy superkomandosów. Fett nie przyzwyczyił się jeszcze do roli, jaką odgrywał w czasach pokojowych.

- Najpierw oceniam ryzyko. - Beviin powoli uniósł głowę i spojrzał na hełm łowcy nagród. - Mogę postawić ci piwo i kazać przynieść słomkę do picia? - zaproponował. - Nie pajacuj - burknął Fett. - Co to takiego? - Wskazał na talerz.

Beviin wsunął do ust jeden ze smażonych kawałków i udając zachwyty, zaczął go chrupać.

- Monetokraby - powiedział. - Przypominają mi o dobrych czasach, w których smażyliśmy Yuuzhan Vongów.

- Sentymentalny drań - mruknął łowca nagród.

Beviin zamaszystym gestem zwrócił jego uwagę na wypolerowane drewno i kosztowną tapicerkę.

- Tu jest bardzo wygodnie - zauważył. - Zawsze uważałem Tarisa za wymarłą planetę.

- Może właśnie dlatego mam wrażenie, że mam z tym miejscem coś wspólnego - odparł Fett.

- Co mianowicie?

- Mnie także ludzie często uważają za zmarłego - wyjaśnił łowca nagród, ale żart nie wydał mu się specjalnie zabawny. Nie było sensu zwierzać się komukolwiek ze stanu swojego zdrowia, przynajmniej na razie, a może nawet do końca. - A zatem co masz dla mnie?

Zajął miejsce na stołku obok Beviina i starannie poprawił kaburę. Barman - mężczyzna w średnim wieku, którego mundur z wysokim kołnierzem wyglądał na równie kosztowny jak wieczorowe suknie

niektórych kobiet - chyba chciał go o coś zapytać. Fett domyślił się, że chodzi o to, aby szanowny gość zdjął hełm. Odwrócił głowę, dając do zrozumienia, że obserwuje barmana przez przesłone i czeka, aż ten zmieni zdanie. Zmienił. Fett zwrócił się znów do Beviina. - Wyrzuć to z siebie - zażądał.

- Thrackan Sal-Solo zwrócił się do mnie z propozycją wypłacenia nagrody za całą rodzinę Solo - powiedział.

Bardzo przydałoby mi się w tej chwili piwo, pomyślał Fett. Odpręż się, nakazał sobie. Nigdy tego nie robiłeś. Zachowuj się jak zwykli ludzie.

- Bezpośrednio do ciebie? - Zapytał.

- Nie, przez pośrednika, ale zapomniał, jak dobrze umiem się posługiwać komunikatorem - odparł Beviin. - Naturalnie nie pamiętał także o moich kontaktach. - Ciekawe, dlaczego mnie nie poprosił, żebym wyruszył w pościg za Solo - zastanowił się łowca nagród. Przez chwilę miał ochotę poczęstować się monetokrabem, ale zrezygnował. - Wszyscy inni zwracali się z tym do mnie. - Może uważa, że to by cię nie interesowało - odparł Beviin.

- A może jesteś dla niego za drogi.

- Miałby rację pod jednym i pod drugim względem. - Han Solo nie miał teraz żadnego znaczenia... Absolutnie żadnego. Fett zresztą i tak nigdy nie żywił do niego urazy. Po prostu zawierał kontrakty, a kontrakt nigdy nie był dla niego sprawą osobistą. - I co dalej? - Słyszałem, że Thrackan Sal-Solo nie znalazł wielu chętnych do podjęcia się tego zadania. - Rozumiem, że ty się nie zgodziłeś - stwierdził Fett.

- Nie poluję na całe rodziny - wyjaśnił Beviin. - Interesują mnie tylko przestępcy. Nie chcę się stać jednym z nich. - Nie mówisz mi najważniejszego - stwierdził łowca nagród.

- No dobrze, niech ci będzie - poddał się Beviin. - Chodzą słuchy, że wróciła Ailyn. Podobno interesuje się tym kontraktem.

Fett ucieszył się, że hełm nie pozwala widzieć jego twarzy. Rzadko bywał zaskoczony, bo w galaktyce nie działo się już nic, co mogłoby go zaskoczyć. Tym razem jednak mimo upływu kilkadziesiąt lat poczuł się wstrząśnięty.

Jego jedyne dziecko żyło. Fett nie miał o Ailyn żadnej wiadomości od czasu inwazji Yuuzhan Vongów. Od tamtej pory miliardy istot straciły życie. Ile córka mogła mieć teraz lat? Pięćdziesiąt cztery? Pięćdziesiąt pięć?

Cały ten czas czułem, że nie zginęła, uświadomił sobie.

- To i tak lepiej niż gdyby przyjęła kontrakt na mnie - rzekł, ale poczuł w żołądku bryłę lodu. Wcale nie o to chodzi, pomyślał. Chciałeś po prostu powiedzieć, że chociaż Ailyn cię nienawidzi i wini za śmierć swojej matki, cały czas pozostaje twoją córką. Umierasz, więc chciałbyś ją zobaczyć ostatni raz w życiu. Jest wszystkim, co po tobie pozostanie... Jedyńm dowodem, że kiedykolwiek żyłeś. - Kto jeszcze o niej wie? - Zapytał.

Beviin - pięćdziesięciokilkuletni szpakowaty mężczyzna o uśmiechu, który nadawał mu wygląd psotnego dziecka - popatrzył mu w oczy, wyraźnie zmartwiony. Wyglądało na to, że podobnie jak inni Mandalorianie, nawet mimo hełmu umie przejrzeć Fetta na wylot. - Moim zdaniem nikt, bo nazywa się teraz Ailyn Habuur - odezwał się w końcu.

Łowca nagród czekał cierpliwie. Beviin wypił łyk piwa, ale zachował milczenie.

- Ale ty uważasz, że to Ailyn Vel. Dlaczego? - Zapytał w końcu Fett.

- Moi informatorzy powiedzieli mi, że kobieta ma około pięćdziesięciu lat, na twarzy kiffarański tatuaż i lata szturmowym statkiem produkcji KDY, który moim zdaniem powinieneś rozpoznać - odparł Beviin. - Nie sądzę jednak, żeby w tych czasach miało to dla kogoś specjalne znaczenie.

Córka Fetta nienawidziła go tak bardzo, że go zabiła, a później przywłaszczyła sobie jego zbroję i statek - a przynajmniej była pewna, że tak się stało. Czy kiedykolwiek się dowiedziała, że tak naprawdę zamiast ojca zabiła klona?

Kiedy Fett się o tym dowiedział, wcale się nie przejął. Od tamtej pory upłynęło ponad dwadzieścia lat. Tym razem zareagował inaczej. Chciał wiedzieć, gdzie córka przez ten czas była i co robiła, ale uświadomił sobie, że zachowałby się jak głupiec, i zrezygnował z tego zamiaru. - Cóż, mam nadzieję, że będzie uważała - powiedział.

Beviin uniósł brwi, jakby czekał na dalszą reakcję, ale się nie doczekał. - Czy to wszystko? - Zapytał.

- Tak. Bardziej interesują mnie Kaminoanie - odparł Fett. - Co ci wiadomo o Ko Sai?

- Jeżeli nie liczyć plotek? - Domyślił się Beviin.

- Na razie zadowolę się plotkami.

- Chodzą słuchy, że zginęła podczas bitwy o Kamino, ale przeważa opinia, że przeszła na stronę Separatystów - zaczął Beviin.

- Później pojawia się wielka czarna dziura. Z następnej plotki wynika, że odesłano ją z powrotem na Kamino.

- Wiedziałbym, gdyby tak się stało... - Sprzeciwił się Fett.

- Po kawałku - dodał Beviin.

- Co takiego?

- Odesłano części jej ciała. Przynajmniej niektóre.

Na coś takiego pozwalali sobie tylko porywacze. Robili to dla kredytów... Co nie zgadzało się z opinią, że Ko Sai opowiedziała się po przeciwnej stronie podczas wojny. A więc dlatego Koa Ne wiedział, że ktoś w końcu odnalazł Ko Sai.

- Na pewno palce? - Domyślił się łowca nagród. To były ulubione części ciała, jakie odcinali porywacze, jeżeli chcieli kogoś przekonać o prawdziwości swoich zamiarów. - Kaminoanie nie mają odstających uszu.

- Niezupełnie - stwierdził Beviin. - To były fragmenty, których naprawdę potrzebowała, a

przynajmniej tak mi mówiono.

Fett usiłował sobie wyobrazić, co takiego mogła zrobić badaczka, żeby zasłużyć na poćwiartowanie. Może próbowała zataić posiadane informacje? Dlaczego jednak ktoś miałby odsyłać na Kamino części jej ciała? Może ten, kto ją schwytał, chciał wyrzucić nacisk na kaminoańskie władze albo dać im nauczkę?

Najważniejsze jednak, że wyniki jej badań nie zostały nigdy wystawione na sprzedaż. Gdyby ktoś chciał to zrobić, do tej pory zaczęto by ich używać. O ile Fett się orientował, Kaminoan nigdy nie poproszono o jakąkolwiek zapłatę za te wyniki.

Wyglądało na to, że ktoś chciał się tylko zemścić. Fett pomyślał, że to nie pomoże mu znaleźć tego, czego szuka.

- Dlaczego interesuje cię osoba, która zniknęła tyle lat temu? - Zagadnął Beviin. - Jeżeli ktoś chce odszukać resztę jej ciała, trochę się spóźnił.

Fett już nie wiedział, co o tym sądzić. Ufał wyłącznie ojcu, który starał się zawsze, żeby jego syn nauczył się polegać tylko na sobie. Boba Fett polował samotnie, ale od czasu do czasu przypominano mu, że jest także Mandalorem. Dźwigał na barkach odpowiedzialność za setkę wojowników, ale także - co sprawiało mu wiele kłopotów - za naród, którego obywatele, zamiast żyć w jednym miejscu, byli rozproszeni po całej galaktyce, chociaż mieli swoją ojczyznę, swój sektor i... Sytuacja wcale nie była jasna. Fett nie był już pewny, co właściwie oznacza bycie Mandalorem.

Nie mógł też zdecydować, czy uważa siebie przede wszystkim za Mandalora, a dopiero później za łowcę nagród... Czy odwrotnie.

Jednak nie czuł się Mandalorem.

- *Verd ori'shya beskar'gam.* - Beviin wypił następny łyk piwa. - Wojownik to coś więcej niż jego zbroja.

Fett spojrzał na niego z irytacją.

- O co ci właściwie chodzi? - Zapytał.

- O Ailyn. Nosi twoją zbroję, lata twoim statkiem, ale ani jedno, ani drugie nie zastąpi jej bojowego ducha. - Beviin nigdy się nie bał Fetta i nigdy nie tytułował go panem. Prawdziwy Mandalorianin nigdy by się tak nie zachowywał. - Nie znasz języka *mando'a*, prawda?

- Tylko basic i huttański - przyznał Fett. - W nich załatwiam interesy.

- Może potrzeba nam mniej interesów, a trochę więcej Mandalora, *Bob'ika*.

Bob'ika. Kiedy Fett był dzieckiem, właśnie tak zwracali się do niego niektórzy wspólnicy ojca. Ojciec jednak nigdy go tak nie nazywał. Fett postanowił zignorować tę poufałość.

- Na razie jestem zajęty - powiedział.

- Nie chcesz, żebym zrobił dla ciebie coś jeszcze? - Zapytał Beviin. - Nie.

- W takim razie pora na mnie. Daj mi znać, jeżeli będziesz miał dla mnie jakieś rozkazy. - Beviin dopił resztę piwa, ułożył niezjedzone monetokraby na serwetce, zwinął ją i wsunął do kieszeni.

- Mimo wszystko jesteś moim Mand'alorem.

Czyżby w jego głosie zabrzmiał sarkazm?

- Ostatnio zachowujesz się tak, jakbyś uważał się za członka plemienia - mruknął Fett. - To wina ducha czasów - odparł Beviin. - Prawdopodobnie to zarażliwe.

Od kilku lat Fett nie odwiedził Mandalory ani otaczającego ją sektora. Nie istniał żaden powód, dla którego miałby się czuć tam jak w domu, w taki sam sposób, jak czuli się Kaminoanie.

Nie wiemy nawet, ilu Mandalorian żyje w galaktyce, pomyślał. Nie potrzeba karty identyfikacyjnej ani aktu urodzenia, żeby być jednym z nas.

Beviin założył hełm i nie oglądając się za siebie, wyszedł z sali. Bez stojącego na kontuarze kufła z piwem Fett także nie miał powodu dłużej tu siedzieć. Zsunął się ze stołka ku widocznej uldze personelu i chłonąc po drodze nieznane widoki, ruszył w kierunku lądowiska, na którym pozostawił „Niewolnika 1”.

Po drodze natknął się na kantor, w którym handlowano akcjami. W Górnym Mieście roiło się od takich placówek. Wszystkie były otwarte całą dobę, żeby nadażyć za transakcjami na tysiącach parkietów galaktyki, które tworzyły Giełdę Międzygwiazdą. Na tej zapomnianej przez wszystkich planecie obrót akcjami stał się ulubioną rozrywką bogaczy. Fett zawahał się, ale wszedł do jaskrawo oświetlonego holu. Stanął przy nieustannie zmieniającym się interaktywnym hologramie z informacjami o różnych rynkach. Od czasu lotu na Tarisa, kiedy Fett sprawdzał notowania, coruscański KIG - Krajowy Indeks Giełdowy - gwałtownie się załamał. Cienka czerwona linia nadal kierowała się w dół w porównaniu z indeksem miliona czołowych firm Giełdy Międzygwiazdnej. Coś musiało wystraszyć giełdowych graczy, którzy łatwo wpadali w panikę. Jeżeli rynek był bardzo nerwowy, wystarczyło czknięcie bantha, aby ceny akcji spadły o miliardy kredytów. Fett wyprostował ukryty w rękawicy palec i dotknął napisu „Biotechnika”. Pojawiła się tabela z linijkami wtórnych indeksów. Łowca nagród zignorował napis „Wskaż szukaną spółkę” i zamiast tego wybrał „Transakcje hurtowymi ilościami akcji”. Zapłonęła lista spółek, dla których w wybranym okresie większość akcji zmieniła właściciela. Fett wybrał „Standardowy miesiąc”.

Na czele listy pojawiły się trzy spółki: SanTech, Arkanian Micro i AruMed. Cena akcji Arkanian Micro nie zmieniła się jednak więcej niż o dziesięć procent, a same akcje zaliczały się zawsze do najdroższych. Uwagę Fetta przyciągnęła spółka AruMed, bo zielony symbol obok nazwy wyjął mu, że firma jest mała i dosyć młoda. Okazało się jednak, że w ciągu poprzedniego tygodnia ktoś kupił za śmiesznie niską cenę pakiet dwudziestu procent jej akcji.

Warto sprawdzić, dlaczego nabywca uznał je za tak atrakcyjne, pomyślał Fett.

Przekazał komplet danych na temat tej spółki na wewnętrzny wyświetlacz hełmu, ale w działalności firmy nie znalazł nic podejrzanego. AruMed była notowana na giełdzie od roku i specjalizowała się

w produktach farmakologicznych, genetycznie dostosowanych do potrzeb klientów. Na horyzoncie spółki nie pojawił się jednak żaden sensacyjny nowy produkt, który by usprawiedliwił spekulowanie hurtowymi ilościami jej akcji. Chyba że ktoś miał dostęp do najskrytszych tajemnic firmy, pomyślał łowca nagród. Na przykład wiedział, że spółka przyjęła do pracy kaminoańską badaczkę.

Fett zauważył, że jeden z pracowników kantoru obserwuje go ze starannie skrywanym niepokojem. Prawdopodobnie nie miał zbyt wielu klientów wyposażonych w raketowy plecak i miotacz płomieni.

Z bazy danych wynikało, że centrala spółki AruMed mieści się na Roonadanie. Fett uznał to za niezwykle: dlaczego niewielka firma biotechnologiczna ma swoją siedzibę w Sektorze Wspólnym, pod samym nosem słynących z agresywnej polityki akwizycyjnej Laboratoriów Chievaba? Zarejestrował szczegóły i znów przeniósł spojrzenie na hologram. Tym razem postanowił się zainteresować zwykłymi spółkami farmakologicznymi. Stwierdził, że od czasu zniknięcia Taun We tylko dwie zarejestrowały obrót hurtowymi ilościami akcji... A jedną z nich była usytuowana na Rothanie ConCare, specjalizująca się w produkcji leków dla starszych osób. Takich jak ja, pomyślał łowca nagród.

Kaminoanie naprawdę nie lubili przebywać z daleka od domu. Jak na odległości w galaktyce, Rothana była oddalona od Kamino o rzut kamieniem. Mimo to Fett postanowił sprawdzić tę spółkę w drugiej kolejności po AruMedzie.

- Chciałby pan zainwestować, proszę pana? - Zagadnął go w końcu pracownik kantoru. Fett zawsze zlecał dokonywanie transakcji akcjami pośrednikowi, Nimbanelowi o nazwisku Puth, który umiał pracować kredyty i zacierał ślady niemal równie umiejętnie jak on sam. Nie miałyby sensu zatrudnianie księgowego, który jest sprytniejszy niż mocodawca, ale nawet łowca nagród mógł czasem nabyć akcje pod wpływem impulsu. Fett wyjął żeton kredytowy.

- Proszę o pięćdziesiąt tysięcy akcji spółki SteriPac - powiedział.

- Produkują opatrunki wykorzystywane na polach bitew - poinformował pracownik. Jego zdumione spojrzenie wyjawiało Fettowi, że makler rzadko sprzedaje jednej osobie akcje o łącznej wartości stu tysięcy kredytów. Zacisnął w dłoni żeton kredytowy, jakby się obawiał, że krążek mu ucieknie. - Spodziewa się pan wybuchu wojny?

- Zawsze - przyznał Fett. - I jeszcze nigdy się nie zawiodłem.

Po wyjściu z kantoru skierował się do kupionego rok wcześniej, prawie pustego apartamentu, na którym, przynajmniej raz w życiu, nie zamierzał szybko zarabiać. Ceny nieruchomości na Tariesie szły w górę dość powoli, ale warto było zapłacić za odrobinę prywatności.

A więc ktoś wysłał Ko Sai do domu po kawałku, przypomniał sobie.

Kaminoanie mogli przecież zatrudnić ekspertów od kryminalistyki, żeby się zorientować, skąd nadawano paczki, pomyślał.

Sensory jego hełmu wyjawiały mu, że w stałej odległości za nim podąża osoba rasy ludzkiej.

Okazało się, że to młoda, mniej więcej osiemnastoletnia kobieta o krótko przystrzyżonych, ciemnych kręconych włosach. Fett widział na wyświetlaczu w polu widzenia swojego hełmu jej wizerunek, przekazywany przez kamerę wstecznego dalmierza. Kobieta miała na biodrze kaburę z blasterem - kto w takich czasach nie chodził uzbrojony? - Ale nie wyglądała ani na mieszkankę Tarisa, ani na kogoś, kto żywi względem niego złe zamiary. Nosiła zakrywający pierś i plecy szary osobisty pancerz, jakby była Mandalorianką, ale bez namalowanych barwnych znaków.

A przecież idzie za mną, uświadomił sobie Fett. Jestem tego pewien.

Jeżeli Kaminoanie wiedzieli, kto schwytał Ko Sai, mieli bardzo dobry powód, żeby nie ścigać sprawców. A wyniki jej badań nigdy nie wypłynęły na światło dzienne.

Fett denerwował się, kiedy nie umiał odgadnąć motywów czyjegoś postępowania. Każdy miał jakiś motyw.

Następnego dnia zamierzał odlecieć na Roonadana i skontaktować się z Puthem. Na wypadek, gdyby jednak przegrał wyścig z czasem, musiał uporządkować swój majątek. Co właściwie zamierzam z nim zrobić? - Zadał sobie pytanie.

Zawsze przypuszczał, że może z tym poczekać, dopóki nie usłyszał niepomyślnej wiadomości. Idąca za nim dziewczyna przyspieszyła i prawie go dogoniła. Znalazła się tak blisko, że mogłaby się z nim zrównać w dwóch szybkich, długich krokach.

Zanim to zrobiła, Fett odwrócił się i z groźną miną, zastąpił jej drogę. Dziewczyna nie wyglądała jednak na zaskoczoną. Wbiła spojrzenie w przesłone jego hełmu, jak przedtem Beviin, co samo w sobie było czymś niezwykłym.

- Jesteś Boba Fett - oznajmiła.

- Masz dobry wzrok - odparł łowca nagród.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Bez względu na to, na czym polega twój problem, nie stać cię na mnie - powiedział Fett.

- Problem w tym, czy ciebie stać na mnie.

W pierwszej chwili Fett pomyślał, że źle zrozumiał jej intencje, ale dziewczyna wyciągnęła ku niemu zaciśniętą pięść, wyprostowała palce i pokazała mu płaski dysk z opalizującego kamienia, mieniącego się złotem, czerwienią, błękitem i fioletem. Przez otwór blisko krawędzi przeciągnięto skórzany rzemyk.

To był klejnot zwany ognistym sercem. Fett wiedział to, bo podobny ofiarował Sintas Vel w prezencie ślubnym. Kamień pochodził z jej macierzystej planety, z Kiffu. Fett miał wówczas szesnaście lat, a Sintas nie była o wiele starsza.

Podobny? Nie, dał jej wówczas dokładnie ten sam kamień, który pokazywała mu dziewczyna. Ten sam klejnot. Miał identycznie rzeźbioną krawędź, identyczny rzemyk. Tekst przysięgi

mandaloriańskiego małżeństwa... Cztery linijki, których nie rozumieliśmy, przypomniał sobie. A zdaniem Sintas kamień zawarł w sobie na zawsze część mojego i część jej ducha.

„Na zawsze” oznaczało trzy lata. Rozstali się, zanim Ailyn ukończyła dwa. Sintas wybrała zawód łowczynie nagród i zniknęła, kiedy Ailyn miała lat szesnaście. Nigdy nie wróciła.

To właśnie dlatego moja rodzona córka była gotowa mnie zabić, uświadomił sobie Fett.

- Skąd to masz? - Zapytał najspokojniej, jak umiał. Od razu zrozumiał, że dziewczyna wie, iż rozpoznał klejnot. Nie było sensu blefować. Nawet nie musiał zadawać sobie tego trudu.

- Od mężczyzny, który zabił twoją żonę - powiedziała. - Twoja córka jest mi winna nagrodę, a ja znam miejsce jej pobytu.

Kawiarenka Carda, bulwar Błękitnego Nieba, Koronet

Han doszedł do wniosku, że najważniejszy jest sposób bycia. Zachowanie.

Siedział w kawiarence przodem do okna i wpatrywał się w smaganą deszczem tafelę transpastali, licząc na to, że zobaczy gdzieś za nią Leię. Obawiał się, że wcześniej czy później ktoś go rozpozna, ale odkąd przestał stawiać dumne, długie kroki i zwracać na siebie uwagę ubiorem, jednym słowem zaczął wyglądać i poruszać się jak każdy mężczyzna - niespiesznie, lekko się garbiąc - uświadomił sobie, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

Był więc jeszcze jednym zwykłym obywatelem Koronetu, popijającym kafeinę i spędzającym wolny czas na bulwarze. Na ścianie za jego plecami wisiał holoe ekran, na którym wyświetlano najnowsze wiadomości HoloNetu. W normalnych okolicznościach potraktowałby głosy z ekranu jak zwykły szum, ale teraz - mimo syku pary z dystrybutora kafeiny - usłyszał bardzo wyraźnie słowa „bomba” i „korelińska”.

Usłyszeli je także wszyscy inni goście. W kawiarence zapadła niezwykła cisza. Barman wyłączył nawet syczący filtr ciśnieniowy dystrybutora. Wszyscy odwrócili się na krzesłach i stołkach w stronę ekranu.

Widać na nim było przerażające sceny z Coruscant. Repulsorowa holokamera pokazywała widok pokiereszowanego frontu hotelu, na którym widniały resztki szyldu z widocznymi literami ELI. Szczątki wisiały na kawałku permabetonu, kołyszącym się na cienkim durastalowym drucie zbrojeniowym. Kamera opadała poziom po poziomie na dno miejskiego kanionu. Lecąc coraz niżej, przesyłała widoki mniej uszkodzonych miejsc, aż w końcu skierowała obiektyw na wstrząsające szczątki zgromadzone na poziomie gruntu: resztki śmigaczy, fragmenty muru i ciał. Han, chociaż przywykł do widoku ofiar wojny, zamknął oczy i odwrócił głowę.

W niezwyklej ciszy wybuchł gwar rozmów gości kawiarni, pałających takim samym oburzeniem.

- To nie nasza sprawka - stwierdziła jakaś kobieta.

- Walczymy czysto.

- Gdybyśmy chcieli zrzucić bomby na Coruscant, użylibyśmy gwiazdnej floty.

- Obwiniają o to nas. Dlaczego? Czyżby do tej pory jeszcze nas nie poznali?

To prawda, terrorystyczne zamachy nie były w stylu Korelian. Mogli się oni dopuszczać sabotażu obiektów wojskowych, ale doskonale wiedzieli, co jest usprawiedliwionym celem, a co nie. Han zastanowił się, czy zamach nie jest przypadkiem dziełem tajnych służb Coruscant i Sojuszu, które postanowiły urządzić rzeź cywilnej ludności, żeby spolaryzować własne społeczeństwo.

Myślę jak szaleniec, uświadomił sobie jednak. O takiej akcji musiałby wiedzieć Luke. A Rada Jedi nie puściłaby tego Senatowi płazem.

Istniało jednak wiele tajnych agencji, które Senat finansował, ale nie nadzorował ich działalności, żeby się później móc wyprzeć jakiegokolwiek związku z nimi. Luke mógł nawet nie wiedzieć o ich poczynaniach. W głębi serca przez całe życie był tym samym prostodusznym, przyzwoitym, pełnym wzniosłych ideałów dzieciakiem.

Może ktoś zamierza się posłużyć gniewem społeczeństwa po eksplozji rzekomej bomby, żeby podbić stawkę i w końcu się do nas dobrać, pomyślał ponuro Han. Ukrył twarz w dłoniach i jakiś czas siedział nieruchomo. Zastanawiał się nad tym, co może zrobić, żeby pomóc Korelii, chociaż nawet nie był na niej mile widzianym gościem. Nie otwierając oczu, wyciągnął rękę po filiżankę z kafeiną, choć nie był całkiem pewny, gdzie ją odstawił.

Na tej ręce spoczęła nagle czyjaś dłoń i męski głos wypowiedział jego imię.

Han już chciał wyszarpnąć rękę z uścisku palców i wyciągnąć blaster, ale zamarł i otworzył oczy. Zobaczył dwudziestokilkuletniego nieznanego mężczyznę o śniadej cerze i krótko przystrzyżonych na modłę wojskową czarnych włosach.

- Znasz mnie? - Zapytał Solo, nadal gotów użyć broni. - Bo ja cię pierwszy raz widzę, kolego.- Za to pańska żona знаła mojego ojca - usłyszał w odpowiedzi. A więc to jest Gejjen, pomyślał Han. Zachowaj spokój, dobrze? Nie wiesz, z kim naprawdę masz do czynienia.

- Udowodnij to - zażądał. Zobaczył za oknem Leię. Żona szła z kapturem tuniki nasuniętym na głowę, żeby osłonić włosy przed mżawką. - Jak nas tu wytropiłeś? Gejjen - jeżeli naprawdę to był on - zniżył głos niemal do szeptu.

- Kiedy wynajmował pan apartament, zapłacił pan niemożliwymi do wysłedzenia kredytami - powiedział. - To duża gotówka... Na tyle, żeby w obecnych czasach zwrócić uwagę.

- Czyją? - Zainteresował się Solo.

- Funkcjonariuszy naszej Służby Bezpieczeństwa.

- A więc KorSek wie, że tu jesteśmy, a Thrackan nie? - Han prawie wypluł to imię. Na szczęście

było na tyle pospolite, że nie zwróciło to niczyjej uwagi; inaczej by było, gdyby wymówił pogardliwym tonem „Sal-Solo”. - Akurat. Spróbuj jeszcze raz.

- A więc zakłada pan, że wszyscy w KorSeku chcieliby donieść u tym Thrackanowi? - Zainteresował się Gejjen.

Han pokręcił powoli głową.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć - burknął.

- No cóż, Korelia to nie to samo co Thrackan. Taką opinię ma wielu naszych obywateli, którzy chcieliby coś zrobić, żeby zmienić ten stan rzeczy.

- Możesz mnie nazwać cynikiem, ale moim zdaniem chodzi tu o zmianę władzy bez rozpisywania nowych wyborów - stwierdził Solo. - Usiłuję przypomnieć sobie słowo, jakim zazwyczaj określa się takie postępowanie.

Gejjen - Han mógł już być niemal pewien, że to on - usiadł przy stoliku obok niego. Do kawiarenki weszła Leia i zobaczyła najpierw męża, a później Gejjena. Lekko się uśmiechnęła, wyraźnie uradowana. Podeszła do stolika i przyjrzała się rozmówcy męża. - Wyglądasz dokładnie jak twój ojciec - oznajmiła.

- Dur Gejjen - przedstawił się cicho młody mężczyzna. Wyciągnął rękę, a Leia nią potrząsnęła. - Do usług, proszę pani.

- Cześć, kochanie - odezwał się Han do żony. - Ten miły młody człowiek zamierza mnie zaprosić do udziału w przewrocie. Przeniósł spojrzenie na Gejjena i wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu. - Czy to jest słowo, o które chodzi?

- To ja go poprosiłam, żeby się tu z nami spotkał - wyjaśniła księżniczka. - Pojawił się po prostu trochę wcześniej.

- Bardzo przepraszam - przerwał Gejjen. - To z przyzwyczajenia... Na wypadek, gdyby ktoś nas wtedy podsłuchiwał. Może dokończymy tę rozmowę gdzie indziej? - Wskazał drzwi. - Możecie wybrać miejsce, żeby mieć pewność, że nie zamierzam was wystawić. - Dobry pomysł - podchwyciła Leia. - Znam takie miejsce.

Skinęła na męża. Han przewrócił oczami, ale dopił pospiesznie kafeinę i wyszedł na siąpiący deszcz. Starał się iść obok Gejjena, żeby go mieć cały czas na oku. Leia poprowadziła ich do sklepu z damską konfekcją.

- Mogę się pożegnać z wizerunkiem twardego - mruknął Han i zawahał się, zanim przeszedł przez ozdobne, połączone drzwi.

- Do turbowindy - poleciała księżniczka, poganiając obu mężczyzn z ostentacyjnym zniecierpliwieniem. - Na najwyższym piętrze mają tu kawiarenkę. Miły, chętnie odwiedzany lokal z kilkoma wyjściami, gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Gejjen całkiem nieźle znosił okazywaną mu nieufność. - Dobry środek ostrożności - pochwalił.

Han pomyślał, że kafeina już chyba nigdy nie będzie mu smakowała, bo zaczynała mu się podświadomie kojarzyć z niepomyślnymi wieściami. Wszyscy troje usiedli przy stoliku, wśród licznych klientek otoczonych hałaśliwymi dziećmi, i starali się nie zwracać na siebie uwagi. Na jednej ze ścian wisiał wszechobecny holoe ekran, na którym wyświetlano najnowsze wiadomości; Korelianie byli chyba od nich uzależnieni. Od informacji na temat eksplozji bomby nie dało się uciec.

- Na czym to skończyliśmy? - Zagadnął Han. - A, już wiem. Na pozbawieniu władzy wybranego rządu. Czym jeszcze mnie chcesz zadziwić, chłopcze? - Wyciągnął w stronę Gejjena rękę z kubkiem. - Śmietanki? Cukru?

- Hanie... - Leia spojrzała na męża ostrzegawczo.

- Przepraszam, kochanie. - Han rozsiadł się na krześle i zaplótł ręce na piersi. - Mów dalej, Gejjen. Młody mężczyzna nie wyglądał na zdenerwowanego.

- Grozi wam niebezpieczeństwo nie mniejsze niż samej Korelii - zaczął. - I z tej samej strony.

- Czyli opętanego władzą galaktycznego rządu? - Domyślił się Solo.

- Opętanych władzą osobników - wyprowadził go z błędu Gejjen.

- Jeżeli wybrać właściwe kryterium, to może oznaczać połowę mieszkańców galaktyki - stwierdził Han.

- Proszę pana, pański kuzyn nie wyświadcza nikomu przysług.

- Nie wybierałem sobie członków rodziny.

- Za to on zamierza zabić członków pańskiej rodziny. Wyznaczył nagrodę za pana, panią Leię i wasze dzieci - oznajmił Gejjen. - A jeżeli nadal będzie sobie poczyniał jak do tej pory, zabije także wielu Korelian, wywołując wojnę, w której nie możemy zwyciężyć. Han nadal nie wiedział, do czego są potrzebni Gejjenowi, ale bardzo nie lubił wyrażać w rodzaju „nie można zwyciężyć”.

- Czyli chcesz, żebyśmy coś zrobili, tak? - Zapytał. - Przeczuwałem, że będziesz miał dla nas jakąś propozycję.

- Jeżeli Thrackan zostanie usunięty, mógłby pan się zastanowić nad zajęciem jego stanowiska - powiedział bez ogródek mężczyzna.

Do licha, pomyślał Solo.

- Mowy nie ma - odparł stanowczo.

W pierwszej chwili nawet Leia wyglądała na oszołomioną tą propozycją.

- Wykluczone - odezwała się w końcu.

- Już to powiedziałem, kochanie - przypomniał mąż.

Gejjen uśmiechnął się z przymusem.

- Nie chciałem wprawiać pana w zakłopotanie - powiedział.

- Dla Korelii zrobię wszystko - zapewnił Han. - Zgadza się także z opinią, że Thrackan, jak zwykle, zamierza rozpętać wojnę dla własnych celów. Istnieje jednak realne zagrożenie ze strony Sojuszu, a

Korelia musi pozostać zjednoczona, jeżeli chce skuteczniej stawić czoło temu zagrożeniu. Niech mi pan da blaster, nie stanowisko. - A zatem nie zamierza pan wrócić na Coruscant?

- Dlaczego miałbym tam wracać? - Zachnął się Han. - Nie uciekamy przed Thrackanem. - Wsunął dłoń pod blat stolika i znalazł dłoń Leii. Żona ścisnęła jego palce tak mocno, jakby zamierzała je zmiażdżyć. - Nie zamierzamy tam żyć w ukryciu. Równie dobrze możemy się ukrywać tu, na Korelii. - Rozumiem.
- To świetnie - mruknął Solo.

- Na szczęście Thrackan chyba uważa, że cały czas przebywacie na Coruscant - stwierdził Gejjen.

- To jeszcze jeden dobry powód, żeby się stąd nie ruszać, prawda? - Zagadnął Han. - Kiedy się zorientujemy, kto przyjął zlecenie Thrackana, prześlemy wam tę informację - zapewnił Gejjen. Wstał i pożegnał się z nimi - poważny, doświadczony mąż stanu w ciele młodego mężczyzny. - Gdybyście chcieli się przeprowadzić, wiecie, gdzie mnie znaleźć. Skoro my was wysledziliśmy, to samo mogą zrobić inni.

- Chyba wiem, kto mógłby mnie znaleźć. - Han powiódł wzrokiem za wychodzącym Gejjenem. Kiedy upewnił się, że zniknął w kabinie turbowindy, odwrócił się do żony. - Jak na doświadczoną dyplomatkę niewiele miałaś do powiedzenia - przygadał jej.

- Jedi nie powinni dyskutować na temat politycznych przewrotów - wyjaśniła żona. - Tak, rozumiem, że to może być kłopotliwy temat - zgodził się Han. - Jak znalazłaś Gejjena?

- Przeglądając bazę danych z nazwiskami użytkowników komunikatorów - powiedziała księżniczka.

Han wybuchnął śmiechem. Wysoka kobieta w jaskrawopomarańczowym kostiumie, który zupełnie do niej nie pasował, odwróciła się i zmierzyła go oburzonym spojrzeniem. - To nawet zabawne - stwierdził Solo. - Zawsze się nam wydawało, że nasza sytuacja przypomina holowideogramy z serii płaszczka i szpady.

- Gejjen nie musi się ukrywać - zauważyła Leia. - Jest wybranym przedstawicielem legalnej partii politycznej, zwanej Demokratycznym Sojuszem, która ma w koreliańskim parlamencie wielu posłów. W połączeniu z posłami Koreliańskiego Frontu Liberalnego tworzą największy blok, ale mimo to Thrackan nadal utrzymuje się przy władzy. - Jeżeli ten łajdak choćby tylko zbliży się do ciebie albo do naszych dzieci, przysięgam, że go zabiję - warknął Solo.

- Naprawdę myślisz, że dałby radę zabić troje Jedi? - Zapytała księżniczka.

- On na pewno nie - odparł Han. - Ale pamiętaj o kontrakcie.

- Myślisz, że to będzie Fett, prawda?

- Tak.

- A ja uważam, że nie - stwierdziła Leia. - Dlaczego miałby się tego podjąć? Ocalił nas przecież przed Yuuzhan Vongami.

- Może dlatego, że interes to interes? - Han uświadomił sobie, że w jego piersi wzbiera dziwna

gorączka, bynajmniej nie od nadmiaru kafeiny. To było zwierzęce i irracjonalne uczucie, wzmagające łomot puls w skroniach. Powodowało gniew i strach... Nie o siebie, ale o Leię, Jainę i Jacena. - Thrackan ma na sumieniu różne brudne sztuczki, ale nigdy jeszcze nie posunął się aż tak daleko. Nigdy dotąd nie wynajmował płatnych skrytobójców. To wszystko zmienia. Uświadomił sobie jasno coś, co do tej pory tylko podejrzewał. Zabiję kiedyś tego łajdaka, pomyślał. Nikomu nie wolno nastawać na życie członków mojej rodziny. Leia zareagowała, jakby powiedział to na głos.

- Nie skontaktujesz się z Fettem i nie wynajmiesz go, żeby zabił twojego kuzyna - powiedziała stanowczo.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru - oburzył się Han. I rzeczywiście o tym nie myślał. Leia jednak doskonale wyczuwała jego podświadome pragnienia. Na nieszczęście trudno mu było ukryć fakt, że w obronie rodziny sam może się stać zabójcą. - A poza tym od dawna nie miałem do czynienia z tą profesją. Może dasz ogłoszenie do „Tygodnika Łowców Nagród” albo się skontaktujesz z ich agentami?

- Zawsze pamiętaj, że my sami potrafimy zatroszczyć się o siebie - odparła księżniczka. - Ostrzegę Jacena i Jainę.

Jacena... Han tęsknił do momentów, kiedy syn się z nim kontaktował albo odpowiadał na wiadomość. Bardzo chciałby z nim znów porozmawiać, ale nie dlatego, żeby go upominać. Po prostu chciał usłyszeć jego głos. Nie wiedział, jakie szaleństwo kazało im opowiedzieć się po przeciwnych stronach, ale Jacen był i miał na zawsze pozostać jego małym chłopcem. Nawet kiedy się zestarzeje i będzie potężny.

Nikomu nie pozwolę tknąć mojej żony ani naszych dzieci, pomyślał znowu.

Han Solo nie był jednym ze skrytobójców spotykanych w galaktyce. Mógł walczyć w obronie własnej, ale nigdy by nie wyruszył za kimś w pościg, żeby go zabić. Zawsze jednak był ten pierwszy raz i Han doszedł do wniosku, że właśnie doszło do takiej sytuacji. Pograżony w zadumie, mieszał łyżeczką resztki kafeiny, usiłując dojść, jakim cudem pianka utrzymuje się tyle czasu. Niebawem wyrwała go z zamyślenia jedyna rzecz, która musiała przyciągnąć jego uwagę: własne imię i nazwisko.

Słowa „Han Solo” dotarły do niego przez gwar głosów i piski dzieci, jakby w kawiarence zapadła na chwilę całkowita cisza.

- W oświadczeniu wydanym przez Urząd Stanu prezydent Sal-Solo stwierdził, że po ataku na Centerpoint i Rellidira Han Solo oraz członkowie jego rodziny mają być uważani za wrogów Korelii, i wydał nakaz ich aresztowania - oznajmił spiker biuletynu informacyjnego HoloNetu.

Han miał ochotę odwrócić się na krześle i przekląć. Z trudem się powstrzymał. Bardzo powoli uniósł głowę, pochwycił spojrzenie Leii i z demonstracyjnym znużeniem zerknął na ekran. Tymczasem wcale nie był znużony. Był wściekły i lekko przerażony. Okazało się jednak, że jest aktorem, bo nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Prawdopodobnie dlatego, że wizerunek na holoeckranie przedstawiał znacznie młodszego Hana Solo, o brązowych włosach i gładkiej twarzy. Wizerunek Leii był także mocno nieaktualny.

- Moim zdaniem powinniśmy już wyjść - stwierdziła księżniczka. - Muszę jeszcze zrobić pranie.
- Idź pierwsza - mruknął Han.

Nie lubił uciekać, zresztą nigdzie nie mógłby się czuć bezpieczny. Na Coruscant także nikt nie zamierzał go powitać z otwartymi ramionami. Tak czy owak oboje byli uciekinierami. Wyszli ze sklepu, rozdzielili się i spotkali dopiero w apartamencie. - Aż tak bardzo się zmieniłam? - Zagadnęła Leia. - Słucham? - Zapytał Solo.

- Chodzi mi o mój portret, który pokazywali w wiadomościach HoloNetu.

- Mam nadzieję - odparł Han. Pewnie powinien był zapewnić żonę, że jego zdaniem wygląda czarująco, jak zawsze, ale doszedł do wniosku, że na razie powinien raczej utwierdzić w niej poczucie bezpieczeństwa. - Na wszelki wypadek zamierzam jednak zapuścić brodę. A ty? Leia spiorunowała go spojrzeniem.

- Nie ogoliłam się dzisiaj - warknęła. - Naprawdę nie zauważyłeś?

- Chodziło mi o to, czy nie zamierzasz zmienić fryzury, czy coś w tym rodzaju - wyjaśnił Han.

- Żeby wyglądała jak Aurra Sing? - Zapytała księżniczka. - To by dopiero było zabawne.
- Cieszę się, że zachowałeś poczucie humoru.

- Wiesz co - stwierdziła Leia, kierując się do kuchni po nożyczki - jeżeli ktoś nie potrafi znieść żartów na swój temat, nie powinien przebywać w towarzystwie osób, które lubią żartować.

ROZDZIAŁ 4

Koreliańskie Sanktuarium na Coruscant zostało zbezczeszczone przez wandali. W nocy ktoś wymalował farbą napisy na ścianach zwieńczonego kopułą budynku koreliańskiej nekropolii i rozbił na kawałki marmurowe płyty pamiątkowe. W samym budynku prawdopodobnie ci sami sprawcy wylupali ze sklepienia wtopione tam syntetyczne diamenty, które powstały z węgla zawartego w skremowanych zwłokach Korelian. Funkcjonariusze policji przypuszczają, że to odwet za wczorajszą eksplozję ładunku wybuchowego w hotelu Elita na napowietrznym szlaku cztery-cztery-sześć-siedem, w której zginęły sześćset trzydzieści cztery osoby, a setki innych odniosły rany. Na razie nikt nie przyznał się do tamtej eksplozji, w której użyto dostępnego w handlu detonitu.

z porannego biuletynu informacyjnego HoloNetu

Górne Miasto, Taris

- Nazywam się Mirta Gev - powiedziała dziewczyna.

Fett wpatrywał się w rękawicę, na której leżał naszyjnik w kształcie ognistego serca. Chciałby go zacisnąć w obnażonych palcach, choć nie miał pojęcia dlaczego. Pierwszy raz od wielu, bardzo wielu lat czuł smutek.

Jego twarz pozostała jednak nieruchoma. Spojrzał na stojącą przed nim dziewczynę. Doskonale umięśniona, nosiła ciężkie buty i praktyczny pancerz. Nie miała żadnych ozdób, a na ramieniu powiesiła zniszczony, bezkształtny worek; jego właścicielka najwyraźniej nie zwracała uwagi na modę. Przechodnie na promenadzie omijali ich szerokim łukiem. - Jesteś łowczynią nagród czy tylko lubisz nosić pancerz? - Zagadnął Fett.

Mirta - jeżeli naprawdę tak się nazywała - dwukrotnie kiwnęła głową, jakby nie mogła dobrać odpowiednich słów. Zupełnie się go nie bała, co było czymś niezwykłym. - Owszem, jestem łowczynią nagród - przyznała w końcu.

- Częściej wprawdzie odzyskiwałam towary niż uciekinierów, ale do tej pory dawałam sobie radę. Nie zapytasz mnie, kto zabił Sintas Vel?

- Nie - odparł Fett.

- Dlaczego?

- Bo rozstałem się z nią bardzo dawno temu.

Mirta wzruszyła ramionami i wyciągnęła rękę po naszyjnik.

- Wiem o tym - oznajmiła. - Opuściłeś żonę, kiedy wasza córka miała prawie dwa lata. A zanim ukończyła szesnaście, Sintas wyruszyła na polowanie i nigdy nie wróciła. Niewiele osób o tym wie. -

To dowód, że znałaś Ailyn Vel - powiedział łowca nagród.

- Muszę jej zwrócić ten naszyjnik - wyjaśniła Mirta. - To jej jedyna pamiątka po matce.

Fett zawahał się, ale zwrócił jej ogniste serce. Bardzo chciałby je zatrzymać, ale nie zamierzał okradać takich dzieciaków jak Mirta z ich skromnych nagród. To wszystko, co pozostało po Sintas, uświadomił sobie. Mnie została po ojcu tylko jego zbroja. Zbroja i statek. - Jak się miewa? - Zapytał. - Słucham?

Dlaczego mnie to interesuje? - Zadał sobie pytanie łowca nagród. - Jak się miewa moja córka?

- Chyba dobrze - odparła Mirta. - Jest wściekła, ale jakoś sobie radzi.

- Na pewno wiesz, że usiłowała mnie zabić.

- Wspomniała o tym...

- Czy wie, że żyję?

- Naturalnie, że tak.

Ailyn ściagała Fetta po całej galaktyce - albo tak się jej wydawało - i zabiła klona, którego wzięła za niego. Jeżeli wiedziała, że jej ojciec żyje, i nie próbowała go znów zabić, mogłoby to oznaczać, że zmieniła zdanie... Ale to nie miało sensu. Zostawiła Sintas oraz swoje dziecko i nie zainteresowała się ich losem, pomyślał. Czy tak traktował cię własny ojciec? Zawsze byłeś dla niego na pierwszym miejscu, pamiętasz? Jakim łajdakiem musi być mężczyzna, który porzuca swoje dziecko!

Każdego dnia Fett myślał o ojcu. Tęsknił za nim tak bardzo, że oddałby wszystko - może nawet życie - za możliwość spędzenia z nim kilku minut... Za okazję dotknięcia go i wyznania, że go kocha. Ale w tej chwili nie mógł znieść tej myśli. Doprowadzało go to do rozpacz, podobnie jak tamtego dnia na Geonosis widok zabitego ojca. A może jeszcze bardziej, bo tamten wstrząs dawno minął. Zastąpiła go zimna kalkulacja, a czasami także tępa, gryząca nienawiść.

- Dlaczego przypuszczasz, że chcę ją znów zobaczyć? - Zapytał. - Nawet bym jej nie poznał. Kiedy ostatni raz ją widziałem, miała niespełna dwa latka. - A więc czemu w ogóle ze mną rozmawiasz? - Zapytała Mirta. Była bystra. Nie zarozumiała ani bezczelna. Po prostu bystra.

Nie poznałbym swojego dziecka, pomyślał Fett. Codziennie widzę w lustrze żywy wizerunek ojca, ale nigdy własnej córki. Trudno mi będzie umierać z taką świadomością. - Dlaczego zależy ci na tym, żebym ją odnalazł? - Zapytał w końcu. - Bo mógłbyś mi zapłacić. - Prawidłowa odpowiedź.

- Po prostu staram się jakoś sobie radzić w bezlitosnej galaktyce. - Ile? - Zapytał Fett.

Dziewczyna się zawahała. Łowca nagród zauważył, że jego rozmówczyni pierwszy raz traci pewność siebie. Nie wie, ile zażądać, pomyślał.

- Pięć tysięcy - odezwała się w końcu Mirta.

Tyle kosztował samopowtarzalny blaster.

- Załatwione - odparł Fett. - Zapłacę, kiedy zobaczę Ailyn Vel i dowód, że to ona. - Nie potrzebował dziewczyny jako przewodnika. Musiał tylko trafić na trop Hana Solo i czekać, aż Ailyn także go

odszuka. Mimo to nie dawał mu spokoju ten naszyjnik. - Masz jakiś środek transportu? - No cóż...

- W takim razie polecisz ze mną na wypadek, gdybyś chciała zrezygnować z wywiązania się ze swojej części umowy - zdecydował Fett. Na pokładzie „Niewolnika 1” będę cię miał na oku, dziewczyno, pomyślał. I tak lecę tam, gdzie mogę znaleźć Ailyn, więc będziesz dla mnie tylko zbędnym balastem. - Tak czy nie? - Zgodna. - A zatem w drogę.

Mirta nie powiedziała ani słowa więcej. Po prostu ruszyła za nim. Nie usiłowała mu wyjaśnić, że musi jeszcze coś załatwić albo zabrać swoje rzeczy; nie zadawała też żadnych pytań. Była albo bardzo sprytna, albo bardzo naiwna. A może cały jej dobytek mieścił się w tym podniszczonym worku, który niosła na ramieniu?

Miała jednak naszyjnik jego żony. Fett wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał zapytać Mirtę, jak go zdobyła i w jaki sposób Sintas straciła życie. Postanowił jednak z tym poczekać. Nie chciał sprawiać wrażenia, że go to cokolwiek obchodzi. Dziewczyna powinna wierzyć, że Fett potrzebuje jej tylko do odnalezienia Ailyn.

Po tylu latach nie rozpoznasz swojej córki, tylko jej statek... Twój stary statek, pomyślał.

Nigdy nikomu nie ufał, ale zawierzył słowom nieznanej dziewczyny, chociaż powinien był raczej szukać Taun We i wyników badań Ko Sai.

Doszedł jednak do wniosku, że jedno nie przeszkadza drugiemu.

A jeśli dziewczyna będzie sprawiać mu kłopoty, zawsze może ją zastrzelić.

Sala Obrad Rady Bezpieczeństwa i Wywiadu gmach Senatu

- Moim zdaniem ty mogłabyś się tym zająć, Maro - podsunął przywódca Omas. - Nie zawsze mamy do czynienia z regularną armią. Kiedy nie musimy walczyć w prawdziwych wojnach, powinniśmy jednak mieć wydzieloną jednostkę sił zbrojnych, która zadba o bezpieczeństwo wewnętrzne.

Bezpieczeństwo wewnętrzne, pomyślał Jacen. Czyli jak zamek u frontowych drzwi i instalacja alarmowa przeciwko intruzom?

Obserwował uczestników rozmowy, oszołomiony szybkością rozwoju sytuacji.

Mara ani drgnęła. Siedziała z nogą założoną na nogę i z rękami zaplecionymi na piersiach. Jacen wyczuwał jej irytację z przeciwległego krańca pokoju, chociaż wcale nie chciał. Starał się nie zerkać zbyt często na Luke'a, który stał przy oknie i patrzył na panoramę wieżowców Coruscant. W konflikcie między członkami rodziny było coś groźnego, o wiele gorszego niż w przypadku nieporozumień między obcymi osobami. Rycerz Jedi odnosił wrażenie, że to zjawisko bardzo

niebezpieczne. Jedi nie powinni żyć w konflikcie z rodziną... I właśnie dlatego nie powinni mieć rodziny.

Ale to nie dotyczy Sithów, przypomniał sobie Jacen. Uczucie przywiązania nie stało w sprzeczności z drogą Sithów. Chyba się nie mylę?

Pokręcił głową. Chwila niezdecydowania zaraz minie, a wówczas... Przestanie mieć wątpliwości, czy motorem jego postępowania nie jest przypadkiem ambicja. Niezdecydowanie dowodziło, że jego pobudki są właściwe. - Dlaczego ja? - Zapytała w końcu Mara. - Byłaś kiedyś agentką wywiadu - przypomniał Omas.

Przewodniczący Rady Bezpieczeństwa i Wywiadu, senator G'vli G'Sil, który siedział w milczeniu obok niego i obserwował Marę, powoli odwrócił głowę w stronę Jacena i Luke'a. Wytrzeszczył na nich oczy, jakby nigdy nie widział żadnego Jedi. Mara nie starała się nawet ukryć niezdecydowania.

- Chętnie wypełnię moje obowiązki względem Sojuszu - zaczęła. - Nie jestem jednak pewna, czy mam wystarczające predyspozycje psychologiczne, aby stanąć na czele... Co tu kryć, formacji tajnej policji - zaczęła z namysłem. - Nie znam na to innego określenia. To nie to samo co szpiegowanie czy nawet zabijanie.

- Tak długo walczyliśmy z Yuuzhan Vongami, że przestaliśmy zwracać uwagę na niebezpieczeństwa wewnętrzne - odezwał się G'Sil. - Przeżyłem jednak już tyle lat, że mogę pamiętać zasadę: kiedy terroryści podnoszą głowę, trzeba działać szybko, bo inaczej się rozzuchwałą i zaczną opanowywać wszystkie dziedziny życia.

Jeżeli już nie zaczęli, pomyślał Jacen. Mózg Świata mówi mi, że terroryści są w ruchu. Zbierają się, spotykają...

- Chciałabym się nad tym zastanowić... - Dorzuciła Mara. Najwyraźniej chciała zyskać na czasie. Dobrze, że nie dokończyła: „...A później nie przyjmę propozycji”.

Luke odwrócił się powoli, wsunął ręce do kieszeni i powiódł spojrzeniem po twarzach zebranych osób. W pierwszej chwili Jacen pomyślał, że mistrz Jedi zamierza się zgłosić na ochotnika zamiast żony, ale to byłoby do niego niepodobne. Wujek Luke wolał stawać ze świetlnym mieczem w dłoni twarzą do przeciwnika i toczyć z nim otwartą walkę. Mistrz Skywalker był zanadto szlachetny i uczciwy, żeby rozumować jak terrorysta. Miał swoje zasady - i czerpał z nich siłę.

- Czas już na nas, szefie - powiedział i skinął lekko głową. - Przekonajmy się, co przyniesie nam kilka następnych dni, a wrócimy do tej rozmowy.

Uklonił się uprzejmie siostrzeńcowi i ruszył do wyjścia. Mara, idąc za nim, obejrzała się przez ramię na Jacena i uśmiechnęła niepewnie. Omas zaczekał, aż wyjdą, po czym spojrzał na rycerza Jedi.

- Chyba rozumiem, dlaczego nikt tego nie chce przyjąć - stwierdził. - W szpiegowaniu przyjaciół nie ma nic heroicznego.

G'Sil parsknął, jakby usłyszał dobry dowcip.

- To potrzebne i słuszne zadanie... Tylko nie dla tego, czyja karta identyfikacyjna jest właśnie sprawdzana. Będzie krzyk o naruszanie praw osobistych - ostrzegł.

- Ludzie będą musieli się do tego przyzwyczaić - przerwał Omas. - Zresztą nie pierwszy raz.

Jacen doszedł do wniosku, że to równie dobra chwila jak każda inna, aby zadać jeszcze raz to samo pytanie. Odwrócił się do Omasa.

- Czy zastanawiał się pan nad problemem, który ostatnio panuj przedstawiłem? - Zapytał.

Przewodniczący Galaktycznego Sojuszu spojrział na niego niepewnie, jakby błędził myślami gdzie indziej.

- Chodzi ci o atak na gwiazdne stocznie, prawda? - Przypomnił sobie. - Tak.

- Porozmawiam na ten temat z admirałem Pellaeonem - obiecał Omas. - Jeżeli on uzna, że sprawa zasługuje na uwagę, przedstawię problem na posiedzeniu Rady Obrony. - Dziękuję panu.

Jacen powinien wrócić do apartamentu i wykorzystać wolny czas na uczenie Bena następnych subtelnych technik władania Mocą, ale musiał przyznać, że jest równie niecierpliwy jak jego młody uczeń. Na czas swojej nieobecności wyznaczył mu zadanie. Ben miał odwiedzić miejsce eksplozji i Koreliańskie Sanktuarium, żeby wyczuć emocje ludzi związane z wydarzeniami kilku poprzednich dni. Zadanie było trudne i niewdzięczne, więc jego wykonanie powinno zająć Benowi cały dzień.

Jacen musiał mieć ten dzień, żeby pozbyć się wątpliwości na temat Lumiya.

Kobieta przebywała cały czas w swoim habitacie na asteroidzie w okolicy Bimmiela. Jacen ją tam wyczuwał. Kiedy się skoncentrował, odbierał jej emocje - dziwną mieszaninę ulgi i prawdy, jeżeli jednak Lumiya potrafi wytwarzać iluzje Mocy, jak to robiła na swojej asteroidzie, może także wprowadzać go w błąd. Może przebywać gdziekolwiek, nawet na Coruscant. Może wysyłać fałszywe emocje. Jacen też to potrafił - umiał zmylić nawet mistrzów Jedi.

Nie jestem z tego dumny, pomyślał ponuro. Ale to niezbędna umiejętność.

Wyszedł z gmachu Senatu i skierował się do odnowionej Świątyni Jedi. Stała od tysiącleci w tym samym miejscu, chociaż dziś wyglądała całkiem nowocześnie. Jej zniszczenie podczas wojny z Yuuzhan Vongami można byłoby porównać z przygaszeniem przez wiatr płomienia świecy. Kiedy wiatr ucichł, płomień znów zapłonął... Równie jasny i nieruchomy jak poprzednio.

Jacen ruszył szeroką aleją do wejścia Świątyni. Dzięki platformie, na którą wiodły stopnie z różowawego marmuru, kompleks świątynny górował nad otaczającymi go budowlami. W najbliższej okolicy nie widziało się zresztą kamiennych kanionów, od których roiło się w pozostałej części Galactic City. W pobliżu Świątyni przeważała niska zabudowa, a z transpatalowej piramidy rozciągał się widok, którego Coruscanie nie oglądali zbyt często: zamiast ciągnącego się po horyzont gęstego lasu drapaczy chmur - otwarta przestrzeń. Nie było tu wprawdzie trawiastych równin, tylko

permabeton, kamień i transpastał, ale i tak był to na Coruscant bardzo rzadki widok.

Architektura Świątyni i wystrój wewnątrz były na wskroś nowoczesne, lecz niektórym pomieszczeniom, a wśród nich sali obrad Rady, nadano taki sam wygląd, jaki miały przed wojną. Jacen widział w tym raczej tradycjonalizm niż szacunek, zupełnie jakby zakon Jedi nie życzył sobie zmian i wyzwania, które zakłócałyby wrażenie ciągłości. Rycerz Jedi zawahał się i stanął w miejscu, splatając dłonie. Zobaczył tu coś, czego nigdy przedtem nie dostrzegł: ambicję.

Ujrzał też umiłowanie władzy i statusu społecznego. Zobaczył deklarację niewzruszonej trwałości. „Wróciliśmy. Nigdy więcej nie pozwolimy się już stąd usunąć”. Rycerz Jedi niemal słyszał jak kamienie do niego przemawiają.

Nie wyczuwał tylko duchowości i to mu się nie podobało. Nic dziwnego, że Luke nalegał na usunięcie oznak nowej władzy z sali obrad Rady. Jacen wzdrygnął się, kiedy uświadomił sobie dotyk przyziemnej ambicji. I pomyśleć, że niedawno się obawiał, iż to żądza władzy wabi go na ścieżkę Sithów.

Opuścił ręce wzdłuż boków i postarał się wyczuć coś, co by wyjaśniło przenikające budowlę wrażenie trzymania się władzy za wszelką cenę. Poczłł niemal świerzbienie w palcach. Po chwili to uczucie przeniosło się na pierś, niczym symbiont, który przeniknął do jego ciała.

Może odbieram tylko ambicje architektów, rzemieślników i budowniczych, powiedział sobie. Nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

Tyle że większość prac przy odbudowie Świątyni wykonały konstrukcyjne automaty. Jacen jednak cały czas czuł wokół żądze władzy - władzy za wszelką cenę. Ta żądza narastała przez całe wieki niczym osad na brzegach przastarej rzeki. Nigdy przedtem tego nie wyczuwał.

Surowość i prostotę wewnątrz z marmuru i pleekdrewna przełamywały tylko wiernie odtworzone popiersia najwybitniejszych mistrzów Jedi. Stały w niszach, dokładnie tak samo jak przed wojną z Yuuzhan Vongami, a nawet jeszcze wcześniej, zanim Świątynia spłonęła podczas czystek, do jakich doszło po przejściu władzy przez Palpatine'a. Jacen przystanął, omiół spojrzeniem korytarz i ruszył dalej.

Wielu obywateli sprzeciwiało się kosztownej powojennej rekonstrukcji Świątyni, bo na odbudowę czekało wiele innych, ważniejszych obiektów. Niektórzy nie widzieli w tym sensu, ale władze obstawały przy swoim. Członkowie Rady Jedi oznajmili, że pragną powrotu do normalności.

Wujek Luke nigdy nie postrzegał roli zakonu w taki sposób, pomyślał rycerz Jedi.

Jakim cudem go do tego namówili?

Dobrze wiedział, gdzie się znajduje, i ta świadomość go przerażała. Miał bardzo wyczulony zmysł miejsca i czasu. Gdyby cofnął się o pięćdziesiąt dziewięć lat, ale nie zmienił odległości od jądra planety ani od jej północnego bieguna, stałby obok swojego dziadka, Anakina Skywalker'a. Przecież mogą to zrobić, uświadomił sobie.

Umiał dryfować w czasie, chociaż trochę się tego bał. Zdecydował się prawie nieświadomie. Cofnął się w czasie i stopił z rzeczywistością. Zobaczył młodego jasnowłosego Jedi z niezapalonym świetlnym mieczem w dłoni. Otaczali go żołnierze w białych pancerzach. Jacen widział ich od tyłu. Kiedy młody Jedi odwrócił głowę, Jacen zobaczył, że drgają mu mięśnie twarzy. Wyczuwał jego determinację i przerażenie.

Nikt się nie odzywał. Zakuci w białe pancerze żołnierze jakby czegoś szukali. Rozglądali się na boki i raz po raz unosili lub opuszczali lufy karabinów. Działo się tu coś groźnego. To Anakin, doszedł do wniosku rycerz Jedi. Anakin Skywalker trzymał oburącz rękojeść świetlnego miecza.

Na ułamek sekundy Jacen zespolił się z emocjami dziadka. Poczul, że jego serce wypełniają groza i odraza... Ta sama groza i odraza, jakie wyczuwał, kiedy Lumiya wyjawiała mu prawdę o jego przeznaczeniu. Jacen miał nieodparte przeczucie, że lada chwila wydarzy się coś straszliwego i krwawego.

Trzeba powrócić do rzeczywistości. Już kiedyś ktoś go przyłapał, jak dryfuje w czasie, i zmusił do wycofania. Tym razem Jacen nie mógł jednak od razu się wycofać. Musiał jeszcze jakiś czas zostać w przeszłości, bo bez tego nie ośmieliliby się wybiegać myślami w przyszłość.

Może będę mógł zapytać dziadka, jak wstąpił na ścieżkę Sithów, pomyślał. To by mi pomogło rozwiązać moje problemy.

Ponownie dotknął emocji Anakina i porównał je ze swoimi emocjami. Wyczuł coś, czego nie czuł w sobie: wrażenie rozpaczliwej, przerażającej straty. W pierwszej chwili nie umiał jej zidentyfikować, ale po chwili wrażenie okrzepło. Jacen czuł ściskanie w gardle i łzy palące oczy. Powróciła przelotna udręka, jaka ogarnęła go w chwili rozstania z Tenel Ka i z córeczką. Anakin cierpiał i był przerażony z powodu rozłąki z Padme.

Wrażenia dziadka nie były jednak przelotne... Emocja wypełniała cały jego umysł. Siłą, która popchnęła Anakina na Ciemną Stronę, była tragiczna miłość. Świadomość tego wprawiła Jacena w osłupienie. Emocje dziadka były takie przyziemne i... Egoistyczne. Rycerz Jedi poczuł, że zalewa go fala ulgi - jego emocje miały zupełnie inne podłoże. Gorąco zapragnął porozmawiać z dziadkiem za wszelką cenę Poczul przyływ miłości do człowieka, którego nigdy nie znał... A który pomógł przywrócić równowagę w Mocy. Jesteś szalony, pomyślał. Posuwasz się za daleko. Jak możesz nawet myśleć o tym, żeby wywrzeć wpływ na przeszłość?

Tym bardziej, że nic nie wiedział o tej przeszłości, dopóki nie zobaczył podchodzących do Anakina młodych uczniów Jedi. Byli przerażeni, ale mocno trzymali świetlne miecze. Powiedzieli, że żołnierzy jest zbyt wielu, aby dało się wypędzić ich ze Świątyni.

Anakin popatrzył na nich z góry, zapalił klingę własnego miecza świetlnego i dopiero wówczas Jacen odebrał jego emocje. Dominowały smutek, wstyd i poczucie obowiązku. Anakin zaczął zabijać Jedi. Robił to przez wzgląd na Padme.

Działał systematycznie, chociaż bardzo emocjonalnie. Jacen wiedział o czynach swojego dziadka, ale oglądanie tego na własne oczy, odczuwanie i przeżywanie było czymś przerażająco nowym i

wstrząsającym. Uświadamiał sobie rozpaczliwą, zwierzęcą siłę emocji Anakina.

Nieprawda, pomyślał. To jeszcze jedna z nikczemnych sztuczek Lumiya. Wcale tego nie widzę i nie odczuwam.

A później jeden z zakutych w pancerz szturmowców uniósł karabin. Jacen wyrwał się z przeszłości i z bijącym sercem wrócił do chwili obecnej. Dziadku... - Jęknął w duchu.

- Dobrze się pan czuje, mistrzu? - Zapytała go młodzianka uczennica. Dziewczynka, z promiennym uśmiechem na twarzy koloru polerowanego ebonitu, trzymała komputerowy notes. - Może przynieść panu trochę wody? - Nie, nic mi nie jest - skłamał Jacen. - Dziękuję ci bardzo. Trochę tylko kręci mi się w głowie. Nic więcej.

Dziewczynka kiwnęła z szacunkiem głową i odeszła, nie odrywając spojrzenia od ekranu notesu.

Jacen poczuł, że zbiera mu się na mdłości, ale zapanował nad tym i odsunął od siebie przeżyty wstrząs. Zdobył wiedzę, której nigdy nie da rady się pozbyć. Poznał prawdę o chwili szaleństwa Anakina, który zgodził się dokonać rzezi niewinnych Jedi, chociaż wiedział, że to coś potwornego. Nie takiego człowieka Jacen znał i rozumiał dzięki opowiadaniom matki i wuja.

Czy posunąłbym się tak daleko dla mojej żony? - Zadał sobie pytanie. Czy odgadłbym,

w którym miejscu potrzeby osobiste biorą górę nad poczuciem obowiązku?

Zebrał wszystkie siły, uzbroił się w cierpliwość i postanowił poczekać na przybycie kabiny turbowindy. Odwracał spojrzenie za każdym razem, kiedy obok niego ktoś przechodził. Podejrzewał, że widzą walkę toczącą się w jego duszy, chociaż mógł być pewny, że umie ukrywać uczucia nawet przed innymi Jedi.

Nie jestem moim dziadkiem, powiedział sobie.

Oczekiwanie naabinę trwało chyba całą wieczność.

Ciekawe, kto chciał, aby Jacen zobaczył na własne oczy upadek Anakina?

Walcząc z napływającymi do oczu łzami, uderzył pięścią w guzik na kontrolnym panelu.

- Pospiesz się - jęknął. - Dlaczego to trwa tak długo?

Przechodzący w pobliżu dwaj uczniowie spojrzeli na niego... I szybko go minęli. Oto moja wiedza, pomyślał. Oto mój ból. Muszę się z nim pogodzić, aby zrozumieć, że nie popełniam tego samego błędu co dziadek.

Jacen dobrze wiedział, czym jest miłość. Był także starszy i o wiele bardziej doświadczony niż Anakin Skywalker w tamtych czasach. Umiał się uporać z emocjami, które nim teraz szarpały.

Nie zamierzał wykonywać niczyich rozkazów, więc mógł zostać Sithem bez obawy, że pozwoli się uwikłać w coś złego. Nie chlubił się tym obowiązkiem... Bo to był obowiązek, nie złudzenie. Nie powtórzy błędów dziadka. Był już tego pewien.

Wraz z ulgą ogarnęły go niewysłowiony smutek i niedowierzanie. Mógł wprawdzie zapytać dziadka o powody jego postępowania, ale służyłoby to bardziej zaspokojeniu ciekawości niż uzyskaniu spokoju ducha. Pytania może zadawać później, kiedy już zostanie Lordem Sithów i w końcu zapewni galaktyce stabilność i pokój.

Do tej pory może będzie gotów stawić czoło prawdzie o hańbie dziadka.

W końcu drzwi kabiny turbowindy się otworzyły. Jacen wjechał na wyższy poziom, do odnowionej Sali Tysiąca Fontann i usiadł między obrosniętymi roślinnością jeziorkami, żeby pogрузić się w medytacji. Wiedział już, co powinien teraz zrobić. Musi poddać próbie Lumię. Chciał mieć pewność, że zgodnie z obietnicą kobieta pomoże mu poznać pełnię wiedzy Sithów. Musiał się przekonać, czy nie zamierza go wykorzystać do własnych celów. Taka ewentualność powinna była go przerazić, ale zamiast tego ogarnęło go rozkoszne wrażenie zupełnego spokoju. Zaczynał docierać do absolutnej prawdy, zarówno o wszechświecie, jak i o samym sobie.

Skrzyżował nogi i pogрузił się w medytacji. Pozwolił, żeby jego świadomość wyszła z Mocy... Nie jak otwarta dłoń, ale jak rozkazująca pięść.

Lumiyo, pomyślał. Przybądź, Lumiyo.

Przyleć na Coruscant, żeby odpowiedzieć na moje pytania.

Koreliańskie Sanktuarium, Coruscant

To było jedno z najbardziej ponurych miejsc, jakie Ben kiedykolwiek odwiedził.

Wyczuł samotność już na pięćdziesiąt metrów od drzwi Koreliańskiego Sanktuarium. Przed budynkiem trzech mężczyźni - jeden z nich bardzo stary - zdrapywali jaskrawoczerwoną farbę, która ściekła po wypolerowanej, złoto-czarnej marmurowej mozaice ścian zwieńczonego niewielką kopułą mauzoleum. Kiedy podchodził do Sanktuarium, wszyscy trzech zmarszczyli brwi i spojrzeli na niego podejrzliwie. Ben nie był pewny, czy ma się odezwać. - Czego tu szukasz, chłopcze? - Zapytał najmłodszy pracownik. - Chciałbym zajrzeć do środka, proszę pana - odparł Ben.

Bądź uprzejmy, bądź pokorny, przypomniał sobie. Jacen uczył go, że jeżeli będzie traktował ludzi z szacunkiem, oni też będą go tak traktowali. - Mogę?

- Jesteś Jedi?

Zawsze zdradzał go brązowy płaszcz.

- Tak - przyznał Ben.

- Dlaczego chcesz zajrzeć do środka?

- Mój wujek jest Korelianinem - wyjaśnił młody Skywalker i nawet nie skłamał. Naprawdę chciał się czegoś dowiedzieć o Korelianach, a poza tym musiał się wywiązać z zadania, jakie zlecił mu Jacen. - Mogę?

Mężczyźni gapili się na niego dłuższą chwilę, a w końcu spojrzeli po sobie. - Ja go oprowadzę - zaproponował najstarszy.

Ben zawahał się na progu. Drzwi do kolebkowo sklepionego przedsionka wyglądały, jakby ktoś otwierał je siłą. Młody Jedi wszedł za starcem do mrocznego wnętrza, a kiedy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, przekonał się, że znajduje się w pomieszczeniu o pochłaniających światło czarnych ścianach.

Spojrzał w górę. W kopulastym sklepieniu iskrzyły się bryłki nieoszlifowanych diamentów tworzących zarysy gwiazdozbiorów.

- To poddany kompresji węgiel powstały podczas kremacji zmarłych Korelian - wyjaśnił starzec. - Zamienił się w diamenty.

Dokładnie tak wygląda nocne niebo na Korelii. - Dlaczego to zrobiliście? - Zapytał Ben.

- Dla upamiętnienia Korelian, którzy nie mogli wrócić do domu w czasach Nowej Republiki. - Stary pracownik kopnął kawałki permabetonu na posadzce. Ben zauważył, że niektóre noszą ślady czarnej farby... Tak głęboko wandale skuli tynk. - To namiastka wiecznego spoczynku na ojczystej planecie.

- Odnaleźliście wszystkie kamienie, które wyłupiono? - Zainteresował się młody Jedi. - Nie.

- Kto mógł chcieć ukraść diamenty powstałe ze zwłok? - Zapytał zdumiony Ben. Starzec spojrział na niego i zmarszczył brwi.

- Niektórzy ludzie nie przejmują się tego rodzaju drobnostkami - powiedział.

Był rozgniewany. Ben rozumiał jego uczucia. Pochylił się i pomógł mu zbierać szczątki. Sprawdzał każdy kawałek tynku, czy nie znajdzie w nim fragmentów diamentu. Te klejnoty to przecież resztki czyichś ciał. Kiedy sprząтали, jeden z młodych pracowników wszedł do mauzoleum. Miał mniej więcej osiemnaście lat; krótkie blond włosy, zlepione jakimś żelem, sterczały jak kolce.

- Nie możemy stać bezczynnie i pozwolić, żeby uszło im to płazem - odezwał się do Bena.

- Komu ma to ujść płazem? - Zagadnął Ben.

- Coruscanom.

- Wiesz, czyja to robota? - W mauzoleum panowało echo niezupełnie świadomej złośliwości, ale Ben nie wyczuwał układanych z premedytacją spisków, nienawiści czy świadomej chęci zbezczeszczenia Sanktuarium. Dopiero teraz zrozumiał, co Jacen miał na myśli, mówiąc o „bezmysłnej przemocy”. Niektórzy ludzie w ogóle nie zastanawiali się nad swoimi postępkami. - Jeżeli tak, powinniście to powiedzieć CSB.

- Eee, nie sądzę, żeby potraktowali to poważnie - odparł młody mężczyzna. - Są zajęci szukaniem Korelian, którzy podobno podłożyli tamtą bombę.

Ben zaczął zamiatać podłogę, ale starzec zabrał mu szczotkę i sam się tym zajął. Młody Skywalker wyczuł promieniującą od niego lekką urażę. Pochylił głowę, chociaż stary pracownik był odwrócony

do niego tyłem, i wyszedł na dwór. Zmrużył oczy przed boleśnie jaskrawym blaskiem słońca. Jasnowłosy dozorca wyszedł za nim. Obaj usiedli na wiodących do Sanktuarium marmurowych stopniach barwy miodu.

- Nazywam się Barit Saiy - przedstawił się blondyn i wyciągnął rękę do Bena. Młody Jedi z powagą ją uścisnął.

- A ja mam na imię Ben - powiedział.

- Mówiłeś, że masz koreliańskich krewnych? - Zapytał Barit.

- Tak...

- Po czyjej stronie się opowiadasz?

- Jestem Jedi - przypomniał Ben. - Jedi nie opowiadają się po żadnej stronie.

- Tak ci się wydaje? - Barit się roześmiał, ale bez wesołości. Wkrótce każdy będzie się musiał opowiedzieć po tej albo po tamtej stronie, bo władze starają się narzucić wszystkim własne reguły. Nienawidzę ich. Mój dziadek twierdzi, że powróciły czasy Imperium. - A jednak mieszkasz tu, na Coruscant - stwierdził młody Jedi.

- Tu się urodziłem, podobnie zresztą jak mój ojciec - odparł Barit. - Moi rodzice są właścicielami warsztatu naprawczego na Q-65. Nigdy w życiu nie byłem na Korelii. - Mógłbyś tam zamieszkać, skoro tak ci się tu nie podoba.

- Czy to by ich powstrzymało od traktowania nas w taki sposób?

Benowi zaczynały się mylić znaczenia powtarzających się w rozmowie słów „my” i „oni”. Przemierzał galaktykę w towarzystwie rodziców, więc nie znał tak dobrze Coruscant jak kilkunastu innych planet.

Barit był jednak bardzo rozżalony. Jego dawno tłumiony gniew mógł się stać naprawdę niebezpieczny. Do tej pory Ben nie uświadamiał sobie, jak mocno są przywiązani do Sanktuarium mieszkający na Coruscant Korelianie.

Postanowił ostrożnie wysondować Barita.

- W wiadomościach mówią, że eksplozja bomby miała miejsce w hotelowym pokoju wynajętym przez Korelianina, który przyleciał tu, aby załatwić jakąś sprawę - powiedział. - Zawsze wygadują takie bzdury. - Barit oparł łokcie na kolanach, objął prawą ręką nadgarstek lewej i zaczął się przyglądać przechodniom na pobliskiej promenadzie. - Idę o zakład, że to ich sprawa. - Czyja?

- Władz. CSB. Organów bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu - wyliczył Barit. - Ciągłe robią takie szpiegowskie sztuczki. Sami podłożyli bombę i teraz zwalają winę na nas. Chcą mieć pretekst do zaatakowania Korelii.

Ben pamiętał, co zrobił zaledwie kilka tygodni wcześniej... Pomógł zniszczyć stację Centerpoint, radość i dumę koreliańskich wojskowych. A mimo to siedział tu i rozmawiał z Korelianinem, którego zdaniem Galaktyczny Sojusz dopuszczał się podłych sztuczek i który traktował Bena jak swojego

rodaka. Młody Skywalker, mimo dreszczy emocji, jaki zwykle ogarnia tajnego agenta, poczuł się paskudnie.

Zrobił to, bo musiał.

Prawda?

- A co myślą inni mieszkający tu Korelianie? - Zapytał.

Barit wzruszył ramionami.

- Jest nas tu bardzo wielu - zaczął. - A większość nie chce, żeby Galaktyczny Sojusz im rozkazywał.

Ben, słysząc to, uwierzył, że mimo wszystko dojdzie do wybuchu wojny, dokładnie jak przewidział Jacen... On też to wyczuł, zauważając niepokój w Mocy.

- Chcesz wrócić na Korelię i zaciągnąć się do wojska? - Zagadnął. Barit zniżył głos do szeptu.

- Dlaczego miałbym to robić, skoro możemy równie dobrze walczyć tu, na Coruscant? - Zapytał.

Ben zastanowił się nad jego słowami. Dorośli często mówili mu rzeczy, których naprawdę nie powinni. Prawdopodobnie uważali, że i tak jest zbyt młody, aby to zrozumieć. Czasami Ben rzeczywiście nie rozumiał, ale zawsze pamiętał, co mu powiedziano. A już na pewno nie był zbyt młody, żeby zrozumieć słowa Barita.

To tylko słowa, pocieszał się. Wszyscy mówimy głupstwa, kiedy jesteśmy rozżaleni. Wiedział jednak, że zapamięta odpowiedź Barita.

ROZDZIAŁ 5

Moje honorarium wyniesie pięćset tysięcy kredytów za Hana Solo i drugie tyle za jego syna. Jeżeli zależy panu także na kobietach rodziny Solo i na Skywalkerach, będzie pan musiał za nich coś dorzucić. Pamiętam dzieciaki Solo, ale nie sądzę, żeby mnie rozpoznały...

Ailyn Habuur, znana także jako Ailyn Vel, łowczyni nagród, w rozmowie z pośrednikiem Thrackana Sal-Solo

Miejskie lądowisko, dolny Koronet, Korelia

Han Solo miał wyostrzone zmysły jak każdy przemytnik, który zawsze starał się unikać kłopotów. Odkąd jednak stał się szanowanym obywatelem, trochę wyszedł z wprawy. A poza tym ukrywanie się w mieście podczas pokoju wymagało trochę innych umiejętności. Zamierzał się przekraść pod osłoną ciemności do miejsca parkowania „Sokoła Millenium”, żeby sprawdzić stan jednostki napędu nadświetlnego. Musiał przy niej jeszcze popracować. Budynek z wynajętym apartamentem dzieliły od miejskiego lądowiska dwa kilometry. „Sokół” stał pośród zbieraniny jednostek o najróżniejszych kształtach i rozmiarach. Statek o powgniatanym i porysowanym kadłubie na ogół wyróżniał się wśród dziesiątków frachtowców, zmodernizowanych myśliwców, śmigaczy, powietrznych taksówek, lądowików i innych zmodyfikowanych, niemożliwych do rozpoznania jednostek, ale Korelianie słynęli z przerabiania swoich środków transportu, więc jeden więcej stary frachtowiec w kiepskim stanie nie powinien zwrócić większej uwagi. Prawdę mówiąc, „Sokół” nie był nawet jedynym statkiem swojej klasy spośród jednostek zaparkowanych przed hangarem.

W różnych odległościach od „Sokoła” stały trzy inne podobne frachtowce.

Spokojnie obszedł sterburkę statku, przycisnął guzik ukrytego w kieszeni zdalnego sterownika systemu bezpieczeństwa i zaczął czekać, aż opadnie rampa lądownicza, żeby wejść na pokład. Kiedy dotarł do sterowni, włączył urządzenia kontrolne i obserwował, jak budzą się do życia lampki i wyświetlacze wskazujące stan pokładowych urządzeń i podzespołów. Poczł się jak w domu. Tak było zawsze, odkąd sięgał pamięcią. To właśnie tu spędził niektóre najważniejsze chwile życia. To tu spędzał czas w towarzystwie przyjaciół, na przykład Chewiego, i tu uświadomił sobie, kim naprawdę jest. Permabeton i murarska zaprawa nic dla niego nie znaczyły. „Sokół” był czymś więcej niż domem... Był także rodziną.

W rozmaitych okresach jego życia przez sterownię przewinięły się wszystkie osoby, które kiedykolwiek kochał.

Poklepał z uczuciem przegrodę konsoly.

- Cześć, dziecinko - powiedział. - Jak się miewasz? Postarajmy się, żebyś się czuła jak najlepiej.

Jednostka napędu nadświetlnego była nadal kiepsko zestrojona. Han musiał popracować przy uzwojeniach i wtryskiwaczach, żeby przekazywały dokładnie wymagane ilości energii w odpowiednich porcjach. Niektóre naprawy sprowadzały się do prostych zabiegów mechanicznych, jak dobór właściwego wskaźnika durastali dla śrub poszycia i wytwarzających pola trzpieni.

Bez względu na to, jak skomplikowany byłby system napędowy, wyzwolone przez energię ogromne siły musiały przejść przez części ze staromodnej durastali i elementów ze stopu, dzięki którym jednostka napędowa została przytwierdzona do kadłuba.

Niewielkie wibracje mogły się wzmaczać i wcześniej czy później spowodować katastrofę statku.

Han sprawdził automatyczny system przesyłania fal dźwiękowych przez materiał kadłuba, żeby się przekonać, czy w płytach pancerza albo w kadłubie nie pojawiły się wywołane przez naprężenia mikroszczeliny. Znalazł kilka, skupiających się wokół obudowy jednostki napędowej. Jeżeli zamierzał zmusić „Sokoła” do osiągnięcia maksymalnej prędkości, powinien wymienić wsporniki i śruby. Chwycił narzędzia i zanurkował głową naprzód w głąb kanału remontowego jednostki napędowej, żeby osobiście obejrzeć uszkodzenia. Lubił brudzić sobie ręce; postrzegał problem w kategorii brył metalu, z którymi trzeba robić porządek. No dobrze, a w jaki sposób mógłbym zrobić porządek z Thrackanem? - Zadał sobie pytanie.

W teorii rozwiązanie tego problemu było proste. Powinien sprawdzić, gdzie kuzyn przebywa w danej chwili, znaleźć się w pobliżu, strzelić do niego i uciec.

W praktyce było to nieporównanie trudniejsze. To właśnie dlatego ludzie pokroju Fetta, podejmując się wykonania takich zadań, zarabiali fortuny.

Mogę zrobić porządek z Thrackanem, ale wtedy jego miejsce może zająć któryś z jego sługusów, pomyślał. Czy zawsze będziemy musieli uciekać?

Ale dziś chodziło tylko o Thrackana. To była - jak zwykle - sprawa osobista. Tylko krewnego można było darzyć tak silną nienawiścią. Han sprawdził moment obrotowy, którym miał przykręcać śruby, i odczytał wartość z wyświetlacza na rękojeści narzędzia. Śruby miały trochę luzu... Nie tyle, żeby mógł to zauważyć nawet dobry mechanik, ale wystarczająco dużo, żeby dało się to wykryć za pomocą czułych przyrządów. Gdyby Han został zmuszony do ucieczki „Sokołem”, nie mógłby rozwinąć maksymalnej szybkości, jeżeli nie chciał, żeby kadłub rozpadł się na kawałki.

- O rety, dziecinko, ależ cię zaniedbałem... - Westchnął. Nastawił klucz na odkręcanie śrub. Wyrzucił jedną po drugiej na podstawioną dłoń drugiej ręki, a zanim przykręcał śrubę z powrotem, zaopatrywał ją w prowizoryczną podkładkę z miękkiego stopu. To powinno wytłumić wibracje, przynajmniej dopóki nie znajdzie odpowiednich części zapasowych. - Przysięgam, że już nigdy nie

dopuszczę, żebyś znalazła się w takim stanie.

- Wzruszające - usłyszał dobiegający z góry głos i odruchowo się skulił. Przyciągnął kolana do piersi, dzięki czemu błyskawica blasterowego strzału trafiła w pokład o centymetry od miejsca, w którym leżał.

Wtoczył się pod osłonę i wyciągnął używany podczas napadów mały blaster. Kolejna błyskawica wbiła się z sykiem w przegrodę obok niego. Han wyczuł woń przypalonego lakieru i ozonu. Wczołgał się jeszcze głębiej pod osłonę. Ktoś, kto próbował się do niego dobrać, musiałby rozpląszczyć się na pokładzie i strzelić poziomo nad płytami. Jednego mógł być pewny: to nie Fett. W przeciwnym razie Han już dawno by nie żył. Odwrócił się na brzuch, oparł łokieć na płycie pokładu przedziału silnikowego, żeby przeczołgać się na gładką powierzchnię, i ścisnął blaster w drugiej dłoni. Trudno mu było rozglądać się w tej pozycji, ale zauważył poruszający się cień. Domyślił się, że to czyjeś buty. - Wyłaź stamtąd, Solo - odezwał się napastnik. Mężczyzna, prawdopodobnie młody. Nie przedstawił się, a zatem nie służył w KorSek. Jakiś przypadkowy facet, doszedł do wniosku Han. Żadny sławy, a może także nagrody... - Wydawało ci się, że nikt nie rozpozna twojego statku, co?

Han wstrzymał oddech, ale nie odrywał spojrzenia od płyt pokładu. Śledził grę światła i cieni, z której wynikało, że ktoś się przechadza tam i z powrotem przed osłoną jednostki napędowej. Solo był uwięziony pod ścianą metalu i miał tylko jedną drogę ucieczki: w stronę napastnika. Świetnie, pomyślał, żaden problem. Był jednak wściekły na siebie, że zapomniał nastawić alarm przeciwko intruzom na pokładzie. Jeszcze większa wściekłość ogarniała go na myśl, że jakiś obcy wpakował się na pokład jego statku. To była ostateczna zniewaga. W tej pozycji jego pole widzenia miało jakieś sto pięćdziesiąt stopni.

Przełączył kciukiem blaster na ogień ciągły i oparł łokieć na płycie pokładu. Zauważył krew na grzbiecie dłoni i domyślił się, że musiał się skaleczyć o coś ostrego, ale nic nie poczuł.

A jeżeli ten gość ma kumpli, którzy zapewniają mu wsparcie? - Pomyślał.

- Chodź i wyciągnij mnie stąd, chłoptasiu - prychnął pogardliwie.

Nieznajomy zrobił kilka kroków, jak wynikało z gry światła i cieni. - Nie masz dokąd uciec - oznajmił.

Han puścił strumień ognia z lewej na prawo... Na wszelki wypadek, aby się upewnić, że coś trafi. Usłyszał głośny wrzask, pełen zdumienia i bólu. - A ty już nigdy nie zatańczysz - powiedział.

Usłyszał głuchy stuk i bolesny jęk. Strumień ognia z blastera musiał w kogoś trafić, bo Han zobaczył błysk i poczuł woń spalenizny. Wiedział, że nie zabił napastnika, co oznaczało, że sam nadal musi tkwić pod osłoną jednostki napędowej. Zastanowił się, jak się spod niej wydostać, i doszedł do wniosku, że musi się poruszać bardzo powoli. Chwilę później usłyszał pełen zdumienia okrzyk, któremu towarzyszył charakterystyczny, znajomy brzęk. Klinga świetlnego miecza zatoczyła w powietrzu łuk... Jeden, dwa, trzy razy. Później zapadła głucha cisza. Han wstrzymał oddech i leżał nieruchomo.

- Możesz już stamtąd wyjść, staruszku - usłyszał głos Leii, w którym brzmiał lekki niepokój. - Zrobiłam tu porządek zamiast ciebie.

- Dzięki.

- Widziałeś kiedyś bothańskiego studniopajaka? - Księżniczka ukłękła, pochyliła się i zajrzała pod osłonę. - Walczy jak ty. Kryjąc się w norze, wystrzeliwuje w kierunku drapieżników żrące nici. Nic na to nie poradzę, ale twoja sytuacja mi go przypominała... Sytuacja i chude, długie nogi.

Han zaczął się gramolić spod osłony silnika. Ciekawe, ile otarć i siniaków będzie miał następnego ranka, zastanowił się. Zawsze był sprawny fizycznie, ale kiedy się ma sześćdziesiąt lat, obrażenia nie goją się równie szybko jak wówczas, kiedy się miało dwadzieścia.

- Wydaje ci się, księżniczko, że jesteś dowcipna, co? - Obruszył się.

- To ma być podziękowanie? - Zapytała Leia. - Pomyślałam, że lepiej będzie mieć na ciebie oko.

- Bo wyczułaś niebezpieczeństwo? - Domyślił się Solo.

- To też, ale poza tym wiem, jak się zachowujesz, kiedy zaczynasz myśleć o tym statku. Zapominasz o całym świecie.

- Tak, miłość jest ślepa - przyznał niechętnie mąż.

Chciał się wyprostować, ale uderzył o coś głową i zaklął. Kiedy stanął prosto, zobaczył żonę pochyloną nad ciałem, niewątpliwie martwym. Mężczyzna miał na sobie cywilne ubranie i najwyżej trzydzieści lat. Raczej nie uda mu się dożyć trzydziestu jeden. Leia trzymała w dłoni rękojeść świetlnego miecza i rzeczywiście była zdenerwowana. Pokręciła głową, jakby nie mogła przywyknąć do nowego uczesania. Zamiast sięgających niemal do pasa warkoczy miała teraz rozpuszczone i krótsze włosy. - Ładnie ci w nich - stwierdził Solo.

- Czuję się dziwnie - wyznała księżniczka. - Jakbym miała lżejszą głowę.

- Powiadają, że w długich włosach dojrzałe kobiety wyglądają starzej - pocieszył ją Han.

- Szukasz guza, nerfopasie? - Odcięła się Leia.

- Jakbyśmy nie mieli ich wystarczająco dużo.

- Chyba powinniśmy stąd zniknąć.

- A co ze zwłokami? - Zaniepokoił się Han.

- Kiedy odlecimy, wyrzucisz je przez śluzę.

- Odkąd to taka miła dziewczyna jak ty umie robić takie rzeczy?

- Ty mnie tego nauczyłeś.

- Miło wiedzieć, że się do czegoś przydaję. - Han przytwierdził pokrywę osłony silnika i oboje skierowali się do sterowni. Poczuli się jak za dawnych czasów... Ale tamtych czasów Han naprawdę nie chciał przeżywać na nowo.

- Dokąd? - Zapytała Leia.

- Na Coruscant - odparł mąż. - Po części zapasowe.

- Tam nikt nas nie będzie ścigał - westchnęła księżniczka. A przynajmniej nie będzie się starał nas

zabić.

- Luke będzie mógł przedsięwziąć odpowiednie środki przeciwko buntownikom. - Automaty i Noghri też się ucieszą z naszego powrotu.

Han przesłał energię do silników i nastawił się psychicznie na pomyślny rozwój sytuacji.

- Zamierzałem tam wrócić dopiero po naprawieniu jednostki napędowej - powiedział. - Bardzo rozsądnie - przyznała Leia, która automatycznie zaczęła pełnić obowiązki drugiego pilota. Han poczuł się, jakby miał obok siebie Chewiego... Prawie, bo pewnych luk nie była w stanie wypełnić nawet żona. - Czy to cecha męskiego charakteru? Czasami mężczyzna musi przestać uciekać... I tak dalej.

- Muszę być gotów na powitanie Thrackana, kiedy nadejdzie odpowiednia pora - odparł Han.

Księżniczka nie odpowiedziała. „Sokół” wystartował bez przeszkód i Solo wpisał parametry kursu na Coruscant. Był gotów przyspieszyć do maksymalnej prędkości, gdyby koreliańska Kontrola Ruchu Powietrznego wpadła na ten sam pomysł, co niedoszły zabójca, którego ciało ochładzało się szybko w przedziale remontowym pod nimi. Statek prześlizgnął się jednak między napowietrznymi szlakami i bez żadnych kłopotów - jeżeli nie liczyć automatycznej, rutynowej wymiany sygnałów transponderów - dotarł do punktu, z którego można było wskoczyć do nadprzestrzeni.

- Powinienem był się dowiedzieć, jak ten gość nas znalazł - odezwał się Han. Leia leciutko uniosła brwi.

- Będę pamiętała, żeby zapytać o to następnym razem, zanim powstrzymam innego typa przed zabiciem ciebie, kochanie - odparła.

Han zwiększył prędkość „Sokoła” do wartości tak bliskiej maksymalnej, jak mógł się odważyć. Oboje Solo spędzili trzy godziny, jakie zajęło im pokonanie dzielących ich od Coruscant dwudziestu tysięcy lat świetlnych, śledząc wskazania wyświetlaczy i mierników. Mieli nadzieję, że jednostka napędowa się nie rozsypie. Kiedy dotarli do przestworzy Coruscant, kadłub „Sokoła” zaczął dziwnie dygotać, jakby statek kołysał się na falach wzburzonego oceanu.

Leia pochyliła się do przodu i z widocznym niepokojem sprawdziła temperaturę jednostki napędowej oraz inne odczyty. Spojrzała na męża.

- Jesteś pewien, że wylądujemy w jednym kawałku? - Zagadnęła.

Han wzruszył ramionami. Był pewny tylko tego, że nie może wprowadzić jej w błąd. - Nie, ale zaufaj mi - powiedział.

Z odległości siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy kilometrów odebrał sygnał namiarowy Galactic City. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, więc obrał kurs na jedno z publicznych lądowisk z dala od centrum miasta. Zastanowił się, co zrobiłyby władze, gdyby знаły jego prawdziwą tożsamość. Cóż, chyba nic. Znajdował się w cywilizowanych przestworzach; tutejsze władze mogłyby mu najwyżej zadać kilka trudnych pytań na temat sympatyzowania z Korelią, gdyby ktokolwiek tutaj wiedział, że podczas kryzysu na Tralusie towarzyszył Antillesowi. Władze nie miały jednak o tym pojęcia, więc

zawsze, kiedy chciał, mógł wylądować jako kapitan H. Solo. A gdyby władze się dowiedziały, że toczył walkę przeciwko Galaktycznemu Sojuszowi, mogłyby go zaprosić na przesłuchanie, po którym nastąpiłaby skomplikowana zabawa z udziałem prawników.

Mimo wszystko to była Coruscant - planeta, na której kierowano się prawem i przestrzegano konwencji. Ludzie na niej nie znikali... Chyba że w opanowanych przez świat przestępczy podziemiach.

Han postanowił jednak na wszelki wypadek, że nie wyłączy anonimowego transpondera, który identyfikował „Sokoła” jako frachtowiec z Tatooine. Dopiero później wizualne sprawdzenie albo termiczna sygnatura mogły zdradzić, że statek jest uzbrojony, ale frachtowiec był bardzo stary, a w obecnych czasach wielu ekscentrycznych handlarzy latało zmodyfikowanymi okrętami z demobilu. Jednostki takie miały na ogół duże ładownie i poręczne obronne uzbrojenie, bez którego nie można było się obejść w dzikszych rejonach galaktyki, załatwiając interesy.

Wbudowany w konsolę komputer rozmawiał cicho z Kontrolą Ruchu Powietrznego Galactic City. Wymieniał informacje, które pojawiały się na ekranie w postaci linijek liter i symboli. W końcu ukazała się tam wiadomość przeznaczona dla ludzkich oczu: „Zgoda na lądowanie w doku BW-9842 między 12. 45 a 15. 45”.

- Bardzo dobrze. Przygotuj się do lądowania w doku - odezwał się Han. - Nie uprzedziłeś mnie - zdziwiła się Leia.

- Bo się nie spodziewałem, że jednostka napędowa może wylądować wcześniej niż reszta statku - wyjaśnił mąż.

Księżniczka zmarszczyła czoło. Nie odrywała spojrzenia od konsoli. Po jej twarzy tańczyły białe i zielone plamy światełek od przyrządów. Han zerknął na żonę, czy nie widać po niej przerażenia, jakby pewność siebie Leii była gwarancją bezpiecznego lądowania. Kadłub „Sokoła” drżał coraz wyraźniej. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale co pięć sekund pojawiały się regularne, chociaż ledwo wyczuwalne przerwy, jakby przestawało bić czyjeś serce. Od czasu do czasu dawał się także słyszeć cichy pomruk przemieszczających się części. Pilot mógł to usłyszeć tylko pod warunkiem, że zna statek równie dobrze jak swoje ciało. A Han właśnie tak znał „Sokoła”. Leia też go doskonale znała. Spojrzała na męża i mrugnęła. - Wszystko będzie dobrze - oznajmiła. - Przełącz na podświetlony - polecił Han. - Jest podświetlony - potwierdziła żona otrzymany rozkaz.

„Sokół” znów zamruczał. Han zauważył, że zbieleły mu kostki dłoni, którą ścisnął rękojeść dźwigni drążka sterowniczego. Im silniej go trzymał, tym intensywniejsze wibracje wyczuwał i tym bardziej się niepokoił.

- Włączam napęd manewrowy - oznajmił. Silnik włączył się z charakterystycznym pomrukiem i rezonansem. Nie wygłupiaj się, dziecińko, pomyślał Solo. To najzwyczajniejsze w świecie lądowanie. Masz za sobą takich przynajmniej milion. Postaraj się pozostać w jednym kawałku. - Odległość pięćset tysięcy kilometrów.

- Dokonuję poprawki kąta podejścia - zameldowała Leia.

- Postaraj się, żeby były dwadzieścia cztery stopnie.

- Poprawiam na dwadzieścia cztery.
- Tak trzymaj.

Na ekranie komputera nawigacyjnego pojawiły się uporządkowana siatka linii i liczb oraz symbol przedstawiający „Sokoła”.

Statek leciał kursem, który zapewniał bezpieczne podejście do lądowiska na skraju Galactic City. Na znajome dźwięki i odgłosy wibracji nałożył się rytmiczny dygot, który Han natychmiast uznał za niepokojący.

- Tylko tego nie mów - odezwała się ostro Leia.

- Czego? - Zdziwił się mąż.

Że masz złe przeczucie.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy - skłamał Solo.

- Ale mnie przyszło. - Księżniczka nie odrywała spojrzenia od konsoly. - Bo ja także mam takie przeczucie.

Plac Jądra, Coruscant

Przybywała Lumiya. W odpowiedzi na wezwanie Jacena bez obawy leciała na Coruscant.

A Jacen ją wyczuwał. Zauważył, że może ją śledzić - ją i jej emocje - prawie tak wyraźnie, jakby ją widział.

Obok niego siedział Ben. Zachowywał się niezwykle cicho. Zaplótł rude włosy w warkocz, tak krótki, że z trudem udało mu się go przewiązać kawałkiem brązowego materiału. Rycerz Jedi od razu to zauważył. Chłopak siedział skulony, jakby starał się ukryć warkocz. - Zły dzień na obcięcie włosów? - Zagadnął Jacen.

Codziennie bardziej lubił i podziwiał Bena. Chłopak szybko dorastał, i to zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym, a po upływie ostatnich tygodni stał się naprawdę mężczyzną. Jacen nie chciał jednak, żeby Ben stracił młodzieńcze poczucie humoru, które w najbliższych latach miało mu być bardzo potrzebne.

- Ja... Uhm... Doszedłem do wniosku, że powinienem zacząć je zapuszczać. - Rumieniec na twarzy Bena niemal dorównywał kolorowi jego włosów. - Czy to wygląda bardzo głupio?

- Wcale nie - zapewnił rycerz Jedi. - Oficjalnie nie jesteś jednak moim uczniem, więc nie musisz nosić warkoczyka, jeżeli nie chcesz.

- Chcę.

- Świetnie. Doskonale.

- Na kogo czekamy?

Nienawidzę siebie za to, że go okłamuję, pomyślał Jacen. Ale nie mam innego wyjścia. - Na kobietę, która przeprowadzi dla nas pewne badania - powiedział. - Analizę wojskowego zagrożenia. - Zdecydował się na podjęcie jeszcze jednego ryzyka, ale dawne imię Lumiya było dosyć popularne,

więc nie powinno zwrócić niczyjej uwagi i wykluczało możliwość przejęzyczenia. - Ma na imię Shira. Od czasu do czasu będziesz ją widywał. - Przecież możemy dostać taką analizę od Rady Bezpieczeństwa i Wywiadu - zdziwił się Ben.

- Chcę, żeby na problem spojrzął także ktoś niezależny - wyjaśnił rycerz Jedi. - Nigdy nie dość informacji. - Szturchnął żartobliwie kuzyna pod żebro. Musi wreszcie uporać się ze wstrząsem, jaki przeżywał wciąż na nowo, odkąd zobaczył, jak jego dziadek popełnia zbrodnię. - A skoro już o tym mowa, nie przedstawiłeś mi jeszcze swojej analizy zagrożenia. Ben otworzył szeroko oczy. Bardzo chciał zadowolić swojego mentora. - Jakiego zagrożenia? - Zapytał.

- Czekam na twoje wrażenia z miejsc, które odwiedzałeś - przypomniał rycerz Jedi. - Nie zebrałem ich wiele na miejscu eksplozji, i to nie tylko dlatego, że funkcjonariusze CSB nie pozwolili mi dotrzeć do samego centrum - zaczął Ben. - Za to Koreliańskie Sanktuarium... Co tu gadać, przyprawiło mnie o dreszcze. - Dlaczego? - Zainteresował się Jacen.

- Rozmawiałem z kilkoma Korelianami, którzy robili tam porządki - zaczął wyjaśniać młody Skywalker. - Wygląda na to, że nienawidzą Coruscant. Przyznaję, że tego nie rozumiem.

- Coruscant już kiedyś miała na pieńku z Korelią - przypomniał Jacen. - Ale oni nas nienawidzą, a mimo to mieszkają tu.

- To kosmopolityczna planeta - wyjaśnił rycerz Jedi. - Mieszkają tu obywatele wielu planet, z którymi w przyszłości możemy toczyć wojny.

- Ale... Jacenie, jeżeli oni mówią, że będą walczyć z nami tu, na Coruscant... - Tak mówią? - Zainteresował się Jacen.

- No cóż, przynajmniej tak powiedział jeden z nich, trochę starszy ode mnie - wyznał Ben. - Prawdopodobnie to tylko przechwałki.

Jacen uświadomił sobie, że nagle przejście Bena do świata dorosłych, chociaż niepewne, bardzo go wzruszyło.

- Zawsze trzeba uważać na wszystko, co może doprowadzić do wojny - powiedział. - Czasami to pełna błaźnina, ale może mieć katastrofalne skutki.

- To chaos jest naszym prawdziwym wrogiem, prawda? - Domyślił się Ben.

Jacen się zdumiał. Oto jeszcze jedna, głęboko przemyślana uwaga, które ostatnio chłopiec wygłaszał coraz częściej. Z pewnością miała tu znaczenie jasność umysłu, tak młodemu człowiekowi konwenanse nie zdążyły wypaczyć toku rozumowania.

Wypowiedziana przed chwilą opinia mogła pochodzić z repertuaru Sithów. Ben zostałby dobrym uczniem, było po temu mnóstwo powodów. Jego sumienność stawała się niezwykła.

- Tak przypuszczam - odpowiedział Jacen Benowi. - W galaktyce dzieje się najlepiej, kiedy jej mieszkańcy mogą żyć w stabilizacji.

Nie odrywał spojrzenia od przecinających wielki plac przechodniów. Wiedział, że Lumiya nie będzie na tyle głupia, żeby pojawić się w swoim egzotycznym nakryciu głowy i z biczem świetlnym w dłoni. Wreszcie wyczuł, że kobieta się zbliża, ale postanowił ją odszukać tylko za pomocą zmysłu wzroku.

Nie uprzedził jej, że będzie w towarzystwie Bena. Chciał się przekonać, jak Lumiya zareaguje na jego obecność i co Ben powie na jej widok. Jego kuzyn jeszcze nie przypomniawszy sobie wydarzeń na asteroidzie w okolicy Bimmiela, ale przestał zadawać pytania na ten temat. Mniej więcej w odległości stu metrów Jacen zauważył kobietę w średnim wieku w gustownym kostiumie - gładka tunika i spodnie - tak ciemnoczerwonym, że wyglądał jak czarny. Podobnego koloru woalka zakrywała jej twarz z wyjątkiem oczu, przesłoniętych zwiewną jak mgiełka wstawką z opalizującego jedwabiu. Taki rodzaj nakrycia głowy był popularny na prażonych przez promienie słońca, pokrytych pyłem planetach i chyba zaczynał się stawać modny także w stolicy. Jacen od razu się zorientował, że to Lumiya. Wzmocnił swoją obecność w Mocy, żeby przyciągnąć jej uwagę. Kobieta skrzyła w jego stronę, jakby go zauważyła.

Im bliżej podchodziła, tym mocniej Jacen wyczuwał w niej kobietę Sitha, która bardzo się stara ukryć swoją obecność w Mocy.

Prawie się jej udało.

- Czy to ona? - Zagadnął Ben.

Lumiya znajdowała się już bardzo blisko; było oczywiste, że zauważyła Jacena i kieruje się do niego. Musiała także zobaczyć Bena, ale rycerz Jedi nie wyczuł jej reakcji w Mocy. Lumiya znieruchomiła krok przed nim i uniosła czarną foliowaną teczkę na wysokość piersi. Trzymała ją oburącz jak tarczę. Na ramieniu nosiła miękką, bezkształtną czarną torebkę. Jacen podejrzewał, że zna jej zawartość. - Witam cię, mistrzu Solo - powiedziała.

Ładna zagrywka, zwłaszcza że zmieniła nawet ton głosu, pomyślał Jacen.

- Nie jestem mistrzem, ale dziękuję ci, Shiro - rzekł. Odwrócił się do Bena. - A to mój uczeń, Ben Skywalker... Naturalnie nieoficjalny uczeń.

- Jestem pewien, że już kiedyś panią widziałem - odezwał się Ben. W jego głosie brzmiała dezorientacja, ale w emocjach nie wyczuwało się śladu dowodu na to, że rozpoznaje w kobiecie Brishę, która nie spodobała mu się na asteroidzie w okolicy Bimmiela. - Miło mi panią poznać.

- Mogłeś mnie spotkać gdzieś na terenie uniwersytetu - stwierdziła Lumiya. - Mam dopiero trzynaście lat - przypomniawszy Ben.

- Naprawdę? - Zdziwiła się kobieta. - W takim razie to nie mogło być tam. -

Wyciągnęła do Jacena teczkę, niczym pani profesor pracująca na uniwersytecie. - Oceniałam tu aktualne wojskowe możliwości Korelii i planet, które najprawdopodobniej opowiedzą się po jej stronie - stwierdziła. - Czy chciałbyś, żebyśmy razem przejrzyli te raporty? Doskonała aktorka, pomyślał rycerz Jedi. Umie wytwarzać iluzje rozciągające się także na świat materialny.

- Moglibyśmy się udać do Świątyni Jedi - podsunął. Dla Sitha to byłaby pokusa i zarazem wyzwanie, pomyślał. - Jest tam sporo zacisznych miejsc, gdzie możemy porozmawiać. Benie, chcesz nam towarzyszyć?

Spodziewał się, że kuzyn będzie nalegał, bo jego żądza wiedzy rozciągała się nawet na spotkania, które większość dorosłych uznalaby za nudne. Ben jednak spuścił głowę, jakby zawstydzony.

- Czy mógłbym zamiast tego odwiedzić Centrum Operacyjne Floty? - Zapytał. - Pani admirał Niathal powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu.

Jacem się tego nie spodziewał.

- Naturalnie, że możesz - pozwolił.

Ben poważnie kiwnął głową, odwrócił się i ruszył przez wielki plac. Gdy tak szedł, wyglądał jak młody mężczyzna.

- Syn Luke'a szybko dorasta - zauważyła Lumiya, unosząc woalkę.

- Nie przejmuj się, ciebie nie rozpoznał - pocieszał ją rycerz Jedi. - Dlaczego kazałeś mi tu przylecieć?

- Chciałem z tobą podyskutować o tym, co zaczęliśmy omawiać u ciebie w domu - odparł Jacen.

- Wyczuwam, że wiele o tym rozmyślałeś.

- O tak. - Jacen wstał i gestem zachęcił Lumiye, żeby podążyła za nim. Nie lubił być nieruchomym celem. Wprawdzie na razie nic mu nie zagrażało, ale trudno się pozbyć dawnych przyzwyczajęń. - Prawdę mówiąc, nie myślałem właściwie o niczym innym. - Czy jesteś gotów? Pozwolisz, żebym ci pomogła osiągnąć twoje przeznaczenie? - Tak.

Lumiya odwróciła głowę, jakby chciała zobaczyć wyraz jego twarzy. Jacen widział tylko jej oczy... Żywe i zielone, w których płonął nieustanny gniew. Wyczuł, że Lumiya stara się świadomie dotknąć jego umysłu.

- Jestem do twojej dyspozycji - oznajmiła cicho.

- Nigdy dotąd nie byłaś w Świątyni Jedi, prawda? - Zapytał rycerz Jedi. - Nigdy. To może być ciekawe przeżycie - odparła.

- Mam nadzieję, że umiesz tłumić swoją ciemną energię. - Czy właśnie tę moją umiejętność chciałbyś poddać próbie?

- Muszę wiedzieć, na ile bezpieczny mogę się czuć w twoim towarzystwie - wyjaśnił Jacen. - Nie ma lepszego sposobu przekonania się o tym niż sprawdzenie, czy dasz radę przejść niepostrzeżona przez Świątynię Jedi.

Wydawało mu się, że Lumiya się uśmiechnęła. Zauważył lekkie drgnięcie jej gładkiej skóry wokół oczu i poczuł się nieswojo.

- Skoro dałam radę przeniknąć w szeregi Rebeliantów... - Zaczęła Ciemna Jedi. - Nie byłaś wówczas

Sithem - przypomniał Jacen.

- Ukrywałam się wiele dziesięcioleci. - Lumiya opuściła woalkę. - Mogę ukrywać się w nieskończoność... Wszędzie.

Tajemny mistycyzm Lumiyi mogła poznać tylko garstka osób w galaktyce. A mimo to Jacen zanim sobie uświadomił, przywołał powietrzną taksówkę i wsiadł do niej z mistrzynią Sithów - ot tak, po prostu. Rozkoszował się bezsensownością tej sytuacji. Całą drogę do Świątyni nie zamienili ani słowa.

W pierwszej chwili rycerz Jedi uznał nawet swoją sytuację za zabawną. Piloci taksówek to, jak wiadomo, plotkarze; Jacen mógł sobie świetnie wyobrazić, jak pilotujący ich pojazd Weequay zwierza się później innym pasażerom: „Tak, wiozłem kiedyś jedną z tych kobiet Sithów”. Pilot jednak nigdy nie miał się dowiedzieć, kogo wiozł.

A jeżeli Lumiya mnie wykorzystuje? - Zadał sobie pytanie rycerz Jedi. Kto nauczy mnie drogi Sithów, jeżeli będę musiał...

Przyłapał się na myśli, że jeżeli Lumiya zechce się zemścić na Jedi, a przynajmniej na jednym konkretnym Jedi, może będzie musiał ją wyeliminować. Dobrze wiedział, co oznacza to słowo.

Zadziwiło go znowu, jak łatwo było wykonać następny niewielki krok w kierunku, który całe życie uważał za zły.

- Wyląduj tu, proszę - polecił pilotowi.

Lumiya szła obok niego wiodącą do Świątyni promenadą. Jacen wyczuwał, że kobieta otoczyła się czymś w rodzaju niewidocznego kokonu. Uświadamiał sobie promieniujący od niej niepokój, w którym jednak sugestia ciemności została zredukowana do umiarkowanego podniecenia, jakie okazywałaby każda niewyszkolona istota ludzka. Lumiya przeszła przez imponujące drzwi wejściowe i zareagowała jak wszyscy pozbawieni wrażliwości na Moc: zamarła w bezruchu i zaczęła się rozglądać. Gdyby nie woalka, rycerz Jedi mógłby przysiąc,

że Lumiya ma szeroko otwarte nie tylko oczy, ale także usta. - Co za przejaw materialnej wspaniałości, prawda? - Zapytał.

- Deklaracja sprawowania władzy na zawsze - odparła cudownie zagadkowym tonem Lumiya.

Przekonajmy się, ile jeszcze pokus dasz radę wytrzymać, pomyślał młody Solo.

Zaprowadził ją w kilka miejsc, do których miały prawo wstępu nawet niewrażliwe na Moc osoby, ale nikt nie zastąpił mu drogi. Nazywał się Jacen Solo, więc nikt nie kwestionował jego prawa do zapraszania niewtajemniczonych gości. Dla osiągnięcia pożądanego skutku nie musiał się nawet posługiwać technikami Mocy; aura świadomej woli często otwierała więcej drzwi niż pełniąca funkcję przepustki karta identyfikacyjna. W końcu zaprowadził Lumię do Sali Tysiąca Fontann. Wiedział, że tylko bliskość miejsca medytacji może ją zmusić do wyjawienia prawdziwych intencji - na przykład żądzy zemsty - a on od razu by to wyczuł. Oprócz tego zamierzał ją poddać jeszcze jednej

próbie, ale musiał ją do niej przygotować trochę ostrożniej.

Chciał, żeby Lumiya znalazła się na tyle blisko Luke'a Skywalkera, aby miała szansę się na nim zemścić.

Prawdziwe emocje mógł wyzwolić tylko widok dawnego ukochanego - a zarazem dawnego wroga.

Przeszli teraz przez cieplarnię pełną egzotycznych roślin, które sprowadzano z całej galaktyki. Od Lumiya promieniowały cały czas ciekawość i lekkie zaskoczenie. W sali medytowało tylko kilkoro Jedi, więc Jacen bez trudu znalazł wolną ławkę między dwoma drzewami assari, których gałęzie kołysały się lekko mimo braku wiatru. Woda omywała ogromny granitowy głaz, spadała z niego kaskadami i tworzyła strumyk, który znikał pod gałęziami krzewów bhansgrek.

- Wolałbym, żebyś została na Coruscant - odezwał się rycerz Jedi. - Jeżeli właśnie tego pragniesz... - Odparła Lumiya.

- Załatwię ci mieszkanie w bezpiecznym domu. - Jacen rozumiał, że to nieodpowiednie miejsce na omawianie szczegółów. - Chcę się także dowiedzieć, jakie otrzymam następne instrukcje.

- Najważniejsza będzie szybkość - stwierdziła Lumiya.

Sam dobrze wiem, jak szybko toczą się wydarzenia, zachnął się w duchu rycerz Jedi. - Dlaczego? - Zapytał.

- Odnoszę takie samo wrażenie jak ty... Że stoimy na krawędzi następnej wojny - wyjaśniła. - Wiem także, że zmieniłaby ona galaktykę nie do poznania.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek w oficjalnej historii zdarzył się czas zupełnie bez wojny - stwierdził młody Solo.

- To jeszcze jeden powód więcej, żeby zmienić przyszłość - zauważyła Lumiya.

Jacen oprowadził ją po Świątyni, wszędzie tam, gdzie mógł wejść w towarzystwie gościa, ale żaden Jedi nie zareagował na jej widok. Lumiya nie zdradziła ani razu cienia emocji sugerujące że zależy jej na czymś innym poza tym, co zapowiedziała: że chce mu pomóc zostać najwyższym Lordem Sithów.

Spojrzał na wyświetlacz chronometru i przyszedł mu do głowy szalony pomysł. Przywykł do wsłuchiwania się w podszepty Mocy, więc wiedział, że wkrótce dobiegnie końca planowane na ten dzień zebranie członków wielkiej Rady.

Nadeszła chwila, w której mógł wykorzystać wszystkie swoje badania sposobów wykorzystywania Mocy. Ostatnie luki w poznaniu Mocy wypełni, stając się Sithem. Techniki Sithów to tylko jeszcze jedna broń, powiedział sobie.

Same w sobie nie były dobre ani złe. Po prostu istniały - niczym blaster, który można równie dobrze użyć do popełnienia morderstwa, jak i do obrony. Wszystko zależy od tego, kto go trzyma i kto stoi w zasięgu rażenia.

Jacen doskonale to wiedział.

- Mam pytanie - odezwał się w końcu. - Jak zmienić przyszłość... W dobrym kierunku? - Kilka najbliższych tygodni pokaże, co jeszcze musisz wiedzieć - odparła Lumiya. - Czy to ty zorganizowałaś tamtą eksplozję? - Zapytał rycerz Jedi.

Lumiya roześmiała się, częściowo z niedowierzaniem, częściowo z oburzeniem.

- Nie muszę stwarzać chaosu, Jacenie - stwierdziła półgłosem. - Ludzie aż nazbyt chętnie robią to sami. Nie, nie miałam z eksplozją nic wspólnego.

Jacen znów zerknął na wyświetlacz chronometru. Tak, musiał to zrobić w tej chwili. Nadszedł czas na ostateczną próbę szczerości jej zamiarów. - Przespacerujmy się - zaproponował.

Poprowadził ją korytarzami do głównych kuluarów, przez które wiodły przejścia do sali obrad wielkiej Rady. Lumiya powinna była wyczuć obecność Luke'a, chodziło jednak o to, żeby Luke nie wyczuł jej w Mocy. Na wypadek, gdyby jej umiejętności nie wystarczyły do zmylenia wielkiego mistrza Jedi, Jacen skupił się i zaczął otaczać Lumię iluzją Mocy. Nie chodziło mu o to, żeby sprawiała wrażenie zwykłej osoby, ale musiał ukryć, że Lumiya jest Sithem.

Jestem szalony, uświadomił sobie. A jeżeli się mylę? A jeżeli Luke jednak ją wyczuje? Kto pomoże ci zdobyć całą wiedzę Sithów, jeżeli Lumiya zostanie zabita albo uwięziona?

Jacen już dawno postanowił, że podda Lumię tej próbie; doszedł do wniosku, że nie ma wyboru. Musiał to zrobić. Musiał uwierzyć, że jego reakcje nie są impulsami, które można podawać w wątpliwość, ale przemyślanymi decyzjami. Spokojnie, pomyślał. Zaufaj sobie.

Na widok zbliżającego się Luke'a skończył otaczać Lumię iluzją Mocy i przykrył ją własnym niezachwianym spokojem.

Bez trudu mógł zataić czyjąś tożsamość przed zwykłymi ludźmi, ale tym razem musiał się skoncentrować i wyczerpać wszystkie siły, bo chodziło o zmylenie mistrza Jedi, samego Skywalkera.

Podchodząc do nich, Luke obejrzał się kilka razy, jakby ktoś za nim podążał. Na widok Jacena lekko skinął głową, a na Lumię właściwie nie zwrócił uwagi; jakby bardziej interesował się tym, co znajduje się w głębi korytarza.

Jacen wyczerpał umysł, żeby iluzja Mocy trwała. Czuł się, jakby miał w piersi kulę żaru, która zaraz przepali go na wylot. A Lumiya... Lumiya, zmniejszona do miniaturowych rozmiarów w samym środku tej kuli, nie pałała żądzą zemsty ani nie starała się ukrywać prawdziwych intencji. Naprawdę się niepokoiła, że może zostać wykryta, zanim zdąży wykonać swoje zadanie. Luke wyglądał teraz na zdezorientowanego.

Nagle Jacen odgadł, co rozprasza uwagę wuja. Mistrz Jedi czuł, że coś jest nie w porządku, ale nie był pewny, skąd napływa to wrażenie.

Wyczuwał obecność Lumiya, ale bardzo słabo. Tego Jacen mógł być pewny. - Dzień dobry, wujku - odezwał się.

- Cześć, Jacenie. Dzień dobry pani. - Luke ledwo spojrział na Lumię i zaraz znów zwrócił uwagę na siostrzeńca. - Gdzie jest Ben? - Zapytał.

- Admirał Niathal oprowadza go po Centrum Operacyjnym Floty. - Rycerz Jedi wiedział, że jak zawsze po zakończeniu obrad Rady, Luke spieszy na spotkanie z Omasem. - Masz czas, żeby napić się z nami kafeiny?

Tak jak Jacen się spodziewał, Luke pokręcił głową.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Może później. - Bardzo się starał ukryć dręczący go niepokój przed towarzyszącą Jacenowi nieznaną osobą. Kiwnął uprzejmie głową Lumiya i jeszcze raz obejrzał się za siebie. - Do widzenia pani - pożegnał się.

Obserwowali, jak się oddala. W końcu Lumiya wypuściła powietrze z płuc. - Nie musiałeś tego robić - stwierdziła. Jacen jednak nie zrezygnował z wytwarzania iluzji Mocy.

- Uważam, że musiałem - oświadczył.

- Moje problemy z Lukiem Skywalkerem to sprawa dawno zapomniana. - Naprawdę?

- Naprawdę. Gdybym chciała go dopaść, nie potrzebowałabym cię jako przewodnika - zapewniła. - Spróbuj wreszcie zrozumieć, o co toczy się gra. To coś więcej niż nasze drobne osobiste porachunki. - Uniosła foliowaną teczkę. - Czas już na mnie - dodała.

Jacen wyczuł napływający od niej impuls silnego gniewu, ale jej wierzył. Wydarzenia rozwijały się tak, a nie inaczej, bo były jego przeznaczeniem. Coraz bardziej godził się z tą myślą.

- Odprowadzę cię - zaproponował.

Przeszli przez główne drzwi i przystanęli w połowie promenady. Odwrócili się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Świątynię Jedi.

- Powiedz mi, jak się czuje ktoś, kto zakończył spacer po obozie nieprzyjaciela? - Zainteresował się rycerz Jedi.

- Nie uważam w tej chwili Jedi za nieprzyjaciół - odparła kobieta. - Zanadto upraszczasz cały problem. - A więc za kogo ich teraz uważasz? - Chciał wiedzieć Jacen.

- Jedi oglądają tylko jedną stronę obrazka i wierzą, że już znają wszystkie fakty - stwierdziła Lumiya. - W rezultacie podejmują błędne decyzje.

- Trudno, żeby chcieli koniecznie zobaczyć pozostałą połówkę obrazka - rzekł młody Solo.

- Ty już ją oglądasz - przypomniała Lumiya.

Jacen patrzył za nią, jak oddala się w kierunku lądowiska dla taksówek. W końcu stracił kobietę z oczu, chociaż nie przestał jej wyczuwać. Był tak bardzo pochłonięty badaniem pozostawionych przez

nią załamania w Mocy i szukaniem w nich śladów, że aż się wzdrygnął, kiedy coś dotknęło jego myśli. Poczul się, jakby ktoś zniecierpliwienie poklepał go po ramieniu. To był znak od matki. Miała kłopoty.

Kiedy uwolnił i wysłał myśli, żeby ją odnaleźć, bez żalu zrezygnował z rozważania swojej przyszłości jako Lorda Sithów.

Dzielnica koreliańska, Galactic City, Coruscant

Powiniennem był powiedzieć Jacenowi, dokąd idę, pomyślał Ben.

Właściwie nie skłamał swojemu mentorowi... Rzeczywiście odwiedził Centrum Operacyjne Floty, a pani admirał Niathal naprawdę oprowadziła go po pokojach operacyjnych. Po prostu zwiedzanie ośrodka nie zajęło mu tyle czasu, ile się spodziewał, a Ben bardzo chciał się dowiedzieć czegoś więcej o mieszkających na Coruscant Korelianach. Prawdopodobnie to ich Niathal określała mianem „wewnętrznego wroga”. Ben miał niejakie trudności ze zrozumieniem istoty problemu.

Co to znaczy być Coruscancinem na planecie, na której mieszkają przedstawiciele tysiąca innych ras? Coruscancie toczyli jednak wojnę z innymi istotami ludzkimi. Kim jesteśmy „my”? Kim są „oni”? Jakim cudem Coruscant może być zarówno odrębną planetą, jak i wcieleniem galaktyki? Może właśnie na tym polega cały problem?

W końcu Ben trafił do koreliańskiej dzielnicy niedaleko centrum Galactic City. Spacerując po pomostach między sklepami, domami i najróżniejszymi firmami, rozglądał się w poszukiwaniu warsztatu naprawczego rodziców Barita Saiya. Okolica wyglądała jak każda inna, a nazwiska właścicieli na witrynach czy szyldach sklepów nie różniły się od tych, które wywieszano w innych dzielnicach Coruscant. Ludzie wyglądali normalnie. Im więcej Ben widział istot ras niehumanoidalnych, tym bardziej się zdumiewał, dlaczego istoty tej samej rasy tak chętnie walczyły ze sobą. Wyglądało na to, że niewielkie różnice liczą się bardziej niż duże... Jakby trzeba było najpierw coś dobrze poznać, żeby móc to później naprawdę zniecierpliwienie.

Nic dziwnego, że Jacen usiłował zaprowadzić trochę ładu w galaktyce.

Nie można powiedzieć, żeby Jedi nie rzucali się w oczy, ale noszenie brązowego płaszcza zapewniało Benowi „pewną neutralność”, jak określał to Jacen. Ben przechadzał się po pomostach, chłon widoki, ale chociaż ludzie patrzyli na niego z ukrywaną ciekawością, nikt nie zastąpił mu drogi.

Może widzą we mnie dziecko, nie Jedi, zastanawiał się chłopiec.

Przechodząc obok niewielkiego sklepu spożywczego, usłyszał napływający z tyłu charakterystyczny pomruk dużego statku. Obejrzał się i zobaczył szturmową jednostkę Coruskańskiej Służby

Bezpieczeństwa, taką, jakich policjanci używali podczas patroli. Statek leciał powoli napowietrznym szlakiem z otwartym kłapami bocznych włazów. W pierwszej chwili Ben pomyślał, że funkcjonariusze kogoś szukają, ale zaraz usłyszał głos wzmocniony przez aparaturę elektroniczną:

- ...Nie należy korzystać z wody z systemu miejskich wodociągów. - Patrolowiec niemal się zrównał z Benem. Bezcielesny głos wypełnił wąski szlak i odbijał się od ścian stojących po obu stronach domów. - Powtarzam, w systemie zaopatrywania w wodę wykryto skażenie, więc na wszelki wypadek odcięto dopływ wody. Proszę nie korzystać z miejskich wodociągów, bo pozostała w rurach woda może być także skażona... Proponujemy przełączyć, odbiorniki na jeden z kanałów, na którym są podawane najnowsze wiadomości... Patrolowiec minął Bena, a funkcjonariusz jeszcze kilka razy powtórzył ostrzeżenie. Ben zauważył, że w przedziale dla załogi stoi czterech funkcjonariuszy CSB w niebieskich mundurach. Jeden trzymał przy ustach mikrofon.

- Czym ta woda została skażona? - Zapytał Ben, ale nikt mu nie odpowiedział. Ludzie wychodzili ze sklepów i z domów na pomost i gapili się za odlatującym patrołowcem. Jakaś kobieta wyszła z kafejki z przenośnym odbiornikiem holowiadomości i ustawiła go na wyniesionym na pomost stoliku. Wkrótce zgromadził się wokół niego tłum. Ben także przystanął, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

W kanale informacyjnym nadawano relację holoreportera, przekazywaną na żywo z jednej z miejskich przepompowni. Na Coruscant rzadko zdarzały się problemy ze służbami komunalnymi, ale Ben i tak pomyślał, że to za wiele zamieszania jak na tak błahy problem. Zaraz jednak usłyszał, że holoreporter używa słowa „sabotaż”.

- Co takiego powiedział? - Zapytał, starając się coś dojrzeć przez szczelinę między gapiami.

- Ktoś wpuścił toksyczny środek chemiczny do systemu wodociągów - odparła kelnerka z kafejki. - Władze musiały zamknąć dziesięć przepompowni, co oznacza, że w tej chwili połowa Galactic City nie ma wody. - Wyraźnie wściekła, chlasnęła ściereczką w blat stolika. - A to oznacza, że trzeba będzie zamknąć lokal, dopóki władze się z tym nie uporają. - Jeżeli to sabotaż, chyba wiecie, kogo za niego obwinia - odezwał się mężczyzna trzymający za rękę małego chłopca. - Nas. - To mógł zrobić każdy - sprzeciwił się inny.

- Na przykład rozgoryczony pracownik wodociągów - mruknęła kelnerka.

- A może to sama spółka komunalna coś sknociła i wpuściła do systemu uzdatniania wody niewłaściwy środek chemiczny? - Zastanowił się jeden z klientów kawiarenki. - A może to rzeczywiście my, bo władze się o to dopraszały?

Wyglądało na to, że dyskusja będzie się ciągnęła bez końca. Ben postanowił ją przerwać.

- Kto to jest „my”? - Zapytał. Problemy z określeniem tożsamości nie dawały mu spokoju. - Dlaczego jakiś mieszkaniec Coruscant mógłby chcieć zatruć ujęcie własnej wody pitnej?

Gapie odwrócili się na chwilę i spojrzeli na niego, jakby dopiero go zauważyli, a kelnerka z kawiarenki obrzuciła go współczującym spojrzeniem.

- Podczas wojny ludzie robią głupie rzeczy - stwierdziła. - Naprawdę nie uczyli cię tego w Akademii?

- Przecież nie ma wojny - zaprotestował Ben, ale nie przyznał się, że nie studiował w Akademii. Wiedział za to, czym jest wojna.

Wojna musiała być wypowiedziana, a to mogli zrobić tylko politycy. - Na razie.

- No cóż, już teraz jest... - Mężczyzna wziął synka na ręce i zaczął się oddalać. - I to bez względu na to, czy jej chcemy, czy nie.

Ben wychylił się poza krawędź ochronnej poręczy pomostu, żeby zobaczyć, co się dzieje na wyższych i niższych poziomach.

Ludzie wszędzie robili to samo co klienci kawiarenki: zgromadzeni przed sklepami i domami, sprzeczcali się i dyskutowali.

Słysząc było wyraźnie ich głosy, a przelatujące napowietrznym szlakiem pojazdy zwolniły do prędkości piechura. Z oddali napływały cichnące dźwięki aparatury elektroakustycznej policyjnego patrolowca.

Młody Skywalker wyjął komunikator.

- Jacenie, jesteś tam? - Zapytał cicho, ale kuzyn nadal nie odpowiadał. Po chwili włączył się automatyczny system rejestrowania rozmów. - Jacenie, jestem w tej chwili w dzielnicy koreliańskiej i... - Urwał, szukając właściwego słowa, ale doszedł do wniosku, że niepokojenie Jacena nie ma sensu. - ...I wracam do domu.

Zaczynał coraz wyraźniej wyczuwać niebezpieczeństwo. Wokół niego gniew i przemoc wzbierały jak ciśnienie przed burzą. Wyczuwał ich nacisk na skronie, a ból w zatokach, nakazywał mu instynktownie oddalić się z tego miejsca, ukryć albo uciekać. Ben miał nadzieję, że któregoś dnia nauczy się lepiej rozumieć swoje odczucia. Na razie był to zwierzęcy, nieopanowany odruch. Odwrócił się i pobiegł z powrotem, pokonując dwieście metrów do najbliższej platformy dla powietrznych taksówek.

Jedna unosiła się cicho na repulsorach jakieś dziesięć centymetrów nad swoim mrocznym cieniem na platformie. Na widok Bena pilot - łysy mężczyzna o pociągłej twarzy - oderwał spojrzenie od holozinu i otworzył wąż.

- Do dzielnicy senackiej proszę - polecił Ben.

- Gdzie dokładnie? - Zapytał pilot.

- Okolice Rotundy.

- Nie ma mowy. Unikam centrum. - Mężczyzna spojrzał na Bena, jakby jego niedoszły klient przyleciał dopiero co z Tatoonie.

- Trwają tam zamieszki z powodu skażenia ujęcia wody. Trafisz na własną rękę, chłopcze? Ben zastanowił się nad tym samym.

- W takim razie jak blisko od centrum może mnie pan podrzucić? - Zapytał. Pilot z namysłem zagryzł wargę.

- Do skrzyżowania napowietrznych szlaków cztery-siedem-dwa i dwa-zero-trzy - odezwał się w końcu. - Będiesz miał do przejścia tylko dwie przecznice. Czy to ci odpowiada?

- Naturalnie.

Ben usiadł na tylnej kanapie, bawiąc się nerwowo rękojeścią świetlnego miecza. Nie denerwował się tak bardzo, kiedy przeniknął na teren stacji Centerpoint. Czuł wtedy bezmyślne uniesienie, chociaż było bardzo prawdopodobne, że nie wyjdzie stamtąd żywy. Odnosił wrażenie, że nie może mu się stać nic złego. Teraz jednak znajdował się pośród tłumów zdolnych do niekontrolowanego wybuchu i chociaż w Galactic City zawsze czuł się jak w domu, był wystraszony. W całej tej sytuacji było coś dzikiego i nieprzewidywalnego. Taksówka zwolniła i osiadła na platformie lądowniczej. Ben zobaczył w oddali, na skrzyżowaniu napowietrznych szlaków, policyjne śmigacze. Funkcjonariusze bezceremonialnie przekierowywali ruch na inne szlaki. Kiedy Ben zszedł z platformy na chodnik, przeleciał nad nim szturmowy patrolowiec CSB. Tknięty przecuciem chłopiec postanowił udać się w tę samą stronę.

Co zrobisz, kiedy już się tam znajdziesz? - Zadał sobie w duchu pytanie.

Zamiast jednak rozsądnie na nie odpowiedzieć, Ben po prostu szedł tam, dokąd kierowały go wrażliwe na Moc zmysły, podpowiadając mu, że będzie potrzebny. Jacen zawsze go zachęcał, żeby ufał swoim przecuciom. Obecna sytuacja świetnie się do tego nadawała. Pobiegł chodnikiem w kierunku przeciwnym niż pozostali przechodnie, którzy - zgodnie ze zdrowym rozsądkiem - starali się znaleźć jak najdalej od rejonu zamieszek. Skręcił za róg i znalazł się na tyłach tłumy stojącego przed koreliańską ambasadą. Budynek był obleżony - trudno byłoby inaczej opisać sytuację, w której grad pocisków rozbijał się o permaszklany fronton budynku i spadał na marmurowy dziedziniec. Ambasada wznosiła się na placu, blisko biegnącego na wysokości kilometra szerokiego napowietrznego szlaku. Dzięki temu była łatwo dostępnym celem dla wszystkich, którzy zamierzali tam wrzucić kamień albo bryłę permabetonu. Nad głowami tłumy unosił się szturmowy patrolowiec CSB. Ben widział funkcjonariuszy; trzymali karabiny blasterowe i mierzyli z nich do tłumy, ale nie strzelali.

Na razie chyba nikt nie wyciągnął broni, za to demonstranci wznosili obraźliwe okrzyki.

- Podłe szumowiny! To wy zatruliście ujęcie wody!

Ben odskoczył do tyłu przed odłamkiem muru, który przeleciał nad głowami demonstrantów i roztrzaskał się u jego stóp z taką siłą, że w powietrze pofrunęły okruchy. - Powinni byli rozpylić na atomy całą waszą planetę, nie tylko cholerną Centerpoint! Demonstranci ryknęli i zaczęli napierać w stronę ambasady, ale nagle się cofnęli, o mało nie zwalając Bena z nóg. Młody Jedi do szedł do wniosku, że to on jest odpowiedzialny za to, co się dzieje. To on doprowadził do tej sytuacji dzięki akcji na Centerpoint. Kiedy sobie to uświadomił, zemdliło go z wrażenia. Nigdy dotąd ni widział, żeby ludzie się tak zachowywali, a w dodatku to wszystko była jego wina. Musiał coś zrobić.

Kolejny grad permabetonowych pocisków roztrzaskał się na marmurowym dziedzińcu ambasady, a broniący do niej dostępu funkcjonariusze CSB zaatakowali tłum bojowymi pałkami. Im bardziej

energicznie działali, tym mocniej demonstranci napierali od tyłu. Zamieszki zaczynały żyć własnym życiem. Ben wyczuł reakcję tłumu; przeraziło go to bardziej niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczył w życiu. Niewiele brakowało, a byłby się przyłączył do tego tłumu, bo odruchy o mało nie zapanowały nad mózgiem. Przed ambasadą stało kilkunastu Korelian - Ben domyślił się kim są - którzy dzielnie stawiali czoło gradowi lecących ku nim pocisków. Niektórzy podnosili bryłki permabetonu i odrzucali nad głowami kordonu funkcjonariuszy CSB z powrotem ku demonstrantom. Jeden z ochroniarzy ambasadę miał na czole ociekające krwią rozcięcie, ale nic sobie z tego nie robił. Poskarżył się kapitanowi CSB, który podszedł z grupą funkcjonariuszy, że pracownicy ambasadę nie mają zapewnionej ochrony, chociaż im to obiecywano. Z góry napłynął odgłos strzałów i plac wypełnił się gryzącym dymem.

Ben poczuł, że pieką go oczy i gardło. Gaz łzawiący, pomyślał. Funkcjonariusze CSB musieli wystrzelić pojemniki z tym gazem z unoszących się nad głowami demonstrantów szturmowych patrolowców. Tłum powinien był się teraz rozproszyć, ale zamiast tego ludzie zaczęli się przepychać i tratować. Ben upadł pod nogi biegnących. Zwinął się w kłębek i osłonił głowę. Chwilę później ubrany w niebieski mundur policjant chwycił go dłonią w rękawicy za przód tuniki i szarpnął do góry. - Ty głupi dzieciaku.... - Zaczął.

Funkcjonariusz niewątpliwie ocalił mu życie. Ben ukląkł z wysiłkiem. Z oczu płynęły mu łzy. - Szybko, wynoś się stąd - rozkazał policjant.

Nagle Ben zauważył, że coś się dzieje. Za plecami funkcjonariusza zobaczył twarz, którą znał... Twarz chłopaka o krótkich blond włosach. Barita Saiya. Ben zdał sobie sprawę, że patrzy w wylot lufy blastera wymierzonego nie w niego, ale w policjanta. Bez namysłu odpiął lewą ręką rękojeść świetlnego miecza. Jaskrawa błękitna klinga zderzyła się z białym strumieniem energii i odbiła go w górę. Incydent trwał najwyżej sekundę, a kiedy Ben zamrugał, aby uwolnić oczy od łez, zobaczył Barita, który właśnie zniknął w tłumie. Policjant wpatrywał się chwilę w klingę świetlnego miecza, trzymając dłoń na kolbie blastera. - To był kawałek skały - skłamał Ben. - Ktoś nim w pana rzucił.

Funkcjonariusz pomógł mu wstać. Na jego zakurzonej twarzy także widniały ślady łez, bo policjant nie nałożył maski do oddychania.

- Jesteś bardzo szybki, chłopcze - pochwalił. - Co powiesz na to, żebym cię odprowadził do Świątyni?

- Nie, dziękuję. Skontaktuję się z moim mistrzem - odparł Ben. - On mnie stąd zabierze. - Prawdę mówiąc, Jacen nie był mistrzem, ale szczegóły z życia Jedi nie miały w tej chwili najmniejszego znaczenia. Ben chciał pobiec za Baritem. - Dziękuję panu - powtórzył. - To ja dziękuję tobie, Jedi. - Policjant wytarł nos wierzchem rękawicy i z trudem odkaslnął. - Uratowałeś mnie od zranienia.

Ben wiedział, że go uratował, ale w grę wchodziło coś więcej niż życie policjanta. Nie bardzo znał się na polityce, był jednak pewny, że gdyby jakiś Korelianin zastrzelił funkcjonariusza CSB, i tak kiepska sytuacja stałaby się tragiczna. Barit tkwił w tym po same uszy, a Ben czuł się jakoś odpowiedzialny za coraz głębszą przepaść między Korelianami a Coruscanami. Przeczynał, że Barit odegra tu fatalną rolę.

Otarł oczy i nos rękawem płaszcza i ponownie włączył komunikator.

- Jacenie, słyszysz mnie? - Zapytał. Odpowiedział mu tylko towarzyszący nieodebranemu połączeniu szum zakłóceń, a po kilku następnych sekundach trzask automatycznie włączanego urządzenia rejestrującego. - Jacenie, dzieje się coś okropnego...

ROZDZIAŁ 6

Im większa galaktyka, tym słodszy powrót do domu.

koreliańskie przysłowie

Okolice Świątyni Jedi, Coruscant

Ben od dawna próbował się skontaktować z Jacenem, ale rycerz Jedi miał na razie własne problemy, i to o wiele poważniejsze: jego matka wpadła w tarapaty.

Wyczuwał, że Leia uwalnia myśli i wysyła je do niego. Dotarł zarówno jej strach, jak i determinacja, która powoli zaczynała brać górę nad strachem. Gdzie ona jest? - Zadał sobie pytanie. Co się dzieje?

Wślizgnął się do altany osłoniętej przez krzewy w kanciastych ceramicznych donicach i usiadł na ławce, żeby się skoncentrować. Zamknął oczy i wyczuł, gdzie jest teraz matka. Nie przebywała na Coruscant, chociaż bardzo blisko. Dopiero po kilku sekundach Jacen odgadł, że matka może się znajdować na pokładzie statku. Wsłuchuj się w Moc, powiedział sobie. Słuchaj uważnie.

Podczas swoich studiów opanował therańską technikę, która pozwalała mu wykorzystywać Moc do słuchania na odległość.

Spowolnił tempo oddychania i poczuł w skroniach szum, jakby ktoś go zbyt wcześnie wyrwał z głębokiego snu. Szum wypełnił jego głowę, rozległ się w niej i wokół. Po chwili rycerz Jedi zaczął rozróżniać słowa i dźwięki.

Usłyszał głos matki, a chwilę później głos ojca.

- ...Spróbuj jeszcze raz wytracić prędkość.

- Pięć sekund...

Rozległ się skowyt przeciążonego metalu. Silnik rytmicznie huczał i sapał. Natężenie dźwięków narastało i opadało, co nie wróżyło nic dobrego. Jacen uwolnił myśli i wysłał jedno słowo, które nawet on potrafił przesłać dzięki Mocy: „Razem”.

Wyobraził sobie „Sokoła Millenium”. Zobaczył płyty spodu kadłuba i transpastał sterowni po stronie sterburty. Widział jednak wszystko w takim stanie, w jakim powinno się znajdować ściśle zespolone. Uświadomił sobie, że Leia usiłuje się posłużyć telekinezą Mocy, ale nie mógł zgadnąć, w które miejsce kieruje wytwarzaną siłę. Słyszał tylko napięcie w jej głosie i odbierał jej narastający niepokój.

W pewnej chwili wyczuł także obecność innej osoby: swojej siostry, JAINY.

Ostatnio prawie ze sobą nie rozmawiali, ale bliźnięta nie mogły pozostawać długo bez wzajemnych kontaktów. Jaina musiała także wyczuć, że ich rodzice wpadli w tarapaty. Jacen mógł tylko się

domyślać, co usiłuje zrobić matka, ale domysły nie wystarczały, kiedy ktoś zamierzał wykorzystać fizyczną potęgę Mocy.

Pogrążony w therańskim transie dźwiękowym Jacen usłyszał piskliwy sygnał alarmu czujnika, informującego o tym, że kadłub statku został rozszczelniony - albo jeszcze gorzej. Jednostka napędowa się oderwie i w kadłubie powstanie ogromna dziura... - Pomyślał z przerażeniem.

To było wszystko, co musiał wiedzieć. Zyskał pewność, że jego matka posługuje się Mocą, aby powstrzymać rozprzestrzenianie się mikroszczelin w osłonie jednostki napędowej „Sokoła”. Taki proces mógł rozerwać na kawałki kadłub zagłębiającego się w atmosferę statku. Leia miała przed sobą bardzo trudne zadanie. Potrzebowała pomocy.

Jacen zaczął oddychać powoli, rytmicznie i głęboko. Musiał przygotować się do zrobienia czegoś, czego jeszcze nigdy nie robił. Mamo, mam nadzieję, że dasz sobie z tym radę, pomyślał.

Oczami wyobraźni zobaczył Leię siedzącą w sterowni w fotelu drugiego pilota. Poczł, że omywiają go jej emocje i obecność w Mocy. Wyobraził sobie, że siedzi za nią i dzięki jej oczom widzi to samo co ona. Przez chwilę po prostu patrzył, ale kiedy wypuścił powietrze z płuc, wypłynęła z niego siła, która wniknęła do płuc matki... A potem przepłynęła przez jej ciało. Rycerz Jedi stwierdził, że nie siedzi już w altanie między wypielęgowanymi krzewami, ale wpatruje się w rzędy światełek i odczytów... I ma przed sobą dłonie, które nie są jego dłońmi. W przestworzach za iluminatorem majaczyła kula Coruscant.

Jeżeli nawet Jaina przyłączyła się do niego, Jacen niemal nie wyczuwał jej w Mocy. Wyeliminował jej obecność w umyśle dzięki potędze telekinezy.

Zrób z tego użytek, mamo, pomyślał. Posłuch się mną. Wykorzystaj Moc, którą przesyłam przez ciebie.

Usłyszał, że matka jęknęła, jakby się czegoś wystraszyła. Chwilę później poczuł ciśnienie w płucach, jak przy szybkim biegu. Nie miał pojęcia, jak długo to trwało, ale czuł się, jakby coś uciskało mu piersi. Wokół jego umysłu, ale i w nim pojawiła się wizja „Sokoła” otoczonego przez bąbel Mocy. Kadłub zacisnął się wokół jednostki napędowej, co zapobiegło jego rozpadowi.

Jacen nie widział tego, na co patrzyła jego matka - nie oglądał obrazów towarzyszących przelotowi statku przez warstwy atmosfery i lądowaniu. Obrazy ze sterowni „Sokoła” podsuwała po prostu pamięć. Rycerz Jedi był świadom zarówno tego faktu, jak i tego, że przez Leię przepływa jego potęga Mocy, która pomaga matce utrzymywać moduł jednostki napędowej dzięki sile telekinezy.

A później zalała go fala bezgranicznej ulgi; serce biło mu mocno, skóra głowy ścierpła. Domyślił się, że „Sokół” bezpiecznie wylądował. Mógł już otworzyć oczy. Kiedy to zrobił, niemal z zaskoczeniem stwierdził, że jest dzień, a on znajduje się na terenie Świątyni Jedi.

Włączył komunikator i przez chwilę wyczuł obecność Jainya, ale myślał tylko o rodzicach.

- Mamo? - Zapytał. - Mamo, nic się wam nie stało?

Leia oddychała z wysiłkiem.

- To tyle, jeżeli chodzi o dyskretne lądowanie - wysapała.

- Wszystko w porządku, prawda? - Jacen słyszał, że jego ojciec coś mamrocze, ale nie rozumiał słów. - Muszę się z wami zobaczyć. Zostańcie tam, gdzie wylądowaliście, i zaczekajcie na mnie.

Jedi unikali biegania w miejscach publicznych, bo to uwłaczało ich godności, więc Jacen nie mógł sobie pozwolić na sprint z połami płaszcza łopoczącymi z tyłu. Zamiast tego potruchtał niespiesznie do najbliższej platformy dla powietrznych taksówek.

Czuł się nowym dziedzicem spuścizny Sithów i widział, co robi jego dziadek, który o mało nie zniszczył jego świata. W tej chwili jednak był tylko synem, którego bardziej obchodzi bezpieczeństwo rodziców niż problemy galaktyki.

Chodziło tu o więzy krwi. Jacen postanowił zacząć je doceniać i zapomnieć o przepaści, jaka zaczynała się tworzyć między nim a jego ojcem oraz Jainą.

Wiedział jednak, że wcześniej czy później przepaść w rodzinie może się stać ceną, którą przyjdzie mu zapłacić.

„Niewolnik 1”, przygotowania do lotu na Roonadana

Boba Fett rzadko zabierał na pokład pasażerów... Zwłaszcza żywych, i to takich, którzy chcieli z nim lecieć z własnej woli. Uważał swój statek za dom bardziej niż jakąkolwiek nieruchomość z kamienia i permabetonu, więc obecność dziwnej dziewczyny nie dawała mu spokoju. Odnosił jednak wrażenie, że nie może jej tak po prostu zostawić. Mirta Gev miała coś, co wiązało się z jego przeszłością. Boba Fett rozumiał, że nabrało to dla niego znaczenia w sytuacji, kiedy jego przyszłość jest co najmniej niepewna.

- Zawsze wchodzisz na statki zupełnie obcych ci osób? - Zagadnął.

Mirta przewiesiła worek przez ramię.

- A co, zamierzasz mnie zabić? - Zapytała.

- Nikt mi za to nie zapłacił - burknął łowca nagród.

- Tak przypuszczałam.

Weszła na pokład „Niewolnika 1” po rampie załadunkowej i ruszyła za nim do kabiny, ale na progu śluzy Fett odwrócił się, zastąpił jej drogę i wskazał rufę.

- Nie potrzebuję drugich pilotów - oznajmił rzeczowo. - Zostań tu, jeżeli nie chcesz, żebym cię zamknął w jednej z cel.

Mirta nie zgłosiła sprzeciwu. Rozejrzała się i usiadła na przytwierdzonym do grodzi okratowanym pojemniku. Rozwiązała worek, poszperała w nim i wyciągnęła nieduże zawiniątko z prowiantem. Rozpakowała je i zaczęła jeść.

Fett bacznie ją obserwował.

- Obiad - wyjaśniła zwięźle dziewczyna. - Zawsze zabieram w drogę coś do jedzenia... Na wszelki wypadek.

Fett zwalczył chęć pochwalenia jej za to.

- To dobrze, bo nie zapewniam posiłków podczas lotu - powiedział, po czym odwrócił się, pochylił i przeszedł przez właz do głównej sekcji statku. Kłapa wewnętrznej śluzy zatrzasnęła się za jego plecami, bo bez względu na jego opinię o dziewczynie, nie zamierzał ryzykować.

Nie był już tak sprawny fizycznie jak jeszcze przed rokiem. Kłopoty sprawiało mu samo poruszanie się po ciasnych pomieszczeniach „Niewolnika 1”. Nic go wprawdzie nie bolało, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu. Nie zapominaj o tym, że umierasz, Fett, powiedział sobie.

Usiadł na fotelu pilota i przesłał energię do silników. Spojrzał na ekrany monitorów kamer przesyłających obrazy z różnych pomieszczeń statku. Mirta siedziała na pojemniku, oparta plecami o przegrodę. Miała zamknięte oczy, ręce splecione na piersi i wyglądała, jakby drzemała. Chyba nic nie mogłoby wytrącić jej z równowagi. Fettowi podobał się jej sposób bycia. W galaktyce, nie brakowało kobiet i mężczyzn, którzy uważali się za twardzieli, ale w rzeczywistości byli tylko mocni w gębie i uzbrojeni we frymuśną broń. Łowca nagród doszedł do wniosku, że naprawdę twardzi są ci, którzy umieją wszystko znieść, ze wszystkim sobie radzą i potrafią doprowadzać sprawy do końca. Wszystko wskazywało, że Mirta Gev jest jedną z takich osób.

Fett chyba nikogo w życiu nie lubił, ale do tej dziewczyny nie czuł przynajmniej antypatii. Nie cenił jej jednak na tyle, żeby pozwolić jej siedzieć w kabinie obok siebie. Wpisał współrzędne kursu na Roonadana. Usłyszał burczenie w żołądku i pomyślał, że może jednak powinien był się poczęstować się kilkoma monetokrabami Beviina. Parę następnych godzin spędził, sprawdzając w HoloNecie ceny akcji i zastanawiając się co powie Taun We, kiedy ją w końcu odnajdzie. Nie wątpił, że mu się to uda.

W końcu rozparł się w fotelu pilota i zdrzemnął. Nigdy nie zapadał w głęboki sen; wyściełany brzeg hełmu był na tyle miękki, żeby się nie wrzynał w kark, ale zarazem dość twardy, żeby odczuwał dyskomfort, opierając na nim głowę. Od czasu do czasu na kilka sekund tracił po prostu świadomość miejsca, w którym się znajduje. Niezbyt przytomny, słyszał co mocniejsze dźwięki i widział coś niewyraźnie przez szybę z transpastali. Czuł się, jakby jego głowa nie tkwiła w skorupie hełmu, ale całkiem gdzie indziej... W miejscu, którego nie znał. W ostatnim okresie takie złudzenia powtarzały się coraz częściej. Taun We wyjaśniła mu kiedyś, że to skutek spędzenia okresu płodowego w przezroczystej kadzi, w której dojrzewał jak inne klony. Powiedziała także, że wszyscy oni mają takie mgliste wspomnienia.

Jasne, byli w końcu krewniakami. Fett uświadomił sobie, że jego myśli gdzieś błądzą. Zastanowił się, jak musiały się czuć klony, wiedząc - jak on w tej chwili - że dni ich życia są policzone. Taka świadomość była także czymś w rodzaju pokrewieństwa.

Jestem umierający, przypomniał sobie. Może każdy, kto umiera, właśnie tak się czuje. Do tej pory powinienem to wiedzieć.

Nawigacyjne sensory obudziły go natarczym, pulsującym dźwiękiem, ostrzegając, że „Niewolnik 1” wyskoczył z nadprzestrzeni. Fett od razu oprzytomniał i usiadł prosto w fotelu. Czuł ból w stawach, ale go zignorował.

Poprzecinany czerwonymi pasami księżyc Roonadana powiększał się w iluminatorze, aż w końcu zajął całe niebo. Planeta była gęsto zaludniona, a w nadających się do zamieszkania rejonach roilo się od miast, ale przynajmniej nie wyglądała równo jak Bonadan. Fett posłużył się klawiaturą konsoli, żeby wpisać zestaw terenowych danych, po czym zaczął podchodzić do lądowania.

Na Roonadanie widywało się tereny zielone i ładne budowle, a na północnej półkuli płynęło kilka sporych rzek. Planetę chętnie odwiedzali naukowcy, a nawet osiedlali się na niej na stałe.

Oprócz nich mieszkały tu także osoby zatrudnione w wyrafinowanych usługach oraz pracownicy laboratoriów i fabryk, w których wytwarzano produkty wynalezione przez naukowców.

Taun We mogłaby zamieszkać na Roonadanie, gdyby polubiła blask słońca. Kaminoanie nie znosili bezchmurnego nieba.

Fett zamaskował uzbrojenie „Niewolnika 1” ekranem z sygnałów sensorów i przygotował się do lądowania. Gdyby cokolwiek potoczyło się nie po jego myśli, dysponował siłą ognia niewielkiego okrętu wojennego, co pozwoliłoby mu wybrnąć z tarapatów... Miał turbolasy, jonowe działko, torpedy i rakiety udarowe. Na wypadek, gdyby zabrakło mu energii albo ktoś zapędził go w ślepy zaułek, podczas ostatniej modernizacji dodał do kompletu konwencjonalną artylerię z przebijającymi pancerze pociskami. Pozostawianie czegośkolwiek losowi było dobre dla amatorów.

Zataczając łuk nad stolicą Vario, Fett pomyślał, że „Niewolnik 1” powinien się stać miejscem jego ostatecznego spoczynku. Nie chciał nikomu zostawić swojego statku. Postanowił, że w ostatnich dniach życia obierze kurs poza galaktykę i pozwoli statkowi polecieć tak daleko, jak wystarczy energii w ogniach paliwowych. Potem będzie dryfował już zawsze w miejscu, gdzie go nikt nie znajdzie. Poczul się trochę raźniej.

Daj spokój, powiedział sobie. Jeszcze nie umarłeś. To było jak przyznanie się, że jego życie nie miało wielkiego sensu.

Wybrał sygnał automatycznej kontroli ruchu powietrznego i wylądował w pierwszym kosmoporcie, jaki zobaczył. „Niewolnik 1” osiadł łagodnie na wspornikach lądowniczych, a tłumiki przestały działać, gdy kadłub statku opadł ostatnie pół metra pod własnym ciężarem i znieruchomiał. Silniki stygły, potrząskując lekko; poszycie przeniknęło lekkie drżenie, aż wreszcie wszystko się uspokoiło.

- Fett? - Łowca nagród uniósł głowę i spojrzał na ekran monitora, na którym widniał obraz z ładowni. Mirta robiła ćwiczenia rozluźniające mięśnie jak doświadczona lekkoatletka.

- Zabierzesz mnie ze sobą?

- Nie.

- To co, chcesz, żebym została tu zamknięta, kiedy ty zejdziesz na ląd? - Domyśliła się dziewczyna.

- Nie pozwolę, żeby temu statkowi stało się coś złego - odparł łowca nagród. - Będziesz tu bezpieczna tak długo, jak długo będzie bezpieczny mój statek. - Włączył urządzenie obronne przeciwko intruzom i wstał, żeby sprawdzić stan osobistego uzbrojenia. Na Roonadanie nie obowiązywał zakaz noszenia broni, jaki wprowadzono w życie na siostrzanym Bonadanie, ale obie planety znajdowały się w Sektorze Wspólnym, więc należało się mieć na baczności. - I nie manipuluj urządzeniami kontrolnymi. Nie spodoba ci się to, co się z tobą stanie, jeżeli będziesz przy nich majstrować.

Czekał na protest, ale dziewczyna bez słowa usiadła i zaczęła rozkładać blaster na części. Fett obserwował ją jakiś czas. Mirta sprawnie kalibrowała i czyściła broń. Rzeczywiście traktowała blaster poważnie. Większość użytkowników broni nie zadawała sobie trudu, żeby o nią zadbać, a to było najlepszą przepustką na tamten świat. Fett z mimowolnym podziwem stwierdził, że Mirta nie zalicza się do ich grona.

Zszedł na płytę lądowiska i skierował się do budynku kosmoportu. Po drodze zapoznał się z informacjami, jakie ukazywały się na przesłonie hełmu. Planeta była ośrodkiem badawczo-rozwojowym, więc gdzieś powinno się znajdować jakieś centrum dyskusyjne dla naukowców i przedsiębiorców. Fett doszedł do wniosku, że od takiego miejsca powinien zacząć poszukiwania.

Tak jak na innych rozwiniętych planetach, gdzie istniało wiele możliwości zatrudnienia, na Roonadana przylatywały istoty wielu ras. Mężczyzna w mandaloriańskiej zbroi z plecakiem raketowym zwracał na siebie mniej więcej taką samą uwagę jak Durosjanin, ale i tak mniejszą niż dwaj błękitnoskórzy Chissowie, którzy paradowali po hali dworcowej w garniturach koloru identycznego z barwą skóry. Fett skorzystał z okazji, że wszyscy gapią się na Chissów, i podszedł do stanowiska kontroli dokumentów. Wybrał najbardziej niewinnie wyglądającą fałszywą kartę identyfikacyjną i wręczył ją funkcjonariuszce obsługującej terminal systemu bezpieczeństwa.

Kobieta omiotła kartę promieniem skanera, popatrzyła chwilę na ekran monitora i w końcu podejrzliwie zerknęła na poznaczony śladami wielu walk pancerz łowcy nagród. Nie poprosiła go, żeby zdjął hełm.

- Co pana tu sprowadza, panie... Eee... Vhett? - Zapytała.

Język *mando'a* miał wiele zalet, nawet jeżeli się go słabo znało.

- Szukam posady ochroniarza - oświadczył łowca nagród.

- Jakiego rodzaju?

To dobrze, że zadała takie pytanie.

- Najlepiej w jakiejś firmie farmaceutycznej - łągał Fett. Ochrona banków czy ważnych osobistości staje się ostatnio zbyt kłopotliwa.

Funkcjonariuszka wpatrywała się w niego podejrzliwie, jakby chciała przeniknąć spojrzeniem przez przesłonę.

- Sądziłam, że wy, Mandalorianie, jesteście twardzielami odezwała się w końcu.

- To prawda, ale z wiekiem nie stajemy się ani trochę młodszy - odparł Fett.

- Jak wszyscy. - Kobieta zwróciła mu fałszywą kartę identyfikacyjną. - Firmy farmaceutyczne zawsze poszukują chętnych do takiej pracy - oznajmiła. - Przemysłowe szpiegowanie to nasz sport narodowy. - Uniosła rękę i odgiętym kciukiem wskazała za siebie. - Powinien pan pojechać koleją jednoszynową do miasta. Przy głównej ulicy mieści się wiele agencji zatrudnienia, ale jeżeli nie znajdzie pan pracy w ciągu pięciu dni, proszę się stąd wynosi dobrze? Nie przepadamy za włóczęgami.

A zatem wiedziała coś niecoś o Mandalorianach. Cóż, nie знаła jego. Słowo *Vhett* oznaczało w języku *mando'a* „*Fett*”. Zdumiewające, że można było dosłownie otrzeć się o prawdę, a nikt nic nie podejrzewał. Łowca nagród przyłożył rękawicę do hełmu w geście, który jego zdaniem miał oznaczać szacunek, i ruszył dalej.

Przez całe życie prawie nigdy nie starał się udawać kogoś innego. Kiedy ktoś cieszył się taką sławą jak on, załatwianie spraw było o wiele prostsze. Odnajdywani zbiegowie dochodzili do przekonania, że rozsądniej będzie mu się poddać niż próbować uciec. Wiedzieli, że Fettowi jeszcze nikt nie uciekł ani się przed nim nie ukrył. Tym razem jednak łowca nagród pomyślał, że odrobina kamuflażu pomoże mu odnaleźć Taun We o wiele szybciej. Czas nie był jego sprzymierzeńcem.

Niekiedy bawiło go odgrywanie roli uszkodzonego przez los biedaka, choć w rzeczywistości był jednym z najbogatszych osobników galaktyki. Jeśli jednak nie znajdzie antidotum, majątek będzie dla niego wart nie więcej niż zadek motta.

Kiedy opracujesz plan awaryjny? - Zadał sobie pytanie. Nigdy nie przepadałeś za układaniem dalekosiężnych strategii. Wcześniej czy później nadejdzie jednak pora, kiedy będziesz musiał zdecydować, czy nadal szukać wyników badań Ko Sai, czy też przygotować się na śmierć. No i co zamierzasz zrobić ze wszystkimi tymi kredytami?

Boba Fett pojechał kolejką jednoszynową do centrum miasta w towarzystwie kilkunastu innych osób, które także nie miały osobistego środka transportu. Byli pośród nich zarówno biedacy, jak i bogaci ekscentrycy, a także para przeglądających holomapy Vario rodiańskich turystów. Jeden z pasażerów, mężczyzna znacznie wyższy od Fetta, miał na sobie czarny płaszcz - tak długi, że zagarniał nim z podłogi wagonika kurz i śmieci. Nikt nie zaszczycił Fetta choćby przelotnym spojrzeniem.

Mieszkańcy planety nie stykali się z łowcami nagród, chociaż akurat jego imię było powszechnie znane. Interesowali się nim jednak tylko ci, którzy mieli wystarczająco dużo gotówki i powodów, żeby zapłacić mu za rozwiązywanie swoich problemów w ostateczny sposób. Pasażerowie wagonika raczej nie zaliczali się do tej kategorii.

Fett wysiadł na końcowym przystanku i wtopił się w anonimowy tłum klientów sklepów. Placówki handlowe nie wyglądały na luksusowe; prawdopodobnie korzystali z nich urzędnicy i niższy personel techniczny. Łowca nagród wszedł do sklepu z ubraniami i popatrzył na kolekcję męskich ubrań, pokazywanych nad podwyższeniem w postaci hologramów. - Nie macie czegoś porządniejszego? - Zapytał ekspedienta. Ten zmierzył go spojrzeniem.

- Jeżeli szanowny pan chce wywrzeć wrażenie, szanowny pan powinien się udać na zakupy do sklepów w dzielnicy nadrzecznej - odparł wyniośle. - Naturalnie jeżeli szanowny pan ma dość

kredytów.

Fett pomyślał, że chodzi mu o jedną ze sztucznych rzek, które widział z wysoka. Na razie obejrzał sobie fałdzistą ciemną tunikę i płaszcz podobny do tego, jaki miał na sobie wysoki pasażer w wagoniku kolejki.

- Wezmę to - zdecydował. - I duży worek.
 - Rozmiar? - Zapytał sprzedawca.
 - Może mnie pan zmierzyć.
 - Mógłbym zobaczyć pański żeton kredytowy, szanowny panie?
- Fett rzucił na kontuar dwa żetony stukredytowe.
- Czy to wystarczy? - Zapytał.

Sprzedawca wyjął z kieszeni długi, cienki skaner i odwrócił żetony na drugą stronę. Włączył wąski promień światła ultrafioletowego i sprawdził holoznak na każdym żetonie. - Oczywiście, szanowny panie - powiedział. Paznokciem kciuka wyłączył promień ultrafioletu i ze skanera wyskoczyła cienka nitka czerwonego światła. - Gdyby szanowny pan zechciał zdjąć pancerz, mógłbym pana zmierzyć.

- Zamierzam nosić ubranie włożone na pancerz - wyjaśnił łowca nagród.
- Słucham?
- Pancerz zostaje - powtórzył Fett.

Ekspedient wahał się chwilę, ale w końcu omiół Fetta promieniem lasera od stóp do głów i z boku na bok. Przyjrzał się odczytom na wyświetlaczu próbnika i wzruszył ramionami.

- Duże - skomentował.

- Widzę, że jesteś fachowcem. - Fett wziął worek z ubraniami, wyszedł ze sklepu i skierował się do najbliższej publicznej toalety.

W niewielkim pomieszczeniu było ciasno, ale łowca nagród zdjął raketowy plecak

oraz wyrzutnię rakiet, rozłożył jedno i drugie na części i umieścił je w worku. Włożył tunikę i płaszcz, które pasowały jak ulał. Zawahał się chwilę, zanim zdjął hełm.

Hełm zapewniał mu idealne przebranie. Jeżeli nie liczyć osobistego lekarza i kilkorga Kaminoan, nikt nie znał jego prawdziwego wyglądu. Fett mógł się już zmienić tak bardzo, że nie rozpoznałaby go nawet Taun We. Popatrzył w lustro nad umywalką. Zobaczył w nim mężczyznę na krawędzi starości. Włosy miał prawie całkiem siwe, ale twarz bez zmarszczek, bo od niepamiętnych czasów chronił ją przed promieniami słońca.

Nawet blizny z okresu, kiedy uniknął soków trawiennych Sarlacca, nie wyglądały już bardzo podejrzanie. Łowca nagród prezentował się jak przeciętny, sprawny fizycznie siedemdziesięciokilkuletni mężczyzna. Fierfek, w garniturze mógłby nawet wyglądać jak dżentelmen, uświadomił sobie. A teraz powinien sprawiać takie wrażenie.

Jeżeli zamierzał się dowiedzieć, gdzie mieszkają zatrudnieni w spółce AruMed naukowcy, nie mógł swoim wyglądem nasuwać skojarzeń z łowcą nagród.

Pierwszy raz w dorosłym życiu Boba Fett wyszedł na dwór bez hełmu.

ROZDZIAŁ 7

Luke, wiesz bardzo dobrze, że w tym wszystkim chodzi o coś więcej niż tylko o nakłonienie Korelii do rezygnacji z własnego systemu odstraszania. Kusi nas, żeby ujawnić tamtą małą niespodziankę w Gromadzie Kiris i udowodnić wszystkim, że nie żartujemy. Na razie jednak musimy utrzymać ją w tajemnicy i mieć nadzieję, że przekonamy Korelię o konieczności rozbrojenia się, zanim stanowczo wkroczy do akcji na Coruscant.

Cał Omas do Luke'a Skywalker'a i admirał Niathal podczas poufnej rozmowy na temat istoty zagrożenia, jakie może stwarzać

Korelia Publiczne lądowisko 337zb, Galactic City

Lądowanie o mało nie zakończyło się katastrofą. Cóż, trudno. Nie pierwszy to i na pewno nie ostatni raz, kiedy „Sokół Millenium” o mało się nie rozpadł na kawałki. Han usiłował przybrać nonszalancką minę.

Ale przeżył kilka chwil grozy; trzymał wtedy rękojeść dźwigni drążka sterowniczego tak mocno, że zbiegały mu kostki palców. Nie chciał, żeby Leia to widziała, ale prawdopodobnie żona i tak wyczuwała jego przerażenie. Siedzieli teraz w milczeniu na opuszczonej rampie statku i rozkoszowali się lekką bryzą. Niektóre pozornie oczywiste drobiazgi wydawały się bezcenne, kiedy o włos uniknęło się śmierci.

„Sokół” stał w jednej z licznych usytuowanych po bokach pasa lądowiczego otwartych zatok i wyglądał jak każdy inny stary statek. Od czasu do czasu stygnący metal kadłuba wydawał ciche trzaski, a pod osłoną jednostki napędowej tworzyła się coraz większa, złowieszcza kałuża chłodziwa. Han podstawił wiadro, żeby płyn się w nim zbierał, ale chłodziwo przelewało się już przez brzegi; najwidoczniej jakiś element rurociągu pękł w miejscu zespawania. - No cóż - odezwała się w końcu Leia, patrząc przed siebie.

Jak zawsze w takich wypadkach, wyglądała zupełnie normalnie... Może tylko na trochę zmęczoną i odrobinę zdenerwowaną. - Takie przygody kształtują ludzkie charaktery. - Dasz radę posłużyć się Mocą, aby zaspawać miejsce pęknięcia? - Zapytał mąż.

- Zapytaj o to Jacena - odparła księżniczka. - Ostatnio jest zdolny prawie do wszystkiego.

- A co się właściwie wydarzyło? - Zainteresował się Han.

Żona wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia - przyznała. - Poczułam się, jakbym nie wiadomo skąd otrzymała wzmacniającą porcję Mocy.

To moje dziecko, ale już nie wiem, kim naprawdę jest, pomyślała. Na szczęście pomaga, kiedy jest potrzebny, więc może nie powinnam narzekać. - Bardzo się nam przydała - mruknął Han. - Wiem, że Jacen jest bardzo blisko - stwierdziła księżniczka.

- Postarajmy się okazać mu wdzięczność, dobrze? - Nie mam nic przeciwko temu.

- To dobrze. - Leia zamknęła na chwilę oczy. - Jaina także leci, do nas.

Moja rozsądna córeczka, pomyślała. Dobrze, że nadal rozumiem przynajmniej jedno z naszych dzieci.

- Kto jeszcze wie, że tu jesteśmy? - Zapytał Solo. - Może powinniśmy zaprosić Luke'a i Marę? Rozpalilibyśmy ognisko i urządzili sobie piknik. Zaprosilibyśmy także wszystkich z okolicy.

- A może zaczęlibyśmy latać jakimś innym, zwyczajnym statkiem, dopóki sprawy trochę nie przycichną? - zaproponowała Leia.

- No cóż, ta dziecinka i tak na razie nigdzie nie polecą. - Han wstał i wszedł po rampie załadunkowej na pokład „Sokoła”. Niech będzie, zdobędziemy inny statek i wrócimy nim na Korelię, pomyślał. Przeprowadzimy się do innego apartamentu. Zmyślę czujność ochroniarzy Thrackana i go zastrzelę, a później zacznę się przejmować następną wojną. Wskaźnik poziomu chłodziwa na konsolce pokazywał zero. Han przeszedł do przedziału silnikowego, gdzie czuło się swąd spalonego stopu i drażniącą gardło woń chłodziwa. Do licha, mam wszystkiego dosyć, pomyślał ponuro. Czy to się nigdy nie skończy? Chciałby spędzić kiedyś z Leią normalny rok, podczas którego nie wydarzyłoby się nic szczególnego, a żadne z ich dzieci nie znalazłoby się w tarapatkach. Czy zbyt wiele wymaga od życia?

Kiedy wyszedł przez główny sterburtowy właz, na rampie obok Leii siedział Jacen i obejmował matkę. Leia uniosła głowę i posłała mężowi ostrzegawcze spojrzenie. Nie musiała mu jednak przypominać, żeby okazał synowi wdzięczność. Han zrobił to odruchowo. Zanim Jacen wstał, porwał syna w objęcia i uściskał tak mocno, że poczuł przez ubranie jego żebra. - W porządku, tato - przemówił łagodnie Jacen. - Tylko już nigdy więcej mnie tak nie strasz. - Właśnie chciałem to samo powiedzieć tobie - mruknął Han.

To nie była odpowiednia pora na wypominanie synowi, że opowiedział się po przeciwnej stronie. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz na zmęczonego. - Ale nie tak bardzo jak ty - odparł Jacen.

- Nasza sytuacja nie wyglądała ostatnio najlepiej - przyznał Solo. - Thrackan wyznaczył nagrodę za nasze głowy. Za twoją także.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zechce to zrealizować. - Jacen zmarszczył brwi, co zaczynało wchodzić mu w nawyk. - Ale ty...

- Hej, pewnie myślisz, że jestem za stary, ale dam sobie z nim radę - przerwał Han. - Bez dwóch zdań.

- Thrackana sprowokowała do tego moja wizyta na stacji Centerpoint - podjął syn. - Czuję się odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo. Jaki byłby pożytek z syna Jedi, gdyby nie umiał się zatroszczyć o ojca?

- Możesz pozostawić mnie ten kłopot - uparł się Han. To prawda, zaatakował obiekt należący do Korelii, ale jest moim synem, a ja nie mam pojęcia, jak pogodzić jedno z drugim, pomyślał. - To nie będzie zresztą pierwszy raz - podjął po chwili. - Sam się przekonasz. Thrackan wynajmie Fetta, ale z nim też dam sobie radę. Rozbawiona Leia cicho prychnęła.

- Stoczycie pojedynkę na laski do podpierania się przy chodzeniu - dogryzła mu. - Fett także nie staje się z każdym rokiem młodszy. Dlaczego Thrackan miałby wynająć właśnie jego?

- Bo uważa, że Fett odbierze mi ochotę do walki.

- W takim razie ma rację... - Zaczęła żona.

Han uznał to za próbę zlekceważenia swoich obaw, ale Jacen nie wyglądał na rozbawionego.

- Zamieszkajcie w moim apartamencie, tato - poprosił. - Na wypadek, gdyby ktoś obserwował wasze mieszkanie.

- Pewnie do tej pory już byś to wiedział - mruknął Han. Podejrzewał, że ostatnio wrażliwe na Moc zmysły syna są lepsze niż skanery, ale zauważył, że Jacen na krótko sposepniał.

- Dlaczego tak uważasz? - Zapytał.

- Nie mam pojęcia, jakie właściwości Mocy przyswoiłeś sobie podczas tych wszystkich lat, ale jestem przekonany, że są pożyteczne - odrzekł Han.

- Aha - mruknął syn i się uspokoił. Han nie wiedział, co tak wstrząsnęło Jacenem. - Powinniśmy przedsięwziąć wszystkie możliwe środki ostrożności. Threepio bardzo przekonująco tłumaczy każdemu, że nie ma pojęcia, dokąd się udaliście. Stara się to wmówić nawet Noghrim, chociaż widać, że jest zdenerwowany...

Jacen urwał i rozejrzał się wokół. Zwracał uwagę na rzeczy, których Han, jak zwykle, nie słyszał ani nie widział. Nagle zauważył kątem oka pomarańczowy błysk i odwrócił się w tamtą stronę. Ujrzał pilota w lotniczym kombinezonie Galaktycznego Sojuszu, który szedł w ich stronę między zaparkowanymi statkami. W pierwszej chwili, zanim zaczął myśleć logicznie, poczuł w żołądku bryłę lodu, ale zaraz spostrzegł związane z tyłu długie, brązowe włosy i astromechanicznego robota toczącego się obok przybysza.

To Jaina, pomyślał. W kombinezonie pilota. Odwrócił się do syna.

- Kiedy znów zaczęła latać? - Zapytał. - Nie powiedziała nam, że zamierza wrócić do czynnej służby...

- Żadnych awantur - przerwała stanowczo Leia.

Han sam się zdziwił, że tak szybko przestał się cieszyć ocaleniem życia, nastawił się na krytykę decyzji córki. A przecież ucieszył się na jej widok. Jaina wyciągnęła rękę i dziwnie krótko uściśnęła jego dłoń, a później tak samo przywitała się z matką. Jacenowi tylko kiwnęła głową, co nie wróżyło najlepiej.

Han pocieszył się myślą, że widok pilotki Galaktycznego Sojuszu, obejmującej i ściskającej ludzi w miejscu publicznym, na pewno zwróciłby na nich uwagę. Wolałby jednak, żeby córka pogodziła się z Jacenem.

- Nie zamierzam zadawać żadnych oczywistych pytań. - Jaina poklepała kopułkę Artoo. - Uznałam jednak, że przydałaby się wam pomoc przy naprawach statku. - Dzięki. - Han zignorował ostrzegawcze spojrzenie żony i zadał pytanie, zanim zdążył się nad nim dobrze zastanowić: A właściwie dlaczego nosisz ten kombinezon?

- Bo zamierzam nadal wykonywać moją pracę, tato - odparła córka. - Czy to Zekk nakłonił cię do tego?

Jaina potrafiła doskonale naśladować zachowanie matki. Na jej twarzy pojawiła się ta sama mieszanina smutku i cierpliwości.

- Tato, mam trzydzieści jeden lat i sama podejmuję decyzje powiedziała. - Nie pamiętasz, kim naprawdę jestem?

- Nigdy nie zapomniałem, że jesteś Jedi - zapewnił Han. - Ale to jeszcze nie oznacza, że powinnaś brać udział w wojnach Sojuszu przeciwko Korelii...

- Tato - przerwała łagodnie córka. - Chodziło mi o to, że jestem pilotką myśliwca. To o tym zapomniałeś. Zgłosiłam się na ochotnika do czynnej służby, bo właśnie na tym polega moja praca.

R2-D2 podtoczył się po płycie lądowiska do „Sokoła” i zniknął pod kadłubem, żeby zbadać stan statku. Han słyszał serie pełnych dezaprobaty gwizdów i od czasu do czasu brzęk metalu o metal.

Jaina patrzyła na ojca ze smutną miną, jakby szukała na jego twarzy oznak zrozumienia.

- Chyba nie wierzysz, moja droga, że Sojusz ma rację - odezwał się Han.

- Tato, może wierzę, a może nie, ale nie na tym polega problem - odparła córka. - Noszę mundur, więc muszę wykonywać rozkazy bez względu na osobiste przekonania. Właśnie na tym polega służba w wojsku.

Solo potraktował jej słowa jak upomnienie. Jaina z pewnością nie zamierzała go karcić, ale Han wiedział w głębi serca, że podczas wojny córka ulega emocjom i nie potrafi zachować zimnej krwi. W końcu pilotkę gwiazdowego myśliwca należało potraktować z szacunkiem, należnym zawodowemu wojownikowi.

Mimo to nie mógł się pogodzić z tym, że jego mała dziewczynka - bo już na zawsze miała nią pozostać, nawet kiedy posiwieje - chce ryzykować życie dla władzy, która najwyraźniej dąży do

powrotu niechlubnych czasów galaktycznego totalitaryzmu. Co by było warte jego własne życie, gdyby nie stworzył dla swoich dzieci lepszego świata? Nie rób tego, Jaino, pomyślał.

- Lepiej będzie, jak wrócę teraz do bazy - oznajmiła Jaina. Leia wstała, a córka ukradkiem cmoknęła ją w policzek. Hanowi też udało się pocałować Jainę, ale Jacen trzymał się od nich z daleka, jakby chciał się pojednać z siostrą, ale nie mógł się doczekać zachęty z jej strony. - Wolę nie rozgłaszać, że na Coruscant wrócili Solo. Uważajcie na swoją szóstą, dobrze? - Uważaj na siebie, Jaino - odezwał się w końcu Jacen.

- Ty też - odparła Jaina. Dobrze, że stać ją chociaż na tyle, pomyślał Solo. Córka odwróciła się i przeszła spory kawałek, zanim znów spojrzała na brata bliźniaka. - Wyczuwam, że coś z tobą nie w porządku, Jacenie - stwierdziła. - Czyżbyś wpadł w tarapaty? Jacen uśmiechnął się, jakby odblokowanie się siostry było jego zasługą. - Jestem zapracowany, to wszystko - powiedział.

Han obserwował, jak Jaina się oddala. Nie chciał spojrzeć żonie w oczy. O co w tym wszystkim chodzi? - Zadał sobie pytanie. R2 wytoczył się spod kadłuba „Sokoła”. Na wyświetlaczu robota widniała długa lista mechanicznych problemów, z którymi należało się uporać. Han wiedział, że zajmie to bardzo dużo czasu. Uniósł rękę i zastopował robota w połowie serii pisków. - Wiem - powiedział. - Nie musisz mi tego mówić. R2 zaświergotał znowu.

- Idę o zakład, że możesz - przyznał Solo. - Potrafisz naprawić wszystko. Ale nie spiesz się, bo tym razem polecimy czymś, co nie będzie się tak bardzo rzucało w oczy. - Przynajmniej wróćcie ze mną, zanim załatwicie inny środek transportu - zaproponował Jacen.

- Dobry pomysł - podchwyciła Leia. - A przy okazji przywitamy się z Benem. Tęskniliśmy za nim.

Nie chodziło jej tylko o odegranie roli dobrej ciotki. Naprawdę chciała wiedzieć, co się dzieje. Jacen nie odpowiedział, ale Leia posłała mu ukradkowe spojrzenie. Han je zauważył, ale go nie zrozumiał.

R2 ćwierknął wesoło na pożegnanie i potoczył się w górę opuszczonej rampy „Sokoła”. Han podążył za Leią, wycierając o spodnie poplamione chłodziwem dłonie. Cały czas się zastanawiał nad ostatnimi słowami Jainy. „Czyżbyś wpadł w tarapaty?”

No właśnie. O co w tym wszystkim chodzi?

Apartament Jacena Solo, niedaleko rotundy, Coruscant

Luke wiedział, że wcześniej czy później Ben wróci. Przechadzając się po kuluarach apartamentowca, od czasu do czasu przystawał, żeby spojrzeć przez transpastalowe drzwi. Jego synowi musiało się coś przydarzyć, chociaż wszystkie wrażliwe na Moc zmysły podpowiadały mistrzowi Jedi, że jego

syn jest żywy, cały i zdrowy. Co z tego, skoro nie odpowiedział na wezwanie przez komunikator.

A Jacen całkiem zniknął z Mocy. Chwilami Luke odbierał jego słabe echo, ale zaraz znów je tracił. Spojrzał na Marę i zastanowił się, czy żona potrafi wykryć siostrzeńca w Mocy lepiej niż on.

- Ja też go nie wyczuwam. - Żona pokręciła głową, jakby dokładnie wiedziała, co się dzieje w głowie męża. Nie było to zresztą zbyt trudne, bo tego dnia Luke nie myślał właściwie o niczym innym. - Posłuchaj, tam panuje chaos. Ben jest na tyle rozsądny, żeby nie pakować się w tarapaty. Zachowajmy spokój.

Zachowajmy spokój, powtórzył w duchu Luke. Do czego to doszło, żeby Mara musiała mu udzielać takich rad. Był ciekaw, jak żona przyjmuje fakt, że mimo nadciągającej wojny praktycznie nie ma nic do zrobienia.

Wojna. Mistrz Jedi powrócił myślą do tego problemu. W ciągu ostatnich kilku dni prawdopodobieństwo wojny przerodziło się w pewność. Luke usiłował oddzielić tę sprawę od podsuwanych mu przez Moc i prześladowających go cały czas wizji mężczyzny w płaszczu z kapturem. Odwrócił się w stronę szybu turbowindy i spojrzał na błyszczącą podłogę, w której odbijała się kaskada światełek z panelu wskaźnikowego na ścianie. W pewnej chwili usłyszał głos żony:

- Nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków, kochanie... Ach! O, nie...

Luke odwrócił się jak użądłony i zobaczył Bena. Syn miał zapuchnięte i załzawione oczy. Z nosa mu ciekło, jakby płakał całą drogę powrotną do domu. Zdrętwiała Mara ocknęła się w końcu, podeszła do syna i go objęła. Chłopiec jej wprawdzie nie odtrącił, ale też nie odwzajemnił jej uścisku.

- Co się stało, kochanie? - Zapytała wstrząśnięta Mara. - Co ci się przydarzyło?

- Nawdychałem się trochę gazu łzawiącego - powiedział, kaszląc, Ben.

- Coś podobnego! - Mara dotknęła palcami jego podbródka, uniosła mu głowę i przesunęła na bok, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Wyglądasz jak poparzony. Możesz swobodnie oddychać?

- Działanie gazu ustępuje, mamó. - Ben spontanicznie przytulił się do matki. - Znalazłem się po prostu w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze.

- Zabierzemy cię do ośrodka medycznego, żeby cię tam zbadali - odezwał się półgłosem Luke.

- Powiedziałem, że nic mi nie jest, tato - zaprotestował Ben. - Działanie gazu praktycznie ustąpiło. - W jego głosie zabrzmiała lekka irytacja. - Co robicie, żeby poprawić zaopatrzenie mieszkańców w wodę?

- Zajmują się tym władze miasta - poinformowała Mara.

- Czy to sprawka Korelian? - Zapytał Ben. - Czy właśnie na tym polega terroryzm? Tak mówią w biuletynach informacyjnych HoloNetu i wszyscy w to wierzą.

- Wjedźmy na górę do apartamentu, żebyś mógł się doprowadzić do porządku - zaproponowała Mara, popychając łagodniej syna w kierunku szybu turbowindy. - Gdzie jest Jacen?
Ben stanął przed drzwiami kabiny.

- Nie wiem - odrzekł. - Wracam z Centrum Operacyjnego Floty. Zaczekajcie, tu jest apartament Jacena. Powinienem go zapytać, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, że złożycie mu wizytę.

- To także twój apartament - przypomniał łagodnie Luke. A zatem Jacen rzeczywiście wydaje polecenia Benowi, pomyślał. Chłopcu, który nie słuchał matki nawet wówczas, kiedy zagrożone było jego życie. Mistrz Jedi myślał o tym ze zgrozą i smutkiem. Naprawdę obawiał się zabarwionego Ciemną Stroną wpływu Jacena na syna, a może tylko zabołało go, że siostrzeniec wydaje się lepszym ojcem dla Bena niż on. - Chodźmy.

Zazwyczaj Ben, ponaglany, wzdychał i okazywał niezadowolenie, ale tym razem, wyraźnie zrezygnowany, kiwnął głową, jakby w ciągu ostatnich kilku dni nagle wydorósł. Jechali kabiną w pełnej napięcia ciszy, przerywanej od czasu do czasu kichaniem i pochrząkiwaniem Bena. Chłopak miał tak brudne ubranie, jakby tarzał się w nim po ulicy. Kiedy weszli do apartamentu, od razu skierował się do łazienki, ale nagle zamarł tuż przed drzwiami i obrócił się na pięcie.

- Będzie mi potrzebna butelkowana woda z chłodziarki - powiedział.

Większość śródmieścia wciąż jeszcze nie miała bieżącej wody. Luke poszedł do kuchni i odkręcił kurki, żeby spuścić wodę z rur i zbiorników. Nie było sensu ryzykować. - Wyczuwam, że jesteś zły, tato - odezwał się ochryplym głosem Ben. Wlał wodę do miednicy i zwilżył myjkę, żeby przetrzeć twarz. Skrzywił się, ale nie jęknął, kiedy mokry materiał zetknął się ze skórą. - Ale to nie wina Jacena. To moja wina. Odłączyłem się od niego, kiedy szedł na tamto spotkanie. - Chciał jeszcze coś dodać, ale z trudem się powstrzymał. - Dostałem nauczkę - stwierdził tylko.

- Najważniejsze, że nie stało ci się nic złego - pocieszyła go Mara. Korzystając z tego, że Ben zasłonił twarz ręcznikiem, spojrzała na męża. Czy to ten sam zbuntowany dzieciak, którego znamy? - Mówiło jej spojrzenie. - Zrobię ci coś do picia. Masz okropną chrypę. Wszyscy troje przeszli do salonu i usiedli tak daleko jedno od drugiego, jak mogli. Ben popijał sok ze szklanki, ale od czasu do czasu łapał go atak niepohamowanego kaszlu, po którym aż łzy leciały mu z oczu. Luke nie mógł się nadziwić opanowaniu syna. Może żona miała rację. Może Luke tak bardzo bał się stracić Bena, że niewłaściwie oceniał motywy postępowania Jacena. Jeżeli nie liczyć straszliwych wizji, jakie go prześladowały, i otaczających siostrzeńca ciemności, nie mógł mu zarzucić niczego konkretnego, zwłaszcza że pod opieką Jacena Ben zdawał się tak szybko dojrzewać. Mistrz Jedi nie miał nic przeciwko temu, że tak siedzą w milczeniu. Nie musieli rozmawiać. Z nawyku zaczął odbierać wrażenia z całego apartamentu, ale nie wyczuł niczego poza lekkim niepokojem, jakby Jacen miewał kłopoty.

On przeżywa trudny romans, przypomniał sobie. Może w tym wszystkim rzeczywiście nie chodziło o nic więcej.

Coś jednak mówiło mu, że to nieprawda. Zaczął teraz wyczuwać siostrę Jacena, gdzieś blisko... I samego siostrzeńca.

Drzwi się otworzyły i wszedł Jacen w towarzystwie obojga Solo. Teraz mogłoby nastąpić radosne spotkanie rodzinne, ale zmroził wszystkich wyraz twarzy Hana. Luke postanowił wziąć inicjatywę w swoje ręce.

- Wszystko w porządku, Jacenie - powiedział. - To my namówiliśmy Bena, żeby nas tu wpuścił. Zawędrował w rejon zamieszek i nawdychał się gazu łzawiącego.

- Nic mi nie jest. - Ben ciężko westchnął. - Już mi prawie przeszło.

- No cóż, w takim razie każdy z nas przeżył dzisiaj mały dramat. - Jacen gestem zachęcił rodziców, żeby weszli do salonu.

Promieniowały od niego tylko współczucie i niepokój; Luke nie wyczuwał nic mrocznego. - Mama i tata o mało się nie roztraskali podczas lądowania, no i niewiele brakowało, a ojciec zostałby zamordowany. Mara wstała, żeby podsunąć Leii poduszki pod plecy. - W tej rodzinie to po prostu normalny dzień - stwierdziła.

- Wracamy do domu, jak tylko zdołamy znaleźć zastępczy środek transportu. - Han bardzo się starał nie patrzeć na Luke'a.

- „Sokół” nie jest w tej chwili w najlepszym stanie. Artoo zajmuje się jego naprawą. - Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście? - Zapytał mistrz Jedi. Solo wzruszył ramionami.

- Byliśmy trochę zajęci, usiłując nie spłonąć w warstwach atmosfery - wyjaśnił. - Gdyby Jacen nie przesłał przez Leię swojej energii Mocy, musiałbyś nas teraz zgarniać szuflą z lądowiska miejskiego kosmoportu.

Luke zorientował się, że oto pojawiła się okazja zawarcia pokoju... Przynajmniej w rodzinie. Jaki los czekałby galaktykę, gdyby nie przekonał najbliższych, że muszą trzymać się razem? - Korelia nie musi być twoim domem, Hanie - powiedział. - Wróć do nas. Będziesz tu bezpieczniejszy.

- Tak, ale jest jeszcze jeden drobiazg... Jestem Korelianinem, co w tej chwili nie jest szczególnie modne - odparł Solo. - A twoi kumple atakują moją ojczyznę, bo nie chce się przed nimi ugiąć i nie zamierza zostać pacholkiem Sojuszu, który powoli zmienia się w następne Imperium.

Powinniśmy oboje wiedzieć lepiej, pomyślał Luke. Postanowił zacząć z innej beczki. - Hanie, od jak dawna się znamy? - Zapytał.

- Wystarczająco długo, żeby na myśl o postępowaniu Sojuszu ogarnęły nas złe przeczucia - stwierdził Han. - W każdym razie mnie ogarniają. - Hanie... - Odezwała się Leia ostrzegawczo. - Daj spokój.

- Nie, niech wyrzuci z siebie, co ma na wątrobie. - Luke zauważył, że Ben go obserwuje. Nie chciał, aby syn go widział w takiej sytuacji... Podczas kłótni z najlepszym przyjacielem.

A przecież powinni się cieszyć, że oboje Solo przeżyli. - Moim zdaniem idziesz na rękę Thrackanowi Sal-Solo, reagując instynktownie, jak wszyscy inni Korelianie, na każdą propozycję gry w zespole.

- Wolnego, mały - zachnął się Han. - W czym zespole? Waszym?

- Możecie się posunąć za daleko w swoim dążeniu do niezależności - ostrzegł mistrz Jedi.

- Dawniej, kiedy ci to odpowiadało, ochoczo wykorzystałeś moje poczucie niezależności, kolego - przypomniał Solo. - Kłopot w tym, że nie mogę przestać być sobą. - Nie sprzecząjmy się - zaproponował pojednawczym tonem Luke.

- Właśnie to robiliśmy. - Han pokręcił głową i popatrzył na przyjaciela. Wyglądał raczej na zdezorientowanego niż na rozgniewanego. - Wykorzystują cię za każdym razem. Pokaż mi władzę, która by nie wykorzystywała Jedi dla usprawiedliwienia swoich poczynań. Jesteście podobni do galaktycznej pieczętki. Dlaczego ze wszystkich ludzi właśnie ty udzielasz poparcia Omasowi? Czy słowo „Palpatine” już ci nic nie przypomina? - To było co innego - stwierdził mistrz Jedi. - Palpatine był Sithem.

- A Omas jest głupcem, a przynajmniej marionetką innych głupców - odciął się Solo. - No cóż, nie licz na mnie. Niech ci wystarczą moje dzieci, które pracują dla ciebie. - No pięknie - odezwała się cicho Mara. Luke wyczuł jej zakłopotanie i obawy. - Uwielbiam oglądać dorosłych w akcji. Jacenie, chodźmy do kuchni zaparzyć kafeinę. Niech ci dwaj nadal marnują testosteron. Ty też chodź z nami, Benie. - Ja też mam tego po dziurki w nosie - odezwała się Leia.

Wstała i wślizgnęła się między obu mężczyzn. Była rozgoryczona i zirytowana. - Przestań, Hanie. Ty też, Luke. Mamy za dużo innych problemów, żeby toczyć wojnę domową.

Luke czuł w żołądku dziwne uczucie, którego nie doświadczał wiele lat. Wiedział, że jego powodem są dręczące go wątpliwości. Może jednak Han miał rację. Jedi pozwalali się w przeszłości wykorzystywać i właśnie to przyczyniło się do ich upadku. Moc знаła jednak sposoby ostrzegania ich. Han miał także rację, przypominając, że jest upartym i niezależnym osobnikiem, który chodzi własnymi drogami, kiedy inni spieszą w przeciwnym kierunku. Solo postępował tak nie dlatego, że widział w tym korzyści dla siebie - w końcu był wygadany i twardym poszukiwaczem przygód - ale dlatego, że był pewny, że ma rację. Na dodatek wolałby raczej umrzeć niż zrezygnować z niezależności. Był Korelianinem.

I to typowym Korelianinem. Luke unikał uogólnień, ale takie, cechy wykazywali niemal wszyscy Korelianie, nie wyłączając tych, którzy mieszkali na Coruscant. Uświadomienie sobie tego faktu nie zwiększyło jednak jego pewności siebie.

Mistrz Jedi westchnął. Naprawdę było mu przykro, że rozpoczynał tę dyskusję. Wyciągnął rękę do przyjaciela. Han jej nie uścisnął.

- Muszę zobaczyć się z jednym gościem i pogadać z nim na temat statku - oznajmił i wyszedł z salonu. Jacen podszedł od tyłu do Luke'a i poklepał go po ramieniu.

- Przykro mi, wujku - powiedział. - Gdybym wiedział, że tu jesteście, skontaktowałbym się z tobą przez komunikator i uprzedził, że idziemy. Tata bywa ostatnio bardzo rozdrażniony, i to nie tylko

przez politykę. Z powodu Jai'ni i Thrackana, a w tej chwili także „Sokoła”.

Luke uznał, że siostrzeniec mógł przecież wykryć obecność jego i Mary dzięki Mocy, ale usunął tę myśl z głowy. Doszedł do wniosku, że jest dla niego niesprawiedliwy. Może sposobem maskowania własnej obecności w Mocy była niewrażliwość na obecność w niej innych osób. A Jacen z każdym dniem władał Mocą lepiej i bardziej precyzyjnie. Poczł się nieswojo.

- Co Han miał na myśli, kiedy mówił o przesyłaniu energii Mocy? - Zapytał.

Rycerz Jedi wzruszył ramionami. Znow był tym serdecznym, rozważnym mężczyzną co dawniej.

- Mama starała się utrzymać kadłub „Sokoła” w jednym kawałku, więc... Przesłałem przez nią swoją energię Mocy. Podobnie zrobiliśmy podczas walki z Killikami, żeby pozbać ich broń skuteczności.

Jacen był jedynym znanym Luke'owi rycerzem Jedi, który umiał pokonać wytwarzaną przez Lomi Pion iluzję niewidzialności. Sztuka polegała na tym, żeby nie mieć wątpliwości, które można wykorzystać do odwrócenia czyjejś uwagi.

Jeżeli chodzi o mnie, mam mnóstwo wątpliwości, pomyślał Luke. Stanowczo więcej wątpliwości niż pewności.

Kiedy Jacen odwrócił się do niego plecami, Luke wyczuł w umyśle słabe echo czegoś znajomego... Coś jak zapach znanych perfum. Ta woń pochodziła z dawnych czasów. Luke wchłaniał ją całym sobą.

W następnej chwili uświadomił sobie, co to takiego. Wiedział, o kogo chodzi.

Z początku pomyślał, że to wrażenie pochodzi od Jacena, ale doszedł do wniosku, że to niemożliwe. To musiał być czysty przypadek. Zrozumienie poraziło go niczym cios w brzuch. Zrozumienie, czym są jego wizje Mocy.

Wiem, kim jest zakapturzona osoba, pomyślał. Teraz już wiem. To wcale nie mężczyzna.

Wyczuwał w Mocy ledwo uchwytny ślad kobiety, która go kiedyś kochała. Kobieta nazywała się Shira Brie i była Ciemną Jedi, zanim przeistoczyła się w Lumię - kobietę Sitha, raczej cyborga niż istotę ludzką. Później Lumiya go znenawidziła, ale Luke aż do tej chwili przypuszczał, że zniknęła na zawsze. Okazało się, że wróciła.

Jest tu, pomyślał. Wiem, że jest.

Lumiya...

Jest tu, na Coruscant.

A więc Luke ma teraz niebezpiecznego, zawziętego przeciwnika. Musiał tę kobietę odnaleźć, zanim wyrzłdzi krzywdę jemu i najbliższemu. To było do niej podobne: wykorzystać zamieszki w galaktyce do zamaskowania swojej obecności. Zorientował się, że Jacen wpatruje się w niego. - Stało się coś złego, wujku? - Zapytał.

Czy powinienem ostrzec Jacena, że Lumiya wróciła? - Zadał sobie pytanie mistrz Jedi. Czy mój siostrzeniec zechce mnie wysłuchać?

- Nic poważnego - odparł w końcu. - Po prostu niewesołe wspomnienia.

ROZDZIAŁ 8

Ujęcia wody w części Galactic City skażono środkiem zwanym Fex-M3. Do zamachu przyznali się bojownicy koreliańskiego ruchu oporu. Sto pięćdziesiąt sześć osób zmarło, a ponad pięćset doznało porażenia nerwów. Sytuacja doprowadziła wczoraj do zamieszek przed koreliańską ambasadą. CSB podwoiła liczbę funkcjonariuszy w Galactic City, żeby nie dopuścić do rozszerzenia się fermentu. Władze Galactic City ogłosiły stan pełnej gotowości, aby zapobiec następnym aktom terroru, i wezwały mieszkańców do zachowania czujności. Admirał Cha Niathal zwróciła się do władz z żądaniem podjęcia stanowczych kroków w celu wyeliminowania zagrożenia, jakie w przyszłości mogą stworzyć terroryści.

z porannego biuletynu informacyjnego HoloNetu

Gabinety przywódcy Galaktycznego Sojuszu, Sala Omasa. Gmach Senatu, Coruscant

Latająca kamera HoloNetu unosiła się cierpliwie przed biurkiem przywódcy Omasa, który udzielał właśnie wywiadu na temat bezpieczeństwa zasobów wody pitnej w Galactic City. Jacen starał się trzymać na uboczu. Obserwował scenę z kanapy stojącej w kącie ogromnego gabinetu.

Omas miał na biurku dzbanek wyrzeźbiony z kryształu z Naboo. Od czasu do czasu demonstracyjnie nalewał z dzbanka porcję wody do przezroczystego kubka i popijał ją w przerwach na pytania. Nic bardziej niż taki dowód zaufania do czystości płynu nie mogłoby przekonać mieszkańców, że coruskańska woda nadaje się do picia. W pewnej chwili Omas podał drugi kubek reporterowi.

Wyraz twarzy dziennikarza mówił wyraźnie, że mężczyzna wie, iż bierze udział w akcji propagandowej. Mimo to bez wahania wypił wodę. Wyglądało to jak dziecinna zabawa, której uczestnicy próbowali dowieść, kto z nich jest odważniejszy.

- Wszystkie spółki zajmujące się uzdatnianiem wody wprowadziły dodatkowe środki ostrożności - mówił przywódca Galaktycznego Sojuszu, tuląc w dłoniach kubek z wodą. Jacen doszedł do wniosku, że ten widok działa uspokajająco na widzów, którzy musieli zwrócić uwagę na sztuczkę z kubkiem. - Jestem pewien, że nie dojdzie do powtórki aktu sabotażu, jaki miał miejsce w tym tygodniu.

- Przypuszcza pan, że mamy do czynienia z realnym zagrożeniem ze strony terrorystów, czy też to był tylko odosobniony akt sabotażu? - Zapytał reporter.

- To bardzo realne zagrożenie i wszystko wskazuje na to, że z każdą chwilą staje się większe - stwierdził bez wahania Omas. Nawet jeżeli nie mamy do czynienia ze znaną organizacją

terrorystyczną.

- A zatem jest pan świadom skali tego zagrożenia. Czy pana zdaniem władze robią wszystko dla ochrony coruskańskich obywateli?

Tym razem Omas odczekał chwilę dla nabrania powietrza. Jacen zauważył, że przywódca zastanawia się nad doborem słów. Z pewnością polityk starał się wykorzystać okazję.

- Mogę pana zapewnić, że nasze Służby Bezpieczeństwa podejmują wszelkie możliwe kroki - odezwał się w końcu.

- Niektórzy politycy jednak krytykują pana za to, że pańskie poczynania nie idą dość daleko.- Posunęliśmy się tak daleko, jak pozwala na to nasze prawo.

- Część pańskich podwładnych nawołuje do internowania mieszkających tu Korelian.

- To byłby bardzo poważny krok - stwierdził Omas. - Nie znajdujemy się w stanie wojny.

- Ale kiedy wojna wybuchnie, czy nie będzie na to za późno?

Omas pozwolił sobie na pełen ubolewania uśmiech.

- Nie możemy działać zbyt pośpiesznie - powiedział.

Internowanie, pomyślał Jacen. Na przykład mojego ojca, tak?

Zjeżył się na myśl o tym, ale zaraz poczuł wyrzuty sumienia. Pomyślał najpierw o swojej rodzinie, zamiast o tych wszystkich, którzy byli narażeni na niebezpieczeństwo. Ktoś musi zapanować nad tą sytuacją i tym kimś będę ja, postanowił.

Spojrzał na panel z transpastali i zauważył, że w kularach ktoś się porusza. Odbicie sylwetki mężczyzny było zniekształcone przez wzory wytrawione w przezroczystej płycie, ale rycerz Jedi rozpoznał senatora G'Sila, przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa i Wywiadu. Zaledwie reporter HoloNetu skończył rozmowę i wyszedł, G'Sil wślizgnął się do gabinetu Omasa.

- To nie ja stracę pracę - zaczął, przyciągając sobie krzesło. - Uważam jednak, że nasz przyjaciel ze środków masowego przekazu ma rację. Przepraszam. Przyznaję, że umilałem sobie czas nieszkodliwym podsłuchiowaniem waszej rozmowy.

Jacen wiedział, dlaczego go wezwano, ale chciał się przekonać, w jaki sposób politycy przedstawiają mu problem. Zabawa w polityczne gry nasuwała mu wątpliwości, czy przypadkiem motorem jego poczynań nie jest osobista ambicja, ale skoro jego partnerzy byli wprawni w manipulowaniu, musiał im w tym dorównać, bo mu zależało na ich poparciu. Jedi słynęli z pragmatyzmu.

- Nie uśmiecha mi się to, że muszę sięgać po ostateczne środki stwierdził Omas. - I może to nie mnie przyjdzie podjąć taką decyzję.

G'Sil wskazał kciukiem zajmujące całą ścianę okno, za którym było widać miejskie budowle.

- Spójrz tam - powiedział. - Na tej planecie mieszka bilion osób. Zaledwie kilka tysięcy, drobny

ułamek procenta, ucierpiało w wyniku aktów terroru. Pozostali boją się jednak, że i oni ucierpią. Właśnie z taką sytuacją mamy do czynienia. Liczy się postrzeżenie.

Publiczne zaufanie.

Omas uniósł brew.

- Propaganda - zauważył.

- Konieczność zapewnienia im bezpieczeństwa - sprzeciwił się senator.

Jacen zobaczył już i usłyszał wystarczająco dużo, żeby umieścić nazwisko G'Sila na swojej liście sojuszników, na którą wcześniej wciągnął nazwisko pani admirał Niathal. - Strach rodzi własne problemy - powiedział. - Musimy zrobić wszystko, żeby nasi obywatele czuli się bezpieczni.

Po jego słowach zapadła krótka cisza. Omas przygarbił się, a jego obecność w Mocy wyglądała teraz jak mała kulka lodu, która może roztopić się i zniknąć. Jacen wyczuwał jego wątpliwości jak coś niemal namacalnego.

- Mara Skywalker nie zechce stanąć na czele naszego nowego organu bezpieczeństwa - odezwał się w końcu przywódca Galaktycznego Sojuszu, zerkając na Jacena. - Ty jednak jesteś równie kompetentny, a przy tym chyba dasz się namówić do podjęcia się tego niewdzięcznego zadania. - Proszę najpierw je sprecyzować - odparł rycerz Jedi.

- Będzie polegało na wypełnieniu luki między siłami zbrojnymi a Coruscańską Służbą Bezpieczeństwa - wyjaśnił Omas.

- Dlaczego zwracacie się z tym bezpośrednio do mnie, z pominięciem Rady Jedi? - Zainteresował się młody Solo. - Nie jestem nawet wojskowym.

- Bo chodzi nam nie o rycerza Jedi, ale o Jacena Solo - wyjaśnił G'Sil. - Zostaniesz powołany do wojska i awansowany do stopnia pułkownika. Idę o zakład, że członkowie Rady nie zechcą brudzić sobie rąk takimi kłopotliwymi sprawami. - Na pewno im się to nie spodoba - przyznał Jacen.

- Skończmy z tą propagandą - burknął G'Sil. - Jesteśmy demokracją, więc nigdy nie radziłyśmy sobie najlepiej z utrzymywaniem tajnej policji. No wiesz, chodzi o oddziały szturmowe przeznaczone do tłumienia rozruchów, w rodzaju tych, jakie miał Vader, kiedy... - Senator urwał. - Przepraszam, Jacenie. Nie chciałem cię urazić.

- Nic nie szkodzi. - Rycerz Jedi naprawdę nie miał mu tego za złe. Pogodził się z tym, że kroczy śladami dziadka, ale nie zamierzał pokonywać całej drogi. - Nie wstydzę się tego, że jestem wnukiem Anakina Skywalkera. A zresztą, wzorując się na nim, mogę nauczyć się czegoś pożytecznego.

W gabinecie zapadła martwa cisza, jakby G'Sil i Omas wstrzymali oddech do czasu, aż Jacen im pozwoli znów zacząć oddychać.

- Czy mamy przez to rozumieć, że się zgadzasz? - Zapytał w końcu senator.

Niech to zaraza, przyszedłem tu jako cywil, a wyjdę jako pułkownik, pomyślał młody Solo. Jainie na pewno się to nie spodoba. Przełknął ślinę.

- Będę musiał mieć do dyspozycji oddział Służby Bezpieczeństwa, żeby się z tym uporać - oznajmił.

Omas zerknął na G'Sila, ale zaraz przeniósł spojrzenie na Jacena. - Dostaniesz jednostkę antyterrorystyczną CSB - obiecał.

- Nie o to chodzi. Chcę stworzyć z wojskowych i przedstawicieli kilku innych formacji własny oddział, który będzie działał zupełnie niezależnie od CSB - sprzeciwił się rycerz Jedi. - Obywatele nie powinni widzieć, że funkcjonariusze cywilnej policji wdzierają się do ich mieszkań i aresztują mieszkańców, bo to by utrudniło utrzymywanie porządku w mieście. Także ze względów politycznych to musi być odrębny oddział... Specjalna straż Galaktycznego Sojuszu, jeżeli nie macie nic przeciwko takiej nazwie. G'Sil kiwnął głową.

- Zgadzam się - powiedział. - Rzeczywiście tajna policja powinna działać niezależnie od uprzejmych policjantów, którzy strzegą porządku na ulicach. Takie rozwiązanie da wszystkim do zrozumienia, że miłujący prawo Coruscianie nie muszą się niczego obawiać, a zarazem upewni nieprzyjaciół, że nie zawahamy się przed użyciem maksymalnej siły. Omas siedział na samym brzeżku fotela, opierając łokcie na blacie biurka. Złożył ręce i spoglądał w dół, jakby nie mógł skupić spojrzenia. - Padło tu słowo „aresztowanie” - odezwał się w końcu.

- Internowanie - sprostował G'Sil. - I tym razem to nie propaganda. Tamci Korelianie bez trudu dostali się do ujęć wody. Jeden niezbyt silny ładunek wybuchowy wyeliminował na pół dnia dziesięć napowietrznych szlaków. Na tak zatłoczonej planecie jak ta nie potrzeba wielu terrorystów, żeby wyrządzić poważne szkody. Nie zapominaj także, że mieszkańcy dopiero niedawno przyszli do siebie po poprzedniej wojnie. Łatwo wpadają w paranoję. Jacen widział przed sobą ścieżkę, na którą musiał wejść... Ścieżkę stworzoną specjalnie dla niego. Zrozumiał, że nie uniknie przeznaczenia, które wyjawiała mu Lumiya. Wydarzenia układały się w spójną całość, a on stanowił jej element. Nie miał wyboru, musiał wziąć na swoje barki brzemień odpowiedzialności.

- Prócz tego musimy udowodnić tym planetom, których władze mogą mieć ochotę opowiedzieć się po stronie Korelii, że Galaktyczny Sojusz nie da sobą pomiatać - oświadczył. Zastanowił go ten dobór słów. Kim jesteśmy „my”? - Zadał sobie pytanie. Nie zostałem wybrany. Nie jestem członkiem Rady Jedi. Nie jestem nawet mistrzem. - Na internowanie będzie musiała wyrazić zgodę Rada Bezpieczeństwa i Wywiadu. - Omas wyglądał na zrezygnowanego, ale próbował uspokoić sumienie, szukając demokratycznego sposobu rozwiązania problemu. Popatrzył dziwnie na Jacena i zmarszczył brwi, jakby nagle coś sobie przypomniał. Na chwilę wzrok mu się zamglił, a kiedy odzyskał ostrość spojrzenia, odwrócił się do senatora. - Będę potrzebował poparcia twoich zwolenników - powiedział. - Możesz być pewny, że je dostaniesz - zapewnił G'Sil.

Jacena bardziej interesowało to, jakie siły dostanie, żeby wywiązać się z zadania. Instynkt podpowiadał mu, że musi mieć lojalnych żołnierzy, których będzie mógł obdarzyć zaufaniem.

- Chciałbym zwerbować kapitana Shevu i grupę osobiście wybranych przez niego osób - oznajmił. Lubił Shevu. Oficer był bezkompromisowy i uczciwy, a Moc podpowiadała Jacenowi, że Shevu nie zawaha się przed wykonaniem niewdzięcznego zadania. - Będę także potrzebował wsparcia w postaci kompanii żołnierzy oddziałów specjalnych - podjął po chwili. - Muszę mieć również dostęp

do danych Wywiadu Sojuszu.

Na chwilę odniósł wrażenie nierealności. Jak to się stało, że tak łatwo dałem się wmanewrować w podobną sytuację? - Zadał sobie pytanie.

- Będą ci potrzebni funkcjonariusze Wywiadu Nowej Republiki - domyślił się senator. - Nie. - Aż do tej pory WNR nie miał do czynienia z podobnym zagrożeniem, więc Jacen nie miał pojęcia, komu tam mógłby zaufać. - To muszą być zupełnie świeże siły. Omas wciąż jeszcze nie mógł się wyzbyć niepokoju.

- Wykonaliśmy krok w kierunku stanu wyjątkowego - stwierdził.

- Pod względem formalnym to problem coruskański - zauważył G'Sil. - Decydowanie w takich sprawach nie leży w gestii Senatu. Masz prawo osobistego podejmowania decyzji w sprawach dotyczących tylko jednej planety.

- Coruscant nie jest zwyczajną planetą - sprzeciwił się Omas. - Jest także stolicą Galaktycznego Sojuszu, a to oznacza, że muszę mieć w tej sprawie pełne poparcie. Inaczej, kiedy zaczniemy stosować te „specjalne środki zapobiegawcze”, jak lubicie je nazywać, wszystko się rozpadnie. Ludzie zazwyczaj się denerwują, kiedy władze stosują siłę. - Do podjęcia tych... Specjalnych środków zapobiegawczych powinno ci wystarczyć poparcie większości członków Rady Bezpieczeństwa i Wywiadu - odparł senator. - A ty możesz zapewnić mi poparcie tej większości? - Zapytał Omas.

- Zaraz zwołam specjalne posiedzenie - obiecał G'Sil. - Daj mi dwadzieścia cztery godziny.

Z widoczną ulgą poklepał Jacena po ramieniu i wyszedł. Omas, który wyglądał za biurkiem jak żołnierz w silnie bronionym okopie, patrzył na rycerza Jedi, jakby się spodziewał, że lada chwila usłyszy od niego niepomyślną wiadomość.

- Czy mogę zacząć kompletować oddział, którego będę potrzebował? - Zapytał Jacen. - Chciałbym wkroczyć do akcji zaraz po załatwieniu wszystkich formalności.

- Naturalnie - stwierdził Omas. - Pozwól tylko, że porozmawiam z admirałem Pellaeonem. - Przycisnęła guzik w blacie biurka i włączył komunikator. Błat sporządzony był z tego samego plekdrewna i lazurytu, co pozostała część mebla. - Wydam też rozkaz, żeby Shevu zameldował się u ciebie.

- Da pan radę wyjaśnić to wszystkemu naczelnemu dowódcy i CSB? - Zainteresował się rycerz Jedi.

- Jestem bardzo wiarygodny, kiedy się postaram - odparł przywódca Galaktycznego Sojuszu. - Wątpię zresztą, żeby CSB chciało się sprzeciwić.

Wyglądał, jakby chciał dodać coś jeszcze, a Jacen był niemal pewny, co usłyszy: jeżeli Pellaeon zostanie zmuszony do zaakceptowania decyzji Omasa, najprawdopodobniej poda się do dymisji.

Młody Solo też tak uważał. Gdyby Niathal zastąpiła Pellaeona na tym stanowisku - a nikt nie wątpił,

że tak by się stało - jej poparcie umożliwiłoby realizację tego, co miało nastąpić... Co musiało nastąpić.

Tymczasem jednak Jacen musiał udowodnić całej Coruscant i przyglądającej się wszystkiemu galaktyce nie tylko to, że zamiast chaosu można narzucić porządek, ale także to, że ten porządek może zostać wprowadzony dla dobra ogółu.

Skinął lekko głową Omasowi, a po wyjściu skierował się do Centrum Operacyjnego Dowództwa Strategicznego. Wyczuwał, że kapitan Shevu nadal pełni tam służbę, chociaż jego zmiana powinna była się zakończyć przed trzema godzinami.

Shevu był oficerem prostolinijnym i zdolnym do poświęceń. Wiedział także jak nikt inny, gdzie mogą się kryć koreliańskie szumowiny. Jacen mógł mu pomóc ustalić miejsce ich pobytu dzięki niezbyt dokładnym, ale niezawodnym zmysłom, wrażliwym na oddziaływanie Mocy. On, Ben i Shevu mogli stworzyć wspaniały zespół.

Vario, Roonadan, dzielnica nadrzeczna

Sprzedawca mówił prawdę. Dzielnica nadrzeczna była elegancka i zamieszкана przez bardzo zamożne osoby. Powietrzna taksówka leciała jakiś czas nad brzegiem sztucznej rzeki, która była właściwie kanałem o pieczołowicie zaprojektowanych kataraktach i równie starannie obliczonej szybkości prądu wody. Na obu brzegach rosły prawdziwe krzaki, a miejskie parki ciągnęły się aż do zapleczy sklepów i szykownych restauracji.

Fett, choć narzucił na pancerz czarny strój, czuł się dziwnie nagi i bezbronny. Starał się pamiętać, że prawie nikt nie widział jego twarzy... Aż do dziś. Doszedł do wniosku, że czułby się zdecydowanie swobodniej w dzielnicy, w której bary są kiepsko oświetlone, a noszenie blastera jest koniecznością. - Zamierzam podjąć pracę w firmie AruMed - zagaił do pilota. - Gdzie byłoby najlepiej kupić dom? Pilot taksówki spojrział na jego odbicie w lusterku wstecznym.

Pierwszy raz od bardzo wielu lat, pomyślał Fett, ktoś naprawdę spojrział mi w oczy, zamiast starać się przeniknąć spojrzeniem przesłone helmu.

- Wszyscy naukowcy kupują domy przy Górnej Parkowej - powiedział kierowca. - Jest pan naukowcem? - Specjalistą w dziedzinie anatomii - odparł łowca nagród.

Jasne, pomyślał, wiem dokładnie, w które miejsce ciała istot tysięcy ras posłać blasterową błyskawicę, żeby osiągnąć pożądany skutek.

- W takim razie zdecydowanie powinien pan wybrać coś dla siebie przy Górnej Parkowej - potwierdził pilot.

- Jak tam wygląda nocne życie? - Zagadnął niby od niechcienia Fett.

- Drogie lokale - odparł pilot. - Przeważnie skayańskie kawiarenki i winiarnie. - Z dezaprobatą zmarszczył nos. - Jeżeli chodzi o mnie, wolę piwo.

- Jak daleko stamtąd do laboratoriów firmy AruMed? - Zagadnął łowca nagród.

- Pięć minut. Spokojna, miła okolica.

- Sami ludzie?

- Ma pan coś przeciwko istotom innych ras?

- Pytałem z ciekawości. - Kaminoanie nie znosili blasku słońca. Przywykli do chmur, deszczu i bezkresnych oceanów. Fett wątpił, żeby Taun We zadowolili się bliskością sztucznej rzeki.

- Lubię wiedzieć, kim są moi sąsiedzi.

- W tamtej okolicy spotykałem tylko ludzi - odparł pilot.

Może nie wiedziałeś, jak patrzeć, pomyślał Fett.

- Proszę mnie tam podrzucić - powiedział. - Chcę się przekonać osobiście, czy spodoba mi się tamta okolica.

Górna Parkowa rzeczywiście wyglądała tak jak zachwalał kierowca. Między wieżowcami apartamentowców wznosiły się miejskie wille - prawdziwy luksus na tak gęsto zaludnionej planecie - a roboty budowały wciąż nowe nieruchomości na skraju parku, od którego ulica brała swoją nazwę. Na końcu bulwaru Fett zobaczył szare monolity laboratoriów firmy AruMed z podświetlonym na czerwono symbolem. Rzeczywiście, komuś, kto mieszkałby przy Górnej Parkowej, dotarcie tam pieszo nie zajęłoby więcej niż kilka minut. I zgodnie ze słowami pilota przy ulicy mieściło się kilka miłych kawiarenek. Fett czuł się jak ryba w wodzie, kiedy zjeżdżał z dachu po linie, żeby schwytać więźnia, albo wdzierał się do budynku z blasterem w dłoni. Wchodzenie do baru i prowadzenie grzecznościowej rozmowy po prostu nie leżało w jego naturze. Nie miał jednak wyboru. Miej to już za sobą, pomyślał.

W lśniącej czystości kawiarence panowały cisza i spokój. Łowca nagród podszedł do baru, usiadł na stołku i zaczął przeglądać menu. Był bez hełmu, więc mógł nawet coś zamówić. Ta myśl była tak niezwykła, że wprawiała go w zdumienie. Uświadomiła mu, ilu rzeczy nigdy dotąd nie robił, a jeżeli nie znajdzie tych wyników badań, może już nigdy nie zrobi. - Czy mogę panu coś podać?

Fett uniósł głowę i spojrzał w oczy barmana. Facet za kontuarem patrzył na niego jak na każdego innego gościa, nie jak na najszlachetniejszego łowcę nagród galaktyki. Nikt inny w kawiarence chyba także nie zwracał na niego uwagi. Zazwyczaj, kiedy Fett wchodził do lokalu, zapadała napięta cisza.

- Poproszę piwo - powiedział. Widzisz, jakie to proste? - Ucieszył się. Wszyscy się tak zachowują. - Jedno z tych koreliańskich, jeśli łaska.

Po chwili pojawiła się przed nim szklanica wypełniona spienionym napojem. - Pan tu przejazdem? - Zagaił barman.

On na pewno zwraca uwagę na obcych, doszedł do wniosku łowca nagród. Przezorny człowiek. - Zmierzam kupić tu jakiś dom - odparł nieobowiązująco.

- Dobra pora na takie zakupy. - Barman postawił przed gościem szklany półmisek z jakimiś nieznanymi przekąskami. - Teraz, kiedy AruMed się rozwija, ceny rosną jak szalone. Fett sącył piwo, rozkoszując się swobodą popijania w miejscu publicznym. Zjadł kilka przekąsek, słono-słodkich i chrupkich jak smażone orzechy. - Ceny akcji także idą w górę - powiedział.

- To dzięki naukowcom, których AruMed podkradł z SanTechu - wyjaśnił barman. - Podobno dzięki temu opanował pokaźną część rynku terapii genetycznej.

SanTech, pomyślał Fett. Fierfek, dokonałem niewłaściwego wyboru. - Chyba nie zrobili tego Kaminoanie, co? - Zapytał.

Barman wybuchnął śmiechem. Mężczyzna siedzący nieco dalej przy barze odwrócił się i spojrzał na nich.

- Widziałeś kiedyś jakąś istotę tej rasy? - Rzucił. Spokojnie, powiedział sobie łowca nagród.

- Tak - przyznał spokojnie. - Prawdę mówiąc, kiedyś jedną znałem, nawet bardzo dobrze.

W lokalu zapadła jeszcze głębsza cisza; ludzie wokół wyraźnie nadsłuchiwali.

- Jakiś klient powiedział wczoraj, że jedna z istot tej rasy pojawiła się w firmie Arkanian Micro, ale moim zdaniem tylko żartował - odezwał się w końcu barman. Arkanian Micro, powtórzył w myśli Fett. No cóż, jeżeli ktoś ma coś wspólnego z klonowaniem, właśnie tam powinien się skierować. Doszedł do wniosku, że to punkt zwrotny w rozmowie. Poczłł niepokój w żołądku, co niezwykle rzadko mu się zdarzało. Wylądowałem na niewłaściwej planecie, pomyślał, ale może wpadłem na właściwy trop. - Znałem kiedyś badaczkę, która pracowała dla Arkanian Micro - odezwał się mężczyzna siedzący trochę dalej przy barze. - Opowiedziała mi trochę ciekawych rzeczy o Kaminoanach.

Aha, badasz moją prawdomówność, domyślił się Fett. Chcesz się dowiedzieć, czy naprawdę pracuję w tej branży, czy może tylko blefuję, żeby wyciągnąć zastrzeżone informacje.

- Na przykład, że nigdy nie wychodzą na dwór, kiedy świeci słońce? - Zapytał łowca nagród. - I że obsesyjnie dążą do absolutnej perfekcji?

Mężczyzna obrzucił go taksującym spojrzeniem.

- A także, że mają szarą skórę, długie szyje i są niewiarygodnie arogancy, kiedy mogą sobie na to pozwolić - dodał.

To tylko potwierdza, że rzeczywiście spotkałeś jakąś istotę tej rasy, pomyślał Fett. Ty albo twoja przyjaciółka. Serdeczne dzięki. Udał, że poświęca całą uwagę picciu piwa. Niewiele osób wiedziało tak dużo na temat Kaminoan. W ciągu ostatnich kilku wieków dosłownie garstka w ogóle słyszała o ich istnieniu, a co dopiero widziała ich, no i kontaktowała się z nimi wystarczająco długo, żeby opisać ich wygląd na planecie, na której nie mieszkała ani jedna istota tej rasy. Fachowcy w tej

branży na Roonadanie jednak to wiedzieli. - Czy ci z Micro zapewnili im miłą ciemną dziurę na mieszkanie? - Zapytał.

- Rzeczywiście mieli z tym problem - przyznał mężczyzna, wyraźnie zadowolony z przebiegu rozmowy.

A zatem Kaminoanie prawdopodobnie znaleźli pracę w Arkanian Micro na planecie Vohai. Informacja była niepewna, ale o Kaminoanach wiedziano tak niewiele, że można było ją uznać za całkiem wiarygodną.

Zanim Fett dopił piwo, zdecydował, jaką trasą doleci do Odległych Rubieży. Położył na ladzie kilka żetonów kredytowych, zsunął się ze stołka i ruszył do wyjścia z lokalu. - Podoba mi się ta okolica - rzucił od niechcena.

Wracając na pokład „Niewolnika 1”, zrobił coś, co robił już bardzo wiele razy: posłużył się komputerowym notesem, żeby dokonać automatycznego zakupu nieruchomości. W imieniu jednej ze swoich spółek nabył sześć domów przy Górnej Parkowej. Spodziewał się, że w ciągu niespełna roku ich wartość się podwoi. Podobnie jak wiele razy przedtem uległ pokusie, chociaż wiedział, że nigdy w żadnym z tych domów nie zamieszka. To była jego inwestycja. Nigdy nie oddawał się hazardowi. Spekulował.

Po co właściwie inwestujesz? - Zadał sobie pytanie. Dlaczego robiłeś to dotąd? Czy kiedykolwiek planowałeś, co zrobisz ze wszystkimi swoimi inwestycjami?

Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Zależało mu na osiągnięciu sukcesów i wykazywaniu, jaki jest w tym dobry. Niestety jedyna osoba, którą mogło obchodzić, jak dobrze sobie radzi i jaki jest sprytny, od dawna nie żyła.

Fett usiadł na tylnej kanapie taksówki i kilka razy dyskretnie zgiął i rozprostował palce. Poczuł pieczenie w ścięgnach i stawach. Na razie odczuwał ból tylko od czasu do czasu, ale był pewny, że w miarę upływu czasu stan jego zdrowia będzie się pogarszał. Gdyby ból zaczął ograniczać jego skuteczność, zamierzał zażywać środki przeciwbólowe, które by mu pozwoliły pozostać aktywnym trochę dłużej. Nie, jeszcze nie umarł.

Ale jeżeli Ko Sai była jedną z Kaminoanek - Fett zwrócił uwagę na liczbę mnogą - które znalazły pracę w Arkanian Micro, to z pewnością nie zabrała ze sobą wyników badań na temat spowalniania tempa starzenia się klonów. W przeciwnym razie spółka już by je wykorzystowała. Środki spowalniające starzenie zawsze były w centrum zainteresowania zamożnych społeczności, bo umożliwiały zarobienie mnóstwa kredytów.

A może osoby, z którymi rozmawiał w barze, powtarzały tylko plotki? Chyba nie, skoro ujawniły tyle szczegółów. A zresztą nawet plotki w tej branży miały na ogół swoje odbicie w rzeczywistości.

A może Ko Sai nigdy nie zdołała powstrzymać ani nawet spowolnić tempa procesu starzenia się klonów?

W takim razie naprawdę nie żyjesz, Fett, więc lepiej weź się w garść, powiedział sobie łowca nagród.

Wysiadł z taksówki i od razu skierował się do publicznej toalety.

Zdjął ubranie, zwinął je i wepchnął do worka. Wyjął za to hełm i z prawdziwą ulgą założył go na głowę. Hełm nie tylko odgradzał go od świata, do którego właściwie nie należał, ale był także elementem ekwipunku, niezależnym fragmentem uzbrojenia. Fett odprężył się, kiedy znajome linijki informacji oraz symboli spłynęły po brzegu wyświetlacza w polu jego widzenia. Dowiedział się dzięki temu, że z „Niewolnikiem 1” nie dzieje się nic złego..

Posługując się zdalnym sterownikiem, sprawdził sygnały z kamer systemu bezpieczeństwa. Zobaczył puste zatoki lądownicze i zamknięte włady na pasie permabetonu bezpośrednio przed sobą.

Kiedy zauważył „Niewolnika 1” w jednej z zatok, przełączył kamerę na obraz z kabiny dla więźniów, w którym zostawił Mirtę Gev. Dziewczyna właśnie się gimnastykowała. Z palcami dłoni splecionymi na karku i stopami zaczepionymi o nisko biegnącą poręcz grodzi kładła się i siadała na przemian.

Fett musiał przyznać, że jeszcze nigdy się nie zetknął z taką kobietą. Prawdę mówiąc, nie poznał nawet wielu mężczyzn podobnych do niej. Nie wiedział, na czym jej zależało, ale tak czy owak podchodziła do tego bardzo poważnie. Zdyscyplinowanie było cenną zaletą charakteru. Łowca nagród uświadomił sobie, że darzy dziewczynę czymś w rodzaju sympatii. Ty głupcze, powiedział sobie. Dziewczyna jest tylko ciężarem... Balastem.

Z odległości trzydziestu metrów od „Niewolnika 1” otworzył klapę dziobowego wjazdu statku dzięki sprzężeniu z wyświetlaczem w swoim polu widzenia, wszedł do kabiny i pstryknął przełącznikiem pokładowego interkomu.

- Zmiana planu - oznajmił. - Lecimy do sektora Parmela w Odległych Rubieżach. Czekał na słowa protestu, ale nic takiego nie usłyszał. Spojrzał na obraz przekazywany przez kamerę z celi dla więźniów, aby upewnić się, że Mirta wciąż jeszcze się tam znajduje. - Słyszałaś, co powiedziałem? - Zapytał.

- Tak. - Głos miała trochę zasapany, ale wstała i spojrzała w obiektyw kamery systemu bezpieczeństwa. - Wcześniej czy później i tak mi zapłacisz. Jestem młoda. Mam mnóstwo czasu. Mogę zaczekać.

Nie miała nawet pojęcia, że trafiła w czuły punkt. Fett zastanowił się, czy Mirta wie, że jest chory. Na pewno jednak nie znała prawdziwego stanu jego zdrowia.

- Wylądujemy na Vohai - powiedział i zdziwił się, dlaczego dobrowolnie wyjawiał jej cel podróży. Nigdy dotąd nie zwierzał się ze swoich planów. W obecności dziewczyny stawał się nieostrożny. Jeszcze nikomu nie udało się osłabić jego czujności. Postanowił wziąć się w garść i stać znów sobą... Czyli kimś, kto nie troszczy się o nic oprócz zaspokajania własnych potrzeb. - Przyjdź do kabiny i usiądź obok mnie, żebym miał na ciebie oko.

Odblokował zamek systemu bezpieczeństwa sekcji rufowej i przesłał energię do jednostek napędu podświetlnego „Niewolnika 1”. Zaledwie statek zdążył się unieść w powietrze, Mirta przypięła się do fotela drugiego pilota, ale i tak przyspieszenie rozpląszczyło ją niczym cios ogromnej pięści. Fett dopiero po chwili zwrócił na to uwagę.

- Nie zawracam sobie głowy z tłumikami przyspieszenia podczas startu - wyjaśnił zwięźle.

Dlaczego to powiedziałem? - Zadał sobie pytanie. W ciągu wielu lat wyrobił w sobie nawyk odzywania się tylko w razie konieczności. Jego pasażerowie raczej nie byli ochotnikami. Żaden z nich nie chciał dać się schwytać. Zazwyczaj skomleli o litość, więc łowca nagród musiał ich karcić... Czasami ostrym słowem, kiedy indziej tępym narzędziem. Mirta nie skomlała, ale Fett i tak miał ochotę ją skarcić. Dziewczyna patrzyła do przodu przez iluminator.

- Nie zapłaciłam za bilet, więc nie narzekam - odezwała się w końcu.

Nie można było na to nic odpowiedzieć. Fett przełączył pokładowe urządzenia na sterowanie ręczne, aby nabrać pewności, że nadal może pilotować statek bez pomocy komputera. Na razie dobrze, uświadomił sobie. Choroba objawiała się na razie tylko bólem, nie zniedołężnieniem. Roonadan pod nimi przemienił się w rdzawoczerwony krążek, a kiedy „Niewolnik 1” oddalił się jeszcze, w dziobowym iluminatorze pojawiła się usiana punkcikami gwiazd pustka. Fett postanowił zaryzykować utratę głównego psychologicznego atutu, jaki pozwalał mu zachować wyniosłość, i zdjął hełm. Spodziewał się, że Mirta jakoś zareaguje, ale dziewczyna obdarzyła go tylko przelotnym spojrzeniem i zaraz odwróciła głowę. Wyglądało na to, że bardziej interesują ją gwiazdy za iluminatorem. - Jesteś klonem, prawda? - Zagadnęła w końcu. Od razu przeszła do rzeczy, pomyślał łowca nagród. - Czy to ci przeszkadza? - Zapytał. - Nie. Już kiedyś spotkałam klona - odparła dziewczyna. - Ailyn też spotkała - przypomniał Fett. - Pozbawiła go życia. - Tylko dlatego, że wzięła go za ciebie. Nie chcę z nią gadać, pomyślał Fett i nie odpowiedział. Mimo to Mirta nie dała za wygraną.

- Klon, którego spotkałam, powiedział mi, że brał udział w bitwie o Geonosis - oznajmiła.

- To niemożliwe - zachnął się łowca nagród.

- Dlaczego?

- Tamte klony zaprojektowano tak, że się szybko starzały. Fett dokonał szybko w myśli kilku obliczeń i pomnożył liczbę lat przez dwa. - Byłby w tej chwili zniedołężniałym stuczerdziestoletnim starcem. - Był zdrowy i zupełnie sprawny.

- Sklonowanych żołnierzy wyhodowano tak, że stawali się dorośli w wieku dziesięciu standardowych lat, a później starzeli się w tempie co najmniej dwukrotnie szybszym niż zwykli ludzie. - Fett przypominał sobie, że za młodu im współczuł, ale ojciec powiedział mu, że powinien być dumny, bo klony są idealnymi wojownikami. Czasami pamiętał także, że są jego braćmi. Ilekroć spotkał szturmowca wykonującego rozkazy Vadera, zawsze się zastanawiał, czy za białą przestłoną nie kryją się resztki wzornika jego ojca albo jego samego. Nigdy jednak nie próbował się tego dowiedzieć. - Kiedy go spotkałaś? - Zapytał pozornie niedbałym tonem.

- W zeszłym roku - odparła Mirta. - Natknęłam się na niego podczas wykonywania zadania.

- Scigałaś jakąś nagrodę? - Domyślił się Mandalorianin. Gdzie to było? - Chciał zapytać, ale się powstrzymał. Nie ponaglał jej, powiedział sobie.

- Tak.

- Stuczerdziestoletniego klona?

Mirta popatrzyła na niego beznamiętnie.

- Jeżeli nie liczyć blizn, wyglądał zupełnie jak ty - powiedziała po chwili. - Byłby za stary, żeby w ogóle chodzić - sprzeciwił się Fett.

- Och, chodził, i to nawet całkiem szybko - zapewniła dziewczyna. - I nosił broń. Wielki i groźny karabin verpinski, wykonany na specjalne zamówienie. Miał także długi, cienki trójboczny nóż.

Żaden klon z Wielkiej Armii Republiki nie powinien był przeżyć, a co dopiero zrezygnować ze służby. Całe ich życie miało polegać na walkach, więc w jaki sposób mogliby sobie sami radzić poza armią? Klony były jednak mężczyznami, a że po wojnie rozproszyli się po galaktyce, na pewno niektórzy mieli dzieci. Mirta musiała spotkać syna jakiegoś klona. Fett prawie się ucieszył, że klony pozostawiły po sobie potomków, choć nie bardzo wiedział dlaczego.

- Jesteś tego pewna? - Zapytał.

- Jasne - odparła dziewczyna. - Tamten klon powiedział, że nazwisko jego klanu brzmi Skirata. Skirata.

Fett odwrócił głowę w jej stronę, ale zaraz uznał, że okazał zbyt duże zainteresowanie. Znał to nazwisko. Wiele lat przed wywołaną przez Separatystów wojną jego ojciec miał kiedyś na Kamino przyjaciela o tym nazwisku. Skirata był niskim, zadziornym fanatykiem, który szkolił sklonowanych komandosów. Był także - jeżeli wierzyć opinii ojca - najbardziej parszywym facetem, jakiego Jango kiedykolwiek spotkał. Ojcowi Fetta chyba właśnie to się w nim podobało. - Co jeszcze mówił ten klon? - Zapytał łowca nagród.

- Że po dojściu do władzy Palpatine'a on i niektórzy jego bracia opuścili szeregi armii - odparła Mirta. - Nie był bardzo rozmowny. Na pewno jesteście spokrewnieni. Fett postanowił dowiedzieć się czegoś więcej.

Żaden klon z laboratoriów na Kamino nie mógłby żyć tyle czasu - z wyjątkiem podobnych do niego, niezmodyfikowanych genetycznie osobników.

A może... Może to był klon, którego proces starzenia ktoś zahamował? Jedynie Ko Sai miała wystarczające umiejętności, żeby dokonać takiej sztuki. - Interesuje mnie to, co mówisz - odezwał się po przerwie Fett. - Dlaczego?

Łowca nagród rzadko musiał kłamać, ale tym razem postanowił to zrobić!

- Bo to mógł być jeden z moich braci - powiedział. Cóż, właściwie nie był do końca pewien, czy skłamał. Zawsze działał sam, bo tak lubił i tak chciał, ale doszedł do wniosku, że może rzeczywiście gdzieś w galaktyce żyją jego bracia.

Mirta rozsiała się w fotelu i spojrzała przed siebie. Zawiesiła sobie na szyi ogniste serce, co zdaniem Fetta było dziwnym zastosowaniem tego przedmiotu. Z drugiej strony jednak była młodą dziewczyną, a dziewczyny lubiły się obwieszać świecidełkami. Tyle że nic dotąd nie wskazywało, aby Mirta przepadała za klejnotami.

- Wyglądał mniej więcej jak ty - odezwała się w końcu. Pociągnęła za rzemyk naszyjnika, jakby chciała zamaskować ogarniające ją zdenerwowanie. - Miał na sobie kompletną szarą mandaloriańską zbroję. Miał także szare skórzane rękawice niezwyklej gładkości. - Wyciągnęła przed siebie ręce i rozcapierzyła palce, jakby widziała na swoich dłoniach właśnie takie rękawice. - W świetnym stanie.

Na dźwięk słowa „szary” Fett wyobraził sobie długą srebrzystoszarą szyję Taun We i jej głowę z żółtymi oczami... Tak wyraźnie, jakby oglądał je na wyświetlaczu hełmu. Kaminoanka stała przed nim jak żywa, chociaż w rzeczywistości wcale jej tam nie było. Jeżeli Mirta nie kłamała, oznaczało to, że ktoś zdobył wyniki badań Ko Sai. Zdobył i wykorzystał.

Może jednak dziewczyna wiedziała więcej, niż mógł podejrzewać. Jego ojciec zawsze mawiał, żeby syn uważał na pułapki. Jej informacje do tego stopnia odpowiadały temu, co chciał usłyszeć, że wzbudzało to w nim żywe podejrzenia.

Jeśli tamte klony przeżyły, dlaczego wcześniej o tym nie wiedziałem? - Zadał sobie pytanie. Ta dziewczyna wyobraża sobie pewnie, że może zastawić na mnie pułapkę, ale musi się jeszcze wiele nauczyć.

Nawet Ailyn próbowała go kiedyś zabić. Łowca nagród spojrzał spode łba na dziewczynę.

- *Fierfek, wyglądasz dokładnie jak on, kiedy to robisz.* - Mirta była wyraźnie wstrząśnięta. - Tamten klon identycznie przekrzywił głowę i zerkał z ukosa.

Kimkolwiek był mężczyzna w szarych rękawicach, musiał wyrzucić na niej duże wrażenie. Chyba że dziewczyna była niewiarygodnie dobrą aktorką. Ścisnęła z całej siły ogniste serce, jakby chciała je chronić.

Fett doszedł do wniosku, że kiedy będzie się chciał zdrzemnąć, powinien ją zamknąć w sekcji rufowej. Dziewczyna nadal pewnie myślała, że zależy mu tylko na poznaniu miejsca pobytu Ailyn.

Widocznie nie przyszło jej do głowy, że zależy mu już na zdobyciu dwóch informacji: o zmarłej żonie i - co wydawało się niemożliwe, ale nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego - o jego żyjących braciach.

Gdyby Mirta to wiedziała, na pewno by zażądała, żeby i za to jej zapłacił.

Miała jednak naszyjnik. To było jedyne wspomnienie, jakie mu pozostało po Sintas Vel.

Poczuł, że tęskni za nią, chociaż nie ma do tego prawa.

Senackie kuluary 513, gmach Senatu, Coruscant, godzina 8. 35

Admirał Pellaeon zrezygnował z obowiązków naczelnego dowódcy sił obronnych Galaktycznego Sojuszu punktualnie o ósmej - trochę za późno, żeby informacja o tym ukazała się w głównych wydaniach porannych biuletynów informacyjnych HoloNetu, ale wystarczająco wcześnie, aby na kilka chwil zakłócić poranny program. W nieoficjalnej rozmowie admirał wyraził stanowczy sprzeciw wobec szerokich uprawnień, jakie przyznano Straży Galaktycznego Sojuszu, ale nie wspominał o tym publicznie. Był starym człowiekiem, więc nikogo z wyjątkiem członków gabinetu Omasa - a prawdopodobnie także sił zbrojnych - nie zdziwiło, że obowiązki Pellaeona będzie odtąd pełniła młodsza osoba.

Siedząc w kuluarach, Jacen oglądał wiadomości na holoeckranie, chociaż bez dźwięku. Nie był zaskoczony tym, że Pellaeon w końcu ustąpił ze stanowiska naczelnego dowódcy, ale zdziwiło go, jak szybko po sobie następowały kolejne wydarzenia. Ciekaw był, czy Lumiya ma z tym coś wspólnego, ale kobieta Sith zaprzeczyła. Siedziała obok niego w jednej z wielu opustoszałych łóż.

Trzymała teczkę na kolanach, a jej twarz skrywał ciemnoczerwony kaptur z woalką. Zazwyczaj w kuluarach roiło się od interesantów i przedstawicieli mediów, którzy zabiegali o audiencję u któregoś z senatorów, ale było zbyt wcześnie, żeby petenci załatwiali interesy. Mimo tak wczesnej pory członkowie Rady Jedi przebywali w gabinecie naczelnego dowódcy, na spotkaniu z panią admirał Niathal. Najciekawsze, że to nie ona zwróciła się do nich z prośbą o rozmowę, lecz oni do niej.

Zaczynaj tak, jak chcesz, żeby wszystko później wyglądało, przypomniał sobie Jacen. Zastanawiał się, co wujek Luke by powiedział na temat kalamariańskiej pani admirał. Mimo wszystko Niathal mogła kiedyś zająć stanowisko Omasa. Rycerz Jedi miał nadzieję, że Luke to przewidzi i udzieli jej poparcia, żeby wojna trwała jak najkrócej i zakończyła się zwycięstwem Galaktycznego Sojuszu. Nie chciał długo pełnić narzuconej mu przez Lumię funkcji.

Znów się nad tym zastanawiasz, skarcił się w duchu. Wiesz, że właśnie takie jest twoje przeznaczenie. Nie unikniesz go. Lumiya jest także częścią tego przeznaczenia. Pogódź się z tym.

Jedi.

- Powiedz mi, że nie wpłynęłaś na admirała Pellaeona - odezwał się półgłosem rycerz

- Nie musiałam - odparła szeptem Lumiya. - Jest wściekły z powodu twojej nominacji, a do tego stary. - Mówiła tak cicho, że Jacen musiał lekko wzmocnić jej głos dzięki Mocy, żeby ją usłyszeć. - Kiedy dojdzie do wniosku, że chce wrócić, będzie za późno, żeby mógł cię powstrzymać.

Rezygnacja sędziwego dowódcy sił obronnych nie stała się sensacją w biuletynach informacyjnych

HoloNetu... Najwyżej okazją do podsumowania jego błyskotliwej kariery. O wiele większy ciężar gatunkowy miało mianowanie na to stanowisko admirał Niathal. Kalamarianka miała opinię twardogłowej. Jacen przełączył zawieszony na ścianie holoeckran na jeden z kanałów informacyjnych Korelii, gdzie mianowanie admirał Niathal spotkało się z żywymi reakcjami. Koreliński mąż stanu Thrackan Sal-Solo udzielał właśnie wywiadu, mówiąc o oczywistym zagrożeniu, jakie dla jego ojczyzny stanowi ta nominacja. Z powodu wyłączonego dźwięku Jacen musiał czytać z ruchu jego warg.

Sal-Solo oświadczył, że w ciągu najbliższych trzech miesięcy stacja Centerpoint osiągnie stan pełnej sprawności i będzie mogła posłużyć do obrony Korelii. - Masz ciekawych krewniaków - odezwała się Lumiya.

- To dla mnie jeszcze jeden powód więcej, żeby zrobić coś koniecznego dla rozwiązania problemów, jakie różni członkowie mojej rodziny stwarzają dla galaktyki - odparł rycerz Jedi.

- Jesteś bardziej podobny do swojego dziadka, niż ci się wydaje - westchnęła kobieta. Lumiya wiedziała, że Anakin Skywalker był Lordem Vaderem. To właśnie on zrobił z niej agentkę swojego wywiadu.

- Zauważyłem, że istnieje między nami wiele podobieństw - przyznał młody Solo. - I z tego powodu starasz się być ostrożny?

- Widziałem, do jakich metod się uciekał - odparł Jacen. Dosłownie widziałem, pomyślał. Stałem za tobą, dziadku, i obserwowałem, jak zabijasz niewinne dzieci. - Mam zamiar rozwiązywać problemy w inny sposób niż on. - I nadal chcesz, żeby Ben Skywalker był twoim uczniem? - Tak.

Lumiya wyglądała na zadowoloną; byłby to dobry sposób, aby wyrzucić dodatkową zemstę na Luke'u, ale Jacen wiedział, że od dawna jej na tym nie zależy. - To wybór, którego tylko ty możesz dokonać - stwierdziła. - Nie znam nikogo, kto byłby równie dobrym kandydatem.

- I nadal zamierzasz się upierać przy powołaniu do życia Straży Galaktycznego Sojuszu? - Zagadnęła Lumiya.

- Dlaczego nie miałyby mi na tym zależeć?

- Masz sprzymierzeńca w admirał Niathal, która jest od dziś nowym naczelnym dowódcą - przypomniała kobieta. - Możesz od razu spróbować rozwiązania militarne. - Przywrócenie porządku na Coruscant będzie wymagało sporo trudu - odparł rycerz Jedi. - A Niathal musi mieć czas, żeby urobić po swojemu wojska obronne Galaktycznego Sojuszu. No i przywódcę Omasa. - Godna pochwały, pragmatyczna analiza - mruknęła Lumiya.

Jacen zastanowił się, czy nie ryzykuje, rozmawiając z Lumiya w gmachu Senatu, ale doszedł do wniosku, że nawet jeżeli członkowie Rady Jedi umieją się wsłuchiwać w Moc równie dobrze jak on, prawdopodobnie są zbyt zajęci dyskusją z panią admirał Niathal, żeby cokolwiek usłyszeć. Ciekawe, co jej mówią, zastanowił się.

Mógł co prawda podsłuchać. Umiał wychwytywać dźwięki rozmów prowadzonych za zamkniętymi

drzwiami w odległym końcu korytarza, ale opinia członków Rady Jedi nie miała znaczenia, więc podsluchiwanie ich nie miałyby sensu.

Jacen i tak był pewny, że nakłaniają Niathal do zachowania ostrożności.

Wiedział także, że Kalamarianka uprzejmie się uśmiecha i odwracając głowę na bok, łypie na nich jednym okiem. Na pewno podziękuje im za radę. A później ją zignoruje.

Na chwilę zapomniał o własnych problemach i zastanowił się, dlaczego członkowie Rady Jedi z tamtych czasów nie udzielili jego dziadkowi wskazówek, których tak bardzo potrzebował, kiedy był jeszcze padawanem. Wiedzieli, że jest Wybrańcem, więc dlaczego żaden mistrz nie podjął się obowiązku jego szkolenia?

Biedny Obi-Wan, pomyślał Jacen. Sami się bali, więc zostawili to zadanie tobie. A teraz wzdragają się przed następną galaktyczną wojną.

Widoczni na holoeckranie koreliańscy komentatorzy polityczni pienili się z wściekłości z powodu nominacji Niathal. Jacen przełączył urządzenie z powrotem na kanał, gdzie podawano biuletyn informacyjny HoloNetu. Z długiego korytarza po jego prawej stronie napłynęło echo kroków. Oznaczało to, że spotkanie w gabinecie naczelnego dowódcy dobiegło końca. Jacen spojrzał na Lumię.

- Odpręż się - poradził jej. Skupił się i otoczył kobietę iluzją Mocy, żeby pomóc ukryć jej prawdziwą tożsamość. Poczul w piersi kulę gorącą i żartobliwie szturchnął swoją towarzyszkę łokciem pod żebro. - A teraz przedstaw mi, proszę, analizę potęgi koreliańskiej floty i nie reaguj na widok przechodzących obok osób.

Uzbroili się w cierpliwość i czekali. Kuluary i wiodący na zewnątrz korytarz były puste. W końcu dał się słyszeć odgłos szybkich kroków na marmurowej posadzce. Jacen był pewny, że to Luke. Mistrz Jedi spieszył się, jakby nie był zadowolony z przebiegu spotkania i chciał jak najszybciej opuścić gmach Senatu.

No dobrze, Lumiyo, przekonajmy się, jak tym razem zareagujesz na jego widok, pomyślał rycerz Jedi. I vice versa.

Nadchodzący Luke sprawiał wrażenie przygnębionego. Zmarszczył czoło, jakby się nad czymś zastanawiał. Zamierzał przejść obok Jacena, ale jednak przystanął i powitał go niechętnie, jakby kosztowało go to sporo wysiłku.

- Czekasz na Niathal? - Zapytał.

- Chcę jej pogratulować jako dowódcy Straży Galaktycznego Sojuszu - wyjaśnił Jacen. - A to koleżanka z wydziału badań problemów obrony z uniwersytetu - przedstawił Lumię. Luke skinął jej uprzejmie głową i odwrócił się znów do siostrzeńca. - Jesteś pewny, że dokonałeś właściwego wyboru? - Zapytał. - Jeżeli ja się tego nie podejmę, to kto? - Odparł Jacen. - Może nikt nie powinien się tym zajmować - stwierdził Luke.

- Jeżeli przywódca Omasowi zależy na rozwiązaniu tego problemu, zrobię wszystko, co w mojej mocy - zapewnił młody Solo.

Luke zmierzył go przenikliwym spojrzeniem. Już nie popatrzył na Lumię, a - co ważniejsze - ona też nie spjrzała na mistrza Jedi.

- Uważaj na siebie, jak już się tym zajmiesz - zakończył Luke i odszedł, cały czas marszcząc czoło. Jacen nie od razu się odprężył. Jeszcze całe dziesięć minut utrzymywał w sobie kulę żaru, dzięki której otaczał Lumię iluzją Mocy.

- Podziwiam, jak łatwo przychodzi ci oszukiwanie Luke'a odezwała się Lumiya. - Chyba nawet nie masz żadnych wyrzutów sumienia.

Jacen wstał. Kobieta miała przed chwilą najlepszą od dawna okazję zabicia Luke'a Skywalkera, ale niczym nie zdradziła, że chce z niej skorzystać.

- Rzeczywiście nie mam - potwierdził rycerz Jedi. - Nie twierdzę jednak, że sprawia mi to satysfakcję.

- Wcale ci się nie dziwię - przyznała Lumiya. - Na czym będzie polegało twoje następne zadanie?

Rycerz Jedi doszedł do wniosku, że może jej to zdradzić. I tak za kilka dni wiadomość trafi do biuletynów informacyjnych HoloNetu.

- Na internowaniu - powiedział. - Zamierzamy ograniczyć swobodę ruchu Korelian, dopóki nie zapanujemy nad ostatnią falą terroru. Chodźmy. Chciałbym cię przedstawić osobie, która w ciągu roku zostanie przywódczynią Galaktycznego Sojuszu.

Internowanie, pomyślał. Środek ostateczny, niebezpieczny... I nieunikniony.

Kiedy ktoś rezygnował z okazji zostania podziwianym i szanowanym bohaterem i zgadzał się znosić zniewagi za swoje czyny, które uważał za konieczne, odnosił ostateczne zwycięstwo nad najbardziej toksycznym rodzajem przywiązania, jakie istniało:... Nad umiłowaniem własnego ego. Jacen godził się z tym, że zostanie znieawidzony za dążenie do szczytnego celu.

ROZDZIAŁ 9

Jako mały chłopiec słyszałem różne historie na temat jego dziadka. Wszystko wskazuje na to, że Jacen Solo podąża jego śladami. Vader też lubił się otaczać grupą lojalnych wojskowych. Wiem także, że czasami cel uświęca środki. Kiedy wydałem oświadczenie o powołaniu do życia Straży Galaktycznego Sojuszu w celu wyeliminowania nowego zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego, spodziewałem się protestu środków masowego przekazu i organizacji dbających o przestrzeganie praw jednostki, ale i tak poczułem się paskudnie, kiedy okrzyknięto mnie nowym Palpatine'em.

przywódca Galaktycznego Sojuszu Cal Omas, pamiętniki

Dzielnica koreliańska, Coruscant

Ben wiedział, że wracając do dzielnicy koreliańskiej, bardzo ryzykuje, ale musiał odszukać Barita.

Tym razem miał na sobie zwykłe ubranie, nie płaszcz Jedi. Wstydził się trochę, że tak ukrywa prawdziwą tożsamość. Głos rozsądku podpowiadał mu jednak, że nic by nie osiągnął, gdyby został pobity, zanim się dowie czegoś pożytecznego. To był pragmatyzm, jak określiliby to Jacen.

Korelianie nie walczyli z zakonem Jedi, tylko z Sojuszem. Problem w tym, że różnica między jednym a drugim nie zawsze była oczywista.

Spacerując kładkami, od czasu do czasu przystawał i oglądał wszystko, co wzbudzało jego ciekawość. Musiał sobie co chwila przypominać, że tym razem jest trzynastoletnim chłopcem, nie żołnierzem. Chyba nikt nie zwracał na niego uwagi.

Młody Skywalker chciał tylko spojrzeć Baritowi w oczy i zadać mu proste pytanie: dlaczego uważa Coruscan za wrogów.

To, że przedstawiciele obu rządów zachowywali się jak półgłówki, chyba nie stanowiło dla Bena wystarczającego usprawiedliwienia. Młody Skywalker nigdy by nie zaatakował Korelian tylko dlatego, że Galaktyczny Sojusz nie mógł dojść do porozumienia z władzami Korelii. Nawet akcja na pokładzie stacji Centerpoint nie była skierowana przeciwko ludziom. Ben nie darzył Korelian nienawiścią.

Barit jednak, choć niewiele starszy od niego, usiłował zastrzelić funkcjonariusza CSB. Nie mierzył po prostu w kierunku tłumu, który obrzucał kamieniami koreliańską ambasadę. Chciał zabić zupełnie obcego człowieka, usiłującego powstrzymać demonstrantów. Ben tego nie rozumiał, a bardzo chciał zrozumieć.

W dzielnicy koreliańskiej panował niezwykle spokój, jakby mieszkańcy czekali na coś, co się ma wydarzyć. Niektóre sklepy były zamknięte. Ben wstąpił do sklepu spożywczego, żeby zapytać o

drogę do warsztatu naprawczego Saiya i kupić butelkę fizzardy. Teraz od czasu do czasu z niej popijał, pokonując mniej więcej kilometr, jaki dzielił go od rodzinnej firmy Barita, Natknął się tam na dwóch mężczyzn z hydrokluczami w dłoniach. Obaj pochylali się nad jednostką napędu repulsorowego. Byli mniej więcej w wieku jego ojca. Na odgłos kroków z niepokojem unieśli głowy, ale na jego widok się odprężyli. Pewnie doszli do przekonania, że to tylko dzieciak. - Gdzie jest Barit? - Zagadnął od niechcienia Ben.

Jeden z mężczyzn odwrócił się w kierunku drzwi magazynu na zapleczu. - Barit? Barit! - Zawołał. - Ktoś chce się z tobą widzieć!

Młody Korelianin wyszedł z magazynu, wycierając dłonie w szmatę. Przyjrzał się Benowi, ale kiedy go już rozpoznał, nie wyglądał na zachwyconego. Wyszedł z warsztatu na dwór, a Ben podążył za nim. Z pobliskich otwartych drzwi napływała apetyczna woń pieczeni i przypraw. - Udało ci się odnaleźć brakujące diamenty? - Zapytał Ben.

Miał na myśli skradzione z Sanktuarium klejnoty ze skremowanych zwłok Korelian. - Czy ktoś je zwrócił?

- Nie - burknął Barit. - Rabusie mauzoleów nie miewają skrupułów.

Początek rozmowy nie wróżył najlepiej, ale Ben postanowił ciągnąć ją dalej.

- Widziałem cię wczoraj przed ambasadą - powiedział.

- A co ty tam robiłeś? - Zdziwił się młody Korelianin.

- Oddychałem oparami gazu łzawiącego.

- Tak, ja też - mruknął Barit.

Ben był ciekaw, co chłopak zrobił z blasterem. Cóż, gdyby musiał stoczyć walkę, w mgnieniu oka mógł wyjąć z kieszeni świetlny miecz.

- Kiedy cię widziałem, byłeś uzbrojony - powiedział.

- Każdy nosi przy sobie jakąś broń - odparł wymijająco Barit, - Nawet ty.

Muszę się dowiedzieć, pomyślał Ben. - Tylko dlaczego strzelałeś z niej do gliniarza?

- Zastanawiasz się, czy mnie wydać? - Zapytał chłopak. A więc nie widział, jak odbijałem na bok jego blasterową błyskawicę, pomyślał Ben. Po prostu strzelił i uciekł. - Chyba nikogo nie trafiłem. W wiadomościach nie mówili, że...

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś - przerwał młody Skywalker. - Wycelowałeś tak, żeby zabić, i wcale nie przejmowałeś się tym, kogo możesz trafić. Tamten funkcjonariusz nie zrobił ci nic złego. Starał się tylko zaprowadzić porządek.

- Coruscant to nasz wróg - oznajmił Barit. - Sojusz usiłuje nas zabić. Musimy się bronić.- Sojusz to nie to samo co konkretni ludzie - zauważył Ben.

- CSB nie próbowało wyrządzić wam żadnej krzywdy. Jak możesz strzelać do kogoś, kto nie mierzy do ciebie z blastera?

- Nie rozumiałbyś tego - burknął Barit.

- Chcę zrozumieć.

- Nie dasz rady.

- Jeżeli tak bardzo się nas obawiacie, dlaczego nadal tu mieszkacie?

- Chcielibyście tego, prawda? - Wybuchnął chłopak. - Wykopać nas stąd... Odesłać wszystkich z powrotem.

Ben nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Wydaje ci się, że toczycie z nami wojnę? - Zapytał w końcu.

- Jasne, że tak - przyznał Barit. - Nikt jej nie wypowiedział, ale to prawdziwa wojna. - Jak możesz tak uważać, skoro tu mieszkasz? - Powtórzył Ben. - Jeżeli naprawdę w to wierzysz, jak możesz tu mieszkać?

Gapił się na Barita, nic nie rozumiejąc. Nie mógł wiedzieć, co się dzieje w umyśle młodego Korelianina. Nie miał też pojęcia, dlaczego Barit uważa się za obcego na planecie, na której urodził się nie tylko on, ale także jego rodzice. Wiedział jednak, że musi się mieć przed nim na baczności. Nie ufał mu, i to wcale nie dlatego, że młody Korelianin był gotów wyciągnąć blaster.

- Hej, Barit! - Krzyknął nagle jeden z mężczyzn. - Chodź tu! Masz zamiar przegadać cały dzień? Robota czeka! Bierz się do pracy!

Młody Korelianin spojrzał na Bena, jakby usiłował zapamiętać jego twarz.

- Muszę lecieć - powiedział. - Dzięki za to, że mnie nie wydałeś.

Odwrócił się i wszedł do warsztatu. Ben ruszył z powrotem, trzymając opróżnioną do połowy butelkę fizzly. Zastanawiał się, czy jednak nie powinien był wydać Barita w ręce funkcjonariuszy CSB.

Ale aż do tej pory nie przyszło mu to do głowy.

Miasteczko Jabi, dzielnica koreliańska, Coruscant, godzina 4.00

Okoliczni mieszkańcy nienawidzili planety, na której mieszkali.

To nie była polityczna ani wojskowa ocena skali zagrożenia, ale pewność, którą Jacen zdobywał dzięki Mocy.

Już samo to powinno wystarczyć, żeby Jedi przystąpił do działania... Jeżeli nadal jestem rycerzem Jedi, przypomniawszy sobie.

Jacen wyczuwał oburzenie, gniew i zagrożenie, kotłujące się w tej koreliańskiej dzielnicy Galactic

City. Właśnie dlatego postanowił rozpocząć dowodzenie dopiero co powołaną do życia Strażą Galaktycznego Sojuszu od pacyfikacji miasteczka Jabi. Na planecie takiej jak Coruscant trudno było odizolować jakąkolwiek dzielnicę. Wszystkie skrzyżowania były trójwymiarowe, więc zablokowanie każdego wymagało użycia sześciu repulsorowych pojazdów Wydziału Ruchu CSB. Rycerz Jedi stał na platformie szarej wojskowej kanonierki szturmowej, podobnej do patrolowca, jakimi posługiwali się funkcjonariusze CSB, i obserwował, jak dwa pojazdy repulsorowe Coruskańskiej Służby Bezpieczeństwa zajmują wyznaczone pozycje. Było wciąż jeszcze ciemno, a pojazdy CSB nie miały zapalonych świateł pozycyjnych. Jacen widział je całkiem dobrze, bo Galactic City nie było nigdy pogrążone w zupełnej ciemności dzięki blaskowi padającemu z innych rejonów planety. Rycerz Jedi obserwował, jak czarna sylwetka kadłuba statku przemieszcza się na tle fasad domów. - Dobrze się czujesz, Benie? - Zapytał.

Młody Skywalker, który stał blisko niego, dotąd nie powiedział ani słowa. Ścisnął w dłoni rękojeść świetlnego miecza, ale był raczej zaniepokojony niż podniecony.

Zdecydowanie przestał być chłopcem traktującym każdą wyprawę jak przygodę, a stał się młodym mężczyzną, który nie stara się ukryć zdenerwowania.

- Nic mi nie jest, Jacenie - powiedział.

- Komunikator sprawny?

Ben przyłożył prawą dłoń do ucha.

- Czy naprawdę muszę to nosić? - Zapytał.

- Powinieneś słyszeć wymianę meldunków między oddziałami - pouczył go rycerz Jedi. - Nie dasz rady robić tego dzięki Mocy. - Czasami najłatwiej było rozwiązywać problemy w sposób, który nie licował z godnością Jedi. - Nawet ja nie jestem pewien, czy dałbym radę rozumieć wszystkie meldunki poprzez Moc.

Odwrócił się do pięciu drużyn żołnierzy z 967. Oddziału Komandosów, którzy czekali w przedziale dla wojska. Te doborowe oddziały specjalizowały się w przełamywaniu oblężeń i uwalnianiu zakładników. Jacen wybrał wszystkich osobiście, bo urodzili się i wychowali na Coruscant, więc raczej nie powinni potajemnie sympatyzować z istotami z innych planet. Pośród żołnierzy byli wybrani osobiście przez Shevu ochotnicy z jednostki antyterrorystycznej CSB, za których ręczył sam kapitan. Mieli być lojalni, a Jacen ostatnio cenił lojalność bardzo wysoko.

Nie widział twarzy podwładnych za przesłonami i uszczelnionymi czarnymi hełmami bojowymi. Od żołnierzy promieniowała skupienie i lekki niepokój, który nie dziwił na krótko przed spodziewaną bitwą. Komandosy nie mieli pojęcia, co ich czeka za drzwiami mieszkań koreliańskiej dzielnicy, ale musieli się liczyć z możliwością zbrojnego oporu, a nawet użycia materiałów wybuchowych.

Po przeciwnej stronie rejonu, który miał zostać objęty oblawą, pozycję zajmował Shevu z innymi drużynami. Wszyscy czekali w gotowości na rozkaz wdarcia się do mieszkań, przeszukania, obezwładnienia i aresztowania. Na brzegach pomostów stali pozostali żołnierze z 967. Oddziału Komandosów. Czaili się w półmroku z bronią wymierzoną w drzwi, gotowi do powstrzymania wszystkich, którzy chcieliby uciec. Na dachach domów otaczających rejon oblawy zajmowali pozycje najlepsi strzelcy wyborowi. Jacen włączył noszony przy uchu mikrofon komunikatora.

- Dowódcy drużyn, żadnej strzelaniny, dopóki ktoś nie otworzy ognia do żołnierzy - rozkazał.

Kapitan Shevu postanowił zmodyfikować treść rozkazu.

- Proponuję zamienić to na „dopóki nie uznamy, że grozi nam realne i natychmiastowe niebezpieczeństwo”, panie pułkowniku - poradził. - To pozwoliłoby uwzględnić granaty i inne rodzaje broni.

Myślę jak pilot i jak Jedi, nie jak oficer piechoty, zdał sobie sprawę Jacen.

- Słuszna uwaga, kapitanie - powiedział. - Dokonuję poprawki rozkazu.

W sieci łączności dał się słyszeć cichy trzask; to komandosi na chwilę wyłączyli komunikatory, a później znów je włączyli. Niewątpliwie wymieniali uwagi, uznając zgodnie, że ich dowódca jest idiotą, skoro od początku planowania operacji nie ustalił lepszych reguł otwierania ognia. Jacen wyczuwał jednak ich aprobatę dla faktu, że usłuchał dobrej rady. Moc może nie przekazywała najlepiej szczegółów, ale nadawała się wręcz idealnie do wychwytywania nastrojów.

Doszedł do wniosku, że czas rozpocząć operację. Większość obywateli prawdopodobnie spała. O czwartej nad ranem wszyscy powinni być zdezorientowani, a zatem nie stawiać oporu. Shevu pokazywał mu odpowiednie badania, ale mocno podkreślał, że ta metoda nigdy nie sprawdza się wobec istot rasy Wookie. - Czekać w gotowości - rozkazał rycerz Jedi.

Ben włączył klingę świetlnego miecza i przedział dla wojska zalało niebieskie światło. Jakiś element sprzętu sierżanta z 967. Oddziału Komandosów wydał głośny trzask; widocznie jeden z systemów jego pancerza przesłał sygnał do sieci pokładowego interkomu. Podoficer poprawił coś z boku hełmu i zapadła cisza.

Jacen wiedział, że w budynku mieszkalnym przebywa mniej więcej dwa tysiące osób, a miał do dyspozycji pięciuset żołnierzy. Proporcje nie były korzystne, ale powinny wystarczyć do wykonania zadania. Kiedy szturmowy patrolowiec zrównał się z pomostem, wyskoczył z przedziału. Zaraz po nim to samo zrobili komandosi. Od razu się rozproszyli i stanęli po obu stronach każdych drzwi na tym poziomie. Jacen wyczuł zwiększony poziom adrenaliny u żołnierzy zajmujących stanowiska na wyższych piętrach i strzelców wyborowych na dachach sąsiednich domów.

Na sekundę zapadła absolutna cisza; wahadło osiągnęło krańcowy punkt i miało się zaraz wychylić w drugą stronę.

- Akcja, akcja, akcja! - Wykrzyknął rycerz Jedi.

Szturmowe patrolowce zajęły pozycje na napowietrznych szlakach po obu stronach bloku, a dwieście milionów lumenów z baterii reflektorów zamieniło noc w jasny dzień. Stojący za Jacenem sierżant z 967. Oddziału Komandosów zbliżył do ust mikrofon. - Tu Coruskańska Służba Bezpieczeństwa! - Powiedział, a jego głos wzmocniła elektroniczna aparatura pokładowa patrolowca. - Zostańcie na miejscu. Powtarzam, zostańcie na miejscu. - Jacenowi wibrowały zęby od hałasu, w zatokach pulsowało. Kamienne ściany po obu stronach kanionu potęgowały natężenie dźwięku. - Do waszych mieszkań wejść teraz funkcjonariusze. Proszę nie stawiać oporu i przygotować się do okazania dowodów tożsamości.

Kilkoro drzwi się otworzyło i na galerię wyszli niekompletnie ubrani mieszkańcy, osłaniając dłońmi oczy przed oślepiającym blaskiem reflektorów. Na pomostach rozległy się wykrzykiwane rozkazy i łomotanie w drzwi. Nie było dość wolnego miejsca dla aresztowanych, żeby oddzielać Korelian od pozostałych, którzy przypadkiem znaleźli się w bloku. Komandosi sprawdzali tożsamość obywateli tam, gdzie ich zastali, albo wyprowadzali na pomosty i kazali stawać pod ścianą, podczas gdy przeszukiwali mieszkania w nadziei znalezienia czegoś, co określano nieprecyzyjnie terminem „zagrożenia”.

Ludzie, broń, materiały wybuchowe, niewłaściwe nastawienie... Wszystko to mogło stanowić zagrożenie.

Jacen i Ben pobiegli głównym chodnikiem z zapalonymi klingami świetlnych mieczy. Szukali miejsc, w których potrzebna była ich pomoc. Wszędzie wokół widzieli wyprowadzanych z mieszkań obywateli. Niektórzy milczeli i wyglądali na oszołomionych, ale byli tacy, co stawiali opór i przeklinali. Rycerz Jedi obejrzał się na Bena. Na twarzy kuzyna malowało się intensywne skupienie. Chłopiec miał szeroko otwarte oczy, a w oślepiającym blasku jego twarz wyglądała przerażająco blado. Po drugiej stronie kanionu zaczęli się gromadzić mieszkańcy, żeby obserwować dramatyczne widowisko. W ciągu kilku minut wiadomość o obławie ukaże się w kanale informacyjnym HoloNetu, pomyślał Jacen. Wygląda na to, że w tych czasach wszyscy mają holorejstratory. Cóż, nie powinien się tym tak bardzo przejmować. Nie miał nic do ukrycia.

- Straż Galaktycznego Sojuszu! Wychodzić na zewnątrz! Natychmiast!

Rycerz Jedi zobaczył przed sobą czteroosobową drużynę komandosów z 967. Oddziału Komandosów. Stali przed zamkniętymi drzwiami, plecami do ściany, po dwóch z każdej strony. Jacen postanowił im pomóc.

- Ładunek wybuchowy, panie pułkowniku - zameldowała zwięźle podwładna. Uniosła przytwierdzony do lewej rękawicy czujnik z wyświetlaczem. - Nos, jak żołnierze nazywali urządzenie. Ekran zmieniał raz po raz barwę z pomarańczowej na czerwoną i odwrotnie. - Nos coś wykrył, a mieszkańcy nie chcą z nami współpracować. Proszę się odsunąć. - W środku przebywają trzy osoby. - Stojący po drugiej stronie drzwi komandos w stopniu sierżanta, z wypisanym odręcznie na napierśniku słowem „Wirut”, przyłożył do muru termiczny skaner.

Jego kolega cofnął się o kilka kroków i zainstalował na lufie karabinu nasadkę do wystrzeliwania ładunków gazowych. - Jeśli cokolwiek tam eksploduje, panie pułkowniku, nie będzie wyglądało ładnie w HoloNecie. Proszę uważać.

- Sierżancie, nie wymagam od nikogo wyręczania mnie w robocie - odparł rycerz Jedi. - Proszę pokazać mi obraz.

Sierżant Wirut odwrócił urządzenie, żeby Jacen mógł spojrzeć na ekran. Przyrząd miał uchwyt taki jak w megafonie. Z jednej strony kończył się obiektywem, a z drugiej wyświetlaczem, na którym było widać czerwone sylwetki na czarnym tle. Jacen naliczył trzy osoby poruszające się w pomieszczeniu w głębi mieszkania, sądząc po odległości pokazywanej na wyświetlaczu przez dalmierz. - Benie, wyczuwasz coś? - Zapytał. - Jak myślisz, co tam jest?

Ben miał zmysły bardzo wyczulone na niebezpieczeństwo. Oto nadarzała się okazja, żeby wyostrzyć je jeszcze bardziej. Młody Skywalker zmrużył oczy i skoncentrował się. - Wyczuwam zagrożenie, chociaż jeszcze nie w tej chwili - oznajmił w końcu. - Niedługo.

- Ładunek wybuchowy, ale bez zainstalowanego zapalnika? - Domyślił się Jacen. - A co, właśnie tak to odbierasz? - Zapytał Ben.

- Owszem - odparł Jacen. Gestem polecił Wirutowi, żeby się cofnął. - Wstrzymaj się z tym gazem, żołnierzu - powiedział. Zależy ci na tym, żeby ich unieszkodliwić? - Właśnie to zamierzałem zrobić, panie pułkowniku - przyznał komandos. - Chciałem im uniemożliwić wysadzenie ładunku.

- Doskonale. - Jacen głęboko odetchnął i wyobraził sobie rozkład pomieszczeń na poziomie parteru. Skupił uwagę na trzech osobach w mieszkaniu. - Panie pułkowniku... - Zaczął żołnierz.

Rycerz Jedi nie usłyszał już nic więcej. Wstrząsem Mocy poraził ciała wszystkich trzech celów naraz, paraliżując je. Sekundę później wyważył drzwi; nie używał konwencjonalnej eksplozji, ale posłużył się skupioną energią Mocy. Komandosi rozplaszczyli się przed drzwiami. Doskonale wyszkoleni zareagowali odruchowo, spodziewając się wybuchu.

Czekali na falę udarową, ale się nie pojawiła. Wirut klęknął. Nawet gdyby Jacen nie widział jego twarzy, domyśliłby się, że komandos się uśmiecha.

- Ciekawa sztuczka, panie pułkowniku - powiedział i wstał z bronią gotową do strzału. Przecisnął się przez otwór w wyważonych drzwiach. Jacen wślizgnął się za nim do mieszkania, po nim Ben i pozostali komandosi. Mieszkańcy - mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna i dwie młodsze od niego kobiety - leżeli nieprzytomni na podłodze w tylnym pokoju.

Wirut kucnął obok i delikatnie sprawdził puls, po czym spojrzał na Jacena. - Nic im nie będzie? - Zapytał.

- To nieszkodliwy sposób, a jego skutki niebawem ustąpią zapewnił rycerz Jedi. - Zwyczajny wstrząs mózgu.

- Pozbawi nas pan roboty, panie pułkowniku - odezwała się podwładna. - OPDTJ - dodała.

- Chciałbym, żeby to była prawda, ale podejrzewam, że wkrótce będziecie mieli więcej pracy niż kiedykolwiek. - Jacen zauważył, że jeden z komandosów wyciągnął przed siebie lewą rękę w rękawicy. Zrobił to bardzo ostrożnie; pewnie szukał materiałów wybuchowych. - Co to jest OPDTJ? - Zapytał.

- Opanowywanie Pomieszczeń Dzięki Technikom Jedi, panie pułkowniku - wyjaśniła kobieta. - Bardzo praktyczna metoda. Będzie pan rozchwytywany.

Troje aresztantów ułożono na prowizorycznych noszach. Wkrótce wokół nich na chodniku zaroilo się od zakutych w czarne pancerze żołnierzy. Podwładni Jacena upychali niekompletnie ubranych aresztantów na pokładach szturmowych patrolowców, które lądowały albo unosiły się nieruchomo na

poziomie chodnika.

- Właśnie zawróciłem śmigacz z ekipą biuletynu informacyjnego HoloNetu, panie pułkowniku - zameldował jeden z komandosów. - Zamierzali przekazać relację z tej operacji w czasie największej oglądalności.

Reflektory rzucały tyle światła, żeby holoreporterzy mogli się posłużyć kamerami. Jacen wiedział, że w gęsto zaludnionym mieście nie da się przeprowadzić dyskretnie operacji na tę skalę. Kiedy jeden z komandosów 967. Oddziału Komandosów posłużył się ładunkami framugowymi, żeby się wedrzeć do apartamentu w sąsiednim budynku, rozległ się głośny huk i odgłos tłuczonego permaszkła.

- Czy to oznacza, że tata też zobaczy wszystko, co tu się dzieje? - Zapytał.

- Tak przypuszczam - odparł rycerz Jedi.

- Ojej - westchnął chłopiec.

- W życiu musisz się kierować tylko własną oceną swoich poczynań, Benie - stwierdził Jacen. - Czyżbyś się wstydził tego, co tu robimy?

Ben wyprostował się i utkwiał wzrok gdzieś w dali. Wyraźnie się zastanawiał.

- Tylko tego, czego nie zrobiłem - odrzekł w końcu.

- Na przykład?

- Nie powiedziałem ci o kimś, kto usiłował zastrzelić funkcjonariusza CSB - wyznał kuzyn.

Jacen domyślił się, że chłopak nie powiedział mu wszystkiego. Postanowił to zapamiętać.

- Porozmawiamy o tym później - zdecydował. - A teraz idź i poszukaj drużyny, która potrzebuje pomocy.

Ben pobiegł, niosąc przed sobą zapalony miecz świetlny. Na chodniku za nim kołysały się upiorne cienie. Po drugiej stronie kanionu Jacen zobaczył charakterystyczne błyski holorejestratorów i domyślił się, że mieszkający tam sąsiedzi nagrywają akcję dla potomności... I bez wątplenia dla kanału informacyjnego HoloNetu.

Zastanowił się, czy nie chwycić wszystkich holokamer uściskiem Mocy i nie posłać ich setki metrów w dół, żeby roztrzaskały się o powierzchnię chodnika, ale doszedł do wniosku, że musi się pogodzić z takim nadzorem. Jeżeli nie jesteś gotów zrobić czegoś w miejscu publicznym, w ogóle się do tego nie zabieraj, powiedział sobie.

A poza tym pacyfikacja miała na celu nie tylko schwytanie terrorystów, ale także przesłanie intencji wszystkim pozostałym. Wszyscy musieli widzieć, co się dzieje. Jacen postanowił nie wyłączać klingi swojego miecza. Nawet przy oślepiającym blasku reflektorów wszyscy mogli zobaczyć kolumnę zielonego światła - jeszcze jeden symbol udziału Jedi w akcji, jakiej większość Coruscan nie widziała od dwóch pokoleń. Zapalone klingi świetlnych mieczy ogłaszały: oto czym zajmują się Jedi, obywatele. Działamy w waszym imieniu. Nie siedzimy beczynnie, tocząc niekończące się dyskusje w naszej pięknej nowej świątyni, którą nam zafundowaliście.

Ben odbył krótką, ale poważną rozmowę z dowodzącym drużyną sierżantem, a potem cofnął się, żeby pchnięciem Mocy wyważyć drzwi kolejnego mieszkania. W pomieszczeniu zauważył mdły żółty blask, ulokowany w ciemnej przestrzeni między dwiema plamami błękitnobiałego światła potężnych reflektorów.

Wyważanie drzwi pchnięciami Mocy powodowało o wiele mniej uszkodzeń niż eksplozje detonitu. Ben cofnął się jeszcze kawałek, żeby komandosi mogli wbiec do mieszkania.

Jacen wybrał bezpieczny kanał i włączył komunikator.

- Shevu, jak nam idzie? - Zapytał.

- Na razie żadnych ofiar, panie pułkowniku - zameldował oficer. Chwilę później zagłuszyły go odgłosy szamotaniny. - Musimy jeszcze sprawdzić tożsamość ponad tysiąca pięciuset osób, ale odporne cele zostały zneutralizowane, pozostałe zaś chyba nie sprawiają nam kłopotów.

Wyważyliśmy kilka par drzwi, a pozostali się poddali, przetłumaczył sobie Jacen. - Dobra robota, kapitanie - pochwalił.

Podejrzewał jednak, że członkom Rady Jedi nie spodoba się widok zapalonych kling świetlnych mieczy, użytych podczas obławy na Korelian.

To dopiero początek, pomyślał. Przez chwilę zmagał się z pokusą wyobrażenia sobie, jak czuł się jego dziadek w okresie przejściowym, zanim go znenawidzono. Nie mógł jednak sobie pozwolić na wspomaganie przez Moc spacer w czasie, bo w tym celu musiałby określić miejsce, gdzie to się wydarzyło, a nie miał o tym najmniejszego pojęcia.

Nie wiedział także, czy by zdołał znieść widok następnych scen, podobnych do tych, których był świadkiem w Świątyni. Cóż, tak czy owak musi się zmierzyć z tym bólem.

Ośrodek likwidacji nadwyżek floty, Galactic City, Coruscant

- Kapitanie Solo, czy jest pan absolutnie pewien, że nie możemy lecieć z panem z powrotem na Korelię? C-3PO nie bardzo chciał oddać Hanowi walizki z ubraniami.

Trzymał ją kurczowo za rączkę, jakby dzięki temu mógł sobie zapewnić miejsce na pokładzie.

- Jasne, nikt nie zwraca uwagi na złociste androidy - burknął Solo. - Byłbyś niewidzialny. - Nie podobał mu się zapach, pochodzący z wnętrza niewielkiego wahadłowca, który kupił w rządowym ośrodku likwidacji nadwyżek floty. Była to dziwnie obca woń. Han nigdy dotąd nie uświadamiał sobie, jak taki drobiazg, czyli swojski zapach „Sokoła” poprawia mu samopoczucie. Przetłumaczył kilka przełączników na kontrolnej konsoli i z rozpaczą zerknął na maksymalną prędkość pokazywaną na wyświetlaczu szybkościomierza. - Zostań tu - rozkazał. - Teraz ty i Artoo

powinniście mieć oko na Jainę. - Ale, Hanie... - Usłyszał głos żony z niewielkiej ładowni.

- Kochanie, nikt już nie podróżuje w towarzystwie protokolarnych androidów - zaprotestował Solo. - Byłby... - Hanie, musisz to zobaczyć - powiedziała z naciskiem Leia.

W pierwszej chwili mąż pomyślał, że żona zauważyła jakąś mechaniczną usterkę, na którą nie zwrócił uwagi, kiedy wręczał sprzedawcy kredyty, więc udał się na rufę. Leia stała jak sparaliżowana, wpatrzona w holoeckran na ścianie jednej z kabin wielkości trumny. - Kolejna bomba? - Domyślił się Han. W pomieszczeniu było tak ciasno, że nie widział ekranu, więc prześlizgnął się obok żony i przyłgnął plecami do rufowej grodzi. - Raczej niemiła niespodzianka.

Dopiero po kilku sekundach Han uświadomił sobie, na co patrzy.

Do budynków wdzierali się policjanci z oddziału do rozpędzania demonstrantów... nie, nie policjanci, tylko żołnierze w czarnych pancerzach. Napis na dole ekranu głosił: „Miasteczko Jabi - nalot przed świtem na społeczność Korelian". Han pomyślał, że po Galaktycznym Sojuszu nie mógłby się spodziewać niczego innego. Sojusz kroczył śladami Imperium... Zmienił się tylko kolor pancerzy.

- Naprawdę przypuszczasz, że coś takiego mną wstrząśnie? - zapytał.

Leia rozchyliła usta i zmarszczyła brwi; wyglądała, jakby się miała rozplakać. Dała mężowi znak ręką, żeby był cicho, ale Han zauważył, że ta ręka lekko drży. - Jacen - powiedziała ochryplym głosem.

Han omiół spojrzeniem holoeckran. Spodziewał się, że zobaczy Jacena rannego albo aresztowanego, ale po chwili dostrzegł swojego syna - swojego małego chłopca, który zawsze miał miękkie serce i współczuł innym - kierującego żołnierzy do budynku, żeby wywlekali Korelian z mieszkań.

Jak każde straszliwe i niewyobrażalne nieszczęście, oglądane sceny nie wyglądały realnie. Z początku Han pomyślał, że to wytwór kłamliwej propagandy. To na pewno sprawa Thrackana. To podle oszustwo. Tyle że to była rzeczywistość. Leia przyłożyła dłoń do ust.

Jacen niósł nawet zapaloną klingę świetlnego miecza. Najgorsze jednak, że towarzyszył mu Ben. Syn Luke'a Skywalker'a także brał udział w obławie.

Han stwierdził, że nie potrafi wykrztusić ani słowa.

- Kochanie, co się z nim dzieje? - Szepnęła przerażona Leia.

- Jak on może to robić?

Podniosła głos, ale Han usłyszał tylko:

- ...Otrzymali specjalne uprawnienia w celu internowania mieszkających w Galactic City obywateli Korelii...

Solo poczuł wyrzuty sumienia, ale nie dlatego, że zobaczył Korelian zapędzanych na pokłady szturmowych patrolowców. Poczuł się zdradzony przez własnego syna. Nie powinieneś zapominać o kontekście, skarcił się w duchu. Ciebie też było stać na robienie takich rzeczy, ty samolubny włóczęgo. Ale chociaż ze wszystkich sił usiłował usprawiedliwiać poczynania Jacena, ogarniała go -

podobnie jak żonę - wściekłość i przerażenie.

Jaina uprzedziła mnie o tym, uświadomił sobie. Dopiero teraz wiem, co miała na myśli, kiedy go zapytała, czy przypadkiem nie wpadł w jakieś tarapaty.

Han mógł teraz myśleć obecnie tylko o jednym - że od tej pory będą musieli uciekać przed własnym synem. Wiedział, że jeżeli ktokolwiek odkryje ich tożsamość, będą jeszcze mniej mile widzianymi gośćmi w Koronecie.

- Threepio? Threepio! - Zawołał. - Kiedy „Sokół” będzie gotów do drogi, przyleć nim do nas. Zrób to za wszelką cenę. A teraz wróć do naszego apartamentu i skontaktuj się z Jainą. Powiedz jej, że porozmawiamy z nią później. Musimy lecieć. Zrozumiałeś? - Naturalnie, że zrozumiałem, kapitanie Solo - obruszył się android.

Leia nie powiedziała ani słowa. Przecisnęła się obok męża i ruszyła do sterowni. W naprawdę trudnych sytuacjach stawała się bardzo spokojna i stanowcza. Jej nastrój był barometrem powagi kryzysu, z jakim miała do czynienia.

- Gotowi do startu - odezwała się cicho, sprawdzając informacje na wyświetlaczach. Zupełnie jakby zapomniała, że dzięki biuletynowi informacyjnemu HoloNetu jej syn staje się potworem na oczach mieszkańców całej galaktyki. - Ruszajmy w drogę.

ROZDZIAŁ 10

Widok Jedi, który używa świetlnego miecza przeciwko cywilom, jest wstrząsający, ale przyglądanie się, jak robią to syn i siostrzeniec przywódcy Rady Jedi, to cios zadany w samo serce.

mistrzynie Cilghal, członkini Rady Jedi

Płot otaczający teren spółki Arkanian Micro, Vohai, sektor Parmela, godzina 16.00

Im bardziej spółki się rozrastały, tym bardziej beztroska stawała się ich ochrona. Fett pamiętał jeszcze czasy, kiedy Arkanian Micro byłaby trudna do pokonania.

Kłęczał na jednym kolanie w gąszczu krzaków i posługując się lunetą blastera typu EE-3, obserwował przechodzących przez bramę pracowników.

- Mogłabym się przydać... - Usłyszał w słuchawce komunikatora hełmu. - Trzymaj się z daleka od tego kanału - warknął łowca nagród.

- Kobiety potrafią przenikać do miejsc, do których mężczyźni nie mogą się dostać. Mirta była uparta. Fett się zjeżył.

- Jeżeli natychmiast się nie zamkniesz, spędzisz drogę powrotną w jednej z cel - zapowiedział.

Dziewczyna nadal przebywała na pokładzie „Niewolnika 1” - ukrytego kilometr dalej, pod osłoną nieużywanego silosa - tym razem zamknięta w sekcji załogi. Nie mogła włączyć jednostek napędowych statku, ale Fett zostawił kilka niezabezpieczonych kanałów komunikatora. Jeżeli Mirta była naprawdę dobra, powinna je znaleźć... Gdyby zaś chciała mu wykręcić jakiś numer, skorzystałaby z nich, a w ten sposób Fett by się dowiedział, kim jest jej zleceniodawca. Na razie jednak Mirta próbowała się tylko z nim skontaktować. - Jak chcesz - powiedziała, chyba naprawdę niezrażona. - Będę gotowa, gdybyś mnie potrzebował.

Jedyną osobą, której Fett ufał, był jego ojciec. Żaden z nich nie nadawał się na gracza zespołowego. Boba wykonywał rozkazy, kiedy musiał, lecz wolał pracować sam, a najlepszym dowodem było obecne zadanie. Doszedł do wniosku, że może przedostać się na teren Arkanian Micro, zagadując strażników albo robiąc to, na czym znał się najlepiej: prowadząc obserwacje, wykrywając słaby punkt, a potem wdzierając się siłą i zabierając to, na czym mu zależało. Nigdy nie był dobry w prowadzeniu negocjacji.

Pracownicy wchodzili i wychodzili. Fett zauważył, że pełniący służbę przy bramie wartownik i dwa

strażnicze androidy omiatają promieniami skanerów wszystkie mijające ich osoby.

Dawniej spółka Arkanian Micro ukrywała najważniejsze laboratoria pod polarnymi lodami planety, ale dziś najwyraźniej wołała urocze przedmieścia i sztuczne parki. Spasione leniuchy, pomyślał łowca nagród. Budowanie na powierzchni było tańsze i łatwiejsze. Vohai nie ucierpiała z rąk Yuuzhan Vongów i dlatego jej władze nie przykładają dużej wagi do spraw bezpieczeństwa. Fett uznał, że niczego więcej mu nie potrzeba.

Najbardziej lubił spółki, które ściśle przestrzegały reguł bezpieczeństwa; takie same wskazywały mu drogę do celu. Nie chroni się tego, czego się nie ceni. Doszedł do wniosku, że powinien poszukać wskazówek.

Kaminoanie za nic nie wyszliby przez bramę z pudełkiem na śniadanie pod pachą. Istoty tej rasy uwielbiały zimne, ponure i wilgotne pomieszczenia. Tymczasem większą część roku na Vohai panowała miła, słoneczna pogoda. Fett przywołał widok z powietrza kompleksu spółki Arkanian Micro na projekcyjny wyświetlacz w swoim polu widzenia i zastanowił się, gdzie by umieścić gabinet, do którego nie dochodziłoby naturalne światło. Widok z góry, jaki zarejestrowały pokładowe kamery „Niewolnika 1” krótko przed lądowaniem, ukazywał duży budynek. Konstrukcja składała się z prostopadłościennego rdzenia i odchodzących od niego na wszystkie strony, przedzielonych dziedzińcami wąskich ramion. Istoty większości ras lubiły mieć podczas pracy mocne naturalne światło. Ale ty, Taun We, nie chciałabyś pracować w gabinecie sąsiadującym z jednym z tych miłych dziedzińców, prawda? - Domyślił się łowca nagród.

A zatem jej gabinet musi się mieścić gdzieś w głębi prostopadłościennego serca kompleksu. Na pewno nie na skraju ani w żadnym z odchodzących od rdzenia ramion. To właśnie tam ulokowano z pewnością laboratorium albo gabinet, w których Kaminoanka czułaby się jak w domu. Ja też, doszedł do wniosku łowca nagród. Nie denerwowałby mnie deszcz, patrzyłbym na gładkie ściany i miał mnóstwo miejsca do dyspozycji. Przypomniawszy sobie proste zabawki w swoim domu, w którym spędził surowe dzieciństwo, i zrozumiał, dlaczego rzeczy osobiste stanowią kłopot, którego naprawdę nie pragnął.

Prawdopodobnie Taun We przebywa tam w tej chwili, hodując następne klony, pomyślał. Czy ją zastrzelisz, jeżeli podniesie alarm na twój widok? Zastrzeliłbyś starą i słabą istotę?

Nastawił przesłonę na maksymalne powiększenie, poklepując kontrolną płytkę na lewym przedramieniu. Wolał taki system niż uruchamiany mruganiem wyświetlacz w polu widzenia. Spróbował zajrzeć do środka wartowni przy wejściowej bramie. Strażnicy musieli mieć jakiś system przekazywania informacji. Każda wartownia powinna mieć możliwość utrzymywania łączności z innymi miejscami, co oznaczało, że można tam zdobyć informację o poziomach pod powierzchnią gruntu.

Z wysoka było widać tylko budynki parterowe. Fett musiał wiedzieć, czy na terenie Arkanian Micro będzie miał do czynienia z poziomami podziemnymi. Nie chciał nawet myśleć o tym, co by zrobił, gdyby został zapędzony w ślepią uliczkę w głębi kompleksu. Musiał wybrać lepszy punkt obserwacyjny.

Rozejrzał się, żeby ocenić kąt i wysokość, skąd mógłby mieć lepszy widok przez transparentne okienko wartowni. Gdyby wysłał zdalniaka z kamerą, na pewno ktoś zwróciłby uwagę na niezwykle urządzenie, więc musiał zdobyć potrzebne informacje w staroświecki sposób. Chyłkiem wycofał się z krzaków i pokonał sto metrów dzielących go od następnej działki, gdzie miał do dyspozycji mnóstwo magazynów o płaskich dachach. Wślizgnął się między dwa z nich i wyjął linkę z kotwiczką, doszedł jednak do wniosku, że posłużenie się raketowym plecakiem zaoszczędzi mu wiele wysiłku. W ciągu niespełna trzech sekund wylądował na dachu i skierował lunetę blastera w okienko wartowni. Rzeczywiście na biurku wartownika stał monitor; widniały na nim informacje o stanie nadzorowanych obiektów. Fett przeczołgał się na brzuchu na skraj dachu i nastawił na maksimum współczynnik powiększenia lunety. Wizerunek iskrzył się i drżał, ale łowca nagród dostrzegł na ekranie siatkę białych linii na niebieskim tle.

W niektórych punktach sieci mrugały zielone światełka... Prawdopodobnie czujniki informujące o obecności intruzów. Fett nie zauważył jednak niczego, co by dowodziło istnienia podziemnych pięt. A więc zostaje tylko parter, pomyślał. Na razie wszystko gra.

Następnym krokiem było zorientowanie się w rozkładzie pomieszczeń. Fett musiał się tego domyślić na podstawie dostępnych informacji. Powierzając linie ciężar ciała i ekwipunku, zjechał z dachu, zwolnił kotwiczkę, zwinał linkę i usiadł pod ścianą szopy, w której magazynowano zbiorniki z odpadami. Włączył komputerowy notes i zaczął przeglądać wykaz numerów miejscowych komunikatorów.

Fascynujące, ile można było się dowiedzieć tylko dzięki prześledzeniu, w jaki sposób spółki podają parametry sprzętu łączności swoich wydziałów. Fett obserwował, jak nazwiska i numery przesuwały się po ekranie jego notesu.

Arkanian Micro:

„Zaopatrzenie”, „Obsługa klientów”, „Wizerunek publiczny i współpraca z inwestorami”.

Łowca nagród pozwolił informacjom przesuwać się jeszcze jakiś czas po ekranie. Zastanawiał się, w jakiej dziedzinie mogła się specjalizować Taun We. „Nauki ewolucyjne i kształcenie”.

Kaminoanka była ekspertem w dziedzinie ludzkiej psychologii. Wiedziała o ludziach naprawdę dużo. Dzięki temu hodowane w ogromnie trudnych warunkach klony były na tyle dobrze uwarunkowane, że nie zmieniały się w znerwicowane wraki. Nie zamierzała się tu zajmować splataniem łańcuchów DNA.

Przyleciała wyposażona tylko w niewielki neseser z kartami danych, które stanowiły coś w rodzaju jej posagu. Spółka Arkanian Micro z radością zapoznałaby się z tymi informacjami, ale codzienna praca Kaminoanki - którą Taun We zresztą bardzo lubiła - miała polegać na pilnowaniu, żeby klony zachowały zdrową psychikę. Określanie profili osobowości, testowanie, błyskawiczne nauczanie, przyspieszone nawiązywanie stosunków towarzyskich... I wpajanie właściwego nastawienia, żeby klony mogły się stać posłusznymi narzędziami.

Moje uszanowanie, Taun We, pomyślał łowca nagród. Mam nadzieję, że podoba ci się nowe zajęcie.

Mógł zaczekać, aż Kaminoanka skończy pracę i opuści teren zakładu - niemal na pewno w kabinie jakiegoś pojazdu, gdzie nikt nie będzie mógł jej zobaczyć - a później podążyć za nią do miejsca, które badaczka nazywała domem. Dostanie się na teren zakładu i odnalezienie jej nie powinno być jednak o wiele trudniejsze. Gdyby podszedł wystarczająco blisko budynku, w którym pracowała, mógłby się posłużyć przenikliwym terahercowym skanerem radarowym w przysłonie hełmu, żeby odszukać nim wysokie, smukłe ciało, zawierające miejsca o niewielkiej gęstości tkanki... Zupełnie niepodobne do radarowego obrazu ciała człowieka. W przeciwieństwie do czujnika wrażliwego na podczerwień promienie takiego skanera mogły przenikać nawet przez grube ściany.

Fett od dawna nie włamywał się nigdzie w celu zdobycia informacji. Pomyślał, że każdy łowca nagród powinien nieustannie szlifować swoje umiejętności.

Kwatera główna Straży Galaktycznego Sojuszu, kwadrant A-89, Galactic City, godzina 8.30

Jacen, wychodząc z sali odpraw SGS, natknął się na Marę. Mistrzyni Jedi stała w miejscu, trzymając się pod boki, jakby już zbyt długo czekała. Wyglądała na opanowaną, ale niezbyt odprężoną. Na jej twarzy nie malowały się żadne uczucia, ale rycerz Jedi wyczuwał promieniujące od niej lęki i widział ciemne kręgi pod oczami. Mara patrzyła na niego bez słowa. - Kiedy zacząłeś nosić mundur? - Zapytała w końcu.

Jacen spojrział na swój czarny połowy uniform i rozłożył ręce na boki.

- Musiałem się przebrać przed wyruszeniem na tę akcję - powiedział. - Strój Jedi nie pasuje do akcji pacyfikacyjnej.

- Jakbym tego nie wiedziała - mruknęła Mara. - Luke odchodzi od zmysłów. Prawdę mówiąc, właśnie w tej chwili trwa nadzwyczajne zebranie członków Rady Jedi. - Chodziło mi tylko o to, że luźne fałdy płaszcza... Zresztą nieważne - odparł Jacen. Mógł się spodziewać takiej reakcji wuja. Jedi nie powinni brać czynnego udziału w tego rodzaju akcjach, a już na pewno nie powinien tego robić jego syn. - Chyba wiesz, dlaczego w ogóle nosimy płaszcze, prawda? Żeby nie odróżniać się od innych ludzi. Ja też w tej chwili nie odróżniam się od moich podwładnych. Mara wskazała swoją wojskową kurtkę.

- Przepraszam, Jacenie - powiedziała. - Ale przeżyłam wstrząs, kiedy cię zobaczyłam w tym mundurze.

- Jestem teraz pułkownikiem - przypomniał rycerz Jedi.

- Nie zamierzam się z tobą sprzeczać - zapewniła Mara. Chciałam tylko porozmawiać, zanim znajdzie cię Luke. Czy Ben jest cały i zdrowy?

- Spisał się doskonale - oznajmił Jacen. - Chcesz się z nim zobaczyć? W tej chwili jest w sali odpraw, gdzie omawiamy przebieg akcji z dowódcami drużyn. Chcemy ustalić, co następnym razem powinniśmy zrobić inaczej. I naturalnie, oglądamy najnowsze holowiadomości.

Mara powstrzymała się od uniesienia brwi.

- A zatem będzie następny raz - stwierdziła.

- Nie przyjęłaś propozycji tej pracy - zauważył rycerz Jedi. - Dlaczego? - Bo wiedziałam, że to będzie brudna robota.

- I rzeczywiście taka jest - przyznał młody Solo. - Ale znacznie gorsze byłoby wszczynanie wojny tuż po poprzedniej wojnie. A to by się musiało tak skończyć, bo nigdy nie rozwiążemy do końca problemu zamieszek.

Nagle skrzydła drzwi sali odpraw się rozsunęły i na progu stanął kapral Lekauf z 967. Oddziału Komandosów.

- Panie pułkowniku, zaraz znów będą pana pokazywali! - Zawołał z szerokim uśmiechem. - O, przepraszam panią - powiedział. - Właśnie leci najnowszy biuletyn informacyjny HoloNetu.

- Nie chciałam ci przeszkadzać - rzuciła Mara. - Tylko przechodziłam. Jacen ujął ją pod rękę. - Wejdź tam i poznaj moich podwładnych - zaproponował.

Chciał ją przekonać, że Benowi nie stało się nic złego. W odróżnieniu od Luke'a Mara nie pragnęła, żeby syn stał się jej wierną kopią. Wiedziała, kiedy powinna przestać go traktować jak małe dziecko.

Wzdrygnęła się jednak, kiedy zobaczyła Bena w czarnym mundurze polowym. Jej syn siedział przy stole obok Shevu i sierżantów. W jednej ręce trzymał kubek z kafeiną, a w drugiej komputerowy notes. Już sam jego widok wskazywał, że Ben stał się nagle dorosłym mężczyzną. Na wpełń świadomie naśladował siedzących obok żołnierzy. Kiedy wstał, żeby przywitać się z Marą, Jacen uświadomił sobie, że wkrótce chłopak dorówna mu wzrostem. - Dzień dobry pani - odezwał się Ben z niezwykłą powagą. Nie „mamo”, ale „pani”! - Nie wyczułem, kiedy pani nadchodziła.

- Wpadłam, aby ci powiedzieć, że oglądałam holowiadomości i... Chciałam się przekonać, jak się czujesz - rzekła mistrzyni Jedi.

- Czy nic ci się nie stało... Synu?

Nieważne, ile ma lat... Kiedy wkłada mundur, przestaje być twoim małym Benem, pomyślał Jacen. Obserwując ich, wyczuł, że od obojga promieniuje lekki niepokój, podobny do słabej bryzy. Niepokój Mary zaraz jednak zniknął, a zastąpiła go ogromna ulga. - Jeżeli nie liczyć tego, że musiałem wstać o drugiej w nocy, nic mi nie jest - odparł chłopiec.

- Stajesz się prawdziwym żołnierzem. - Mara uśmiechnęła się z przymusem. - Na pewno nic ci się nie stało?

- Dlaczego miałoby mi coś się stać? - Zdziwił się Ben. - Tak samo jak na Centerpoint, nasze zadanie nie było niebezpieczne. A poza tym kapitan Shevu miał oko na moją szóstą. Jacen zauważył ze wzruszeniem, jak szybko Ben się zaprzyjaźnił z komandosami z 967. Oddziału Komandosów. To wróżyło dobrze na przyszłość. Shevu z powodzeniem ukrył uśmiech. Jego pozostałe emocje - zmęczenie i ulga po zakończeniu operacji, a także sympatia, jaką darzył Bena - były oczywiste chyba tylko dla wrażliwych, wyostrzonych przez Moc zmysłów Jacena.

- Zaraz się zacznie - oznajmił Lekauf. Podgłośnił transmisję pokazywaną na holoeckranie sali odpraw.

Na dole ekranu pojawił się napis „Pacyfikacja”, a prowadzący program prezenarzy streścili przebieg porannej obławy w Miasteczku Jabi. Cztery godziny po zakończeniu akcji już nie pokazywano unoszących się kanonierek szturmowych czy wyważających drzwi komandosów. Skoncentrowano się na reakcjach mieszkańców. Pani admirał Niathal wygłosiła półminutowe oświadczenie popierające akcję SGS - w końcu 967. Oddział Komandosów wchodził obecnie w skład jej oddziałów specjalnych - ale nic nie wskazywało, żeby takie poparcie było konieczne.

Jacen był gotów znieść hańbę, ale kiedy usłyszał odpowiedzi Coruscan, pytanych na ulicach i chodnikach Galactic City o opinie na temat porannej akcji, wpadł w osłupienie. - Najwyższa pora - stwierdził mężczyzna w służbowym garniturze. - Moim zdaniem pułkownik Solo zrobił to, co powinniśmy byli zrobić dawno temu. Za bardzo się baliśmy, że rozdrażnimy władze innych planet. No cóż, Korelio. Nigdy więcej.

- Widzę, że masz zwolenników - mruknęła Mara sarkastycznym tonem.
- Nie spodziewałem się tego... - zaczął Jacen.
- Wiem - przerwała mistrzyni Jedi.
- Mam nadzieję, że i Luke zechce na to spojrzeć w ten sposób - stwierdził Jacen, chociaż dobrze wiedział, że tak się nie stanie.
- A także admirał Niathal.
- Postaram się go przekonać - obiecała Mara.

Jacen wyprowadził ją poza grupę żołnierzy, którzy nie odrywali spojrzenia od holoeckranu. Wyglądali, jakby wiedzieli, że w każdej wojnie opinia publiczna liczy się nie mniej niż broń, którą się posługują.

- Powiedz mi szczerze, Maro - odezwał się Jacen. - Czy nadal jesteś zadowolona, że to ja szkole Bena?

Mistrzynie Jedi odgarnęła z oczu kosmyk włosów, jakby chciała zyskać kilka sekund, żeby się zastanowić nad odpowiedzią. Nawet Mara się obawia, że mógłbym poznać jej emocje, pomyślał młody Solo.

- Cóż, trudno mi się pogodzić z tym, że mój mały chłopiec stał się z dnia na dzień żołnierzem, ale powinnam się była tego spodziewać, kiedy postanowiłam, że zostanie wyszkolony na rycerza Jedi - odparła w końcu.
- Jacen wyczuł jednak jej wahanie.

- Wiem jednak, że w tym wszystkim coś cię niepokoi - powiedział.

- To prawda, ale... Chciałabym ci zadać pytanie - oznajmiła mistrzyni Jedi.
- Proszę bardzo.

Mara spojrzała mu w oczy.

- Czy w twoim życiu jest osoba, przez którą cierpisz?
- Nie rozumiem - zdumiał się Jacen. Naprawdę nie rozumiał.

- Mam na myśli kobietę - uściśliła Mara. - Jacenie, nie chcę być wścibska, ale muszę wiedzieć, czy

przeżywasz trudne chwile.

Rycerz Jedi pomyślał o Tenel Ka i Allanie. Ostatnio starał się o nich nie myśleć, żeby Lumiya nie wyczuła jego tajemnicy. Gdyby się o tym dowiedziała, obu kochanym przez niego osobom mogłoby grozić niebezpieczeństwo... Jeszcze większe niż dotychczas. - Tak, jest taka osoba. - Wyjawienie prawdy niemal go zabiło. - Chciałbym teraz z nią być, ale to niemożliwe.

Od Mary napłynęła fala głębokiej ulgi. Zmarszczka między brwiami znikła i mistrzyni Jedi leciutko się uśmiechnęła. - To wszystko, co musiałam wiedzieć, Jacenie - oznajmiła.

- Przykro mi, że masz problemy. Nie wspomnę o tym więcej, ale gdybym mogła coś dla ciebie zrobić, daj mi znać. Dobrze?

Rycerz Jedi pokiwał głową. Nie wyobrażał sobie, jak Mara mogłaby mu pomóc, ale miło było wiedzieć, że jest na to gotowa.

- Dzięki, Maro - powiedział. - Prawdopodobnie jesteś jedyną życzliwą osobą, jaka mi pozostała.

Mara wzruszyła ramionami, dyskretnie pomachała Benowi i opuściła salę odpraw. Nawet nie korzystając z wrażliwych na Moc zmysłów, Jacen domyślał się, co się dzieje w sali obrad Rady Jedi. Zawiódł ich. Jedi nie wdierali się do mieszkań obywateli w towarzystwie komandosów w czarnych polowych mundurach.

Zadanie Jedi polega na rozwiązywaniu problemów bez odbierania życia, pomyślał. Moim zdaniem właśnie tym się dzisiaj zajmowałem. Siedzenie beczynie, kiedy ludzie giną w niekończącym się cyklu wojen, wcale nie oznacza, że się nie ma krwi na rękach. Ocknął się z zadumy, kiedy ktoś wcisnął mu do ręki kubek z kafeiną. - Nasza sytuacja nie wygląda źle, panie pułkowniku - usłyszał.

Przed nim stał kapral Lekauf: młody, jasnowłosy, tryskający optymizmem komandos. Jacen przyjął kubek i razem zaczęli oglądać kolejną relację z porannej akcji SGS. Kiedy transmisja dobiegła końca, holoreporterzy przeprowadzili wywiad z rozwścieczonym koreliańskim ambasadorem i senatorami. Podczas rozmowy padła nawet groźba zerwania stosunków dyplomatycznych.

- Nie jestem pewny, czy to wszystko jest wymierzone w Coruscant, czy w Galaktyczny Sojusz - odezwał się Lekauf.

- Rozdzielenie ich od siebie to prawdziwa polityczna sztuczka - przyznał rycerz Jedi. - Wolałbym, żeby nie doszło między nimi do rozłamu - stwierdził kapral.

- Ja też. - Jacen zauważył, że dobrze się czuje w towarzystwie komandosów z 967. Oddziału Komandosów. Wszyscy oni podzielali optymizm młodego kaprala. - Od jak dawna jesteś w armii?

- Od końca studiów, panie pułkowniku - odparł Lekauf. - Cztery lata.

- Dlaczego się zaciągnąłeś?

Kapral uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

- Mój dziadek służył w Imperialnej Armii pod rozkazami pańskiego dziadka, panie pułkowniku -

powiedział. - Zawsze opowiadał, jak Lord Vader stawał w pierwszym szeregu żołnierzy podczas każdej akcji. Dziadek twierdził, że to dla niego wiele znaczyło. Jacen poklepał podwładnego po ramieniu. Uświadomił sobie z pokorą, że lojalność może się ciągnąć przez pokolenia. Bez względu na grzechy, jakie Anakin Skywalker popełnił jako Vader, nadal żyły osoby, które uznawały go za natchnionego dowódcę.

Jacen doszedł do wniosku, że może bezpiecznie cofnąć się w czasie i jeszcze raz poobserwować jego poczynania.

Nie powtarzał błędów dziadka. Chciał się tylko zapoznać z okazjami, z których nie skorzystał Anakin Skywalker.

- A zatem postępujemy tak, żeby nasi dziadkowie mogli być z nas dumni - powiedział.

Mieszkanie Dura Gejjena, Koronet, Korelia

Tym razem młody Gejjen nie wyglądał na zachwyconego widokiem Hana. - Nie zaprosisz nas do środka? - Zapytał Solo, stając na progu.

U boku miał blaster, na który gospodarz wytrzeszczył oczy. - Czujemy się tu jak niezbyt mile widziani goście.

Nie odrywając spojrzenia od blastera, Gejjen się cofnął, żeby oboje Solo mogli wejść do przedpokoju. Han zabezpieczył broń.

- Gdzie się podziewaliście? - Zapytał gospodarz.

- Natknęliśmy się na życzliwą duszę i musieliśmy uciekać wyjaśniła księżniczka. - I nie musisz nas pytać, czy wiemy, co się dzieje na Coruscant. Wiemy.

- Sal-Solo używa sobie na całego. - Za plecami młodego mężczyzny pojawiła się dwójka kilkuletnich dzieci, ale Gejjen gestem nakazał im wrócić do pokoju. - „Syn rodziny Solo wtrąca do więzienia niewinnych Korelian”. To prawdziwa gratka dla mediów. Han prychnął.

- Na szczęście rzadko mną coś wstrząsa - stwierdził. - Czy to znaczy, że Sal-Solo zmienił warunki kontraktu i chce teraz, żebym zginął?

- Żebyśmy oboje zginęli - mruknęła Leia.

Gejjen zaprosił ich gestem do pokoju od ulicy. Han zauważył, że zasłony są zaciągnięte.

- Gdzie się zatrzymaliście? - Zapytał gospodarz.

Solo nie usiadł, chociaż miał ochotę.

- To nasza mała tajemnica - powiedział.

- Niech będzie. - Gejjen nie wyglądał na urażonego. Paranoja była tu nieodłącznym elementem

politycznego życia. - Moi informatorzy twierdzą, że już więcej niż jedna osoba chce się podjąć tego zadania. - Fett niechętnie korzysta z pomocy innych - zauważył Solo. - Powiedziałam ci, że to nie będzie on - przypomniała Leia.

- Fett czy nie Fett, kapitanie Solo, nie może pan lekceważyć zagrożenia - odparł Gejjen. - Jesteśmy wprawdzie przerażeni tym, co pana syn robi na Coruscant, ale Thrackan Sal-Solo zamierza to wykorzystać do własnych celów, nie dla dobra Korelii. A zatem jeżeli chodzi o nas, nadal łączy nas wspólnota interesów.

- Nas, to znaczy kogo? - Zagadnął Han. - Demokratyczne Przymierze - odparł młody mężczyzna.

- Rozumiemy, jakie to dla was bolesne. - Tak ci się wydaje?

- Przecież tu przylecieliście, nie? - Zauważył Gejjen. - To dowód, że stawiacie Korelię na pierwszym miejscu.

- Dziękuję bardzo, sam sobie poradzę z Thrackanem - burknął Solo.

- Naturalnie nikt nie może się dowiedzieć, że mamy z tym coś wspólnego, ale prawdopodobnie możemy wam pomóc.

Naładujecie blaster, a ja z niego wystrzelę, pomyślał Han. Tak, chyba wiem, co macie na myśli.

- Muszę tylko wiedzieć, kiedy, gdzie i jak się tam dostanę stwierdził ponuro.

Wyczuł, że żona wpatruje się w jego plecy, zupełnie jakby był obdarzony szóstym zmysłem, który pewnie nie miał nic wspólnego z Mocą, ale wynikał z przeżycia trzydziestu lat małżeństwa. Powoli się odwrócił, spodziewając się ujrzeć zmarszczone brwi i dezaprobatę na twarzy żony, ale dostrzegł tylko rezygnację. Czasami Leia wyglądała zupełnie tak jak wówczas, kiedy ją pierwszy raz zobaczył.

- Wystarczy, jeżeli będziecie mnie informowali na bieżąco, gdzie można go znaleźć - dodał. - Mam nadzieję, że członkowie twojej partii mają dostęp do takich informacji. - Owszem, w okresach, kiedy Thrackan się zajmuje sprawami państwowymi - przyznał Gejjen. - Rozkłady dnia, spotkania, różne takie szczegóły. - To dobrze. - A więc co zamierzacie? - Zainteresował się gospodarz.

- Gdybym ci powiedział, nie mógłbyś później oświadczyć, że o niczym nie wiedziałeś? - Han uśmiechnął się krzywo.

Gejjen odwrócił się, podszedł do biurka w kącie pokoju i wyjął z szuflady kartę danych.

- Plany parteru - wyjaśnił. - Budynek rządowe. Nie są nielegalne, ale dostępne tylko do wglądu w bibliotekach i biurach miejskich władz. Mogą się przydać. - Możesz uważać mnie za bibliotekarza - mruknął Solo.

- Posłuchaj, Dur - odezwała się Leia. - Jeżeli Thrackan Sal-Solo zostanie rzeczywiście odsunięty od władzy, czy twoja partia da radę utworzyć rząd tymczasowy?

Gejjen spojrział na nią, najwyraźniej bardzo zainteresowany przejęciem władzy. Han postanowił się nie obrażać.

- Raczej tak... Do spółki z naszymi kolegami z Koreliańskiego Frontu Liberalnego i Partii Centerpoint, którym także zależy na zmianie władzy - oznajmił gospodarz. Właśnie tak rodzą się przewroty, uświadomił sobie Han. W salonie jakiegoś faceta, którego dzieci bawią się w sąsiednim pokoju.

- Hej, rozpowiadasz wszystkim, że dni mojego kuzyna są policzone? - Zapytał.

- Jeżeli uważa pan, że pierwszy w tym roku wpadł na pomysł odsunięcia go od władzy, bardzo się pan myli - odparł Gejjen. - Korelia nie chce być ani chwili dłużej jego osobistym folwarkiem.

- Ograniczymy nasze kontakty do minimum - zapowiedziała Leia. - Zamierzamy także co jakiś czas zmieniać kod naszego komunikatora. Mam nadzieję, że kiedy się znów spotkamy, ten kryzys będziemy mieli już za sobą.

Wyszli na ulicę i ruszyli w kierunku śródmieścia Koronetu, zawracając co jakiś czas, żeby się upewnić, czy nikt ich nie śledzi.

Napowietrznym szlakiem leciało mnóstwo pojazdów w stronę kosmoportu, a w mieście wyczuwało się napięcie. Wyglądało na to, że mieszkańcy planety przygotowują się na najgorsze.

W końcu małżeństwo dotarło do głównego bulwaru, gdzie mieściła się agencja wynajmu mieszkań. Han postanowił wynająć w śródmieściu niewielki apartament... Anonimowy i skromny, w jakim nikt by się nie spodziewał zastać rodziny Solo. Znów jak za dawnych czasów, pomyślał z goryczą. Będziemy żyli jak ścigani zbiegowie.

- Uważasz, że kumple Gejjena chcą mnie wykorzystać, żebym odwalił za nich całą brudną robotę? - Zapytał żonę. - Wydaje ci się, że kontrakt na zabicie nas to tylko podstęp?

- Leia pokręciła głową. - Słyszałeś, co powiedział Jacen. Oglądałeś holowiadomości. Pozostaje jeszcze taki drobiazg jak ten gość, którego wypchnęliśmy ze służby. - A, rzeczywiście - przyznał Han. - Nie namawiam cię do zabicia Thrackana. - Nie powiedziałaś mi też, żebym tego nie robił - uściślił Solo.

- Nie podejmuję za ciebie decyzji, Hanie - uświadomiła mu księżniczka. - Jestem twoją żoną, nie matką.

- Ale jesteś także Jedi...

- Mówisz, jakbyś zamierzał działać w samoobronie.

- Nie jak dążący do obalenia władzy konspirator?

- To co innego. - Dyplomacja to fascynujący sport - przyznał Solo.

- Chodzi o osiągnięcie maksymalnych korzyści przy minimalnej liczbie ofiar - stwierdziła żona.

- Tak, zwłaszcza dwóch, mnie i ciebie.

Han troszczył się dotąd o los Korelii raczej teoretycznie, tak jak każdy, kiedy jego ojczyzna - choćby nawet nie był nią zachwycony - była atakowana przez obcych. Nigdy nie uważał się za patriotę, ale był Korelianinem do szpiku kości. Istniała jednak wartość, która liczyła się dla niego więcej niż dla przeciętnego człowieka... A tą wartością była Leia i dzieci. - Thrackan nie ma najmniejszej szansy, żeby załatwić trójkę Jedi - odezwała się Leia, jakby czytała w jego myślach. - Martwię się o ciebie.

- Zdarzało się już nieraz, że i Jedi ginęli w zamachach - przypomniał Solo.

- Może jestem okrutna, ale trochę żałuję, że Jacen go wówczas nie zastrzelił - oznajmiła księżniczka.

- Witaj w klubie - mruknął jej mąż.

W agencji wynajmu mieszkań panował niezwykle tłok. W kolejce stało wiele osób, niektóre z małymi dziećmi, sporo starszych, a wszystkie z neseserami, walizami i podróżnymi torbami wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów.

- Wy też prosto z Coruscant? - Zapytała siedząca przy środkowym biurku udreńczona urzędniczka.

- No cóż... - Han nie odniósł wrażenia, że kobieta rozpoznaje w nim Wroga Publicznego Numer Jeden. - Tak... Dopiero co przylecieliśmy.

- Wyprzedziliście wielu innych. - Urzędniczka wręczyła mu komputerowy notes. - Proszę wpisać swoje dane personalne.

Niestety zostały nam już tylko apartamenty z jedną sypialnią. Czy to wam odpowiada? Han spojrzał na żonę.

- Zależy nam tylko na tym, żeby mieć dach nad głową - wyjaśniła księżniczka.

- Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci tym, co się dzieje na Coruscant, proszę pani - powiedziała urzędniczka. - Na szczęście jesteście już bezpieczni. Kto by pomyślał? Żeby syn samego Hana Solo!

- Tak, my też jesteśmy tym wstrząśnięci - przyznał Han i uświadomił sobie, że to prawda.

Podpisali umowę najmu jako Jav oraz Lora Kabi i przekonali się, że zupełnie przez przypadek są jednym z wielu małżeństw z pierwszej fali Korelian, uciekających z Coruscant przed internowaniem. Ironia losu, nie ma co.

- Świetne wycucie czasu, synu - mruknął Han.

Sala obrad Senatu, Coruscant, nadzwyczajna debata w sprawie polityki internowania

Jacen siedział obok Niathal na platformie delegacji Kalamara i słuchał, jak koreliański senator Charr zarzuca przywódcy Omasowi łamanie praw niektórych obywateli Coruscant i brak konsultacji w tej sprawie z Senatem.

- W tej sytuacji nie widzimy innej możliwości niż odwołanie naszego ambasadora - zakończył Korelianin. - Mówimy o Coruscant czy o Sojuszu? - Podchwycił Omas. - Czy to nie to samo, przywódco? - Zapytał z wahaniem Charr.

- Szlachetny przedstawiciel Korelii z pewnością rozumie, że podjęta przeze mnie akcja miała na celu zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom Coruscant - odparł Alderaanin. - Należy to do obowiązków powierzonych mi przez lokalne władze, więc nie wymaga zgody Senatu. A więc z którego gremium chce pan odwołać swojego ambasadora?

W wielkiej sali dał się słyszeć pomruk poparcia, ale niektórzy delegaci planet Odległych Rubieży pozwolili sobie na szydercze okrzyki. Mimo to Omas nie wyglądał na speszonego. Na razie sprzymierzeńcy Korelii stanowili mniejszość, ale taka sytuacja mogła ulec zmianie. Ktoś musiał przedstawić senatorom dobry powód, aby nie opowiadali się po jej stronie.

- Co pani sądzi o blokadzie, pani admirał? - Zapytał cicho rycerz Jedi. Od ścian ogromnej sali odłączyło się kilka senatorskich platform i znieruchomiło w powietrzu między nimi a prezydium; delegaci widać zamierzali wygłosić tyleż płomienne, co niezobowiązujące przemówienia na temat zagrożenia ze strony terrorystów i potrzeby zachowania jedności. - Pytasz mnie, czy dałabym radę teraz ją zorganizować? - Zapytała Kalamarianka. - Zakładam, że możesz to zrobić - odparł Jacen. - Nadal jesteś zwolenniczką takiego rozwiązania?

- Tak, bo to najdalej idąca sankcja, na jaką zdołam uzyskać zgodę Senatu - stwierdziła Niathal. - A blokada to bardzo elastyczne pojęcie.

- To znaczy moglibyśmy zarządzić jakąś w imieniu Sojuszu - domyślił się rycerz Jedi. - Żyjemy w świecie nieprecyzyjnych określeń - przyznała pani admirał.

Biorąc pod uwagę okoliczności, dyskusja była bardzo stonowana. Jacen zastanowił się, czy reakcja, jakiej się spodziewał, nie wynikała z jego obaw przed opinią Rady Jedi. Wszystko jednak wskazywało na to, że stał się ostatnio bardzo... Popularny.

Nie był tym zachwycony. Chciał zachować dystans wobec wszystkiego, co mogłoby odwrócić jego uwagę, a nawet rycerzowi Jedi mogła się trochę zanadto spodobać taka sława. Po zakończeniu obrad Jacen i Niathal udali się do gabinetu przywódcy Omasa. Zastali tam już senatora G'Sila. Omas nie wyglądał zbyt radośnie. Powoli, jakby z namysłem, zajął miejsce u szczytu wyłożonego lazurytem stołu.

- Powinniśmy chyba być wdzięczni, że wydarzenia dzisiejszego dnia potoczyły się tak, jak się potoczyły - powiedział.

G'Sil uniósł głowę i spojrzał na niego.

- Gdzie kwaterujemy internowanych? - Zapytał.

- Okazało się w końcu, że tylko niewiele ponad połowa spośród nich ma koreliańskie paszporty, więc na razie zakwaterowaliśmy ich w starych koszarach - odezwała się Niathal. - Pozostałym pozwolono wrócić do domów. Problem w tym, jak daleko zamierzamy się posunąć, bo mamy tu

wielu koreliańskich obywateli. Gdybyśmy chcieli wszystkich internować, czekałoby nas mnóstwo pracy.

- Z meldunków urzędów imigracyjnych wynika, że bardzo wielu chce stąd odlecieć - stwierdził G'Sil.

- Ta sytuacja budzi we mnie coraz większy niepokój, pani admirał - powiedział Omas. - Relacje w biuletynach informacyjnych HoloNetu były może na rękę szowinistycznym elementom na Coruscant, ale wielu spośród nas przypomniały czasy Imperium. - To pan wydał zgodę na tę akcję. - Kalamarianka przekrzywiła głowę i w charakterystyczny dla niej sposób łypnęła okiem na Omasa. - Nie spodziewał się pan takich reakcji?

Jacen postanowił włączyć się do rozmowy. Kiedy Niathal została naczelnym dowódcą, zrezygnowała z udawania, że nie zależy jej na stanowisku Omasa. Szła na całość. - Robimy to samo co terroryści, tyle że nasze akcje nie pociągają za sobą poważnych ofiar - powiedział. - Mają niewielką skalę, ale wywierają nieproporcjonalnie duży wpływ. To w równym stopniu wojna na propagandę, jak na prawdziwą broń.

- Zamierzaliście wystraszyć Korelian, żeby się sami stąd wynieśli? - Zapytał Alderaanin.

- Chcieliśmy tylko dać im wyraźnie do zrozumienia, że stanowczo wyeliminujemy niebezpieczeństwo, jakie zagraża mieszkańcom Coruscant - odparła cicho Niathal. - I właśnie dlatego postanowiła pani się w to wmieszać i zastosować swoje kuglarskie sztuczki, tak? - Omas zwracał się do Niathal, chociaż to Jacen dowodził operacją. - Jedna przesadnie nagłośniona akcja ma wyglądać, jakbyście mieli całą sytuację pod kontrolą? - Jeżeli pan odbiera to w ten sposób, odpowiedź brzmi „tak”, panie przywódcu - odparł Jacen. To ze mną ma pan do czynienia, nie z Niathal, pomyślał. - Żadnych ofiar, obywatele uspokojeni i czytelny sygnał dla wszystkich, którzy zamierzają krzywdzić cywilów, że nie zamierzamy tego tolerować. Eliminujemy z naszych ulic naprawdę niebezpieczne jednostki. Wykazujemy także, że jeżeli mamy dość sił, aby powstrzymać Korelię przed niebezpiecznymi działaniami, nie zawahamy się zrobić tego samego z każdą inną planetą. A może pan woli, żeby wewnętrzny wróg nadal niszczył zdrową tkankę naszego społeczeństwa? Mamy do czynienia z mieszkańcami Coruscant, którzy są obywatelami Sojuszu, ale nie zamierzają się podporządkować jego prawom. Jeżeli takie postępowanie uważa pan za „kuglarskie sztuczki”, nie spędzą mi one dziś w nocy snu z powiek.

Omas wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale tylko spuścił głowę i oglądał swoje dłonie. Siłą woli zmuszał się do zachowania milczenia. Był zbyt sprytnym politykiem, żeby się spierać z Jacenem i Niathal w obecności G'Sila. Gdyby przegrał słowny pojedynek, senator mógłby mu się dobrać do skóry.

- Wybaczcie, ale muszę odbyć rozmowę z koreliańskim ambasadorem. - Omas wstał i ruszył do drzwi. - Byłbym jednak wdzięczny, gdybyście harmonogramy następnych operacji przedstawiali mi z wyprzedzeniem.

G'Sil odprowadził go spojrzeniem do drzwi.

- Wielka szkoda, że nie było tu ekipy z HoloNetu, aby zarejestrować naprawdę ważne przemówienie

- odezwał się w końcu.

Myli się pan, senatorze, to nie było przemówienie na użytek mediów, pomyślał rycerz Jedi. Nie zamierzam prowadzić żadnej gry. Nie wiedział pan o tym, prawda? Nie ma pan pojęcia, o co tu chodzi.

- Może to pana zdziwi, ale powiedziałem to, co naprawdę myślę - odezwał się głośno. - Wiem, jak wyglądają wojny, i chcę, żeby ta była ostatnia. G'Sil uznał jego słowa za dowód młodzieńczej szczerości.

- Oto życzenie, które ma mnóstwo znaczeń - powiedział. - Pozwólcie, że teraz was pożegnam i postaram się udobruchać Omasa. Przywódca ma pewne kłopoty z przyzwyczajeniem się, że Jedi nie muszą być miłymi i uprzejmymi członkami Rady. To zabawne, że możemy zaatakować terytorium Korelii bez wzbudzania protestów, ale tracimy opanowanie, kiedy wtargniemy do kilku mieszkań na własnej planecie.

Nigdy nie chciałem zadzierać z Radą Jedi, pomyślał Jacen. Problem w tym, że chyba nikt tu nie widzi sytuacji inaczej niż przez pryzmat osobistych ambicji. Kiedy G'Sil wyszedł, Niathal spojrzała na Jacena. - Czyżbyśmy się ubiegali o to samo stanowisko? - Zapytała.

Trudno było odgadnąć, czy istota z Kalamara żartuje. Jacen wyczuł jednak w umyśle Niathal szczyptę rozbawienia. - Nie zamierzam zostawać politykiem - oznajmił poważnie.

- W przeciwieństwie do mnie byłabyś doskonałą przywódczynią Galaktycznego Sojuszu.

Niathal się rozchmurzyła, a rycerz Jedi wyczuł promieniujące od niej odprężenie, dobrą wolę i szacunek. Mówił szczerze, a Kalamarianka uznała jego słowa za coś w rodzaju zawartej umowy.

- A na jakim zajęciu ci zależy? - Zapytała. - Czyżbyś chciał zostać członkiem Rady Jedi?

O nie, tylko nie to, pomyślał Jacen. Czyżby Niathal uważała go za rywala Luke'a? Z politycznego punktu widzenia może było to uzasadnione, ale pani admirał nie mogła wiedzieć, że w planach Jacena nie ma miejsca dla Jedi.

- Nie jestem nawet mistrzem - wyjaśnił jej. Jasno jak nigdy dotąd uświadomił sobie, na czym naprawdę mu zależy. Cel jego życia pojawił się obok jak wizja, którą może obserwować, nie biorąc w niej udziału. - Chcę, aby tryliony osób w galaktyce mogły żyć ze świadomością, że rządzi tu stabilna władza. Ogromna większość mieszkańców cierpi z powodu ubocznych skutków walk o władzę, toczonych przez garstkę osób, które się jej kurczowo trzymają. Zależy mi na tym, żeby to zmienić. Władza powinna oznaczać obowiązki i służbę, a nie przywileje. Niathal wygładziła fałdy tuniki i tasiemki warkocza.

- Dobrze powiedziane - przyznała. - Jak na kogoś, czyja rodzina należy do elity, masz krzepiąco wojskowy pogląd na istotę sprawowania władzy.

Jacen nie był przywiązany do opinii bohatera, ale poczuł się rażniej, kiedy Niathal uświadomiła mu, że jego przekonanie nie jest tylko mrzonką. Z ulgą wyobraził sobie galaktykę, w której Tenel Ka i

Allana będą mogły się czuć bezpieczne.

ROZDZIAŁ 11

Przywódcą Galaktycznego Sojuszu Cal Omas wydal dzisiaj zgodę na użycie nowych środków nadzwyczajnych, które mają położyć kres nieustającym zamieszkom w Galactic City. Posiadacze koreliańskich paszportów będą mieli odtąd czterdzieści osiem godzin, żeby się zgłosić do najbliższego posterunku CSB i zadeklarować, czy wybierają repatriację, czy zgadzają się na internowanie. Decyzję Omasa potępilli w Senacie przedstawiciele z Altyra Pięć, Obreedana i Katraasii. Tymczasem oddziały antyterrorystyczne dokonały w nocy pacyfikacji domów w dzielnicy Adur, gdzie zarekwirowano materiały wybuchowe i blastery. Dziesięciu mężczyzn i trzy kobiety oskarżono o udział w spisku mającym na celu wywoływanie eksplozji.

z przedpołudniowego biuletynu informacyjnego HoloNetu

Siedziba dyrekcji spółki Arkanian Micro, Vohai

Jeżeli otaczające teren spółki ogrodzenie miało jakikolwiek słaby punkt, Boba Fett zamierzał go znaleźć. I znalazł.

W pewnej chwili zauważył, że na szczycie czterometrowego płotu, który ciągnął się sześć kilometrów wokół siedziby dyrekcji spółki Arkanian Micro, przycupnął niewiele większy od kolibra, jaskrawoczerwony ptak. Łowca nagród stwierdził, że strażnicy w wartowni nie zwrócili na to uwagi.

System bezpieczeństwa nie powinien być aż tak wrażliwy, aby ptaki mogły wywoływać alarm. A jeżeli ptak mógł niepostrzeżenie przelecieć nad płotem, tej samej sztuki mógł dokonać także Fett.

Obiektywy kamer systemu bezpieczeństwa pokazywały teren w promieniu stu metrów wokół każdej bramy. Pozostałą część systemu stanowiły sensory. Reagowały na obecność intruzów, którzy mogli chcieć przedostać się przez płot albo nad płotem w miejscach niepokazywanych przez kamery. Jeżeli jednak ktoś dysponował wykonanym na zamówienie urządzeniem zakłócającym ich pracę, sensory mogły się stać właśnie takim słabym punktem. Obszar obejmowany przez ich sygnały wyglądał jak zachodzące na siebie połówki wąskiej elipsoidy. Sięgały one w poziomie po dwa metry z każdej strony, a w pionie - jeżeli wierzyć skanerom „Niewolnika 1”, które dokonywały pomiarów z powietrza - dwieście metrów, żeby uniemożliwić intruzowi bezkarne przeskoczenie płotu.

Albo przelecenie nad nim dzięki rakietowemu plecakowi. Ale Fett się tym nie przejmował.

Przekonał się już, że sensory nie reagują na niewielkie przedmioty. Teraz cofnął się poza granicę dwóch metrów i wyjął dwa długie, cienkie druty, zakończone niewielkimi zaciskami. Rozhuśtał jeden przewód w powietrzu, jakby zarzucał linkę wędki - miał w tym pewną wprawę, bo jako dziecko często łowił na wędkę devec z platformy lądowniczej w Tipoca City. Zacisk nie był większy niż

koliber i przylgnął do siatki płotu. Fett przeszedł dwa metry dalej i w podobny sposób zarzucił na płot drugi zakończony zaciskiem drut. Miał teraz dwa przewody, do których zamierzał dołączyć urządzenie zakłócające pracę sensorów. Stał między rozciągniętymi drutami, podłączył je do zacisków na obudowie urządzenia i przycisnął guzik włącznika. Z punktu widzenia sensorów systemu bezpieczeństwa znalazł się już na terenie spółki. System wykrywający obecność intruzów działał tak, jakby płot tworzył pętlę, a sekcja między drutami po prostu nie istniała. Fett nastawił moc wyjściową raketowego plecaka, przeleciał tuż nad płotem i wylądował bezpiecznie po drugiej stronie. Zapamiętał odcinek płotu, który różnił się od reszty tylko dzięki zaciskom. Urządzenie zakłócające po drugiej stronie płotu miało rozmiary dłoni i było niemal niewidoczne w trawie.

Łowca nagród podbiegł sprintem do najbliższego budynku i jeszcze raz posłużył się plecakiem, żeby wylądować na płaskim dachu. Zazwyczaj w takich sytuacjach wystrzeliwał linkę z kotwiczką, ale teraz zależało mu na czasie, tak że nie miał nic przeciwko zwiększonemu zużyciu raketowego paliwa. Zbliżył przesłone hełmu do chropowatej powierzchni i czołgając się po dachu, zaczął szukać osób, które mogły znajdować się pod nim.

Miał do zbadania ogromną powierzchnię. Przyłożył do dachu emiter medycznego wykrywacza dźwięków, o wiele bardziej czułego niż podobne urządzenia wojskowe. Chciał usłyszeć rozmawiające osoby. Z odgłosów napływających z miejsca bezpośrednio pod nim - mówiła kobieta, rejestrująca szczegóły procesu nauczania - wywnioskował, że wylądował na dachu wydziału spraw osobowych. Zauważył jednak, że wszystkie pomieszczenia pod nim mają okna wychodzące na dwór. Taun We powinna się znajdować gdzieś w głębi albo w środku, w pomieszczeniu bez naturalnego światła.

Ponad dwie godziny czołgał się po chropowatej powierzchni barwy węgla drzewnego zmieszanego z popiołem. Cały czas szukał wskazówek, które mogłyby mu powiedzieć, jakie pomieszczenia znajdują się pod nim. Równocześnie obserwował ukazywane przez radarowy sensor zarysy ciał osób w środku. Miał nadzieję, że nikt nie odkryje urządzenia zakłócającego, zanim nadejdzie pora opuszczenia terenu spółki. Gdyby jednak ktoś je zauważył i unieszkodliwił, wydostanie się na zewnątrz i ucieczka powinna być łatwiejsza, niż gdyby zaalarmował wartowników, próbując się dostać na teren spółki. Rozbolały go stawy rąk i nóg.

Przeniósł ciężar ciała na łokcie i kolana. Usłyszał brzęk szklanych naczyń, a potem raz i drugi szmer otwieranych i zamykanych drzwi chłodziarki. Zobaczył rozmyte sylwetki ludzi siedzących prawdopodobnie na długiej ławie i innych, zgromadzonych wokół stołu. Nie dostrzegał zarysów przedmiotów nieorganicznych, ale umiał wyobrażać sobie wygląd pomieszczeń na podstawie wskazówek, jakich mu udzielały ciała poruszających się osób. Widział w życiu kilka laboratoriów i pamiętał, w jaki sposób Taun We urządziła swoje. Kiedy kilka lat temu Kaminoanka poleciła, żeby sklonowano dla niego nogę, jej laboratorium w Tipoca City wyglądało dokładnie tak, jak łowca nagród zapamiętał z okresu dzieciństwa, kiedy badaczka pierwszy raz mu je pokazała.

Mógł zrozumieć niektóre słowa i domyślił się, że zgromadzone w dole osoby mówią coś o skaningowym mikroskopie. To może znaczyć cokolwiek, pomyślał. Jedno jest pewne: znajduję się nad laboratorium. Zejdę tam najbliższym szybem wentylacyjnym, postanowił. Spojrzał na wyświetlacz chronometru na przesłonie hełmu, ale musiał przy tym zmienić ogniskową oczu i poczuł pierwsze oznaki bólu głowy. Trzy godziny, uświadomił sobie. Stanowczo za dużo. Im dłużej to

trwało, tym bardziej ryzykował, że ktoś go zauważy. Chyba nie zamierzasz teraz zrezygnować, Fett, powiedział sobie.

No i w końcu to usłyszał... Zaledwie kilka słów. Zabrzmiały tak cicho, że nawet ich nie zrozumiał. Znał jednak ten głos... Tak dobrze, że zareagował, jakby ktoś wyszeptał jego imię w zatłoczonym, gwarnym pomieszczeniu. Jego mózg automatycznie wyeliminował wszystkie inne dźwięki.

Tak, to był melodyjny, łagodny głos Taun We. Natychmiast zapomniał o dojmującym bólu. Poczul w żyłach przyływ adrenaliny, która wyeliminowała wszelkie inne odczucia. Mam cię, pomyślał.

Posługując się projekcyjnym wyświetlaczem w polu widzenia, zarejestrował zestawy współrzędnych, uklęknął i rozejrzał się w poszukiwaniu najbliższego szybu wentylacyjnego. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej na dachu zobaczył wylot szybu pomieszczenia, w którym składowano toksyczne odpady. Otwór był zamknięty klapą wjazdu, którą musieliby otworzyć funkcjonariusze ekipy ratunkowej, gdyby budynek został skażony i odizolowany. Fett wiedział, że zamek klapy podda się mechanizmom w nadgarstku jego rękawicy, umożliwiającym otwieranie podobnych zamków. Nie spotkał się jeszcze z urządzeniem, które by się im oparło.

Otwór miał wystarczająco dużą średnicę, żeby mógł się w nim zmieścić ratownik ubrany w kompletny skafander chroniący przed trującymi substancjami. Fett pomyślał, że chociaż raz raketowy plecak nie powinien ograniczać jego swobody ruchów. Wyjął nóż z pochwy na łydce, żeby unieszkodliwić urządzenie alarmowe i otworzył klapę wjazdu. Ześlizgnął się w głąb szybu. W pomieszczeniu, w którym wylądował, zobaczył dwie pary drzwi. Obie były zamknięte. Kiedy przełączył projekcyjny wyświetlacz w polu widzenia na normalny obraz, przekonał się, że w pomieszczeniu palą się tylko słabe pomarańczowe lampki awaryjne. Na panelu systemu bezpieczeństwa na ścianie widniał napis: „Ostatnia kontrola 6z8z1z36”.

Zwiększył czułość sensora dźwięków w hełmie i jakiś czas nasłuchiwał. Stwierdził, że korytarz za drzwiami jest pusty. Włączył znów terahercowy radar i upewnił się, że rzeczywiście nie ma tam nikogo. Pokonał zamek drzwi i ruszył w kierunku napływającego co jakiś czas głosu Taun We. W końcu stanął przed drzwiami jej gabinetu. Na wyświetlaczu skanera hełmu zobaczył sylwetki dwóch osób. Gęstość ciała pierwszej dowodziła, że to istota ludzka, a charakterystyczne puste miejsca w dolnych partiach drugiej upewniły Fetta, że ma do czynienia z istotą z Kamino.

Łowca nagród ukrył się w pobliskiej wnęcie ze sprzętem przeciwpożarowym i zaczął czekać, aż istota ludzka opuści gabinet. W końcu drzwi się otworzyły i wyszła z niego jakaś kobieta. Na kontrolnym panelu zapłonęła lampka na znak, że skrzydła drzwi się zasuwają, ale łowca nagród wsunął ostrze systemu pokonywania zamków do otworu w panelu i płyty z cichym szmerem się cofnęły. Fett wszedł i zaczął czekać, aż drzwi zamkną się za jego plecami.

Nad biurkiem pochylała się wysoka, smukła istota o długiej, łagodnie wygiętej szyi i niewielkiej szarej głowie. Kaminoanka obserwowała ekran monitora. Nie odwróciła się na odgłos jego kroków. - Proszę zostawić dokumentację na tacy - powiedziała. - Przytulne gniazdko sobie tu uwiłaś - odezwał się cicho Fett.

Kaminoanie na ogół nie okazywali emocji, ale Taun We odwróciła się błyskawicznie i przechyliła

głowę. Musiała być naprawdę zaskoczona.

- Boba? - Zapytała.

- Może to dziwne, ale żyje tylko jeden - odparł łowca nagród.

- Jak... Jak mnie tu znalazłeś?

- Właśnie na tym polega moja praca. Już zapomniałaś? - Fett przeciął wolnym krokiem gabinet, oparł się biodrem o boczną krawędź biurka i zdjął hełm. - Powiedzmy, że podążałem śladem kredytów.

- Koa Ne przysłał cię tu, żebyś...

- Nie - przerwał łowca nagród. - Chce odzyskać wyniki badań, ale to nie z tego powodu tu przyleciałem.

Taun We wpatrywała się w jego twarz, mrugając powoli. Wiedziała o nim najwięcej spośród żyjących osób. Wyglądała... Staro, bardzo staro.

- Nic ci nie jest, Boba? - Zagadnęła w końcu. - Czyżby noga sprawiała ci kłopoty? - Tak - przyznał Fett. - Prawdę mówiąc, kłopoty sprawia mi całe ciało. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Cierpię na degenerację tkanki - zaczął wyjaśniać Fett. - Mam problemy z wątrobą. Coś atakuje mój system immunologiczny. Mam guzy. Mój lekarz twierdzi, że jeżeli będę miał szczęście, pozostał mi rok, najwyżej dwa lata życia. - Sięgnął do pasa i wyjął kartę danych. - Rzuć okiem na wyniki badań.

Taun We chwyciła mikroobwód długimi, cienkimi palcami i wsunęła go do szczeliny czytnika.

- Ach - powiedziała w zadumie. - Rozumiem.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku szafki, ale Fett od razu przypomniał sobie, że nie powinien nikomu ufać. Jeżeli badaczka uciekła przed władzami ojczystej planety, mogła i jego zdradzić.

Pstryknął przełącznikiem blastera, żeby ją ostrzec.

Kaminoanka odwróciła się powoli i spojrzała na blaster.

- Naprawdę chcesz, aby wszyscy wokół się dowiedzieli, że wysłedziłeś mnie i dostałeś się do mojego strzeżonego gabinetu? - Zapytała.

- Ukradłeś wyniki badań i przesłałeś na stronę nieprzyjaciela - przypomniał łowca nagród. - Nigdy nie podejrzewałem, że możesz być do tego zdolna.

Czy kiedykolwiek zależało mi na Taun We? - Zadał sobie pytanie. Chyba tak, zdecydował.

To zabawne, że nigdy nie wspominał okresu dzieciństwa... Może z wyjątkiem kilku momentów życia. Zawsze kochał ojca i był z tego dumny, ale kiedy sobie uświadamiał, że jest tylko jego synem, nikim więcej, szybko usuwał tę myśl z głowy.

Tęsknię za tatą... Tęskniłem każdego dnia, każdej minuty życia, doszedł do wniosku. Chcę okazać się jego godny.

Wymownym ruchem lufy blastera nakazał Taun We, żeby usiadła. Badaczka zajęła miejsce w fotelu i splotła palce. Nie okazywała żadnej emocji... Żadnego zaskoczenia, strachu czy współczucia. Była

obojętna i opanowana, zimna jak bryła lodu.

To ty mnie wychowałaś... W mniejszym albo w większym stopniu, pomyślał łowca nagród.

- Posłuchaj, Boba - odezwała się Taun We kojącym, melodyjnym głosem. Fett nie był pewny, jak długo żyją Kaminoanie, ale wszystko wskazywało, że uczona dobiega kresu życia. - Żałuję, ale nie dysponuję wystarczającą wiedzą, żeby ci pomóc.

Nie znam nikogo innego, kogo bardziej niż ciebie mógłbym uważać za swoją matkę, pomyślał łowca nagród. I właśnie to mnie czasami przeraża.

- Domyśliłem się tego - powiedział. - Zależy mi tylko na wynikach twoich badań. Na nich i na informacji.

Zupełnie jej to nie obchodzi, uznał. Byłem dla niej jeszcze jednym eksperymentem, i to dość udanym.

- Wyniki moich badań stanowią własność spółki Arkanian Micro - zastrzegła badaczka.

- Należą do kaminoańskich władz, ale wszystko wskazuje, że mi za to nie zapłacą, więc zamierzam je zabrać, aby pokryć koszty.

- Nie mogę ci ich przekazać.

- No to wezmę sam. - Fett wyjął z saszetki u pasa urządzenie pozwalające mu włamywać się do pamięci systemów informatycznych. Wybrał wtyczkę, która pasowała do gniazd urządzeń sieci informatycznej spółki Arkanian Micro. Wtyczek było kilkanaście, więc łatwo mógł wybrać właściwą. - A może tylko skopiuję. Nie zamierzam ich sprzedawać... Na razie.

Taun We zamrugła. Miała szare oczy. Takie miewali przedstawiciele rządzącej kasty Kaminoan; po żółtych czy niebieskich poznawało się osoby niskiego urodzenia.

- Doprowadzisz Arkanian Micro do ruiny - powiedziała.

- Trudno.

- Mnie też zrujnujesz - dodała Kaminoanka. - Czy naprawdę mi nie współczujesz, Boba?

- Nie, chyba nie - odparł Fett. - Nie w tej chwili.

Taun We zastanowiła się nad jego słowami; jej głowa na długiej szypułce smukłej szyi zaczęła się powoli kołysać z boku na bok, niczym pień drzewa na silnym wietrze. Łowca nagród był ciekaw, czy taka reakcja wynika ze znajomości ludzkiej psychologii, ale z pewnością badaczka nie znała jego myśli tak dobrze, jak się jej wydawało. Teraz przypominała mu artystę nahra, kaminońskiego mima i tancerza. Jako dziecko Fett zawsze czuł się niepewnie na widok artystów nahra. Kaminoanie, chociaż niczego nie odczuwali, lubili balet; podobało im się, jak artyści wyrażali językiem gestów emocje, jakich istoty tej rasy nigdy nie doświadczały.

To była w pewnym sensie kwintesencja ich życia... I mojego także, doszedł do wniosku łowca nagród.

Później będziesz się zastanawiał. Trzeba się brać do pracy, zdecydował.

Mierząc cały czas z blastera w Taun We, Fett przeszedł trzy kroki, jakie dzieliły go od konsoly komputera, i wsunął do odpowiedniego gniazda odpowiednią wtyczkę. Na obudowie zapaliły się niebieskie i zielone światełka na znak, że oprogramowanie szuka i przepisuje. Fett pozwolił urządzeniu skopiować o wiele więcej informacji, niż naprawdę potrzebował. Nie był złodziejem, ale wyniki różnych prowadzonych w Arkanian Micro badań mogły mu się kiedyś przydać... A może nawet ocalić mu życie. Na razie zamierzał się nimi zaopiekować.

- Nie wchodzę w układy - powiedział. Wskaźnik na obudowie urządzenia poinformował go, że pięć tysięcy eksabajtów zostało skopiowane w całości. Kompletne genomy zajmowały mnóstwo pamięci.
- Mogę ci jednak coś obiecać. Powiedz mi wszystko, co wiesz o Ko Sai, a ja nie przekażę tych wyników temu, kto będzie za nie chciał najwięcej zapłacić. Dzięki temu będziesz się mogła jeszcze na coś przydać w Arkanian Micro. - Ko Sai nie żyje - odparła Taun We. - Chcę wiedzieć wszystko, co wiesz na jej temat.

Badaczka się zawahała. Mrugała powoli, nie odrywając spojrzenia od blastera.

- Zamierzasz mnie zabrać siłą na Kamino? - Zapytała.

- Nie. Nie potrzebuję kredytów - stwierdził Fett.

- Ale zabiłbyś mnie, Boba, prawda?

Tym razem zawahał się łowca nagród. Za coś takiego mógłbym cię zabić, pomyślał. - Tak - powiedział.

Kaminoanka wyglądała na zdezorientowaną. Nie urażoną, przerażoną czy zawiedzioną. Zdezorientowaną.

- Jak chcesz - odezwała się w końcu. - Ko Sai doszła do wniosku, że program klonowania zostanie zlikwidowany, więc podczas bitwy o Kamino przeszła na stronę Separatystów, aby ocalić wyniki swoich badań. - I własną skórę - burknął Fett. - Nie jesteśmy materialistami, Boba - sprzeciwiła się Taun We.

- Nie chodziło o kredyty. Chodziło o zawodową dumę. O dumę i o dążenie do doskonałości.

Fett wsunął urządzenie kopiujące z powrotem do saszetki u pasa. - Mów dalej - rozkazał. - Dokąd poleciała później?

- Nie mam pojęcia, co się z nią stało - kiedy odleciała z Kamino.

- A co się właściwie wydarzyło?

- Ktoś ją wytropił - odparła z namysłem Taun We.

- Kto?

Znowu zapadła cisza. Chociaż chyba wiedziała, jaki los spotkał Ko Sai, Taun We nie chciała o tym mówić.

- To był oddział sklonowanych zwiadowców - wyznała w końcu. - Plus jeden ze szkoleniowców twojego ojca.

Fett z wysiłkiem przełknął ślinę. Musiał przyznać, że tego się nie spodziewał. - I co dalej? - Zapytał.

Kaminoanka dotknęła zaplecionych kosmyków sierści Wookiego, które ozdabiały prawy naramiennik łowcy nagród.

- Padła ofiarą upodobania jakiegoś Mandalorianina do zbierania pamiątek - oznajmiła. - To ciekawe - bąknął Fett. Ciekawe? Raczej zdumiewające, przerażające, ale zarazem obiecujące, uświadomił sobie. - Czyli klony wywarły na niej zemstę.

- Z początku też tak myśleliśmy - przyznała badaczka. - A potem zaczęły się pojawiać paczki z częściami kaminońskiego ciała, którego genetyczny profil odpowiadał profilowi Ko Sai.

Fett uznał, że to niepotrzebna brutalność. Czasem zabijało się więźnia, jeżeli ktoś za to płacił. Zabijało się też, nie mając innego wyjścia, a niekiedy nawet, z konieczności, odzyskiwało się organy. Wysyłanie Ko Sai po kawałku do domu wyglądało jednak na chęć przekazania obłąkanej wiadomości przez kogoś ogarniętego żądzą zemsty. - A wyniki jej badań? - Zapytał łowca nagród.

- Możemy się tylko domyślać, że zabrał je sprawca - odparła Taun We. - Nikt później ich nie widział.

- Dlaczego były takie ważne?

- Sukces Ko Sai polegał na opanowaniu umiejętności kontrolowania tempa procesu starzenia się klonów - zaczęła Kaminoanka.

- Moja koleżanka wiedziała lepiej niż inni biolodzy, jak sterować tym procesem. Pozostałym uczonym zależało tylko na przyspieszeniu tego tempa, żeby klony jak najszybciej dorastały i osiągały dojrzałość. Mogę sobie jednak wyobrazić, że spowalnianie tempa procesu starzenia i jego terapeutyczny potencjał uważano by za bardzo cenny towar. Ko Sai oznajmiła, że w warunkach laboratoryjnych dokonała tej sztuki.

A Mirta twierdziła, że spotkała kiedyś wyhodowanego na Kamino klona. Klona, który nie mógł, nie powinien już żyć. Fett doszedł do wniosku, że poszczególne elementy układanki zaczynają tworzyć logiczną całość. Bezsensowne stare klony, poćwiartowana kaminońska badaczka, zaginione wyniki badań na temat starzenia się klonów... - Znasz jakieś nazwiska? - Zapytał. Taun We zamarła.

- Pamiętasz zadziornego niskiego faceta, który nazywał się Skirata? - Zapytała po chwili. - Tego, który tak często groził nożem moim koleżankom?

Tak, Fett pamiętał Kala Skiratę, nawet bardzo dobrze. Jango raz przysięgał, że Skirata jest najlepszy z całej grupy, a kiedy indziej przeklinał go i się z nim kłócił. Jango rzadko tracił opanowanie, ale Skirata miał chyba talent do wyprowadzania go z równowagi. Był gwałtownym i bezkompromisowym Mandalorianinem.

Jako samotny mały chłopiec na Kamino, Fett jakimś cudem uniknął konieczności nauki języka *mando'a*, do czego chcieli go zmusić nieobliczalni żołnierze ze specjalnego oddziału Skiraty sześciu sklonowanych komandosów-zwiadowców, którzy słuchali tylko jego rozkazów. Zajmowali się

działalnością wywiadowczą i wszyscy ich nazywali Zerami, bo pochodzili z pierwszej wyhodowanej na Kamino grupy klonów. Okazało się później, że są superinteligentni, nadzwyczaj sprytni i wyjątkowo niebezpieczni. Po wojnie słuch o nich zaginął. Tak, elementy układanki zaczynały wchodzić na swoje miejsca.

Skirata poświęcił życie dla swoich klonów. Chciał, żeby żyły długo, jak zwyczajni mężczyźni. Na pewno bardzo się starał zdobyć wyniki badań Ko Sai. Nie zawahałby się przed zabiciem jej, jeżeli tylko w taki sposób mógłby poznać genetyczne metody, których potrzebował dla powstrzymania tempa procesu przyspieszonego starzenia się klonów. Uznałby zlikwidowanie Ko Sai za środek wiodący do celu.

A jeżeli jeden z jego sklonowanych podwładnych nie tylko żył, ale wiódł normalne życie, chociaż powinien wyglądać jak stuczterdziestoletni starzec, mogło to oznaczać tylko jedno: klony poznały tajemnicę spowolnienia tempa swojego starzenia, a więc zdobyły wyniki badań Ko Sai.

Właśnie tego mi potrzeba, pomyślał łowca nagród. Te wyniki ocalą mi życie.

Uświadomił sobie nagle tak wyraźnie jak nigdy dotąd, co robić. Odczuł to niczym strumienie rozkosznie chłodnej wody w upalny dzień. Kolory otaczających go przedmiotów nagle się ożywiły, dźwięki brzmiały kryształowo czysto, a zapachy stały się wyraziste. W jego żyłach krążyła adrenalina. W końcu znalazł to, czego szukał... A przynajmniej odkrył wiodącą do tego drogę.

Jeszcze nigdy nie uciekła mu żadna nagroda. Nigdy. Kilku zbiegów wprawdzie bardzo się starało, ale Fett zawsze ich odnajdywał.

Ciebie też znajdę, postanowił sobie.

- Bardzo mi się przyda ta informacja - powiedział. Zauważył, że od trzymania nieruchomo wymierzonego blastera rozboleły go mięśnie przedramienia. Nigdy przedtem ból nie był taki silny.

- Jeżeli nikomu nie piśniesz ani słowa, zachowam ją dla siebie. Zrozumiałaś?

- Zgoda - odparła Taun We. - A jeżeli... Kiedy znajdziesz wyniki badań Ko Sai, zapłacimy ci bardzo dużo za ich zwrot.

Fett wyobraził sobie nagle Sintas i jej oczy pełne łez z radości, kiedy trzymała w objęciach małą Ailyn. Nie, Taun We nie mogłaby się nim opiekować jak prawdziwa matka.

Zawsze najważniejsza była dla niej wiedza.

- Może nie będę chciał ich sprzedać - stwierdził łowca nagród.

- Co zamierzasz zrobić ze swoim dziedzictwem?

- Słucham?

- Jesteś umierający - przypomniała Kaminoanka. - Nawet jeżeli ci się uda znaleźć wyniki badań Ko Sai i zrobić z nich użytek, będziesz musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie dziedzictwo zostawisz po sobie.

- Dlaczego o to pytasz? - Zainteresował się Fett.

- Bo tak samo niepokoił się o to twój ojciec - odparła badaczka. - Powiedział kiedyś hrabiemu

Dooku, że nie chce mieć syna... Wolałby mieć ucznia, który stałby się dziedzictwem Jastera.

Te słowa go zabolaly, choć rozumiał, że Kaminoanka nie zamierzała mu sprawiać przykrości. Łowca nagród zachował kamienną twarz. Chyba nie powinien był zdejmować hełmu.

- Jaster Mereel był kimś więcej niż tylko mentorem taty oznajmił. - Był mu ojcem. Taun We nie zareagowała, jakby jego słowa nic dla niej nie znaczyły. - Właściwie na czym polega to dziedzictwo? - Zagadnęła.

- Na tym, że się zostaje Mandalorem - wyjaśnił Fett. - Na zrobieniu wszystkiego, żeby Mandalorianie przeżyli, bez względu na to, co się im przydarzy. Zamierzam dotrzymać obietnicy ojca, podobnie jak on dochowywał swego dziedzictwa. Taun We zachowała kamienny spokój. - Przebijemy każdą ofertę - obiecała.

Tata zawsze wzorował się na Jasterze Mereelu, przypominał sobie łowca nagród. Zawsze zamierzał żyć jak on. Może byłem jego drugą szansą dotrzymania tej obietnicy. - Dam ci znać - odparł wymijająco Fett.

Dziedzictwo Jastera, pomyślał. Beviin miał rację. Powiniennem być bardziej Mandalorem, a mniej człowiekiem interesu.

A może Taun We powiedziała to, żeby sprawić mu przykrość? Ale przecież Kaminoanie nie troszczyli się o nic. Co z tego, że badaczka była niemal jego matką? Włożył hełm, odwrócił się i ruszył do wyjścia. Ciekaw był, czy Taun We podniesie alarm. Na pewno by nie chciała, aby wszyscy się dowiedzieli, że skopiował wyniki jej badań. Jak zawsze, troszczyła się tylko o swoją pracę, więc łowca nagród mógł być prawie pewny, że Taun We nie piśnie ani słowa. Jeżeli agenci Służby Bezpieczeństwa spółki Arkanian Micro przeprowadzą kontrolę swoich systemów informatycznych, nie stwierdzą braku żadnego pliku ani nawet nie wykryją nieudanych prób włamań. Wszystko miało pozostać między nim a Taun We.

- Chciałabym się dowiedzieć, czy znajdziesz wyniki badań Ko Sai i czy dzięki nim odzyskasz zdrowie - odezwała się badaczka.

Fett zwalczył chęć zapytania, czy powoduje nią ciekawość osobista, czy też może zawodowa.

- Jeżeli za kilka lat będę jeszcze żył, na pewno się tego dowiesz - obiecał.

Wyszedł tą samą drogą, którą się dostał, wspinając się szybem wiodącym na dach z pomieszczenia na toksyczne odpady. Przeczoułgał się na skraj dachu i stwierdził, że urządzenie zakłócające leży nadal za płotem w wysokiej trawie. Rozejrzał się i włączył silnik raketowego plecaka. Przeleciał nad płotem, wylądował i szarpnięciem zwolnił zaciski obu drutów. Rozmieszczone wzdłuż płotu sensory nie zarejestrowały faktu, że dwukrotnie nad nimi przeleciał i spędził kilka godzin na terenie spółki Arkanian Micro.

Opuścił rampę lądowniczą „Niewolnika 1”, korzystając ze zdalnie wysłanego sygnału hełmu. Wszedł na pokład, zastanawiając się, dlaczego tak bardzo mu zależy na lataniu statkiem ojca. Statek był

wspaniały, ale nie o to chodziło; bez względu na wszystko znaczył dla niego o wiele więcej niż najwspanialsza jednostka, jaką mógłby kupić za wszystkie swoje kredyty.

Mam siedemdziesiąt kilka lat, ale dopiero niedawno zacząłem być sobą, nie tylko synem swojego ojca, uświadomił sobie. To nie znaczy, że kocham cię teraz mniej, tato, ale nie mogę zawsze oglądać się za siebie.

Boba Fett nie był pewien, czym wypełni tę pustkę i kto ukaże mu cel życia, ale wiedział przynajmniej, że ten cel leży przed nim, nie za nim, zakrzepły we wspomnieniach. Stał we władzy „Niewolnika 1”, ikonie swojego dzieciństwa. Ciekaw był, czy statek jest nadal jego znakiem rozpoznawczym, czy też może stanie się pułapką.

- A więc jednak nie zaśmiecilaś sterowni - odezwał się konwersacyjnym tonem.

Mirta wycierała konsolę, od której bił niezwykły blask. Fett lubił utrzymywać czystość na pokładzie statku, ale tym razem wszystko aż lśniło. - I jak, zdobyłeś to, po co przyleciałeś? - Zapytała.

Łowca nagród przesłał energię do jednostek napędowych „Niewolnika 1”, wystartował i zatoczył pętlę pod estakadą kolejki jednoszynowej, która przebiegała dwa kilometry nad powierzchnią gruntu planety Vohai.

- Zdobyłem - powiedział po chwili.

- I co zamierzasz?

Fett ukrył twarz za przesłoną hełmu. Nie bardzo wiedział, co robić. Z jednej strony musiał odnaleźć tamtego zadziwiająco starego klona, a z drugiej chciałby zobaczyć Ailyn i poznać szczegóły śmierci Sintas.

Mirta знаła - albo twierdziła, że zna - sposób osiągnięcia wszystkich trzech celów. Los Sintas nie był jednak w obecnej chwili najważniejszy, a Fett mógł odszukać Ailyn na własną rękę. Jeśli znajdzie Hana Solo, Ailyn powinna być blisko niego.

A zatem w pierwszej kolejności powinien odnaleźć tamtego klona, podwładnego Skiraty. Nawet gdyby mężczyzna nie miał wyników badań Ko Sai, Fett mógłby pobrać próbkę jego tkanki i przekazać na Kamino, żeby fachowcy od klonowania zbadali ją i odgadli, w jaki sposób osiągnęła taki stan.

Nadal zbyt wiele niewiadomych, pomyślał. Za dużo wątpliwości.

Doszedł do wniosku, że pora na wyjawienie dziewczynie celu podróży, ale postanowił zachować ostrożność.

- Gdzie spotkałaś tamtego klona? - Zapytał.

- Na Coruscant - odparła Mirta. - Wyglądało na to, że często tam bywa. - Jak zwykle patrzyła prosto przed siebie. - A zatem dokąd lecimy?

Znaleźć Hana Solo, bo on doprowadzi mnie do Ailyn, pomyślał łowca nagród. Postanowił skierować rozmowę na inne tory.

- To ty masz ten naszyjnik, więc to ty mi powiedz, dokąd polecimy - powiedział.

Mirta zdjęła z szyi rzemyk i spojrzała na błyszczący kamień w dłoni. - Może na Coruscant? - Zaproponowała.

No właśnie. Fett nigdy nie uczył Ailyn zawodu łowczyni nagród, ale widocznie córka sama się zorientowała, że często łatwiej się ukryć na planecie będącej jednym wielkim, zamieszkanym przez trylion osób miastem niż w zagubionej jaskini którejś z planet Odległych Rubieży.

Łowca nagród wpisał współrzędne kursu do Jądra Galaktyki: zero, zero, zero. Zanim jednak „Niewolnik 1” wskoczył do nadprzestrzeni, na pulpicie konsoly komunikatora przed Fettem zaczęło mrugać światelko.

Adres zwrotny na wyświetlaczu dowodził, że sygnał nadano z Korelii, chociaż nadawca starał się to zataić, przekazując go za pomocą wielu pośrednich stacji nadawczoodbiorczych. Fett nie miał wielu zgłoszeń z Korelii, a tych, które dostawał, raczej nie chciałby odbierać w obecności Mirty Gev.

- Czas na posiłek - powiedział. - Idź na rufę i zobacz, co znajdziesz w spiżarni.

Mirta usłuchała bez protestu. Zareagowała jak osoba przywykła do słuchania rozkazów, nie jak kobieta, która spędza najwięcej czasu w kuchni.

- Już idę - zameldowała.

- Nie czujesz się urażona?

Mirta spojrzała na niego, jakby postradał zmysły.

- Mój ojciec był Mandalorianinem - wyjaśniła. - Umiem i walczyć, i gotować.

Fett uświadomił sobie, jak niewiele wie na temat rozmaitych zwyczajów swojej cywilizacji. Pomyślał, że następnym razem, kiedy zobaczy Beviina, poprosi go, żeby mu pewne rzeczy wyjaśnił. Zaczekał, aż Mirta zamknie klapę wewnętrznego wjazdu, i dopiero wówczas przełączył rozmowę na bezpieczny kanał.

- Tu Fett - powiedział. - Mów szybko.

Zapadła krótka cisza.

- A tu przywódca Korelii, Thrackan Sal-Solo - usłyszał wreszcie. - Mam dla pana pewną propozycję.

Ośrodek szkoleniowy pilotów gwiazdnych myśliwców, przestworza nad Centaksem Dwa

Pilotka lecącego pod Lukiem myśliwca XJ7 skrzyła błyskawicznie na bakburkę. Podczas walki Jaina Solo była trudnym przeciwnikiem nawet dla mistrza Jedi. A może to ja reaguję zbyt wolno? - Zastanowił się Luke.

Wprowadził swój XJ7 w lot nurkowy i puścił się w pościg za Jainą kanionami niewielkiego księżycyca. Zdaniem Luke'a siostrzenica latała tyle w ostatnim okresie, że nie musiała szlifować swoich umiejętności, ale Jaina nie żartowała, kiedy oznajmiła, że powraca do czynnej służby. Jak każdy nowy pilot, postanowiła wziąć udział w ćwiczeniach z pozostałymi członkami eskadry i wcale się nie przejmowała tym, że ma stopień pułkownika. I to w ćwiczeniach z użyciem ostrej amunicji. Do niektórych pilotów nigdy z takiej nie strzelano. Bezpośrednie zagrożenie życia miało wpływ na sposób, w jaki postrzegali walkę. Chwilę później ogień otworzyła zrobotyzowana bateria artylerii przeciwlotniczej na powierzchni gruntu. Nadlatujące z dołu czerwone błyski energii stopiły się z czerwoną poświatą z dysz wylotowych silników myśliwca JAINY. Kiedy pilotka przemykała między błyskawicami strażów, obróciła maszynę w locie o sto osiemdziesiąt stopni, żeby zminimalizować profil, i przesłała energię do działek jonowych.

Śmignęła nad baterią, obróciła maszynę poziomo i zaczęła lecieć nisko nad dnem kanionu. Luke zajął pozycję za ogonem jej maszyny. Pęd powietrza wzbijał z dna kanionu kurz i drobne kamienie, które raz po raz uderzały z grzechotem o spód kadłuba jego myśliwca.

Mistrz Jedi posłał w ślad za Jainą serię błyskawic, ale mierząc jednak kilka stopni w bok od sterburtowych skrzydeł jej maszyny. Z kamiennych ścian kanionu posypały się okruchy i wzbiły chmurki dymu. Jaina zwiększyła pułap lotu i przeleciała nad nimi. Przerwała ciszę w komunikatorze, czego zazwyczaj nie robiła. - Nie baw się tak, wujku - powiedziała. - To mi nie pomoże.

Luke uświadomił sobie wtedy, że gdyby nawet mierzył dobrze, mógłby jej nie trafić. Nie potrafił jednak się przemóc, aby strzelać do siostrzenicy, chociaż był prawie pewny, że Jaina uniknęłaby trafienia. No właśnie, prawie. Nie podobało mu się, że nie ma stuprocentowej pewności.

- Przerywam - powiadomił i śmignął świecą, żeby wyrównać dopiero na bezpiecznej wysokości. - Do zobaczenia w mesie.

Centax Dwa był sterylnym księżycem, na którym urządzono bazę wojskową. Wyglądała jak magazyn zastawiony skrzyniami i pudłami. Na pewno nie zdobyłaby żadnej nagrody w architektonicznym konkursie, ale gdyby wybuchła prawdziwa wojna a Luke zawsze uważał dodatek „prawdziwa” za boleśnie ironiczny - mogła z dnia na dzień przeistoczyć się z bazy ćwiczebnej w wypadową. Wyglądało na to, że taka przemiana wkrótce się dokona.

Luke wylądował, odchylił owiewkę kabiny myśliwca typu XJ7, wygramolił się z kabiny i ześlizgnął po drabince, którą podtoczyli pracownicy personelu naziemnego. Kiedyś i to zajmowało mi mniej czasu, pomyślał.

Zaczekał przy wejściu do mesy, aż myśliwiec JAINY wleci do hangaru dzięki repulsorom i wyląduje na płycie obok jego maszyny. Siostrzenica wyskoczyła z kabiny i zdjęła hełm. Twarz miała ściągniętą i zatroskaną.

- Jesteś szybka jak błyskawica - pochwalił Luke. Ruszył do drzwi, a Jaina podążyła za nim. - Czy wolno nam siedzieć w mesie w lotniczych kombinezonach?

Jaina uśmiechnęła się z przymusem i wskazała na swój pomarańczowy kombinezon. - Nie martw się,

mam stopień pułkownika - powiedziała. - To wystarczające usprawiedliwienie.

Luke musiał wykorzystać tę pierwszą okazję od czasu akcji internowania Korelian, żeby porozmawiać z nią na osobności. Od siostrzenicy promieniowała udręka, a także niepokój z powodu rzekomej „utruty umiejętności” czy „nienadawania się do tej roli”. Zwroty te, którymi Jaina szpikowała w ostatnich dniach rozmowę zbyt często, aby go przekonać, były wymówkami na użytek pilotów eskadry, niczym więcej. Jaina była bliźniaczą siostrą Jacena.

Wszystkie wydarzenia przeżywała głębiej niż inni członkowie rodziny. - W takim razie idź pierwsza - zaproponował mistrz Jedi.

Mesa wyglądała jak labirynt komórek z jedną wielką salą, w której wydawano i spożywano posiłki. Była tu także duża świetlica, zastawiona wygodnymi fotelami. Mimo to mesa nie zapewniała pilotom wielu rozrywek. Główną stanowił ogromny holoe ekran na jednej ścianie. Był na tyle szeroki, aby dało się go oglądać nawet z jadalni, w której piloci i pracownicy personelu naziemnego czekali na wydanie posiłku.

Większość pilotów w świetlicy siedziała tyłem do jadalni, wpatrzona w holoe ekran. Pokazywano na nim przedpołudniowe wiadomości, a w wielkiej sali panowała absolutna cisza. Wszyscy uważnie śledzili reakcje polityków, które mogły oznaczać, że w każdej chwili stan podwyższonej gotowości może się zmienić w stan mobilizacji.

Jaina wyciągnęła rękę do bufetu, żeby nałożyć na talerz porcję jarzyn. W tej samej chwili w sali rozległ się głos komentatora, tak donośny, że wypełnił cały kompleks bazy. Przynajmniej Luke odniósł takie wrażenie. Skamieniał.

- A największą sensacją dzisiejszego dnia jest obława na koreliańskich obywateli, których tysiące odlatują z Galactic City w ramach programu dobrowolnej repatriacji. Na ekranie ukazał się widok drużyny z 967. Oddziału Komandosów. Żołnierze szli chodnikami po obu stronach napowietrznego szlaku Coruscant. Na czele jednej z drużyn maszerował Jacen Solo. Miał na sobie czarny kombinezon tego typu, jakie noszą żołnierze oddziałów specjalnych. Jedyną prócz niego umundurowaną osobą, której twarz dało się rozpoznać, był Ben. W mesie zapadła głęboka, bardzo głęboka cisza.

Mój syn, - pomyślał Luke. - Jak mogłem dopuścić, żeby Jacen mu to zrobił.

Wszyscy żołnierze oddziałów specjalnych mieli na głowach kopulaste hełmy. Dla biorących udział w akcji komandosów był to rozsądny środek ostrożności, ale wszyscy oni wyglądali w nich złowieszczo. Mistrz Jedi na tle słów komentatora usłyszał głos Hana, który mówił, że Sojusz przeradza się szybko w Imperium.

- Podczas wcześniejszego wywiadu pułkownik Jacen Solo powiedział...

Luke zmusił się, by spojrzeć na Jainę. Zobaczył na jej twarzy przerażenie. Trudno byłoby określić to innym słowem.

Było także oczywiste, że większość patrzących na holoe ekran członków personelu bazy nie ma

pojęcia, kto stoi w jadalni za ich plecami.

- To stara rodzinna tradycja... Terroryzowanie obywateli - odezwał się jeden z kapitanów, który opierał stopy na niskim stoliku.

- Zupełnie jak jego dziadek. Ciekawe, kiedy się zdecyduje ubrać w szykowny czarny płaszcz i hełm? Kiedy otoczy się żołnierzami w ślicznych białych pancerzach?

Niektórzy oficerowie w mesie wybuchnęli śmiechem, ale większość wyglądała, jakby chciała się znaleźć gdzieś indziej. Luke umiał wyczuwać przyływy i odpływy emocji, podobnie jak chwile, w których zanosilo się na kłopoty. Kolejny raz zdumiał się, jak wąska linia rozgranicza wyciszenie emocji od nagłej eksplozji. Tym razem eksplodowała Jaina. Zacisnęła dłonie w pięści.

Luke, zaskoczony własnym wstydem z powodu widoku Bena, nie zdążył jej powstrzymać przed użyciem pchnięcia Mocy. Kapitan poderwał się w powietrze, przewracając krzesło, i zderzył się ze ścianą. Jaina już chciała skoczyć ku niemu, ale Luke zastąpił jej drogę. Dwaj inni oficerowie wojsk lotniczych, przewracając krzesła, także zerwali się z miejsc, żeby powstrzymać kolegę przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

- Nie mówił tego poważnie, pani pułkownik - odezwał się jeden. Patrzył na Jainę, ale chyba nie zauważył Luke'a. - Przepraszam.

Jaina miała szeroko otwarte oczy i zarumienione policzki. Pułkownicy, nawet ci władający Mocą, nie mogli wszczynać bójek z innymi oficerami, bo takie zachowanie dowodziłoby braku dyscypliny. Luke zamierzał wyprowadzić siostrzenicę na dwór, ale Jaina musiała wykazać wszystkim, że jest opanowana. Nikt nie lubi służyć pod rozkazami zwierzchnika, który nie umie panować nad nerwami.

Koledzy pomogli kapitanowi stanąć prosto. Oficer był zdyszany jak po długim biegu, ale nie wyglądało na to, aby odniósł jakieś obrażenia.

- Na co czekasz? - Zapytał jeden z kolegów. - Przeprós panią pułkownik za niestosowne zachowanie.

Wyraz twarzy kapitana dowodził, że oficer wcale nie jest przekonany, ale posłuchał rady kolegi.

- Przepraszam, pani pułkownik Solo - rzekł.

- Ostatnio wszyscy stajemy się trochę nerwowi - stwierdziła Jaina. - Powinnam była znaleźć mniej drastyczny sposób nakłonienia cię, żebyś odwołał swoje słowa o członku mojej rodziny.

Dopiero wówczas kapitan uświadomił sobie, że obok stoi Luke Skywalker. - Przepraszam pana - powiedział.

Jego słowa zabolaly mnie, bo wyrażaly powszechną opinie, pomyslał mistrz Jedi, patrząc na kapitana. On był tylko wyrazicielem myśli ogółu.

- Zapomnijmy o tym - zaproponował. - Jaino, chodźmy się przejść. Na Centaksie Dwa nie spotykało się naturalnej roślinności.

Oboje Jedi znaleźli miejsce w cieniu hangaru i usiedli na stojących tam pojemnikach.

- Możemy kluczyć wokół tematu albo od razu wyrzucić to z siebie - odezwał się Luke.
- Jeżeli chodzi o mnie, wolę przejść do rzeczy.
- Tak będzie szybciej - przyznała Jaina.
- Nie mam pojęcia, co się dzieje z Jacenem.
- Ja też nie, wujku.
- Postaraj się zgadnąć.
- Problem w tym, że już go nie znam - wyznała młoda Solo.

- To przerażające wyznanie z ust osoby, która jest jego bliźniaczą siostrą. - Wyczuwam w nim teraz coś mrocznego - stwierdziła Jaina.

- Nie dopuszcza mnie do siebie. Wykorzystywał mnie nawet przeciwko Chissom.
- Wiem - przyznał mistrz Jedi. Tak, jest w tym naprawdę dobry, pomyślał. - To... Bardzo smutne.
- Nie mogę mu już ufać.

Luke nie mógł słuchać, jak ktoś wypowiada coś takiego na głos, ale nie miał wyjścia. Mara także to wyczuwała, lecz doszła do wniosku, że powodem mrocznej aury wokół Jacena są sprzeczne emocje, związane ze skomplikowanym romansiem. Mistrz Jedi pomyślał o wizerunkach, jakie widział w ostatnich dniach, i doszedł do wniosku, że ta ciemność nie ma nic wspólnego z uczuciowymi problemami Jacena. Widział ją tak wyraźnie, że niemal mógłby zarejestrować holokamerą.

Chcę, żeby mój syn trzymał się od niego jak najdalej, pomyślał sobie.

Przypomniał sobie Lumiyę i swoje wizje zakapturzonej postaci, która na pewno była nią. Te zwiastuny nadciągającej katastrofy były jednak dość nowe, a Jacen doprowadził do rozdzwienku z Jainą kilka lat wcześniej, nakłaniając ją do zaatakowania Chissów. Jedi dostrzegali to, czego nie widzieli zwykli ludzie. Nie umieli jednak sobie radzić z sytuacjami normalnymi dla zwykłych osób - ...Kiedy ktoś usiłował ich wywieść w pole. Ale ty nie wywiedziesz mnie w pole, Jacenie, pomyślał. Powoli wsiąkasz coraz głębiej w Ciemną Stronę.

- Wujku, to nie moja sprawa, ale na twoim miejscu poszukałabym dla Bena innego nauczyciela - odezwała się Jaina.

Luke wiedział dobrze, że siostrzenica ma rację. Wiedział także, że Mara będzie się temu stanowczo sprzeciwiała.

Podobnie jak Ben.

Punkt kontroli pojazdów, obsługiwany przez kompanię Bravo z 967. Oddziału Komandosów, Galactic City, dolne poziomy, godzina 23.30

- Najlepsze zostawiliśmy na koniec - oznajmił kapral Lekauf.

Ben wiedział, że doskonale włada świetlnym mieczem, ale kiedy zszedł na dolne poziomy Galactic City, pozazdrościł żołnierzom pancerzy. Pierwszy raz zapuścił się do ponurych trzewi miasta. Okolice w niczym nie przypominały pomieszczeń w gmachu Senatu. Prawdę mówiąc, nie przypominała nawet obskurnych obrzeży koreliańskich dzielnic, w których jednak panowała przyjemna atmosfera normalnego rodzinnego życia... Przynajmniej do czasu, dopóki nie rozpoczęły się obławy. Dolne poziomy Galactic City wyglądały w nocy naprawdę przerażająco. Ben zaciskał palce na rękojeści świetlnego miecza. Jakiś żołnierz z kompanii Bravo ustawił na końcu ulicy poprzeczną barierę, która miała powstrzymać pojazdy. Zapora wyglądała jak łańcuch złożony z niewielkich kulistych robotów.

Mogła bez trudu mogły powstrzymać pojazd, którego kierowca usiłowałby przejechać w odległości do trzydziestu metrów. Podobną zaporę ustawiono na drugim końcu ulicy, pod którą biegły już tylko tunele remontowe.

Mam nadzieję, że nie utkniemy tu na dobre, pomyślał młody Skywalker.

W bezpiecznej odległości za barierami stały niewielkie grupki ludzi i istot innych ras. Gapie wyglądali, jakby mogli poderżnąć Benowi gardło ze zwykłej ciekawości. - Tu jest okropnie - otrząsnął się chłopak.

- I tak lepiej niż gdybyśmy się tu zapuścili w biały dzień, kiedy reporterzy HoloNetu obserwowaliby każdy nasz ruch - odparł Lekauf. Może miał rację... Środki masowego przekazu nigdy się nie troszczyły o mieszkańców niższych poziomów. - Tu możemy bezkarnie urządzić obławę i oczyścić to miejsce z szumowin. - Przecież to nie jest dzielnica koreliańska - zauważył Ben. - Nie za wszystkie zagrożenia odpowiedzialni są Korelianie.

- Lekauf odwrócił się, słysząc szybkie kroki. Ben spojrzał w tamtą stronę i zobaczył, że ulicą nadbiega kapitan Shevu. Kiedy żołnierze z 967. Oddziału Komandosów byli w pełnej zbroi, rozpoznawał ich tylko dzięki plakietkom z nazwiskami na napierśnikach oraz różnicom we wzroście i budowie ciała. Shevu miał na hełmie pojedynczą złotą gwiazdę, Lekauf - dwa cienkie złote paski, a sierżant Wirut - trzy.

Funkcjonariusze CSB - niektórzy dobrowolnie poprosili o przeniesienie do 967. Oddziału Komandosów - ochrzcili ich mianem „sztormusiów”. Ostatnio wszyscy jakoś zauważali podobieństwa do okresu, kiedy żył dziadek Bena. Młody Skywalker nie wstydził się ani swojego rodowodu, ani pracy, którą wykonywał... Nie rozumiał tylko, jak to się stało, że sytuacja tak szybko się skomplikowała. Na razie nikt jednak nie zginął ani nie został ciężko ranny.

Wszyscy aresztowani dotąd Korelianie byli cali i zdrowi... Albo zostali deportowani. Ben pomyślał, że musieli czuć się paskudnie, odsyłani do domu, kiedy jedynym domem, jaki kiedykolwiek znali, była Coruscant. Dlaczego jednak nie pozostali lojalni wobec planety, na której się urodzili?

Ben uważał się już za dorosłego, ale poczuł się znów jak dziecko, które przeoczyło coś ważnego... Coś, co wiedzieli dorośli, a jemu nie powiedzieli.

- Posłuchajcie - odezwał się Shevu. Zgromadził wokół siebie dwie drużyny, wśród nich także Bena i

Lekaufa. - Goście z Wydziału Celnego i Imigracyjnego twierdzą, że troje koreliańskich agentów skontaktowało się z łowczynią nagród, a CSB wytropiło wszystkich właśnie tu. - „Tu” oznaczało apartamentowiec o zabitych deskami oknach najniższych poziomów. Budynek wznosił się między paskudną spelunką a jaskrawo oświetlonym przybytkiem, w którym - o ile Ben się orientował, chociaż nie znał przyczyny - pracowały same kobiety. - To z powodu tych czworga tu jesteśmy. Nazywają się Cotin, Abadaner, Bolf i Habuur.

Shevu wręczył Benowi komputerowy notes z wizerunkami poszukiwanych osób na ekranie. Komandosi mogli zobaczyć te podobizny dzięki wyświetlaczom projekcyjnym w polu widzenia swoich hełmów.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - domyślił się chłopak.

- Niewiele mogą na to poradzić poza wyjściem na ulicę, kiedy ich grzecznie o to poprosimy - odparł Lekauf.

Shevu poklepał wskaźnik zasobnika energii na kolbie blasterowego karabinu.

- Musicie być absolutnie pewni, do kogo otwieracie ogień ostrzegł. - Nasze cele są dobrze uzbrojone, a wy może będziecie musieli wyeliminować je raz na zawsze z tego interesu. Na wszelki wypadek, gdyby sytuacja nie potoczyła się po naszej myśli, pułkownik Solo z dwiema drużynami pilnuje tylnych wyjść.

A zatem to nie miała być pacyfikacja, ale oblężenie. Ben dowiedział się w krótkim czasie bardzo wielu rzeczy na temat wdzierania się do budynków. Nie sądził, że się na coś przyda, ale Lekauf zapewnił go, że Jedi, nawet młody, umie robić rzeczy, których nie potrafią zwykli żołnierze.

- No dobrze, zaczynamy jak grzeczni chłopcy - stwierdził kapitan. Odwrócił się przodem do apartamentowca. Dał się słyszeć głośny trzask włączanej aparatury elektronicznej, wzmacniającej dźwięki. Shevu zamierzał się posłużyć megafonem. Ben przygotował się na ból w uszach.

- Tu Służba Bezpieczeństwa. - Głos Shevu, powoli i wyraźnie wymawiającego słowa, odbił się od wieżowców. Ludzie za barierami rozbiegli się we wszystkie strony, żeby poszukać kryjówek.

- Cotin, Abadaner, Bolf i Habuur! Rzućcie broń i wyjdźcie z budynku z rękami nad głową! Jeżeli tego nie zrobicie, wtargniemy do środka i was aresztujemy. Może powinienem wpłynąć na ich umysły, zastanowił się Ben.

Z jednego z okien wyleciała blasterowa błyskawica, a żołnierze, reagując odruchowo, odpowiedzieli ogniem. No cóż, może to jednak nie najlepszy pomysł, pomyślał Ben.

- Już spróbowaliśmy - stwierdził Shevu. - Pamiętajcie, tylko blastery. Żadnych granatów ani rakiet. Nie chcę niczego, co przebija ściany, bo w tym budynku mieszkają także niewinni cywile.

- Ponownie włączył megafon. - Uwaga, mieszkańcy! Zamknijcie drzwi i zostańcie w swoich mieszkaniach. Do waszego budynku wejdą teraz uzbrojeni funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Powtarzam, zostańcie w swoich mieszkaniach.

Pokręcił głową, mrużąc coś na temat nieprofesjonalizmu funkcjonariuszy CSB, którzy zawczasu nie ewakuowali apartamentowca, po czym dał ręką znak komandosom, że mogą się wdzierać do środka. Ben dostrzegł na dachu przynajmniej dwie inne drużyny, które starały się dostać do gmachu przez szyb remontowy. Niektóre budynki tego typu nie miały klatek schodowych, więc polem walki mógł się stać każdy korytarz, na którym znajdowało się wyjście z turbowindy. Trzeba było mieć sporo odwagi, żeby wysiąść z kabiny i stawić czoło nieznanemu, ale Lekauf powiedział Benowi, że właśnie po to komandosi mają pancerze.

- Wirut - odezwał się Shevu. - Na mój znak pošlesz w tamto okno granat oślepiającoogłuszający.

- Rozkaz - odparł sierżant i przytwierdził do lufy karabinu nasadkę do wystrzeliwania takich granatów.

- Uwaga, drużyny... Kiedy się dostaniecie na trzecie piętro, ostrzelamy ich z dołu - uprzedził Shevu. - Dajcie nam znać, kiedy już tam będziecie.

Ben nie usłyszał odpowiedzi komandosów. Bardzo chciałby też mieć hełm z pełnym zestawem aparatury nadawczo-odbiorczej.

Postanowił jednak nadrobić ten brak wrażliwymi na Moc zmysłami. Zwrócił uwagę na rozbitą szybę w oknie, skąd wyleciała blasterowa błyskawica. Wyczuł w środku lęk i wrogość. Od całego budynku promieniował zresztą strach... Zbiorowe przerażenie reszty mieszkańców.

- Kiedy zneutralizujemy główne cele, na wszelki wypadek przeszukamy pozostałe mieszkania - zapowiedział Shevu. - Nie możemy mieć pewności, że ci z CSB zidentyfikowali wszystkich. Benie, mógłbyś odegrać dla nas rolę wężącego androida?

- Rozkaz, panie kapitanie! - Wykrzyknął uszczęśliwiony chłopak. Orientował się, że to nie zabawa, ale rozpaczliwie chciał się na coś przydać. - Kogo mamy aresztować, panie kapitanie? - Zapytał Lekauf.

- Każdego notowanego? Musielibyśmy zatrzymać niemal wszystkich mieszkańców. - Wyłącznie tych, którzy naszym zdaniem na to zasługują - odparł Shevu. - W przeciwnym razie spędzimy tu całą noc.

Oblawa przebiegała zdumiewająco spokojnie. Od czasu do czasu Ben widział w oknach błyski blasterowych strzałów i słyszał towarzyszące im stłumione odgłosy. Wyglądało to, jakby cała okolica wstrzymywała oddech, czekając w napięciu na zakończenie operacji. Nie mając łączności z pozostałymi komandosami z kompanii Bravo, Ben nie wiedział, do których pomieszczeń apartamentowca już się wdarli, a Jacen nie tylko zachowywał milczenie, ale także usunął swoją obecność z Mocy. Młody Skywalker zupełnie go nie wyczuwał. Zastanawiał się, czyjego mistrz - bo Jacen był jego mistrzem, bez względu na stanowisko członków Rady Jedi - nie ukrył swojej obecności w Mocy w odruchu obronnym, instynktownie.

A później Wirut zareagował, jakby ktoś niewidzialny poklepał go po ramieniu, i wymierzył nasadkę do wystrzeliwania granatów w okno z rozbitą szybą. Rozległ się syk rozprężanego gazu i w stronę budynku poleciał granat oślepiająco-ogłuszający. Ben usłyszał donośny huk i zobaczył błysk. Stał

wprawdzie dwadzieścia metrów dalej, więc dopiero po kilku sekundach dotarły do niego okrzyki i odgłosy blasterowych strzałów komandosów wdzierających się do apartamentu. W końcu zapadła cisza. Shevu przekrzywił głowę i nasłuchiwał.

Ben usłyszał napływające z budynku kwilenie niemowlęcia i poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie.

- Załatwione - odezwał się w końcu Shevu. - Dwa cele wyeliminowane, dwa inne: miejsce pobytu nieznane. Benie, idziesz ze mną. Spróbujemy się tam dostać z góry. Otwierane dobrowolnie drzwi mieszkań wskazywały twarze, na których malowały się podejrzliwość i wrogość. Najwyraźniej mieszkańcy zdążyli się przyzwyczaić do podobnych wizyt przedstawicieli władzy. Ben nie wyczuwał jednak złych intencji ani natychmiastowego zagrożenia. Starał się nie odstępować Shevu, a kiedy dostali się na następne piętro, zobaczył

Jacena. Rycerz Jedi przykucnął obok drzwi jednego z mieszkań i rozmawiał z kilkoma komandosami z 967. Oddziału Komandosów. Na widok kuzyna gestem przywołał go do siebie.

- Co tam wyczuwasz, Benie? - Zapytał.

Młody Skywalker zamknął oczy i wyobraził sobie pokoje za dwuskrzydłowymi drzwiami. Widział wnętrza wystarczająco wielu lokali w tym budynku, żeby wyobrazić sobie rozkład pomieszczeń. Kiedy się skoncentrował, poczuł drapanie w gardle, co dowodziło natychmiastowego zagrożenia. Skupił uwagę na jednym pomieszczeniu, w którym byli mężczyzna i kobieta. Wiedział - chociaż nie był pewny, w jaki sposób - że mają złe zamiary. - Mnie też się to nie podoba - stwierdził wyraźnie zaniepokojony Jacen. Ben doszedł do wniosku, że do tej pory kuzyn powinien był przywyknąć do złych intencji. - Prawdopodobnie to nasze dwa brakujące cele.

- Załatwić ich normalnie, panie pułkowniku? - Jeden z komandosów z 967. Oddziału uniósł rękę, w której trzymał rolkę wybuchowej taśmy.

- Spróbujmy najpierw OPDTJ - zaproponował Jacen, zapalając klingę świetlnego miecza. Podwładni zajęli pozycje po obu stronach drzwi. - Tak nazywacie ten sposób, prawda? Opanowywanie Pomieszczeń Dzięki Technikom Jedi? No dobrze, niech będzie... Rycerz Jedi wyciągnął przed siebie lewą rękę i przesunął nią z góry na dół wzdłuż linii styku obu skrzydeł drzwi, ale nawet ich nie dotknął. Mimo to płyty rozsunęły się i z głośnym trzaskiem ukryły w ścianie. Z mrocznego apartamentu posypały się czerwone błyskawice blasterowych strzałów, ale Jacen, wymachując klingą świetlnego miecza, odbił wszystkie z powrotem do mieszkania. Ben wiedział, że nie powinien stać na linii ognia, ale zanim Shevu zdążył go odciągnąć na bok, młody Skywalker odbił na bok zabłąkaną błyskawicę i instynktownie ukrył się za plecami kuzyna.

Dwie osoby w środku - rzeczywiście, tak jak wyczuł Ben, mężczyzna i kobieta - wymierzili w Jacena, ale nagle blastery wyfrunęły z ich dłoni, jakby wyszarpnęła je niewidzialna ręka.

Kobieta w mieszkaniu była mniej więcej w wieku matki Bena, miała zaczesane do tyłu ciemne włosy i tatuaż wokół jednego oka.

Skoczyła w kąt pokoju, jakby chciała sięgnąć po inny blaster, ale Jacen posłał ją na ścianę pchnięciem Mocy i nie pozwolił, żeby się osunęła na podłogę. Mężczyzna, jęcząc, leżał wsparty

plecami o krzesło. Do apartamentu wpadli komandosi, skuli kajdankami oboje więźniów i wyprowadzili na korytarz.

Shevu zdjął hełm, otarł czoło grzbietem rękawicy i spojrzał na Jacena.

- Będzie pan musiał dać nam listę swoich... Umiejętności, panie pułkowniku - powiedział z lekkim uśmiechem. - Nie nadążamy za wszystkimi pana sztuczkami. - Czasami sam za nimi nie nadążam - przyznał rycerz Jedi. Odwrócił się do kuzyna. - Nic ci się nie stało? - Zapytał.

- Czuję się doskonale - zapewnił Ben. Akcja dobiegła końca i mogli już wrócić do koszar. Młody Skywalker czuł, że drżą mu łydki - normalna reakcja na odpływ adrenaliny. Odczuwał jednak taką ulgę, że o mało się nie rozplakał. Dyskretnie przygryzł wargę. - Kilka dni temu zamierzałeś mi coś powiedzieć. - Jacen zawsze wiedział, jak się Ben czuje. Potrafił tak zadać pytanie, żeby Benowi było trudno wykręcić się od odpowiedzi. - Pamiętasz? - O czym? - Zdziwił się chłopak. - O jakimś człowieku i o sprawie, o której nie zameldowałeś.

Aha. O Baricie, pomyślał Ben. Znów jednak nie mógł się zdecydować. Barit nikogo nie zastrzelił, ale z drugiej strony bardzo się starał to zrobić. Czy Ben postąpiłby słusznie, gdyby go wydał? Chłopak chyba już został internowany albo deportowany, ale nie na pewno. Ben szczerze mu współczuł, ale Barit mógłby jeszcze raz spróbować kogoś zabić. Tkwisz w tym po same uszy, pomyślał. Wiesz, jaka jest stawka w tej grze. Nie jesteś tu po to, żeby cię lubiano. A Jacen cię potrzebuje. Powinieneś być lojalny.

- Rodzina nazywa się Saiy - odezwał się w końcu Ben. - Prowadzą warsztat naprawczy.

ROZDZIAŁ 12

Mirta Gev do Ailyn Habuur

Wracam na Coruscant. Nie dostałam Twoich odpowiedzi na poprzednie wiadomości. Proszę, potwierdź miejsce spotkania. Mam ogniste serce.

wiadomość tekstowa, przesłana przez Mirtę Gev do podejrzanej Ailyn Habuur, przechwycona przez komórkę łączności Straży Galaktycznego Sojuszu i przekazana pułkownikowi Solo do oceny

Apartament Jacena Solo, sąsiedztwo Rotundy

Co do Korelian, można było być pewnym jednego: obojętne ile ciosów się im zada, po każdym pozbierają się i wstaną.

Jacen był zanadto zajęty operacjami antyterrorystycznymi, żeby się zastanawiać, jakie strategiczne plany może układać Thrackan Sal-Solo. Przypuszczał, że tą sprawą zajmują się agenci Wywiadu Floty, ale był pewny, że stacja Centerpoint będzie stanowiła problem, dopóki nie zostanie zupełnie zniszczona. Tego ranka jego krewniak go nie rozczarował. Rycerz Jedi dołączył do miliardów Coruscan, którzy jeszcze przed wypiciem pierwszej filiżanki kafeiny włączyli holokrany, żeby na podstawie biuletynu informacyjnego HoloNetu zorientować się, ile jeszcze czasu dzieli ich od wybuchu prawdziwej wojny.

Holoreporter biuletynu przeprowadzał akurat wywiad z Sal-Solo, który oświadczył, że wkrótce rozpoczną się prace nad przywróceniem stacji Centerpoint do stanu pełnej sprawności.

Jacen nie miał pojęcia, czy Sal-Solo może tego dokonać ani jak długo będzie to trwało, ale krewniak miał idealne wyczucie czasu. Takie oświadczenie jak nic może skłonić Sojusz do wydania zgody na blokadę Korelii. Zaatakowanie koreliańskich orbitalnych zakładów przemysłowych pozwoliłoby Sojuszowi na osiągnięcie celu o wiele szybciej i skuteczniej, ale Jacen był pewny, że blokada także spełni to zadanie.

Czas oznacza życie. Czas oznacza więcej chaosu, pomyślał. Zawsze się nam wydaje, że czas przyniesie rozwiązanie, ale nigdy go nie przynosi.

Zapomniał o kafeinie i śniadaniu. Zostawił Bena, żeby chłopiec odespał akcję z poprzedniej nocy, i udał się prosto do Senatu.

W gabinecie Omasa zastał Niathal, która zawsze była rannym ptaszkiem. Domyślił się, że oboje przybyli z tym samym zamiarem.

Alderaanin nie odrywał spojrzenia od zawieszzonego na ścianie gabinetu holoeokranu, którego ostatnio chyba w ogóle nie wyłączał.

- Dyplomacja za pośrednictwem biuletynów informacyjnych - odezwał się z irytacją. Niathal dała znak głową Jacenowi, żeby usiadł obok niej; co miało to dowodzić ich jedności wobec niezdecydowanego przywódcy Galaktycznego Sojuszu.

- A więc według pana Sal-Solo miał sięgnąć po komunikator i zapytać, czy nie ma pan nic przeciwko temu, że rozpocznie przywracać stację Centerpoint do pełnej sprawności? - Zapytała Kalamarianka.

Jacen zerknął na nią dyskretnie. Ostatnio z wyrazu jej twarzy łatwo było odczytać emocje. Niathal była zadowolona.

- Chyba nie mamy innego wyjścia - stwierdził Jacen. - Nie możemy tego zignorować. - Nie cierpię tego zwrotu. - Omas zmniejszył natężenie dźwięku. - Za często ostatnio tak się dzieje.

- Zamierzam wykorzystać dwie floty, żeby odizolować Korelię - oznajmiła pani admirał. - Proszę o pozwolenie na odwołanie Trzeciej i Piątej Floty z ćwiczeń w rejonie Odległych Rubieży.

Na twarzy przywódcy malowały się zmęczenie i rezygnacja, ale w głosie brzmiało zdenerwowanie.

- Przedtem będę musiał uzyskać zgodę Senatu - powiedział Omas.

- Ściągnięcie dwóch flot na pozycje, żeby rozpocząć blokadę, zajmuje sporo czasu - przypomniała Niathal. - Niech pan rozpocznie procedury w Senacie, a my zatroszczymy się o sprawy organizacyjne. Będziemy gotowi do działania, kiedy tylko uzyska pan zgodę. - My? - Zapytał z naciskiem Omas, spoglądając na Jacena. - Siły Obronne - wyjaśniła oschle Kalamarianka.

No cóż, wcześniej czy później pan to zrozumie, pomyślał Jacen. Tak, zdecydowaliśmy się, a Niathal nie opowie się po pańskiej stronie.

- Tylko nie działajcie pochopnie - przestrzegł Omas. - Będę musiał to przedstawić jako środek nadzwyczajny. Powinniśmy przekonać do tego resztę Sojuszu.

Jeżeli chodziło o Niathal, sprawa była przesądzona. Jacen wyszedł za panią admirał i udali się do jej gabinetu w drugim końcu korytarza. Nie rozmawiali, dopóki drzwi nie zamknęły się za nimi. Kalamarianka przycisnęła guzik w blacie biurka.

- Na wszelki wypadek - wyjaśniła. - To bezpieczny kanał, który nie przechodzi przez ośrodek łączności Floty.

- A więc wezwiesz do powrotu obie floty? - Skonstatował rycerz Jedi.

- Nie muszę pytać Senatu o zgodę, żeby kierować ruchami jednostek naszych sił zbrojnych, które

wysłano wcześniej na ćwiczenia - odparła Niathal. - Po prostu ściągasz je na ćwiczenia do domu - dodał Jacen. - Prawie. - Kalamarianka przycisnęła kilka innych guzików.

- Nie warto dawać nieprzyjacielowi czasu na przygotowanie się do blokady, podobnie jak nie ma co zwlekać z rozpoczęciem operacji - powiedziała. - Opracowałam plany takiej blokady.

- Zamierzasz otoczyć Korelię strefą, do której nikt nie będzie mógł wlecieć ani jej opuścić?

- Zamierzam utworzyć nawet dwie takie strefy - odparła Niathal. - Pierwsza powinna uniemożliwić Korelii zaopatrywanie stacji Centerpoint z powierzchni planety. Gdybyśmy tylko odizolowali Korelię od reszty galaktyki, osiągnięcie skutków takiego embarga potrwałoby lata. Załatwimy to o wiele szybciej, jeżeli Korelianie nie będą mogli zaopatrywać stacji Centerpoint.

Jacen pomyślał o setkach krążących wokół Korelii orbitalnych zakładów przemysłowych. - To oznacza konieczność utworzenia dwóch stref - potwierdził.

- Właśnie do tego będą mi potrzebne dwie floty - przyznała Kalamarianka. - Zamierzam przekazać ten plan ich dowódcom. Zajmą pozycje w odległości kilkugodzinnego skoku od Korelii i będą gotowi wkroczyć do akcji, kiedy tylko Senat wyda odpowiednie oświadczenie.

- Jesteś pewna, że możesz im zaufać? - Zaniepokoił się rycerz Jedi. - Obaj są Kalamarianami - odparła Niathal. - Tak, mam dój nich zaufanie. - Omas nie ma dość odwagi, żeby się na to zdecydować.

- Może i tak, za to Sal-Solo nie tylko nie zamierza się rozbroić, ale nadal się zbroi - oznajmiła pani admirał. - Mam nadzieję, że Sojusz zwróci na to uwagę.

Jacen przypomniał sobie słowa Lumiya, że nie może uciec przed swoim przeznaczeniem i że jeżeli się zdecyduje na odegranie swojej roli i spełni swój obowiązek - będzie mógł przywrócić ład w galaktyce.

Pomyślał o pięciu latach, jakie spędził na badaniu wielu tajemnych szkół filozofii Mocy, i zastanowił się, czego jeszcze może go nauczyć Lumiya, żeby mógł zostać mistrzem Sithów. Nie umiał sobie tego wyobrazić, więc po prostu zgarnął ulotne myśli, które przysły mu do głowy. Nie znał ich źródła i nie był pewny, czy są słuszne, ale postanowił odtąd kierować się intuicją. Instynktem, nie umysłem.

Czuj, nie myśl, powiedział sobie.

Uczyli go tego nawet Jedi.

Nie uważam się już za rycerza Jedi, uświadomił sobie.

Nie miał pojęcia, czyj głos słyszy - swój, Lumiya czy może zupełnie obcej osoby - ale postanowił go usłuchać. - Chciałbym odegrać w tej blokadzie jakąś rolę - powiedział.

Niathal wyświetliła na ścianie holomapę systemu koreliańskiego i podeszła do niej, żeby się jej przyjrzeć.

- Jesteś pilotem myśliwca, tak? - Zapytała. - Podobnie jak twoja siostra.

- Chciałbym czymś dowodzić.
- Okretem?
- Eskadrą - odparł młody Solo. - Mieszam ci w planach?

- I tak wydajesz rozkazy wielu osobom jako dowódca Straży Galaktycznego Sojuszu - stwierdziła pani admirał.

- Chciałbym udowodnić, że jestem gotów do walki na linii frontu - oświadczył Jacen. - Dawno to już udowodniłeś - zdziwiła się Kalamarianka. - Ale wtedy nie walczyłem przeciwko ojczyźnie mojego ojca. - Ach, ostateczny test lojalności - domyśliła się Niathal. - Jeżeli tak to chcesz nazwać - odparł młody Solo.

- Niech ci będzie. Możesz zostać tymczasowym dowódcą pułku gwiazdnych myśliwców - zdecydowała pani admirał. - Będziesz miał pod rozkazami eskadrę, którą dowodzi twoja siostra. Wprawdzie rzadko się zdarza, żeby jeden pułkownik wydawał rozkazy drugiemu pułkownikowi, ale miewaliśmy już takie sytuacje. Jeżeli to nie udowodni wszystkim, że członkowie rodziny Solo przedkładają Sojusz nad więzy krwi, to już nie wiem. Tu chodzi o coś więcej, pomyślał rycerz Jedi, niż tylko o twój szacunek i poparcie, Niathal. Muszą mnie też uznać za swojego prości żołnierze, na wypadek gdybyś nie mogła mi zagwarantować ich lojalności... Albo zmieniła swoją opinię o mnie. - Dziękuję, pani admirał - powiedział.

Kalamarianka uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami i wskazującym palcem zaczęła przemieszczać symbole okrętów na otaczającej ją holomapie.

- Powinam teraz zarządzić koniec ćwiczeń - oznajmiła. Symbole na mapie przemieniły się w trójwymiarową sieć wokół Korelii. Odizolowały planetę, na której zajmowano się głównie rolnictwem, od jej orbitalnych zakładów przemysłowych. Przekonanie Korelian, że ośrodki przemysłowe nie powinny szpecić krajobrazu ich ojczyzny, miało się okazać zgubne w skutkach. - Zamierzam to zrobić pięć dni przed terminem. Dowódcy flot będą wiedzieli, o co chodzi.

Niathal podeszła do konsoly komunikatora. Jak na ironię wiadomość, która miała oznaczać początek wojny, brzmiała jak niewinna informacja o zakończeniu manewrów. Jacen obserwował, jak program szyfrujący zamienia otwarty tekst na niewielkim ekranie w bezpieczny algorytm.

„Koniecćwiczeńkoniecćwiczeńkoniecćwiczeń”.

- Koniec ćwiczeń - powiedziała głośno Niathal. - A zarazem początek prawdziwej wojny.

„Niewolnik 1”, w drodze na Korelię

- O co ci chodzi? - Zagadnął Fett.

Mirta spojrzała na niego, przygryzając wargę. Starła się to robić bardzo dyskretnie, ale Fett zwracał uwagę na takie drobiazgi.

Myśliwi musieli mieć wyczulone zmysły.

- Dokąd lecimy? - Zapytała dziewczyna.

- Na Korelię - odparł łowca nagród.

- Mówiłeś, że na Coruscant.

- To ty powiedziałaś, że na Coruscant. - Fett polecił komputerowi nawigacyjnemu wyświetlenie trójwymiarowej mapy, żeby Mirta mogła ją zobaczyć nad konsolą przed iluminatorem.

- Przedtem muszę załatwić pewną sprawę na Korelii. Dziewczyna umilkła, ale Fett nie był zaskoczony, bo i tak rzadko się odzywała podczas podróży. Było jednak widać, że coś nie daje jej spokoju.

Może chodziło o wiadomości, które od czasu do czasu wysyłała na Coruscant? Ailyn nie odpowiadała. Fett nie wiedział, czy Mirta się orientuje, że łowca nagród monitoruje wszystkie sygnały nadawane z pokładu „Niewolnika 1” i odbierane przez aparaturę łączności - nawet te, które szły za pośrednictwem prywatnych komunikatorów. Możliwość taką zapewniał system bezpieczeństwa statku. Fett doszedł do wniosku, że powinien Mircie o tym powiedzieć.

- Straciłam kontakt z moją klientką - odezwała się w końcu dziewczyna. Na jej korzyść trzeba zapisać, że jest szczerą, pomyślał Fett.

- Może nie chce ci zapłacić - powiedział. - Chodzi tylko o naszyjnik, czy też może miałaś także zdobyć dla niej jakieś informacje?

- Informacje też - przyznała Mirta.

- Chyba nie byłaś na tyle głupia, żeby przekazać je przez komunikator?

- Nie byłam.

- A zatem zapłaci.

- Ja... Niepokoję się o jej bezpieczeństwo - wyznała dziewczyna. - Miała do wykonania pewne zadanie...

Wiem jakie, pomyślał Fett.

- Tak, martwi zleceniodawcy nie płacą - powiedział.

- Właśnie - przyznała cicho Mirta. W jej głosie brzmiał niepokój. Może jednak nie była tak doświadczoną łowczynią nagród, za jaką chciała uchodzić w jego oczach. Fett doszedł do wniosku, że Ailyn jest zbyt sprytna, aby ryzykować wysyłanie wiadomości, kiedy jest zajęta polowaniem na Hana Solo. W końcu była córką Fetta, więc musiała mieć sporo jego genów. A poza tym niewielu łowców nagród zarabiałoby dosyć, żeby pozwolić sobie na kupno bezpiecznego i niezawodnego sprzętu łączności w rodzaju takiego, jakim dysponował sam Fett. Na pewno gdzieś tam będzie, pomyślał.

Włączył komunikator. Tym razem nie musiał się przejmować, że Mirta go usłyszy.

- Beviin, dostałem zlecenie, o którym chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział.

Beviin milczał jakiś czas.

- Tak, *Mand'alor*? - zapytał.

- Thrackan Sal-Solo chce, żebyśmy dla niego walczyli - oznajmił łowca nagród. - Mamy się zająć obroną stacji Centerpoint.

- Słyszałem... Trąbią o tym we wszystkich kanałach informacyjnych - odparł mężczyzna. - Dzisiaj rano słyszałem w HoloNecie, jak Sal-Solo mówił o przywróceniu stacji do stanu pełnej sprawności. Wygląda na to, że wkrótce wybuchnie wojna. Syn Hana Solo został dowódcą tajnej policji Galaktycznego Sojuszu. Na wieść o tym Korelianie wpadli w *a'denla*...

- Ściągnij tyłu komandosów, ilu dasz radę - polecił Fett. - Spotkam się z tobą za dwa dni na Dralii w knajpie Halina.

- Zamknął budę pięć lat temu - poinformował Beviin. - Spotkajmy się w barze Zerrii. To na tej samej ulicy.

Nie jestem na bieżąco, pomyślał Fett. Za dużo czasu spędziłem na Tarisie. - Dobrze, niech będzie w barze Zerrii - powiedział.

- Do tej pory prawdopodobnie ściągnę ze szczęci - obiecał Beviin. Prawie wszyscy powrócili na Mandalorę.

Sześciu? Tylko sześciu! - Pomyślał łowca nagród. Czyżby byli zbyt zajęci, żeby podejmować się obowiązków?

- Dlaczego? - Zapytał.

- Pora zbiorów - wyjaśnił zwięźle mężczyzna. - Wielu spośród nas ma farmy.

- A nie powinny się o to troszczyć kobiety? - Beviin miał adoptowaną córkę. Fett nie pamiętał wprawdzie jej imienia, ale był pewny, że dziewczyna jest na tyle dorosła, aby sama zadbać o farmę.

- Co się stało z siłami szybkiego reagowania?

- Gdyby wybuchła prawdziwa wojna, zareagowalibyśmy naprawdę szybko - odparł o wiele chłodniejszym tonem Beviin.

Fett był zaskoczony, że jego mandaloriańscy żołnierze mogą się zajmować czymś tak banalnym, jak uprawa roli. Prawdę mówiąc, nigdy się nie zastanawiał, co robią, kiedy nie mają ważnego zlecenia. Mieli jednak żony i dzieci, a przede wszystkim własne życie. - W takim razie ściągnij, ilu się da w ciągu tych dwóch dni - powiedział i przerwał połączenie. Mirta patrzyła na niego, wyraźnie przerażona.

- Czy to znaczy, że nie pochwalasz walki w obronie Korelii? - Zapytał Fett. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie bardzo wiesz, co się dzieje na twojej planecie, chociaż podobno jesteś Mandalorem - stwierdziła.

- Nawet na niej nie mieszkam - odparł Fett.

- Yuuzhan Vongowie spustoszyli sektor Mandalory równie bezlitośnie jak wszystkie inne, Fett. - Pierwszy raz zwróciła się do niego po nazwisku. - Wszyscy teraz dźwigają z ruin swoje domy. Czy w ogóle wiesz, co oznacza twoje nazwisko? „Rolnik”. *Vhett*. W języku *mando'a* słowo *Vhett* oznacza rolnika.

- To akurat wiem - przyznał łowca nagród. Ojciec pochodził z planety Concord Dawn, przypomniał sobie. Opowiadał, że członkowie jego rodziny byli rolnikami z pogranicza. W takim razie jak zdobył mandaloriańskie nazwisko? - Jeżeli chodzi o mnie, zawsze wolałem raketowy plecak i blaster.

- Jak możesz rządzić narodem, o którym nie masz najmniejszego pojęcia?

- To nie jest naród, a ja nim nie rządę - odparł Fett. - Jestem figurantem, kiedy moi ziomkowie nie potrzebują mnie do walki, i naczelnym dowódcą, kiedy tego potrzebują. - Jesteś najemnikiem swoich ziomków - stwierdziła dziewczyna. - Ta ironia losu nie uszła mojej uwagi - przyznał łowca nagród.

- Nie jesteś na bieżąco - oznajmiła Mirta. - Coraz więcej Mandalorian wraca do domu.

Czym jest dom? - Pomyślał Fett.

- Nie pozostało ich wielu - powiedział.

- Nie masz pojęcia, ilu *Mando'ade* pozostało, prawda? - Zapytała Mirta. - Otóż bardzo wielu. Nie wszyscy są żołnierzami czy łowcami nagród. Są po prostu ludźmi, którzy dbają o swoje dziedzictwo we wszystkich miejscach galaktyki. Pamiętasz, że twojego ojca adoptował Jaster Mereel? To tak dziedzictwo przechodzi z jednej osoby na drugą. - Dużo o mnie wiesz - zauważył łowca nagród.

- Wynika z tego, że więcej niż ty sam o sobie. - Mirta była wyraźnie zagniewana. Fett zauważył rumieńce na jej policzkach. Mówiła lekko podniesionym głosem i przez zaciśnięte zęby.

- Mój ojciec mawiał, że *Mand'alor* powinien być jak ojciec dla swoich ziomków. - Żadna dziewczyna nie będzie mi dawać lekcji odpowiedzialności - burknął Fett. - Pamiętaj, że twoja córka chciała cię zabić, bo porzuciła ją i jej matkę, więc chyba odpowiedzialność nie jest twoją najmocniejszą stroną - odcięła się Mirta.

Fett przywykł do strachu, szacunku czy podziwu. W dorosłym życiu nie spotkał się ani razu z tak buntowniczym nastawieniem... A przynajmniej nie tak długo. Mirta najwyraźniej nie przejmowała się tym, że może wyrzucić ją ze służby w próżnię.

A ja miałem dziecko, pomyślał ponuro. Miałem to, czego tak bardzo pragnął ojciec, ale dobrowolnie z tego zrezygnowałem.

- Miałem wówczas szesnaście lat - powiedział. - Sintas osiemnaście. Jedynymi osobami płci żeńskiej, jakie znałem jako dziecko, były Kaminoanki i zmiennokształtna łowczyni nagród. Tonie wystarczy, żeby być dobrym mężem i ojcem. Próbowałem. - Tak, akurat - parsknęła dziewczyna.

Fett unikał wpadania w gniew. Według niego złościć się mógł ktoś, komu na czymś albo na kimś zależało, a jedyną osobą, na której mu kiedykolwiek zależało, był ojciec. Dziewczyna uraziła go jednak do żywego.

- Może bym wyrósł na dobrego męża i ojca, gdybym nie widział na własne oczy, jak Jedi ścinają głowę mojemu tacie - powiedział.

- To prawda, strata rodziców jest zawsze bardzo bolesna - przyznała Mirta.

- Co stało się z twoimi? - Zainteresował się łowca nagród.

- Tata nie żyje.

- A matka?

- Od dawna jej nie widziałam.

- Wygląda na to, że ty także zgorzkniejesz, podobnie jak ja, dziewczyno. - Już zgorzkniałam - stwierdziła Mirta.

Nie pozostało im nic więcej do powiedzenia. Fett doszedł do wniosku, że i tak powiedział zbyt dużo. Musiał uprzedzić Beviina, aby się nie zdradził, że wszyscy wiedzą o tym, iż Ailyn poluje na Hana Solo. Wpisał współrzędne kursu na Dralię i zastanowił się, co powie Ailyn, kiedy się z nią spotka.

Podejrzewał, że pierwszy raz w życiu wypowie słowo: „przepraszam”.

Sala Rady Jedi, Świątynia Jedi, Coruscant

Luke wiedział, że wydarzenia osiągnęły punkt, z którego nie ma odwrotu: nie da się już powstrzymać Sojusz przed konfrontacją z Korelią. Mógł tylko ograniczyć jej skutki. Blokada była prawdopodobnie najmniej destrukcyjnym rozwiązaniem.

Mistrz Jedi doszedł do wniosku, że nie będzie wywierał nacisku na Cala Omasa, aby przywódca Galaktycznego Sojuszu nie przekroczył tej granicy. Nie był zresztą pewny, czy Omas mógłby to zrobić, nawet gdyby chciał. Członkowie Rady Jedi siedzieli kręgiem w ponurym milczeniu, jak zapewne robili wiele razy w ciągu ubiegłych tysiącleci, kiedy wisiała nad nimi groźba wybuchu wojny. Wyglądało na to, że wszyscy oczekują od niego odpowiedzi.

Jednym z nich był Corran Horn - zawsze zachowujący kamienny spokój, uparty Korelianin. Na szczęście Jacen był na tyle rozsądny, że nie kazał objąć czystką także tego starszego mistrza Jedi.

- Moim zdaniem wyczerpaliśmy wszystkie dyplomatyczne sposoby zażegnania tego konfliktu - odezwał się w końcu Luke.

- Blokadą osiągniemy tylko tyle, że po stronie Korelii opowiedzą się władcy innych planet - ocenił Horn. - Nie twierdzą tak dlatego, że jestem Korelianinem. Podobnie jak wszyscy inni, orientuję się w nastrojach.

- Dokładnie taki sam skutek odniosłoby zaatakowanie Korelii - odparł mistrz Jedi. - Gdybyśmy jednak pozwolili jej nadal kroczyć tą drogą, zachęciliśmy władców innych planet do podążenia w jej ślady.

- A zatem możemy sobie zadać już tylko jedno pytanie - stwierdził Horn. - Jaką rolę w tym wszystkim ma odegrać Rada Jedi?

- Taką samą jak zawsze - odparł Kyle Katarn. - Szukać pokojowego rozwiązania, ale zachować gotowość do walki po stronie Sojuszu, jeżeli nas o to poproszą. Do rozmowy włączyła się Cilghal.

- Z całym szacunkiem, mistrzu Skywalker, pozostaje jeszcze pytanie, którego jakoś nikt nie ma odwagi zadać - powiedziała.

- A mianowicie?

- Co mamy sądzić o działalności Jacena Solo?

Luke unikał patrzenia na Marę. Żona siedziała z boku i nie odrywała spojrzenia od ekranu komputerowego notesu na stole. Nie skorzystała ze swojego statusu sekretarza Rady, aby poprosić Cilghal o oficjalne zgłoszenie tego pytania do protokołu. Nigdy nie była niewolniczo przywiązana do formalności.

- Jeżeli już zapytałaś, mówmy konkretnie. - Luke zwalczył chęć zwrócenia się do żony ze słowami: „A widzisz? Oni też to zauważyli!” Wiedział, na co się zanosi. Nic w tej sprawie nie robił, bo nie chciał zadrażniać stosunków z synem i żoną. To niewystarczający powód, powiedział sobie. - Moim zdaniem wszyscy zauważyliśmy kluczową rolę, jaką odegrał mój siostrzeniec w pacyfikacji społeczności Korelian.

- Dobrze, że jesteś na tyle szczerzy, aby to przyznać. Czy nie wydaje ci się jednak, że Jedi nie powinni postępować w taki sposób wobec cywilów? - Zapytała Cilghal, kręcąc się na fotelu. Luke podziwiał ją za odwagę. Tylko ona ośmieliła się mu zasugerować, że jego siostrzeniec postępuje niezgodnie ze standardami Jedi... A raczej niezgodnie z wszelkimi standardami. - I że nie powinien mu towarzyszyć twój syn?

Jestem wielkim mistrzem. Na moich barkach spoczywa ogromna odpowiedzialność, uświadomił sobie Luke. Przykro mi, Maro. - Jestem tym w najwyższym stopniu zaniepokojony - przyznał.

W sali dał się słyszeć szmer głosów, jakby wszyscy się zdumieili. - Naprawdę? - Zapytał Kyp Durrton.

- Nie mam żadnej władzy nad Jacenem - wyjaśnił Luke. - Istnieje poza zakonem Jedi. Nie jest mistrzem Bena, a Ben nie jest jego uczniem.

Wyczuwał - a po chwili zobaczył - że jedenaście par oczu zwróciło się na Marę. Rozumiał, że ujawniając rodzinną waśń członkom Rady, jest niesprawiedliwy dla żony, ale w tym wypadku chodziło o coś więcej niż tylko o sprzeczkę rodziców w sprawie kształcenia syna. Jacen przechodzi na Ciemną Stronę, uświadomił sobie mistrz Jedi. Muszę mieć dość odwagi, żeby stawić czoło moim przekonaniom.

W końcu Mara uniosła głowę. Na jej twarzy malował się kamienny spokój.

- Nie jestem pewna, czy powinnam brać udział w tej dyskusji - zaczęła. - Nie byłabym bezstronna.

- Spójrzmy na problem z innej strony - zaproponował Katarn. - Wielki mistrz ma syna i siostrzeńca, którzy wdzierają się do mieszkań cywilów w towarzystwie żołnierzy w czerni. Takie postępowanie

nie przynosi chwały zakonowi Jedi.

- Ale przyznajesz, że działalność Straży Galaktycznego Sojuszu jest zgodna z prawem? - Zapytał Luke.

- To prawda. Działają ostro, ale w ramach obowiązującego prawa. - Katarn i Cilghal postanowili przystąpić do zdecydowanego, ale taktownego ataku, jakby poczuli ulgę na myśl o tym, że ich obawy okazały się zasadne. - Najbardziej niepokoi nas udział Jedi w tych akcjach.

Nasz udział... Luke uświadomił sobie, że targają nim sprzeczne emocje. Musiał albo poniżyć żonę, albo okłamać członków Rady Jedi. Nie miało znaczenia, że jego słowo stanowi tu prawo. Mistrz Jedi wiedział, że stąpa po cienkim lodzie.

- Mnie też niepokoi - przyznał w końcu. - Poproszę Bena, żeby więcej nie brał udziału w akcjach Straży.

- Twój syn ma dopiero trzynaście lat - zauważył Durrón. - Powinieneś mu to nakazać. Mara się nie odezwała, ale Luke wyczuwał, że żona może lada chwila wybuchnąć. Domyślał się, co nastąpi, kiedy to zebranie dobiegnie końca. Mistrzynie Jedi zachowała na szczęście dość zdrowego rozsądku, żeby nie wszczynać kłótni w obecności członków Rady. - Jacen cieszy się dużą popularnością wśród obywateli - dodał z namysłem Durrón. - Wielu spośród nas pozwalało sobie w przeszłości na różne wyskoki, ale zawróciło ze złej drogi. Może powinniśmy spowodować, żeby Jacen zaczął się bardziej identyfikować z zakonem? - Co masz na myśli? - Zainteresował się Luke.

- Czas, żeby został mistrzem - wypalił Durrón. - Wszyscy wiemy, co potrafi.

Luke przypomniał sobie ojca. Wrażenie déjŗ vu było kojące, bo Anakin Skywalker odkupił swoje winy, ale zarazem przerażające, bo kiedyś Vader był także niezwykle uzdolnionym Jedi i szlachetnym młodym mężczyzną. Mimo to Ciemna Strona i tak go uwiodła, więc równie dobrze mogła uwieść także Jacena. Luke wyraźnie to wyczuwał. Jacen nie przeżywa frustracji z powodu tego, że nie jest mistrzem, pomyślał. Po prostu przeszedł na Ciemną Stronę. Co więcej, wyczuwam obok jeszcze inną ciemność. Zastanowił się, dlaczego wróciła Lumiya. Był pewny, że nie chodzi jej tylko o to, żeby się przekonać, jak bardzo zmieniła się jej dawna ojczyzna.

Doszedł jednak do wniosku, że nie pora na informowanie o tym członków Rady Jedi. Postanowił skupić uwagę na statusie Jacena w zakonie.

- Dajcie mi trochę czasu, żebym mógł to przemyśleć - powiedział.

Wkrótce potem zebranie dobiegło końca. Mara nie odezwała się do męża, dopóki oboje nie wsiedli do śmigacza i nie wystartowali w drogę powrotną do apartamentu. - Chcę żeby Ben rozstał się z Jacenem - przemówił pierwszy. - Kochanie, już to przerabialiśmy...

- Przykro mi, że ten problem wypłynął podczas zebrania, ale nie mogę dłużej udawać, że niczego nie dostrzegam - przerwał Luke. - To musi się natychmiast skończyć. Żaden trzynastolatek nie powinien brać udziału w obławach z udziałem funkcjonariuszy tajnej policji.

- Ani z samym Jacenem, prawda? - Podchwyciła żona.

- Maro, wszyscy to widzą - odparł Luke.

- Jacen ma tylko kłopoty sercowe, nic więcej.

- Kłopoty sercowe? - Powtórzył mistrz Jedi. - Internuje Korelian. Słyszałaś, co powiedziała Cilghal. Nie żyję w świecie złudzeń. Czy rozmawiałaś na ten temat z Leia albo z Hanem? - Nie wspominaj o Jainie, pomyślał. - Od wielu dni nie mam żadnej wiadomości od siostry i najlepszego przyjaciela. Jeżeli naprawdę uważasz, że w poczynaniach Jacena nie ma nic niepokojącego, wyjmij komunikator, połącz się z Leia i zapytaj ją, co ona o tym sądzi. - No dobrze, a co zrobimy, jeżeli powie, że jej zdaniem Jacen zmienia się w drugiego Palpatine'a? - Zapytała Mara. - Odciągniemy Bena siłą, nawet jeżeli nasz syn może zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić? - Jeżeli będzie trzeba, to tak - potwierdził twardo Luke. - Kiedy ostatnio z nim rozmawiałaś? Bardzo dawno temu, zbyt dawno, uświadomił sobie mistrz Jedi. - Kiedy wrócił zagazowany - powiedział.

- Cóż, ja rozmawiam z nim prawie codziennie, i nie mogę uwierzyć, jak bardzo się zmienił - odparła Mara. - Jest pogodny, uprzejmy i pewny siebie. Wydoroślał, Luke. To zasługa Jacena.

- No cóż, chwali mu się to, ale nadal nie chcę, żeby szkolił naszego syna. - Więc to ty powiedz Benowi, że wraca do punktu wyjścia. - Jasne, powiem - mruknął Luke.

- A później zdecydujesz, kto zajmie się jego dalszym szkoleniem.

- Może na razie sam się tym zajmę.

- Już widzę, jak będziesz sobie radził...

Ich sprzeczka zwykle kończyła się w tym punkcie. Nie znali nikogo innego, kto radziłby sobie z Benem równie dobrze jak Jacen. Luke nie posunął się ani kroku do przodu. Mógł najwyżej poprosić Jacena, żeby nie zabierał Bena na następne obławy.

A na to, że Jedi Solo wdziera się do mieszkań cywilów, Luke nie mógł nic poradzić. Bezkompromisowość Jacena spodobała się obywatelom i nawet gdyby zakon Jedi się go wyrzekł - dzięki jakiemuś kruczkowi, wymyślonemu specjalnie na tę okazję - Jacen i tak pozostałby niezwykle uzdolnionym władcą Mocy. Nic nie może go pozbawić tych umiejętności.

Prawdopodobnie lepiej byłoby mieć Jacena - przynajmniej na razie - w szeregach zakonu. Wykluczony może zacząć mu szkodzić.

Mara nie jest głupia, więc dlaczego nie chce przyznać, że Jacen staje się niebezpieczny?

- Muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć, kochanie - odezwał się Luke. - To niepomysłna wiadomość.

- Nie może być gorsza niż te, które dotąd usłyszałam - odparła mistrzyni Jedi.

- Obawiam się, że może - oznajmił Luke. Uznał, że pora zrzucić z siebie ten ciężar. Nie mógł go dłużej dźwigać samotnie. Cieszył się, że podróżują napowietrznym szlakiem z automatyczną nawigacją, bo chyba nie potrafiłby w takiej chwili utrzymać prostego kursu. - Wróciła Lumiya. Nie mam pojęcia, jak ani gdzie przebywa, ale jestem pewny, że wróciła.

ROZDZIAŁ 13

Jeżeli Korelia nie zmieni swojej decyzji i nie zrezygnuje z naprawy urządzeń kontrolnych stacji Centerpoint, postąpi wbrew rozporządzeniu Senatu, w myśl którego wszyscy członkowie Galaktycznego Sojuszu mają się rozbroić. W takim wypadku poczuję się zmuszony do zarządzenia wymierzonych przeciwko Korelii sankcji, które przyjmą formę zakazu ruchu. Jeżeli nie otrzymam zapewnienia, że Korelia nie wznowi zbrojeń, blokada planety rozpocznie się jutro rano o 5.00. Od tej pory żadna jednostka nie będzie mogła przelecieć przez obszar wokół samej planety i wokół jej orbitalnych ośrodków przemysłowych.

przywódca Galaktycznego Sojuszu Cal Omas, w przemówieniu wygłoszonym do senatorów i koreliańskiego ambasadora

Okręt flagowy Floty Sojuszu „Ocean”, system koreliański, godzina 4.59 czasu Coruscant

Pani admirał Cha Niathal zerknęła na wyświetlacz swojego chronometru i przeniosła spojrzenie na gródz mostka, żeby sprawdzić czas pokładowy. - Jakież wiadomości? - Zapytała.

W ciągu poprzedniej godziny Jacen ani razu nie zauważył, żeby porucznik Vio oderwał oczy od pulpitu konsoly komunikatora.

Gdyby Korelia zrezygnowała ze zbrojeń, oficer łącznościowiec by o tym wiedział. - Żadnych, pani admirał - zameldował Vio.

- Uznaję to milczenie za odpowiedź - zdecydowała Kalamarianka. - Powiedzieli nam: „wynoście się do diabła”. Dowódco, wysłać sygnał do wszystkich jednostek. Od tej chwili w przestworzach obowiązuje zakaz ruchu. Korelia została objęta blokadą.

Okręty zaczęły zajmować pozycje w dwóch strefach. Pierwsza otaczała samą Korelię w odległości dwustu tysięcy kilometrów od powierzchni planety, druga zaś obejmowała orbitalne ośrodki przemysłowe i gwiazdne stocznie. Korelia została odcięta nie tylko od reszty galaktyki, ale - co najważniejsze - od własnych zakładów przemysłowych i siłowni. Jacen nie odrywał wzroku od taktycznej holoplanszy - miniaturowej kopii tej z Centrum Operacyjnego. Obserwował, jak okręty - począwszy od niszczycieli, a skończywszy na szybkich patrolowcach - zajmują wyznaczone pozycje. Wewnętrzny kordon patrolowało niemal trzysta niewielkich jednostek. Ich dowódcy mieli rozkaz zawracania wszystkich, którzy chcieliby odlecieć z Korelii, żeby wylądować w którymkolwiek ośrodku przemysłowym. Na granicy wewnętrznego kordonu unosiły się niszczyciele i krążowniki. Ich kapitanowie czekali na to, co nieuchronnie musiało nastąpić. Jacen odwrócił się do porucznika Vio.

- Czy ktoś już się założył o to, która planeta pierwsza wyśle flotę na pomoc Korelii? - Zapytał. Wiedział, że członkowie załogi okrętu liniowego nie przegapią okazji zorganizowania takich zakładów. Vio spojrzał na niego i nawet nie mrugnął. - Oczywiście faworytami są Jabiim i Rothana

- powiedział.

- Rothana? - Powtórzył zaskoczony Jacen. Jakiim sływał z tego, że zawsze płynął pod prąd. - Dlaczego Rothana?

- Chodzi im raczej o obserwowanie przebiegu wydarzeń niż o poparcie - wyjaśnił Vio. - Rywalizacja gwiazdnych stoczn.

Niathal wbiła spojrzenie w holomapę i czekała. Przez koreliańskie przestworza przelatywało codziennie miliony statków, więc do pierwszej konfrontacji musiało dojść bardzo szybko.

- Interesuje mnie, dlaczego naczelny dowódca przebywa tu, nie w Ośrodku Operacyjnym Floty - odezwał się cicho młody Solo.

- Mogłabyś stamtąd skuteczniej kierować akcją. - A dlaczego na linii frontu przebywa także dowódca Straży Galaktycznego Sojuszu? - Niathal obserwowała nienaturalnie nieruchomą holomapę. Zazwyczaj poruszało się na niej tysiące symboli transponderów statków, których dowódcy byli zajęci swoimi sprawami. - Żeby nas widziano.

Na pokładach „Oceanu” pulsowało i pomrukiwało mnóstwo mechanicznych systemów; dzięki tym odgłosom wielki okręt wydawał się Jacenowi niemal żywym organizmem. Rycerz Jedi był zafascynowany tym, że ta martwa konstrukcja pozostaje nieprzezroczysta dla jego zmysłów Jedi. Mógł regulować urządzenia „Oceanu” tylko fizycznie, ale nie mógł ich wyczuwać.

Wzmocnił swoją obecność w Mocy i poszukał w niej Bena, żeby go uspokoić. Chłopiec pozostał na Coruscant, bezpieczny pod opieką kapitana Shevu. Bardzo chciał towarzyszyć Jacenowi, ale kuzyn wytłumaczył mu, że potrzebuje oficera łącznikowego, żeby móc utrzymywać kontakt ze Strażą. Ben ucieszył się z tej nominacji, wiedząc, że jest teraz częścią zespołu, który szanuje jego umiejętności.

Dopiero teraz mógł się poczuć kimś więcej niż tylko synem Luke'a Skywalkerera. Naprawdę uwierzył, że jest sobą, nie dzieckiem wielkiego mistrza Jedi. Jacen podziwiał psychiczną odporność Bena. Dobrze wiedział, co to znaczy być potomkiem słynnej osoby, chociaż to, że jego ojcem był Han Solo, nie dawało się w niczym porównać z brzemieniem odpowiedzialności, jaka spoczywała na barkach syna Luke'a Skywalkerera.

- Pani admirał, „Ansta” ma kontakt w odległości pięciuset tysięcy kilometrów - zameldował oficer łącznościowiec.

Niathal nie zareagowała nawet drgnieniem powiek.

- A więc to admirał Cheb będzie miał okazję pierwszy się wykazać - oznajmiła.

Jacen wyczuwał niepokój Jaiiny, która przebywała wiele pokładów niżej, w jednym z hangarów. Wiedział, że siostra go nie wyczuwa, bo wycofał się z Mocy i otoczył bańką, która uniemożliwiała jego wykrycie. Miał przez chwilę ochotę uwolnić myśli i wysłać na odległość wielu lat świetlnych do gromady Hapes, żeby delikatnie dotknąć nimi obecności Tenel Ka w Mocy, ale się nie ośmielił. Starał się w ogóle o niej nie myśleć. Gdyby nie zachował ostrożności, mógłby narazić Tenel Ka na

ryzyko wykrycia. Nie mógł lekceważyć talentu Lumiya do władania Mocą, a Tenel Ka i Allanie groziło o wiele większe niebezpieczeństwo niż jemu.

Doszedł do wniosku, że pora wreszcie zrobić wrażenie na tysiącach oficerów i członkach załóg jednostek armady Galaktycznego Sojuszu.

- Pani admirał, mam zgodę na postawienie Eskadry Łotrów w stan alarmu piątego? - Zapytał. - Proszę bardzo, pułkowniku Solo - usłyszał w odpowiedzi.

Na pokładach okrętów reputacja dowódców rozchodziła się błyskawicznie. Jacen chciał zyskać opinię oficera, który nigdy się nie cofa przed odpowiedzialnością i nigdy nie prosi o wyręczenie go w czymkolwiek.

Takim podejściem zdobywało się przyjaciół. Jacen rozumiał, że w nadchodzących miesiącach będzie potrzebował wszystkich, których przyjaźń uda mu się zdobyć.

Strzeżony blok więzienny, kwatera główna Straży Galaktycznego Sojuszu, Coruscant

Ben spojrzał na wyświetlacz komunikatora i stwierdził, że ma pięć czekających na odebranie zgłoszeń od ojca. Przebywając w towarzystwie Jacena, odnosił wrażenie, że kuzyn chroni go przed ciężarem obecności Luke'a w Mocy, ale teraz czuł się zdany na własne siły i... Osaczony.

Był przekonany, że ojciec wyczuwa, gdzie syn się znajduje. Nie cierpiał tego. Miał wrażenie, że jest pozbawiony prywatności. Do tej pory jednak ingerencje ojca ograniczały się do kontaktów przez komunikator, chociaż Luke musiał wiedzieć, że Jacen bierze udział w blokadzie.

Ben skupił się na bieżącym zadaniu - miał się uczyć od kapitana Shevu. Oficer stał naprzeciwko innego kapitana o nazwisku Girdun i spierał się z nim szeptem. Takie zawzięte kłótnie umieli toczyć chyba tylko dorośli.

- Mamy pewne reguły - warknął Shevu. - Jeżeli Senat mi nie powie, że się zmieniły, zamierzam ich przestrzegać.

- Ciekawe, czy będziesz się przy tym upierał, jeżeli się okaże, że ktoś zostanie zamordowany, chociaż mogliśmy temu zapobiec - odciął się Girdun.

- Na każde dwadzieścia cztery godziny więźniom przysługuje pięciogodzinna przerwa w przesłuchaniu - przypomniał Shevu. - Zamierzasz to zmienić? Na pewno nie podczas mojej wachty.

Dwójkę podejrzanych, których aresztowano w apartamentowcu, przetrzymywano w osobnych celach. Mężczyzna okazał się podrzędnym koreliańskim agentem, prawdopodobnie nazwiskiem Buroy, którego zidentyfikowano na podstawie bazy danych Wywiadu Nowej Republiki. Kobieta nazywała

się Ailyn Habuur i jeżeli sądzić po tatuażu na twarzy, była prawdopodobnie Kiffarką.

Shevu skonfiskował jej komunikator. Od czasu, kiedy Habuur została aresztowana, otrzymała trzy zgłoszenia - wszystkie od osoby, która przedstawiała się jako Mirta Gev. Zdanie Shevu przeważało. Girdun odwrócił się i odszedł.

- Nie musisz mi towarzyszyć - odezwał się kapitan do Bena, wpisując tajny kod na klawiaturze kontrolnego panelu na ścianie obok drzwi celi.

Ben obawiał się, że jeżeli wróci do apartamentu, ojciec go tam odnajdzie... I spojrz mu w oczy. A nie czuł się na siłach, żeby stawić mu czoło. Na pewno by się pokłócili, a tego Ben nie znoślił.
- Mogę się na coś przydać - powiedział.

Drzwi celi się otworzyły. Shevu posłał mu powątpiewające spojrzenie.

To będzie zwykłe przesłuchanie, takie, jakie prowadzimy w CSB - oświadczył. - Jeżeli umiesz wpływać na umysły, to doskonale. Jeżeli nie, nie masz się czym przejmować. - Wie pan, że to potrafimy? - Zdziwił się chłopak. - To chyba nie jest ściśle strzeżona tajemnica - odparł kapitan.

Ailyn Habuur siedziała przy stole, ręce położyła na blacie przed sobą. Była skuta kajdankami, a na twarzy wciąż jeszcze miała ślady walki, jaką stoczyła, opierając się aresztowaniu. Tatuaż wokół jej lewego oka robił przykre wrażenie. Ben doszedł do wniosku, że Habuur jest najtwardszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Była szczupła i czujna, a jej chude, żyłaste ręce wyglądały tak, jakby całe życie dusiła nimi ludzi.

- Zaczniemy jeszcze raz - odezwał się Shevu, siadając naprzeciwko niej po drugiej stronie stołu. - Obraca się pani w nieciekawym towarzystwie.

- Łowczyń nagród to nie jest zakazany zawód - odparła kobieta. - To zależy od tego, na co się poluje.

- Przebywanie w tym samym pomieszczeniu, co Korelianie też nie jest niezgodne z prawem, ale widzę, że staracie się to zmienić - odgryzła się aresztantka.

- Wy tłumaczę pani, o co mi chodzi. - Shevu starał się być uprzejmy i mówić półgłosem. - Wypuszczę panią, jeżeli się dowiem, dlaczego ukrywała się tam pani w towarzystwie koreliańskiego agenta, mając przy sobie sporo śmiertelniegroźnego żelastwa, i dlaczego zdecydowała się pani z niego strzelać do żołnierzy z 967. Oddziału Komandosów. W przeciwnym razie dojdę do wniosku, że stanowi pani zagrożenie dla bezpieczeństwa. Zostanie pani tutaj na bardzo, bardzo długo. Może na zawsze.

Zachowując kamienny spokój, Habuur usiadła wygodniej na krześle i spojrzała na Bena.

- Co tu robi ten dzieciak? - Warknęła.

- To praktykant - odparł wymijająco Shevu.

- Widzę, że na Coruscant zaczynacie szkolić zbirów w młodym wieku.

Oficer położył na stole przed kobietą skonfiskowany komunikator i komputerowy notes. Ben

wyczuwał, że Habuur jest bardzo zdenerwowana, ale nie odbierał tego wyraźnie, jakby jej niepokój i wrogość były skierowane na coś poza całą.

- Lubi pani gwiazdne statki? - Zagadnął Shevu.

Habuur wzruszyła ramionami.

- Latanie jest lepsze niż chodzenie - powiedziała.

- W pamięci tego notesu zarejestrowała pani wiele obrazów różnych typów statków. - Shevu włączył urządzenie i obrócił tak, żeby kobieta mogła widzieć ekran. - Na kogo pani polowała? Habuur nie spojrzała na ekran, tylko na kapitana komandosów.

Ben przechylił głowę, żeby zerknąć na wizerunki na ekranie, ale notes stał pod tak ostrym kątem, że zobaczył tylko rozmazane plamy.

- Proszę się nie upierać i powiedzieć mi, co naprawdę tu pani robi - kontynuował Shevu cierpliwie. - Jeżeli przyłapała tu pani schwytać jakiegoś złoczyńcę, to nie będziemy się tym przejmować.

- Czy nie powinnam dostać adwokata? - Zagadnęła niespodziewanie Habuur.

- Zgodnie z nadzwyczajnym trybem tego śledztwa adwokat pani nie przysługuje - odparł Shevu. - Jest pani zdana na własne siły.

- W takim razie wkrótce będzie pan musiał mnie wziąć na tortury - odparła kobieta.

- Czy mam się skontaktować z pani przyjaciółką?

- Nie mam żadnej przyjaciółki - parsknęła łowczyni nagród.

- A ta, która się stara z panią połączyć?

- A kto to taki?

- Mirta Gev.

Na twarzy Habuur nie drgnął ani jeden mięsień, ale Ben wyczuł falę silnych emocji - strachu, przerażenia i tęsknoty - które wezbrały i otoczyły aresztantkę niczym pole energetyczne. Shevu też zareagował, jakby to zauważył. Ben zastanowił się, w jaki sposób osoby pozbawione władzy nad Mocą umieją wyczuwać tak dobrze skrywane emocje. - Miała odzyskać dla mnie pewien klejnot - odezwała się Habuur. Zabrzmiało to, jakby mówiła prawdę. Zmienił się ton jej głosu i właściwości otaczającej ją Mocy. - Naszyjnik mojej matki. - Wygląda na to, że go odzyskała - stwierdził Shevu.

Habuur siedziała, pozornie odprężona, na durastalowym krześle, ale Ben zauważył, że drżą jej mięśnie szczęki. Shevu wstał i gestem polecił Benowi, żeby wyszedł za nim. Zamknął drzwi celi.

Sprowadź tu Girduna - polecił. - Chcę, żeby sprawdził, kim jest ta Mirta Gev. Jeżeli tu leci, chciałbym osobiście powitać ją w stolicy... Zwłaszcza jeżeli jest uzbrojona po zęby jak kiedyś ta dama w celi.

- Nie obawia się pan zostawiać jej sam na sam z Girdunem? - zapytał chłopiec.

Shevu zmarszczył brwi.

- To bardzo dorosłe pytanie - powiedział.

- Girdun zrobił na mnie fatalne wrażenie.

- Wyczułeś to w Mocy, tak? - Domyślił się kapitan.

- Tak.

- Strzał w dziesiątkę - przyznał Shevu. - Girdun to były oficer Wywiadu Nowej Republiki. Przyzwyczał się do innych metod niż te, których musimy przestrzegać jako funkcjonariusze policji. - Jacen zwerbował do 967. Oddziału Komandosów bardzo dziwne osoby obojga płci. Ben uznał, że niektóre z nich go przerażają. Widział różnice, jak Shevu je nazywał, w „kulturze” członków oddziału wywodzących się z Wywiadu, policji i wojska. - Ale tutaj nie ośmieli mi się sprzeciwić.

- To dobrze. - Widać było, że to Shevu dowodzi, chociaż obaj mężczyźni mieli ten sam stopień wojskowy. - Już lecę.

Oficer wrócił do sali przesłuchań, a Ben udał się na poszukiwania kapitana Girduna. Starał się nie iść za szybko. Znalazł oficera w koszarowej sali gimnastycznej. Nowo powstały

967. Oddział Komandosów nie miał jeszcze kwatery dowództwa i musiała korzystać z ośrodka szkoleniowego Rezerwy Floty.

Girdun, który nie czuł się zbyt swobodnie w czarnym mundurze, rozmawiał z kilkoma sierżantami. Dopiero po chwili Ben zauważył, że za nim na podłodze siedzą rzędem ludzie ze skrzyżowanymi nogami i z rękami na głowach. Niektórzy wyglądali jak złoczyńcy, których Ben powinien za wszelką cenę unikać, a inni zupełnie zwyczajnie. Pośród aresztowanych przeważali mężczyźni.

- Ostatnia zdobycz - wyjaśnił jeden z sierżantów. - Cenna wskazówka, chłopcze.

Ben powiódł spojrzeniem po sali gimnastycznej. W dużym pomieszczeniu panowała cisza, jeżeli nie liczyć nerwowego dyszenia. Chłopiec poszukał wśród aresztantów kogoś, kogo powinien rozpoznać. Znalazł.

Zatrzymał spojrzenie na jasnowłosym chłopaku kilka lat starszym od siebie. Barit Saiy siedział pośród innych Korelian aresztowanych tej nocy i patrzył na Bena z nieukrywaną wrogością. - Tak, cenna wskazówka - powtórzył machinalnie Girdun.

- Do czego jestem ci potrzebny?

Ben wiedział, że już nigdy więcej nie będzie dzieckiem. A pragnął tego teraz bardziej niż czegokolwiek na świecie.

ROZDZIAŁ 14

Ke barjurir gar'ade, jagyc'ade kot'la a dalyc'ade kotla'shya.

Ucz swoich synów, aby byli silni, ale swoje córki, aby były jeszcze silniejsze.

mandaloriańskie porzekadło

Bar Zerrii, Dralia, system koreliański

- *Mand'ador!* - Odezwał się nieznany Fettowi żołnierz. *Gal'gala?*

Zdjął mandaloriański hełm i sztywno, oficjalnie kiwnął mu głową. Wojownik był zakuty w szaroniebieski pancerz, a na lakierze hełmu widniała ciemnoszara plama o kształcie dłoni dziecka.

Mężczyzna miał także verpinski karabin, przewieszony przez lewe ramię.

- To Ram - wyjaśnił Beviin. - Ram Zerimar. Jest naszym najlepszym strzelcem wyborowym. Podejmuje się delikatnych zadań.

Zerimar skinął uprzejmie głową. Fett chciał go zapytać o odcisk dłoni dziecka, ale po namyśle zrezygnował. Mirta obrzuciła Fetta ukradkowym, strofującym spojrzeniem.

Łowca nagród zdążył się do nich przyzwyczaić. - Twierdzi, że chce postawić ci kolejkę - oznajmiła.

- Później. - Fett odpowiedział Zerimarowi takim samym skinieniem głowy. Nawet moi ludzie nie wiedzą, jak wyglądam, pomyślał. - Najpierw porozmawiajmy.

Nic nie mogłoby załatwić wolnego stolika w zatłoczonym barze równie szybko jak widok sześciu zakutych w kompletne pancerze Mandalorian. Beviin postanowił przedstawić ich Fettowi.

Nazywali się Zerimar, Briike, Orade, Vevut... I Talgal, jedyna kobieta, która wyglądała tak zadziornie, jakby Yuuzhan Vongów jadała na surowo. Oprócz Beviina nikt nie walczył z Yuuzhanami u boku Fetta, więc łowca nagród ich nie znał. Wodząc spojrzeniem po twarzach wojowników, zauważył, że patrzą podejrzliwie na Mirtę.

- To łowczyni nagród - wyjaśnił zwięźle. - Nazywa się Mirta Gev. Miała mandaloriańskiego ojca.

Wszyscy od razu się uspokoili. Fett zauważył, że odprężyły się nawet ich mięśnie. Mruknęli chórem: *Su'cuy gar. To logiczne wśród wojowników pozdrowienie oznaczało: „A zatem nadal żyjesz”*. Wojownicy nie oczekiwali wiele od życia i często niewiele od niego dostawali.

- Co sądzicie o tym, żeby zająć się obroną stacji Centerpoint? - Zagadnął Fett. Zapadła cisza,

dowodząca zupełnego braku zainteresowania.

Fett obserwował parę sekund, jak wojownicy zastanawiają się nad jego propozycją. Podejrzał, że gdyby nie był Mandalorem, oszczędziliby sobie nawet tego.

W końcu Orade - krótko ostrzyżony blondyn ze złamanym nosem i złocistorudą kępką na czubku brody - zaplótł palce rąk na blacie stołu, zarysowując wypolerowaną powierzchnię. - A co ty o tym sądzisz? - Zapytał.

- Moim zdaniem Sal-Solo to samolubny, sadystyczny kłamca, ale tak można byłoby określić większość moich klientów - odparł Fett. - Spodziewam się także, że przegra, a przegrani nie płacą. - Prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi, pomyślał. Mam w tej chwili na głowie poważniejsze problemy. - Zamierzam jednak wysłuchać tego, co ma do powiedzenia. A co wy o tym sądzicie? - Podchodzimy do tego bez entuzjazmu - odezwał się Vevut.

Jeszcze jeden obcy, pomyślał Fett. Vevut miał długą, czarną, kędzierzawą brodę, w którą wplótł złote pierścienie, a ciemną skórę jego prawego policzka przecinała imponująca blizna. Dopił piwo i pstryknął palcami na przechodzącego nieopodal robota. - Może powinniśmy poczekać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, zanim zgodzimy się przyjąć jego propozycję?

- Gdybyś naprawdę uważał, że to sprawa warta zachodu, miałbyś za sobą setkę wojowników, *Mand'alor* oznajmił Beviin. Zgadzam się z Vevutem. Powinniśmy się wstrzymać z podjęciem decyzji. Od czasu inwazji Yuuzhan wszystko się zmieniło. Vevut odwrócił się na krześle, aż zaskrzypiały elementy jego pancerza, i spojrzał groźnie na krzątającego się po sali robota. Automat posłusznie podjechał do niego. - Tak... Nie rozglądamy się rozpaczliwie za robotą - powiedział. - Na farmach i tak mamy jej co niemiara.

- Szanowny pan sobie życzy? - Odezwał się robot. - Przepraszam, że kazałem panu czekać.

- Najwyższy czas - mruknął Vevut. - Jeszcze jedno piwo, jeśli łaska.

Robot wykonał piruet, aż od wypolerowanej kopułki odbiły się błyski światła za barem, i nachylił się w ukłonie.

- Nazywam się Forre Musa i jestem robotem artystą, zatrudnionym w celu dostarczania rozrywki szanownym gościom - przedstawił się.

- Wolałbym jednak, żebyś przyniósł mi jeszcze jedno piwo odezwał się półgłosem Vevut. Mirta od czasu do czasu zerknęła na drzwi. Fett cały czas obserwował dyskretnie jej dłonie. - Jakiego rodzaju rozrywkę masz na myśli?

- Och, najwyższej intelektualnej wartości, proszę pana - odparł Forre Musa. - Mogę odczytać panu ważny traktat, pełen politycznych aluzji. Mogę wygłosić komentarz na temat spraw bieżących widzianych z wyjątkowej perspektywy. Mogę zapoznać pana z najwspanialszymi dziełami literatury, naturalnie wszystko mojego autorstwa, a nawet opowiedzieć jakąś legendę. Co szanowny pan sobie życzy? - Wolelibyśmy usłyszeć kilka dowcipów - odezwała się Mirta.

- Nie zajmuję się dowcipami - oburzył się robot. - Jestem poważnym artystą. Mirta wyciągnęła blaster i wymierzyła w niego.

- Wielka szkoda - mruknęła i jednym celnym, oddanym z bezpośredniej odległości strzałem przysmażyła głośnik, z którego wydobywały się słowa. - Przydałoby się nam trochę zabawy.

Na sekundę w barze zapadła cisza, zakłócana tylko skwierczeniem stopionych obwodów elektronicznych automatu. Po chwili wszyscy w barze zajęli się swoimi drinkami. Vevut i pozostali Mandalorianie wybuchnęli śmiechem. Wszystko wskazywało na to, że Mirta zdała egzamin z sarkastycznego poczucia humoru.

Na zadowolonego wyglądał nawet dabiański barman. Przetawił kilka szklanek i zaczął jedną wycierać. Drugą parą rąk poszperał w szufladzie i wyciągnął arkusik flimsiplastu z polisą ubezpieczeniową.

- Wspaniale się pani zachowała - powiedział z wyraźną radością, wypisując coś na formularzu, ale nadal wycierając lśniąca szklankę. - Psuł mi cały interes, a jego producenci nie chcieli mi zwrócić utraconych zarobków.

- Zawsze chętnie wspomagam miejscową gospodarkę - oznajmiła łowczyni nagród.

- Darmowe piwo dla wszystkich! - Wykrzyknął barman.

- Podoba mi się ta dziewczyna - stwierdził Vevut.

- No to naucz ją grać w chega - zaproponował Fett. Wskazał ustawiony pośrodku sali stół. - Chcę pogadać z Beviinem.

Cheg był rozrywką brutalną i hałaśliwą. Fett przez parę minut obserwował graczy i zauważył ze zdziwieniem, że Mirta zaskakująco szybko przyswoiła sobie jej reguły. Uderzyła dłonią niewielki krążek, kierując go na drugą stronę planszy, i równocześnie odepchnęła barkiem Orade'a, który usiłował go przechwycić.

- Możesz się nie martwić, powiedziałem im, żeby nie mówili przy niej o nagrodzie, na którą poluje Ailyn - zaczął Beviin. - Jak to się stało, że przygarnąłeś taką przybłądę? Nie wiedziałem, że jesteś do tego zdolny.

- Zaproponowała, że doprowadzi mnie do Ailyn, bo wykonuje dla niej pewne zadanie - odparł Fett.

- Sam byś znalazł Ailyn bez trudu - zauważył Beviin. - Ktoś widział Solo na Korelii. Musiałbyś tylko tam polecieć i uzbroić się w cierpliwość.

- Dziewczyna ma naszyjnik mojej żony - poinformował łowca nagród. - Chcę się dowiedzieć, jak go zdobyła. - Zastanowił się, czy nie wyjawić Beviinowi prawdy o stanie swojego zdrowia, ale doszedł do wniosku, że może z tym poczekać. - Chciałbym też przy okazji rozwiązać kilka problemów osobistych. - Lubisz tę dziewczynę - stwierdził Beviin.

- Powiniennem być ją wyrzucić w próżnię - burknął Fett. - Całą drogę besztala mnie i dowodziła, jakim jestem okropnym Mandalorem.

- To znaczy, że nie jest ślepa - zachichotał mężczyzna.
- Nie podoba ci się sposób, w jaki załatwiam swoje sprawy?
- Tak, podobnie jak kilku innym w tej chwili - przyznał Beviin. - Nie zrozum mnie źle. Nikomu nie zależy na pozbawieniu cię tego zaszczytu, a przynajmniej o nikim takim nie wiem. Problem w tym, że wojna z Yuuzhan Vongami była dla nas dzwonkiem alarmowym. Potrzebujemy kogoś więcej niż tylko symbolu. - Mandalorzy nie są administratorami - przypomniał Fett.

- Mandalorianie umieją sami kierować swoją społecznością... Gdziekolwiek w galaktyce się znajdują. Przywódcę muszą mieć tylko wtedy, ilekroć czują taką potrzebę. - No cóż, może właśnie w tej chwili ją czują - stwierdził Beviin. - Mieszkańcy galaktyki zajmują się wyłącznie odbudową swoich planet. Może najwyższy czas, żebyśmy i my się o to zatroszczyli. Fett siedział jakiś czas w milczeniu z dłońmi na blacie stołu.

Słyszał wybuchy śmiechu i od czasu do czasu okrzyki w języku, który powinien rozumieć, ale go nie rozumiał.

- Mandalora wciąż jeszcze jest w jednym kawałku - odezwał się w końcu. - Podobnie jak reszta sektora.

- Niewiele brakowało - powiedział Beviin. - A ty nie spędzasz tam dużo czasu.

- Podobnie jak wielu innych Mandalorian - zauważył łowca nagród.

- Nie są Mandalorami.

- Dlaczego to ma w tej chwili aż takie znaczenie?

- Ludziom przychodzą do głowy różne pomysły, po których zaczynają widzieć wszystko w innym świetle - zaczął mężczyzna. - Te opinie się szerzą. Podczas wojny straciliśmy wielu ziomków, a po takiej stracie wszyscy zaczynają się zastanawiać. - Co ci leży na wątrobie? - Zapytał Fett. - Mów bez ogródek. Nie klucz.

- Chcemy, żebyś wrócił do domu i pomógł naszym ludziom - odparł Beviin. - W jaki sposób?

- Kiedyś zjednoczył nas Shysa - przypomniał Beviin. - Chyba czas, żebyś zrobił to samo. - Jestem żołnierzem. Wojna się skończyła - powiedział Fett.

A poza tym umieram, pomyślał. Może to ja będę musiał znaleźć nowego Mandalora, nie ty. - Potrzebujesz raczej kogoś, kto umiałby rozkręcić gospodarkę.

- Więc po co jesteś Mandalorem? - Zapytał mężczyzna. - Nie masz następcy, nie masz klanu, nie masz poczucia obowiązku. Nie jesteś nawet Mandalorianinem. Tylko nosisz mandaloriańską zbroję.

Te uwagi były ryzykowne, ale Beviin chyba się tym nie przejmował. Fett zresztą nie potraktował jego słów jak obrażę; uznał, że to szczerza opinia innego Mandalorianina, który ma pełne prawo ją wypowiedzieć. Zawsze istniał Mandalor, przywódca klanów, namaszczony przez poprzedniego Mandalora albo osobę, która przywłaszczyła sobie jego tytuł na łożu śmierci, czyli na polu bitwy.

Prastara maska, oznaka statusu Mandalora, zawsze była zagrożona.

Może wszyscy już wiedzą, że umieram, pomyślał Fett. Może rozglądają się za kimś, kto zostanie ich przywódcą po mojej śmierci.

- Mówisz, że powinienem być normalną głową państwa - powiedział. - Sęk w tym, że nie mamy takiego państwa.

- Może w dzisiejszych czasach właśnie tego potrzebujemy - powiedział Beviin.

- Organizować urzędy i urzędników, przesiadywać na zebraniach i pozwolić, żeby Mandalora stała się leniwa i rozlazła jak każda inna planeta? - Zapytał Fett.

- W tym wszystkim chodzi o coś więcej, a ty dobrze o tym wiesz - odparł Beviin. Naprawdę trudno było żywić do niego urazę. - Musimy mieć pewność, że jesteśmy wojownikami i mamy cytadelę, której będziemy bronić, zamiast spełniać zachcianki *aruetiise*. Cudzoziemców. Jak powiedziałem, wymaga tego od nas duch czasu. Kiedy patrzyło się na problem z tej perspektywy, nie wyglądał na szaleństwo, ale Fett miał pewność, że to nie ma z nim nic wspólnego. Mandalorianie definiowali się poprzez rodzinę, a rodziny akurat Fett nigdy nie pragnął i po śmierci ojca nigdy nie miał.

Próbowałem, uświadomił sobie, myśląc o Sintas i okresie, kiedy był Wędrownym Protektorem... Rozmyślanie o rozbitej rodzinie sprawiało mu ból. Nie mógł sobie pozwolić na rozpamiętywanie powodów, dla których został wygnany z Concord Dawn. Postanowił zapanować nad emocjami. Perspektywa bliskiej śmierci naprawdę miesza mi w głowie, pomyślał. Doszedł do wniosku, że oto został sam. Nie miał nic przeciwko temu. Zorientował się, że Beviin czeka na jego odpowiedź. - A kto kieruje tym duchem czasu? - Zapytał.

- Prawdę mówiąc, nikt - odparł mężczyzna. - Ale wszędzie gadają o gościu, który nazywa się Kad'ika. Jego zdaniem nadeszła pora, żebyśmy sami zatroszczyli się o siebie. Nie wystarczy gromadzić się w klany i jednoczyć tylko wtedy, ilekroć nam coś zagraża. Trzeba zmienić Mandalorę w coś nowego.

Nigdy o tym nie słyszałem, pomyślał Fett, a przecież na ogół uważam na takie informacje.

- Czyli to on chce zostać Mandalorem, tak? - Zapytał.

- Wcale nie. Chce, żebyś to ty nim był - odparł Beviin.

- Może do mnie przyjść i osobiście mi to powiedzieć - burknął łowca nagród. - Kimkolwiek jest.

Imię Kad'ika rzeczywiście coś mu mówiło. Mandaloriański przyrostek - ika oznaczał, że to zdrobniła forma imienia *Kad*, jak imię dziecka. Fett podejrzewał, że Mandalorianin, który nadał używa dzieciennego imienia, choć uważa je za coś w rodzaju honorowej odznaki, nie jest wcale młody ani słaby. Swego czasu sam polował na kilka silnych, niebezpiecznych celów noszących dzieciennie imiona, co kłóciło się z siłą ich mięśni i uzbrojenia. Wyglądało na to, że podobał się im ten ironiczny kontrast. I tak ich zabił, ale stanowili wyzwanie.

Zawodowiec nigdy nie ryzykował ani nie lekcewał bieżących zadań. Fett postanowił dodać

- Kad'ikę do listy potencjalnych zdobywczy, silnych i niebezpiecznych... Chyba że okazałoby się inaczej.
- Kad'ika oznacza „Mieczyk” - podsunął usłużnie Beviin.
 - Urocze - mruknął Fett. Jeszcze jedna komplikacja, jeszcze jedna tajemnica, pomyślał. Trzymaj się spraw najważniejszych.
 - Lecę teraz na Korelię. - Będziesz się musiał przedrzeć przez blokadę.
 - Dam sobie radę - zapewnił łowca nagród. - Nadal latacie gladiatorami? - Owszem.
 - Utwórzcie szyk i podążajcie za „Niewolnikiem 1” - rozkażą Fett. - Przekonamy się, czy Sojusz jeszcze pamięta, że walczyliśmy dla nich przeciwko Yuuzhan Vongom. Postanowił się czymś zająć. Musiał znaleźć lekarstwo i zobaczyć się z Ailyn. Przede wszystkim jednak musiał oderwać myśli od nieszczęśliwej przeszłości.

Cóż, zamiast tego może się zająć rozwiązaniem problemów Korelii.

Blokada Korelii, wewnętrzna strefa zakazana

Patrolując strefę zakazaną wokół Korelii, podwładni Jacena z Eskadry Łotrów utrzymywali szyk za ogonem jego myśliwca typu XJ7. Okrążenie planety z maksymalną prędkością zajmowało im pięć standardowych godzin.

Piloci latali po niewidocznych liniach trójwymiarowej sieci wokół zespołu orbitalnych konstrukcji, które tworzyły gwiazdną stocznię. Cel był znacznie mniej spektakularny niż stacja Centerpoint, ale odgrywał bardzo dużą rolę w koreliańskiej gospodarce.

Za rufą, po stronie bakburty maszyny Jacena leciała nieufna i rozgniewana Jaina. Powodem jej nastroju mógł być błyskawiczny awans brata do stopnia pułkownika. Jacen wiedział, ile siostra musiała się natrudzić, aby zasłużyć na swój stopień. Wyczuwał jej oburzenie i gniew niczym jaskrawy płomień. Obok sterburtowego skrzydła jego myśliwca leciał Zekk. Piloci eskadry na kilka minut połączyli myśli, ale utworzona przez nich bitwownię jednak nie była równie spójna jak kiedyś.

Straciłem cię, Jaino, pomyślał Jacen. Wiem, że mogę stracić miłość wszystkich, może nawet Tenel Ka, ale muszę to zrobić.

Przestał uważać się nad sobą i polecił, żeby piloci eskadry rozdzielili się na sześć par. Maszyny rozproszyły się w różne strony i zajęły pozycje na orbitach wokół ośrodków przemysłowych i stocznii... A także stacji Centerpoint.

Jak bardzo powinni się do nich zbliżyć, żeby Korelianie otworzyli ogień? Czy w ogóle zdecydują się go otworzyć?

Jeżeli orbitalne ośrodki przemysłowe nie miały eskadr gwiazdnych myśliwców - co było możliwe - obrońcy dysponowali tylko systemami niewielkiego zasięgu i nie spodziewali się pewnie, że kiedykolwiek będą musieli ich użyć. Jacen przełączył komunikator na główny kanał operacyjny i zaczął słuchać rozmów kontrolera ruchu z pilotami innych eskadr oraz oficerem łącznościowcem wysuniętego stanowiska dowodzenia.

- W stronę stacji Centerpoint kieruje się nieuzbrojony transportowiec remontowy.

Zmieniam kurs, żeby go przechwycić.

- Zrozumiałem.

- Zmiataj stąd, kolego...

- Hej, niewiele brakowało.

- Namierzył mnie!

- Masz zgodę na otwarcie ognia.

- Odlatuje... A transportowiec zmienia kurs.

Zekk przełączył komunikator na kanał umożliwiający rozmowę z Jainą. Chyba nie tylko Jacen przysłuchiwał się rozmowom.

- Czy nie powinniśmy tam polecieć? - Zapytał Zekk. - Centerpoint nie jest naszym jedynym celem.

- Cierpliwości, Zekk - przystopowała go Jaina.

Centerpoint niewątpliwie stanowiła ważny cel pod względem politycznym, ale Jacen wiedział, że główny nacisk powinno się położyć na blokadę krążących wokół Korelii fabryk i siłowni. Na pokładach orbitalnych stacji pracowało milion osób, a o ich życie drżały przebywające na dole rodziny.

- Kontakt, namiar dwadzieścia pięć na czterdzieści. - Plamka oznaczająca myśliwiec Zekka na ekranie pokładowego skanera maszyny Jacena zamrugła i zmieniła kurs, kiedy pilot skręcił, żeby przechwycić intruza. Rycerz Jedi zauważył, że Zekk omiótł nieznaną statek promieniami sensorów. Na ekranach monitorów w kabinach wszystkich myśliwców pojawił się nieznaną statek, który wyglądał jak ogromna cysterna. - W porządku. Wszystko wskazuje, że to zbiornikowiec zaopatrujący pracowników w wodę i żywność. Możecie przestać panikować.

- Każ mu zawrócić - rozkazał Jacen.

- Słucham?

- Mamy rozkaz zawracać wszystkie statki.

Z głośnika wydobył się cichy trzask, jakby Zekk na chwilę wyłączył komunikator. - To tylko woda i żywność - odezwał się po chwili. - Nic wojskowego ani przemysłowego.

Zekk czasami naprawdę nic nie rozumiał. Jacen zastanowił się, dlaczego on sam widzi problemy z innej strony niż pozostali Jedi.

- Pracownicy tych orbitalnych fabryk uzdatniają i skraplają każdego dnia tylko niewielkie ilości wody - powiedział. - Muszą uzupełniać jej braki.

- Czy naprawdę uważasz, że to warte zachodu.

- Reguła trzech - przerwał ostro Jacen.

- Słucham?

- Trzy minuty bez powietrza, trzy dni bez wody, trzy tygodnie bez jedzenia - warknął rycerz Jedi. - Tyle może wytrzymać przeciętna istota człękokształtna, a na pokładach tych stacji pracują przeważnie Korelianin. To pierwsza rzecz, której każdy dowódca powinien się nauczyć o oblężeniu. Na pokładzie tej orbitalnej stocznicy pracuje dziesięć tysięcy osób, które na razie nie mogą wrócić do domów i zostaną pozbawione zaopatrzenia. Coś takiego powinno dać ludziom do myślenia.

Z głośnika wydobył się kolejny trzask. Prawdopodobnie Zekk wyłączył na chwilę głos, żeby zakłócić.

- Co ta zmiennokształtna istota zrobiła z Jacenem? - Zapytał z goryczą.

- Po prostu zawróć ten zbiornikowiec, Zekk - polecił rycerz Jedi. - Nie zamierzam zarabiać na popularność.

- Rozkaz... Panie pułkowniku. - Z tonu głosu wynikało, że pilot nie jest tym zachwycony, ale obrócił swój XJ7 w locie, zanurkował i skierował się w stronę zbiornikowca. - Naprawdę dostaliśmy takie rozkazy? - Zapytała cicho Jaina.

- Mamy zawracać wszystkie statki... Wszystkie bez wyjątku - odparł jej brat. - Masz jakieś zastrzeżenia?

- Tylko natury humanitarnej - odparła Jaina.

- Takie postępowanie przyprowadzi Korelię do stołu negocjacyjnego o wiele szybciej, a przy tym nie będziemy musieli marnować amunicji - stwierdził brat.

- No cóż, ty tu dowodzisz... - Stwierdziła kwaśno Jaina - ... Pułkowniku Solo.

Jacen ciekaw był, czy piloci innych eskadr są równie niefrasobliwi w wykonywaniu rozkazów jak Łotry. Bardzo w to wątpił.

Patrowanie trwało długo. W ciągu następnych trzech godzin piloci eskadry nekali statki zaopatrzeniowe i transportowce. Niektóre zawracały, kiedy przelatywali niebezpiecznie blisko.

Piloci innych, bardziej uparci, zmieniali kurs i kierowali się ku powierzchni planety, dopiero kiedy obok kadłuba statku eksplodowała rakietka udarowa. Chociaż raz zadanie pilotów myśliwców typu XJ7 polegało na rzucaniu się w oczy i zastraszeniu, nie na zabijaniu. - Musimy się tym zajmować przez kilka najbliższych miesięcy - odezwał się zmęczony Zekk. - Łatwizna.

- Uważaj na niespodzianki - ostrzegła Jaina. - Rzuć okiem na ekran skanera. Masz na szóstej trzy koreliańskie myśliwce szturmowe. Kuzyn Thrackan już w tej chwili ma nas po dziurki w nosie.

Jacen skręcił i śmignął swoim XJ7 w niebo. Zatoczył pół pętli prawie bez zastanowienia. Wiedział, że leci zwrócony kabiną w dół. Spojrzał przez owiewkę na nadlatujące maszyny. Po chwili ich piloci przelecieli pod nim. Rycerz Jedi miał włączone tłumiki przeciążeń i nie orientował się w położeniu,

ale dokładnie wiedział, że leci nad nieprzyjaciółmi, jakby wykonywał lot bojowy w atmosferze. Wyczuwał i widział Jainę, a także Zekka, którzy lecieli daleko w bok od niego i znacznie niżej, zwróceniu owiewkami w jego stronę. Oboje Jedi, zamiast śmignąć w niebo jego śladem, zatoczyli łuki w przeciwną stronę w płaszczyźnie poziomej, żeby znaleźć się za ogonami maszyn Korelian. Czy omówiliśmy przedtem ten manewr? - Zastanowił się Jacen. A może tylko o nim pomyśleliśmy? Raczej wykonaliśmy go z nawyku, wzmocnionego przez bliźniaczą więź. Już chyba tylko ona łączyła go z siostrą, ale musiał stawić czoło także temu bólowi. Podobnie jak jego rodzice, Jaina nie mogła wejść za nim na ścieżkę, którą wybrał.

Zadowolony chociaż z tych resztek łączącego ich kiedyś prawdziwego zrozumienia, przyspieszył, skończył wykonywać pętlę i zajął pozycję za ogonami myśliwców Korelian. Wyrównał i przeleciał z największą możliwą prędkością kilka metrów nad owiewkami ich kabin. Koreliańscy piloci złamali szyk i się rozproszyli. Jacen nie musiał wydawać rozkazu, żeby pozostali Jedi obrali indywidualne cele. Jaina i Zekk zajęli pozycje tak blisko ogonów maszyn swoich przeciwników, że wiry gazów z ich dysz wylotowych jarzyły się na czołowych polach ochronnych X-wingów. Jacen leciał przed Korelianinem, dając mu się łudzić, że to on ściga pilota Galaktycznego Sojuszu.

Korelianie byli doskonałymi pilotami, ale nie byli Jedi. Minimalne różnice w czasie reakcji i szybkości orientacji w przestworzach przekładały się na znacznie mniejszą skuteczność przy dużych prędkościach. Jacen postanowił wykorzystać tę przewagę. Pozwolił, żeby lecący za nim Korelianin zbliżył się do niego na odległość kilku kilometrów, po czym poleciał w dół jak kamień i oddalił się od niego. Cały czas odnotowywał w myśli swoje położenie w przestworzach, nie tylko w stosunku do nieprzyjaciela, ale także względem JAINY i Zekka, którzy również bawili się w berka ze swoimi przeciwnikami.

Jedni i drudzy zachowywali się, jakby brali udział w ćwiczeniach, w których chodzi o to, kto jest gotów podjąć większe ryzyko. Wykonywali zwroty i uniki, żeby zbadać granice odporności psychicznej przeciwnika. Manewry miały wykazać, że gdyby doszło do wymiany ognia, piloci Sojuszu zwyciężyliby w takim pojedynku.

Jacen był tego pewien do chwili, kiedy zobaczył na ekranie monitora pulsujące czerwone światełko, ostrzegające go, że lecący za nim Korelianin uzbroił raketę i go namierzył. Nie wyczuwał, żeby przeciwnik blefował.

Naprawdę otworzy do mnie ogień, pomyślał.
Korelianin wystrzelił śmiertelny pocisk.

Jacen nie czuł się zagrożony. Nie zapomniał o włączeniu pól deflektorów, a poza tym miał zaufanie do swoich umiejętności i mógł polegać na wytrzymałości kadłuba XJ7. Miał także wabiki, które postanowił wykorzystać. Reagując odruchowo, posłał niewielkiego wabika w strumień gazów wylotowych swojego myśliwca. Wabik rozpadł się na okruchy, które wyglądały dla rakiety jak prawdziwy cel. Chcesz walki, to będziesz ją miał, pomyślał Jacen.

Rakieta eksplodowała za ogonem jego maszyny, tak blisko, że odłamki zabębniły o kadłub. Pilot koreliańskiego myśliwca leciał nadal tuż za nim i nic nie wskazywało, aby żartował. Jacen przypuszczał, że przeciwnik wystrzeli drugą raketę bez pomocy inteligentnego systemu namiarowego, aby pocisk nie zareagował na następny wabik. Przynajmniej ja bym tak postąpił na

jego miejscu, pomyślał rycerz Jedi.

Mógł wprawić koreliańską maszynę w korkociąg, wywierając Mocą nacisk na czubki skrzydeł. Mógł także odciąć dopływ energii do jej jednostek napędowych i pozwolić, żeby myśliwiec dryfował w przestworzach. Nieprzyjacielski pilot zagrażał jednak jego życiu, Jacen postanowił więc się rozprawić i z nim, i z jego maszyną.

Ty pierwszy to zacząłeś, kolego, pomyślał.

Skręcił raptownie w bok i śmignął w górę, a Korelianin zniknął pod nim i poleciał dalej. Jacen zajął pozycję za ogonem jego maszyny. Widząc oślepiający blask gazów wylotowych z silników, zaczął zmniejszać dzielącą ich odległość, aż znalazł się na tyle blisko, żeby dać ognia z laserowego działka. Koreliański myśliwiec przemienił się w kulę białego światła. Co z Jainą i Zekkiem? - Zaniepokoił się rycerz Jedi.

Wyczuł, że oboje kluczą między dwoma pozostałymi koreliańskimi myśliwcami, a po chwili zauważył, że nieprzyjacielscy piloci zmieniają kurs i zawracają w kierunku planety. Nie miał jednak wrażenia, że się wycofują. Pewnie chcieli tylko się przegrupować, aby ocenić tempo eskalacji konfliktu.

Od proklamacji blokady upłynęło zaledwie kilka godzin, a już doszło do pierwszej wymiany strzałów.

- Gratulacje. - Głos Jainy w komunikatorze brzmiał beznamiętnie, chociaż jej obecność w Mocy wcale na to nie wskazywała. Jacen wyczuwał, że siostra jest zrezygnowana. - Trafiłeś do annałów historii. Oddałeś pierwszy strzał w prawdziwej wojnie.

„Niewolnik 1”, kierujący się w głąb koreliańskiej strefy zabronionej, zewnętrzny kordon

- Okręt flagowy „Ocean” wzywa niezidentyfikowany statek - odezwał się operator Galaktycznego Sojuszu. Fett nasłuchiwał w milczeniu. Skanery „Niewolnika 1” emitowały niemal niewykrywalny termiczny i magnetyczny sygnał; taki mógłby wysyłać raketowy skuter. Pod każdym względem statek był niewidoczny... Chyba że ktoś miałby tyle szczęścia, żeby go wypatrzyć gołym okiem. - Podaj swoją tożsamość.

- Tu mandaloriański statek „Beroya”. - Głos Beviina brzmiał ciepło i usłużnie. - Potrzebujecie pomocy?

- Dlaczego mielibyśmy jej potrzebować, „Beroyo”? - Zapytał operator „Oceanu”. - Ściągnęliśmy w ten rejon przestworzy dwie floty.

- Nie kaprysiliście tak bardzo, kiedy chcieliście, żebyśmy walczyli u waszego boku przeciwko Yuuzhan Vongom - przypomniał Beviin.

Fett przygotował się do wykonania manewru, który albo im pozwoli przelecieć w jednym kawałku przez blokadę, albo położy kres wszystkim jego zdrowotnym kłopotom. Jeśli się pomyli w obliczeniach, zostanie razem z „Niewolnikiem 1” rozpylony na atomy. Taki sam los spotkałby także

Mirtę Gev. - Zrób to - szepnęła dziewczyna.

- Zaczekaj... - Powiedział Fett, kładąc palce obok guzika, którego przyciśnięcie miało posłać „Niewolnika 1” do nadprzestrzeni. - Upewniam się, czy mam czystą trajektorię lotu. Operator z pokładu „Oceanu” nie od razu się odezwał. Fett usłyszał, że funkcjonariusz przełyka ślinę.

- Odkąd to Mandalora jest członkiem Sojuszu? - Zapytał w końcu. - Zamierzacie wystawić nam za to rachunek?

- Jesteśmy przyjaźnie nastawieni - zapewnił Beviin. - Niestety nie mogliśmy być członkiem żadnego Sojuszu, nawet gdybyśmy tego bardzo chcieli, bo...

Zręczne odwrócenie uwagi, pomyślał Fett. Gdyby Beviin zaczął wyklądać swoją teorię mandaloriańskiej państwowości, nie dałby dojść do głosu oficerowi łącznościowcowi „Oceanu” przez co najmniej kilka dni. Łowca nagród doszedł do wniosku, że teraz albo nigdy. - Już! - Wykrzyknął.

Wcisnął przełącznik nagłego skoku do nadprzestrzeni i pół sekundy później zrobił to ponownie.

W ciągu sekundy „Niewolnik 1” przyspieszył od kilku tysięcy kilometrów na godzinę do połowy prędkości światła, po czym zwolnił. Fett poczuł się tak, jakby jego żołądek odłączył się od reszty ciała.

Nagle przyspieszenie dało efekt zderzenia się ze skalną ścianą, lecz dzięki temu statek przeleciał przez strefę objętą blokadą tak szybko, że skanery Galaktycznego Sojuszu nie zarejestrowały niczego poza nagłym skokiem energii. Pod wpływem ogromnych sił statek drżał i jęczał, ale Fett zobaczył przed iluminatorem Korelię.

Stwierdził, że zakończył skok zbyt blisko planety. Nie miał teraz czasu na skorygowanie kąta podchodzenia, zanim statek wniknie w atmosferę. Mimo to postanowił dokonać poprawki trajektorii lotu.

Przesłał energię do silniczków manewrowych, co poddało kadłub „Niewolnika 1” następnym nieprawdopodobnym naprężeniom.

- Zawsze masz tyle szczęścia? - Zagadnęła Mirta z napięciem w głosie. Fett nawet na nią nie spojrzał. Jeżeli dziewczyna ma chociaż odrobinę rozumu, powinna być przerażona. Bo on był. Tylko idioci się nie boją.

- Przekonajmy się - powiedział. Rzeczywiście się bał, ale strach nigdy go nie paraliżował. Wręcz przeciwnie, zmuszał go do większego wysiłku.

„Niewolnik 1” wbił się w górne warstwy atmosfery i wskaźnik temperatury kadłuba od razu przeskoczył na czerwone pole.

Do życia obudził się awaryjny komputer, który zaczął korygować trajektorię lotu najlepiej, jak umiał, ale w obecnej sytuacji można było tylko czekać, czy kadłub i szkielet statku wytrzymają najgorsze z

możliwych wejście w atmosferę. Mirta, co należało zapisać na jej korzyść, zachowała milczenie. Fett nie winiłby jej zresztą, gdyby narobiła krzyku.

- Robieś to już kiedyś? - Zapytała. Łowca nagród zauważył, że jej głos lekko drży.
- Raz - rzucił.
- Co za ulga.

Korelia wypełniała już cały iluminator „Niewolnika 1”. Świadomość, jak szybko statek może pokonać odległość dzielącą go od planety, mogła otrzeźwić każdego pilota. W pewnej chwili Fett zauważył, że znajdują się nad Koronetem. Znał to miasto. Wielki park, przecięty na dwie części przez autostradę dla śmigaczy, wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś. Łowca nagród zauważył, że wskaźnik sensora temperatury kadłuba cofnął się na żółte pole i jeżeli nie liczyć złowieszczych trzasków, sytuacja się unormowała.

„Niewolnik 1” zwolnił na tyle, żeby wylądować pionowo dzięki skierowanym w dół dyszom silniczków manewrowych.

Kontrola Ruchu Powietrznego do niezidentyfikowanego tirspraya. Widzimy was... Jesteście więksi od raketowego skutera.

- Tu „Niewolnik 1” - odparł Fett. Jasny gwint! - Pomyślał. Zapomniał, że wyłączył fałszywy transponder, przez co jego statek wysyłał obecnie prawdziwy sygnał. - Musicie mieć uszkodzony skaner.

- Trudno w tych czasach o dobrych fachowców - usłyszał w odpowiedzi. - Macie zgodę na lądowanie w priorytetowym doku. Podążajcie za czerwonymi światłami. - Dobrze wiedzieć, że jesteśmy mile widzianymi gośćmi - odparł Fett. - Prezydent Sal-Solo wysłała po was śmigacz.

Kiedy „Niewolnik 1” osiadł na wspornikach lądowniczych, Mirta westchnęła z ulgą - tak głośno, że łowca nagród to usłyszał. Nigdy nie pozwalał sobie na taką ostentację. Jedno niebezpieczeństwo minęło, a on musiał stawić czoło następnym... Trzeba będzie utrzymać na dystans Sal-Solo, odlecieć z Korelii, odnaleźć tamtego klona i zmusić go do wyjawienia tajemnicy.

A także stanąć oko w oko z Ailyn, co nagle zaczęło mu się wydawać gorsze niż wszystko, co kiedykolwiek robił w życiu.

Dlaczego umierający mężczyzna miałby się przejmować ewentualną katastrofą? - Zadał sobie pytanie.

Odwrócił się do Mirty.

- Chodź - powiedział. - Pomożesz mi zabezpieczyć statek. Nie ufam Sal-Solo, więc nie pozwoliłbym mu podejść do niego bliżej niż na odległość splunęcia. - Tym razem mam ci towarzyszyć? - Zapytała dziewczyna.

- Inaczej musiałabyś spędzić kilka dni sama na pokładzie „Niewolnika 1”. - Fett włączył system przeciwko intruzom, który dla odmiany sprzęgł z systemem autodestrukcji. Nie ufał absolutnie

nikomu, ale niektórym osobom bardziej niż innym. Sal-Solo zajmował pośród nich pierwsze miejsce... Do spółki z Huttami. - Po prostu rób, co ci powiem. - Zabierasz mnie, bo mogę ci się przydać, czy tylko chcesz mieć na mnie oko?

- Robię to, bo nie chciałbym cię zastrzelić, dopóki mi nie powiesz, co stało się z moją żoną - odparł łowca nagród. Nie był pewny, czy powiedział to, żeby dziewczynę przerazić, czy naprawdę tak uważał. Tak czy owak, nie musiał się tym przejmować.

- Naprawdę ją kiedyś kochałem - podjął po chwili. - Po prostu nie wiedziałem, jak żyć w rodzinie.

Czy naprawdę tak uważam? - Zadał sobie pytanie. Tak, chyba naprawdę.

Nie dopuścił jednak Mirty do wszystkich kodów, dzięki którym „Niewolnik 1” zamieniał się w śmiertelną pułapkę dla każdego na tyle szalonego, żeby chcieć się dostać na pokład. Dziewczyna i tak szybko się uczyła podstawowych zasad. Kiedy wyszli z dziobowego wjazdu, na pasku permabetonu czekał już na nich powietrzny śmigacz. Przed pojazdem stało trzech mężczyzn w nienagannie skrojonych garniturach. Wszyscy uśmiechali się uprzejmie.

Jeden z gospodarzy podszedł do Fetta. Był ciemnowłosy i młody, ale wyglądał, jakby wiele przeżył. Wyciągnął rękę i trzymał ją tak niezręcznie, zanim sobie uświadomił, że łowca nagród nie zamierza jej ucisnąć.

- Witamy pana w Koronecie - powiedział. - Jesteśmy reprezentantami trzech głównych partii politycznych w koreliańskim parlamencie. Mamy nadzieję, że będzie pan mógł nam pomóc.

A zatem Sal-Solo wysłał swoich pacholków. No cóż, można się było po nim tego spodziewać. Fett sprawdził na projekcyjnym wyświetlaczu w polu widzenia stan energetycznych zasobników swoich systemów uzbrojenia - na wypadek, gdyby nie wszystko się potoczyło tak, jak zaplanował. Popchnął lekko Mirtę, żeby zajęła miejsce na tylnej kanapie śmigacza, a sam usiadł na fotelu obok pilota. Jego zachowanie wyraźnie zaskoczyło członków komitetu powitalnego.

- Nazywam się Dur Gejjen - przedstawił się młody-stary Korelianin, chyba najmniej zaskoczony z całej trójki. - Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać.

Gejjen mógł przysporzyć mu kłopotów. Fett wyraźnie to wyczuwał.

ROZDZIAŁ 15

Jesteśmy oblężeni. Galaktyczny Sojusz naruszył naszą przestrzeń powietrzną, odciął cywilnym pracownikom orbitalnych stacji zaopatrzenia w jedzenie i wodę i otworzył ogień do naszych wojsk obronnych. Dopuszczał się przeciwko nam wielu jeszcze aktów przemocy. Jeżeli będzie trzeba, stawimy napastnikom czoło sami, ale władze innych planet powinny zadać sobie pytanie: która z nich stanie się następnym celem Galaktycznego Sojuszu? Poprzyjcie nas, dopóki jeszcze możecie.

Thrackan Sal-Solo w przemówieniu wygłoszonym na forum koreliańskiego parlamentu, transmitowanym na żywo przez koreliańską sekcję biuletynu informacyjnego HoloNetu

Gmach Senatu, trzeci dzień blokady Korelii

Na placu przed gmachem Senatu kipiał i falował prawdziwy ocean ludzi - chyba z pół miliona. Jacen widział także długi szereg funkcjonariuszy CSB w niebieskich mundurach, z tarczami bojowymi i opuszczonymi przesłonami hełmów. Policjanci tworzyli obronną barierę przed wejściem do gmachu. Biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców Galactic City, to był tylko protest, nie zamieszki na wielką skalę, ale demonstranci na pewno nie zamierzali owacyjnie powitać bohaterów blokady. Policjanci rozdzielali dwie grupy, z których każda wykrzykiwała obelgi pod adresem przeciwników. Po jednej stronie stali Coruscanie, a po drugiej sympatycy Korelii. Nie sposób było odróżnić Coruscan od zwolenników Galaktycznego Sojuszu.

Jacen słyszał wyraźnie skandowanie tysięcy głosów:

- Znów ma-my Im-pe-rium! Znów ma-my Im-pe-rium! Znów ma-my Im-pe-rium! Rycerz Jedi nie był pewny, ale podejrzewał, że to okrzyki dysydentów, nie zaś Coruscan zachwyconych perspektywą mocnej władzy. Akcje Jacena zostały bardzo dobrze przyjęte w stolicy Sojuszu; śledził wiadomości HoloNetu i informacyjne holoziny. - Żałuję, że nie mogłam pozostać na linii frontu - odezwała się Niathal. - To najgorsza rzecz dla dowódcy. Konieczność spędzania czasu za biurkiem.

- A ja zostanę na froncie tak długo, jak będę mógł - stwierdził Jacen. - Chcę, żeby widziano moją twarz podczas blokady. To dobrze wpływa na morale.

- A więc jednak marzy ci się stanowisko... - Zaczęła Kalamarianka.

- Nie martw się - przerwał młody Solo. - Nie twoje.

- Zauważyłam także, że całkiem przestałeś nosić płaszcz Jedi.

Jacen strzepnął nitkę z czarnego munduru oficera SGS.

- Nie widzę sensu w prowokowaniu wujka Luke'a czy innych członków Rady Jedi - oznajmił. -
Wiem, że nie identyfikują się z moimi poczynaniami.

- To ironia losu, bo z badań opinii publicznej wynika, że popularność Rady Jedi nawet trochę
wzrosła.

- Jedi nie powinni zabiegać o popularność, pani admirał - przypomniał Jacen.

Kiedy służbowy śmigacz powietrzny Niathal zwolnił i podleciał do zgromadzonego tłumu, Jacen
wyjrzał przez okno i zauważył wiele istot obcych ras wśród demonstrantów. - No cóż, zrobiliśmy
oblawę na Korelian, a ich miejsce zajęli inni - zauważył. Rozpoznawał istoty z różnych planet po
ubiorze, fryzurach i strzępkach rozmów. - Popatrz, czy to nie para Rodian?

- Mam tylko nadzieję, że nie widzisz w tłumie żadnych Mandalorian - powiedziała Niathal.

W miarę zbliżania się śmigacza do gmachu Senatu nastrój tłumu stawał się coraz bardziej wrogi. W
jednym miejscu grupa funkcjonariuszy CSB musiała niezbyt delikatnie odepchnąć pałkami
demonstrantów do tyłu, żeby śmigacz mógł wylądować. Kiedy Jacen i Niathal wysiedli, rycerz Jedi
na wszelki wypadek otoczył siebie i Kalamariankę ochronnym bąblem Mocy.

Co prawda nie wyczuwał zagrożenia, a przynajmniej nie w sensie, w jakim zwykle je odbierał.
Uwzględnił okoliczności i odpowiednio zareagował. Z tłumu poleciał ku nim grad kamieni, pustych
pojemników po żywności, butelek i innych przedmiotów.

Część odbiła się od bąbla Mocy, a pozostałe osunęły się po uniesionych tarczach bojowych.

Jacen odwrócił się i ruszył w stronę tłumu. Nie lubił demonstrować swojej władzy nad Mocą w
ostentacyjny sposób, ale czasami taki pokaz dawał do myślenia. Uniósł ręce, zamknął oczy i wysłał
przed siebie energię Mocy, jakby popychał ją dłońmi.

Nic gwałtownego, pomyślał. Nie możesz ich zgnieść ani spowodować popłochu w tłumie, bo
ucierpią niewinni ludzie.

Tłum przed nim cofnął się o kilka kroków. Niektórzy rozglądali się gorączkowo na boki, jakby
szukali osoby, która ich popchnęła. Z dalszych szeregów, gdzie panował ścisk, dały się słyszeć
gniewne wyzwiska i obraźliwe okrzyki. Poleciało stamtąd kilka kamieni, ale wszystkie odbiły się od
ochronnej czaszy bąbla Mocy. Jacen stał nieruchomo i tylko wpatrywał się w tłum ludzi.

Od pierwszego szeregu przed nim w głąb tłumu zaczęła narastać niepokojąca cisza, niczym fala
wracająca po rozbiciu się o brzeg oceanu. Nawet niektórzy funkcjonariusze CSB wyglądali, jakby
skamienieli.

Wszyscy słyszeli o umiejętnościach Jedi, ale niewielu widziało ich w akcji albo doświadczyło na
sobie skutków ich działania.

- Wróćcie do domów - odezwał się w końcu Jacen. - Opuśćcie plac i idźcie do domów, bo inaczej będę musiał coś z tym zrobić.

Demonstranci wprawdzie nie rozbiegli się w popłochu, ale Jacen osiągnął zamierzony skutek: dał funkcjonariuszom CSB dość czasu, żeby znów mogli rozdzielić obie rywalizujące grupy. Rycerz Jedi odwrócił się i podążył za Niathal do gmachu Senatu. Skierowali się do gabinetu przywódcy Galaktycznego Sojuszu.

Siedział tam już Luke, a obok niego Mara. Mistrz Jedi nie wyglądał na zachwyconego widokiem siostrzeńca.

- Wciąż jeszcze nie jesteśmy oficjalnie w stanie wojny - mówił Omas, wyglądając przez okno na tłumy demonstrantów. - Czy Rada Jedi nadal popiera blokadę?

- Tak, ale tylko jako jedyną alternatywę dla wojny albo środek, który ma skłonić Korelian do zaprzestania zbrojeń. - Luke patrzył nie na Omasa, lecz na Jacena. - Co nam daje ta blokada?

Niathal oderwała spojrzenie od ekranu komputerowego notesu i uniosła głowę. Jacen nie był pewny, czy Kalamarianka szanuje Luke'a, bo wcześniej nigdy o tym nie mówili. - Przechwytyjemy albo zawracamy około siedemdziesięciu procent statków usiłujących wlecieć do obu zabronionych stref albo je opuścić, ale jeśli chodzi o tonaż i liczbę przewożonych osób, to prawie dziewięćdziesiąt procent - zaczęła. - Powstrzymujemy duże jednostki, ale nie dajemy rady przechwytywać małych. Krótko mówiąc, blokada odnosi pożądane skutki.

- Czy nie powinniśmy zmienić polityki w sprawie otaczania kordonem orbitalnych zakładów przemysłowych i gwiazdnych stocznii? - Zapytał Luke.

- To i tak dość łagodny sposób wywierania nacisku na ludność cywilną - sprzeciwił się Jacen. - Kiedy tatusiowie nie wracają po pracy w fabryce czy stoczni, rodzinom się to nie podoba, więc wywierają na władze nacisk, żeby temu zapobiegły.

Luke wstał, podszedł do okna, stanął obok Omasa i także spojrzał na plac przed gmachem Senatu.

- Co tu robią demonstranci, Jacenie? - Zapytał. - Zastosowałeś sankcje przeciwko Korelianom. Dlaczego protestują osoby, które nie pochodzą z Korelii? Mara posłała siostrzeńcowi ostrzegawcze spojrzenie, mówiące:

„Nie daj się sprowokować”. Jacen wyczuwał napięcie między nią a Lukiem. Wiedział, że powodem tego stanu rzeczy jest Ben, nie polityka czy prawa jednostki.

- Jeżeli jakkolwiek inna grupa czy rasa istot będzie stwarzała zagrożenie dla bezpieczeństwa Coruscant albo Sojuszu, zastosuję wobec niej te same metody - powiedział. - W ramach prawa - domyślił się mistrz Jedi.

- Tak, w ramach prawa - powtórzył młody Solo. - Domyślam się, że nie pochwalasz moich metod, ale ktoś musi się tym zajmować, żeby nie dopuścić do tragedii na wielką skalę. - W ciągu kilku tygodni mieliśmy kilkanaście zamachów terrorystycznych - stwierdził Luke. - Przykro mi, że było

wiele ofiar, ale musimy postrzegać ich śmierć z perspektywy tego, co robimy dla miliardów.

Jego słowa zwróciły uwagę Omasa. Przywódca Galaktycznego Sojuszu odwrócił się tyłem do okna.

- Proponuję, żeby oznajmił pan to mieszkańcom Coruscant, mistrzu Skywalker - powiedział. - Nasi obywatele nie patrzą na problem pod takim kątem i dlatego terroryzm okazuje się zawsze taki skuteczny. Członkowie Senatu także nie widzą sytuacji w taki sposób. W chwili obecnej Rada Bezpieczeństwa i Wywiadu ma prawo stosować wszelkie nadzwyczajne środki i podejmować decyzje operacyjne dla zapewnienia bezpieczeństwa publicznego.

Luke wytrzymał jego spojrzenie. Jacen zawsze uważał, że wuj jest za miękki i potępia stosowanie siły, ale kiedy mistrz Jedi podejmował jakąś decyzję, był nieugięty. Jaka szkoda, że zajmował stanowisko nie w tych sprawach co trzeba.

- Nadal nie podoba mi się wykorzystywanie sił zbrojnych przeciwko cywilom - powiedział teraz mistrz Jedi.

- W takim razie poradź nam, co robić z uzbrojonym w blaster cywilem, który nie lubi Sojuszu - zaproponował Jacen.

- Tę decyzję podjęła prawowita władza - przypomniał mistrz Jedi rzeczowym, spokojnym tonem. - Nie zgadzam się z nią, ale skoro członkowie Rady Jedi nie zostali wybrani przez obywateli, moja opinia pozostaje moją prywatną sprawą.

Niathal śledziła ich rozmowę z ledwie skrywanym zainteresowaniem.

- To doskonały argument etyczny, ale w tej chwili zależy mi bardziej na powstrzymaniu Korelii przed naprawieniem stacji Centerpoint. Ta broń masowej zagłady mogła kiedyś zmieść z przestworzy Yuuzhan Vongów, a jeśli zostanie naprawiona, doprowadzi Sojusz do ruiny - powiedziała.

Omas o mało nie podskoczył. Walka o władzę stawała się zupełnie jawna.

- Co pani teraz proponuje, pani admirał? - Zapytał. - Ostatnim razem nie udało się nam jej zniszczyć.

- Możemy ją spopielić z orbity - odparła Kalamarianka. - Nie wykluczam, że trzeba będzie to zrobić, chociaż przyznaję, że lepiej byłoby ją zachować w nienaruszonym stanie, aby służyła obronie Sojuszu. - Na jej pokładach przebywa wiele osób - przypomniał Luke. - Podobnie jak na pokładach okrętów - odcięła się Niathal. Omas spojrzał na chronometr i wtrącił się do rozmowy.

- Moim zdaniem ta dyskusja do niczego nie prowadzi - powiedział. - Wkrótce będę musiał przyjąć delegację władz Sektora Wspólnego. - Wskazał kciukiem na trwającą wciąż demonstrację, która, o ile Jacen mógł się zorientować, stawała się coraz bardziej hałaśliwa. Funkcjonariusze CSB zapuszczali się w głąb tłumy, wymachując pałkami, a w powietrzu przemieszczała się złowieszczą chmura gazu łzawiącego. Kiedy demonstranci się rozproszyli, na placu pod chmurą utworzyło się puste miejsce. - Nie zdziwcie się, jeżeli wkrótce zostaną związane sojusze między planetami zamieszkanymi przez istoty, które protestują na tym placu przeciwko nam.

Jacen wykorzystał okazję, żeby wyjść, a Niathal poszła w jego ślady. Kiedy Kalamarianka skrzyła w stronę swojego gabinetu, Luke wziął Jacena za ramię... Właściwie tylko go dotknął, nic więcej, ale Jacen poczuł, że mistrz Jedi aż się wzdrygnął, jakby go poraził prąd. Mara szła za nimi. - Masz pięć minut, Jacenie? - Luke wskazał boczny pokój.

- Widzę, że uciekasz się do eufemizmów - stwierdził z uśmiechem rycerz Jedi. - Słucham?

- Tak naprawdę chciałeś powiedzieć: „Wejdźmy tam, to udzielię ci reprimendy”, tak? - Nieprawda. Chcemy porozmawiać z tobą na osobności o Benie - odparł Luke.

Jacen uprzejmie skinął głową i jeszcze bardziej stłumił możliwe do wykrycia emocje w Mocy, żeby Skywalkerowie mogli wyczuć tylko lekkie zakłopotanie. Drzwi bocznego pokoju zamknęły się za nimi. - Gdzie jest Ben? - Zapytał Luke. - W koszarach pod opieką kapitana Shevu - wyjaśnił Jacen.

Do rozmowy włączyła się Mara. W gabinecie Omasa nie odezwała się ani razu, co samo w sobie było złym znakiem. Mara zawsze wyrażała głośno swoje opinie, nawet jeżeli się różniły od opinii Luke'a... Zwłaszcza kiedy się od nich różniły.

- Jacenie, Luke martwi się, że zabierasz Bena na te akcje - powiedziała.

- Nic mu nie zagraża - zapewnił rycerz Jedi. - Bardziej był narażony na niebezpieczeństwo, kiedy wysłaliście go ze mną na stację Centerpoint.

- Tak naprawdę nie martwię się o jego fizyczne bezpieczeństwo - stwierdził Luke. - Najbardziej niepokoi mnie to, że zamiast uczyć się wykorzystywać władzę nad Mocą w pożytecznym celu, wykorzystuje ją do wyważania drzwi i udziału w obławach na cywilów. - Wszystko zależy od tego, co się rozumie pod pojęciem pożytecznego celu - rzucił Jacen.

- Chcę, żeby Ben poszedł do Akademii i skończył z tym oznajmił Luke.

- W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że jako jego ojciec możesz podjąć taką decyzję, ale pamiętaj, że Ben jest Jedi i ma do wykonania zadania, w których jest zresztą bardzo dobry... Świetnie identyfikuje zagrożenia - odparł rycerz Jedi.

- Na miłość galaktyki, on ma dopiero trzynaście lat! - Zdenerwował się Luke.

- Ale twoim zdaniem był wystarczająco dorosły, żeby wysłać go na wyprawę, w której zazwyczaj biorą udział komandosi - odciął się siostrzeniec. - Nie lubię podawać w wątpliwość twojej logiki, wuju, ale to wszystko dla mnie nie ma sensu. - No dalej, powiedz to, pomyślał. Wygarnij mi, że twoim zdaniem przechodzę na Ciemną Stronę. Bo przecież tak uważasz, prawda? Wyrzuc to z siebie. Oskarż mnie o to. - Ben nie stosuje przemocy. Dlaczego Jaina, Zekk i ja możemy latać na wyprawy bojowe i zabijać innych pilotów, a Ben nie może wyszukiwać terrorystów i pomagać ich aresztować?

Luke pomasaował grzbiet nosa. Mara była blada jak ściana i wyglądała na wyczerpaną, jakby ostatnio żyła w nieustannym napięciu.

Jacen uznał, że pora na jego ruch. Mógł prowadzić swoje akcje bez Bena, pozbawiony ucznia, ale

wcześniej czy później i tak musiałby jakiegoś znaleźć, a Ben robił błyskawiczne postępy. A poza tym Jacen lubił chłopca i chciał, żeby dzieciak jak najlepiej wykorzystał swój potencjał.

- Nie chcę cię wywoływać do tablicy, Maro, ale czy ty się z tym zgadzasz? - Zapytał. - Sądzę, że powinniśmy porozmawiać o tym z Benem - odezwała się ostrożnie mistrzyni Jedi. - Jestem zadowolona, że się ustatkował. Moim zdaniem musimy wrócić do tej rozmowy na spokojnie.

- Nie masz racji - wtrącił się Luke. - Jest coś, co powinniśmy omówić od razu. Jacenie, musisz wiedzieć, że na Coruscant przyleciała Lumiya. Wiesz, kim ona jest, prawda? Jacen musiał przywołać na pomoc całe opanowanie, żeby udawać, że o niczym nie wie. Postanowił użyć czasu przeszłego, jakby odsyłał tę postać do historii. - Tak - przyznał. - Była Ciemną Jedi.

- Ale wróciła. Jest tu - ciągnął Luke. - Moc podsuwała mi w snach przerażające wizje, w których widziałem zagrażającą nam wszystkim postać w kapturze. Wreszcie wyczułem, że Lumiya przebywa gdzieś w pobliżu.

Zachowuj się ugodowo, jakbyś chciał go udobruchać, napomniał się młody Solo. - Co to ma wspólnego z Benem? - Zapytał.

- Jeszcze nie wiem - przyznał mistrz Jedi. - Obawiam się jednak, że bardzo wiele. Musisz wiedzieć, że Lumiya potrafi wpływać na bieg wydarzeń w taki sposób, aby osiągać własne cele.

- W porządku. - Jacen uśmiechnął się półgębkiem z zakłopotaną miną. - Będę się miał na baczności.

Luke dziwnie oklapł. Zapewne przypomniało mu się, że kiedyś sam wypowiedział te słowa, a później... Wyszło, jak wyszło.

- Kiedy Ben skończy na dzisiaj zajęcia, poproś go, żeby przyszedł tu i zobaczył się ze mną - powiedział Luke. - Nie odpowiada na wezwania przez komunikator.

Jacen uznał, że nie ma sensu protestować. Wiedział, że Ben i tak nie usłucha ojca, i wyczuwał, że Mara nie zmieni swojego zdania.

- Zgodzę się na wszystko, na co zgodzi się Ben - obiecał.

Opuścił pokój i ruszył korytarzem do szybu turbowindy. Nie wiedział, czy wrócić na linię frontu, czy też może zająć się zapewnieniem sobie bezpieczeństwa, ale doszedł do wniosku, że to drugie jest o wiele pilniejsze. Kiedy wyszedł na plac, przekonał się, że tłum został rozpedzony, a funkcjonariusze CSB ładują na pokłady szturmowych patrolowców skutych kajdankami demonstrantów obojga płci, którzy mieli trafić do aresztu. Sytuacja musi się pogorszyć, zanim się polepszy. Jacen postanowił wrócić do kwatery dowództwa SGS. Chciał, żeby Shevu poinformował go o postępach w przesłuchiowaniu aresztowanych, a zwłaszcza podejrzanej łowczyni nagród.

Przedtem musiał jednak załatwić pilniejszą sprawę. Włączył komunikator i wybrał kodowany, bezpieczny kanał.

- Lumiya? - Zapytał. - Muszę z tobą porozmawiać.

Kwatera główna Straży Galaktycznego Sojuszu, kwadrant A-89, Galactic City

Kolejne zamieszki wybuchły w jednej z dzielnic handlowych. Grupa funkcjonariuszy Wywiadu SGS przeglądała obrazy, przesyłane do nich przez kamery w hełmach zajętych rozpedzaniem tłumów funkcjonariuszy CSB. Ben obserwował jakiś czas przekazywany materiał. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób funkcjonariusze rozpoznają twarze i śledzą ruchy osób stanowiących ich „obiekt zainteresowania”. Jedi polegali wyłącznie na wrażliwych na Moc zmysłach, więc nie interesowało ich, jakim tokiem biegną myśli zwykłych ludzi, którzy mieli do rozwiązania rozmaite problemy. Jacen zawsze mu o tym przypominał. Przestrzegwał kuzyna, żeby nie pozwolił umysłowi zardzewieć tylko dlatego, że ma władzę nad Mocą. - Czy w tej chwili panujemy nad tłumem? - Zapytał chłopak.

Jeden z funkcjonariuszy odwrócił się w jego stronę, nie odrywając spojrzenia od ekranu.

- To problem CSB - powiedział. - My tylko wypatrujemy w tłumie twarzy, które zapamiętaliśmy z poprzedniego zadania. - Agenci Wywiadu służyli kiedyś w jednostce antyterrorystycznej CSB. W pewnej chwili mężczyzna wskazał na ekranie osobę częściowo zasłoniętą przez innych demonstrantów. - Moim zdaniem to nasz dobry znajomy, którego jakoś nigdy nie zdołaliśmy oskarżyć o posiadanie materiałów wybuchowych.

Funkcjonariusze wyglądali na zadowolonych. Ben cieszył się, że będzie mógł im towarzyszyć, kiedy zaczną „przetrząsać to miejsce”, jak to określali. Ciekawe, ilu terrorystów miało za sobą normalną kryminalną przeszłość. Ben miał ich zawsze za fanatyków, dążących do politycznego celu, ale prawda była bardziej skomplikowana. Wyglądało na to, że w działalność terrorystyczną można się wplątać ze wszystkich możliwych powodów. Z każdą upływającą godziną chłopiec dowiadywał się więcej.

- Benie? - Przez otwarte drzwi zajrzał Shevu. - Wrócił pułkownik Solo. Zamelduj się u niego w bloku więziennym.

- Rozkaz, panie kapitanie. - Ben pokonał odległość od bloku więziennego najszybciej jak mógł, chociaż nie biegiem. Zastał Jacena z kapitanem Girdunem. Rozmawiali półgłosem, ale wyraźnie się kłócili. Ben usłyszał słowa „wyniki” i „niedostateczne”.

W pewnej chwili Jacen odwrócił się i pokiwał na kuzyna palcem. Oznaczało to, że Girdun może odmaszerować. - Oglądałem wiadomości - powiedział Ben. - Piękny strzał.

- Strzelanie nigdy nie bywa piękne - burknął Jacen ze wściekłą miną, ale zaraz się rozchmurzył. - Ale czasami jest konieczne.

Posłuchaj, twoi rodzice chcą z tobą porozmawiać. Zobacysz się z nimi? To by było dyplomatyczne posunięcie.

- Tata jest na mnie wściekły, co? - Domyślił się młody Skywalker. - Dlaczego tak uważasz?

- Zawsze jest - stwierdził Ben. - Dla niego nigdy nie jestem dość dobry.

- Martwi się o ciebie i chce się upewnić, że nie uczę cię czegoś złego. - Jacen położył dłoń na ramieniu chłopca. - Wolałby, żebym cię w ogóle nie szkolił, chociaż twoja matka nie ma nic przeciwko temu. Nie mogę do niczego zmusić ani jego, ani ciebie, ale jeżeli możesz, spróbuj się z nim nie pokłócić.

Ben od razu się domyślił, jak to się skończy. Odeślą go do Akademii. Nie mógłby tego znieść. Na pewno musiał się jeszcze wiele nauczyć, ale wiedział też, że przekroczył pewną granicę i nie mógłby teraz wrócić do ćwiczeń w posługiwaniu się świetlnym mieczem czy do medytacji. Wykonywał wreszcie prawdziwą pracę, na coś się przydawał i nie miałby dość cierpliwości, aby zająć się znów teorią. Może Jacen mógłby go nauczyć czegoś więcej o dyplomacji.

Taka umiejętność mogłaby mu się przydać na równi ze zdolnością do wsłuchiwania się w podszepty Mocy czy maskowania w niej swojej obecności... A jedno i drugie także bardzo chciałby opanować.

- Dobrze - powiedział, nie kryjąc zdenerwowania. - Odwiedzę ich wieczorem.

- A teraz przekonajmy się, co zechce mi powiedzieć Ailyn Habuur - stwierdził rycerz Jedi.

Łowczyni nagród siedziała w areszcie prawie od tygodnia, ale Ben zobaczył ją pierwszy raz od czasu, kiedy przesłuchiwał ją Shevu. Habuur nigdy nie grzeszyła urodą, ale teraz wyglądała naprawdę okropnie. Pod nieobecność Shevu Girdun chyba kiepsko się nią opiekował. Ben zauważył sińce na jej twarzy. Kobieta siedziała przy stole, nisko pochylona, i oddychała z wyraźnym wysiłkiem.

- Muszę wiedzieć, kogo zamierzałaś tu zabić - odezwał się poważnie, rzeczowo Jacen. Usiadł naprzeciwko niej po drugiej stronie stołu i gestem wskazał Benowi krzesło obok drzwi. - Czy twoim celem miał być przywódca Omas?

- Miałam tylko odzyskać dług - odezwała się Habuur. Nie wyglądała już tak zadziornie jak przed kilkoma dniami, ale też nic nie wskazywało, żeby się miała załamać. - Nie wyciągaj pochopnych wniosków z tego, że byłam uzbrojona.

- Miałas przy sobie dość żelastwa, żeby załatwić pluton żołnierzy przypomnieli Jacen. - Przebywałaś w towarzystwie znanego koreliańskiego agenta, więc wiem, który rząd ci zapłacił.

- Mówiłam, że zależało mi tylko na odzyskaniu długu... - Powtórzyła aresztantka. - W tej branży panuje ogromna konkurencja.

- Jeżeli przyleciałaś na Coruscant, to na pewno szukałaś ważnej osobistości Sojuszu - doszedł do wniosku rycerz Jedi.

- Wyciągnęłaś już ze mnie wszystko, co miałam ci do powiedzenia - syknęła Habuur. - Czy mogę teraz skontaktować się z adwokatem?

Nagle, pozornie bez powodu, kobieta uderzyła głową o blat stołu. Ben wzdrygnął się, kiedy usłyszał głuchy huk, ale Jacen siedział bez ruchu. Habuur powoli się wyprostowała. Z jej czoła spływała strużka krwi. Aresztantka była bardziej zaskoczona niż oszołomiona, chociaż wyglądało na to, że ma złamany ząb.

- Niezła sztuczka, chłopcze Jedi - powiedziała.
- Umie takich więcej, Habuur - mruknął Jacen.
- Mogę się założyć.

- Spróbujmy od początku - zaproponował Jacen. - Czy twoim celem miał być Omas? Kto jeszcze z tobą współpracuje?

Ben nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy kilka chwil później Jacen posłużył się Mocą, żeby jeszcze raz zmusić Habuur do uderzenia głową w stół.

- Jacenie... - Odezwał się niepewnie. Kuzyn nie powinien tak postępować. Dlaczego on to robi? - Jacenie, czy nie powinieneś...

- Później. - Rycerz Jedi obejrzał się na Bena z zaskoczoną miną, jakby nagle przypomniał sobie, że chłopiec też bierze udział w przesłuchaniu. - Wyjdź i zaczekaj na korytarzu.

Ben wolałby znaleźć się daleko od sali przesłuchań, tam, gdzie nic by nie słyszał, ale wiedział, że musi czuwać... Zupełnie jakby pozostawienie kuzyna sam na sam z Habuur, dało mu wolną rękę i pozwoliło robić jeszcze gorsze rzeczy niż do tej pory. Jacen nie zawaha się przed krzywdzeniem ludzi, pomyślał chłopiec. Ucieszyłem się, kiedy zestrzelił tamten myśliwiec, chociaż jego pilot zginął. Więc dlaczego czuję się paskudnie, kiedy widzę, jak Jacen sprawia komuś ból? Odpiął rękojeść świetlnego miecza i wpatrywał się w nią uważnie, nie chcąc się przysłuchiwać odgłosom przesłuchania. To także jest broń, pomyślał. Szkolił się, żeby wykorzystywać ją do samoobrony, ale klinga kryła w sobie wystarczająco dużo energii, żeby można nią było odciąć komuś głowę czy przebić na wylot czyjś pancerz. On jeszcze nigdy nikogo nią nie zabił.

W takim razie po co nosić świetlny miecz, jeżeli nie można się pogodzić z tym, że broń służy do zabijania ludzi? Ben wiedział, że Jacen wykorzystuje swoją broń - w tym przypadku władzę nad Mocą - do obrony Galaktycznego Sojuszu przed ludźmi pokroju Ailyn Habuur, ale nie mógł zapomnieć, że kuzyn - człowiek, którego szanował bardziej niż ojca - wyrządza krzywdę bezbronnej kobiecie.

Docierały do niego dźwięki, których nie powinien słyszeć żaden chłopiec, ale nie mógł się przemóc i oddalić się od sali przesłuchań. Siedział tam godzinę, a później następną. Wpatrzony w swoje dłonie, z początku słyszał tylko podniesione głosy, głuche huki i od czasu do czasu jęk bólu, a później już tylko głos Jacena, powtarzającego w kółko to samo pytanie: - Kto cię przysłał i kogo chciałaś zabić? W końcu Ben uświadomił sobie, że nie może tego dłużej znieść. Dość tego Jacenie, pomyślał.

Dwuskrzydłowe drzwi na końcu korytarza rozsunęły się i stanęli w nich Girdun i Shevu. Widząc Bena, podeszli szybko do niego.

- Jacen tam jest - odezwał się cicho chłopak.
- O rety. - Shevu szturchnął Girduna pod żebro. - Chodźmy.

Nie możemy na to pozwolić.

- To on tu dowodzi - przypomniał Girdun.

- Idioto, przecież on ją zabije - warknął Shevu. - Nie wolno prowadzić przesłuchań w taki sposób.

- Kiedyś sami je tak prowadziliśmy - stwierdził Girdun.

- Naprawdę? Cóż, nie zamierzam tego dłużej tolerować. Shevu wyglądał na okropnie zdenerwowanego. Ben chciał, żeby tam weszli, bo w głębi serca wiedział, że to on powinien był jakoś powstrzymać kuzyna. Shevu wpisał na panelu kod, a Ben opanował się z trudem, żeby nie zajrzeć do celi.

- Sanitariusz! - Wykrzyknął Shevu. - Niech ktoś wezwie sanitariusza!

Jacen warknął na kapitana, żeby się wynosił, ale Girdun wpadł za Shevu do sali przesłuchań. Obaj funkcjonariusze ułożyli Habuur na podłodze i zaczęli ją reanimować. Ben obserwował, jak na zmianę uciskają jej klatkę piersiową, sprawdzają, czy oddycha i przykładają palce do szyi, aby wyczuć puls. Jacen wstał od stołu. - Gdzie ten parszywy sanitariusz!?! - Wybuchnął Shevu.

Girdun przyłożył palce do szyi, a później do nadgarstka Habuur.

- Nie wyczuwam pulsu - powiedział.

- Benie, wezwij sanitariusza!

Girdun pokręcił głową.

- Za późno - oznajmił ponuro. - Nie żyje.

Habuur wyglądała okropnie. Młody Skywalker patrzył na nią z nieukrywanym przerażeniem. Jeszcze nigdy nie widział martwej kobiety w takim stanie. Jacen stał nad nią z taką miną, jakby sprawiła mu zawód, bo umarła, zanim zdążyła odpowiedzieć na jego pytanie. - Co pan sobie wyobraża, panie pułkowniku? - Zapytał Shevu.

- Nie wolno traktować aresztantów w taki sposób! Będzie pan musiał o tym zameldować. Jeżeli pan tego nie zrobi...

- Przenikałem już wcześniej do umysłów ludzi, ale kiedy się wycofywałem, zawsze byli cali i zdrowi - rzekł cicho rycerz Jedi.

Wyglądał na zaskoczonego, że jego technika Mocy spowodowała śmierć Habuur, ale raczej nie miał wyrzutów sumienia. Ben zwrócił na to uwagę, chociaż sprzeczący się dorośli zupełnie o nim zapomnieli. - Musimy się dowiedzieć, z kim tu współpracowała. Shevu nie spuścił z tonu. Wyraźnie nie czuł respektu przed Jacenem.

- Powinien pan być to pozostawić mnie, panie pułkowniku - powiedział ostro.

- Dla udaremniania zamachów na życie najważniejszy jest czas - skarcił go Jacen. - Zabójcy mogli już przystąpić do działania.

- Wiem o tym, panie pułkowniku, ale wiem także, że nie wolno zabijać aresztantów podczas przesłuchania - odparł Shevu. - Będę musiał o tym zameldować.

- Proszę bardzo, niech pan zamelduje, kapitanie - rzucił obojętnie Jacen. - Ja muszę się dowiedzieć, kogo miała zabić, a jedyne wskazówki może mi dać niejaka Mirta Gev. - Jest jeszcze ten koreliański agent, panie pułkowniku - przypomniał Girdun, stając prosto. - Nie ma pojęcia, na kogo polowała Habuur. Wyjawiał tylko, że to koreliański wywiad kazał mu znaleźć dla niej bezpieczną kryjówkę i dostarczyć broń. - Co to za agent, skoro tyle wyśpiewał - zdziwił się Jacen. - Potrafię być przekonujący, panie pułkowniku - odparł Girdun. Shevu spiorunował go spojrzeniem.

- Nie chcemy tu mieć następnego zabitego aresztanta - powiedział.

Jacen popatrzył na wylot przez Shevu, jakby kapitana nie było w pokoju przesłuchań. - Na wszelki wypadek popracuj nad nim jeszcze trochę, Girdun - rozkazał.

Muszę coś zrobić, pomyślał Ben. Nie wolno dopuścić, żeby ktoś jeszcze zginął, jak ta kobieta. Wpadł na pomysł, że może wyciągnąć wnioski ze zdobytych informacji, jak uczyli go tego byli funkcjonariusze CSB. Pewnie to nie miało sensu, bo Jacen miał dość sprytu, żeby zauważyć coś, co mogło się przydać, a przekabaceni szpiedzy z sieci Dzikich Mózgu Świata wiedzieli bardzo dużo. Jeżeli Jacen, który miał tak ogromną władzę nad Mocą, nie potrafił wydobyć z Habuur potrzebnych informacji, Ben miał niewielką szansę. Mimo to postanowił się uciec do zwykłych sposobów analizowania zdobytych informacji.

- Czy mogę obejrzeć jej komputerowy notes? - Zapytał najspokojniej, jak umiał. Wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie po przeżytym wstrząsie. Nie wiedział, w jaki sposób Jacen zrobił to, co zrobił, ale kuzyn musiał mieć jakiś powód. Ben doszedł do wniosku, że po prostu jeszcze tego nie rozumie. Musiał się opanować, chociaż bardzo chciał pobiec do domu, do matki.... Tak, i do ojca.

Nie mogę tu dłużej zostać, pomyślał. To nie zabawa. Jestem już dorosły. Nie wolno tak postępować, a później biec do domu, kiedy ogarnia cię przerażenie.

Jacen wręczył mu komputerowy notes. Odzyskał już panowanie nad sobą. - Na pewno nic ci nie jest, Benie? - Zapytał.

- Ja... Po prostu nigdy przedtem nie widziałem martwej kobiety w takim stanie - wykrztusił chłopiec.

- Już wszystko w porządku - pocieszył go Jacen. - Chcesz teraz wrócić do domu? Do mamy? Jeżeli chcesz, proszę bardzo.

- Nic mi nie jest - bąknął Ben.

Wziął komputerowy notes Habuur i wycofał się do najbliższego pustego pokoju, który okazał się dyżurką sprzątającego androida.

Usiadł na przewróconym do góry dnem wiadrze i zaczął przeglądać zawartość pamięci notesu. Starał się postępować metodycznie i myśleć logicznie, ale przychodziło mu to z trudem. Cóż, dopiero co widział, jak jego bohater robi coś okropnego.

O to chodziło. Dopuszczał wreszcie tę myśl do swojej świadomości. Jacen wcale nie był doskonały.

Przeglądając obrazki w pamięci notesu, upewnił się, że istotnie - zgodnie ze słowami Shevu -

wszystkie przedstawiają gwiazdne statki. Musiał jednak przyjrzeć się im kilka razy, zanim się zorientował, że ogromna większość - chociaż nie wszystkie - przedstawia ten sam typ jednostki. Czasami był to tylko szczegół, a kiedy indziej fragment kadłuba, ale nie mógł mieć co do tego cienia wątpliwości.

To był YT-1300, stary koreliański frachtowiec, jakie nadal spotykało się często w przestworzach wokół planet Jądra Galaktyki.

Wyglądało na to, że te łajby są niezniszczalne. Najlepszym przykładem był wysłużony „Sokół” wujka Hana. Ben uświadomił sobie nagle, że znalazł rozwiązanie tajemnicy.

Wstał, wyszedł na korytarz i ostrożnie podszedł do Jacena. Miał nadzieję, że się nie myli i że jego informacja może ocalić koreliańskiego agenta przed przesłuchaniem Girduna. - Polowała na wujka Hana, Jacenie. - Ben zwrócił mu komputerowy notes. - Zapisywała w pamięci wizerunki tego typu frachtowców. Widać je na większości zarejestrowanych obrazów. Sądziła, że Han wciąż tu jest. Łowczyńi nagród szukała „Sokoła”. Jacen zamknął oczy i z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Założyłem, że przyleciała we właściwe miejsce, Benie - zaczął. - Uznałem to za pewnik. To nauuczka dla nas wszystkich na przyszłość... Nigdy niczego nie zakładać. - Zamknął oczy i trzymając komputerowy notes w dłoniach, zaczął się koncentrować, jakby widział coś dzięki Mocy. - Habuur chyba jeszcze nie odkryła prawdziwego miejsca pobytu mojego ojca.

A ja myślałem, że dzięki Mocy potrafisz wszystko, Jacenie, zastanowił się Ben. Dlaczego to przeoczyłeś? Co takiego cię zaślepiło?

Rycerz Jedi otworzył oczy. Podobnie jak Ben, wyglądał na zaskoczonego własnym błędem.

- Masz rację, Benie - przyznał. - Teraz to czuję. Dobra robota. A zatem Mirta Gev też może mieć z tym coś wspólnego... Ta kobieta, która starała się skontaktować z Habuur. - Wyraźnie wstrząśnięty, wyjął komunikator. - Mogę powiedzieć tacie, że schwytaliśmy jedną z wysłanych przez Thrackana osób, które miały go zamordować. Odtąd będzie musiał uważać już tylko na tę Mirtę Gev.

Uściskał Bena z autentyczną ulgą. Chłopak poczuł, że ulga kuzyna spływa z niego niczym woda po kąpieli. Z pokoju przesłuchań wyszedł Shevu; posłał Jacenowi obojętne spojrzenie. Ben wyczuwał, że nie wyraża ono uczuć kapitana, ale Jacen był zbyt zajęty nawiązywaniem kontaktu z wujkiem Hanem, żeby zwrócić na to uwagę.

Młody Skywalker wiedział, co Shevu czuje, i do pewnego stopnia dzielił jego uczucia. Czasami trzeba robić rzeczy, których się nie lubi, i zabijać... Jeżeli się nie ma absolutnie żadnego wyboru, pomyślał.

Jacen miał rację, ale Ben i tak czuł się okropnie. Pomyślał, że zabijanie ludzi nigdy nie będzie mu przychodziło łatwo. Zostawił zajętego rozmową Jacena, bo doszedł do wniosku, że czas stawić czoło ojcu.

Budynek koreliańskiego parlamentu, Koronet, gabinet koreliańskiego prezydenta

Gabinet był ogromny, taki, jakie uwielbiali ludzie małego formatu. Fett nie krył obrzydzenia, widząc, jak łatwo osoby pokroju Thrackana Sal-Solo zrzucają z siebie piętno hańby i oskarżeń o zdradę i znowu zajmują najwyższe stanowiska. Galaktyka była moralnym szambem i w pełni zasługiwała na to, co ją spotkało.

- A więc udało się panu przedrzeć przez blokadę - odezwał się Sal-Solo, rozparty na wspaniałym fotelu z drewna apocia. Oprócz Fetta przyjmował na audiencji także trzech przedstawicieli partii opozycyjnych. W pewnej chwili uśmiechnął się czarująco do Mirty, która jednak nie odwzajemniła jego uśmiechu. Niełatwo daje się oczarować, pomyślał Fett. - Co pan sądzi o mojej propozycji pracy dla Korelii?

- Proszę uściślić swoje wymagania co do stacji Centerpoint - zażądał łowca nagród. - Sojusz dopuścił się tam sabotażu, ale ja zarządziłem dokonanie napraw, dzięki którym za kilka miesięcy stacja stanie się znów w pełni sprawna. - Fett zwrócił uwagę, że SalSolo chętnie używa zaimka „ja”. Bezskutecznie czekał, czy nie usłyszy słowa „my”. - Kiedy osiągnie pełną gotowość, Sojusz nie będzie mógł nas zmusić do rozbrojenia. Nigdy. - A zatem po co panu Mandalorianie? - Zapytał Fett.

- Na razie ekipy naprawcze nie mogą wylądować na pokładzie stacji - wyjaśnił, Thrackan.

- W takim razie proszę poszukać chętnych na księżycu Nar Shaddaa - zaproponował łowca nagród. - Nie potrzeba panu żołnierzy, ale przemytników do przełamywania blokad. - Kiedy wylądują tam ekipy naprawcze, będę potrzebował kogoś do obrony stacji - zauważył Sal-Solo. - Centerpoint stanie się najważniejszym celem Sojuszu.

Fetta nie obchodziły problemy Thrackana. Na ogół nie lubił ludzi, ale teraz rozmawiał z mężczyzną, którego Mandalorianie określali słowem *hut'uun*: *tchórz*, najpodlejsza forma życia. Mirta nauczyła Fetta - wbrew jego woli - wybranych słów *mando'a*. Okazało się, że ten język nadaje się doskonale do przeklinania. - Ile? - Zapytał rzeczowo łowca nagród.

Sal-Solo spojrział w bok, jakby musiał prosić kolegów o zgodę, co go bardzo żenowało.

- Milion - odparł równie zwięźle.

- Na głowę - zażądał Fett.

- Tak.

- Miesięcznie.

- To absurdalna suma - zachnął się Sal-Solo.

- To niebezpieczne zajęcie - przypomniał łowca nagród.

- Miałem na myśli z góry ustalone honorarium - stwierdził Thrackan. - To nie powinno potrwać dłużej niż kilka miesięcy. - Nie przyjmujemy bezterminowych zleceń - warknął Fett.

- Jeśli w grę wchodzi budowa czy odbudowa, miesiące łatwo zamieniają się w lata. - Prawdę

mówiąc, nie miał ochoty się tego podejmować i wiedział, że do takiej pracy nie palą się także jego komandosi. - W dodatku nie wie pan, kiedy będziemy mogli zacząć pracę. Proszę się skontaktować ze mną później, kiedy przetransportuje pan tam ekipy remontowe. Wtedy będziemy mogli konkretnie porozmawiać, ale podtrzymuję milion na głowę miesięcznie. Jeżeli się tego podejmiemy, przyjmiemy na siebie cały impet ataków Sojuszu, który prawdopodobnie najpierw zniszczy pańską flotę. A to oznacza, że będziemy zdani tylko na własne siły. - Ilu ludzi będzie pan potrzebował? - Zagadnął Sal-Solo.

- Ta zabawka jest większa niż Gwiazda Śmierci - zastanawiał się łowca nagród. - Co najmniej stu.

Zauważył, że Thrackan lekko sposepniał. Dwaj pozostali politycy także mieli ponure miny, ale trzeci - Gejjen - wyglądał na uszczęśliwionego. Prawdopodobnie wiedział o budżecie Korelii coś, o czym nie mieli pojęcia dwaj pozostali.

- Chyba nie ma mi pan za złe, że ściągnąłem pana z tak daleka na krótką rozmowę? - Odezwał się Sal-Solo, od czasu do czasu kierując nieszczery uśmiech pod adresem Mirty. - Będziemy w kontakcie.

- Zawsze warto przylecieć na Korelię - odparł Fett. Jasne, opłaca się dostać do budynku rządowego, żeby zarejestrować rozkład pomieszczeń i znaleźć słabe punkty, pomyślał. No i warto się dowiedzieć, na czym zależy twoim kumplom z opozycji. A najbardziej warto wysledzić Hana Solo i zaczekać, aż pojawi się moja córka. - Kto wie, może nawet kilka dni tu zostanę? Politycy uprzejmie się roześmiali.

Ale nie posiedzę długo, pomyślał Fett. Muszę wiedzieć, co się stało z wynikami badań Ko Sai, a także odnaleźć tamtego klona w fantazyjnych rękawiczkach.

- Ma pan czas mnie oprowadzić? - Zapytał. Doszedł do wniosku, że warto zarejestrować wszystko, co zobaczy. - Podoba mi się pańska siedziba.

- Czy mogę prosić, żeby to mnie przypadł w udziale ten zaszczyt, panie prezydencie? - Podchwycił Gejjen.

Fett nie był zaskoczony. Gestem polecił Mircie, żeby mu towarzyszyła. Dziewczyna szła za nimi z posępną miną, jakby nic jej nie interesowało. Gejjen pokazywał Fettowi wspaniałe sale audiencyjne, wyłożone panelami z połączanego drewna apocia, i liczne gabinety. Dzięki sensorom w hełmie i rękawicy łowca nagród rejestrował szczegóły rozkładu pomieszczeń całego korelińskiego kompleksu rządowego, a nawet te fragmenty, których Gejjen mu nie pokazał. Przenikliwy terahercowy radar był naprawdę doskonałą inwestycją. Otaczające kompleks tereny wyglądały równie okazale. Fett ocenił wysokość murów i liczebność patroli Służby Bezpieczeństwa. Podziwiał szpalery kwitnących niebiesko drzew, których korony przycięto tak, że wyglądały jak sześciany.

- Domyślam się, że jest pan bardzo zajęty, Fett - odezwał się w pewnej chwili Gejjen. - Chciałbym jednak złożyć panu pewną propozycję.

Łowca nagród spojrział na Mirtę, która - sądząc po rozbieganych oczach - także starała się

zapamiętać rozmieszczenie budynków kompleksu. Fett pomyślał, że jej mandaloriański ojciec powinien był ją nauczyć doceniania zalet hełmu.

- Ciekaw byłem, kiedy pan o tym wspomni - powiedział.

- Prezydent Sal-Solo nie cieszy się naszym zaufaniem - wyznał Gejjen. - Czy nie zechciałby go pan dla nas usunąć?

Już myślałem, że nigdy mnie o to nie poprosisz, pomyślał łowca nagród. - Na jak długo? - Zapytał.

- Na zawsze. - Kto płaci?

- Wszystkie partie opozycyjne - odparł Gejjen. - Jeżeli połączymy siły, przegłosujemy partię Centerpoint, a bez Sal-Solo jej członkowie potrafią być zupełnie rozsądni. Fett zastanowił się nad tą propozycją. Problemem pozostawał czas. Chciał zdobyć wyniki badań Ko Sai najszybciej jak się da.

A później jeszcze zobaczyć się z córką, pomyślał. Ostatnio, kiedy ją widział, była zbyt młoda, żeby poważnie porozmawiać.

- Kiedy? - Zapytał.

Gejjen wręczył mu niewielki mikroobwód.

- A kiedy pan mógłby się tym zająć?

- Jak tylko pana sprawdzę. - Fett przycisnął umieszczony na płycie przedramienia guzik łączności z komputerowym notesem.

Tak, mikroobwód był ważny.

- Milion - powiedział.

- Kochacie okrągłe liczby - zauważył Gejjen.

- Mogłem zażądać trzech milionów - burknął łowca nagród.

- Tak czy nie? - Tak. - Gejjen wystukał coś na klawiaturze swojego notesu. Bardzo proszę - podjął po chwili. - Pół miliona zaliczki. Reszta po wykonaniu zadania. Chętnie zaproponuję panu jakiś pokój. A może woli pan śmigacz, żeby wrócić na pokład swojego statku?

- To bardzo miły dzień - stwierdził Fett. - Chcę się przespacerować.

Mirta zrównała się z nim i ruszyli szerokim bulwarem prowadzącym od kompleksu rządowego. Na korzyść dziewczyny należy zapisać, że cały czas nie odezwała się ani słowem. Była jednak wyraźnie zdenerwowana. Od czasu do czasu zerknęła na ekran komunikatora. Ailyn nadal nie odpowiada na jej wezwania, domyślił się Fett. - Wykrztuś to - powiedział. - Co?

- Że powinienem się trzymać jak najdalej od koreliańskiej polityki.

- Za milion? - Zdziwiła się dziewczyna. - Gdybyś ty się tego nie podjął, ja bym to zrobiła. Sal-Solo przyprawia mnie o dreszcze. - Wsunęła komunikator z powrotem do kieszeni. - Kiedy zamierzasz się tym zająć?

- Mam na głowie pilniejsze sprawy.

- Co może być pilniejsze niż milion kredytów? - Zapytała Mirta.

Niech będzie, dziewczyno, pomyślał łowca nagród. Najwyższa pora, by ci to powiedzieć.

Znajdowali się na Korelii, podobnie jak Han Solo. Solo był przynętą dla Ailyn. Fett doszedł do wniosku, że zawsze potrafi wytropić Hana Solo. Do tej pory nauczył się myśleć niemal jak on. A poza tym miał dość tego, że Mirta uważa go za głupca.

- Przyleciałem tu, żeby odnaleźć Hana Solo - oznajmił. Nie patrzył na nią, ale zauważył wyraz jej twarzy, bo obiektyw kamery jego hełmu miał bardzo szeroki kąt widzenia. Dziewczyna szybko zamrugła, lecz nie dała po sobie nic poznać. - Ailyn na niego poluje, więc kiedy go znajdę, posłuż mi jako przynęta.

Nie zmienił tempa marszu. Chętnie by odpoczął, bo bolały go stawy, ale zmusił się, żeby iść dalej.

- To co, nie zapłacisz mi? - Zapytała Mirta.

- Zapłacę, bo obiecałem burknąć Fett. - Nie chcę tylko, żebyś brała mnie za idiotę.

Dziewczyna nieprzekonująco wzruszyła ramionami.

- Może lepiej mnie zastrzel - powiedziała.

- Wciąż jeszcze możesz mi się przydać - odparł łowca nagród.

- Skąd wiesz, że Solo tu jest?

- Znam Solo - wyjaśnił Fett. - Mam lepsze źródła informacji niż ktokolwiek inny. Jest na Korelii, na pewno.

- Aha - mruknęła dziewczyna.

Upewniła się, że dostanie zapłatę, więc Fett nie rozumiał, czym jeszcze Mirta się niepokoi. Przecież zawsze dotrzymywał słowa.

ROZDZIAŁ 16

Mamo, tato, proszę was, nie lekceważcie tej wiadomości. Schwytaliśmy nasłaną przez Thrackana zabójczynię, która popełniła błąd i szukała was na Coruscant. Nazywa się Ailyn Habuur, ale nie będzie już więcej sprawiała wam kłopotów. Może jednak mieć współpraczkę, która nazywa się Mirta Gev. Na razie wiemy tylko tyle, ale miejcie się na baczności. Mamo, tato, kocham was. Proszę, postarajcie się zrozumieć, co muszę zrobić.

zaszyfrowana wiadomość Jacena Solo, przesłana przez komunikator do rodziców

Apartament Jacena Solo, okolice Rotundy

- Przybyłam zaraz po otrzymaniu twojej wiadomości.

Lumiya czekała na Jacena. Nie wyglądała jak uczennica Sithów, raczej jak agentka towarzystwa ubezpieczeniowego, która wykazuje słabość do modnych strojów. - Miałem ciężki dzień - wyjaśnił młody Solo i sięgnął po worek, żeby włożyć do niego kilka rzeczy osobistego użytku. Pod tym względem nadal pozostał Jedi... Brał ze sobą tylko to, czego potrzebował jako pilot i jako pułkownik. - Muszę z tobą omówić kilka spraw. - Wyczuwam twój niepokój - stwierdziła kobieta Sith.

- Luke wie, że tu jesteś - powiedział Jacen. - Nie ma pojęcia gdzie, ale wyczuwa słabe echo twojej obecności.

- Nie możesz dać mu poznać, że się o mnie niepokoisz - oznajmiła Lumiya. - Musimy jednak przyspieszyć tempo twoich postępów w zdobywaniu wiedzy Sithów. Jeżeli Luke mnie znajdzie, na pewno uniemożliwi nam dalszą współpracę.

- Zamierzasz mnie uczyć nowych technik? - Zainteresował się młody Solo.

- Nie tyle technik, ile świadomości. - Lumiya rozłożyła ramiona i nagle apartament wypełnił się kojącą energią Ciemnej Strony. Jacen poczuł się tak, jakby siedział w wytwornym gabinecie z wyjątkowo niebezpiecznymi osobami, które swoją przewrotność maskują wdziękiem. - Techniki są dla uczniów. W tej dziedzinie wiesz wszystko, co musisz wiedzieć. Musisz to sobie tylko uświadomić. Musisz się z tym oswoić.

- Mówisz to tak, jakby czekały mnie bolesne doświadczenia - stwierdził Jacen.

- Bo tak będzie - zapewniła Lumiya.

- Ty wiesz, czym jest ból. Powinnaś mnie ostrzec.

- Nie zrobię tego - odparła kobieta. - Mogę ci tylko pomóc, żebyś to sobie uświadomił, i zachęcić cię do przekroczenia granicy. Dla każdego, kto ją przekracza, taki rytuał oznacza coś innego, bo wiąże się z koniecznością przełamania osobistych ograniczeń.

Apartament robił kojące wrażenie; świetnie by się nadawał do medytowania. Panował tu niebieski półmrok, jakby światło przenikało przez wodę. To ironia losu, uznał Jacen, że potęga i energia Lumiya może się manifestować tylko w iluzjach, chociaż i one były pożyteczne. Kobieta nie umiała zmienić rzeczywistości.

On jednak mógł.

- Dzisiaj kogoś zabiłem - oznajmił.

- Jesteś żołnierzem - przypomniała Lumiya. - Żołnierze muszą być gotowi do zabijania.

- Ale nie podejrzewałem, że potrafię zabijać w taki sposób - ciągnął młody Solo. - Jestem przerażony tym, co zrobiłem.

- Gdyby było inaczej, Jacenie, nie mógłbyś nigdy zostać Lordem Sithów - odparła kobieta.

Jej logika była kusząca, ale i przerażająco prawdziwa. Jacen wkroczył na ścieżką wiodącą do bólu. Musiał robić to, przed czym najbardziej się wzdragał. Z każdym dniem przychodziło mu to coraz łatwiej, chociaż nadal bolało. Musiał mieć rację. Właśnie tego nauczyła go Vergere, kiedy wpadł w ręce Yuuzhan Vongów. Musiał cierpieć, żeby osiągnąć wielkość... Niczym cienioćma, która musi walczyć, żeby wydostać się ze swojego kokonu - żeby się zmienić w kogoś, kim musiał się stać - w Lorda Sithów.

Nie był mu pisany łatwy sposób wypełnienia tego proroctwa. Vergere to wiedziała. Już wtedy wiedziała.

- Znałaś mojego dziadka - powiedział Jacen. - Czy on także musiał przekroczyć tę granicę?

- Tak - przyznała Lumiya.

- A więc dlaczego mu się nie powiodło?

- Bo pożył władzy - odparła kobieta Sith. - Nie władzy politycznej, ale Mocy, dzięki której mógłby kształtować rzeczywistość tych, których kochał. Pragnienie to zaprzętnęło jego umysł i zdeprawowało wspaniałego człowieka. Twój dziadek nie miał tak dużego jak ty zasobu wiedzy o Mocy. Przynajmniej ja tak uważam.

Jacen przypomniał sobie, ile czasu mu zajęło odkrycie prostej prawdy, że Ailyn Habuur została wysłana na Coruscant w celu zabicia nie Cala Omasa, ale jego rodziców. Powinien był się tego domyślić dzięki Mocy, korzystając z jednej spośród wielu technik, ale tego nie zrobił. Nie przeczuł tego, nie przewidział.

Zaślepiły mnie problemy osobiste i więzy krwi, pomyślał. To musi być jedyny powód. - Z nauk Sithów wynika, że nie powinniśmy unikać miłości czy gniewu - powiedział. - Jeśli to prawda, jak mogło to być wadą Anakina Skywalkera?

- Ty nie musisz unikać tych uczuć - stwierdziła Lumiya. - Powinieneś tylko umieć je zaakceptować i czerpać z tego siłę. Spójrz na żyjących Jedi. Wszyscy mają rodziny i dzieci, przez co są jak zakuci w kajdany. Żałosna żona Luke'a ignoruje podszepty Mocy na twój temat i szuka wszelkich możliwych wymówek, żeby w to nie uwierzyć, bo na pierwszym miejscu stawia szczęście swojego syna. Luke nie rzuca ci wyzwania, bo nie chce zadrażniać stosunków z żoną i z synem. Gdyby stawili czoło swoim obawom, zdobyliby siłę, która mogłaby pokrzyżować nasze plany. Ale oni tego nie zrobią. Jacen wiedział, że Lumiya ma rację.

- A Ben? - Zapytał.

- Zostanie twoim najlepszym uczniem, jak tylko przestanie się uważać wyłącznie za syna słynnego mistrza Jedi, co go przygnębia. Wkroczył już na właściwą ścieżkę. - Kobieta Sith zniżyła głos, jakby bała się przedstawić następny warunek: - Musisz też zostać mistrzem Jedi.

- Myślałem, że tego właśnie powinienem unikać - zaniepokoił się młody Solo.

- Ben potrzebuje mistrza, aby dotarło do niego, że w końcu się wyrwał spod kurateli ojca - odparła Lumiya. - Członkowie Rady Jedi muszą zaś wreszcie docenić to, co robisz dla Galaktycznego Sojuszu, jeżeli nie chcą podważać autorytetu legalnej władzy. W przeciwnym razie znajdą się tacy, którzy wykorzystają ten argument przeciwko nim. - Zawahała się na chwilę. - A zresztą dlaczego nie miałbyś zostać mistrzem Jedi? Nikt bardziej od ciebie na to nie zasługuje. Masz wszystkie potrzebne kwalifikacje.

- Lumiyo, jeżeli zacznę się o to starać, inni uznają to za słabość i będą próbowali wykorzystać - stwierdził Jacen.

- Na razie nie musisz tego robić - oznajmiła kobieta Sith. - Pozwól mi popracować nad opinią Jedi.

- Zamierzasz wpłynąć na członków Rady Jedi? - Zdziwił się młody Solo. - Wiesz co, lepiej daj spokój...

- Twoim sprzymierzeńcem jest nie tylko Mara Skywalker - przerwała Lumiya. - Pozwól, że zaszczepię ten sposób myślenia w kilku miejscach... Naturalnie poza umysłami członków Rady. Potem sprawa zacznie żyć własnym życiem.

- Podsuniesz ten pomysł pani admirał Niathal - domyślił się rycerz Jedi.

- Niathal ma własne ambicje - stwierdziła Lumiya. - Na szczęście przestała ukrywać własną odwagę. - Czy zainspirowałaś jeszcze innych? - Zainteresował się Jacen.

- To nawet nie było trudne - przyznała kobieta Sith. - Ta galaktyka pragnie porządku i prawa.

Jacen postanowił się otrząsnąć. Zapewnienia Lumiyi brzmiały wprawdzie kusząco, ale rycerz Jedi najbardziej ufał własnym uczuciom. Zamierzał wrócić tego wieczoru do Świątyni Jedi i przekonać się na własne oczy - usłyszeć, a może wyczuć - co jest prawdą, a co nią nie jest. - Musiał także podjąć ryzyko jeszcze jednej wyprawy w czasy dziadka. Musiał sam się przekonać.

- Już niedługo zrozumiesz, czym będzie dla ciebie przekroczenie tej granicy - odezwała się Lumiya. -

Czuję to. - Ja też - odparł Jacen. Klasnął i uwolnił porcję energii Mocy.

Piękna iluzja, otaczająca ich jak błękitna woda, prysnęła niczym bańka mydlana. Rycerz Jedi znalazł się znów w swoim skromnie umeblowanym apartamencie. Musiał się spakować i ruszyć na wojnę. I wygrać.

Apartament Skywalkerów, Galactic City

Drzwi apartamentu rozsunęły się, zanim jeszcze Ben wpisał właściwy kod. Luke wyczuł burzę emocji w Mocy i domyślił się, że nadchodzi syn. Czy to przeze mnie się denerwuje? - Zadał sobie pytanie. Czyżby Ben się mnie bał? Chyba wolałem, kiedy po prostu ignorował wszystkie moje polecenia.

- Nie powinieneś się obawiać - odezwała się Mara, wzięła syna za rękę i poprowadziła do salonu. - Po prostu martwiliśmy się o ciebie, nic więcej.

Wskazała mu miejsce na kanapie i rzuciła ostrzegawcze spojrzenie mężowi, który wszedł do salonu z zamiarem interweniowania. Chłopak nadal miał na sobie czarny mundur polowy; ten standardowy ubiór żołnierzy z oddziałów specjalnych wywierał złowieszcze wrażenie. Najgorsze jednak, że Ben nie wyglądał w nim na Jedi.

Nakłaniałem go, żeby został kimś, kim nie chciał być, przypomniał sobie Luke. Oto skutek.

- Dobrze się czujesz, Benie? - Zapytał.

- Tak, tato - odparł syn.

- Nie gniewam się na ciebie. - Luke przysunął sobie krzesło i usiadł. - Widzimy jednak, co ostatnio wyprawia Jacen, i zastanawiamy się, czy powinieneś w tym brać udział. Ben patrzył na ojca bez słowa. Luke widział taki wyraz na dziecięcych twarzach, ale tamte dzieci były uciekinierami z rejonów działań zbrojnych... musiały dorastać zbyt szybko i zbyt wcześnie zapomnieć o beztróskim dzieciństwie. - Dużo się przy tym uczę - odezwał się w końcu Ben.

- Nie jestem pewny, czy potrzebujesz właśnie takiego rodzaju wiedzy - stwierdził rycerz Jedi.

- Dlaczego, proszę pana?

Ben zawsze dotąd nazywał go tatą; dopiero teraz ojciec stał się dla niego „panem”.

Luke zarejestrował reakcję żony. Mara wzdrygnęła się w myśli, ale dalej uśmiechała się uspokajająco do syna.

- Dlatego, że to jest przemoc, Benie - odparł Luke.

Syn przełknął ślinę.

- Jedi często uciekają się do przemocy - powiedział. - Latamy gwiazdnymi myśliwcami z laserowymi działkami. Posługujemy się świetlnymi mieczami. Ile osób zabiłeś, kiedy walczyłeś przeciwko Imperium?

Luke osłupiał.

- Tak, ale wszystkie one były... - Zaczął i przerwał.

Właśnie, kogo zabijał? Złych facetów? Osoby, których wyeliminowanie nie miało znaczenia? Większość spośród nich - żołnierze, piloci, umundurowany personel, a nawet cywile, po prostu mięso armatnie - tylko dzięki rządzeniu losu znalazła się po niewłaściwej stronie. W tamtych czasach łatwo było odróżnić dobrych od złych. Dziś jednak mistrz Jedi nie mógłby oświadczyć z ręką na sercu, że jego zdaniem naprawdę niszczył tylko złe osoby. - Zabiłem wiele osób - odezwał się w końcu.

- Ja też - przyznała bez ogródek Mara. - Chociaż walczyłam po przeciwnej stronie. Ben wyraźnie się zastanawiał. Przyswoił sobie nawyk, który niewątpliwie podpatrzył u Jacena: wydymał wargi, kładł dłoń na piersi i wbijał spojrzenie w podłogę.

- A ja jeszcze nikogo nie zabiłem - odezwał się w końcu. Wręcz przeciwnie, w ciągu kilku ostatnich tygodni ocaliłem życie paru osobom. Może to, co robię, wygląda źle, ale wcale nie oznacza, że jest złe.

Luke nie miał na to odpowiedzi. Jego przecucia i powtarzające się wizje zakapturzonej postaci prześladowały go nadal, ale umysł podpowiadał coś innego: „Jesteś hipokrytą”. Mara pochwyciła spojrzenie męża.

- Benie, a gdybyśmy cię poprosili, żebyś na jakiś czas wrócił do Akademii? Co ty na to? - Zapytał w końcu mistrz Jedi.

- Teraz?

Luke oczekiwał wybuchu oburzenia, a nie takiej reakcji.

- Chyba tak. Teraz - przyznał w końcu.

Ben znów wbił spojrzenie w podłogę.

- Zamierzasz mnie zmusić? - Zapytał.

- Wolałbym tego uniknąć - odparł Luke.

- A więc chciałbym jeszcze jakiś czas pomagać funkcjonariuszom Straży - oznajmił chłopak. - Muszę parę rzeczy zrozumieć, zanim będę gotów znów studiować. A tego nie dowiem się w Akademii.

Wrażliwe na Moc zmysły Luke'a podpowiadały mu, że Ben myśli dokładnie to, co mówi. Nie usiłował grać na zwłokę ani nie starał się znaleźć wyjścia z trudnej sytuacji. - W porządku, synu - odezwał się w końcu Luke. - Porozmawiamy o tym później. Zjedli razem obiad... Pierwszy wspólny posiłek od bardzo dawna. Luke mógł nawet udawać, że nie dzieje się nic złego. W końcu Ben wstał, żeby wyjść.

- Czy moglibyśmy spędzać razem trochę więcej czasu, kiedy to wszystko się uspokoi? - Zapytał.

Jak każde dziecko uważał, że sytuacja się unormuje, musi tylko minąć trochę czasu: kilka dni, tygodni, miesięcy. Luke bardzo chciał, żeby to była prawda. - Bardzo byśmy się cieszyli - powiedział.

Kiedy Ben wyszedł, Luke zaczął na reakcję żony. Trochę to potrwało.

- A teraz spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że Jacen deprawuje naszego syna - odezwała się w końcu mistrzyni Jedi.

- Nigdy tak nie twierdziłem - zachnął się Luke.

- Nigdy też nie powiedziałaś Benowi, żeby się trzymał od niego z daleka - przypomniała Mara.

- No cóż... Ben rzeczywiście błyskawicznie wydorósł - przyznał Luke.

- I mówi do rzeczy - zauważyła żona. - Nikt dotąd nie zadał nam tego pytania. - Jakiego?

- Jak możemy usprawiedliwić to, co oboje robiliśmy w przeszłości - odparła Mara. - Łatwo mi spojrzeć wstecz i wiedzieć, co zrobiłam, ale co z tobą? Ben ma rację. - Ostatnio stałaś się niezwykle tolerancyjna - zauważył mistrz Jedi.

- Bo jestem już w tym wieku, że bardziej interesuje mnie moja rodzina niż problemy galaktyki - odcięła się Mara. - Już nie jestem tą samą zadziorną dziewczyną.

Luke bardzo chciałby uwierzyć, że przesadził w sprawie Bena i Jacena. Wszystko wskazywało na to, że żona się nie myli. Umysł mówił mu, że to, co widzi, jest prawdą, ale przecucie podpowiadało coś innego: że bardziej realne jest to, co widzi w snach, niż to, co dostrzega na jawie.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia i że Ben nie wybiegł wściekły - odezwała się Mara.

Każdy wierzy w to, w co chce wierzyć. Gdyby nie echo obecności Lumiya - Luke był pewny, że w tej sprawie się nie myli - on także by uwierzył.

Park Kebena, Koronet, Korelia

Ten drań chce zabić twoją żonę i twoje dzieci, przypomniał sobie Han. Nic więcej nie musi cię interesować.

Nie był urodzonym zabójcą i dobrze o tym wiedział. Zawsze - już od najmłodszych lat - wyobrażał sobie, że zabije swojego kuzyna Thrackana, ale nagle doszedł do wniosku, że nie umiałby wymierzyć blastera i z zimną krwią pociągnąć za spust.

Sal-Solo na to zasługiwał, ale to jeszcze nie oznaczało, że Han mógłby to zrobić.

Zamierzał jednak spróbować. Jacen co prawda unieszkodliwił Ailyn Habuur, ale istniała druga potencjalna zabójczyni, Mirta Gev. A nawet gdyby ona nie zamierzała zabić Hana, Thrackan na pewno nie zrezygnuje ze swoich planów i rok po roku będzie nasyłał na rodzinę Solo kolejnych skrytobójców. Odkąd Han sięgał pamięcią, Thrackan rzucał cień na jego życie.

Gejjen przekazał Hanowi plany, z którymi wszyscy koreliańscy podatnicy mogli się zapoznać w każdej bibliotece publicznej. Rozkład dnia prezydenta mógł się jednak zmienić, więc Han musiał poświęcić dużo czasu na wyznaczenie optymalnych miejsc zamachu, żeby mieć pewność oddania celnego strzału. Thrackan był wprawdzie łajdakiem, ale nikt nie twierdził, że otacza się tłumem ochroniarzy, z czego słynęła większość paranoidalnych despotów. Zapewne przypuszczał, że ludzie

kochają go równie mocno jak on ich. Może zresztą miał rację, skoro wybrali go ponownie na wysokie stanowisko, nie bacząc na jego przeszłość nikczemnika i zdrajcy, która wprawiałaby w zakłopotanie nawet Hutta. W końcu Han znalazł dobry punkt obserwacyjny w parku, który górował nad ośrodkiem rządowym i rezydencją prezydenta. Kompleks OR, jak Korelianie go nazywali, wyglądał jak urocza wioska. Pośród starannie utrzymanych ogrodów stały wzniesione w klasycznym stylu niskie budynki z kolumnami. Otaczający je park zajmował sztuczne wzgórze o łagodnych zboczach, z którego można było bezpiecznie zjeżdżać na nartach. Han znalazł wolną ławkę na szczycie wzgórza i wyjął kilka pałeczek chlebowych. Chciał wyglądać jak zwykły człowiek jedzący lunch w parku. Od czasu do czasu rzucał okruchy latawicom, które zlatywały się ze wszystkich stron, żeby się pożywić.

Muszę go przydybać w zamkniętym pomieszczeniu, zdecydował. Nie jestem snajperem.

Zastanowił się, czy nie zapomnieć o dawnych urazach i mimo wszystko nie wynająć do tej roboty Fetta. Przynajmniej mógłby mieć pewność, że zadanie zostanie dobrze wykonane.

Przypomniawszy sobie, że Thrackan urządza dzisiaj cotygodniową konferencję prasową, więc będzie przebywał w swoim gabinecie po jednej albo drugiej stronie tamtej szczeliny. Przydałby mu się dobry granatnik, ale to niemożliwe. Thrackanowi będą towarzyszyły postronne osoby, które nie zasługują na śmierć tylko dlatego, że ich szef jest kanalią. Bez względu na to, w jakiej sytuacji przyłapię Thrackana, będzie musiał podejść do niego i zastrzelić go osobiście, i to z bardzo bliska. Do rozwiązania pozostawał także problem wycofania się.

Han odłamał kawałek pałeczki chlebowej, podrobił go na okruchy i rzucił je w trawę przed sobą, żeby więcej latawic mogło się pożywić. Ptaki wylądowały przed nim z łopotem skrzydeł. Może jednak powinienem go załatwić, kiedy będzie w ruchu, zastanowił się Solo. Do tego potrzeba byłoby jednak snajpera. A może kiedy Thrackan będzie przejeżdżał? Może... Ale przy okazji mogliby ucierpieć niewinni świadkowie. Muszę go dopaść w gabinecie.

Jeżeli Fett właśnie w taki sposób zarabiał na życie, Han mógł zrozumieć, dlaczego łowca nagród stroni od towarzystwa.

Nagle latawice poderwały się w powietrze i jak na rozkaz zatoczyły spiralę. Han uświadomił sobie, że wpatruje się w okruchy. Skończył jeść, zszedł ze wzgórza i postanowił się dowiedzieć, kiedy wypada dzień następnego publicznego zwiedzania kompleksu rządowego, żeby mógł się dostać do środka i rozejrzeć.

Jeżeli załatwię Thrackana i wydostanę się z budynku, pomyślał, czy Gejjen mnie wyda w ręce policji?

Cóż, polowanie na nagrody w niczym nie przypominało normalnej żołnierskiej walki. Han ruszył wysadzaną drzewami aleją. Miął miejsce budowy nowego stadionu sportowego i przekonał się, że na placu nikt nie pracuje. Musiało być więcej podobnych miejsc, w których brakowało materiałów budowlanych, bo wszelki ruch między orbitalnymi zakładami przemysłowymi a planetą praktycznie zamarł. Han pomyślał, że po wyeliminowaniu Thrackana będzie się mógł zająć właśnie tym problemem. Miał duże doświadczenie w przełamywaniu blokad, więc mógł nauczyć koreliańskie

dzieciaki kilku sztuczek. Ciekaw był, czy Leia skontaktowała się z Jainą przez komunikator. Nagle usłyszał ze plecami donośny świst i tupot kroków. Ktoś biegł w jego stronę.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Mandalorianinem. Zakuty w pancerz mężczyzna miał na głowie aż za dobrze znany hełm.

- Kopę lat się nie widzieliśmy - odezwał się Boba Fett. Han odruchowo sięgnął po blaster.

Łowca nagród wymierzył Solo cios pod brodę, po którym Korelianin rozciągnął się jak długi. Poczul w ustach krew, w uszach mu dzwoniło. Dojście do siebie po ciosie zadany opancerzoną rękawicą trwało o wiele dłużej niż po uderzeniu gołą pięścią.

Han pokręcił głową, żeby odzyskać ostrość spojrzenia, i wsparł się na łokciu. Zobaczył przed sobą wylot odpilowanej lufy blastera typu EE-3.

- Za każdym razem, kiedy się spotykamy, ta zabawka ma coraz więcej zainstalowanych dodatków - powiedział.

- Mówisz tak, jakbyś uważał, że na ciebie poluję - odparł Fett.

- A nie polujesz? - Zainteresował się Han.

- Twoje dni chwały dawno przeminęły, Solo. - Nie wypuszczając broni, Fett zachęcił go do wstania szturchnięciem buta, a potem schylił się i podniósł jego blaster. - Od wielu lat nikt nie wyznaczył za twoją głowę przyzwoitej nagrody. Poluję na kogoś ważniejszego niż ty. - Zabawne, Myślałem, że to ty przyjąłeś zlecenie od Thrackana stwierdził Han.

- Zamknij się i daj odpocząć swojemu ego - burknął łowca nagród. - W takim razie po co tu przyleciałeś?

- W celach turystycznych - odparł Fett. - Chcesz, żebyśmy mieli tu zaraz tłum gapiów? Popchnął go w kierunku stosów cegieł i durastalowych belek, leżących na placu budowy jakiegoś biurowca. Stała tam prowizoryczna stróżówka, z takich, które przenoszono z miejsca na miejsce dzięki zainstalowanym repulsorom. Fett pokonał zamek za pomocą jakiegoś urządzenia w rękawicy i wymownym gestem blastera polecił Hanowi wejść do środka.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - Zapytał Solo, siadając na krześle pokrytym grubą warstwą permabetonowego pyłu. - Potrzebujesz jeszcze jednego karbonitowego stolika barowego dla swoich huttańskich kumpli?

- Gdybym zamierzał cię zabić, mogłem po prostu odwrócić głowę i spojrzeć w inną stronę, kiedy miałeś kłopoty z Vongami - przypomniał Fett, ale nie schował blastera do kabury. - Potrzebuję cię jako przynęty.

- Super - mruknął Han.

- Nie kryje się w tym dla ciebie żadne ryzyko.

- Mimo to nie podoba mi się słowo „przynęta”.

- Moja córka przyjęła zlecenie Sal-Solo na zabicie członków twojej rodziny - wyjaśnił Fett. - Nie

powiniennem wchodzić w drogę innemu łowcy nagród, ale muszę ją odnaleźć, a ty jesteś jedyną osobą, która może mnie do niej doprowadzić.

- Nie możesz się z nią skontaktować jak każdy normalny ojciec? - Zdziwił się Han.
- Przysięgła kiedyś, że mnie zabije.
- Wygląda na to, że ma do ciebie pewne pretensje.

- W każdym razie zamierzam cierpliwie czekać, aż się pokaże - powiedział łowca nagród. - Możesz zgodzić się dobrowolnie albo cię zmuszę. - Jeszcze pamiętam, co to znaczy „dobrowolnie” - burknął Han. - Martwy też będziesz przynętą. - Naprawdę musi ci bardzo zależeć, żeby się z nią zobaczyć.

Fett przycupnął na krawędzi biurka między Hanem a drzwiami i oparł but na siedzeniu krzesła. Zerknął w stronę drzwi; chyba się spodziewał gościa. Han zaczął się zastanawiać, czy da radę zaatakować przybysza i uciec, zanim Fett zdąży wystrzelić, ale doszedł do wniosku, że to niemożliwe. Chwilę później usłyszał odgłos szybkich kroków - zbyt lekkich jak na mężczyznę. Czyżby to Leia spieszyła mu na odsiecz? Zawsze miała wspaniałe wyczucie czasu. Tym razem jednak to nie była żona.

Do stróżówki weszła młodziutka dziewczyna o krótko ostrzyżonych brązowych włosach, zimnych ciemnych oczach i poważnej twarzy. Od razu zamknęła za sobą drzwi. Nosila pancerz... Wprawdzie niekompletny, ale jednak pancerz, co dowodziło, że jest łowczynią nagród.

- Nadal nie odpowiada - oznajmiła. Spojrzała na komunikator w dłoni, jakby go chciała stopić wzrokiem. - Jeżeli nie wie, że Solo tu jest, nie przyleci na Korelię. Han przeniósł na Fetta zaniepokojone spojrzenie.

- Zwykle nie pracujesz w zespole - powiedział. Fett, który załatwiał swoje interesy w tak nietypowy sposób, przerażał go jeszcze bardziej niż Fett z dawnych czasów. - Odkąd to potrzebujesz najemników?

- Nie działamy w zespole - sprostował łowca nagród. - To tymczasowe porozumienie. - A, co będę miał z tego, jeżeli ci pomogę? - Zapytał Solo. - A co chcesz?

Han doszedł do wniosku, że warto spróbować. Fett był prawdziwym mistrzem w swoim fachu.

- Pomóż mi zabić Thrackana Sal-Solo - powiedział.

Mógłby przysiąc, że Fett westchnął.

- Za późno - stwierdził łowca nagród. - Jeden z jego politycznych rywali już zdążył mnie wynająć do tej pracy.

- Ach, jak miło - mruknął Han. - Kto? Zaraz, niech sam zgadnę. Miły, młody, ciemnowłosa mężczyzna? Dur Gejjen?
- Możliwe... - Odparł wymijająco łowca nagród.

- Mnie także dał kilka wskazówek, jak to zrobić - przyznał Han. - Widocznie nie jest pewny, czy

dałbym sobie z tym radę.

Dziewczyna wpatrywała się w Hana, jakby doszła do wniosku, że niedługo będzie musiała zdrapywać go z butów. - A dałbyś? - Zapytała. - To nie takie proste, jak się wydaje, prawda? - Zapytał Solo. - Proste - stwierdził Fett. - Wróćmy jednak do mojej córki.

Han przypomniał sobie przesłaną przez komunikator wiadomość od Jacena. Przeczytał ją kilkakrotnie, ale nie odpowiedział.

Wyglądało na to, że świat łowców nagród jest bardzo mały. Postanowił zaryzykować. - Czy twoja córka nie nazywa się przypadkiem Mirta Gev? - Zapytał.

Dziewczyna chwyciła kolbę blastera, ale nie wyciągnęła go z kabury. Patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem. - To ja nazywam się Mirta Gev, dziadku - wycedziła w końcu.

A zatem tak wygląda sytuacja. Mimo wszystko Fett usiłował go wywieść w pole. To on przyjął zlecenie od Thrackana. Han nie miał wyboru. Musiał się zdecydować na jeszcze większe ryzyko. - Ach, to moje parszywe szczęście... - Zaczął.

Zerwał się z krzesła, skulił się i głową naprzód skoczył na dziewczynę. Była o wiele silniejsza, niż wyglądała. Kiedy Han uderzył głową w napierśnik jej pancerza, poczuł silny ból... Ale nie tak silny jak od kolby blastera, którą Fett spuścił z całej siły na tył jego głowy. Han osunął się na kolana, ale zanim upadł, dziewczyna zdążyła jeszcze go uderzyć kolanem w twarz. To też zabolalo. - Solo, zapomniałeś o czymś, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

- Fett szarpnął go za kołnierz i postawił na nogi, po czym bezceremonialnie pchnął z powrotem na krzesło. - Nie zadzieraj z dwojgiem łowców nagród naraz. A teraz mów, skąd znasz imię i nazwisko Mirty.

- Dlaczego miałbym ci to powiedzieć?

- Bo zamierzam zabić twojego parszywego krewniaka - odparł Fett. - Okaż przynajmniej odrobinę wdzięczności.

Nie żartował. Han nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Wiedział tylko tyle, że jeszcze nie zginął i że Fett nie słynie z zamiłowania do długich pochwalnych mów, zanim się upomni o swoją nagrodę.

- Mój syn twierdzi, że jego podwładni aresztowali w Galactic City zabójczynię, niejaką Ailyn Habuur, która...

- Osik! - Syknęła dziewczyna. Na jej bladej twarzy odmalowało się przerażenie.

- ...A jeżeli ty nazywasz się Mirta Gev, to może obie przyjęłyście zlecenie Thrackana na mnie i na członków mojej rodziny.

- Nie poluję na ciebie, staruszku. - Mirta była wyraźnie rozdrażniona. - Szukałam tej Habuur. - Głęboko odetchnęła. - Odzyskałam dla niej kilka drobiazgów.

- Sądząc po wyrazie twojej twarzy, ta Habuur musi ci być coś winna - stwierdził Han. Spojrzał na Fetta, ale mężczyzna w hełmie nie okazywał żadnych uczuć. Stał absolutnie nieruchomo.

- Ailyn to moja córka - odezwał się cicho, zmienionym głosem. - W rzeczywistości nazywa się Ailyn Vel. A więc twierdzisz, że dopadł ją twój syn? Chyba wiem, na czym polega jego praca.

- Była gotowa mnie zabić, kolego - przypomniał Solo.

- Muszę się z nią zobaczyć.

- Pozwól mi załatwić Thrackana, a ja szepnę mojemu chłopcu dobre słowo za tobą - zaproponował Han. - Może pozwoli ci ją odwiedzić w celi.

- A może to ja poinformuję twojego chłopca, że będzie mógł odebrać swojego tatusia w worku na zwłoki, jeżeli tylko tknie palcem moją córkę - warknął Fett. - Mogę dokończyć zamiast niej to, czego się podjęła, bo od tej chwili jesteś dla mnie bezużyteczny jako przynęta. Mirta wpatrywała się w Fetta, jakby nie była pewna, co się dzieje. Wyglądało na to, że słowa łowcy nagród ją zaskoczyły. - Wszyscy drepczemy w miejscu - stwierdził Solo.

- Nie ma Sal-Solo, nie ma zlecenia na zabicie ciebie - przypomniał Fett. - W tej sytuacji wszyscy wygrywamy - mruknął Han.

- Powiedz swojemu synowi Jedi, żeby wypuścił moją córkę - zażądał łowca nagród.

- Jeżeli mi pozwolisz załatwić Thrackana - uparł się Han.

- Nie dzielę się nagrodą.

- Pozwól mi tylko rozłupać mu czaszkę.

- Zgoda.

- W porządku. Zgoda.

Fett wyciągnął rękę do Mirty po komunikator.

- Skontaktuj się z żoną i powiedz jej, że przypadkiem spotkałeś dobrego przyjaciela i że się spóźnisz do domu na kolację - rozkazał.

- Leia wyczuje, że dzieje się coś złego - stwierdził Solo. - Jej zmysły Jedi są bardzo wyczulone na niebezpieczeństwo.

Mirta Gev wyciągnęła blaster i zbliżyła wylot lufy do głowy Hana. - Czy potrafi także przywracać ludziom życie? - Zapytała.

- No cóż, słuszna uwaga - burknął Han. - Postaram się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

- Do dzieła - przynaglił Fett. - Nie chcemy przegapić konferencji prasowej prezydenta. Możliwe, że to ostatnia w jego życiu.

ROZDZIAŁ 17

Jedi rzadko stają się osobami publicznymi i rzadko wzbudzają kontrowersje, ale niezwykle wyczyny Jacena Solo w ostatnich tygodniach – prowadzenie wojny przeciwko terroryzmowi czy latanie na bojowe wyprawy podczas blokady Korelii - dowodzą, że mniej go interesują ezoteryczne duchowe problemy zakonu, a bardziej działania dla dobra Galaktycznego Sojuszu. Postać Jacena jest idealną odpowiedzią dla krytyków, którzy chcą wiedzieć, co podatnicy otrzymują od zakonu Jedi za swoje kredyty. Jak na ironię jednak Jacen Solo ma w zakonie bardzo słabą pozycję. Nie jest nawet mistrzem Jedi.

program HoloNetu „Tydzień w obiektywie”, komentarz polityczny

Świątynia Jedi, Coruscant, godzina 22. 15

Nawet członkowie Rady Jedi mieli godziny urzędowania. Jacen zawsze uważał to za zabawnie prozaiczny aspekt ich działalności. Mógł wejść do Świątyni o każdej porze, ale chciał się znaleźć w sali obrad Rady, więc musiał się uciec do niewielkiego podstępu. Wymagało to olbrzymiego wysiłku Mocy. Musiał stać się niewidzialny w tej samej chwili, w której usunąłby swoją obecność z Mocy i odbył wędrówkę w głąb nurtu czasu. Wątpił, czy da radę długo wykorzystywać Moc w tych trzech aspektach naraz. Musiał wejść do sali, wsłuchać się w otoczenie, zajrzeć w głąb przeszłości i nie pozostawić po sobie żadnego śladu.

Ubrany dziś w płaszcz Jedi, przechadzał się po sali archiwum Świątyni. Szperał w zbiorach tak długo, aż zobaczył, że przy terminalach zostało tylko kilkoro Jedi. Nikt nie powinien zauważyć, że zniknął między półkami... I nie wyszedł. Skupił się na swoim cielesnym i posługując się umiejętnościami Fallanassi, wytworzył iluzję bycia nicością... Stał się przezroczysty. Wciągnął potem swoją obecność w Mocy tak głęboko, że zniknął dla wszystkich zmysłów Jedi. Pograżona w zadumie kobieta, która wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w ekran komputerowego monitora, nie zauważyła go, kiedy na próbę usiadł obok niej. Jacen miał nadzieję, że da radę wejść niepostrzeżenie do sali obrad Rady.

Świątynia, której odbudowę Jacen uznał za niepotrzebnie kosztowną manifestację potęgi, miała mu się teraz przydać. Rycerz Jedi postanowił zdobyć się na odwagę i ponownie zajrzeć w przeszłość, w czasy dziadka. Chcąc tego dokonać, musiał się znaleźć w sali obrad Rady, gdzie decydowały się losy Anakina Skywalker. Wślizgnął się przez drzwi i stanął w kręgu. Inkrustowana marmurowa posadzka wyglądała podobno identycznie z tą, po której stąpił Anakin. Jacen chciałby na nią spojrzeć jego oczami. Mimo wszystko wyczuwał kiedyś jego emocje. Kiedy indziej zaś widział to, na co patrzy jego matka, więc może mógłby się pokusić o jedno i drugie równocześnie. Wsłuchaj się, powiedział

sobie.

Poczuł, że podeszwy jego butów stają się częścią marmurowej posadzki, jakby wrastał w wypolerowane płyty niczym korzenie drzewa. Zakręciło mu się w głowie. Usłyszał strzępki rozmowy, jakby ktoś w zatłoczonym i hałaśliwym pomieszczeniu wypowiadał jego imię. W końcu dotarło do niego słowo „Anakin”.

Odnosił wrażenie, jakby hamował po długim zjeździe ze zbocza. Usłyszał trzask i nagle dźwięki w głowie stały się zrozumiałe. Nie znał tych głosów, ale łatwo mógł się domyślić, kto wypowiada przynajmniej niektóre zdania.

Więc jest Wybrańcem?

Tak uważa Qui-Gon.

Ale co my sądzimy na ten temat?

Skywalker jest wyjątkowy, ale jest za stary, żeby poddał się szkoleniu. Ale czy jest Wybrańcem?

Jeżeli jest, problem szkolenia nie będzie miał znaczenia. Albo odnajdzie swoją ścieżkę, albo nie.

Logicznym argumentem szermujesz, ale tu kierunek jest potrzebny.

A zatem kto się zajmie jego szkoleniem? Kto potrafi się tym zająć? Może nikt nie da rady podolać temu wyzwaniu. Ale jeżeli my go nie wyszkolimy, pożałować tego możemy.

Nikt z nas nie może wziąć sobie padawana, bo mamy na głowie ważniejsze sprawy. Ostatnie zdanie wypowiedział Mace Windu. Jacen znał jego głos z nagrań. Przeraził się, jak beztrąsko członkowie Rady zrezygnowali z odpowiedzialności względem Anakina, zważywszy na to, że był Wybrańcem. Jacen szukał informacji, w którym miejscu Anakin zбочzył z drogi. Poszukiwał podobieństw i wskazówek, które by mu pomogły uniknąć pułapki, w jaką wpadł jego dziadek.

Tym razem musiał się dowiedzieć, co się stało. Usunął z głowy echa głosów i wślizgnął się do kąta, gdzie mógłby się ukryć, gdyby przestał być niewidzialny w Mocy podczas wędrówki w głąb przeszłości. Nadmierny wysiłek mentalny spowodował, że Jacen zaczął się pocić.

Usłyszał stłumiony huk i wizerunek sali obrad na chwilę się rozmazał. Kiedy powrócił do poprzedniej ostrości, Jacen nagle się ocknął. Członkowie Rady siedzieli w ceremonialnych fotelach albo brali udział w obradach w postaci hologramów. Pośrodku sali stał ubrany w czarny płaszcz Anakin Skywalker. Młody mężczyzna, bardzo rozgniewany, spierał się z Macem Windu i Yodą.

Lekko tego mianowania Rada nie traktuje. Niepokojący to krok ze strony kanclerza Palpatine 'a.

Będiesz brał udział w zebraniach tej Rady, ale to nie oznacza, że otrzymasz rangę i przywileje mistrza Jedi.

Co? Jak możecie? Jak śmiecie? Żaden Jedi w tej sali nie dorównuje mi potęgą.

Wydaje się wam, że możecie odmówić mi rangi mistrza?

Zajmij swoje miejsce, młody Skywalkerze...

Jacen obserwował tę scenę jakiś czas. Współczuł Anakinowi i go rozumiał. Wiedział, że sam nie podąży jego szlakiem... Na pewno nie. Biedny dziadek, pomyślał. Utalentowany, wyjątkowy, odrzucony, ledwo tolerowany, właściwie niewykształony, opuszczony. Nic dziwnego, że posunął się do szaleńczej, desperackiej przemocy. Gdyby kształcił się jak Jacen, gdyby miał okazję doskonalenia umiejętności i zapoznania się ze wszystkimi sposobami władania Mocą - nawet tymi, których Akademia Jedi nie kwapiła się pokazywać swoim uczniom - galaktyka mogłaby być zupełnie innym miejscem. Jestem jej drugą szansą, pomyślał Jacen.

Rada Jedi nie wykorzystała pierwszej... I słono za to zapłaciła.

Jacen pogodził się już ze swoim przeznaczeniem Sitha, ale dopiero teraz zrozumiał, dlaczego musiało się to wydarzyć. Wszystko w jego życiu prowadziło do tego punktu, bo działający w dobrej wierze, ale zaślepieni mistrzowie wypaczyli przeznaczenie Anakina Skywalkera. Skazali go na wykonywanie rozkazów Palpatine'a, chociaż powinni byli mu pozwolić, aby uświadomił sobie własną potęgę. *Żaden Jedi w tej sali nie dorównuje mi potęgą.*

Anakin dawał w ten sposób wyraz młodzieńczemu gniewowi, ale stwierdzenie było prawdziwe. A teraz historia się powtarzała, jakby nie miała innego wyboru. Jacen rzeczywiście był potężniejszy niż którykolwiek członek Rady... Z wyjątkiem Luke'a. Z każdym dniem jednak Jacen zbliżał się do poziomu potęgi mistrza Skywalkera. Wiedział, że kiedy zostanie mistrzem Sithów, przewyższy wujka i pod tym względem. Nie zastanawiał się jeszcze nad tym, jak Luke i on będą mogli istnieć obok siebie, kiedy osiągnie ten etap swojego życia. Kusiło go, żeby posłużyć się Mocą i na chwilę zapuścić się w przyszłość, jak to robił poprzednio, ale instynkt podpowiedział mu, żeby na razie dał sobie z tym spokój.

Potęga. Potęga to pospolite słowo, tchnące ambicją i małostkową próżnością. Osiągnięcie rangi mistrza było koniecznym krokiem politycznym dla uzyskania ostatecznego porządku. Nie miało to żadnego innego znaczenia, a mimo to Jacen nadal zamierzał się starać o ten tytuł... Wiedząc, że potraktuje go tylko jako narzędzie.

Uświadomił sobie, że nie da rady kierować dłużej przepływem czasu i pozostawać niewidoczny. Powrócił do teraźniejszości, ale zdołał ukryć swoją obecność w Mocy na tak długo, żeby opuścić salę obrad Rady i odetchnąć z ulgą trochę dalej, w głębi korytarza. Z niewielkiego magazynu wyszedł pracownik personelu technicznego i obrzucił go zaskoczonym spojrzeniem.

- Dobranoc, przyjacielu - odezwał się Jacen, ale kiedy mężczyzna go minął, rycerz Jedi wymazał z jego głowy pamięć o tym spotkaniu.

„Niewolnik 1”, Koronet, kosmoport, Korelia

- Jak można w tym oddychać? - Burknął Han.

- A spróbuj się w tym ogolić - zaproponował Fett. Solo poprawił obiema dłońmi mandaloriański hełm na głowie. Zapasowy pancerz, który Fett trzymał na wszelki wypadek na pokładzie „Niewolnika 1”, był tym, czego potrzebowali, żeby się znaleźć blisko Sal-Solo. Płyty pancerza nie były ściśle dopasowane, więc przylgnęły do ubrania Hana bez specjalnego problemu, za to hełm wykonano na specjalne zamówienie. Korelianin czuł się w nim nieswojo. - Nic nie widzę - powiedział. Fett włączył projekcyjny wyświetlacz w polu widzenia.

- Hej, a to co takiego? - Han przytrzymał się grodzi, jakby w strachu, że za chwilę upadnie. - Nie mogę złapać równowagi...

- Wyświetlacz danych i trzystuszęćdziesięciostopniowe widzenie - wyjaśnił zwięźle łowca nagród. Wyłączył większość sygnałów i uruchamianych mruganiem urządzeń kontrolnych, żeby Han widział tylko to, na co kieruje wzrok. Miało upłynąć wiele dni, zanim się przyzwyczai do pełnego pola widzenia bez obijania się o różne przedmioty. Nie było także sensu mieszać mu w głowie pozostałymi wyświetlanymi informacjami, które nieustannie przesuwają się i rozbłyskiwały wewnątrz przesłony. Gdyby przypadkiem mrugnął w niewłaściwej chwili, mógłby wysadzić się w powietrze albo uszczuplić wartość galaktycznej giełdy o miliardy kredytów. Musiał tylko widzieć. - Nigdy przedtem nie nosiłeś hełmu? - Nosilem, ale nie przypominam sobie, żeby hełmy szturmowców były w środku takie... Skomplikowane - odparł Solo.

- To oszczędnościowa wersja obronna, w sam raz dla ciebie - wyjaśnił Fett. - Spróbuj w nim chodzić.

Obracając głowę w prawo i w lewo, Han zrobił kilka kroków tam i z powrotem w ciasnej kuchni w sekcji towarowej „Niewolnika 1”. Mirta obserwowała jego postępy z lodowatą obojętnością.

Fett zdążył ją jednak poznać na tyle dobrze, aby wiedzieć, jak bardzo wiadomość o schwytaniu Ailyn ją wzburzyła. Może za odzyskanie tego naszyjnika miała dostać naprawdę wysoką nagrodę?

- W porządku, jakoś sobie z tym radzę - stwierdził Han. - Widzę na tyle dobrze, żeby nie rozbić sobie głowy. Wyjaśnij mi jeszcze raz, co mamy zrobić.

- Po prostu tam wejdziemy i poprosimy o zgodę na widzenie się z twoim kuzynem - odparł Fett. - Potem się postaramy, żeby został sam. A na koniec go zabijemy. - Na koniec to ja go zabiję - uściślił Han.

- Zgodziłem się go zabić, więc i ja to zrobię. - Fett nie miał czasu na kłótnie. - Możesz też do niego strzelić, jeżeli to ci poprawi samopoczucie.

- Przypuszczasz, że pozwoli ci podejść do siebie?

- Na pewno - odparł łowca nagród. - Poprosił Mandalorian o pomoc. Powiedziałem, że pomyślę o tym. Pomyślałem.

- Jaką pomoc? - Zainteresował się Solo.

- W obronie stacji Centerpoint.

- Ale przecież przyjąłeś zlecenie i zgodziłeś się go zabić stwierdził Han.

- Gejjen złożył mi propozycję, a ja ją przyjąłem. Za to nie przyjąłem propozycji SalSolo - przypomniał Fett. - Dotrzymuję słowa. Kontrakt to kontrakt.
- A więc mamy odgrywać role twoich mandaloriańskich pacholków - domyślił się Korelianin.
- Będzie chciał się z nami zobaczyć - przyznał Fett.
- Jakim cudem tam nie zabłądzimy? To istny labirynt korytarzy i gabinetów.
- Powęszyłem trochę i zarejestrowałem potrzebne dane. - Fett wyświetlił holoplany prezydenckich gabinetów na grodzi towarowej ładowni. Przenikliwy radar zarejestrował trójwymiarowy, przezroczysty obraz rozkładu pomieszczeń. - Dostanie się tam powinno być proste, ale następne dwa etapy mogą okazać się trudniejsze. Powinniśmy się postarać, żeby został sam, bo nie lubię nikogo zabijać bez potrzeby. Musimy się także stamtąd wydostać. - Gejjen nie może ci w tym pomóc? - Zapytał Han. - A jak wytłumaczy śmierć prezydenta? Mirta uniosła głowę.
- Zwali winę na Sojusz, bo tak będzie dla niego najwygodniej - powiedziała. - Jest dobra - stwierdził Han.
- Tak czy owak, musimy się stamtąd szybko wydostać. Proponuję, żebyśmy przeszli do tego oto bunkra. Można się z niego dostać do tunelu, którego wylot znajduje się w parku. - Fett pokazał palcem rękawicy trasę planowanej ucieczki na przezroczystej mapie świetlnej, ale doszedł do wniosku, że jeżeli ktoś ich zaskoczy jeszcze w tunelu, nie obędzie się bez ciężkiej walki. Mirta miała niewielki worek, niezawierający dużo sprzętu... Stanowczo za mało. - Chcesz hełm, dziewczyno? - Zapytał. - Nie. - To będziesz musiała reagować bardzo szybko.
- Han wpatrzył się w mapę. Wyglądało na to, że w hełmie czuje się coraz pewniej. - Thrackan ma bunkier? - Zapytał.
- To cywilny ośrodek administracyjny na wypadek sytuacji nadzwyczajnych - wyjaśnił łowca nagród. - Może się do niego dostać bezpośrednio z gabinetu. - Widzę, że jemu też nie ufasz - stwierdził Solo.
- Drań nie ma honoru - warknął Fett. - Ale to w tej chwili nie ma znaczenia.
- Chyba cię nigdy nie zrozumiem, Fett - stwierdził Han. - Zabijasz bez mrugnięcia oka, ale podejmujesz olbrzymie ryzyko, żeby odnaleźć córkę, która chciała cię kiedyś rozpylić na atomy. - W głębi duszy jest mięczakiem - wtrąciła Mirta.
- Jasne, najlepszy dowód, że wciąż żyjesz - odciął się łowca nagród. Han zdjął hełm i głęboko odetchnął.
- Nigdy nie podejrzewałem, że będziecie działali ramię w ramię - powiedział.
- Bo nie działamy - odparł Fett. Mirta miała jednak swoje zalety, a jedną z nich było to, że się nigdy nie poddawała. Podobało mu się to u niej.
- Potrzebuje mnie jako balastu - stwierdziła kwaśno dziewczyna.

Fett sprawdził zasobnik swojego blastera. Na myśl, że oto działa pod wpływem impulsu, poczuł przyływ adrenaliny, który pozwolił mu na chwilę zapomnieć o trawiącej ciało chorobie i pozostawił przyjemne uczucie wszechmocy. Ból w żołądku i w stawach - stała dolegliwość, która czasami się nasilała niemal jak ból zęba - nigdy go już nie opuszczał, ale na razie mógł o nim nie pamiętać nawet bez uciekania się do środków przeciwbólowych. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie mu się to udawało.

Nikt nigdy nie wyszedł żywy z paszczy Sarlaccy... Nikt oprócz mnie, pomyślał. Jeżeli naprawdę bardzo się czegoś pragnie i ze wszystkich sił chce się to osiągnąć, można zrobić wszystko. Nawet przeżyć wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Nawet odbudować imperium.

A nawet zasypać przepaść, jaka oddziela cię od jedyne dziecko.

Tak, mógł zrobić wszystko. Nazywał się Boba Fett. Był tym, co z niego zrobił ojciec... Osobą, która umie utrzymać się przy życiu.

- *Oya* - odezwała się nagle Mirta.

- Co to znaczy? - Zainteresował się Fett.

Mirta sprawdziła stan zasobnika swojego blastera.

- Zapolujemy - wyjaśniła.

Okręt Galaktycznego Sojuszu „Ocean”, Trzecia Flota, Koreliańska Strefa Zakazana, szósty dzień blokady

- No cóż, dzięki takiej akcji życie Omasa stanie się naprawdę interesujące - odezwał się hologram pani admirał Niathal.

Za rufą koreliańskiego krążownika „Krwisty Pas” ciągnęła się długa linia jednostek. Jacen zauważył pośród nich frachtowce, pojedyncze okręty, gwiazdne myśliwce i inne statki, niepodobne do żadnych, które kiedykolwiek widział. Sam krążownik unosił się jakieś pięćdziesiąt kilometrów od najdalej wysuniętego okrętu uniemożliwiającego dostęp do stacji Centerpoint. Personel ośrodka operacyjnego „Oceanu” obserwował nieruchome światła na ekranie skanera.

Obok hologramu Niathal stał z rękami splecionymi na piersi dowódca Trzeciej Floty, admirał Makin - jeszcze jeden Kalamarianin o jednoznacznym stosunku do wojny. - Rozpoznaję jeden bonadański okręt klasy Cutlass... Kilka fondoriańskich myśliwców... I atzerriański frachtowiec - odezwał się oficer dowodzący systemami uzbrojenia. - Od mniej więcej godziny wszystkie czekają w gotowości do walki. Makin odwrócił się do hologramu Niathal.

- Czy mogę prosić o potwierdzenie rozkazu, pani admirał? - Zapytał.

- Utrzymywać strefę zakazaną i uniemożliwiać dostęp do niej wszystkim jednostkom - powtórzyła Kalamarianka. - A jeżeli ktoś ostrzela okręt Sojuszu albo zacznie stanowić dla niego zagrożenie, może pan otworzyć ogień.

- Pułkownik Solo - odezwał się Makin. - Proszę postawić Eskadrę Łotrów w piąty stan pogotowia.

- Czekam na pańskie rozkazy, admirał.

- Przekonajmy się, kto tym razem pierwszy stchórzy.

Jacen zszedł na pokład hangarowy i spojrzał na rzędy myśliwców typu XJ7 z odchylonymi owiewkami. Technicy personelu naziemnego kończyli procedury przedstartowe. Jaina i Zekk stali oparci o gródz hangaru i rozmawiali półgłosem. Jacen nie chciał skorzystać z wrażliwych na Moc zmysłów, żeby ich podsłuchać.

Siostra powitała go nieprzyjawnym spojrzeniem i zdecydowanym odepchnięciem w Mocy. - Miło, że pan do nas wpadł, pułkowniku Solo - oznajmiła.

Wyglądało na to, że jego błyskawiczny awans naprawdę ją zirytował. - Kto pilnuje interesów w kwaterze dowództwa tajnej policji?

Zekk powitał Jacena skinieniem.

- Daj spokój, Jaino - ostrzegł. - To ważny gość. Bądź dla niego miła. Jacen doszedł do wniosku, że nie powinien się obrażać.

- Krótka odprawa przed startem, moi drodzy - powiedział. To się nie liczy, pomyślał. Nic sobie z tego nie rób. - Na nasze spotkanie wystartowało z Korelii kilka flot. Niektóre składają się z cywilnych statków. Utworzyły linię, jakby ich dowódcy starali się sprowokować nas do ataku.

- Widzieliśmy to na ekranie urządzenia powtarzającego sygnały ze skanerów. - Zekk kiwnął głową w kierunku grodzi, gdzie wisiał wielki holoeokran. Widniały na nim te same informacje co w ośrodku operacyjnym. - Sytuacja zaczyna się robić bardzo delikatna. Jeden niewłaściwy ruch...

- ...I wciągniemy do walki o wiele więcej wrogów. - Jaina dokończyła myśl Zekka, co prawdopodobnie pozostało jej z czasów, kiedy byli Dwumyślnymi. - Czy mamy rozkaz nawiązania z nimi kontaktu bojowego?

Jacen wyczuwał jej nieufność i smutek. Utrata zaufania do dowódcy miała stanowić poważną słabość każdej eskadry, ale Jaina nie podawała w wątpliwość jego wojskowych umiejętności. Kwestionowała jego moralność.

- Tylko jeżeli pierwsi otworzą ogień albo stworzą dla nas poważne zagrożenie - odpowiedział siostrze młody Solo.

- Cieszę się, że sobie to wyjaśniliśmy - mruknęła Jaina. Sięgnęła po hełm leżący na ławce, założyła go i zapięła pasek pod brodą. - Mamy ich tylko postraszyć czy spróbować zawrócić?

- Na razie żadna z ich jednostek nie znajduje się w strefie zakazanej - stwierdził Jacen. - Jeżeli ten stan się zmieni, postaramy się ich zawrócić.

- Podoba mi się takie oglądanie przeciwnika z daleka - odezwał się Zekk. - Czy możemy przepuszczać statki z zaopatrzeniem dla stoczni czy zakładów przemysłowych? - Nie - odparł stanowczo Jacen. - Strefa całkowitego zakazu ruchu oznacza strefę całkowitego zakazu ruchu. - Nawet w koreliańskich przestworzach - dodał Zekk.

- To nie nasz problem - odparł Jacen. - Zgodnością naszego postępowania z prawem zajmie się później Senat. No dobrze, do kabin i w drogę.

Trzy myśliwce XJ7 nie stanowiły zagrożenia dla floty Korelii, ale Jacen wiedział, jak daleko może pozwolić przeciwnikom się posunąć. To była kolejna zabawa, która łatwo mogła się wymknąć spod kontroli. Piloci trzech myśliwców zbliżyli się do linii rozmaitych jednostek. Zatoczyli łuk i zajęli pozycje między nimi a najbardziej wysuniętymi okrętami Sojuszu, otaczającymi ogromną durastalową kulę po zewnętrznej stronie. Przechwycenie wroga po przeciwnej stronie oznaczało wprawdzie konieczność nagłego przyspieszenia, ale właśnie do tego były przeznaczone myśliwce typu XJ7.

Jacen popatrzył na wyświetlacze na pulpicie kontrolnej konsoli. Posługując się Mocą, ostrożnie uwolnił myśli, żeby zbadać stan umysłu siostry. Jak zawsze Jaina skupiała uwagę na wykonywaniu bieżącego zadania, ale w jej myślach przewijała się nitka wrogości. Jacen nie umiałby inaczej określić tego, co wyczuł. Nagle poczuł w umyśle silne pchnięcie.

Oznaczało ono: „Wynoś się z mojej głowy”. Rycerz Jedi zrozumiał to równie wyraźnie, jakby siostra mu rozkazała: „Wycofaj myśli!”

Zastanowił się, czy Zekk też to wyczuwa. Nie próbował zbadać stanu jego umysłu, ale podzielił się z obojgiem swoją emocją... Wysłał im uczucie spokoju. Czekali nieruchomo, w milczeniu spoglądając na ekrany.

Nagle pilot jednego z fondoriańskich myśliwców wyłamał się z linii, przeleciał obok „Krwistego Pasa” i skierował się powoli w stronę Zekka, który zajmował pozycję po sterburcie myśliwca Jacena.

- Spokojnie - odezwał się Zekk.

Fondorianin zwolnił i prawie się zatrzymał, ale po chwili nagle skręcił. Zekk natychmiast powtórzył jego manewr i ścigał go z dziesięć kilometrów w niewielkiej odległości za ogonem jego maszyny. W końcu przeciwnik zawrócił i zajął poprzednie miejsce w linii za rufą „Krwistego Pasa”. Chwilę później wszystkie jednostki floty Korelii ruszyły naprzód i zajęły pozycje w szeregu po obu burtach koreliańskiego krążownika. - Uważaj, Zekk, za chwilę podejmą próbę - odezwała się Jaina. - Tak, ja też to wyczuwam - przyznał rycerz Jedi. - Zaczyna się!

Jacen zachował milczenie. „Krwisty Pas” nie zmienił pozycji, ale zrobili to piloci jednostek po obu jego burtach. Jeszcze bardziej zwiększyli odległości dzielące ich statki, jakby zamierzali odciągnąć na boki okręty Galaktycznego Sojuszu.

Kapitanowie okrętów broniących dostępu do stacji Centerpoint mieli jednak rozkaz pozostania na pozycjach. Laserowe działka ich jednostek mogły spopielić niemal wszystkie włązy umożliwiające dostęp do samej stacji. Jacen był pewny, że dowódca „Krwistego Pasa” o tym wie. To był gest. To była prowokacja. - Czekać w gotowości - rozkazał podwładnym.

Chwilę później atzerriański frachtowiec przyspieszył i skierował się prosto na nich. W pewnej chwili Jacen zobaczył go na własne oczy: stary statek, dysponujący tylko lekkim uzbrojeniem, ledwie wystarczającym do odstraszania gwiazdnych piratów. Z każdą chwilą leciał jednak szybciej.

- Kieruje się na ciebie, Jaina - ostrzegł Jacen. - Jeżeli nie zmieni kursu dwa kilometry od ciebie, możesz mu przypomnieć, kto tu wydaje rozkazy. - Przeleć blisko, żeby go postraszyć - zaproponowała siostra. - Tylko ostrożnie - ostrzegł Zekk. Nie wyglądało na to, żeby pilot frachtowca zamierzał zwolnić.

Leciał prosto na okręty blokady kursem, który miał mu pozwolić przemknąć się między myśliwcami XJ7 w odległości trzech kilometrów od jednego z niszczycieli Sojuszu. Pozostawało tylko pytanie, kiedy należałoby mu uniemożliwić dalszy lot tym kursem. - Jest wystarczająco blisko - oznajmiła Jaina. Przyspieszyła i przeleciała nisko nad kadłubem statku, przy okazji o mało nie ścinając jego anten. Pilot frachtowca nie zmienił jednak trajektorii lotu.

- Trzeba mu będzie przypomnieć jeszcze raz - odezwał się Jacen i przyspieszył, żeby zablokować dalszy kurs frachtowca.

- Na końcu z szeregu wyłamuje się bonadański krążownik - zameldował szeptem Zekk. - Pozostawcie go mnie.

Do rozmowy włączył się dowódca „Rezolutnego”, jednego z niszczycieli blokady. - Łotrze Trzy, wymierzaliśmy w niego laserowe działko, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy coś głupiego - powiedział.

Krążownik stanowił usprawiedliwiony cel, bo był silnie uzbrojony. Azerriański frachtowiec należało jednak traktować ostrożnie.

Ostrzelanie cywilnego statku stanowiło zawsze duże ryzyko polityczne, choć nie wojskowe. Jacen obrał kurs na długi panel iluminatorów umieszczonych w poprzek szerokiego dziobu frachtowca.

Jaina zawróciła i szykowała się do kolejnej próby powstrzymania intruza.

- Uciekaj - odezwał się młody Solo.

Pilot atzerriańskiego statku nie zmienił jednak trajektorii lotu.

- No, szybciej... Zjeżdżaj stąd.

Lecieli kursami na zderzenie - niezbyt szybko, ale w przestworzach kolizja nawet przy niewielkiej prędkości mogła zakończyć się katastrofą.

- Nie baw się ze mną, kolego - westchnął Jacen.

Widział sylwetki załogi na jaskrawo oświetlonym mostku frachtowca. Dzielili ich tak mała odległość, że rozróżniał nawet kolory kombinezonów. Jeszcze nie, zdecydował. Czerwony, niebieski, kilka zielonych... Sami ludzie. Jeszcze nie, powtórzył w myśli. Gdyby leciał tym samym kursem jeszcze trzydzieści sekund, roztrzaskałby się o iluminator frachtowca. Zachowaj spokój, powiedział sobie.

Jeżeli nie zmieni kursu w ciągu najbliższych dwudziestu sekund, zginie. Przestał uświadamiać sobie obecność Zekka i Jainy.

Widział tylko upstrzony rdzawymi smugami kadłub statku z szeroki pasem białego światła, który wypełniał całe jego pole widzenia.

Stał się znów pilotem. Nie kandydatem na Lorda Sithów ani Jedi z wiedzą wielu pokoleń rycerzy, ale pilotem, który zespolił się ze swoim myśliwcem. Dziesięć sekund...

Jacen zdał się na instynkt. Szarpnął rękojeść dźwigni drążka sterowniczego i jego XJ7 śmignął świecą w niebo. W ostatniej sekundzie pilot frachtowca zanurkował, aby uniknąć kolizji. Jacen wiedział, że przeleciał nad kadłubem statku w odległości najwyżej kilku metrów. Kiedy osiągnął najwyższy punkt trajektorii lotu, spojrzął w dół i zobaczył odsłonięte otwory na rufie frachtowca. W stronę jego X-winga kierowały się lufy niewielkich działek laserowych. Nie wszystkie statki miały stanowiska artylerii zainstalowane na dziobie, bo kapitanowie liczyli się raczej z możliwością pościgu na uczęszczanych przez piratów gwiazdnych szlakach.

- Mam cię - odezwała się Jaina. - Jacenie, biorę na cel jego działka...

Kiedy rycerz Jedi zaczął nurkować, żeby zająć pozycję za ogonem maszyny siostry, zobaczył krzyżujące się białe i niebieskie nitki światła. Artylerzyści frachtowca wystrzelili ponownie, ale Jaina wytrzymała się ze strumienia śmiertelnych błyskawic, zatoczyła krąg i przystąpiła do ponownego ataku. Jacen zauważył, że jedno stanowisko rufowej artylerii rozpadło się i zamieniło w grad płonących okruchów. Po chwili taki sam los spotkał drugie. Pilot frachtowca zwolnił i zaczął zawracać. Jacen posłużył się Mocą, żeby wysłać siostrze jedno słowo: „Ognia!” Wyczuł jednak, że Jaina stawia mu opór. Przełączył komunikator na kanał, który łączył go tylko z nią. - Wykończ go, Jaina - rozkazał.

- Unieszkodliwiłam oba jego rufowe działka - sprzeciwiła się siostra. - Zawraca.

- Otworzył do nas ogień - przypomniał brat. - Natychmiast wykonaj rozkaz.

- Jacenie, statek jest uszkodzony i zawraca - powtórzyła Jaina.

- Nie mogę kontynuować ataku.

- Znasz reguły bojowych kontaktów w przestworzach.

- Nie zrobię tego - uparła się siostra. - To cywilna jednostka.

W tej chwili nie stanowi zagrożenia...

- To rozkaz - przerwał surowo Jacen.

- Ale wykracza poza reguły walki w przestworzach.

- Mamy do tego prawo - stwierdził rycerz Jedi. - Powtarzam, wykończ go. - Pułkownik Solo, odmawiam wykonania tego rozkazu.

Jaina wyłączyła komunikator, zawróciła i zajęła poprzednią pozycję. Jacena ogarnęła wściekłość. Siostra chyba postradała zmysły. Cywilna jednostka czy nie, jej artylerzyści otworzyli do nich ogień. Nieważne, że statek zawracał, wciąż jeszcze miał sprawne działka. To oczywiste, że stanowił zagrożenie.

Młody Solo nasunął na siebie ikony na ekranie konsoli i posłał w kadłub frachtowca pięć torped.

- Jacenie, co na...

To było wszystko, co Zekk zdążył powiedzieć. W sterburcie frachtowca pojawiła się złocista kula ognia, a po niej następna i następna, aż w końcu połowa burty rozpadła się na odłamki, które zaczęły razić najbliższe statki. Koreliańskie jednostki, rozciągnięte w szereg po tej stronie „Krwistego Pasa”, złamały szyk i się rozproszyły. Patrząc na ekran, Jacen zauważył mikroskopijne punkciki niewielkich kapsułek ratunkowych odłączających się od burty krążownika i lecących w kierunku atzerriańskiego statku, z którego została połowa. - Eskadro Łotrów, zarządzam odwrót - rozkazał dowódca „Rezolutnego”. - Wynoście się stamtąd. Natychmiast. Otwieramy ogień.

Jacen od razu zanurkował pod płaszczyznę ostrzału okrętu Sojuszu. W drodze do hangaru „Oceanu” dołączyli do niego Zekk i Jaina. Rycerz Jedi wyczuwał wściekłość siostry, która leciała za nim w absolutnym milczeniu.

Zekk włączył pokładowy komunikator.

- Czy ktoś mi łaskawie wytłumaczy, co się tam stało? - Zapytał. - Jaino, dlaczego zrezygnowałaś z ataku?

Zamiast niej głos zabrał Jacen.

- Pani pułkownik Solo odmówiła wykonania jednoznacznego rozkazu - powiedział, starannie dobierając słowa. Bolało go serce, ale nie miał wyboru. Moja własna siostra, pomyślał ponuro. Dopiero teraz naprawdę ją straciłem. Dlaczego nie rozumie, że pewne rzeczy muszą być zrobione? - Od tej pory jest zawieszona w swoich obowiązkach.

Gabinet prezydencki, Koronet, Korelia, godzina 18.30

- Usiądźcie, proszę - odezwał się Thrackan Sal-Solo - Nie spodziewałem się, że wrócicie do mnie tak szybko.

Drzwi do gabinetu były otwarte, a w sąsiednim pokoju siedzieli przy biurkach członkowie personelu prezydenta. Fett usiadł na brzeжку jednego z obitych brokatem krzesel i gestem zachęcił Hana, żeby poszedł w jego ślady. Mirta stanęła z boku i zaplotła ręce na piersi. Sal-Solo raczej się nie spodziewał, że zostanie przedstawiony nowemu wspólnikowi łowcy nagród. Wkrótce miał go poznać, i to z bliska. - Czyżby żywił pan jakieś wątpliwości? - Zapytał Thrackan.

- Chciałem tylko, żeby mi pan coś wyjaśnił - odparł Fett. Zauważył drzwi prowadzące do bunkra. - Czy możemy porozmawiać o tym bez świadków?

- Co pan ma na myśli? - Zapytał Sal-Solo.

- Czy to pomieszczenie jest dźwiękoszczelne?

- Tak.

- W takim razie proszę zamknąć drzwi i dać personelowi wolne na resztę popołudnia. Sal-Solo nie po raz pierwszy słyszał podobną prośbę. Fett właśnie na to liczył. Nie chciał zabijać przypadkowych świadków, bo nikt mu za to nie zapłacił. Kiedy drzwi się zamknęły, troje łowców nagród zostało sam na sam z Sal-Solo.

Na blacie biurka znajdował się panel z komunikatorami. Fett spodziewał się, że jeden z nich ma przycisk umożliwiający wezwanie pomocy. Był także przekonany, że Sal-Solo ma przy sobie więcej niż jeden blaster.

Nie działaj w pośpiechu, Solo, pouczył w myśli Hana. Zaczekaj, aż będziesz mógł oddać celny strzał. Nie powinienem być ci pozwolić na przyłączenie się do mnie, ale w tej chwili jesteś moją przepustką do spotkania z córką.

- Proszę wyjaśnić mi jeszcze raz, co pan miał na myśli, mówiąc o obronie stacji Centerpoint - zażądał od Thrackana.

Jego projekcyjny wyświetlacz w polu widzenia pokazywał, że w sąsiednich gabinetach nie ma nikogo. Penetrujący radar mógł przenikać tylko przez trzy ściany, więc na dalsze odległości był mniej skuteczny. Dlaczego oddałbym wszystko, żeby po upływie pięćdziesięciu lat znów zobaczyć Ailyn? - Zadał sobie pytanie Fett. Zdumiewające, jaką władzę nad ludzkim umysłem ma świadomość bliskości śmierci. Położył dłoń na kolbie blasterowego karabinu. Zamiast przewieszać go przez ramię, nosił go przed sobą, ale Sal-Solo chyba nie zwrócił na to uwagi.

Mirta nie odrywała od niego spojrzenia. Han się nie odzywał, ale był spięty. Fett rozpoznawał to po naprężonych mięśniach jego ramion.

- Kiedy koreliańskie siły zbrojne przełamią blokadę, będziemy mogli przetransportować na stację techniczny sprzęt, dzięki któremu pobudzimy ją do życia - zaczął Thrackan. - Mamy nadzieję wysłać tam także pańskich ludzi, żeby nie dopuścić do następnych aktów sabotażu. To ogromna stacja, więc nie damy rady zapobiec lądowaniu na niej intruzów. W porządku, Solo... Obserwuj mnie uważnie, pomyślał Fett.

- Jak powiedziałem, to ma być milion kredytów miesięcznie dla każdego - przypomniał. Zaczął odliczać w myśli sekundy. Han się wzdrygnął.

- Przypuszczam, że to i tak wypadnie taniej niż wynajęcie armii - stwierdził po namyśle Sal-Solo.

- Stu Mandalorian wystarczy za całą armię - odparł łowca nagród.

Nagle Han zerwał się z krzesła, przeskoczył nad biurkiem i silnym ciosem posłał krewniaka pod ścianę, przy okazji przewracając jego fotel. Podczas szamotaniny Sal-Solo wyciągnął z kieszeni kurtki mały blaster, ale Han uderzył głową w rękę kuzyna i broń poleciała pod biurko. Ty idioto, pomyślał Fett. Wszystko schrzaniłeś.

Han ściągnął hełm jedną ręką, a drugą ścisnął Thrackana za gardło. - Ty kanalio... - Zaczął.

Fett przeskoczył nad biurkiem i przygwoździł Sal-Solo do podłogi.

- Do dzieła, Solo - warknął. - Załatw go, bo inaczej ja to zrobię. To nie zabawa.

Mirta celowała blasterem w drzwi. Dobrze chociaż, że dziewczyna wiedziała, co robić. - Czekałem na to wiele lat, Fett - wydyszał Han.

- No to się pośpiesz. - Łowca nagród doszedł do wniosku, że Han nie chce, aby jego kuzyn skończył szybko i bezboleśnie. Nie było to rozsądne postępowanie, ale rodzinne właśnie na ogół bywały mocno emocjonalne. - Pamiętaj, na co się zgodziłeś.

Han ścisnął gardło kuzyna z taką siłą, że oczy mężczyzny wyszły z orbit.

- Nigdy więcej, ty łajdaku. - Wbił palce w jego skórę. - Już nigdy nie podniesiesz ręki ani na mnie, ani na członków mojej rodziny.

- Naprawdę uważasz... Że poluje na ciebie tylko... Ta łowczyni nagród... Którą wysłałem za tobą na wabia na Coruscant? - Wycharczał arogancko Sal-Solo.

- Co masz na myśli? - Fett chwycił Hana za nadgarstek. Nie mógł pozwolić, żeby udusił Sal-Solo, zanim ten zdąży odpowiedzieć na jego pytanie. - O jakim wabiu mówisz? - Napuściłem wszystkich na jej ślad - wydyszał Thrackan. Byli zbyt zajęci uganianiem się za nią, żeby martwić się o innych.

Zbliżają się, Hanie, a ty nawet nie wiesz, ilu. Odtąd nigdy nie będziesz mógł spokojnie zasnąć.

Ailyn, jęknął w duchu Fett. Wystawiłeś na wabia moją Ailyn. Wykorzystałeś moją małą dziewczynkę.

- Wycofaj się, Solo - warknął. - On jest mój. Uniósł blaster na wysokość głowy Thrackana.

- Nie, on jest mój - odezwała się nagle Mirta. Podbiegła do biurka, przetoczyła się po blacie i wystrzeliła trzy błyskawice w czoło Sal-Solo.

Na ułamek sekundy zapanowała absolutna cisza, po czym zaczął się kompletny chaos.

Han klął, że został oszukany. Fett posłał dwa strzały w Thrackana, aby się upewnić, że facet nie przeżyje.

To także za Ailyn, pomyślał.

- Powinieneś się nauczyć szybciej strzelać, Solo - burknął.

- A teraz na korytarz. Biegiem!

- Naprawdę chciałem go zabić... Za wszystko, co mi kiedyś zrobił.

- Więc na co czekasz? - Zirytował się łowca nagród. - Poślij w niego kilka strzałów, to będziesz miał swoją zemstę. A potem przestań się mazać i ruszaj w drogę.

Gabinet może i był dźwiękoszczelny, ale odgłosy blasterowych strzałów przenikały przez najgrubsze ściany. Fett nie był pewny, czy Han zdoła teraz strzelić. Sal-Solo był jednak martwy, więc Han nie powinien mieć zastrzeżeń, że zabije go z zimną krwią.

W końcu Korelianin dał ognia. Fett chwycił go za ramię i wypchnął przez drzwi na korytarz, a Mirta schyliła się i podniosła zapasowy hełm.

Była sprytną dziewczyną... Chociaż nie powinna była strzelać do Thrackana.

Zbiegli na niższy poziom i znaleźli się w długim korytarzu, oświetlonym tylko przez żółte lampki awaryjne. Sensory hełmu Fetta wykryły ruch dwa poziomy wyżej i zarejestrowały tupot biegnących osób. Ktoś się zbliżał. Łowca nagród wyjął z kieszeni pełny zestaw zagłuszaczy i nastawił je w taki sposób, żeby zablokować sygnały wszystkich komunikatorów oprócz swojego. Nie wolno było pozwolić, żeby ktoś wezwał wsparcie. Później popchnął Hana, by przynaglić go do biegu. Ten idiota strasznie długo wpatrywał się w zwłoki kuzyna.

- A teraz ty wywiążesz się z umowy, Solo - wydyszał łowca nagród, nie przestając biec. - Moja córka. Muszę zobaczyć się z córką.

ROZDZIAŁ 18

Tego ranka Galaktyczny Sojusz ogarnął zamęt, bo okazało się, że coraz więcej planet wycofuje przedstawicieli z Senatu na znak protestu przeciwko walkom, do jakich doszło podczas blokady Korelii. Atzerriański ambasador w Sojuszu określił zniszczenie jednego ze swoich frachtowców mianem „aktu wojny”. Przywódca Cal Omas powiedział wcześniej biuletynowi informacyjnemu HoloNetu, że strefa zakazana wokół Korelii pozostanie, dopóki rząd planety nie zrezygnuje ze zbrojeń, i że kapitan atzerriańskiego frachtowca otworzył ogień mimo ponawianych ostrzeżeń. Nie dysponujemy żadnym komentarzem prezydenta Korelii Thrackana Sal-Solo.

z porannego biuletynu informacyjnego HoloNetu

Apartament Lumiya, bezpieczny dom, Galactic City

Jacen przetarł oczy. Starał się wymazać z pamięci sen, jaki miał w drodze powrotnej z Korelii. Wciąż jednak pamiętał, i to w najdrobniejszych szczegółach.

Miał nadzieję, że to był sen, nie wizja. Kiedy kabina turbowindy wjechała na trzechsetne piętro strzelistego apartamentowca, bezskutecznie usiłował o tym zapomnieć. Ściskając świetlny miecz, wpatrywał się we własne dłonie i szlochał.

Pewnie miewa się takie sny, kiedy ma się oddać swoją siostrę pod sąd wojenny, pomyślał. Musiał się z tym uporać.

Nie był dumny z tego, co jej zrobił, ale nie miał wyboru. Otrząsnął się z przygnębienia. Otworzył drzwi bezpiecznego apartamentu Lumiya lekkim skupieniem energii Mocy. Wszedł do zaskakująco przytulnie urządzonego mieszkania, ozdobionego bibelotami, które pamiętał z pobytu w jej habitacie. Kobieta najwyraźniej wstąpiła do domu, żeby zabrać stamtąd kilka przedmiotów. Jacen nigdy dotąd nie sądził, że Lumiya może tęsknić za takimi drobiazgami.

- Jesteś bardzo zdenerwowany - odezwała się kobieta Sith, wychodząc z sąsiedniego pokoju. Jacen wytrzeszczył oczy na jej widok. - Twój dziadek znalazł mnie w kabinie myśliwca, który dryfował w przestworzach, kiedy Luke Skywalker go ostrzelał i uznał, że zginęłam. Vader ocalił mnie od śmierci, więc moje życie jest nierozzerwalnie związane z twoją rodziną. Wiedziałeś o tym? - Widzisz w tym rękę przeznaczenia - domyślił się rycerz Jedi.

- Nieuchronności - sprostowała Lumiya. - Właśnie dlatego powinieneś przestać odczuwać wyrzuty sumienia z powodu swojej siostry.

- Od tego czasu śnią mi się koszmary - wyznał Jacen. - Nie spodziewałem się czegoś takiego.

- Chcesz, żeby to minęło? - Zagadnęła kobieta.
- Nie - odparł młody Solo. - Muszę je zaakceptować.
- Upewnij się najpierw, że nie przekroczysz wąskiej granicy, jaka oddziela sny od wizji - poprosiła Lumiya. - Możesz się z nich dowiedzieć rzeczy, których ja nie mogę ci wyjawić.
- To znaczy?

- Jak przejść ze stanu, w którym jesteś teraz, do tego, w którym musisz się znaleźć - odparła kobieta Sith. - Mogę być twoją przewodniczką w przyswajaniu technik, ale ich zastosowanie musi pochodzić od ciebie.

Jacen usiadł ostrożnie, starając się nie dotknąć żadnego z artefaktów, na wypadek gdyby miał jakieś specjalne zastosowanie.

- Właśnie tego nie rozumiem - powiedział. - Spędziłem ponad pięć lat, doskonaląc sposoby władania Mocą i ucząc się technik stosowanych przez istoty wszystkich ras... Nie tylko Jedi. Czego jeszcze mam się dowiedzieć? Gdzie kończy się uczeń Jedi, a zaczyna Sith? Nigdy nie wierzyłem, że istnieje wyraźna granica między dobrem a złem. Nawet nie potrafię odpowiednio zdefiniować tych pojęć.

- Chodzi o akceptację - wyjaśniła Lumiya. - Gotowość poddania się temu, czego wymaga od ciebie Moc. Powinieneś przestać się jej przeciwstawiać... Ten opór to nie to samo co wewnętrzna dyscyplina i dążenie do unikania silnych emocji.

- A więc powinienem robić wszystko, co najpierw przyjdzie do głowy - zauważył rycerz Jedi.

- Właśnie tak ma być - stwierdziła kobieta Sith.

- Dlaczego w takim razie jestem inny niż mój dziadek? - Zapytał Jacen. - Im mocniej się staram, tym bardziej uważam, że postępuję dokładnie jak on. Czy naprawdę tylko troska o żonę powstrzymała go od zaprowadzenia ładu w galaktyce?

- Twój dziadek rozpoczął szkolenie za późno i był wciąż jeszcze niedoświadczony, kiedy wykorzystał go psychopata ogarnięty żądzą władzy - tłumaczyła Lumiya. - Ty zaś jesteś dorosłym mężczyzną, który szkolił się całe życie. A poza tym nikt cię nie wykorzystuje. Nie popełnisz tych samych błędów. - To nie może być takie proste.

- Z pewnością nie będzie - przyznała kobieta. - Będzie za to bolesne.

- Bardziej bolesne niż zwrócenie się przeciwko własnej siostrze?

- O tak...

- I takie ma być moje przeznaczenie?

- To cena, jaką płacisz za zaprowadzenie ładu w galaktyce wyjaśniła Lumiya. - Na tym polega twoje poświęcenie. Czy teraz rozumiesz, dlaczego słabi ludzie pokroju Palpatine'a widzieli tylko władzę i dlaczego ponieśli klęskę? - Jej słowa brzmiały hipnotyzujące Jacen widział ruch ust Lumiya, ale odnosił wrażenie, że słucha nie żywej istoty, a wyroczni, która wypowiada beznamiętnym tonem prawdy objawione. - Nie osiągniesz niczego, jeżeli pozostaniesz Jacenem Solo.

Rycerz Jedi zrozumiał, że się pomylił. Zawieszenie Jaiiny w pełnieniu obowiązków nie było jego najgorszym przeżyciem. Gorszy był wyraz twarzy Bena Skywalkera, kiedy chłopiec zobaczył zwłoki Ailyn Habuur. Jacen posunął się za daleko, przenikając do umysłu kobiety, która nie wytrzymała jego myślowego nacisku. Młody Solo poprzysiął sobie, że nie popełni więcej tego błędu. Na razie wszystko wskazywało, że Ben stracił do niego zaufanie. Chłopak jeszcze nie rozumiał, że postępowanie w stylu ojca prowadzi do niekończącego się cyklu wojen i chaosu. Luke nie mógł sobie pozwolić na stosowanie ekstremalnych środków, jeśli chciał zachować wiarę w siebie. To właśnie na tym polegało przywiązanie. - Jak reagujesz na widok Luke'a Skywalkera? - Zapytał. - Nie odczuwam niczego - odparła Lumiya. - Ale pamiętam. - Co powinienem teraz zrobić?

- Nie mogę ci tego zdradzić - stwierdziła kobieta Sith. - Uporaj się najpierw z tym, co cię najbardziej niepokoi.

- Mój uczeń Ben - wypalił bez namysłu rycerz Jedi. - Wyczuwam, że się waha. - Nie możesz pragnąć jego aprobaty - ostrzegła Lumiya.

- Nie pragnę jej.

- Nie licz też na to, że pójdzie za twoim przykładem - ciągnęła kobieta. - Musi się znaleźć w sytuacji, kiedy będzie musiał sam odkryć prawdę.

Podobnie jak w systemie Bimmiela, Lumiya miała całkowitą rację. Ben musiał się nauczyć tego, czego nigdy nie przyswoił jego ojciec: ...Że istnieje zło konieczne. A najlepszym miejscem na taką naukę były oddziały Straży Galaktycznego Sojuszu.

Awaryjny kompleks administracyjny pod parkiem Kebena, Koronet, Korelia

Han pomyślał, że jak na parę starszaków, razem z Fetteem całkiem nieźle dotrzymują kroku dziewczynie. W końcu jednak zauważył, że tunel biegnie w dół zbocza jakiegoś wzgórza.

Korytarz, którym opuścili gabinet prezydenta Sal-Solo, żeby się dostać do awaryjnego bunkra administracyjnego, prowadził do tunelu ciągnącego się pod parkiem Kebena. Uciekinierzy musieli biec. Han nie miał pojęcia, co ich czeka później, ale nie pierwszy raz gnał na oślep, ufając instynktowi i swojemu szczęściu.

A poza tym towarzyszył mu Boba Fett. Łowca nagród potrafił wyjść cało z gorszych opresji.

- Gdzie... Kończy się... Ten tunel? - Wydyszał Han.

- Prowadzi do kompleksu bunkra - odparł Fett. - Z niego mamy dwie drogi na powierzchnię.

- Dwie?

- Dwa wyjścia to zawsze lepiej niż jedno - mruknął łowca nagród.

Daleko za nimi - ale nie dość daleko - dał się słyszeć tupot butów pościgu. Uciekinierzy znajdowali się w kiepsko oświetlonym tunelu o wyłożonym płytkami dnie. Co kilka metrów na ścianach widniały duże, wykonane za pomocą szablonów napisy z różnymi pomocnymi wskazówkami: „Czy masz maskę do oddychania?” albo „Zabezpiecz wszystkie drzwi, bo od tego może zależeć twoje życie”.

- Mam nadzieję, że przy wyjściu nie natkniemy się na komitet powitalny - sapnął Han. - Raczej nie, chyba że będziemy mieli prawdziwego pecha.

- Fett biegł kilka kroków za Mirtą. - Personel do tego ośrodka przysyła tylko w sytuacjach wyjątkowych.

- Takich jak wojna? - Domyślił się Solo.

- Tak... Wojna jest jedną z takich sytuacji - przyznał łowca nagród.

Mirta, trzymając ręczny blaster na wysokości ramienia, biegła szybko, wystawiając świadectwo przydatności wygodnemu ubraniu i niemodnym butom na płaskiej podeszwie. - Jeżeli spróbują nas powstrzymać, to będą mieli sytuację naprawdę wyjątkową - powiedziała.

Drzwi przed nimi otworzyły się automatycznie, a na suficie zapłonęły jaskrawe światła. Prawdopodobnie zapalały się tylko wtedy, kiedy do kompleksu bunkra mieli wejść pracownicy. Z tego by wynikało, że w tunelu prócz nich nie było nikogo.

Oprócz uciekinierów - no i ścigających ich strażników. To musieli być strażnicy. Han miał uszy wyczulone na odgłosy biegu najróżniejszych butów. Fett przystanął dopiero, kiedy wszyscy znaleźli się w korytarzu, z którego prowadziło sześć drzwi. Na jednych widniał napis: „Kontrola ruchu”, na drugich: „Wodociągi i kanalizacja”, a na trzecich: „Centrala systemów łączności”. Pozostałe drzwi nie miały żadnych napisów. - Które? - Zapytał Han.

Mirta cofnęła się i zatoczyła łuk lufą blastera, a Fett zastygł bez ruchu. Solo uświadomił sobie, że łowca nagród skupia uwagę na projekcyjnym wyświetlaczu w swoim polu widzenia.

- Z tej centrali systemów łączności prowadzą dwa wyjścia, a z innych pomieszczeń można wydostać się tylko przez szyby wentylacyjne - ogłosił w końcu. Wymownym gestem wskazał swój plecak raketowy. - Nie przecisnę się takim szybem. - A zatem pozostaje tylko centrala...

Tupot butów rozlegał się teraz o wiele głośniejsze. W pewnej chwili blasterowa błyskawica odłupała od ściany kawałek tynku dziesięć metrów od nich. Fett odszedł kawałek na bok, odwrócił się, wyciągnął lewą rękę i posłał w głąb korytarza, którym przybiegli, długą strugę ognistej substancji. Rozległ się głośny łoskot i z korytarza wydobyły się kłęby szarego dymu, a potem przekleństwa i krzyki. Domyślili się, że miotacz płomieni spowolnił prześladowców, ale ich nie powstrzymał. - W drogę - mruknął łowca nagród.

Drzwi centrali systemów łączności nie otwierały się automatycznie. Mirta uderzyła kilka razy w kwadratowy czerwony przycisk obok drzwi i w końcu płyty się rozsunęły. Kiedy uciekinierzy przebiegli połowę długości pomieszczenia, Han uświadomił sobie, że stoją tu rzędy biur z komunikatorami. Ściany pokrywały holomapy i plansze, na których można było wyświetlać

hologramy.

Z pomieszczenia można było kierować każdą akcją, kiedy rozlegnie się wycie alarmowych syren.

Przerażony mężczyzna w białej koszuli oderwał spojrzenie od ekranu komputerowego notesu, uniósł głowę i spojrzał na nich.

- Przyszliście za wcześnie - powiedział. - Jeszcze nie pora na zmianę... O rety... Od strony tylnych drzwi poleciała ku nim błękitna błyskawica.

Han, Fett i Mirta wystrzelili równocześnie i zmusili dwóch strażników do ukrycia się za drzwiami. Mężczyzna zanurkował pod biurko i osłonił rękami głowę. Jakiś czas trwała wymiana blasterowych strzałów. W końcu Fett trafił w kontrolny panel na ścianie obok drzwi i ciężkie płyty z łoskotem się zamknęły.

- Inspekcja służb bezpieczeństwa i higieny pracy - odezwał się Han, kiedy przerażony pracownik rozpląszczył się pod ścianą.

- Starajcie się nadal tak jak do tej pory, kolego.

Uciekinierzy wybiegli przez drzwi oznaczone jako „Wyjście awaryjne” i znaleźli się znów w oświetlonym słabym blaskiem tunelu. Pędzili najszybciej, jak mogli, bo od tego zależało ich życie. Tunel prowadził pod górę i tym razem Han od razu to odczuł. Mięśnie jego ud domagały się odpoczynku. Z tyłu napłynął odgłos blasterowych strzałów przebijających płytę drzwi, a później znajomy tupot butów. Strażnicy niełatwo się poddawali.

- Twój plecak rakietowy... Nie na wiele ci się tu przyda, kolego - wydyszał Han.

Fett nawet nie zwolnił, jakby go nie usłyszał. Dopiero przed zakrętem tunelu odwrócił się tak szybko, że Han o mało na niego nie wpadł. Zgiął się wpół wyprostował ramiona wzdłuż ciała i nacisnął płytkę na lewym boku. - Tak uważasz? - Zapytał, z wysiłkiem chwytając powietrze. - Uważaj na gazy wylotowe, Solo.

Rozległ się głośny syk gorącego powietrza i oślepił ich błysk żółtego światła. Han rozpląszczył się na ścianie. Wystrzelony z plecaka niewielki pocisk prawie się otarł o tył jego hełmu i pozostawiając warkocz białego dymu, poleciał w głąb korytarza. Huk eksplozji na chwilę wszystkich ogłuszył. Fett chwycił Hana za ramię i przynaglił do dalszego biegu. - Masz pojęcie, ile kosztują takie MM-dziewiątki? - Burknął. Han zauważył, że dzwoni mu w uszach.

- Muszą istnieć przepisy bezpiecznego stosowania tych zabawek - powiedział, ale umilkł, kiedy usłyszał łoskot i grzechot zasypywanego tunelu. Pobiegli dalej.

W pewnej chwili Han zobaczył w oddali trochę jaśniejsze światło. Wyteżając resztkę sił, cały czas biegł w jego stronę. Uciekaj, po prostu uciekaj, mówił sobie. O wszystko inne będziesz martwił się później. Spodziewał się, że do tej pory Mirta znalazła się już po drugiej stronie parku, ale dziewczyna stała przy drzwiach wyjściowych. Strzelała w nie z blastera tak długo, dopóki się nie otworzyły. Do zatęchłego tunelu wpadło chłodne wieczorne powietrze.

Okazało się, że wyjście jest po drugiej stronie parku, w zboczu jeszcze jednego sztucznego wzgórza.

- Wszędzie czysto - zameldowała dziewczyna. - Możemy biec dalej.

Wyglądało na to, że nie troszczy się zupełnie, czy umrze, czy przeżyje. Podobnie jednak jak Fett, miała swoje powody, żeby dbać o życie Hana. Łowca nagród mógł być pozostawić oboje w parku i odlecieć, korzystając z raketowego plecaka, ale cały czas nie spuszczał Hana z oczu. - Skontaktuj się z żoną, Solo - polecił. - Musi nas stąd zabrać.

Nie możemy o tej porze biegać po całym Koronecie. Za bardzo rzucalibyśmy się w oczy.

Przykucnęli pod osłoną gęstych krzaków w pobliżu ulicy. Han spróbował spojrzeć na całą trójkę oczami kogoś z zewnątrz. Poczul zawrót głowy. Byli trojgiem zakutych w kompletne zbroje mandaloriańskich skrytobójców, ukrywających się w parku przed funkcjonariuszami Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa, podczas gdy kilometr dalej trwał przewrót pałacowy. Wyjął i włączył komunikator. Co właściwie tu robię? - Zadał sobie pytanie. - Cześć, kochanie - powiedział. - Mogłabyś po nas przylecieć?

- Po nas, to znaczy po kogo? - Jak zwykle, w głosie Leii brzmiał pełen rezygnacji spokój.

- Po mnie i moich mandaloriańskich kumpli, na których się natknąłem - odparł Han. - To miłe - odparła księżniczka. - Z okna naszego apartamentu widać wzmożony ruch patroli policyjnych.

- Ach, to chyba z powodu mojego kuzyna Thrackana - mruknął Han. - Jak się miewa? - Zainteresowała się Leia.

- Jest martwy - odparł mąż, zastanawiając się, czy zbiera mu się na mdłości, czy też czuje ogromną, niewiarygodną ulgę. - Bardzo, bardzo martwy.

Kwatera główna SGS, Galactic City, Coruscant

- Co się stało z Baritem Saiyem? - Zapytał Ben.

Shevu przejrzał bazę danych bloku więziennego i pokręcił głową.

- Nie ma go tu - powiedział. - Nic także nie wskazuje, żeby go przeniesiono do więzienia CSB.

- Przecież na temat każdego aresztanta powinna istnieć informacja, kiedy został osadzony i kiedy wypuszczony - zdziwił się młody Skywalker.

- To prawda. - Nie odrywając spojrzenia od ekranu komputerowego notesu, Shevu zacisnęła wargi w wąską linię. - Nie lubię znikających aresztantów. - Uniósł głowę i uśmiechnął się do Bena.

- Może go repatriowano, ale nikt nie odnotował tego faktu w bazie danych - rozważał. - Przed blokadą odesłaliśmy stąd w pośpiechu naprawdę wielu Korelian. - Tak... - Mruknął chłopak.

- Trudno ci się z tym pogodzić, bo to ktoś znajomy - domyślił się kapitan. - Lepiej trzymać się od tego z daleka i robić wszystko zgodnie z przepisami.

- Jacen tak nie postępuje - zauważył Ben.

- Pułkownik Solo jest moim zwierzchnikiem.

Pozornie jego odpowiedź nie miała sensu, ale Ben szybko się uczył. Shevu dawał mu do zrozumienia, że nie zamierza komentować poczynań Jacena, bez względu na to, co o nich sądzi. Kapitan miał do niego żal o śmierć Ailyn Habuur. Benowi to także nie dawało spokoju. Jacen był dla niego niedościgłym wzorem, a tu niespodziewanie zabił aresztantkę... Od niechcienia, nie w gniewie, ale zabił. Ben nie był już pewny, czy zna kuzyna tak dobrze, jak mu się kiedyś wydawało. Czy naprawdę chce być taki jak on? - Zadał sobie pytanie.

- Rozumiem - powiedział i powlókł się do pustej sali gimnastycznej, żeby poćwiczyć umiejętność władania świetlnym mieczem. Zamierzał wykorzystać zdalniaka jako cel. Niewielka kula tańczyła i wirowała w powietrzu, a Ben obracał się i zadawał cios za ciosem. Po każdym zostawiał w powietrzu ledwo widoczną smugę błękitnego światła. Kiedy przestawał myśleć i reagował odruchowo, zawsze wykonywał ruchy bliskie ideału. Czuł się wtedy, jakby to był jeden i ten sam ruch, pierwszy i ostatni, powtarzany raz po raz, bez końca. Wreszcie osiągnął stan, w którym ścigał srebrzystą kulę, mając umysł zupełnie czysty. Nie tylko jasny... Czysty.

W takich chwilach widział różne rzeczy. Czuł się wtedy, jakby drzwi do jego świadomości szeroko się otwierały. Jego umysł nie był wtedy jak czyste białe światło, ale jak dokładny obraz z warstwami informacji, które intuicyjnie mógł zrozumieć, ale nie umiał przeczytać.

Zamarł w bezruchu. Reagując na to, zdalniak także znieruchomiał w powietrzu.

Ben uświadomił sobie, że wzywa go Jacen.

Młody Skywalker dorastał, świadom obecności innych Jedi. Wyczuwał ich, podobnie jak inne dzieci słyszą głosy wołających je rodziców. Tym razem chodziło jednak o coś innego. Bena wzywano, nie wołano. To był rozkaz. Chłopiec wyraźnie to wyczuwał. Podskoczył, chwycił zdalniaka i pobiegł, żeby odszukać Jacena. Ostatnio przychodziło mu to łatwo; widać kuzyn wyraźnie zaznaczał swoją obecność w Mocy. Ilekroć miał na to ochotę, ukazywał mu siebie niczym drogowskaz. Kiedy indziej jednak zupełnie znikał. Ben bardzo chciał się nauczyć tej sztuki.

Jacen siedział w jednym z administracyjnych gabinetów i wpatrywał się w holomapę. Zasłonił dół twarzy dłonią, jakby rozmyślał o czymś irytującym. - Jacenie? - Zagadnął chłopak.

- Witaj, Benie. Nie spodziewałem się, że przybędziesz tak szybko - odparł rycerz Jedi. - Mam nadzieję, że ci w niczym nie przeszkodziłem.

Jakbym miał jakikolwiek wybór, pomyślał Ben, ale zaraz sobie przypomniał, że Jacen zawsze traktuje go jak dorosłego.

- Właśnie doskonalilem umiejętność władania świetlnym mieczem - powiedział.

- Szukam miejsc, w których musimy zrobić porządek - odezwał się rycerz Jedi. - Z meldunków funkcjonariuszy CSB wynika, że na dolnych poziomach trwają bójki między Atzerrianami a Coruscanami, a ekipy usuwające bomby badają dziesięć następnych podejrzanych pakunków. Po załatwieniu każdego problemu pojawiają się trzy następne. - Do czego jestem ci potrzebny? Jacen wskazał krzesło i zachęcił Bena, żeby usiadł.

- Czas, żebyś przejął więcej obowiązków powiedział rozwijamy się tylko wówczas, kiedy mamy taką szansę.

Ben usiłował sobie wyobrazić, jakie to mogą być obowiązki. Brał już udział w operacjach antyterrorystycznych i unieszkodliwiał broń, która mogła niszczyć całe planety. Kiedy się miało trzynaście lat, to naprawdę niezły wynik.

- Umiesz wykrywać broń i materiały wybuchowe - ciągnął Jacen. - Jesteś w tym naprawdę dobry. - Umieścił rękę i wskazał kciukiem holomapę na ścianie. - Do dzieła. Przekonajmy się, czy dasz radę coś wyczuć, obserwując tę mapę.

Ben poderwał się z krzesła i zaczął się wpatrywać w holomapę. Jak większość map Galactic City, miała wiele warstw, a on umiał je przenikać, jedną po drugiej, albo nurkować w głąb, dotykając palcem świetlistych linii. Przesunął dłonią nad powierzchnią mapy i skupił się na wyczuwaniu prądów Mocy, ale niczego nie znalazł.

Cóż, zagrożenie mogło się znajdować na innej sekcji mapy. Ben przytknął palec do lewego brzegu obrazu i mapa przesunęła się na zachód. Pokazywała teraz teren bardziej oddalony od gmachu Senatu, graniczący z dzielnicą przemysłową. Uwagę Bena zwrócił kwadrant znajdujący się kilka kilometrów na południowy zachód od gmachu Senatu, ale i tam chłopiec nie wyczuł niczego szczególnego. - Chyba gdzieś tu - poinformował.

- Dobrze. - Jacen stanął za nim i położył dłoń na jego ramieniu. Zazwyczaj taki gest uspokajał, ale Ben przypomniał sobie nagle los, jaki spotkał Ailyn Habuur. - Badaj dalej. - Coś się tam wydarzy. - Ben zrozumiał, że jest poddawany testowi. - Ty także to wyczuwasz?

- Tak. Wyczuwam - przyznał rycerz Jedi. - Dzicy Mózgu Świata też donoszą o wzmożonej aktywności w tamtym rejonie.

- A zatem o co chodzi?

- Chcę, żebyś się sam tego domyślił... W ramach szkolenia - odparł Jacen. - Będę tam, żeby służyć ci pomocą, gdybyś jej potrzebował, ale moim zdaniem najwyższy czas, żebyś się nauczył podejmować własne decyzje. Ufam ci.

W pierwszej chwili Ben poczuł uniesienie. To cudownie, że kuzyn ma do niego takie zaufanie! Potem jednak zaczął się zadręczać, że może go zawieść. Znowu przypomniał sobie Ailyn Habuur.

- Problem w tym, czy ty ufasz mnie, Benie - odezwał się nagle Jacen.

- Ja... Ależ oczywiście - bąknął chłopak.
- Mów prawdę.

Jacen wyczuwał wszystko. Czasami wydawało się, że umie czytać w myślach. Ben wiedział, że nie ma sensu go okłamywać, a zresztą wcale tego nie pragnął. Chciał tylko uzyskać odpowiedzi na swoje pytania.

- Dobrze, powiem. Nie rozumiem, jak mogłeś wyrządzić taką krzywdę tamtej kobiecie - odezwał się w końcu. - Nie jesteś złym człowiekiem. Dotąd nie nadużywałeś przemocy. Przeraza mnie, że coś takiego potrafisz. To znaczy, że się różnimy, a ja chciałem być dokładnie taki jak ty. Teraz już nie jestem tego pewien.

Jacen nie był chyba specjalnie urażony. Trudno zresztą zgadnąć, jak zareagował na wyznanie Bena.

- Rozumiem cię - powiedział cicho. - Każdy musi sam określić, jak daleko może się posunąć i co jest gotów zrobić. Nie dowiesz się tego, dopóki nie będziesz w sytuacji przymusowej.

Ben nie był pewny, czy go rozumie, ale był świadom, że musi przez to przejść. Ta próba nie mogła się bardzo różnić od tego, czym się zajmował w ciągu kilku ostatnich tygodni. Wiedział, co może zrobić już teraz, a do czego jeszcze nie jest gotów. Był o tym przekonany.

Na lądowisku czekały na nich nowe, czarne szturmowe patrolowce SGS, będące przemalowanymi jednostkami CSB. Z przedziału dla żołnierzy pierwszego okrętu wychylił się kapitan Shevu, trzymając się jedną ręką uchwytu nad głową.

- Kwadrant H-90 jeszcze nie jest zabezpieczony, panie pułkowniku - poinformował Jacena. - Demonstranci zabarykadowali śmigaczami skrzyżowania napowietrznych szlaków. Rycerz Jedi wskoczył do przedziału dla żołnierzy pierwszej kanonierki i pomógł Benowi wejść na pokład. - Wciąż jeszcze tam są? - Zapytał.

- Ci z CSB potrzebują wsparcia, zanim przystąpią do działania - odparł Shevu. - Wygląda na to, że w zamieszkach bierze udział wielu Coruscan.

Jacen zmarszczył brwi.

- Jesteś pewny? - Zapytał.

- Absolutnie - odparł kapitan. - Chyba nie wszyscy tutejsi podatnicy popierają stanowisko Sojuszu.

Ben zastanawiał się nad tym, kiedy patrolowiec wzniósł się w powietrze. Pilot skręcił w lewo i skierował się w stronę kwadrantu H-90. Na pierwszy rzut oka okolica wyglądała normalnie: sklepy, bary, apartamentowce i rynek. Na pewno mieszały tu istoty wielu ras. Chłopiec zawsze dotąd uważał, że źródłem coraz silniejszego sprzeciwu wobec polityki Sojuszu oraz niebezpieczeństw, które wykrywał, skupiając uwagę na holomapie, są dzielnice zamieszkałe przez istoty z innych planet, nie przez Coruscan. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że ludzie, których bezpieczeństwa strzegł, mogą protestować przeciwko takiej ochronie.

Każdy dzień przynosił nowe informacje o pełnym sprzeczności świecie dorosłych. Ilekroć Ben

myślał, że już coś rozumiał, zawsze okazywało się, że jest w błędzie. Jacen i Shevu krzyczeli coś do siebie, usiłując się usłyszeć mimo panującego w otwartym przedziale hałasu pracujących silników. Coruscant rozciągała się pod nimi niczym przefiltrowana przez rzadką mgiełkę mapa.

- Zaczęło się, kiedy funkcjonariusze CSB aresztowali kogoś za malowanie antyrządowych sloganów na ścianach miejscowej siedziby władz Galactic City, panie pułkowniku - mówił Shevu. - Musieliśmy tam skierować cały oddział do tłumienia zamieszek.
- Doszło do jakichś incydentów? - Zagadnął rycerz Jedi.

Shevu przycisnął dłoń do ucha, żeby nie wypadła z niego słuchawka komunikatora. - Aresztowano dwadzieścia osób pod zarzutem zakłócania porządku - powiedział. - Żadnych ofiar. Demonstracja ma stosunkowo spokojny przebieg. Jacen odwrócił się do kuzyna. - Uważasz, że najgorsze jeszcze przed nami, Benie? - Zapytał.

Chłopiec skinął głową. Porywy wpadającego wiatru szarpały nogawki jego munduru. - Tak - przyznał ponuro. Shevu przyjrzał mu się przenikliwym wzrokiem; kapitan chyba wolałby usłyszeć fakty zamiast podszeptów Mocy. Czując siłę spojrzenia kapitana, Ben także zaczął mieć wątpliwości.

- Moim zdaniem coś takiego można byłoby stwierdzić codziennie - odezwał się w końcu Shevu.

Pilot szturmowego patrolowca obniżył lot i zastopował nisko nad napowietrznym szlakiem, którego każde skrzyżowanie było zatłoczone śmigaczami. W bezpiecznej odległości za nimi unosiły się jednostki CSB. Wszyscy wpatrywali się w apartamentowiec, gdzie trwała hałaśliwa demonstracja. Ktoś wymalował na osłaniających chodnik markizach hasła: „Pokój natychmiast” i „Dość zabijania Korelian” - w taki sposób, żeby były widoczne z powietrza. Na pomostach tłoczyły się istoty wielu ras, a kiedy pilot patrolowca SGS zanurkował, żeby się im lepiej przyjrzeć, odpowiedzieli gniewnymi okrzykami i obraźliwymi gestami. Jak na pokojową demonstrację, zachowywali się dosyć agresywnie. Ben cały czas omiatał ich spojrzeniem, wypatrując blasterów. Na razie trudno byłoby przewidzieć, czy demonstranci zechcą się spokojnie rozejść, czy też może manifestacja przerodzi się w zbrojne zamieszki. Pilot patrolowca zwiększył pułap lotu i unosił się nad linią statków CSB, dopóki do jego maszyny nie podleciał raketowy skuter. Siedzący na nim sierżant zrównał się z przedziałem dla żołnierzy i uniósł przesłone hełmu.

- Ostrzegam, że mogą mieć ukrytą broń - powiedział. - Zastanawiamy się, czy przeszukać teren i ryzykować zbrojne starcie, czy poczekać, aż się znudzą i rozejdą do domów.

Jacen, Ben i Shevu przyglądali się tłumowi z bezpiecznej wysokości.

- Chce pan, żebyśmy tam wkroczyli? - Zawołał w końcu rycerz Jedi. - W odróżnieniu od was nie musimy się przejmować tym, że zadrażnimy stosunki z miejscową ludnością. - Tak, już to kiedyś słyszałem! - Odkrzyknął sierżant. Z dołu napłynął chór wrzasków: „Znów ma-my Im-pe-rium! Znów mamy Im-pe-rium!” - Nie zamierzacie, mam nadzieję, zakuć swoich ludzi w ładne, białe pancerze, co? - Zapytał. - To by ich dopiero rozwścieczyło. - Bardzo zabawne - mruknął Shevu. Nałożył hełm, opuścił błyszczącą czarną przesłonę i stał się nagle anonimową postacią.

- Czy chcecie, żebyśmy kilku stamtąd wykurzyli?

Kiedy Ben znalazł się blisko miejsca demonstracji, wyczuwał bardzo szczególne zakłócenia w Mocy, podobne do niewielkich wirów groźnej ciemności. Wyczuwał także coś innego. Odwrócił się do Jacena.

- Mają ciężką broń - stwierdził.

- Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy lekką, ale... - Zaczął kapitan.

Ben odbierał narastający niepokój, podobny do dzwonienia w uszach... Tak głęboko, że docierał niemal do gardła. Znajdował się blisko. Wyciągnął szyję i wyjrzał z otwartego przedziału dla żołnierzy najdalej jak mógł bez wypuszczania liny systemu bezpieczeństwa.

- Wiem, gdzie to jest - powiedział. Spojrzał na Jacena, szukając u niego potwierdzenia, ale kuzyn w milczeniu patrzył na niego.

- Co o tym sądzisz? - Zapytał.

- A ty? - Odparł rycerz Jedi. - To twoja decyzja.

- Czuję, że to coś... Naprawdę niebezpiecznego.

- Sam podejmij decyzję - powiedział Jacen. - Wkraczamy tam czy nie? Ben się zawahał.

- Jeżeli się mylę, możemy rozwścieczyć demonstrantów - zaczął. - Wybuchną zamieszki, a wówczas mogą zginąć ludzie.

Shevu odbezpieczył blaster. Cichy skowyt przedarł się przez gwar żołnierskich głosów i basowy pomruk repulsorów.

- Jesteśmy gotowi do akcji, panie pułkowniku - zameldował.

- Czekamy na pańskie rozkazy.

- Musisz podjąć decyzję, Benie - powtórzył rycerz Jedi. - Na podstawie informacji, jakimi dysponujemy w tej chwili, zdecyduj, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić. Pamiętaj jednak, że będziesz ponosił konsekwencje swoich decyzji.

Ben znów się zawahał. Nie był pewny, czy Jacen by go powstrzymał, gdyby jego zdaniem podjął niewłaściwą decyzję. Doszedł do wniosku, że musi dokonać wyboru. - Tamten gmach - powiedział, pokazując lokal nad obskurną restauracją. - Proszę pozwolić nam tam wylądować.

Chociaż Ben był pewny - prawie pewny - że poradzi sobie z lecącymi ku niemu błyskawicami blasterowych strzałów czy raketami, ogarnęło go przerażenie, kiedy szturmowy patrolowiec zaczął opadać. Niektórzy demonstranci się rozbiegli, ale inni pognali w kierunku patrolowców. Ben zeskoczył z wysokości dziesięciu metrów, używając Mocy, żeby nie roztrzaskać się o chodnik podczas upadku. Na jego widok ludzie się rozproszyli. Młody Skywalker usłyszał, że Jacen wylądował za jego plecami, ale nie obejrzał się i od razu pobiegł w kierunku drzwi restauracji. Ubrani w czarne mundury żołnierze SGS przepuścili go i zabezpieczyli wejście. Ben odpiął świetlny miecz i zapalił klingę - tak kazał mu postąpić instynkt.

Restauracja była pusta. Przy stolikach nikt nie siedział. Chłopiec przebiegł między nimi, kierując się ku wyjściu na zaplecze.

Usłyszał napływające zza pleców wrzaski i odgłosy blasterowych strzałów. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Znieruchomiał przed drzwiami i zastanowił się, czy powinien je wyważyć. Obejrzał się i zobaczył, że osłania go Shevu z blasterem w dłoni, a nie Jacen. Nie mogąc się teraz wycofać, uświadomił sobie.

Otworzył drzwi pchnięciem Mocy i przestąpił próg, trzymając oburącz rękojeść świetlnego miecza. Wszedł do kuchni. Zobaczył istny labirynt durastalowych regałów, kuchenek i zlewozmywaków; po obu stronach stały szafki i stojaki. Skupił się, żeby wyczuć, gdzie mogą się kryć ludzie albo broń. Od razu przeszedł do zawieszonych na zawiasach drzwi z metalowym kołem po jednej stronie. Nie wyczuwał za drzwiami żywej obecności, ale zza metalowej płyty promieniowało coś niebezpiecznego, czego nie potrafił zdefiniować. - Musisz pamiętać, żeby mieć w uchu słuchawkę - szepnął Shevu przez megafon. Pokazał Benowi gestem, żeby odszedł na bok, a później wyciągnął dłoń do metalowego koła i wykonał nią ruch, jakby chciał mu powiedzieć: obróć to koło.

Ben przełożył świetlny miecz do prawej dłoni i powoli obrócił koło lewą. Kiedy uszczelka puściła, dał się słyszeć syk i do kuchni wpadła mgiełka lodowatego powietrza. Shevu uniósł dłoń z wyprostowanymi dwoma palcami, zagiął jeden, później drugi i wykonał zaciśniętą pięścią raptowny ruch w dół. Dwa, jeden... Już!

Ben otworzył szarpnięciem drzwi, a Shevu wymierzył w głąb chłodni lufę blastera. W pomieszczeniu panowała nieprzenikniona ciemność. Promień światła celowniczego lasera ukazał tylko mgiełkę. Ben namacał włącznik źródła światła. Zobaczył pokryte grubą warstwą

szronu i zastawione pudełkami półki regałów oraz haki, z których zwisały niemożliwe do rozpoznania kawały mięsa.

W środku nikt się nie ukrywał.

Shevu wszedł do chłodni i zaczął się rozglądać, a Ben go osłaniał. W końcu kapitan wyszedł z długim metalowym cylindrem w dłoni. Jego hełm pokrywała warstewka szronu.

- Wiesz, co to jest? - Zapytał.

Ben spojrzał na przedmiot, który wyglądał jak rura.

- Granatnik? - Zapytał.

- Blisko - przyznał oficer. - Naramienna wyrzutnia niewielkich rakiet, a przynajmniej jej element. W chłodni jest ich co najmniej tuzin.

- Chyba nie mają ich w jadłospisie - zazartował chłopak.

- Też tak myśle. - Shevu się uśmiechnął.

- No dobrze, przejdźmy teraz na wyższe piętro - zaproponował młody Skywalker.

- Tak ci podpowiadają wrażliwe na Moc zmysły, prawda? - Domyślił się kapitan.

- Tak... - Mruknął chłopak.

- Nie mam nic przeciwko temu - stwierdził Shevu.

Kabina turbowindy była ciasna, więc wszyscy stłoczyli się w środku. Ben nienawidził turbowind. Najbardziej nie znosił chwili, kiedy drzwi się otwierały. Jego wyczulone na Moc zmysły ujawniłyby mu, gdyby za drzwiami czekał komitet powitalny, ale mimo to poczuł się niepewnie, kiedy płyty się rozsunały, a on wyrzwał na korytarz. Tym razem był pewny, że w pobliżu znajdują się ludzie. Pokazał w lewo. Shevu pobiegł korytarzem i wymierzył blaster w pierwsze drzwi. Gestem polecił, żeby Ben stanął z boku, kiedy on będzie niszczył kontrolny panel na ścianie. Po chwili chłopiec posłał przed

siebie falę energii Mocy, żeby zwalić z nóg wszystkich, którzy przebywają za drzwiami.

Podobnie jak granat ogłuszająco-oślepiający, fala pozwalała obezwładnić przeciwników na kilka cennych sekund, ale nie pozostawiała ich ślepych ani głuchych. Z podłogi poderwali się dwaj mężczyźni, ale Ben zauważył ich dopiero, kiedy wszedł do pomieszczenia. Reagując odruchowo, skoczył ku nim z uniesioną klingą świetlnego miecza. Obok niego przeleciała blasterowa błyskawica. Ben uznał, że wystrzelił ją Shevu, i kiedy zobaczył, że jeden z mężczyzn unosi rękę, szybko opuścił klingę świetlnego miecza. Wydawało mu się, że walka trwa całą wieczność, ale w głębi umysłu wiedział, że zajęła tylko kilka sekund. Zobaczył kolejną nitkę białego światła i odruchowo odbił ją klingą. Później w pomieszczeniu zapadła cisza. W powietrzu unosił się drażniący odór spalonego materiału.

Ben czuł łomot pulsu w skroniach.

- No cóż, już bardziej martwi nie będą... - Patrząc na zabitych mężczyzn, Shevu na wszelki wypadek mierzył do nich z blastera.

- Dlaczego zablokowałeś mój strzał?

- Zablokowałem? - Zdziwił się Ben.

- Tak.

- Jednego zastrzeliłeś.

- Nie, to jeden z nich wystrzelił do mnie.

Ben spojrzał na swoje ręce, jakby należały do kogoś innego.

Jak zwykle, trzymał rękojeść świetlnego miecza oburącz, ale zauważył, że ręce mu drżą. A więc to on zabił obu mężczyzn. Byli mniej więcej w wieku Jacena. Benowi nie spodobało się to, co zobaczył.

- Nic ci nie jest? - Zapytał Shevu.

- Czy obaj byli uzbrojeni? - Zainteresował się Ben.

- Trochę za późno, żeby się teraz tym przejmować. - Shevu kucnął, położył blaster obok siebie na podłodze i zaczął przeszukiwać zwłoki. Ben usłyszał tupot butów i do pokoju wpadli dwaj komandosi z SGS. - No cóż, jeden na pewno był - odezwał się po chwili kapitan. - Przy drugim nie mogę znaleźć broni.

Niech Moc mi wybaczy, pomyślał młody Skywalker. Zabiłem ich. Zabiłem nieuzbrojonego człowieka. Nawet nie zastanowiłem się nad tym, co robię.

Przylgnął plecami do ściany i osunął się na podłogę. Słyszał, że korytarzem biegają następni żołnierze SGS, aby przeszukać pozostałe pokoje. Słyszał też rumor rozbijanych szaf i okrzyki:

- Tutaj! Czysto!

Ukrył twarz w dłoniach. Chciał patrzeć na to wszystko, ale nie mógł. Ktoś chwycił go za rękę.

- Benie, wstań. - To był Jacen.

- Przykro mi...

- Benie, weź się w garść. Masz zadanie do wykonania. - Rycerz Jedi pomógł mu wstać łagodnie, lecz stanowczo. - Spójrz.

Powinieneś być przeszukać zwłoki, zamiast pozwalać, żeby zrobił to Shevu. - Nie był uzbrojony - bąknął Ben.

- Przestań - uciał Jacen. - Ważne, że uzbrojony był jego kompan, a w mieszkaniu jest pełno wyrzutni rakiet i innego żelastwa.

Rycerz Jedi poprowadził kuzyna do zwłok na podłodze, przytrzymał go od tyłu za ramiona i zmusił, żeby chłopak na nie spojrział. Ben wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie. Jego umysł ogarnęło odrętwienie. Widział tylko rozmazane plamy, nie ludzi.

Przypuszczał, że później odzyska ostrość wzroku, ale na razie coś nie pozwalało mu widzieć tego, na co kieruje oczy.

- To ty podjąłeś decyzję, Benie - powiedział cicho Jacen. Jego kuzyn zauważył kątem oka, że Shevu go obserwuje, a przynajmniej patrzy w ich stronę. Oficera chyba obchodzili tylko oni.

- Przeważnie postępujemy słusznie, ale czasami się mylimy. Dzisiaj podejmowałeś prawie wyłącznie słuszne decyzje. Może nawet same słuszne... Ale zapewne potrwa kilka dni, zanim się zorientujemy, czy tamten mężczyzna stanowił zagrożenie, czy też nie. Tak czy owak... Nie możesz dopuścić, żeby takie zdarzenie zmąciło jasność twojego myślenia. Poprowadził Bena do drzwi. Jeden z komandosów SGS chwycił go za rękę i wyprowadził na korytarz. Dopiero tam Ben uświadomił sobie panujący hałas. Poczł w Mocy rozdarcie i zawirowania z powodu zamieszek. To on do nich doprowadził. To jego dzieło. Usłyszał strzępy rozmowy: - To dzieciak. - Mówił Shevu. - To jeszcze chłopiec.

- Jest Jedi i musi się nauczyć - sprzeciwił się Jacen. - Umiał się posługiwać bronią w tym wieku co ty uczyłeś się dodawać.

Ben głęboko odetchnął i pozwolił, żeby władzę nad jego mięśniami przejęły odruchy. Wszedł na chodnik. Funkcjonariusze CSB, posługując się wyrzutniami sieci, usiłowali właśnie rozprędzić tłum, który nie chciał się rozproszyć. W powietrzu snuły się siwe pasma dymu. Ben poczuł, że od pomruku repulsorów szturmowych patrolowców drżą mu zęby. Jeden z funkcjonariuszy CSB chwycił go i wepchnął do policyjnego transportowca. Ben usiadł i oparł się plecami o ścianę. Siedział tak, milczący i oszołomiony, dopóki w otworze wjazdu nie zobaczył znajomej twarzy.

- Cześć, Benie - odezwał się kapral Lekauf. - Nic ci się nie stało?

- Chyba nie - mruknął chłopak.

- To nigdy nie jest łatwe, chłopcze.

- Co nie jest?

- Zabicie kogoś - odparł podoficer. - Jeżeli będziesz chciał z kimś porozmawiać, jestem do usług... O każdej porze.

Ben wiedział, że powinien wyjść z transportowca i wrócić na pole bitwy, ale cichy, przerażony głosik podpowiadał mu, że jest tylko dzieckiem, że to niesprawiedliwe i że chce zobaczyć się z mamą. Wzdrygnął się i oprzytomniał. W jego wieku mandaloriańscy chłopcy byli już dojrzałymi wojownikami, Napluliby na Bena, gdyby się dowiedzieli, że jest takim mazgajem. Wstał, i

wygramolił się z transportowca i ruszył chodnikiem, jakby brnął w głębokim śniegu.

W pewnej chwili - prawdopodobnie zaledwie kilka sekund później - Jacen chwycił go za rękę i oddał pod opiekę Shevu. Żołnierze się wycofywali. Czarny szturmowy patrolowiec zrównał się z poziomem chodnika i kapitan wrzucił Bena jak tobołek do przedziału dla wojska. Wracając do bazy, chłopak siedział wciśnięty między oficera a Jacena. Wydawało mu się, że osunąłby się na pokład, gdyby któryś z nich się choćby poruszył.

- To nigdy nie będzie łatwe do zniesienia - szepnął rycerz Jedi. - A gdyby stało się inaczej, będziesz musiał z tego zrezygnować.

Ben odzyskał zdolność mówienia, ale jego głos brzmiał dziwnie obco i rozlegał się echem w głowie.

- Nauczysz mnie, jak ukrywać obecność w Mocy? - Zapytał. - Dlaczego tak ci na tym zależy? -

Zdziwił się rycerz Jedi.

Ben instynktownie przeczuwał, że któregoś dnia taka umiejętność może go ochronić. Miał także inny powód.

- Żeby ojciec nie mógł mnie odnaleźć, kiedy będę się chciał przed nim ukryć - wyjaśnił.

- Nie możesz się ukrywać przed ojcem za każdym razem, kiedy zrobisz coś, czego nie będzie aprobował - stwierdził Jacen.

- Wiem, ale chciałem tylko... Czasami pozostawać sam z sobą. Naprawdę sam.

Jacen wpatrywał się w niego uważnie, jakby czegoś szukał w jego twarzy. - Spisałeś się dzisiaj doskonale, Benie - odezwał się w końcu.

- Nie musisz się ukrywać. Kilka ostatnich tygodni było jak wyprawa nad przepaścią; Ben co chwila musiał się wycofywać znad krawędzi i jakoś mu się udawało. Za każdym razem jednak trochę się zmieniał i czuł, że już nie zdoła podejść do brzegu kolejnej przepaści. A ten dzień... Ten dzień zmienił go bardziej niż wszystkie inne. Ben był tego pewien.

Chciał, żeby powrócił dawny Ben, ale zarazem wiedział, że tamten Ben zniknął na zawsze.

Miał ochotę się rozpłakać, ale... Przecież był żołnierzem i musiał żyć z tym, co zrobił. Mój tata też musiał przez to przejść, pomyślał. I mama.

Zastanowił się, czy kiedykolwiek będzie w stanie o tym z nimi porozmawiać. Bardzo w to wątpił.

ROZDZIAŁ 19

W co on się bawi? Albo dowodzi Strażą, albo nie. Wiem, że osiąga rezultaty, ale musi się zdecydować, czy chce być pilotem myśliwca czy pułkownikiem oddziałów specjalnych. Nie mam pojęcia, czy po prostu lubi latać X-wingami, czy też może stara się zaskarbić sobie wdzięczność admiralicji. Może jedno i drugie.

kapitan Girdun o pułkowniku Jacenie Solo w wiadomości, którą przesłał żonie

Baza Trzeciej Floty, Coruscant

To był tylko sen. Luke miał nadzieję, że to nie wizja Mocy, lecz po prostu sen - taki, jaki męczy człowieka, kiedy się za mocno naje tuż przed snem albo właśnie przeżył silny stres.

Mimo to mistrz Jedi obudził się wcześniej, niż zamierzał. We śnie widział Bena, który z twarzą ukrytą w dłoniach, szlochając, powtarzał w kółko: - To zbyt wysoka cena. To zbyt wysoka cena.

Ben na jawie nigdy by tego nie powiedział, ale ostatnio na oczach ojca syn zmieniał się w dorosłego mężczyznę. Luke siedział w opustoszałej kwaterze starszych oficerów Trzeciej Floty i czekał na przybycie Jaina. Omiótł spojrzeniem rząd okrętowych odznak, zawieszonych w równym rzędzie na plekdrewnianym panelu za kontuarem baru. Nie, nie powinna go obchodzić wojskowa dyscyplina. Powinien się zainteresować Jacenem Solo.

W końcu pojawiła się Jaina, wciąż jeszcze ubrana w pomarańczowy kombinezon lotniczy. Osunęła się na krzesło obok niego.

- Dziękuję, że przyszedłeś, wujku Luke - powiedziała.

- Chciałem wysłuchać twojej wersji tej historii - odezwał się mistrz Jedi. - Nie wierzę, żeby Jaina Solo kiedykolwiek stchórzyła i uciekła z pola bitwy.

- Jestem zawieszona w pełnieniu obowiązków - przypomniała siostrzenica.

Nie było sensu tłumaczenia jej, że okręty Floty obiegała lotem błyskawicy plotka, jakoby Jaina odmówiła wykonania rozkazu przystąpienia do ataku. Takie gadanie zawsze zwracało uwagę na konkretną osobę, zwłaszcza jeśli była w dodatku słynną Jedi. - Co się stało? - Zapytał Luke.

- Doszłam do wniosku, że dalsze atakowanie cywilnego statku, którego pilot się wycofywał, nie jest... Właściwe - odparła Jaina.

Luke znał odpowiedź, ale mimo to zapytał:

- Kto wydał ci taki rozkaz?

- Jacen.

- Czy artylerzyści tamtego statku otworzyli ogień do jednostek Sojuszu?

- Nie, ale statek naruszył strefę zakazaną, a jego artylerzyści obrali za cel myśliwiec Jacena - tłumaczyła młoda Solo. - Unieszkodliwiłam wprawdzie rufowe działka statku, ale artylerzyści mogli nadal strzelać. A kiedy frachtowiec zawrócił i wyleciał ze strefy zakazanej, Jacen wydał mi rozkaz otwarcia ognia. - Do tej pory mówiła rzeczowym tonem, używając precyzyjnych terminów wojskowych, teraz jednak zakłopotana zmarszczyła brwi. - To było po prostu złe, wujku Luke. Jacen dążył do zniszczenia. Chciał im dać nauczkę. Czułam to. Luke przypomniał sobie zawilosci zasad postępowania w przypadku nawiązywania kontaktów bojowych. Pod względem formalnym frachtowiec stanowił potwierdzone zagrożenie. Jego artylerzyści mogli otworzyć ogień do jednostek Sojuszu, nawet jeżeli statek wyleciał ze strefy zakazanej. Pod względem formalnym Jacen miał rację.

Gdyby taki rozkaz wydał kto inny, Luke przypisałby ją impulsowi dowódcy, który musiał podejmować błyskawiczne decyzje na polu bitwy, i ze smutkiem by się z tym pogodził. Kłopot w tym, że rozkaz wydał Jacen... Co uświadomiło mu jeszcze dobitniej, jak daleko jego siostrzeniec zapuścił się na Ciemną Stronę. Jacen, którego znał, już nie istniał. A gdzieś w pobliżu czaiła się Lumiya. Wróciła, co nie wróżyło nic dobrego. Była tu i Luke doszedł do wniosku, że musi ją odnaleźć.

- Mama i tata pewnie się będą wstydzić z mojego powodu odezwała się Jaina. - Proszę, na razie nic im nie mów. Kiedy będę gotowa, sama to zrobię.

- Oni dobrze wiedzą, kim jesteś. - Luke wyciągnął ręce i ujął jej dłonie. - Dlaczego jednak nie powiedziałaś nic na swoją obronę?

- Bo gdybym opowiedziała wszystkim, co się stało, doszliby do wniosku, że niepotrzebnie narzekam - odparła siostrzenica. No wiesz... Wszyscy inni muszą robić to, co im się każe, ale Jaina Solo jest na to zbyt ważna. - Ale ja wiem, że miałaś rację, Jaino - stwierdził mistrz Jedi.

- Ty też byś nie wykonał takiego rozkazu, prawda?

- Wyczuwam, że Jacen przechodzi na Ciemną Stronę. Pozwala sobie na postęпки, jakich ani ty, ani ja nigdy byśmy się nie dopuścili, kiedy odważyliśmy się tam zapuścić - odparł Luke.

- Wolałabym, żebyś nie miał racji - oznajmiła młoda Jedi.

- Ja też bym wolał - zgodził się z nią Luke.

- Sprzeczasz się na ten temat z Marą, prawda? - Zapytała Jaina.

- Czasami - przyznał niechętnie mistrz Jedi.

- Nie dostrzega, co ostatnio dzieje się z Jacenem?

- Dostrzega, ale ma inne wyjaśnienie - odrzekł Luke. - Żyjemy w trudnych czasach. - Zawsze w takich żyliśmy - przypomniała Jaina. - To żadne usprawiedliwienie. - A zatem co zamierzasz robić teraz, kiedy jesteś uziemiona?

- Dopóki nie stanę przed sądem wojennym... Nie mam pojęcia - wyznała młoda Solo. - Czy mogę ci się na coś przydać? Poleciałabym poszukać mamy i ojca, ale moim zdaniem w tej chwili to by im nie pomogło.

- Coś wymyślę - obiecał Luke. - Jak przyjmuje to Zekk?

- Stara się mnie zrozumieć - odparła siostrzenica. - Problem w tym, że nie chcę być rozumiana. Chcę tylko, żeby to szaleństwo się skończyło.

- Ja też - przyznał się mistrz Jedi. - Chodź, zjesz lunch ze mną i z Marą. Ostatnio nieczęsto mamy okazję cię widywać.

- Czy utrzymujesz jakiś kontakt z moimi rodzicami?

- Jeżeli ci chodzi o to, czy ze sobą rozmawiamy... To raczej niewiele - odparł Luke. - Utrzymuję wprawdzie ścisły kontakt z Leią, ale chyba straciłem go z Hanem. - Luke pamiętał czasy, kiedy wszyscy troje byli nierozłączni. Trudno im było wówczas wyobrazić sobie, że kiedyś może dojść między nimi do rozdźwięku, ani tym bardziej, że zaczną walczyć po przeciwnych stronach. - Brakuje mi go. - Idę o zakład, że i jemu brakuje ciebie - westchnęła Jaina.

Mistrz Jedi wspominał, jak łatwo było wtedy odróżnić dobro od zła. Nigdy nie poświęcał uwagi szarym strefom. Tego też mu brakowało.

Kiedy szli do jego apartamentu, zauważyli, że napowietrzne szlaki są jakby bardziej zatłoczone niż zwykle. Za nimi ciągnął się długi rząd powietrznych śmigaczy. Luke przełączył odbiornik na kanał, w którym podawano lokalne holowiadomości, żeby poznać powód niezwykłego opóźnienia, i dowiedział się o nowym aspekcie codziennego życia w Galactic City. Wiele napowietrznych szlaków było zamkniętych, bo funkcjonariusze CSB musieli rozpędzić demonstrację, więc kierowali pojazdy na inne szlaki. - Powinniśmy się do tego przyzwyczaić - stwierdziła Jaina.

- Sojusz zraził do siebie nie tylko Korelian, ale także wiele innych obywateli.

Nagle Luke wyczuł nagły, krótki przebłysk bólu Bena. Jego syn cierpiał nie z powodu kłopotów czy zagrożenia, lecz z emocjonalnej udręki. Wrażenie było ulotne niczym dawne wspomnienie i zaraz zniknęło, jakby ktoś zamiótł je pod dywan. Luke zastanowił się, dlaczego wcześniej niczego nie wyczuł. Zaniepokojony, włączył komunikator, żeby skontaktować się z żoną.

- Kochanie, czy Ben jest z tobą? - Zapytał.

- Nie. - W głosie Mary usłyszał niepokój. - Co się stało?

- Czy ty go wyczuwasz? Nic mu nie jest?

- Niczego nie wyczuwam - odparła żona. - Żadnego śladu obecności Bena w Mocy. To robota Jacena, pomyślał mistrz Jedi. Wiedział, że siostrzeniec, kiedy chce, umie zniknąć z Mocy, więc może potrafił także maskować obecność w niej innych osób. Domyślił się, że Ben jest blisko niego. Wyteżył zmysły, ale nie wyczuł Jacena.

- W porządku, kochanie - powiedział. - Chciałem się tylko upewnić. Lecę do domu z Jainą.

Przerwał połączenie i poszukał innego szlaku, którym mógłby wrócić do domu. Nie było sensu ścigać Bena i wszczynać z nim kolejną kłótnię. Kiedy ostatnio rozmawiali, syn wydawał się bliski samodzielnego rozstrzygnięcia swoich problemów. Zmuszanie Jedi do zrobienia czegoś wbrew jego woli odnosiło wątpliwy skutek, nawet jeżeli ten Jedi był twoim małym chłopcem.

- Musisz coś zrobić, żeby Ben przestał się kontaktować z Jacenem - odezwała się niespodziewanie

Jaina.

- Wiem - odparł Luke. - Staram się go nakłonić, żeby sam podjął tę decyzję. Jeżeli go do tego zmuszę, zrobię z Jacena męczennika.
 - Czy jestem w błędzie, myśląc tak o swoim bracie?
 - A co podpowiadają ci twoje zmysły?
 - Że któregoś dnia złamie mi serce.
- To możliwe - przyznał Luke. - Musimy dopilnować, żeby nigdy się tak nie stało. Ale to już się stało, pomyślała Jaina. Już się stało.

Apartament rodziny Solo, Koronet, Korelia

- Jedno trzeba przyznać Gejjenowi - stwierdził Han. - Wszystko starannie zaplanował. Do tej pory Fett zdążył się zorientować, jak dałoby się uciec z paskudnie anonimowego mieszkania rodziny Solo. Przez okno widział czerwone błyski światła śmigaczy Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa, latających w różne strony po całym mieście. Kiedy sprawdził stan konta w banku - jednym z wielu banków - przekonał się, że ma na nim o milion kredytów więcej. Gejjen dotrzymał słowa i zapłacił od razu. Mirta obrzuciła Hana czujnym spojrzeniem.
- Nie myśl teraz o Gejjenie - poradziła. - Skontaktuj się z synem.

Leia Solo - Fett od razu ją rozpoznał, mimo dziesięciu lat, jakie upłynęły, odkąd ją ostatnio widział - przyłożyła komunikator do ucha.

- Właśnie próbuję - powiedziała. Słuchała jakiś czas, w końcu spojrzała z irytacją na komunikator i go wyłączyła. - Nie odpowiada - oznajmiła. - Spróbujmy zrobić to na sposób Jedi. To zazwyczaj przyciąga jego uwagę.

Zaplotła palce rąk przed sobą i na chwilę zamknęła oczy. Fett nie miał o Jedi wysokiego mniemania. Ci arystokraci byli zwycięzcami w genetycznej loterii, choć nie zasłużyli na wygraną. Co więcej, było w nich coś, co napawało Mandalorian goryczą. Łowca nagród miał wiele świetlnych mieczy, które zatrzymał jako trofea po upolowaniu Jedi, ale wiedział, że Jedi mogą się czasem przydać.

W tej chwili obchodzi mnie tylko to, żeby się zobaczyć z Ailyn, pomyślał. Gdyby to zależało ode mnie, Korelia mogłaby spłonąć.

- Zajmujesz się teraz umysłowymi sztuczkami Jedi? - Zagadnęła Mirta. Leia otworzyła oczy, ale nie wyglądała na rozbawioną.
- Posługuję się Mocą, żeby wysłać myśli do syna i uświadomić mu, że muszę z nim porozmawiać - wyjaśniła księżniczka. - Będzie wiedział, że to ja.

Na wiszącym na ścianie holoeckranie pojawiła się udreńczona twarz komentatora, przekazującego informację o zamordowaniu prezydenta. Jego zastępca Vol Barad złożył hołd pamięci Sal-Solo i oświadczył, że zwołano nadzwyczajne spotkanie przywódców wszystkich partii politycznych, aby „znaleźć wyjście z tego kryzysu”, jak się wyraził.

- Pierwszy raz pozwolono mu pokazać się publicznie, odkąd Thrackan przejął władzę - stwierdził Han. - Na pewno myśli, że to jego szczęśliwy dzień. - Zgłoś się, Jacenie - mruknęła Leia niecierpliwie.

Nie odrywając spojrzenia od holoeckranu, Han prychnął pogardliwie. - A oto nasz niepozorny przyjaciel - zauważył.

Fett odwrócił się i zobaczył, że komentator przeprowadza wywiad z Durem Gejjenem. Młody mężczyzna miał ponurą minę, ale zachowywał absolutny spokój. Mówił o wstrząsie, jaki przeżył, kiedy się dowiedział o śmierci prezydenta. Starał się - z powodzeniem - żeby jego słowa zabrzmiały przekonująco. Fett doszedł do wniosku, że to niebezpieczny młody człowiek i że czeka go wspaniała kariera polityczna. Ktoś taki pożarłby żywcem Hana Solo. Tylko Leia mogłaby dać radę temu Gejjenowi. - Mówi coś o rządzie koalicyjnym... - Mruknął Han. - Podział łupów - stwierdził Fett.

- Thrackan musiał zrazić do siebie więcej osób, niż mi się wydawało - stwierdził Han. - Nawet nie podejrzewałem, że członkowie jego partii tak bardzo go nienawidzą. - Może wystawią ci pomnik, Solo - burknął łowca nagród.

- Hej, przecież to nie ja go załatwiłem, ale twoja młoda partnerka, kolego - przypomniał Han.

Mirta przechadzała się tam i z powrotem po salonie. Spoglądała raz po raz to na drzwi, to znów na okna. Leia wyjęła i włączyła komunikator.

- Spróbuję jeszcze raz... - Oznajmiła bez przekonania.

- Thrackan powiedział, że nasłał na mnie także innych zabójców - odezwał się cicho Han.

Fett wzruszył ramionami.

- Teraz, kiedy już nie żyje, możesz się nimi nie przejmować - uznał. - Jesteś pewny?

- Wiedzą, że nie dostaną honorarium, więc dlaczego mieliby nadal chcieć cię zabić?

Han lekko zmarszczył brwi.

- A więc tak wygląda logika łowców nagród - zauważył.

Fett zastanowił się, czy nie powinien mu wytłumaczyć, że Korelianin musi się raczej obawiać Gejjena i jego kompanów niż uczciwego łowcy nagród, ale doszedł do wniosku, że Solo powinien się tego sam domyślić. Ktoś, kto wynajął zabójcę, żeby się pozbyć politycznego rywala, nie miałby żadnych skrupułów, żeby zagrać tak samo przeciwko Hanowi Solo.

Fett cieszył się, że pracuje w zawodzie, który ma jasne i zrozumiałe reguły gry.

W pewnej chwili Leia odezwała się:

- Jacenie! Jacenie, to pilne...

W salonie zapadła cisza. Fett wyłączył głos holoekranu. Mirta patrzyła na łowcę nagród z zagadkowym wyrazem twarzy. Słuchanie, co mówi jedna z dwojga rozmawiających osób, było frustrujące. Jak moja córka teraz wygląda? - Zastanowił się Fett. Czy jest zamężna? Czy ma rodzinę? Jak ją przekonam, żeby mnie wysłuchała? I co właściwie zamierzam jej powiedzieć?

- Jacenie - mówiła Leia. - Thrackan nie żyje... Nie zadawaj żadnych pytań... Albo zapytaj o to twojego ojca...

- Ailyn - wtrąciła Mirta. - Zapytaj go o Ailyn.

Leia pokiwała energicznie głową.

- Jacenie, to bardzo ważne - ciągnęła. - Mówiłeś, że aresztowałeś łowczynię nagród, która nazywa się Ailyn Habuur. Twój ojciec zawarł w sprawie Thrackana pewną umowę... Nie, posłuchaj mnie, Jacenie. Musisz mnie wysłuchać... Teraz, kiedy Thrackan nie żyje, tamta kobieta nie stanowi zagrożenia, a jej ojciec naprawdę bardzo chce się z nią zobaczyć... Jacenie?

Fett poczuł, że na jego górnej wardze gromadzą się kropelki potu, i to mimo urządzeń regulujących temperaturę i wilgotność wewnątrz hełmu.

- Jacenie, powtórz to...

Leia wbiła spojrzenie w przestrzeń i zamrugła, jakby zaskoczyła ją usłyszana odpowiedź.

- Jacenie, jej ojcem jest Boba Fett - powiedziała cicho.

Nie wiadomo, co odpowiedział jej syn, ale Leia miała wyraźne kłopoty, żeby go zrozumieć. W końcu wyłączyła komunikator i przygładziła dłonią włosy. Nie patrzyła ani na Mirtę, ani na Fetta.

- Bardzo mi przykro - zaczęła. - Nie wiem, jak wam to powiedzieć, ale Ailyn Habuur zmarła... Podczas przesłuchania.

Nie. Nie, o nie! - Pomyślał łowca nagród. A tak chciałem z nią porozmawiać. Zamierzałem o wszystkim jej powiedzieć...

Wmawiał sobie, że nie troszczy się o nic ani o nikogo i że Ailyn jest dla niego obcą osobą, ale to była nieprawda. To prawda, widział ją ostatnio, kiedy była małym dzieckiem, a ona usiłowała go zabić, ale to niczego nie zmieniło... Była jego córką. Miał przed sobą rok, najwyżej dwa lata życia, i bardzo chciał się z nią zobaczyć.

Zakręciło mu się w głowie. Nie miał pojęcia, jak zareagować. Zerknął na Mirtę Gev, która patrzyła na niego wstrząśnięta. Trudno byłoby to określić innym słowem. A później wymierzyła w niego blaster. Fett odruchowo chciał sięgnąć po swój, ale jak na zwolnionym filmie zobaczył lecący ku niemu strumień białego światła. Leia Solo wyciągnęła przed siebie obie ręce, jakby chciała w nie schwytać energię strzału.

Blaster Mirty poderwał się wysoko w powietrze, spadł i z grzechotem potoczył się po wyłożonej płytkami posadzce.

ROZDZIAŁ 20

Toczy się śledztwo w sprawie zabójstwa prezydenta Sal-Solo. Mamy powody przypuszczać, że sprawcami tej zbrodni byli agenci Sojuszu. Ich haniebny czyn nie osłabi naszej woli utrzymywania niezależnych koreliańskich sił zbrojnych. Zgodnie z zawartym przez wszystkie partie porozumieniem, Korelią będzie odciążała koalicja Demokratycznego Przymierza i Koreliańskiego Frontu Liberalnego, które dysponują łącznie największym blokiem przedstawicieli. Partia Centerpoint będzie od tej pory odgrywała rolę doradczą.

fragment oświadczenia wydanego przez nowy koalicyjny rząd Korelii

Leia wślizgnęła się między Mirtę Gev a Bobę Fetta. Dziewczyna leżała pod ścianą, jakby ktoś ją tam rzucił. Księżniczka stała nad nią, ale Mirta wpatrywała się cały czas w Fetta. Unieruchomiona dzięki Mocy, mogła go tylko piorunować spojrzeniem.

W powietrzu unosiła się woń ozonu po strzale z blastera. Fett kierował swój EE-3 na Mirtę, ale Han zauważył, że łowca nagród powoli opuszcza rękę wzdłuż boku.

- Chcę wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć - odezwała się księżniczka, jakby Mirta była niegrzecznym dzieckiem, które nie odrobiło pracy domowej, nie zaś łowczynią nagród, która właśnie o mało nie zastrzeliła Boby Fetta.

W oczach Mirty zakręciły się łzy. Han nigdy nie przypuszczał, że dziewczyna jest zdolna do płaczu. Może właśnie straciła naprawdę wysoką nagrodę?

- Miałam go jej dostarczyć - wychlipała, wskazując Fetta pogardliwym uniesieniem brody. - Tym razem zamierzała go zabić na dobre.

Fett nie powiedział ani słowa. Niespiesznie przewiesił blaster przez ramię i stanął, jak zawsze robił, z rękami oddalonymi kilka centymetrów od boków i ciężarem ciała przeniesionym na jedną stopę. Wyglądał, jakby za chwilę miał wyciągnąć jakąś broń ze swojego zdumiewającego arsenału.

- Ale dlaczego chciałaś go zastrzelić? - Zapytała zdezorientowana Leia. - Teraz, kiedy Ailyn nie może ci zapłacić, co chciałaś...

- Uciekł od swojej żony i córki, oto dlaczego - przerwała Mirta.

- Tak, słynny Boba Fett nie miał dość odwagi, żeby zostać z rodziną. Opuścił żonę, która musiała sama wychowywać Ailyn. A później umarła, bo nie miała u boku męża i ojca swojego dziecka. Nie zdążyła drania zabić, więc postanowiłam zrobić to za nią. Leia kucnęła obok niej. Po twarzy dziewczyny spływały łzy, a Fett stał cały czas absolutnie nieruchomo. - Ale dlaczego? - Zapytała

księżniczka. - Co ci zrobił?

Mirta z wysiłkiem przełknęła ślinę i spróbowała zdławić szloch. Han zwalczył chęć zabawienia się w ojca, który by ją pocieszył.

- Bo Ailyn była moją matką, a ja jej obiecałam, że on zginie, oto dlaczego - wykrztusiła dziewczyna.
- Jest moim dziadkiem... Przynajmniej teoretycznie. - Zerwała się na równe nogi i doskoczyła do niego. - Nie wiedziałeś tego, prawda? Nie wiedziałeś, bo nic cię to nie obchodziło. Aż do tej pory nawet nie spróbowałeś się dowiedzieć, co się właściwie stało z Ailyn, a teraz jest dla nas wszystkich za późno. Pięćdziesiąt lat... Pięćdziesiąt lat! Han wiedział, że zapamięta tę scenę do końca życia, ale nadal nie mógł uwierzyć własnym oczom. Fett westchnął tak ciężko, aż ramiona uniosły mu się i opadły, ale nadal nic nie mówił. Han doszedł do wniosku, że to paskudny sposób pojednania się z rodziną. Było mu go prawie żal.

Mirta stała przed łowcą nagród, wpatrując się w maskę jego hełmu, jakby chciała zobaczyć za nią twarz mężczyzny. Wreszcie z całej siły uderzyła obiema pięściami w napierśnik Fetta, tak że zmusiła go do cofnięcia się o kilka kroków. Na jej twarzy widniał grymas bólu i wściekłości; uderzyła go pięściami jeszcze kilka razy. Fett nie zareagował. Mirta dalej biła, a łowca nagród jej na to pozwalał. W pewnej chwili Han zauważył, że krwawią jej kostki palców. Uznał, że dość tego. Chwycił dziewczynę od tyłu za ramiona i odciągnął od Fetta. Łowca nagród nadal milczał. - Hej, spokojnie... Spokojnie... - Zwrócił się do Mirty Solo.

Trzymał ją, dopóki nie przestała się wrywać. - Uspokój się, dziewczyno. Już w porządku. - Jej matka nie żyła. Mirta może i została najemną zabójczynią, ale to nie była jej wina. Spojrzał na Leię i zobaczył przerażenie na jej twarzy. Jacen musiał jej zdradzić coś, czego Han nie usłyszał, a co musiało ją bardzo wzburzyć. Może chodziło o jakiś szczegół, zbyt drastyczny, żeby się nim podzielić. - Fett, nie masz nic do powiedzenia temu dziecku? - Zapytał. - To członek twojej rodziny. - Wcale nie warknęła Mirta.

Łowca nagród odwrócił się do Hana.

- Chcę Ailyn z powrotem - zażądał, jak zawsze beznamiętnym tonem. - Chcę dostać jej zwłoki.-
Pozostaw to mnie - odezwała się Leia. - Jakoś to załatwimy.

Han nie mógł tego znieść. Przeżył kilka dziwacznych dni, ale ten był chyba najdziwniejszy.

- Kochanie, to dobrze, że starasz się uspokoić Bobę Fetta... - Zaczął.

- Właśnie dowiedział się o śmierci córki - przypomniała księżniczka.

- Nawet jej nie znał - odparł Solo.

- Hanie...

- Wysłano ją, żeby nas zabiła - nie dawał za wygraną mąż.

- Już zapomniiałaś o tym drobnym szczególe?

- Hanie, czy już nie pamiętasz, jak się poczułeś na wieść o śmierci Anakina?

Dopiero na wspomnienie utraty młodszego syna Han na chwilę umilkł. Ból, jaki odczuł, był równie silny jak przed laty.

- Różnica polega na tym, że my kochaliśmy Anakina! - Odezwał się w końcu. - Wychowaliśmy go! Tymczasem Fett nawet nie... Leia uniosła rękę ostrzegawczym gestem i jej mąż umilkł.

- Przestań, Hanie - powiedziała. - Nikt z nas nie ma pojęcia, co Fett czuje. Żadne z nas nie stałoby tu dzisiaj, gdyby nie ocalił nas swego czasu przed Yuuzhan Vongami. Rozumiesz? Zdolność do okazywania przez żonę współczucia zawsze wprawiała Hana w kompleksy, ale tym razem Solo miał wrażenie, że Leia marnuje na Fetta swój talent. Miała rację, ale była o wiele za uprzejma dla człowieka, który co najmniej kilka razy o mało go nie zabił.

Okazało się jednak, że Fett dotrzymał słowa. Thrackan był martwy, nawet jeżeli prawdopodobnie to Mirta oddała śmiertelny strzał. Nie było także innych kontraktów na członków rodziny Solo... Naturalnie o ile Fett mógł to wiedzieć.

Han poklepał dziewczynę po plecach. Mirta drżała. Solo uświadomił sobie, że jest mu żal jej, nie Fetta.

- Lepiej oboje dojdźcie do zgody - poradził. - I to jak najszybciej.

- Jest wszystkim, kogo w tej chwili masz, Mirto - odezwała się cicho Leia. - Uwierz mi, może w tej chwili ci się wydaje, że cały twój świat się zawalił, ale rodzina jest wszystkim, co mamy.

Nie chwał się za bardzo dyplomatycznymi umiejętnościami, kochanie, pomyślał Han. Mirta była zapłakana, ale mimo to na jej twarzy cały czas malowała się żądza mordy. Zabiła tego popołudnia jednego mężczyznę i nic nie wskazywało, żeby się miała zawahać przed zamordowaniem następnego.

Han doszedł do wniosku, że najwyższy czas, aby on i Leia zatroszczyli się o własną skórę. Czemu by nie mieli odtąd żyć na Korelii jak wszyscy inni ludzie? Sięgnął po komunikator, żeby połączyć się z Durem Gejjenem, ale zamarł, kiedy zobaczył, że Fett zdjął płytki pancerza osłaniające jego pierś oraz plecy i rzucił je na krzesło, po czym rozłożył ręce na boki.

- Podnieś blaster, Mirto Gev - powiedział. Leia zrobiła ruch, jakby chciała ją powstrzymać. - Nie, pozwól jej to zrobić.

Dziewczyna usłuchała. Schyliła się, podniosła blaster, chwyciła go oburącz i uniosła do poziomu. Prawą dłonią trzymała kolbę, a lewą dół łóżyska, żeby broń nie zdrząła podczas strzału. Wymierzyła lufę w dziadka. Była śmiertelnie spokojna. Fett uniósł powoli ręce i zdjął hełm.

Miał twarz szarą, poznaczoną bliznami i kompletnie pozbawioną wyrazu. Han uświadomił sobie, że właśnie pierwszy raz widzi twarz przeciwnika. Wyglądała o wiele mniej groźnie, niż sobie wyobrażał, ale może właśnie dlatego przeżył wstrząs na jej widok. To była twarz równie niewrażliwa jak bryła litej skały.

Jeżeli cała egzystencja rzeczywiście bywała wypisana na twarzy, Fett musiał wieść brutalne, samotne, wyprane z wszelkich uczuć życie.

- Proszę bardzo - odezwał się łowca nagród, nie odrywając spojrzenia od twarzy wnuczki. - Zastrzel mnie.

Niech to zaraza, ona naprawdę to zrobi, pomyślał Han.

Zauważył, że Mirta przestała płakać.

- Powiedziałem: zastrzel mnie - powtórzył Fett.

Dziewczyna trzymała blaster nieruchomo jeszcze przez chwilę, ale później powoli opuściła lufę. Han zastanowił się, czy przypadkiem Leia nie wywarła na jej umysł delikatnego wpływu, ale postanowił jej o to nie pytać... Przynajmniej nie w tej chwili. Mirta usiadła na zniszczonej kanapie i położyła blaster na kolanie, ale nie wypuściła kolby z zaciśniętych palców. Jeżeli Han myślał, że dziewczyna znów się rozplacze, to znaczy, że nie znał dobrze ani jej, ani jej rodziny. W żyłach Mirty płynęła przecież zimna jak lód krew Fetta.

Leia przyglądała się jej podejrzliwie, jakby się spodziewała, że Mirta zmieni zdanie.

Fett przytwierdził z powrotem płytki pancerza, podszedł do okna i zaczął obserwować ruch policyjnych patroli po mieście. Miał u boku blaster.

Pierwsza przerwała ciszę Leia.

- Teraz, kiedy wszyscy się uspokoiłi, jeszcze raz porozmawiam z Jacenem - zapowiedziała. - Załatwię wszystkie formalności z przekazaniem ciała Ailyn, żebyście mogli stąd odlecieć.

Przeszła do kuchni, a Han postanowił pójść za nią. Obawiał się, że za chwilę usłyszy dobiegające zza pleców odgłosy blasterowych strzałów.

- Odkąd to jesteś najlepszą przyjaciółką Fetta? - Zapytał szeptem. - Pamiętasz tamte wakacje, które przez niego spędziłem zatopiony w karbonicie? No dobrze, później ocalił nam życie tamtego dnia, kiedy Vongowie...

- Hanie, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale moim zdaniem odtąd to Fett będzie miał prawo żywić do nas urazę - przerwała żona. Wpatrywała się w komunikator, jakby przerażała ją perspektywa odbycia kolejnej rozmowy z synem. - Nie jestem nawet pewna, czy mi uwierzysz.

- Nie umiem czytać w myślach - odparł Han. - Co takiego wiesz, o czym mi nie powiedziałaś? - To Jacen zabił córkę Fetta - oznajmiła w końcu księżniczka.

- Własnymi rękami.

- Tak? - Han jeszcze bardziej zniżył głos. - Przecież właśnie o to chodziło, prawda?

Nie zapominaj o tym, że ta kobieta miała zabić nas.

- Zabił ją podczas przesłuchania - dokończyła Leia.

Dopiero po kilku sekundach Solo zrozumiał, co żona chce mu powiedzieć. Z każdym upływającym dniem Jacen stawał się bardziej obcy. Przeradzał się w siepacza Sojuszu. Był przywódcą jego tajnej policji, chociaż w jej działalności nie było nic tajnego. Nigdy dotąd jednak nie zabijał więźniów. Nie mógłby tego zrobić. Do czegoś takiego były zdolne tylko potwory, a Jacen nie mógł być potworem. Był jego chłopcem, jego słodkim dzieckiem. - Niemożliwe - powiedział cicho. -

Prawdopodobnie ją torturował, Hanie - stwierdziła żona. - Niemożliwe - powtórzył Solo. -
Rozumiesz teraz, dlaczego mamy problem - ciągnęła Leia. - Nie mogę w to uwierzyć.

- A myślisz, że ja mogę? - Jęknęła księżniczka. - Jak można się pogodzić z tym, że twoje dziecko zmienia się w mordercę?
- To musiał być wypadek - mruknął Han.

- Ja też chciałabym w to wierzyć - odparła żona. - Na razie tylko czekam, kiedy Fett zapyta, czyja to robota. Wcześniej czy później będzie chciał się tego dowiedzieć. Ty na pewno byś chciał. Oboje byśmy chcieli.

- Nie widział tej kobiety, odkąd była dzieckiem - przypomniał Solo. - Myślisz, że będzie go to obchodziło?

- Przypuszczam, że tak - przyznała księżniczka. - Rodziny mogą się kłócić, ale kiedy w drogę wchodzi im ktoś obcy, na ogół się godzą. Jak ci się wydaje, co Fett teraz zrobi? Uściśnie ci dłoń i powie: „W porządku, Hanie, kiedyś oddałem cię w ręce Hutta Jabby, teraz twój syn torturował i zabił moją córkę, więc jesteśmy kwita”? Sądzisz, że tak powie? Han odczuł przelotną ulgę, kiedy okazało się, że Thrackan nie będzie więcej prześladował jego ani członków jego rodziny. Potem jednak zaczął się obawiać, że odtąd Boba Fett umieści go na pierwszym miejscu swojej listy osób, na których będzie chciał się zemścić. Fett cieszył się sławą człowieka, która się nigdy nie poddaje. Bo też dotąd tego nie zrobił.

Han oparł się plecami o ścianę. Nie był pewny, co go bardziej przeraża: czy to, że Boba Fett może zostać jego osobistym wrogiem, czy też może świadomość, że syn stał się zabójcą. Doszedł do wniosku, że większą grozę budzi w nim to drugie. - Jacenie? - Zagadnęła spokojnym, rzeczowym tonem Leia.

Han ciekaw był, jak żona to robi; wiedział, że Leia umie zachować zimną krew i znieść więcej niż on. Wiedział też, że sam nigdy się tego nie nauczy. - Jacenie, chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił. To bardzo ważne.

Gabinet przywódcy Galaktycznego Sojuszu, gmach Senatu, Coruscant

- A więc - odezwał się Cal Omas - na czym to stanęliśmy?

Senator G'Sil potarł dłonią czoło. Jacen uważnie go obserwował, Luke zaś nie odrywał spojrzenia od siostrzeńca. Rycerz Jedi czuł skupioną na sobie uwagę wuja. Wyczuwał jego podejrzenia, przerażenie i wątpliwości.

Nie możesz na to absolutnie nic poradzić, wujku Luke, pomyślał. Miałeś swoją szansę. Teraz rozwiążemy problem na sposób Sithów.

- Nie mieliśmy z tym nic wspólnego - zastrzegł G'Sil. - Wywiad nie maczał palców w zamordowaniu Sal-Solo. Ten człowiek miał tylu politycznych wrogów, że Koreliańska Służba Bezpieczeństwa może przesłuchiwać podejrzanych tak długo, aż Mustafar przemieni się w ośrodek sportów zimowych.

- Mamy jednak w Koronecie swoich agentów, prawda? - Zapytał Omas.

- Naturalnie, że mamy - odparł senator. - Ale oni nie mieli z tym nic wspólnego... Nie bylibyśmy tacy głupi, żeby dawać Korelii dobry powód do zwerbowania innych planet dla swojej sprawy.

- Nikt nam nie wierzy - odezwał się cicho Luke.

Omas wyglądał na wyczerpanego.

- Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć - powiedział. - A zatem z kim teraz mamy do czynienia? Kto naprawdę pociąga za sznurki w tym koalicyjnym rządzie?

- Dur Gejjen - odparł Jacen. Ojciec naprawdę to zrobił, pomyślał. Nie do wiary. Zabił Thrackana. - Jeszcze za życia Sal-Solo zgłosił się do moich rodziców z propozycją, że warto byłoby się zastanowić nad zmianą władzy.

Omas spojrział na Luke'a, jakby się spodziewał, że mistrz Jedi zechce zabrać głos. - Co ma do powiedzenia Wywiad na jego temat? - Zapytał.

- Pamiętam jeszcze jego ojca z czasów Ligi Istot Ludzkich. - Proszę się nie spodziewać, że Gejjen będzie dążył do rozbrojenia Korelii bardziej energicznie niż Sal-Solo - odezwał się G'Sil. - To zabójstwo może stać się katalizatorem, który pozwoli Korelii szybciej znaleźć następnych sprzymierzeńców. Ogólna sytuacja nie uległa zmianie.

- Skoro już o tym mówimy, gdzie jest Niathal? - Zainteresował się Omas. Jacen uniósł głowę.

- Już tu leci - powiedział. - Dowódcy sił zbrojnych informują ją o rozwoju sytuacji. Blokada odnosiła pożądaną skuteczną. Korelianie mogli się od biedy wyżywić, ale poza tym wszystko, czego potrzebowali, sprowadzali z orbitalnych zakładów przemysłowych, które teraz znajdowały się w strefie zakazanej. Blokada zmniejszyła także liczbę gwiazdnych myśliwców i okrętów, bo dowódcy koreliańskich flot, nie mając dostępu do odizolowanych stocznii remontowych czy punktów zaopatrzenia w paliwo, nie mogli nawet marzyć o utrzymywaniu swoich jednostek w stanie ciągłej gotowości.

Jacen zastanawiał się, jak przetransportować ciało Ailyn Habuur na Korelię. Wiedział, że sam da radę przedrzeć się przez blokadę. Przypomniawszy sobie, że w rzeczywistości kobieta nazywała się Ailyn Vel. A zatem zabił córkę Boby Fetta. Łowca nagród ma do dyspozycji mandaloriańską armię, która o mało nie pokonała Yuuzhan Vongów. Trzeba go unikać tak długo, jak się da, pomyślał. Gdyby udało mi się udobruchać Fetta, moi rodzice mogliby mieszkać na Korelii bez konieczności oglądania się cały czas za siebie. Powiniennem wytłumaczyć Fettowi, że nie zamierzałem zabić Ailyn, ale łowca nagród prawdopodobnie dotąd nie wie, kto ją zabił, więc dla wszystkich będzie najlepiej, jeżeli taka sytuacja nie ulegnie zmianie. Nie ma sensu dodawać kolejnych imion do jego listy wrogów. Trzeba pamiętać, że on jest Mandalorianinem. Mandalorianie słyną z tego, że są pamiętliwi i niecierpliwi.

- Jacenie, jesteś jeszcze z nami? - Zapytał w pewnej chwili Luke.

Rycerz Jedi ocknął się z zamyślenia i powrócił do rzeczywistości.

- Przepraszam - powiedział. - Zastanawiałem się, jak rozwiązać pewien problem logistyczny.

- Rada Jedi jest zdania, że powinniśmy odbyć oficjalne rozmowy z nowym koreliańskim rządem i zaproponować mu jakieś wyjście z tej sytuacji - odezwał się mistrz Jedi.

- Odrzuć naszą propozycję - stwierdził Jacen.

- Nic nie stracimy, jeżeli z nią wystąpimy - zauważył Luke.

- Czy potrzebujemy na to zgody Senatu?

- Oficjalnie tak - przyznał Omas. - Ale teraz, kiedy władze ponad stu planet wycofały na znak protestu swoich przedstawicieli, moim zdaniem te, które pozostały, nie będą miały nic przeciwko temu.

Luke chyba uwierzył, że naprawdę uda się uzyskać przełom, ale minę miał nadal ponurą.

- Dlaczego Gejjen i jego kumple mieliby usuwać Thrackana, gdyby nie dążyli do zmiany linii politycznej? - Zapytał.

- Wojna to najlepszy okres na pozbycie się politycznego rywala - odezwał się Jacen. - Prawdopodobnie ta sprawa nie ma nic wspólnego z rozbrojeniem, a raczej z zadawnionymi urazami.

- Czasami cieszę się, że jestem tylko prostym wieśniakiem - mruknął Luke.

- Pamiętaj, wujku, że oficjalnie Sojusz jeszcze nikomu nie wypowiedział wojny - przypomniał młody Solo.

- Nie bardzo widzę różnicę - stwierdził Luke. - I tak coraz więcej planet uważa, że znajduje się w stanie wojny z Sojuszem.

Do rozmowy włączył się Omas.

- Panowie, jeżeli nowy koreliański rząd nie zechce się rozbroić, nie pozostanie nam nic innego niż formalne wypowiedzenie wojny - powiedział. - Dzięki zmianie sytuacji prawnej uzyskamy nowe instrumenty nacisku.

- Będziemy mieli większą władzę - odezwał się cicho mistrz Jedi. - Większe uprawnienia nadzwyczajne - potwierdził Omas.

G'Sil zerknął na Luke'a z wyrozumiałym uśmiechem, który pozwolił Jacenowi wyczuć, co naprawdę senator myśli: „Mięczak”. - Nie twierdzę, że dobrze znam historię - zaczął mistrz Jedi.

- Przypuszczam jednak, że już kiedyś to przerabialiśmy. Naturalnie zanim się urodziłem.

- A widzisz inne wyjście? - Zapytał Omas. - Z radością powitam opinie Rady Jedi na temat dalszego postępowania. W tej chwili mamy jednak do wyboru jedną z trzech możliwości. Możemy pozwolić

planetom Galaktycznego Sojuszu na posiadanie własnych, niezależnych sił zbrojnych, możemy podążać dotychczasowym kursem albo też przedsięwziąć bardziej stanowcze kroki, aby zmusić władze tych planet do rozbrojenia. Jeżeli ktoś ma inny pomysł, to proszę go przedstawić. Luke pokręcił głową.

- Wiesz, że nie mam pomysłu - powiedział. - Nie mogę jednak zaprzeczyć, że mnie to niepokoi.

Jacen odwrócił głowę i na ułamek sekundy pochwycił spojrzenie G'Sila. Doszedł do wniosku, że obaj myślą dokładnie to samo. No cóż, zachowałeś czyste sumienie, wujku, pomyślał. Od tej pory odpowiedzialność będzie ponosił ktoś inny.

Omas wstał i zaczął zbierać z biurka arkusze flimsiplastu. W ten dyplomatyczny sposób dawał wszystkim do zrozumienia, że dyskusje się skończyły, a on zamierza zacząć działać. Jacen był ciekaw, czy przywódca Sojuszu kiedykolwiek uderzył pięścią w pięknie inkrustowany blat biurka. Bardzo w to wątpił.

- Zamierzam zwrócić się do przedstawiciela nowego rządu Korelii z oficjalną propozycją rozmów w sprawie rozbrojenia - oznajmił Omas. - Może wszystkich nas czeka niespodzianka? Może blokada spowodowała, że wreszcie zmądrzeli?

Jacen naprawdę miał nadzieję, że tak się stało. Dążył do przywrócenia porządku w galaktyce i wcale się nie cieszył, że wujek Luke traktuje go z pogardą. Odwrócił się, żeby przynajmniej pożegnać go z szacunkiem, ale Luke, przechodząc obok niego, tylko chłodno skinął głową i wyszedł z gabinetu.

Tak, to zabolalo, ale czekały go większe przykrości. Jacen pogodził się z tym; doszedł do wniosku, że to część ceny, jaką musi zapłacić. Włączył komunikator i wezwał Threepia. - C-3PO? - Dobrze, że chociaż android zawsze się cieszył, że go słyszy. - Czy Artoo skończył już naprawiać „Sokoła”? W takim razie powiedz mu, żeby się pospieszył. Zamierzam lecieć „Sokołem” do taty na Korelię.

ROZDZIAŁ 21

Galaktyczny Sojusz zaproponował nowym władzom Korelii warunki ugody. Mamy nadzieję, że te warunki zostaną przyjęte i że będziemy mogli położyć kres blokadzie. Nie dążymy do wojny. To nasza ostatnia szansa zachowania jedności.

przywódca Cal Omas w oświadczeniu wydanym podczas konferencji prasowej

Koronet, Kosmoport

Fett zajął się sprawdzaniem stanu kontrolnych paneli na pokładzie „Niewolnika 1”. Starał się nie myśleć o tym, że w ciągu jednego dnia stracił córkę i zyskał wnuczkę. Właśnie dlatego wiódł zawsze samotny tryb życia. Rodziny, żony i dzieci oznaczały ból. Przeszkadzały.

O ile wiedział, Mirta przebywała nadal w apartamencie rodziny Solo. Fett nie miał nic przeciwko temu. Jakim cudem mogła go tak długo wodzić za nos? Nie do wiary, że się nie domyślił, kim naprawdę jest. Cóż, jeśli nie widziało się córki ponad pięćdziesiąt lat, trudno byłoby rozpoznać wnuczkę.

Mam rodzinę, uświadomił sobie łowca nagród. Czy mi się to podoba, czy nie, mam rodzinę.

Ailyn mogła mieć więcej niż jedno dziecko. Jeśli się okaże, że tak jest, jak ma na to zareagować? A co, jeżeli wszystkie te dzieci wychowała, żeby nienawidziły go równie zaciekle jak Mirta? Nie, chyba do tej pory by się zorientował. Kiedy spoglądał w ciemne oczy Mirty, widział w nich oczy swojego ojca... I własne oczy.

Widział w nich także własną nienawiść. Pogardzał galaktyką, a szczególnie Jedi - za to, że musiał dorastać bez ojca. Nie powinien się dziwić, że znalazł tę nienawiść i pogardę odtworzone wiernie w oczach wnuczki.

Czekał, aż zgłosi się Goran Beviin, który dzięki sieci własnych kontaktów miał go poinformować o tym, czego Leia i Han Solo nie wiedzieli albo czego nie chcieli mu powiedzieć.

- *Mand'alor* - usłyszał w pewnej chwili z głośnika komunikatora.

Odwrócił się i włączył zasilanie mikrofonu.

- Beviin? - Odezwał się. - Co masz dla mnie?

- Bardzo mi przykro z powodu Ailyn, *Bob'ika*.

Nie potrzebuję twojego współczucia, pomyślał łowca nagród.

- Potrzebuję informacji - powiedział.

- Ailyn była przetrzymywana przez Jacena Solo.

- Wiem o tym - odparł Fett. - Chcę wiedzieć, kto ją przesłuchiwał.

- Już powiedziałem. Jacen Solo.

Zabiję go, postanowił Fett.

Czuł, że jego żołądek ogarnia lodowaty chłód, jak zawsze przed zadaniem ciosu. Zaczął natychmiast obmyślać najlepsze strategie i zastanawiać się, jakiej użyć broni, żeby dodać do swojej kolekcji świetlny miecz jeszcze jednego Jedi. Ten miał być pierwszy, którym będzie się naprawdę rozkoszował, zamiast uważać go za trofeum po wykonaniu kolejnego zadania. Nie zapominaj o tym, czego uczył cię ojciec... Zachowuj się jak zawodowiec, napomniał się w duchu. Zachowaj trzeźwy umysł. Postaraj się zrozumieć przeciwnika. - Lepiej, żeby to była pewna informacja - powiedział.

- *Mand'alor*, to informacja od funkcjonariusza Coruskańskiej Służby Bezpieczeństwa - oznajmił Beviin. - Dzięki przyjaciołom twojego ojca niektórzy z nich nadal mają o Mandalorianach dobre mniemanie.

- Jestem wzruszony - burknął Fett.

- Powinieneś być - odparł mężczyzna. - Bar CSB trzęsie się od plotek na temat Jacena Solo, bo wielu funkcjonariuszy Straży Galaktycznego Sojuszu przeszło tam z CSB. Niektórym spośród nich naprawdę nie podoba się sposób, w jaki Jacen załatwia swoje sprawy.

Fett niespecjalnie się przejął tym, że sytuacja na Coruscant znowu przypomina stan wyjątkowy. Widział to już kiedyś, ale obecnie to była sprawa osobista. - Chcę znać wszystko - zażądał. - Jacen Solo to prawdziwym mały *chakaar* - stwierdził Beviin. - Rozumiem, że to niedobrze - domyślił się łowca nagród.

- Posługuje się technikami Jedi, stosując je niezgodnie z wizerunkiem miłujących pokój i sprawiedliwość rycerzy - zaczął mężczyzna. - Podobno jeden z jego oficerów narzeka, że Jacen posługuje się Mocą, aby zmuszać aresztantów do udzielania odpowiedzi na jego pytania. Torturuje ich, nawet nie tykając palcem.

W umyśle Fetta coś zaskoczyło.

- Mów dalej - ponaglił.

- Twierdzi się, że zabił Ailyn potęgą swojego umysłu. Beviin głośno przełknął ślinę. - Jeżeli chcesz, żebyśmy go odnaleźli, powiedz tylko słowo.

Jedi, pomyślał Fett. Arogancy, żądni władzy dranie, którzy nie troszczą się o to, kogo depczą. Nic się nie zmieniło.

- To nie będzie konieczne - oznajmił.

- Czy to znaczy, że zamierasz się nim sam zająć? - Domyślił się Mandalorianin.

- Ailyn była łowczynią nagród - przypomniał Fett. - Wiedziała, co ryzykuje. - *Bob'ika*, chyba nie mówisz poważnie...

Powiniennem, ale w rzeczywistości wcale tak nie uważam, uświadomił sobie Fett. To sprawia ból. Wprawdzie nie tak silny jak strata ojca, ale też boli.

- Daj sobie spokój z Jacenem Solo - powiedział. - Pozostaw go mnie.

- Wygląda na to, że jest prawdziwym twardzielem - uprzedził Beviin. - Chodzą słuchy, że wydał siostrze rozkaz otwarcia ognia do cywilnego statku, a kiedy odmówiła, zawiesił ją w pełnieniu obowiązków. Ci Solo muszą być radosną, szczęśliwą rodzinką. Jasne... Chyba wiem, dokąd to prowadzi, pomyślał Fett.

- Coś jeszcze? - Zapytał. - Interesują mnie szczegóły, nawet błahe.

- Jacen nie nosi już nawet płaszcza Jedi - ciągnął Mandalorianin. - Pokazuje się wszystkim w czarnym mundurze. A jego sługusem jest synalek Luke'a Skywalker. To naprawdę przeraża chłopców z CSB. Dzieciak ma zaledwie trzynaście lat. - A więc jest dorosłym mężczyzną - stwierdził Fett. - *Aruetiise* nie uważają trzynastoletków za dorosłych mężczyzn.

- Wygląda na to, że nawet jak na Jedi ten Jacen Solo ma ogromną władzę.

- Wiesz, co mówią na jego temat? - Zagadnął Beviin. - Starsi, którzy jeszcze pamiętają czasy Imperium, podobno czują się tak, jakby wrócił jego dziadek. Twierdzą, że Jacen uważa się za nowego Vadera.

Nareszcie. W głowie Fetta ułożyły się w końcu splątane wspomnienia sprzed ponad czterdziestu lat. Nareszcie.

- Jeszcze coś? - zapytał.

- Nie, *Mand'alor* - odparł Beviin. - Czy chcesz, żebym jeszcze coś dla ciebie zrobił?

- Poszukaj Mandalorianina w szarym pancerzu i skórzanych szarych rękawicach - polecił łowca nagród. - Mężczyzna twierdzi, że jest klonem, który walczył podczas bitwy o Geonosis. Zapadła krótka cisza.

- Rozejrzę się - obiecał w końcu Beviin.

- I niech cię nie kusi, żeby się zająć synem Solo - ostrzegł Fett. - Zostaw go w spokoju.

- Skoro tak sobie życzysz... - Mruknął Mandalorianin.

- Tak sobie życzę - odparł łowca nagród.

Kiedy Beviin przerwał połączenie, Fett długo siedział nieruchomo, wpatrzony w kontrolny panel w sterowni „Niewolnika 1”. A zatem w rodzinie Solo doszło do rozłamu... A ich syn odpowiada za nową, nieugiętą linię polityki Galaktycznego Sojuszu. Uważa, że jest nowym Vaderem. I zabija aresztantów, nawet nie tykając ich palcem.

Fett był absolutnie pewny, że czegoś takiego nie uczą na Ossusie w Akademii Jedi. Bardzo poważnie traktował radę ojca, żeby poznawać sposób myślenia przeciwnika. Dużo wiedział na temat Jedi. Wiem także dużo na temat Sithów, pomyślał.

Vader był mistrzem w zadawaniu bólu i powodowaniu śmierci bez dotykania ludzi choćby małym palcem. Fett lubił Lorda Vadera - bo płacił dobrze i w terminie. Nigdy nie wymagał od podwładnych, żeby zrobili coś, czego sam nie umiałby zrobić. W pewnym sensie Fett tęsknił za nim.

Widziałem, jak wygląda galaktyka rządzona przez Sithów i jak wygląda pod władzą Jedi, pomyślał. W jednym i w drugim okresie dobrze zarabiałem. Prawdę mówiąc, nawet nie zauważyłem różnicy. A

pod koniec każdego rządu galaktyka była i tak ogarnięta chaosem. To nie mój problem. A już na pewno nie problem Mandalorian.

Wygląda na to, że Jacen Solo chce być takim człowiekiem, jakim był kiedyś jego dziadek. Kto wie, może pragnie także zostać Lordem Sithów?

Może powinienem mu na to pozwolić? - Zastanowił się łowca nagród.

Nie istniał lepszy sposób odegrania się na świętoszkowatych Jedi niż pozwolenie im, aby sami rozdarli swój zakon na strzępy.

Nie musiały wtedy mścić się na rodzime Solo.

To może potrwać bardzo długo, ale Fett nie miał nic przeciwko czekaniu. Musiał być tylko pewny, że pokona chorobę. Chciał jeszcze trochę pożyć, żeby to zobaczyć.

Strefa zakazana wokół Korelii, dokąd leci „Sokół Millenium”

Jacen byłby bardziej zadowolony, gdyby leciał sam, ale teraz, kiedy Thrackan Sal-Solo nie żył, nie było powodu, aby dłużej trzymać Threepia i Noghrich z dala od jego rodziców. Korelia już wiedziała, że Solo wrócili.

- „Sokole Millenium”, tu operator okrętu Sojuszu „Odrodzenie”. Zbliżasz się do granicy strefy całkowitego zakazu ruchu.

Zmień kurs o dziewięćdziesiąt stopni. Powtarzam, jeżeli będziesz nadal podążał tym samym kursem, wleczysz do wojskowej strefy zakazanej, a wtedy otworzymy do ciebie ogień. - O rety... - Jęknął C-3PO. - Panie Jacenie, bardzo proszę, niech pan uważa.

- Uspokój się, Threepio - odparł rycerz Jedi. - Dam sobie z tym radę. - Przełączył komunikator na otwarty kanał. - Operatorze „Odrodzenia”, tu pułkownik Jacen Solo ze Straży Galaktycznego Sojuszu - powiedział.

- Pański transponder twierdzi, że leci pan „Sokołem Millenium”... A to statek zarejestrowany na Korelii - usłyszał w odpowiedzi.

- Przepraszam, „Odrodzenie”. - Jacen przesłał operatorowi okrętu zaszyfrowany kod identyfikacyjny. - Mam wyznaczone spotkanie w koreliańskiej atmosferze. Teraz, kiedy SalSolo nie żyje, nie muszę się obawiać, że ich artylerzyści otworzą ogień do „Sokoła”. - Nie zostaliśmy o tym uprzedzeni, panie pułkowniku - odparł operator.

- To tajna operacja - wyjaśnił rycerz Jedi. - Proszę połączyć mnie z dowódcą, który potwierdzi prawdziwość moich słów.

- To nie będzie konieczne, panie pułkowniku - oznajmił łącznościowiec. - Proszę tylko podać prawidłowe dane identyfikacyjne, kiedy będzie pan odlatywał.

- Zamierzam wracać na pokładzie innego statku - zapowiedział Jacen. - Nie spieszcie się z otwieraniem ognia, dobrze?

Operator z pokładu „Odrodzenia” nie zareagował na jego żart, ale Jacen uznał to za dobry znak. Podwładni Niathal traktowali poważnie problem bezpieczeństwa. Przeleciał między okrętami blokady i wniknął do strefy zakazanej, z pierścieniem orbitalnych zakładów przemysłowych i unieruchomionych baz koreliańskiej floty, odciętych zarówno od kontaktów z Korelią, jak i od innych planet.

Pracownicy orbitalnych stoczni musieli mieć teraz trudne życie. Pracujący tam cywile przylatywali zwykle na tydzień, po którym byli transportowani do domów. Tym razem jednak nie tylko nie wrócili, ale i nie otrzymali zaopatrzenia. Wcześniej czy później musiała się im skończyć żywność. Jacen wiedział, że już teraz racjonuje się wodę. Jak się spodziewał, uzdatniana woda zaspokajała tylko część codziennych potrzeb.

Kiedy wyleciał ze strefy zakazanej po drugiej stronie, włączył cywilny transponder. Operatorzy naziemnej kontroli ruchu powietrznego powinni dojść do wniosku, że to jeszcze jeden niewielki statek, który przedarł się przez blokadę. Pilotom wielu jednostek to się udawało. Były małe, więc nie mogły poprawiać sytuacji zaopatrzeniowej mieszkańców planety. Skierował „Sokoła” do ustalonego punktu spotkania z rodzicami i udał się do rufowej ładowni. Chciał ostatni raz rzucić okiem na worek z ciałem Ailyn Vel, który leżał w chłodni na repulsorowych noszach. Obok niego dreptał zaaferowany C-3PO.

- Proszę pozwolić mi to zrobić, panie Jacenie - odezwał się w pewnej chwili.

Rycerz Jedi uniósł rękę, dając znać złocistemu androidowi, że się na to nie zgadza. - Wszystko w porządku, Threepio - powiedział. - Ja się tym zajmę. Co się ze mną dzieje? - Zadał sobie pytanie.

Ciekawe, jak to się stało, że przestał być Jedi, z którego Luke był tak dumny, a stał się człowiekiem, który zabija przesłuchiwanym aresztantów, a nawet innych Jedi. W ciągu tych pięciu lat poszukiwań wiedzy Mocy wydarzyło się coś, co go odmieniło. Zastanowił się, kiedy będzie mógł się przyznać do utrzymywania kontaktów z Lumią.

Wahadłowiec rodziców podleciał do „Sokoła” i przycumował do wjazdu towarowego. Pierwsza do ładowni weszła Leia i chociaż od razu przytuliła syna, jej uścisk był formalny, chłodny. Księżniczka odnosiła się do Jacena z wyraźną rezerwą. Za matką wszedł jego ojciec. Wyglądał na zdruzgotanego. Trudno byłoby to określić innym słowem. Nie podszedł do syna ani nie porwał go w objęcia.

- Cześć - powiedział, patrząc na Threepia. Na ogół nie zwracał prawie uwagi na androida. - Witaj, Threepio. Czy przylecieli z wami także Noghri? Jacen postanowił zignorować ten afront.

- Cześć, mammo, cześć, tato - przywitał się. Co powinno się mówić w takich chwilach? Jacen postanowił brnąć dalej. - Tak, Noghri są w sterowni. Mielicie jakieś wieści od Jainy?

- Nie.

Do rozmowy włączyła się Leia.

- Masz nam coś do powiedzenia? - Zapytała.

A zatem Jaina nie zdradziła rodzicom, że czeka ją sąd polowy.

- Nie. Jaina ma się dobrze, ale nie lata na wyprawy bojowe - stwierdził. Jeżeli siostra chciała zachować tę wiadomość dla siebie, Jacen nie miał nic przeciwko temu. - Jestem pewny, że pilnuje jej Zekk. - Na pewno nie chcesz nam o niczym powiedzieć, Jacenie?

- Leia przemawiała do niego, jakby był dzieckiem, które zrobiło coś okropnego. - Chodzi ci o coś konkretnego, mamó? - Zagadnął młody Solo.

Han westchnął i pokręcił głową. Kiedy się tak zachowywał, Jacen wiedział, że znalazł się w tarapatach.

- Synu, przywiozłeś nam zwłoki kobiety - rzekł. - To powinno ci dać do myślenia. - Wynajęto ją, żeby was zabiła - odparł rycerz Jedi. - Tylko że nie miała okazji. - Jacen otworzył drzwi chłodni i ze środka wypłynęło lodowate powietrze. Wskazał duży czarny worek na durastalowych noszach. - Co jeszcze chcecie, żebym wam powiedział? Han stanął między nim a Leią.

- Muszę wiedzieć, co się stało - oznajmił. - Muszę mieć pewność, inaczej oszaleję. Wyraźnie zakłopotana Leia potarła brew. - Wydaje mi się, że oboje musimy to wiedzieć, Jacenie - dodała.

- No dobrze, tato, powiem wszystko... Przesłuchiwałem ją, a ona wyzionęła ducha - wyznał w końcu syn. - Naprawdę chcecie znać szczegóły?

- Moim zdaniem w tej sytuacji mogą mieć znaczenie - odparł Han.

- Chciałem ją zmusić do mówienia, więc posłużyłem się techniką przenikania do umysłów - zaczął Jacen. - Musiała mieć jakąś fizyczną wadę. Zmarła z powodu tętniaka. - Możemy rzucić na nią okiem? - Zapytała księżniczka.

- Musimy przekazać ciało Fettowi. Nie chcemy żadnych niespodzianek. I tak by to zrobiła. Jacen musiał wcześniej czy później stawić temu czoło. Doszedł do wniosku, że im wcześniej, tym lepiej. Wyciągnął z chłodni nosze i otworzył worek wzdłuż zapinanego na zatrzaski pęknięcia. - Proszę - powiedział.

Leia i Han spojrzeli na zwłoki łowczyni nagród. Matka Jacena tylko z wysiłkiem przełknęła ślinę; ojciec odwrócił się, skrzyżował ramiona na piersi i pochylił głowę. Jacen zaczekał, aż Leia dojdzie do siebie, po czym znów zapiął zatrzaski. - Czy te siniaki na jej twarzy to twoja robota? - Zapytała matka.

To cena, jaką muszę zapłacić, przypomniał sobie rycerz Jedi. Lumiya go uprzedzała. Wiedział jednak, że nieprędko zapomni zawód, jaki malował się w tej chwili na twarzy matki. Poczuł się, jakby spadł na dno głębokiej przepaści.

- Tak sądzę - mruknął.

- Tak sądzisz? - Powtórzyła matka.

- Tak.

Leia pokiwała głową i odwróciła twarz.

- W porządku - odezwała się w końcu. - Chyba nie mam nic więcej do powiedzenia. - Chwyciła za rączki repulsorowych noszy i wepchnęła je z powrotem do chłodni. - Lepiej będzie, jeżeli już pójdziemy.

Jacen czekał, aż ojciec coś powie, ale Han nawet się nie odwrócił. Rycerz Jedi udał się do służby, żeby przejść na pokład wahadłowca, którym rodzice przylecieli na umówione spotkanie. Spodziewał się, że Han zmięknie i odezwie się do niego, ale ojciec tego nie zrobił. Nie mogą się z nim rozstać w taki sposób, pomyślał Jacen.

Zmuszę go, żeby ze mną porozmawiał. Dlaczego nie chce mnie zrozumieć? - Czy naprawdę zabiłeś Thrackana, tato? - Zapytał w końcu.

Han odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy, ale było to obce spojrzenie.

- Cóż, może to cecha rodzinna - zaczął. - Jeżeli ja umiem zabijać z zimną krwią, to samo może robić mój chłopiec. Jak to dobrze, że się nawzajem rozumiemy.

Jacen podszedł do ojca i chwycił go za ramię.

- Tato, nie rób tego... - Zaczął.

Han wyszarpnął się z uścisku jego palców.

- Odejdź ode mnie - powiedział.

- Tato...

- Nie wiem, kim jesteś, ale na pewno nie moim synem - oświadczył. - Mój Jacen nigdy by nie zrobił tego co ty. Wynoś się. Nie chcę cię więcej znać.

Odwrócił się i ruszył do sterowni. Jacen wszedł do służby. Obejrzał się i zobaczył matkę. Patrzyła na niego, jakby się miała rozpłakać.

Tata ma rację, pomyślał. Kim się stałem?

Postanowił otrząsnąć się ze wstydu; uznał go za jedną ze słabości dawnego Jacena Solo. Przypomniawszy sobie, że jego życie nie należy już do niego. Jego przeznaczeniem było stać się Sithem. Skierował poobijany wahadłowiec w kierunku strefy zakazanej i korzystając z tego, że znajdował się bardzo daleko od Lumiyi, pozwolił sobie na luksus wysłania myśli do Tenel Ka i Allany.

Kwatera główna SGS, Coruscant

Kapitan Shevu kłął pod nosem, wpatrując się w ekran monitora w pokoju administracji. Obok biurka stał zapomniany i milczący urzędniczy android. Od czasu do czasu wyciągał rękę, ale szybko ją cofał, bo Shevu unosił głowę i piorunował go spojrzeniem. Ben czekał w drzwiach, zastanawiając się, czy Shevu potraktuje go tak samo. Oficer nie wyglądał na zadowolonego.

- Nie wie pan, kiedy wróci pułkownik Solo, panie kapitanie? - Odezwał się w końcu chłopiec. Nie

wspominaj imienia „Jacen”, przynajmniej w obecności jego podwładnych, powiedział sobie. - Spóźnia się.

- Pułkownik Solo przychodzi i wychodzi, kiedy mu się podoba - burknął kapitan.
- Czy mógłbym w czymś pomóc?
- A potrafisz odnajdywać zwłoki? - Zagadnął Shevu.
- No...

- Przepraszam, Benie. - Shevu odprawił androida groźnym spojrzeniem. - Wygląda na to, że zaginęła nam martwa aresztantka. Nie mogła wyjść bez niczyjej pomocy, więc spróbuję ją odnaleźć. Nie mogę złożyć raportu o incydencie, dopóki nie będę miał ciała. Ben poczuł skurecz żołądka. - Chodzi o Ailyn Habuur, prawda? - Zapytał.

- Prawda - przyznał kapitan. - Nikt nie pokwitował odbioru zwłok, a mimo to zniknęły. Jacen także, pomyślał Ben. Miał się zobaczyć z wujkiem Hanem. Młody Skywalker usiłował znaleźć odpowiedź na wątpliwości, jakie ogarniały go na myśl o Ailyn Habuur i Jacenie. - Czy to ważne? - Odparł.

Shevu miał zwyczaj patrzenia na rozmówcę spode łba, nieruchomym wzrokiem, jakby uważał go za idiotę.

- Tak, Benie - powiedział. - Aresztanci, którzy umierają podczas przesłuchania, zawsze są ważni. Nie wyrzuca się ich jak śmieci. Co wiesz na temat tej kobiety?
Ben wzruszył ramionami.
- Była rozgniewana i przerażona - oznajmił rzeczowo.

- Niektórzy moi koledzy z CSB mówią, że ktoś o nią wypytywał.

- Czy była kimś ważnym? - Zainteresował się młody Skywalker. - Nie wiem. A ty?

Ben pokręcił głową. Odniósł wrażenie, że Shevu bardzo uważa na to, co mówi, i - co było oczywiste - nie przepada za Jacenem.

- Może chciałbyś zobaczyć się z rodzicami? - Zapytał Shevu takim tonem, jakby spodziewał się potwierdzenia. - Jeżeli pułkownik Solo w tym czasie wróci, powiem mu, że odesłałem cię do domu.

Ben ucieszył się, że ktoś podejmuje decyzje za niego. Bał się tylko, że wydarzenia ostatnich dni odbiły się na jego twarzy wyraźnym piętnem, że ojciec odczyta je bez trudu. Miał nadzieję, że nie. Nie był pewny, czy da radę dłużej zachowywać wszystko dla siebie. Mama by go szybciej zrozumiała. Opowiadała mu kiedyś historie z okresu, kiedy była Ręką Imperatora. Powiedziała, że dopuściła się wówczas kilku paskudnych czynów, ale nie stała się dzięki nim złą kobietą. Może więc i Jacen się taki nie stanie. Na pewno popełnił kilka fatalnych błędów, ale zrozumiał swoją pomyłkę i nigdy więcej ich nie powtórzy. Ben postanowił najpierw skontaktować się z rodzicami, ale usłyszał automatyczną odpowiedź. Trwało posiedzenie Rady Jedi, więc udał się do Świątyni i chyba z godzinę czekał w archiwach. Obrady się przeciągały, a chłopiec był zbyt rozsądny, żeby przeszkadzać, więc postanowił poszukać informacji na temat Ailyn Habuur.

Archiwa Jedi były ogromne. Stanowiły przedziwną mieszankę prastarych tekstów i konkretnych informacji. Powiadano, że badając archiwa albo uciekając się do medytacji, Jedi mogli się dowiedzieć o bliskich i odległych planetach wszystkiego, czego zechcą, jeżeli tylko będą o tym intensywnie myśleć.

Chłopiec nie natrafił na żadną informację o Ailyn Habuur w publicznych rejestrach - ani nawet w rejestrach Kiffarów. Znalazł jednak tysiące osób o imieniu Ailyn i równie wiele o nazwisku Habuur. Na myśl o ogromie czekającej go pracy ogarnęło go zniechęcenie. Nie był pewien, czy znalezienie czegoś na temat Ailyn Habuur w ogóle ma znaczenie.

Na razie postanowił poszukać osób, które miałyby na imię Nelani albo Brisha.

Obiecał sobie, że nie będzie zadawał żadnych więcej pytań na temat okresu spędzonego na asteroidzie w okolicy Bimmiela - okresu, którego nie pamiętał. To właśnie wtedy zginęła rycerz Jedi Nelani Dinn i niezwykła kobieta o imieniu Brisha. Ben pogodził się z tym, że wydarzyło się tam wiele niepokojących rzeczy, których nie rozumiał, a Jacen chyba nie chciał mu o nich opowiedzieć. Jak zginęły? Jak poniosły śmierć Brisha i Nelani?

Musiał to wiedzieć. Przeczynał, że to, co przydarzyło się Ailyn Habuur, ma jakiś związek ze śmiercią tamtych dwóch kobiet. Musiał o to zapytać, bo to wszystko zmieniało. Bez trudu znalazł informację o Nelani, bo młoda kobieta była Jedi, co zawężało obszar poszukiwań. Natrafił jednak na dane tysięcy osób o imieniu Brisha albo miejsc, które się tak nazywały. Doszedł do wniosku, że nie starczy mu czasu, żeby się ze wszystkimi zapoznać. Nie był nawet pewny, czego szuka, i nie miał pojęcia, czy rozpozna właściwą informację, kiedy się na nią natknie. Postanowił zapytać o to Jacena, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Wjechał turbowindą na poziom, na którym nadal trwało posiedzenie Rady Jedi, i zczekał na korytarzu, aż zebranie dobiegło końca. Wtedy zauważył, że jego rodzice, pogrążeni w rozmowie, wyszli z sali obrad Rady i ruszyli korytarzem, jakby go nie zauważyli. Czyżby Ben opanował już sztukę ukrywania swojej obecności w Mocy? To zabawne, ale zaledwie kilka tygodni wcześniej czuł się urażony, kiedy dorośli go nie zauważali albo traktowali jak dziecko. Tymczasem ostatnio pragnął ukryć się w Mocy. Ale nie teraz. Tym razem naprawdę chciał, żeby rodzice wiedzieli, gdzie się znajduje, i aby mu pomogli się zorientować, dokąd podąża.

Chciał im powiedzieć, jak paskudnie się czuje z powodu Ailyn Habuur i Jacena.

Doszedł jednak do wniosku, że nie powinien tego robić. Jeżeli miał problemy z Jacenem, powinien je rozwiązać jak dorosły i omówić je właśnie z nim, zamiast biec na skargę do mamy i taty.

A poza tym istniały inne problemy, o których chciałby z nimi porozmawiać.

- Cześć, kochanie - odezwała się Mara. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i Ben się zawstydził, że przed spotkaniem z matką nie pomyślał o zdjęciu czarnego munduru. - Co się stało? Długo na nas czekałeś?

Ben uściskał ją i odwrócił się do ojca, żeby i z nim się przywitać. Nie był pewny, jak powinien się przy nim zachowywać. Na ogół nie chciał być wyłącznie dzieckiem Luke'a i Mary Skywalkerów, ale w tej chwili czuł niemal ulgę, że nim jest. - Czy moglibyśmy zjeść razem lunch, tato? - Zapytał.

- Jasne - odparł Luke. - Wnioskuje z twojej prośby, że wydarzyło się coś bardzo złego. Mam rację?

Ben powinien był im to powiedzieć od razu, ale chciał się najpierw zastanowić. Teraz był już gotów. Musiał z nimi o tym porozmawiać.

- Zabiłem kogoś - wyznał. - I z tego powodu czuję się naprawdę paskudnie.

ROZDZIAŁ 22

Z ubolewaniem oświadczam, że nowe władze Korelii odrzuciły naszą propozycję rozmów, dopóki Galaktyczny Sojusz nie uzna prawa Korelii do utrzymywania własnych niezależnych sił odstraszających i obronnych. Sojusz nie może się pogodzić z odmową rozbrojenia, a to oznacza, że od tej pory jesteśmy w stanie wojny z Korelią i jej sprzymierzeńcami.

przywódca Galaktycznego Sojuszu Cal Omas w wydanym w Senacie krótkim oświadczeniu

„Sokół Millenium” w drodze do Koronetu

Han siedział znów za sterami „Sokoła”, ale mimo to nie czuł się ani trochę lepiej. Chciał, żeby wydarzenia kilku poprzednich dni dało się cofnąć niczym zarejestrowaną holowiadomość, albo lepiej skasować i zacząć rejestrować od nowa, tym razem prawidłowo. Za iluminatorem widział rosnącą kulę Korelii. Dobrze chociaż, że tym razem mógł wylądować jawnie. W najgorszym razie mógł się spodziewać paru szyderczych docinków i nazwania go zdrajcą... Jeżeli ktokolwiek jeszcze pamiętał tak odległe wydarzenia z jego przeszłości. Podczas wojny kilka tygodni oznaczało bardzo długi odcinek czasu. A zresztą Han przestał się troszczyć o to, czy rodzina Solo stanowi polityczny kłopot dla Luke'a. Skywalker dokonał własnego wyboru. A mój syn staje się potworem, przypominał sobie.

Leia położyła rękę na jego dłoni, którą ścisnął z całej siły rękojeść dźwigni dziobowych silniczków manewrowych.

- Osiemdziesiąt kilogramów na centymetr kwadratowy - powiedziała. - Słucham? - Zapytał zdezorientowany mąż.

- To naprężenie, które powoduje kruszenie się durastali - odparła księżniczka. - Czyżbyś zamierzał to sprawdzić?

Han puścił rękojeść dźwigni. I tak zresztą ruchami statku kierował automatyczny pilot. Solo uświadomił sobie, że ścisnął tę rękojeść, bo sprawiało mu to ulgę. Wydawało mu się, że dzięki temu panuje nad tą chwilą swojego życia.

- Czy to nasza wina? - Zapytał. - Czy to my go tak wychowaliśmy? Jakim cudem do tego dopuściliśmy? Jak to się stało, że Jaina jest inna niż on? - Ja też nie mam pojęcia, co się dzieje - przyznała żona.

- Sądziłem, że rozumiem problemy związane z Jasną i Ciemną Stroną - mruknął Han. - Wiem, że każda z nich stanowi część Mocy. Więc kim właściwie był ten, kogo spotkałem, a kto wyglądał jak nasz Jacen?

- Kochanie, musisz się uspokoić - poprosiła Leia.

- Jacen torturuje więźniów na śmierć - przypomniał mąż. - Jak mogę się uspokoić? Czy on postradał zmysły? Czy naprawdę nie wyczuwasz, że się zmienił?

Żona była zawsze taka opanowana. W jej ustach wszystkie argumenty brzmiały rozsądnie. W przeciwieństwie do niej Han zawsze kierował się emocjami. Reagował tak, jakby wszystko wokół niego miało tylko jeden wymiar. Ich związek funkcjonował mimo tych sprzeczności i przetrwał kilka naprawdę straszliwych prób.

Dziś jednak Leia wyglądała, jakby nie potrafiła nic poradzić na to, co się dzieje.

- No dobrze - odezwała się w końcu. - Mam wrażenie, że Jacen... Się zmienił. Może właśnie to nie daje spokoju Jainie. Wyczuwam, że jest bardzo nieszczęśliwa.

- Dobrze chociaż, że nie lata na wyprawy bojowe - powiedział Han. - Poszła po rozum do głowy.

- Ale nie skontaktowała się z nami, a to zazwyczaj oznacza, że jest coś, czego jej zdaniem nie powinniśmy wiedzieć.

- Jak myślisz, potrafiłabyś zamienić umiejętność posługiwania się telekinezą Mocy na telepatię? - Zagadnął mąż. - W tej chwili to by się nam naprawdę przydało.

Potańczał dłońmi twarz i przeniósł spojrzenie na pulpit kontrolnej konsoli. Do lądowania pozostała mniej więcej godzina. Najważniejsze, że Thrackan nie żył. To już było coś. A „Sokół” nadawał się znów do lotu, co było kolejnym dużym osiągnięciem. - Kiedy Fett zobaczy zwłoki swojej córki, od razu wszystkiego się domyśli - stwierdziła księżniczka. - Może nie będzie im się przyglądał - mruknął Han.

- Kochanie, Fett nie wygląda na wrażliwego gościa - zauważyła Leia.

- Nie widział jej ani razu od ponad pięćdziesięciu lat - stwierdził Solo. - Nie wygląda na to, żeby mu na niej zależało. Jaki ojciec nie próbuje tyle lat zobaczyć swojego dziecka? - No cóż, my nie widzieliśmy Jacena pięć lat - przypomniała Leia. - To było co innego - odparł Han. - Obawiasz się Fetta?

- Wolalabym go omijać szerokim łukiem - przyznała księżniczka.

- Chciałbym powiedzieć, że dałbym mu radę w każdej chwili, ale mam co do tego niejakie wątpliwości. Leia zamknęła na chwilę oczy, jakby usiłowała zebrać myśli.

- Uporamy się z tym, jeżeli będziemy musieli - zdecydowała w końcu. - Możliwe, że nie to będzie naszym największym problemem.

- Nie to, że nasz syn zadarł z najgroźniejszym łowcą nagród galaktyki? - Zdziwił się Han. - Co może być groźniejsze od tego?

Leia wstała z fotela pilota, przeszła na rufę i stanęła przed włazem oddzielającym sterownię od ładowni. Han wiedział, że żona postanowiła jeszcze raz rzucić okiem na zwłoki Ailyn Vel. Może zamierzała sprawić, żeby łowczyni nagród wyglądała ładniej w oczach ojca, a może, posługując się Mocą, chciała zebrać informacje o ostatnich chwilach jej życia. Han postanowił o to nie pytać.

- Powiem ci, co jest większym problemem niż zatarg z Bobą Fettem - odezwała się w końcu żona. - Większym problemem jest syn, który zabija, kiedy nie musi.

Han ciekaw był, czy Jacen sobie na to pozwolił pierwszy raz, ale zaraz zawstydził się tej myśli. A później zaczął się zastanawiać, kiedy Jacen to znów zrobi.

Kosmoport Koronetu, Korelia

Mirta czekała, aż Fett otworzy dziobowy właz „Niewolnika 1”. Nie miała blastera w dłoni, więc łowca nagród postanowił jej zaufać.

W tej chwili naprawdę czuł się schorowany i stary. Dokuczał mu tępy ból, ale postanowił go zignorować.

- Niedługo przylecą Solo z ciałem Ailyn - powiedział.

- Wiem - odparła Mirta. - Też mi na nim zależy.

Coś takiego, pomyślał Fett.

- Nie masz statku ani kredytów - zauważył. - Co chcesz zrobić z ciałem?

- A ty? - Zapytała dziewczyna.

- Pochować je - odparł Fett.

- Trochę za późno, żeby zacząć troszczyć się o córkę.

- Wydaje ci się, że tego nie wiem? - Fett zauważył, że Mirta ma zawieszona na szyi ogniste serce. - To Ailyn dała ci je, żebyś mogła mnie zwabić?

Dziewczyna objęła klejnot obiema dłońmi.

- Nie, naprawdę je odzyskałam - oznajmiła.

- Więc co przydarzyło się Sintas? - Zapytał Fett.

- Dlaczego cię to obchodzi?

- Bo ją kochałem - odparł łowca nagród. - Zresztą nawet Ailyn nie mogła wiedzieć, co się stało ani dlaczego odleciałem, więc mnie nie osądzaj.

Mirta wykrzywiła się w pogardliwym grymasie.

- Nigdy nawet nie spróbowałeś się z nimi skontaktować - przypomniała.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, jak wyglądało moje życie?

- Pewnie, musiałeś się porządnie natrudzić, żeby zdobyć taką fortunę.

- Kiedy miałem trzynaście lat, oglądałem z bliska śmierć ojca - zaczął łowca nagród. - Trzy następne lata uciekałem. W wieku szesnastu lat poślubiłem Sintas. Przypuszczałem, że moje życie nabierze

sensu, jeżeli postąpię jak normalni ludzie, ale się pomyliłem. Próbowałem być Wędrownym Protektorem, ale zabiłem oficera przełożonego, trafiłem do więzienia i zostałem skazany na wygnanie z Concord Dawn. To była moja ostatnia próba powrotu do normalności. Później wystarczało mi tylko, że byłem Bobą Fettelem, bo po prostu nie wiedziałem, jak robić cokolwiek innego.

Mirta patrzyła na niego, jakby się zastanawiała, czy posłać mu kilka blasterowych błyskawic w głowę, czy też może w pierś. Łowca nagród pomyślał, że nie zależy mu na jej współczuciu.

Chciał, żeby zrozumiała, dlaczego skrzywdziłby Sintas i Ailyn o wiele bardziej, gdyby po swoim wyroku do nich wrócił, niż kiedy je opuścił.

W dodatku zabił oficera, który był kiedyś jego mentorem i przyjacielem. Naprawdę nie musieli skazywać go na wygnanie. Fett sam chciał uciec od swojego bólu najdalej, jak mógł. Tylko dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, żeby Mirta to wszystko rozumiała? Przecież była obcą dziewczyną, którą spotkał zaledwie kilka tygodni wcześniej. Jest dla mnie nikim, pomyślał. Może nawet nie jest krwią z mojej krwi... Tylko przypadkową osobą, która chce wyciągnąć ode mnie kilka kredytów?

Istniał tylko jeden sposób, żeby raz na zawsze rozstrzygnąć tę wątpliwość. Wyjął komputerowy notes i sprawdził stan swoich kont.

- Jak nazywa się twój bank? - Zapytał.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Bo to ty posłałaś pierwszy strzał w głowę Sal-Solo - przypomniał łowca nagród. - Bierz milion kredytów i zmiataj.

Na twarzy dziewczyny odmalowała się gorzka pogarda.

- Chcesz wiedzieć, co możesz zrobić ze swoimi kredytami? - wycodziła.

A więc była naprawdę członkiem jego rodziny. Fett wiedział to tak czy owak...

Instynktownie to wyczuwał.

- Masz braci albo siostry? - Zapytał.

- Nie - burknęła Mirta. - Nie mam także dzieci.

Fett uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, żeby o to zapytać.

- Tak czy owak, jesteś na to za młoda - powiedział.

- Byłam zamężna - oznajmiła dziewczyna. - My wcześniej zakładamy rodziny, prawda? Och, jak dalece historia się powtarza, pomyślał Fett. Nie potrzebuję tego kłopotu. Mam pod dostatkiem własnych.

Nie zapytał, dlaczego Mirta już nie jest zamężna. Może zawiniło jej zgryźliwe usposobienie? Czuł jednak dla niej szacunek, bo mimo wszystko była jego wnuczką... Jedynym członkiem rodziny, jaki mu pozostał.

Potrzebuję jej także, żeby odnaleźć tamtego klona, a w dodatku ona wie, co przydarzyło się Sintas, pomyślał.

Oszukiwał sam siebie, starając się usprawiedliwić nieoczekiwany przyływ uczuć fałszywym pragmatyzmem. Mógł odnaleźć tamtego kłona na własną rękę. Nie musiał wiedzieć, co się stało z żoną. W rzeczywistości kierował się tymi samymi motywami, co jego ojciec, kiedy zażądał od hrabiego Dooku sklonowanego syna jako części wynagrodzenia za to, że został protoplastą armii klonów... Po prostu zależało mu na tym, żeby mieć rodzinę. Prościej byłoby znaleźć żonę i się ustatkować, ale Boba Fett nie był do tego zdolny bardziej niż ojciec. - To jak, stoczmy ze sobą walkę z powodu zwłok? - Zapytał.

- Zależy ci tylko na tym, żeby wygrać - dogryzła mu Mirta. - Nie obchodzi cię sama wygrana.

Fett nawet nie mógł się na nią gniewać. Oparł się o kadłub „Niewolnika 1” i spojrział przez makrolornetkę przesłony hełmu w niebo. Czekał, aż pojawi się tam plamka „Sokoła Millenium” i statek powoli osiadzie na płycie lądowiska. Mirta czekała obok niego... Ale nie z nim. Łowca nagród wyczuwał niewidoczny mur, jaki wzniosła między nimi. To było naprawdę długie pół godziny.

W końcu nad lądowiskiem pojawił się „Sokół”. Jego pilot zatoczył krąg i wylądował pięćdziesiąt metrów od nich. Fett wyprostował się i ruszył na spotkanie z Hanem Solo. Mirta szła najwyżej krok za łowcą nagród.

Po rampie statku pierwsza zeszła Leia Solo. Podeszła do Fetta, jakby chciała zagrozić mu dalszą drogę.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tej sprawy, Fett oznajmiła. - Tobie także współczuję, Mirto.

Fett minął ją, wszedł po rampie i udał się do ładowni. Księżniczka podążyła za nim. Han, który właśnie przeciągał repulsorowe nosze do świetlicy, obejrzał się przez ramię. - Zamierzasz umieścić mnie z powrotem na swojej liście celów, Fett? - Zapytał. - Jeżeli chcesz zapolować na Jacena, uprzedzam, że jest zbyt trudnym łupem nawet dla ciebie. Fett pokręcił głową powoli, z zamierzoną pogardą.

- Nie muszę się na nikim mścić, Solo - powiedział. - Twój syn rozkazuje swojej siostrze, żeby otworzyła ogień do cywilów, a kiedy siostra odmawia wykonania rozkazu, zawiesza ją w obowiązkach. Nie, chyba zostawię cię na łonie twojej szczęśliwej rodzinie. Mam w tej chwili na głowie ważniejsze sprawy.

Zauważył, że oboje Solo wymienili spojrzenia, i domyślił się, że rzucił między nich termiczny detonator.

A zatem nie wiedzieli.

Fierfek, w tym worku leży ciało mojej córki, uświadomił sobie.

Wszyscy poczuli się jak w krótkiej chwili ciszy przed nadciągającą burzą. Leia - tak, jego poprzednik Fenn Shysa był dla niej bardzo miły, jeszcze zanim księżniczka poślubiła międzygwiazdowego włóczęgę - zrobiła pełen bezradności gest w kierunku włazu. - Poszukam kogoś, Fett, kto wyprawi jej pogrzeb - zaproponowała.

- Nie - powiedział łowca nagród. - Ona należy do mnie. - Czas na ukłon w kierunku Mirty, pomyślał.
- Należy do nas.

- Jak chcesz - odparła cicho, jakby z namysłem Leia. - Nie denerwuj się.
- Chcę zobaczyć jej zwłoki - zażądał Fett.
- Moim zdaniem to nie najlepszy pomysł.

- Księżniczko Leio, chcę zobaczyć zwłoki mojej córki - powtórzył z naciskiem Mandalorianin.

Mirta ujęła go za ramię. Kogo właściwie chce pocieszyć, mnie czy siebie? - Zadał sobie pytanie Fett. Jeszcze raz ucieszył się, że ma hełm, bo nie chciał, żeby Han Solo zobaczył ból na jego twarzy. Wiedział, że jego głos nie zdradzi żadnych uczuć. - A ja chcę zobaczyć zwłoki mojej matki - odezwała się dziewczyna.

Leia cofnęła się, ale Han został przy noszach. Fett nie mógł nic poradzić na to, że w jego głosie zabrzmiała twarda nuta.

- Zostaw nas samych na kilka minut, Solo - zażądał.
- Fett....
- Powiedziałem, żebyś nas zostawił.

Han popatrzył z zakłopotaniem. Leia złapała go za rękę i popchnęła w kierunku służy. Fett i Mirta zostali sami w przedsionku świetlicy.

Zawahali się, ale zaraz jednocześnie wyciągnęli ręce do noszy. Fett cofnął się, żeby wnuczka mogła odpiąć zatrzaski i pierwsza zajrzeć do środka.

Tylko nieznaczne drganie jej podbródka uświadomiło mu, że Mirta jest wstrząśnięta. Łowca nagród podszedł do niej i spojrzał na córkę... Na zupełnie obcą osobę. Ailyn Vel miała twarz posiniaczoną i poranioną, ale zdumiewająco spokojną. Podobnie jak jej matka Sintas miała kiffarski tatuaż - trzy czarne linie biegnące od lewej brwi do kości policzkowej. W ciemnych włosach widniały liczne pasma siwizny. Oto moja mała dziewczynka, pomyślał łowca nagród.

Ze wszystkich sił próbował wyczuć w ciele nieznajomej kobiety w średnim wieku małe dziecko, które kiedyś trzymał w objęciach. Podobno dzieci nigdy nie przestawały być dziećmi dla swoich rodziców, nieważne, ile miałyby lat, ale Fett nie potrafił utożsamić widoku tej kobiety ze wspomnieniami córki. Bardzo tego pragnę, pomyślał. Chcę to poczuć.

Tęskniłem za nią całe życie, uświadomił sobie. Czy kiedykolwiek nazwała mnie tatą? Nie. Nie przypominam sobie, żeby to zrobiła.

Mirta pochyliła się nad zwłokami, zawiązała rzemyk ognistego serca na szyi matki i przytuliła policzek do jej policzka. Po chwili wyprostowała się i cofnęła, jakby chciała dać dziadkowi dość miejsca, żeby także mógł się pożegnać z Ailyn. Fett stwierdził, że przychodzi mu to z wielkim trudem. Zawahał się, bo pamięć podsunęła mu inne wspomnienie, którego nie umiał wymazać. Zobaczył siebie, stojącego sześćdziesiąt lat wcześniej na pokrytej pyłem arenie planety Geonosis i podnoszącego hełm ojca. Jedi zawsze mi wszystko zabierają, pomyślał.

Musiałby zdjąć hełm, żeby pocałować córkę na pożegnanie, ale nie był na to gotów, nie w tym miejscu. Przygładził włosy Ailyn ukrytymi w rękawicy palcami i chciał już zapiąć zatrzaski worka, ale nie umiał się oprzeć chęci odzyskania ognistego serca. To była jedyna pamiątka po szczęśliwszych czasach, jaka mu pozostała.

Rozwiązał rzemyk, ale poczuł na sobie spojrzenie Mirty. Wnuczka miała ponury wyraz twarzy i patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem. Na pewno chciała, żeby klejnot spoczął razem z ciałem matki.

Istniało jednak inne rozwiązanie.

Ogniste serca miały jądro - krystaliczną strukturę tworzącą ledwo widoczne linie, które jubilerzy wykorzystywali do rozłupywania klejnotów na mniejsze, łatwiejsze do obróbki kawałki. Fett oparł niewielki krążek na bocznej krawędzi i sięgnął po blaster. Kilka silnych ciosów łożyskiem rozłupało wzdłuż linii rozszczepienia klejnot, który rozpadł się na dwa wąskie kawałki. Fett zsunął jeden ze skózanego rzemyka i wręczył go wnuczce, a pozostałą część zawiązał znów na szyi Ailyn.

W swoim życiu często miał do czynienia ze zwłokami, bo kontakt z nimi był nieodłącznym elementem zawodu łowcy nagród. Spróbował zawiązać rzemyk z tyłu szyi Ailyn, ale musiał w tym celu ściągnąć rękawice. Dopiero wtedy poczuł, że naprawdę dotyka ciała córki. Miała włosy bardziej szorstkie, niż mu się wydawało, ale jej lodowata skóra była gładka jak jedwab.

Fett uświadomił sobie wreszcie, że naprawdę stracił jedyne dziecko. Nie został u boku żony i córki. Wiedział, że w przeciwieństwie do wspomnienia o Sintas ten ból już go nigdy nie opuści. Ojciec Fetta stał zawsze u jego boku, ale Fett zawiódł go pod najważniejszym względem - nie został równie dobrym ojcem, jakim był Jango Fett. - Chodźmy - odezwała się Mirta. - Zabierzmy ją do domu. Nagle zaczęła używać liczby mnogiej.

- Gdzie jest dom? - Zapytał Fett. - Chyba nie masz na myśli Tarisa? - Mam na myśli Mandalorę - odparła dziewczyna.

- Ale ja nie mam tam żadnej posiadłości - stwierdził łowca nagród. - No to najwyższy czas, żebyś jakąś kupił.

Wrócili na pokład „Niewolnika 1” i umieścili zwłoki Ailyn Vel w zamrażarce przeznaczonej dla więźniów, którzy w kontrakcie byli zapisani jako: „martwi”. Wydawało się to im niezbyt odpowiednie, ale to było jedyne praktyczne rozwiązanie na czas podróży na Mandalorę.

Kimkolwiek był tamten *Kad'ika*, miał rację. Czasami naprawdę potrzebowało się jakiegoś miejsca, które można byłoby zawsze nazywać domem. Fett przez centralną służbę przeszedł do sterowni „Niewolnika 1” i usiadł w fotelu pilota. Mirta bez słowa zajęła miejsce obok niego.

- Beviin twierdzi, że my, Mandalorianie, rzadko grzebiemy swoich zmarłych - stwierdził Fett. - Tyle że nigdy nie uważałem się za Mandalorianina.

- Moja mama była Kiffarką - oznajmiła dziewczyna.

Racja, pomyślał łowca nagród.

- A więc co zamierzasz zrobić? - Zapytał.

Zauważył w jej oczach łzy.

- W tej chwili nie wiem - wyznała Mirta.

Fett zdjął hełm.

- W takim razie wracamy na Mandalorę - zdecydował. - Po drodze wpadniemy na Geonosis, bo właśnie tam pochowałem ojca. Rodzina musi trzymać się razem.

To była najdłuższa rozmowa na tematy niezawodowe, jaką odbył z kimkolwiek, odkąd przestał być dzieckiem. Była dręcząco osobista i Fett uświadomił sobie, że sprawiła mu ból. W końcu pozwolił, żeby łzy popłynęły w milczeniu także po jego twarzy.

Mirta płakała obok niego, od czasu do czasu spazmatycznie chwytając powietrze. Między nimi panowało zakłopotanie, jakby żadne nie chciało się przyznać do tego, że potrafi płakać, ale nagle się okazało, że oboje umieli, i to z głębi serca.

Byli teraz rodziną. Okazało się, że to najgorszy z możliwych sposobów, żeby zacieśnić więzi. One jednak istniały, chociaż brakowało w nich uczucia. Pierwszy raz w życiu Boba Fett próbował stać się kimś w rodzaju ojca, nie kimś żyjącym nieustannie przeszłością i poszukującym osoby, która nigdy nie miała powrócić.

ROZDZIAŁ 23

*Wzmocni się poprzez poświęcenie.
Zniszczy tych, którzy wypierają się sprawiedliwości.
Unieśmiertelni swoją miłość.*

proroctwo Sithów, przepowiedziane w plecionkach

Bezpieczny dom Lumiya, Galactic City

Jacen znów miał ten sen; znów wpatrywał się w broń trzymaną w dłoniach i szlochał. Ostatnio sen przybierał rozmaite formy. Raz Jacen dzierżył świetlny miecz, kiedy indziej amphistaff Yuuzhan Vongów, blaster albo świetlny bicz. Pewnego razu była to dziwna broń, której w ogóle nie znał.

Powtarzające się sny zaniepokoiły go do tego stopnia, że postanowił poprosić o radę Lumię. Stojąc na progu jej apartamentu, spojrzął na coruscańskie niebo, żeby przekonać się, czy przez okno wpada światło. Wiedział, że kobieta jest w środku.

Luke także to wiedział, chociaż nie miał pojęcia, gdzie Lumiya przebywa, blisko czy daleko. Powietrzny śmigacz mógł pokonać odległość od apartamentu Skywalkerów do jej bezpiecznego domu w niespełną godzinę. Czy to mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie? Wydarzenia biegły szybciej, niż wujek Jacena mógłby uwierzyć. Biegły niemal zbyt szybko, żeby nawet Jacen potrafił je zrozumieć. Pozwalał się im nieść, ufając Mocy.

Lumiya siedziała w salonie, pogrążona w medytacji. Znów miała na twarzy zasłonę. Tym razem w pomieszczeniu nie było widać iluzji Mocy. Apartament wyglądał jak pierwsze lepsze wynajęte mieszkanie. W salonie stały tylko najbardziej niezbędne meble, na podłodze leżał ciemnoszary dywan. Otoczenie wyglądało dziwnie prozaicznie jak na tak decydujące wydarzenia.

Kobieta Sith trzymała w dłoniach plecionkę, której węzły i sploty były proroctwem... Zawila instrukcją wyjaśniającą, co Jacen musi zrobić, żeby uzyskać pełnię wiedzy i potęgi Sithów. Na niskim stoliku przed Lumią płonęła świeca, której płomień od czasu do czasu chwiało się podczas ruchu powietrza.

- Miewam sny - odezwał się rycerz Jedi. - Widzę w nich broń, którą mam się posłużyć. - I te sny nie

dają ci spokoju - domyśliła się kobieta.

- Pamiętam tylko, że patrzę na tę broń i odczuwam niewiarygodny smutek.
- To może być tylko sen, nie wizja - powiedziała Lumiya.
- Za każdym razem broń jest inna - oznajmił Jacen.
- Tym bardziej może to być tylko sen.

Młody Solo miał taką nadzieję. Nawet Jedi miewali sny jak zwykli ludzie. Sny będące projekcją wydarzeń poprzedniego dnia, napięć i nierozwiązanych konfliktów. To, że Jacen miewał złe sny, nie zdziwiłoby żadnego lekarza. W krótkim czasie nauczył się robić różne rzeczy... A nawet inspirować wydarzenia, o co nigdy wcześniej by się nie posądzał. Kiedy widział przerażenie i odrazę na twarzach bliskich osób - ojca, matki, a nawet Bena - brał za to świadectwo tego, jak bardzo się zmienił. - Coraz częściej poszukuję wspomnienia dziadka - powiedział.

Lumiya pogładziła sploty plecionki i przesunęła jej węzły między kciukiem a palcem wskazującym. Wyglądało na to, że je czyta.

- Odbywając wędrówki po nurcie, ograniczasz się do konkretnego miejsca - stwierdziła. - To dlatego dostrzegasz tylko to, co przydarzyło się Lordowi Vaderowi, kiedy przebywał na Coruscant.

- Chcesz mi w ten sposób powiedzieć, że więcej informacji muszę zdobyć gdzie indziej? - Zagadnął rycerz Jedi.

- Nie o to chodzi... Musisz tylko wiedzieć, że jeżeli będziesz szukał usprawiedliwienia w przeszłości, w najlepszym razie twoja chęć okaże się selektywna - odparła Lumiya. Odnoszę czasem wrażenie, że przeżywam fragmenty życia Anakina Skywalkera - powiedział Jacen. - Byłbym głupi, gdybym nie starał się wyciągnąć z tego jakichś wniosków. Do tej pory już powinieneś wiedzieć, że wasze ścieżki się różnią - zauważyła kobieta Sith. - Twój dziadek dał się uwieść i popełnił wiele błędów. Ty ich nie popełnisz. - No dobrze, w takim razie zapytam cię jeszcze raz - naciskał młody Solo. - Czego jeszcze się muszę nauczyć, żeby wypełnić moje przeznaczenie?

Lumiya powoli wyciągnęła do niego rękę z plecionką. Jacen ujął dziwny przedmiot, ale poczuł, że pali go w palce, jakby był rozżarzony do czerwoności. Reagując instynktownie, podrzucił go w powietrze, jakby to była gorąca pałeczka chlebowa prosto z piekarnika. Kiedy plecionka opadła na jego dłoń, była chłodna.

- To twój ostateczny test, Jacenie - odezwała się Lumiya. - Poświęciłeś bardzo dużo... Nawet aprobatę tych, na których opinii najbardziej ci zależało. Rozprawileś się stanowczo z tymi, którzy wypierają się sprawiedliwości. Teraz musisz już tylko stawić czoło trzeciemu proroctwu.

Jacen spojrział na ozdobione węzłami sploty w zagłębieniu dłoni. „Unieśmiertelni swoją miłość”, przypomniał sobie. Tysiące razy obracał tę przepowiednię w myślach i zastanawiał się, co może oznaczać. Całkowite poświęcenie się galaktyce kosztem braku czasu dla rodziny? Osiągnięcie wiecznego spokoju za cenę wyrzeczeń osobistych? Musiał przyznać, że tego nie rozumie.

- To oznacza, Jacenie, że nie wystarczy poświęcenie twoich uczuć i reputacji - ciągnęła Lumiya.

Rycerz Jedi zmusił się do wysłania myśli poza granice wszystkich czynów, które uważał za przyzwoite. Wykonywał robotę brudną, ale konieczną, której nie podjąłby się żaden inny Jedi. Wszyscy inni byli zbyt próżni, zanadto zainteresowani swoją reputacją i zachowaniem czystych rąk, żeby się podjąć wykonania zadań, które tak chętnie składali na barki zwykłych ludzi.

Odwaliłem swój kawał brudnej roboty, pomyślał Jacen. Stałem oko w oko z tym, z czym zmierzył się dziadek... Ale zrobiłem to dla dobra galaktyki, nie z powodu egoistycznej miłości do kobiety.

Motyw miał duże znaczenie. Niektórzy filozofowie uważali inaczej, ale w końcu tylko motyw pozwalał na odróżnienie dobra od zła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Zapytał.

- Będziesz musiał zabić to, co kochasz.

W pierwszej chwili Jacen nie zrozumiał znaczenia jej słów. Później ogarnęła go panika.

Tenel Ka. Allana, pomyślał. Skąd Lumiya o nich wie? Jak mogła się dowiedzieć? Starał się być bardzo ostrożny. Niezwykle rzadko wysyłał do nich myśli poprzez Moc, żeby nie informować Lumiya o ich istnieniu. Każda składana ukradkiem wizyta stanowiła zagrożenie, ale zawsze zachowywał najwyższą ostrożność.

Skupił się i wysłał do kobiety falę dezorientacji, żeby zamaskować przerażenie, które skręcało mu żołądek. Musiał przywołać całą siłę woli. Jacen sięgnął po świecę ze stołu i wpatrzył się w płomień, jakby poświęcał mu całą uwagę. W rzeczywistości starał się odzyskać panowanie nad sobą. - Będziesz musiała mi to wytłumaczyć - powiedział.

- Nie nauczę cię niczego nowego - odezwała się Lumiya. Osiągnąłeś stan, w którym musisz przekroczyć ostateczną granicę i zrobić to, na co nie mógłby się zdobyć żaden zwykły człowiek: zabić osobę, której śmierć spowoduje ból i cierpienie wszystkich, którzy ją kochali.

Kogoś bardzo bliskiego.

- Kogo? - Zapytał rycerz Jedi.

- Nie mogę ci powiedzieć, bo tego nie wiem - odparła Lumiya.

- Kogoś, kogo kocham?

- A kogo kochasz?

- Pozwalam sobie kochać wiele osób - oznajmił wymijająco młody Solo. Ostrożnie, ostrożnie, powiedział sobie. Stąpasz po bardzo cienkim lodzie. - Skąd będę wiedział, kogo zabić?

- To stanie się oczywiste, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila - stwierdziła kobieta. - Wtedy się dowiesz.

- Dlaczego właśnie to ma stanowić ostateczną próbę?

- Bo dla uczciwego człowieka zabicie niewinnej istoty jest zawsze trudniejsze niż nawet odebranie sobie życia - zaczęła Lumiya. - To ostateczny test bezinteresowności... Dowodzący, czy jesteś gotów stawić czoło niekończącemu się emocjonalnemu bólowi, prawdziwej agonii. Dopiero wtedy zyskasz potęgę, dzięki której będziesz mógł zapewnić pokój i porządek miliardom zupełnie obcych osób. Właśnie na tym będzie polegało twoje poświęcenie. Wszyscy cię znienawidzą... Nawet ludzie,

których znasz i na których ci zależy. Miliardy, które ocalisz, nie będą wiedziały absolutnie nic o twoim osobistym poświęceniu, ale ty wypełnisz swój obowiązek jako Sith. Wypełnisz go dla dobra galaktyki. - Wstała i podeszła do niego tak blisko, że kiedy wypuściła powietrze z płuc, płomień świecy zamigotał. - Łatwo być sławnym bohaterem i pogromcą potworów, ale w takim bohaterstwie zawsze kryje się odrobina dumy i próżności. Jeżeli jednak zyskasz tylko powszechną pogardę, nie będzie o nich mowy.

Tak wyglądała straszliwa prawda. Odwaga najczęściej potrzebowała widowni. W przeciwieństwie do niej prawdziwe, altruistyczne bohaterstwo z samej definicji rodziło się niewidoczne, w ciemności.

Jacen podniósł rękę i unieruchomił dłoń nad płomieniem świecy. Trzymał ją dłużej niż kiedykolwiek przedtem, dopóki nie poczuł woni przysmażonego ciała. Lumiya odtrąciła wreszcie jego rękę na bok. Rycerz Jedi sam nie był pewny, czy testuje swoją zdolność do przekraczania granic bólu, czy też może rozpoczyna odbywanie kary.

Pomyślał o dziadku, który zabijał po to, żeby mogła żyć Padme. A on sam? Obojętnie, czyja śmierć byłaby ceną za władanie ostateczną bronią obronną zakonu Sithów, zrozumie, że działa z pobudek całkowicie niezależnych od swoich wąsko pojmowanych pragnień i potrzeb... Takich jak Tenel Ka i Allana. O nie, pomyślał. O nie.

Lumiya ujęła go za rękę i odwróciła ją, żeby obejrzeć spieczoną dłoń.

- Wyobraź sobie teraz, że ten ból jest niczym w porównaniu z tym, który poczujesz, kiedy będziesz musiał stawić czoło ostatecznemu wyzwaniu - powiedziała.

Jacen pragnął, żeby w galaktyce panował pokój i porządek. Chciał tego nie dlatego, że było to słuszne i konieczne, ale dlatego, że miał córkę i chciał, aby dorastała w miejscu wolnym od walk i strachu, które znał całe swoje życie. Nigdy nie zaznał pokoju. Chciał czegoś lepszego dla Allany... I tak, również dla Tenel Ka. Pragnął, żeby ukochane osoby były szczęśliwe.

Chciał szczęścia. Kochał. To właśnie takie uczucia doprowadziły do upadku jego dziadka.

- Ostateczne wyzwanie - powtórzyła Lumiya dziwnie łagodnym, ale zarazem smutnym głosem.

I nagle Jacen zobaczył to wyzwanie, a ta perspektywa wprawiła go, w przerażenie. Musiałby zabić tych, których najbardziej kocha. Musiałby zabić Tenel Ka i swoją córeczkę, swoją Allanę. Sama myśl o tym rozdzierała mu serce, ale zarazem stanowiła straszliwy dowód, że właśnie na tym musi polegać jego wyzwanie.

Nie mógł się przemóc, żeby o tym myśleć. Yuuzhan Vongowie wyobrażali sobie, że wiedzą wszystko o zadawaniu bólu, ale w porównaniu z takim cierpieniem byli zaledwie nowicjuszami.

Jak mógł nawet o tym pomyśleć? Przyłożył dłoń do twarzy i dotknął jej palcami, jakby nie należała do niego. Poczuł się tak, jakby stał pod przeciwległą ścianą salonu i obserwował własną powolną śmierć.

Czy to ja? - Zadał sobie pytanie. Czy to naprawdę moje brzemię?

Tak, dziadku, odpowiedział sobie.

To ja.

Jacen zaakceptował wszystkie warunki i w końcu jego serce - nieważne, kruche, spisane na straty - ostatecznie się złamało.

„Niewolnik 1”, w drodze na Geonosis

Lecieli w ładowni towarowej „Niewolnika 1” - Boba Fett, Mirta Gev i zwłoki. Łowca nagród nie był pewny, co powiedzieć.

- Nigdy nie byłam ci do niczego potrzebna, prawda? - Zapytała dziewczyna. - Czy to ma jakieś znaczenie? - Czy kiedykolwiek poznam cię na tyle dobrze, żeby ci zaufać?

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie - odgryzł się łowca nagród.

- Nie wyglądasz jak dziadek, którego sobie wyobrażałam.

- Tak... - Mruknął Fett.

- Ale jesteś jedyną bliską osobą, która mi pozostała.

Można było to rozumieć na dwa sposoby. Jeden z nich dotyczył ostatniej deski ratunku i wszystko wskazywało, że Mirta właśnie to miała na myśli.

Fett zastanowił się, czy przypadkiem nieuleczalna choroba nie mąci jasności jego umysłu.

Zdecydował, że powinien się zachowywać jak normalna istota ludzka. - Chcesz zapolować razem ze mną? - Zapytał.

Mirta skierowała na niego ciemne, przepełnione bólem oczy. Wyglądała o wiele starzej niż zaledwie kilka dni wcześniej, kiedy zobaczył ją pierwszy raz.

- Na czym polega haczyk? - Zapytała.

- Jestem umierający.

- Co takiego?

- Tak. Boba Fett naprawdę odchodzi z tego świata.

- Jak zwykle mówisz zagadkami.

- Umieram i jeżeli chcę mieć szansę przeżycia, muszę odnaleźć wyniki badań pewnej Kaminoanki - wyznał Fett. - Może mnie do nich doprowadzić twój klon w szarych rękawicach.

Mirta wyraźnie się wahała - czy mu uwierzyć, czy też może poddać się żalowi i nieufności, które czuła przez całe życie.

- Dlaczego mi to mówisz? - Zapytała w końcu.

- Bo i ja nie jestem tym, za kogo się uważałem.

- A co z walką po stronie Korelii?

- Słyszałaś, co mówili tamci chłopcy - przypomniał łowca nagród. - Nie są zainteresowani płaceniem najemnikom, skoro czeka ich prawdziwa walka. Jestem Mandalorem i chcę wiedzieć, co ten *Kad'ika*

powie mi o sobie, jeżeli mu się wydaje, że zostanie moim następcą.

- Och, a więc obilo ci się o uszy to imię... *Kad'ika* - zauważyła dziewczyna. - To ty znasz *mando'a* - stwierdził Fett. - Ty mi to powiedz.

- Nigdy go nie widziałam, ale dużo o nim słyszałam - odparła Mirta. - O co chodzi? Wydaje ci się, że zależy mu na twoim *kyr'bes*?

Koronie... Czaszce mitozaura. Fett uświadomił sobie, że nigdy mu nie zależało na tytule Mandalora, ale kąśliwa odpowiedź Beviina zabolala go bardziej, niż przypuszczał. „Nie masz następcy, nie masz klanu, nie masz poczucia obowiązku” - przypomniał sobie. - „Nie jesteś Mandalorianinem. Tylko nosisz mandaloriańską zbroję”. Fett chciał zostawić po sobie coś więcej niż kredyty i szlak usiany trupami upolowanych zbiegów. Każda istota w galaktyce chciała zresztą coś dla kogoś znaczyć... Nawet jeżeli miała to być tylko jedna osoba.

Widzisz, tato? Wiem już, dlaczego ci tak bardzo na mnie zależało, pomyślał łowca nagród.

Mirta gładziła dyskretnie ogniste serce, które spoczywało w zagłębieniu między jej obojczykami.

- Niech będzie - odezwała się w końcu. - W porządku, *Ba'buir*. Możesz na mnie liczyć.

- *Ba'buir*? - zapytał Fett.

- To znaczy „dziadku” - wyjaśniła cicho dziewczyna.

- Nie mówię po mandaloriańsku - przypomniał Fett. - Dzięki tobie znam w tym języku tylko kilka przekleństw.

- Twój ojciec, a mój pradziadek nigdy nawet nie poddał cię *verd'goten*, prawda? - A to co takiego?

- Próba wojownika - odparła Mirta. - Kiedy ukończysz trzynaście lat, stajesz się dorosły.

- Czy sześćdziesiąt lat doświadczeń wojennych i polowania na nagrody nie czyni ze mnie wojownika? - Zdziwił się Fett.

- Bez zwyczajów swojego ludu jesteś *dar'manda* - odparła dziewczyna. - Nie masz duszy. Prawdopodobnie miała rację.

- Lećmy odnaleźć twojego klona - zaproponował w końcu Fett. - I odzyskać ciało mojego ojca. - A co ze statkiem mojej mamy? - Zainteresowała się wnuczka.

- Wydam rozkaz, żeby Beviin go odebrał - obiecał Fett. - Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, ile rzeczy potrafi znaleźć ten człowiek.

- Nawet tamtego klona? - Zagadnęła dziewczyna.

- Tak - mruknął łowca nagród. - Możliwe, że nawet tamtego klona.

Wstał, podszedł do sterowni „Niewolnika 1” i pierwszy raz, odkąd miał trzynaście lat, wpisał współrzędne kursu na Geonosis, Mirta potulnie zaczekała, aż pozwoli jej zająć miejsce obok siebie.

Fett doszedł do wniosku, że jeżeli będzie żył wystarczająco długo, nauczy ją pilotować swój statek.

Galaktyka mogłaby dojść do wniosku, że Mandalorianie w końcu zrezygnowali. Trzymanie się z daleka od galaktycznych wojen było dla nich czymś niewyobrażalnym, bo *Mando'ade* zawsze walczyli. No cóż, istniało jednak coś takiego jak strategiczny odwrót, i właśnie tak wyglądała obecna sytuacja. Nadszedł czas, żeby *Mand'alor* zaprowadził porządek we własnym domu. Fett postanowił, że jeśli będzie miał dość czasu i pokona chorobę, właśnie tym się zajmie. Gdyby nie zdążył... No cóż, może zamiast niego zajmie się tym *Kad'ika*. Tak czy owak Boba Fett zamierzał tym razem pozwolić, żeby Jedi i Han Solo toczyli tę wojnę bez jego pomocy. Miał do załatwienia pilniejsze sprawy.

Jacen Solo stawał się żalosną imitacją swojego dziadka, Lorda Vadera, i wkrótce pewnie spadnie mu na głowę więcej kłopotów, niż mógłby sobie wyobrazić. A Fett miał wnuczkę. Najważniejsza była rodzina. Rodzina i Mandalora. Dobranoc, tato, pomyślał łowca nagród. Wracamy do domu.

PODZIĘKOWANIA

Na podziękowania zasługują: moi redaktorzy - Shelly Shapiro (Del Rey) i Sue Rostom (Lucasfilm) za poparcie i zgodę na ponowne włączenie do akcji Boby; mój agent Russ Gallen za dbanie o wszystkie szczegóły; Ray Ramirez za wspaniałą mandaloriańską zbroję; Ryan Kaufman za cierpliwe czytanie i gorliwe zachęty; Tom Hodges za opisy twarzy Vevuta i Orade'a; a także wszyscy fani Fetta i inni Mando fando'ade, którzy bez zastrzeżeń znosili cierpliwie moje mandaloriańskie nawyki. Oya Manda!

Spis treści

BOHATEROWIE POWIEŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

PODZIĘKOWANIA